Powieść autorki bestsellerów
Słowik oraz *Zimowy ogród*

KRISTIN HANNAH

Magiczna chwila

Świat Książki

KRISTIN HANNAH

Magiczna chwila

Z angielskiego przełożyła
Magdalena Słysz

Świat Książki
wydawnictwo

Spis treści

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Epilog
Podziękowania
Przypisy

Tytuł oryginału: *Magic Hour*

Wydawca: *Urszula Ruzik-Kulińska*
Redaktor prowadzący: *Iwona Denkiewicz*
Redakcja: *Ewa Borowiecka*
Korekta: *Marianna Filipkowska*, *Halina Ruszkiewicz*

Copyright © 2006 by Kristin Hannah
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Magdalena Słysz, 2023

ISBN 978-83-828-9957-3
Warszawa 2023

Wydawnictwo Świat Książki
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Dystrybucja
Dressler Dublin Sp. z o.o.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
tel. + 48 22 733 50 31/32
www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Dedykuję tę książkę mojemu synowi Tuckerowi.
Mam wrażenie, że zaledwie parę lat temu
trzymałam Cię na rękach.
A teraz jeździmy po college'ach i rozmawiamy
o Twojej przyszłości.
Jestem z Ciebie dumna – z chłopca, którym byłeś,
i mężczyzny, którym się stajesz.
Niebawem opuścisz tatę i mnie,
żeby znaleźć własną drogę w tym świecie.
Cokolwiek zrobisz, dokądkolwiek pójdziesz,
zawsze będziemy Cię kochać.

– My nie mamy być prawdziwi – powiedział pluszowy konik. – Ale możemy się tacy stać. Kiedy jakieś dziecko kocha cię przez długi, długi czas, nie tylko się tobą bawi, ale naprawdę cię kocha, wtedy stajesz się prawdziwy.

– Czy to boli? – zapytał królik.

– Czasami tak – odparł pluszowy konik, bo zawsze mówił prawdę. – Ale kiedy jesteś prawdziwy, ten ból ci nie przeszkadza.

Margery Williams, *Aksamitny królik*

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Zakupione w nexto: 3767557

1

Niedługo będzie po wszystkim.

Julia Cates nie pamiętała już nawet, ile razy to sobie powtarzała, ale tego dnia – wreszcie – naprawdę miał nastąpić koniec. Za kilka godzin świat dowie się o niej całej prawdy.

Pod warunkiem, że uda jej się dotrzeć do centrum. Niestety, autostrada Pacific Coast przypominała raczej wielki parking niż drogę przelotową. Wzgórza za Malibu znowu stały w ogniu, nad dachami budynków unosił się dym i przez niego czyste zazwyczaj powietrze nadmorskie zamieniło się w gęstą brązową zawiesinę. Dzieci w całym mieście budziły się w środku nocy, płacząc szaroburymi łzami i z trudem łapiąc oddech. Zdawało się, że nawet fale straciły rozpęd, jak gdyby wyczerpane niezwykłym jak na tę porę roku upałem.

Julia manewrowała w nieznośnym korku, wśród ruszających i zaraz hamujących samochodów, ignorując kierowców, którzy nie wpuszczali jej i zajeżdżali drogę. Można się było tego spodziewać; w tym najniebezpieczniejszym okresie na południu Kalifornii ludzie tracili panowanie nad sobą i wybuchali równie łatwo jak pożary. Upał wszystkim działał na nerwy.

Wreszcie wydostała się z autostrady i zajechała pod gmach sądu.

Wszędzie wokół stały telewizyjne wozy transmisyjne. Na schodach tłoczyły się setki reporterów z włączonymi mikrofonami i kamerami, którzy już czekali na nowy materiał. W Los Angeles weszło to już do codzienności; rozprawy stanowiły rozrywkę. Michael Jackson. Courtney Love. Robert Blake.

Julia skręciła za róg budynku i podjechała pod tylne wejście, gdzie czekali na nią jej adwokaci.

Zaparkowała przy ulicy i wysiadła z samochodu, sądząc, że będzie w stanie iść pewnym krokiem, ale przez jedną straszną chwilę nie mogła

ruszyć się z miejsca. Jesteś niewinna – powiedziała sobie kolejny raz. I oni przekonają się o tym. System zadziała. Zmusiła się, żeby zrobić krok do przodu, potem następny. Miała wrażenie, jakby poruszała się za sprawą niewidzialnych sznurków, i z trudem pokonała schody. Kiedy dotarła wreszcie do czekającej na nią grupy, udało jej się uśmiechnąć. Kosztowało ją to wiele wysiłku, ale jedno wiedziała na pewno: że jej uśmiech wygląda na autentyczny. Każdy psychiatra wie, jak uśmiechnąć się przekonująco.

– Dzień dobry, doktor Cates – powiedział Frank Williams, główny obrońca w zespole jej adwokatów. – Jak się pani czuje?

– Chodźmy – odparła na to, zastanawiając się jednocześnie, czy tylko ona słyszy, jak drży jej głos. Była wściekła z powodu tego jawnego świadectwa strachu. Właśnie dziś powinna być silna, powinna pokazać światu, że jest tak dobrym lekarzem, za jakiego uchodzi, i że nie zrobiła nic złego.

Sprzymierzeńcy opiekuńczo wzięli ją między siebie. Doceniała ich wsparcie. Chociaż bardzo starała się sprawiać wrażenie profesjonalnej i pewnej siebie, był to kruchy pancerz. Jedno słowo wystarczyło, by pękł.

Weszli do budynku sądu.

Oślepiły ich sinobiałe błyski fleszy. Jednocześnie usłyszeli gorączkowe pstryknięcia migawek aparatów fotograficznych i szum uruchamianych taśm magnetofonowych. Reporterzy runęli przed sobie, przekrzykując się nawzajem.

– Doktor Cates! Jak się pani czuje po tym, co się stało?!

– Dlaczego nie uratowała pani tych dzieci?!

– Czy wiedziała pani o broni?!

Frank otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Julia wtuliła twarz w połę jego marynarki i pozwoliła mu się prowadzić.

Po wejściu do sali sądowej zajęła miejsce na ławie oskarżonych. Wokół niej, jeden po drugim, zebrali się obrońcy. Za nimi, w pierwszym rzędzie krzeseł dla publiczności, zasiadło kilku młodszych asystentów i pomocników obrony.

Julia usiłowała nie zwracać uwagi na hałas i zamieszanie, jakie panowały za jej plecami: na trzaskanie drzwi, stukot pospiesznych kroków na marmurowej podłodze, ściszone głosy. Wolne miejsca zapełniały się szybko, wiedziała to i bez oglądania się. Tego dnia sala rozpraw była miejscem, w którym wypadało być, a ponieważ sędzia nie pozwoliła na obecność kamer telewizyjnych, na galerii bez wątpienia tłoczyli się dziennikarze i rysownicy z piórami i ołówkami w rękach.

Przez cały poprzedni rok wypisywano o Julii najróżniejsze historie. Fotoreporterzy robili jej tysiące zdjęć – gdy wynosiła śmieci, wyjrzała na balkon, wychodziła do pracy czy z niej wracała. Te najmniej pochlebne ukazywały się na pierwszych stronach gazet.

Dziennikarze praktycznie rozbili obóz pod jej apartamentem; to, że nie chciała z nimi rozmawiać, wcale im nie przeszkadzało. Wciąż o niej pisali. O jej dzieciństwie w małym miasteczku, o elitarnym wykształceniu, o ekskluzywnym mieszkaniu z widokiem na morze, druzgocącym zerwaniu z Philipem. Snuli na jej temat rozmaite domysły, a to, że stała się anorektyczką, a to, że jest maniaczką liposukcji. Tylko jedno pomijali milczeniem, to, co miało dla niej największe znaczenie: że kocha swoją pracę. Julia była kiedyś samotnym, trudnym dzieckiem i dobrze pamiętała wszystkie cierpienia z tym związane. To dzięki przeżyciom z młodości została wybitnym psychiatrą. I tak naprawdę tylko to liczyło się w jej życiu.

Oczywiście, ten fakt nigdy nie dostał się do prasy. Podobnie jak lista dzieci i nastolatków, którym pomogła.

Zebrani na sali uciszyli się, gdy miejsce za stołem zajęła sędzia Carol Myerson. Była to kobieta o surowym wyrazie twarzy, z farbowanymi kasztanowatymi włosami i w staromodnych okularach.

Woźny ogłosił rozpoczęcie rozprawy.

Julia pożałowała nagle, że nie poprosiła kogoś z bliskich, aby jej tego dnia towarzyszył, przyjaciółki czy kogoś z krewnych, kto by stał przy niej, może wziął za rękę, gdy będzie już po wszystkim. Zawsze jednak przedkładała pracę nad życie rodzinne czy towarzyskie. Nie miała czasu dla przyjaciół. Terapeuta – bo miała własnego terapeutę – często zwracał uwagę na tę lukę w jej życiu; szczerze mówiąc, aż do tej chwili nie uważała, by w tym, co mówił, kryła się prawda.

Wstał Frank, zajmujący miejsce obok niej. Był to przystojny mężczyzna, wysoki i wręcz wytwornie szczupły, o szpakowatych włosach, których kolor przechodził od czerni do siwizny w doskonałym porządku, począwszy od skroni. Wybrała go na swojego obrońcę ze względu na błyskotliwy umysł, ale jego powierzchowność mogła odegrać w procesie nawet większą rolę. Zbyt często w tej sali forma okazywała się ważniejsza niż istota rzeczy.

– Wysoki Sądzie – zaczął Frank najbardziej łagodnym i przekonującym głosem, jaki kiedykolwiek słyszała – pozwanie doktor Julii Cates do sądu jako skarżonej w tym procesie to absurd. Chociaż często dyskutuje się

o granicach tajemnicy zawodowej w dziedzinie psychiatrii, to przecież istnieją pewne precedensy, na przykład sprawa Tarasoff przeciwko kuratorium oświaty stanu Kalifornia. Doktor Cates nie zdawała sobie sprawy, że jej pacjentka przejawia skłonność do przemocy, i nie wiedziała o żadnych groźbach pod adresem konkretnych osób. W akcie oskarżenia nie figuruje nawet taki zarzut. Dlatego wnosimy o oddalenie pozwu. Dziękuję.

Frank usiadł. Podniósł się mężczyzna w czarnym garniturze, siedzący na miejscu prokuratora.

– Straciło życie czworo dzieci, Wysoki Sądzie. Nic nie przywróci im życia; nigdy nie dorosną, nie pójdą na studia, nie będą miały własnych dzieci. Doktor Cates była psychiatrą Amber Zunigi. Przez trzy lata spotykała się z nią po dwa razy w tygodniu, za każdym razem przez godzinę słuchała o jej problemach i przepisywała leki na pogłębiającą się depresję dziewczyny. Mamy uwierzyć, że znając ją tak blisko, doktor Cates nie wiedziała, iż Amber była w coraz gorszym stanie psychicznym i stawała się niebezpieczna? Że pani doktor nie miała żadnych przesłanek, wskazujących, iż jej pacjentka kupi broń, pójdzie do kościoła na spotkanie młodzieży i zacznie strzelać?

Prokurator wyszedł zza stołu i stanął na środku sali. Powoli zwrócił twarz w stronę Julii. Był to moment wart dużych pieniędzy, moment, który miał być utrwalony przez wszystkich rysowników obecnych na sali i pokazany światu.

– Doktor Cates jest wysokiej klasy specjalistą, Wysoki Sądzie. Powinna była przewidzieć, że może dojść do tragedii, i zapobiec jej, ostrzegając ofiary albo kierując panią Zunigę na leczenie w ośrodku zamkniętym. Powinna ją była tam skierować, nawet jeśli nie wiedziała o potencjalnym zagrożeniu z jej strony. Dlatego wnosimy o postawienie doktor Cates w stan oskarżenia. Trzeba wymierzyć sprawiedliwość. Rodzinom zamordowanych należy się zadośćuczynienie od osoby, która mogła i powinna była zapobiec śmierci ich dzieci.

Prokurator wrócił na miejsce i usiadł.

– To nieprawda – szepnęła Julia, wiedząc, że nikt jej nie usłyszy. Musiała to jednak wypowiedzieć. Nic w słowach ani zachowaniu Amber nie świadczyło o tym, że może być zdolna do przemocy. Wszystkie nastolatki, które zmagają się z depresją, mówią przecież, że nienawidzą swoich rówieśników ze szkoły. Ale całe lata świetlne dzielą je od tego, żeby kupić broń i zacząć z niej strzelać.

Dlaczego oni wszyscy tego nie rozumieją?

Sędzia przerzuciła leżące przed nią akta. Zdjęła okulary do czytania i odłożyła je na drewniany blat stołu sędziowskiego.

W sali zapadła cisza. Julia wiedziała, że dziennikarze czekają w napięciu, przygotowani do notowania. Na zewnątrz stali inni, z gotowymi do druku dwiema wersjami orzeczenia. Mieli także dwie wersje nagłówka, na każdą ewentualność. Czekali tylko na znak od kolegów z sali.

Rodzice ofiar, którzy siedzieli w tylnych ławach i tworzyli pogrążoną w żałobie grupę, czekali na zapewnienie, że tej tragedii można było uniknąć, że ktoś był w stanie ocalić ich dzieci. Pozywali już do sądu za tę niesprawiedliwą śmierć każdego, kogo się dało: policję, służby medyczne, firmy farmaceutyczne, lekarzy i rodzinę Amber Zunigi. Współczesny świat nie wierzy w bezsens tragedii. Ludziom nie mogą się przecież tak po prostu przydarzać nieszczęścia; ktoś musi być za nie odpowiedzialny. Rodziny zamordowanych liczyły, że w tym procesie znajdzie się winny, ale Julia wiedziała, że to zajęłoby ich myśli jedynie na jakiś czas, pomogłoby im przerzucić cierpienie na kogoś innego. Na pewno jednak nie uleczyłoby ich bólu. Ten ból miał ich przeżyć.

Sędzia spojrzała na rodziców.

– Bez wątpienia to, co zdarzyło się dziewiętnastego lutego w kościele baptystów w Silverwood, jest straszną tragedią. Jako matka, nie potrafię wyobrazić sobie, co państwo przeżywają od kilku miesięcy. Jednak zebraliśmy się tu, żeby orzec, czy doktor Cates ma pozostać oskarżona w tej sprawie. – Splotła ręce na blacie. – Jestem przekonana, że w świetle prawa doktor Cates nie miała obowiązku ostrzec ani w żaden inny sposób chronić ofiar tego zbiegu okoliczności. Mam po temu kilka przesłanek. Po pierwsze, żadne fakty nie wskazują, ani też nie wynika to z dowodów zebranych przez prokuratora, że doktor Cates mogła określić potencjalne ofiary; po drugie, prawo nie nakłada na nią obowiązku ostrzeżenia ich, nawet gdyby zostały zidentyfikowane; i wreszcie, dla dobra społecznego, należy sankcjonować tajemnicę zawodową w relacjach psychiatra – pacjent, chyba że istnieje konkretne zagrożenie, które uzasadnia naruszenie tej tajemnicy. Doktor Cates, jak wynika z jej zeznania, z jej notatek i opinii samego oskarżyciela, nie była w stanie ostrzec ani w inny sposób ochronić ofiar w tej sprawie. Dlatego oddalam pozew wniesiony przeciwko doktor Cates bez żadnego dla niej uszczerbku.

Zebrani na galerii jakby wpadli w amok. Julia, nie wiedząc jak i kiedy, wstała i znalazła się w objęciach swoich obrońców. Słyszała, jak za jej plecami dziennikarze pędzą do drzwi, a potem biegną po marmurowej podłodze korytarza.

– Puścili ją! – krzyknął ktoś.

Julia poczuła przypływ ulgi. Dzięki Bogu!

A potem usłyszała za sobą płacz rodziców tamtych dzieci.

– Jak to możliwe? – pytało głośno któreś z nich. – Przecież powinna była wiedzieć!

Frank położył jej rękę na ramieniu.

– Uśmiechnij się. Wygraliśmy.

Zerknęła przez ramię na tamtych ludzi, a potem odwróciła wzrok. Znów ogarnęły ją wątpliwości. Czy mieli rację? Powinna była wiedzieć?

– To nie była twoja wina, i czas, żebyś to wszystkim powiedziała. Masz teraz okazję, aby…

Otoczył ich tłum reporterów.

– Doktor Cates! Co ma pani do powiedzenia rodzicom, którzy obarczają panią odpowiedzialnością?

– Czy inni rodzice powierzą pani swoje dzieci?

– Czy może pani skomentować informację, że izba adwokacka okręgu Los Angeles wykreśliła pani nazwisko z rejestru biegłych sądowych w dziedzinie psychiatrii?

Frank bojowo wystąpił naprzód, znowu ujmując Julię pod rękę.

– Pozew przeciwko mojej klientce właśnie został oddalony – oznajmił.

– Tylko z przyczyn formalnych! – zawołał ktoś.

Gdy uwaga wszystkich skupiła się na Franku, Julia wymknęła się z tłumu i szybkim krokiem ruszyła w kierunku drzwi. Wiedziała, że Frank chciałby, aby wygłosiła oświadczenie, lecz nie dbała o to. Nie miała poczucia, że wygrała. Pragnęła jedynie oderwać się już od tego wszystkiego… wrócić do normalnego życia.

Przed drzwiami czekali na nią państwo Zuniga. Zastąpili jej drogę. Byli zupełnie innymi ludźmi niż ci, których kiedyś znała. Z powodu cierpień postarzeli się przedwcześnie i jakby zszarzeli.

Pani Zuniga spojrzała na nią przez łzy.

– Naprawdę jej pani pomogła, doktor Cates – powiedziała.

– Kochała was oboje – odparła Julia miękko, wiedząc, że te słowa im nie wystarczą. – Byliście dobrymi rodzicami. Nie dajcie sobie wmówić czegoś

innego. Amber była chora. Żałuję, że…

– Proszę, nie! – powiedział pan Zuniga. – Żal, że się czegoś nie zrobiło, boli najbardziej.

Objął żonę ramieniem i przytulił.

Zapadło milczenie. Julia nie wiedziała, co jeszcze może powiedzieć, ale przychodziło jej do głowy jedynie „bardzo mi przykro”, co mówiła już nie wiadomo ile razy, i „do widzenia”. Przyciskając do boku torebkę, wyminęła ich i wyszła z sądu.

Świat na zewnątrz był szary i ponury. Słońce zniknęło, a niebo zasnuwała gruba warstwa dymu, harmonizująca z jej nastrojem.

Wsiadła do samochodu i ruszyła. Odjeżdżając spod gmachu sądu, zaczęła się zastanawiać, czy Frank w ogóle zauważył jej nieobecność. Dla niego to była gra, choć o dużą stawkę, i jako jej bohater, był zaabsorbowany czym innym. O ofiarach i ich rodzinach pomyśli pewnie wieczorem, już u siebie w domu, po kilku drinkach. O niej też sobie przypomni i może przyjdzie mu do głowy refleksja, co czeka psychiatrę, który tak jak ona skompromitował się zawodowo, ale nie będzie się długo nad tym zastanawiał. Zabraknie mu odwagi.

Ona sama też zamierzała zamknąć tę sprawę. Wieczorem będzie leżała samotnie w swoim łóżku, słuchając uderzeń fal morskich o brzeg i myśląc o tym, jak bardzo ten dźwięk przypomina bicie jej serca. Znowu spróbuje zmierzyć się z bólem i poczuciem winy. Musi w końcu dojść do tego, co przeoczyła, jakiego znaku nie dostrzegła. To będzie bolesne – rozpamiętywanie – ale w końcu, dzięki tym wszystkim cierpieniom stanie się lepszym terapeutą. Tymczasem jutro o siódmej rano znowu wstanie z łóżka, ubierze się i wróci do pracy.

Żeby pomagać ludziom.

Tak właśnie zamierzała przez to przejść.

Przy wyjściu z groty przykucnęła dziewczynka; obserwuje potoki wody lejące się z nieba. Chce sięgnąć po jedną z puszek leżących wokół i może znowu wylizać wnętrze, ale robiła to już tyle razy. Jedzenie się skończyło. Skończyło się tak dawno, że już nie wie, ile od tego czasu przewędrowało księżyców. Za nią czuwają niespokojne wilki, też są głodne.

Niebo pomrukuje i ryczy. Drzewa trzęsą się ze strachu, a z góry wciąż spływa woda.

Dziewczynka usypia.

Budzi się nagle i rozgląda dookoła, wciągając powietrze w nozdrza. W ciemnościach unosi się dziwny zapach. Powinien ją przestraszyć, zapędzić do głębokiej, ciemnej nory, ale ona nie może ruszyć się z miejsca. Ma ściśnięty żołądek, tak pusty, że aż boli.

Lejąca się z góry woda nie jest już tak wściekła; już tylko szemrze. Dziewczynka żałuje, że nie ma słońca. W słońcu żyje się łatwiej. W jaskini jest tak ciemno.

Trzaska gałązka.

I następna.

Dziewczynka zastyga, pragnąc, żeby jej ciało wtopiło się w ścianę jaskini. Staje się jakby cieniem samej siebie, płaska i nieruchoma. Wie, jak ważny jest bezruch.

Nadchodzi On? Tak długo Go nie było. Nie zostało już nic do jedzenia. Skończyły się też słoneczne dni i chociaż dziewczynka cieszy się, że On odszedł, bez Niego odczuwa strach. Kiedyś – dawno temu – Ona by pomogła, ale NIE ŻYJE.

Kiedy w lesie znowu robi się cicho, dziewczynka wychyla się z jaskini, wystawia twarz Tam, w szare światło. Nadchodzi mrok długiej nocy, wkrótce wszędzie zapanuje ciemność. Cieknąca z góry woda jest przyjemna i słodka. Smakuje dziewczynce.

Co ma zrobić?

Zerka na szczenię wilka siedzące obok niej. Też jest czujne, też węszy. Dziewczynka dotyka jego miękkiej sierści i czuje drżenie małego ciałka. Wilczek także się niepokoi: czy On wraca?

Przedtem nie było Go przez jeden czy najwyżej dwa księżyce. Ale wszystko się zmieniło, gdy Ona umarła i zniknęła. Gdy odchodził, nawet odezwał się do dziewczynki:

ZACHOWUJSIĘGRZECZNIEGDYMNIENIEBĘDZIEBOINACZEJ…

Nie rozumie tych wszystkich słów, ale wie, co znaczy BO INACZEJ.

Ale Jego nie ma już bardzo długo. Nie zostało nic do jedzenia. Udało się jej wyswobodzić i chodzi do lasu po jeżyny i orzechy, ale zbliża się czas ciemności. Niebawem będzie za słaba, by zdobywać pożywienie, zresztą ono się skończy, gdy zapanuje biel, a oddech zamieni się w mgłę. Dziewczynka wprawdzie się boi, umiera ze strachu przed Obcymi, którzy miesz-

kają Tam, ale głoduje, a jeśli On wróci i zobaczy, że się oswobodziła, będzie źle. Musi coś zrobić.

Miasteczko Rain Valley, leżące pomiędzy dzikimi ostępami Olympic National Forest a szarym wybrzeżem Pacyfiku z głośno przewalającymi się falami, było ostatnim bastionem cywilizacji przed obszarem gęstych lasów.

Niedaleko miasteczka znajdowały się takie miejsca, na których nigdy nie spoczęły złote promienie słońca, gdzie przez cały rok na czarną, wilgotną ziemię kładły się cienie, miejsca tak zarośnięte i nieprzebyte, że ci nieliczni rowerzyści, którzy dostali się do lasu, często mieli wrażenie, jakby znaleźli się w niedźwiedzim mateczniku. Nawet dziś, w epoce cudownych odkryć naukowych, lasy te pozostały takie jak przed wiekami, niezbadane, nietknięte przez człowieka.

Przed niespełna stu laty w tym pięknym miejscu między lasami deszczowymi a oceanem pojawili się osadnicy i wykarczowali obszar, który potrzebny był im do uprawy zbóż. Z czasem jednak przekonali się o tym, o czym tubylcy wiedzieli od dawna: że tego miejsca nie da się ujarzmić. Zrezygnowali więc z rolnictwa, a zajęli się rybołówstwem. Miejscową specjalnością stały się połowy łososia i obróbka drewna, i przez kilka dziesięcioleci miasteczko prosperowało całkiem nieźle. Ale w latach dziewięćdziesiątych rejon ten odkryli ekolodzy. Postawili sobie za cel uratowanie ptactwa, ryb i najstarszych drzew. W tej swojej kampanii zapomnieli jednak o ludziach, którzy żyli z tej ziemi, i miasteczko w ciągu kilku lat znacznie podupadło. Wielkie wizje rozwoju, jakie roztaczali najbardziej wpływowi obywatele, bladły jedna po drugiej. Nie zainstalowano nowych latarni ulicznych, na które wszyscy mieszkańcy tak czekali; droga nad Mystic Lake pozostała wąską szosą, z coraz bardziej rozjeżdżonym asfaltem i coraz bardziej dziurawą; linie telefoniczne i elektryczne pozostały tam, gdzie dawniej – czyli w powietrzu – i zwisały gnuśnie między jednym słupem a drugim, tak że pierwsze z brzegu złamane drzewo mogło je zerwać podczas zawieruchy, pozbawiając prądu całe miasteczko.

W innych częściach świata, w miejscach, do których człowiek rościł sobie prawo od dawna, upadek miasteczka mógł być śmiertelnym ciosem dla poczucia wspólnoty jego obywateli, ale nie tutaj. Mieszkańcy Rain Val-

ley byli twardymi ludźmi, którzy potrafili i chcieli żyć w miejscu, gdzie deszcz padał przez ponad dwieście dni w roku, a słońce było jak bogaty wujek, który rzadko zjawia się z wizytą. Znosili dni szarugi, nasiąknięte wodą trawniki oraz rozmokłe drogi i jakoś funkcjonowali, bo przecież byli synami i córami pionierów, którzy kiedyś odważyli się zamieszkać wśród górujących nad nimi drzew.

Tego dnia jednak ich wytrzymałość została wystawiona na próbę. Był siedemnasty października i jesień przegrywała wyścig z nadchodzącą zimą. Och, drzewa przybrane były jeszcze w odświętne barwy, a trawa zazieleniła się po palących dniach późnego lata, ale nikt nie mógł mieć wątpliwości – zbliżała się zima. Niebo było szare od tygodnia, warstwy złowróżbnie ciemnych chmur wisiały nisko nad horyzontem. Przez siedem dni deszcz lał prawie bez przerwy.

Na rogu Wheaton Way i Cates Avenue znajdował się przysadzisty szary budynek z kopułą i masztem na trawniku przed frontem. Mieścił się w nim posterunek policji. Stare oświetlenie jarzeniowe w środku ledwie rozpraszało szarówkę. Była czwarta po południu, ale ze względu na pogodę wydawało się, że już później.

Ludzie, którzy tam pracowali, starali się nie zwracać uwagi na aurę. Gdyby ich zapytano – a nie pytano – stwierdziliby, że cztery–pięć dni ciągłego deszczu można jeszcze wytrzymać. Kolejne też, pod warunkiem, że tylko mży. Ale w tak długim okresie niepogody było coś niepokojącego. W końcu to nie styczeń. Przez pierwszych kilka dni słoty siedzieli przy biurkach i dobrodusznie utyskiwali na niewygodę, z jaką wiązało się wyjście na dwór i przejście do samochodu. Teraz jednak, pod wpływem jednostajnego bębnienia deszczu o dach, ton rozmów stał się cięższy.

Ellen Barton – dla przyjaciół, czyli całego miasteczka, Ellie – stała przy oknie i wyglądała na ulicę. W deszczu wszystko wydawało się rozmyte, jak rysunek węglem. Dostrzegła własne odbicie w oknie zalewanym strugami deszczu; raczej nie tyle odbicie, ile wrażenie utrwalone przez moment na szybie. Zobaczyła taki swój obraz, jaki zawsze widziała – dziewczyny o ciemnych, gęstych włosach, chabrowych oczach i radosnym uśmiechu. Zwyciężczyni miejscowego konkursu piękności i konkursu na główną cheerleaderkę. I jak zawsze, gdy myślała o sobie z przeszłości, widziała się w bieli, kolorze panien młodych, nadziei na przyszłość, nienarodzonych jeszcze dzieci.

– Muszę zapalić, Ellie. Wiesz, że muszę. Dobrze mi szło, ale zbliżam się do punktu krytycznego. Jeśli nie zapalę, będę musiała pójść do lodówki.

– Nie pozwól jej – powiedział Cal ze swojego miejsca przy biurku dyżurnego. Siedział zgarbiony przy telefonie, pasmo czarnych włosów opadało mu na oczy. W szkole średniej Ellie i jej koleżanki nazywały go Krukiem ze względu na kolor włosów i ostre, wyraziste rysy. Zawsze robił wrażenie kanciastego, źle poskładanego, jakby nie czuł się dobrze we własnym ciele. Dobiegał czterdziestki, ale wciąż wyglądał chłopięco. Tylko po oczach – ciemnych, o intensywnym spojrzeniu – widać było, że już dużo w życiu przeszedł. – Bądź jak surowa matka. To zawsze się sprawdza.

– Ugryź mnie…! – warknęła Peanut.

Ellie westchnęła. Wracali do tego tematu co pięć minut. Ujęła się pod boki, opierając palce na ciężkim pasie, przewieszonym przez biodra. Obróciwszy się, spojrzała na swoją najlepszą przyjaciółkę.

– Peanut, wiesz, co odpowiem. To miejsce publiczne. Ja jestem szefem policji. Jak mogę ci pozwolić na łamanie prawa?

– No właśnie – rzucił Cal. Otwierał usta, żeby jeszcze coś dodać, ale zadzwonił telefon i Cal podniósł słuchawkę, mówiąc: – Posterunek policji w Rain Valley.

– Dobra – powiedziała Peanut. – Nagle zrobiła się z ciebie obrończyni prawa i porządku. A co ze Svenem Morgensternem? Codziennie parkuje pod swoim sklepem, tuż przed hydrantem. Kiedy ostatnio odholowałaś mu wóz? A Large Marge co niedziela po kościele podprowadza ze sklepu lody na patyku i lakier do paznokci. Nie nadążam z wystawianiem nakazów jej aresztowania. Chociaż dopóki mąż płaci za jej wyskoki, to chyba nie ma znaczenia…

Nie dokończyła. Obydwie wiedziały, że mogłaby wymienić jeszcze z tuzin podobnych wykroczeń. To było w końcu tylko Rain Valley, a nie jakieś tam centrum Seattle. Ellie pełniła funkcję szefa policji od czterech lat, a przedtem przez osiem lat służyła w patrolu. Chociaż musiała być przygotowana na wszystko, jak dotąd nie miała do czynienia z przestępstwem większym niż włamanie czy bezprawne wkroczenie na teren prywatny.

– Pozwolisz mi zapalić, czy mam zjeść pączka i wypić red bulla? – spytała Peanut.

– Jedno i drugie cię wykończy.

– Uhm, ale to drugie nie wykończy nas – powiedział Cal, odkładając słuchawkę. – Nie daj się, El. Ona jest tylko dyspozytorką. Nie powinna palić w miejscu publicznym.

– Za dużo palisz – orzekła w końcu Ellie.

– Owszem, ale dzięki temu mniej jem.

– A może byś wróciła do tej głupiej diety łososiowej? Albo grejpfrutowej? Każda z nich byłaby lepsza niż palenie.

– Przestań gadać i udzielać mi tylu rad. Muszę zapalić.

– Zaczęłaś palić cztery dni temu, Peanut – zwrócił jej uwagę Cal. – Na pewno nie jesteś jeszcze na głodzie nikotynowym.

Ellie pokręciła głową. Ci dwoje mogliby tak sobie dogryzać przez cały dzień, gdyby nie wkroczyła między nich.

– Powinnaś wrócić do tych twoich spotkań – rzekła z westchnieniem. – Strażniczek wagi… To było nawet skuteczne.

– Sześć miesięcy na zupie z kapusty, żeby zrzucić marne dziesięć funtów? Jestem innego zdania. Daj spokój, Ellie, wiesz, że zaraz sięgnę po pączka.

Ellie wiedziała, że przegrała bitwę. Ona i Peanut – Penelope Nutter – pracowały ramię w ramię w tym pokoju ponad dziesięć lat, a przyjaźniły się od czasów szkoły średniej. W ciągu tego czasu ich przyjaźń przetrwała niejedną burzę, począwszy od rozpadu dwóch kruchych małżeństw Ellie aż po niedawną decyzję Peanut, żeby w ramach odchudzania zacząć palić papierosy. Nazywała to dietą hollywoodzką i powoływała się na znane osobistości, które paliły i chudły.

Uśmiechając się do Cala, Ellie oparła ręce na biurku i wstała. Przez te kilka kilogramów, które jej przybyły w ciągu ostatnich lat, poruszała się nieco wolniej. Podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież, choć wszyscy troje wiedzieli, że w taki deszczowy dzień nie uda jej się wywietrzyć pomieszczenia.

Ellie poszła korytarzem do pokoju w głębi posterunku, który oficjalnie służył jej jako gabinet. Rzadko z niego korzystała. W takim miasteczku jak Rain Valley nie było wielu okazji do poważnych rozmów w cztery oczy, a Ellie wolała siedzieć w głównej sali z Calem i Peanut. Przekopała się przez pozostałości naleśników, które jadła na śniadanie miesiąc wcześniej, i odnalazła maskę gazową. Włożyła ją i wróciła do kolegów.

Cal wybuchnął śmiechem.

Peanut usiłowała zachować kamienną twarz.

– Bardzo śmieszne – powiedziała.

– Może będę chciała mieć kiedyś dzieci. Muszę chronić swoją macicę – odparła Ellie.

– Na twoim miejscu mniej martwiłabym się sprawą biernego palenia, a bardziej znalezieniem sobie właściwego faceta.

– Przetestowała już wszystkich, od Mystic aż do Aberdeen – rzucił Cal. – W zeszłym miesiącu spotykała się z tym gościem z UPS. Tym przystojniakiem, który wciąż zapominał, gdzie zaparkował wóz.

Peanut zaciągnęła się dymem i zaczęła kaszleć.

– Chyba powinnaś obniżyć im poprzeczkę – wykrztusiła.

– Rzeczywiście, wyglądasz, jakby ci to palenie sprawiało przyjemność – powiedział Cal, szczerząc zęby w uśmiechu.

Peanut ucięła temat.

– Mówiliśmy o życiu miłosnym Ellie – przypomniała.

– Wy dwie o niczym innym nie mówicie – zauważył Cal.

To była prawda. Ellie nic nie mogła na to poradzić; miała słabość do mężczyzn. Przeważnie – niech będzie: wyłącznie – do niewłaściwych mężczyzn.

Peanut nazywała to przekleństwem królowej piękności małego miasteczka. Gdyby tylko Ellie, jak jej siostra, liczyła bardziej na swój rozum niż urodę! Ale niektórzy byli niereformowalni. Ellie lubiła zabawę, lubiła romansować. Rzecz w tym, że to nie była droga do prawdziwego uczucia. Poza tym Peanut uważała, że Ellie nie umie iść na kompromis, choć nie to było właściwie przyczyną jej problemów. Małżeństwa Ellie – oba – zakończyły się porażką, bo wychodziła za mąż za przystojnych facetów o rozmarzonych oczach, którzy nie potrafili usiedzieć w jednym miejscu. Jej pierwszy mąż, niegdyś kapitan szkolnej drużyny futbolowej Al Torees, powinien był ją zniechęcić do mężczyzn. Ale Ellie miała krótką pamięć i już w kilka lat po rozwodzie wyszła za mąż za następnego przystojnego nieudacznika. Mówiąc wprost, za każdym razem trafiała jak kulą w płot, ale i to nie zabiło w niej nadziei. Wierzyła w prawdziwą miłość i czekała, aż przyjdzie i do niej. Wiedziała, że coś takiego jest możliwe; jej rodziców łączyło wielkie uczucie.

Ellie zsunęła maskę przeciwgazową na czoło i stwierdziła:

– Jeśli jeszcze obniżę poprzeczkę, to chyba będę musiała się spotykać z samcami spoza mojego gatunku. Może Cal umówi mnie na randkę z jakimś swoim infantylnym kolegą z klubu wielbicieli komiksów.

Cala wyraźnie to uraziło.

– Nie jesteśmy przygłupami.

– Uhm – mruknęła Peanut, zaciągając się dymem. – Jesteście dorosłymi facetami, którzy uważają, że inni faceci w rajtuzach świetnie wyglądają.

– Mówisz tak, jakbyśmy byli pedałami.

– Mało wam brakuje. – Peanut roześmiała się. – Chociaż pedały przynajmniej uprawiają seks. A ci twoi kumple pokazują się publicznie w strojach z *Matrixa*. Nigdy nie zrozumiem, jak ci się udało poderwać Lisę.

Na wzmiankę o żonie Cala zapadła niezręczna cisza. Całe miasteczko wiedziało, że Lisa się puszcza. Krążyły o tym plotki; mężczyźni uśmiechali się pod nosem, a kobiety marszczyły czoło i kręciły głową, gdy w rozmowie padało jej imię. Ale tu, na posterunku policji, nie poruszano tego tematu.

Cal wrócił do lektury swojego komiksu i bazgrołów w szkicowniku. Wiadomo było, że został uciszony na jakiś czas.

Ellie usiadła przy biurku i położyła nogi na blacie.

Peanut oparła się o ścianę i zapatrzyła w obłok dymu.

– Widziałam wczoraj Julię w wiadomościach.

Cal uniósł głowę.

– Żartujesz? Muszę częściej oglądać telewizję.

Ellie sięgnęła ręką za głowę i ściągnęła maskę. Gdy odkładała ją na biurko, wyrwało jej się westchnienie. Prędzej czy później ktoś musiał wspomnieć o jej błyskotliwej młodszej siostrze, to była tylko kwestia czasu.

– Nie została postawiona w stan oskarżenia.

– Dzwoniłaś do niej? – zapytała Peanut.

– Oczywiście. Jej automatyczna sekretarka ma przemiły głos. Myślę, że Julia mnie unika.

Peanut zrobiła krok do przodu. Stare dębowe klepki, ułożone na przełomie stuleci, kiedy szefem policji był Bill Whipman, zaskrzypiały pod jej ciężarem, ale jak wszystko w Rain Valley były bardziej wytrzymałe, niż mogło się wydawać. W West End rzeczy i ludzie mieli za zadanie przetrwać.

– Powinnaś znowu spróbować – stwierdziła.

– Wiesz, jak bardzo Julia jest o mnie zazdrosna. Zwłaszcza teraz nie zechce ze mną rozmawiać.

– Ty wszystkich posądzasz o zazdrość.

– Nieprawda.

Peanut posłała jej spojrzenie w rodzaju: „Kogo ty chcesz oszukać?”, jedno z tych, na których opierała się ich przyjaźń.

– Daj spokój, Ellie. Twoja młodsza siostra sprawiała wrażenie naprawdę rozbitej. Zamierzasz udawać, że nie możesz z nią rozmawiać, bo przed dwudziestu laty ty byłaś królową piękności, a ona należała do kółka matematycznego?

Prawdę mówiąc, Ellie również to zauważyła – ten ból, autentyczny ból w oczach Julii – i chciała wyjść naprzeciw, przyjść z pomocą młodszej siostrze. Julia zawsze za bardzo się przejmowała różnymi sprawami; dlatego zresztą została świetnym psychiatrą.

– Nie chciałaby mnie słuchać, Peanut. Wiesz o tym. Uważa, że mam nie więcej rozumu niż kamyk. Może…

Urwała na dźwięk kroków.

Ktoś biegł w stronę posterunku.

Ellie wstała w momencie, gdy drzwi otworzyły się z rozmachem, uderzając o ścianę.

Do pokoju wpadła Lori Forman. Była przemoknięta do suchej nitki i najwyraźniej przemarznięta; cała się trzęsła. Przybiegła z dziećmi – Baileyem, Felicią i Jeremym, które stały teraz wokół niej.

– Musicie tam iść! – zwróciła się do Ellie.

– Złap oddech, Lori. Powiedz, co się stało.

– Nie uwierzycie mi. Do diabła, sama to widziałam i nie wierzyłam własnym oczom. No chodźcie. Na Magnolia Street.

– Ho, ho – odezwała się Peanut. – W miasteczku coś się dzieje.

Zdjęła płaszcz z wieszaka stojącego przy biurku.

– Pospiesz się, Cal. Przełącz zgłoszenia na telefon komórkowy. Przecież nie może nas ominąć żadna sensacja.

Ellie pierwsza wybiegła za drzwi.

2

Ellie zajechała swoim cruiserem na pusty parking na rogu Magnolia i Woodland, po czym wyłączyła silnik. Charknął kilka razy i zakrztusił się jak staruszek, ale w końcu zgasł.

W tej samej chwili przestał padać deszcz i zza chmur wyjrzało słońce.

Nawet Ellie, która mieszkała tu przez całe życie, zdumiała się tą nagłą zmianą pogody. To była magiczna chwila, rzadki moment, kiedy każdy liść i każde źdźbło trawy zajaśniało w blasku słońca, który po deszczu spłynął na ziemię, zmiękczony przez nadchodzący zmrok.

Peanut, siedząca na miejscu pasażera, pochyliła się do przodu. Obity winylem fotel lekko przy tym zaskrzypiał.

– Nic szczególnego nie widzę.

– Ja też. – To stwierdzenie padło z usta Cala, który siedział z tyłu, idealnie wyprostowany. Jego wysoka, tyczkowata postać złożona była niemal we troje. Długie, kościste dłonie trzymał splecione na kolanach.

Ellie zlustrowała wzrokiem plac. Po niebie sunęły stalowoszare chmury, usiłując przytłumić blednące światło, które teraz, gdy wyjrzało słońce, nie dało się przesłonić. Zdawało się, że Rain Valley – całe pięć kwartałów – jaśnieje blaskiem nie z tego świata. Ceglane frontony sklepów, budowanych jeden po drugim w latach siedemdziesiątych, jeszcze w pięknej epoce łososia i drewna, lśniły jak wyklepana miedź.

Pod drogerią Swaina stał tłumek ludzi, a kolejna ich grupa zebrała się po drugiej stronie ulicy, przed salonem fryzjerskim Lulu. Lada moment z The Pour House również mieli wytoczyć się klienci, ciekawi, co budzi takie zainteresowanie.

– Jesteś na miejscu, szefowo? – odezwał się głos przez radio.

Ellie nacisnęła guzik i odpowiedziała:

– Słucham, Earl.

– Idź w kierunku Sealth Park. – Rozległy się trzaski w eterze, a potem słowa: – Żadnych gwałtownych ruchów. Nie żartuję.

– Zostań tu, Peanut. Ty też, Cal – poleciła Ellie, wysiadając z wozu.

Serce biło jej szybko. Było to najbardziej intrygujące wezwanie, jakie kiedykolwiek dostała. Jej praca polegała głównie na odwożeniu do domu pijanych obywateli, którzy chlapnęli sobie za dużo, albo wygłaszaniu w miejscowej szkole pogawędek dla dzieci na temat szkodliwości narkotyków. Jednak przygotowana była na wszelkie ewentualności. Nauczyła się tego od wuja Joe, który był szefem policji przez trzydzieści lat. „Nie przyzwyczajaj się do spokoju – powtarzał jej często. – Może prysnąć w jednej chwili jak rozbite szkło”.

Ufała jego doświadczeniu i chociaż podchodziła do swojej pracy trochę nonszalancko, wrosła w nią. Czytała najnowsze raporty i doniesienia prasowe, doskonaliła swoje umiejętności na strzelnicy i czujnym okiem obserwowała wszystko, co działo się w miasteczku. W tym jednym była naprawdę dobra, poza dbałością o urodę, co traktowała równie poważnie.

Szła więc ulicą, uświadamiając sobie niezwykłą ciszę, jaka panowała wokoło.

Można by usłyszeć upadającą szpilkę. Było to nienaturalne w miejscu żyjącym plotkami.

Odpięła kaburę i sięgnęła po pistolet. Pierwszy raz wyjęła go w miejscu publicznym.

Przy każdym kroku słyszała, jak jej obcasy stukają o bruk. Rynsztoki po obu stronach ulicy przypominały potoki kipiącej srebrzystej wody. Gdy zbliżyła się do skrzyżowania, doszły ją szepty i zobaczyła ludzi, którzy wskazywali park miejski.

– Ona jest tam – powiedział ktoś.

– Pani komendant wie, co robić – uciszył mówiącego ktoś inny.

Ellie przystanęła. Podbiegł do niej Earl, a stukot jego kowbojskich butów na mokrym chodniku brzmiał jak strzały. Poruszał się jak marionetka na sznurkach, trochę bezładnie, w sposób nieskoordynowany. Na mundurze miał zacieki od deszczu.

– Ciii – syknęła.

Rumiana twarz Earla Huffa skurczyła się do rozmiarów pięści. Miał sześćdziesiąt cztery lata i był gliniarzem, zanim jeszcze Ellie przyszła na świat, ale zawsze okazywał jej najwyższy szacunek.

– Przepraszam, szefowo.

– Co się dzieje? – zapytała. – Nie widzę nic podejrzanego.

– Zjawiła się jakieś dziesięć minut temu. Zaraz po tym głośnym grzmocie. Słyszeliście go?

– Słyszeliśmy – potwierdziła Peanut, dysząc chrapliwie po szybkim marszu. Obok niej stał Cal.

Ellie obróciła się na pięcie.

– Powiedziałam wam obojgu, żebyście zostali w wozie.

– Poważnie? – zapytała Peanut z niedowierzaniem. – Myślałam, że był to jeden z tych „formalnych” rozkazów. Do diaska, Ellie, przecież nie możemy przegapić pierwszego poważnego wezwania od lat!

Cal potakująco skinął głową, uśmiechając się szeroko. Wyglądał tak, że Ellie miała ochotę przyłożyć mu w twarz. Ciekawa była, czy kapitan wydziału policji w Los Angeles ma podobne odczucia wobec swoich kolegów. Z westchnieniem zwróciła się ponownie do Earla:

– Mów, o co chodzi.

– Po tym grzmocie deszcz ustał. Tak po prostu. W jednej chwili jeszcze lał, a zaraz potem przestał. Wyszło to niesamowite słońce. I wtedy stary doktor Fischer usłyszał wycie wilka.

Peanut wzdrygnęła się.

– To jak wtedy na *Buffy* [1], kiedy ona…

– Dalej, Earl – nakazała ostro Ellie.

– To pani Grimm zauważyła tę małą. Ja właśnie obcinałem sobie włosy… tylko nie pytaj: „jakie włosy?”. – Odwrócił się powoli i wskazał ręką. – Gdy wdrapała się na to drzewo, wezwaliśmy ciebie.

Ellie spojrzała na drzewo. Widywała je codziennie przez całe życie, bawiła się na nim jako dziecko, stała pod nim jako nastolatka i paliła wycyganione od kogoś mentolowe papierosy, pod tą zieloną koroną całowała się po raz pierwszy, z Calem zresztą. Nie widziała w tym drzewie niczego nadzwyczajnego.

– To ma być żart, Earl?

– Matko moja! Włóż okulary, Ellie.

Ellie wsadziła rękę do kieszeni na piersi i wyciągnęła kupione w kiosku okulary, których rzekomo wcale nie potrzebowała. Miała wrażenie, że są obcym, ciężkim elementem na jej twarzy. Mrużąc oczy za owalnymi szkłami, zrobiła krok do przodu.

– Czy to…?

– Tak – potwierdziła Peanut.

Wśród kolorowych jesiennych liści klonu kryło się dziecko. Jak mogło wdrapać się tak wysoko po śliskich od deszczu gałęziach?

– Skąd wiesz, że to dziewczynka? – Cal zapytał szeptem Earla.

– Wiem tylko, że ma sukienkę i długie włosy. Wnioskuję metodą dedukcji.

Ellie podeszła bliżej, żeby lepiej się przyjrzeć.

Dziecko było małe, pewnie nie miało więcej niż pięć, sześć lat. Nawet z tej odległości Ellie zauważyła, jak bardzo było wychudzone. Długie ciemne włosy miało matowe i skołtunione, tkwiły w nich liście i jakieś paprochy.

Schowała pistolet do kabury.

– Zostańcie tutaj – poleciła. Ruszyła przed siebie, potem zatrzymała się i zerknęła przez ramię na Peanut i Cala. – Mówię serio, wy dwoje. Nie zmuszajcie mnie, żebym użyła wobec was broni.

– Już wrastam w ziemię – powiedziała Peanut.

– Całym systemem korzeni – uzupełnił Cal.

Ellie słyszała, jak przez tłum przebiega szmer, gdy przechodziła przez skrzyżowanie. Zbliżywszy się do celu, zdjęła okulary. Jeszcze nie doszła do tego, żeby miała ufać światu oglądanemu przez soczewki.

W odległości mniej więcej półtora metra od drzewa spojrzała w górę. Dziecko wciąż tam tkwiło, przycupnięte na jednej z najwyższych gałęzi. Bez wątpienia była to dziewczynka. Siedziała całkiem pewnie jak na tę wysokość, ze szczeniakiem w ramionach, oczy miała szeroko otwarte. Obserwowała każdy ruch w pobliżu. Biedna mała była przerażona.

I niech to licho, jeśli psiak w jej objęciach nie był szczenięciem wilka!

– Hej, maleńka – powiedziała Ellie łagodnym głosem. Była to jedna z tych chwil, kiedy żałowała, że nie ma dzieci. Matczyne podejście bardzo by się teraz przydało. – Co tam robisz?

Wilczek zawarczał i odsłonił kły.

Ellie utkwiła wzrok w dziecku.

– Nie zrobię ci krzywdy. Słowo.

Nie było żadnej reakcji, nawet mrugnięcia okiem czy choćby zwykłego drgnienia palca.

– Zacznijmy od początku. Nazywam się Ellen Barton. A ty kim jesteś?

Znowu nic.

– Domyślam się, że skądś uciekłaś czy coś takiego. Albo bawisz się w coś. Kiedy byłam mała, w lesie bawiłam się z siostrą w piratów. I w Kopciuszka. To była moja ulubiona zabawa, bo Julia musiała sprzątać, gdy ja przebierałam się w piękne suknie na bal. Zawsze najlepiej najstarszemu z dzieci.

To było jak mówienie do fotografii.

– Może byś zeszła na dół, zanim spadniesz? Będę cię asekurować.

Przez piętnaście minut Ellie przemawiała do dziecka, plotła cokolwiek, co tylko przychodziło jej do głowy, aż wreszcie wyczerpała się jej inwencja. Dziewczynka ani nie poruszyła się, ani nie odezwała. Właściwie nie widać było nawet, żeby oddychała.

Ellie wróciła do Earla, Peanut i Cala.

– Jak ją stamtąd ściągniemy, szefowo? – zapytał Earl ze zmartwioną miną. Jego blade, spocone czoło pofałdowało się. Nerwowo gładził się po prawie łysej głowie, przyklepując misternie zaczesaną rudą pożyczkę, która była jego cechą rozpoznawczą od tylu lat, że nikt by ich nawet nie zliczył.

Ellie nie wiedziała, co robić. Na posterunku miała wszelkie możliwe podręczniki i literaturę fachową, większość ich wykuła na pamięć przed egzaminem oficerskim. Były w nich rozdziały poświęcone morderstwu, pobiciu, napadom z bronią w ręku czy porwaniom, ale nie zawierały ani słowa o tym, jak ściągnąć z drzewa milczące dziecko z powarkującym szczenięciem wilczym.

– Pani Grimm… mówiła, że ten dzieciak coś knuł, może chciał ukraść jabłka ze skrzynek przed sklepem? Kiedy doktor Fischer krzyknął na nią, mała przebiegła przez ulicę i wskoczyła na drzewo.

– Wskoczyła? – zapytała Ellie. – Przecież ona siedzi na wysokości sześciu metrów, rany boskie!

– Ja też nie chciałem uwierzyć, szefowo, ale świadkowie są co do tego zgodni. I twierdzą, że biegła jak wiatr. Pani Grimm przeżegnała się, gdy mi to relacjonowała.

Ellie poczuła ból głowy. Do kolacji całe miasteczko pozna historię o dziewczynce, która biegła jak wiatr i wskoczyła na najwyższe konary klonu. Na pewno dojdą do tego opowieści o tym, jak to strzelała ogniem z palców i fruwała z gałęzi na gałąź.

– Musimy coś wymyślić – powiedziała bardziej do siebie niż kogokolwiek innego.

– Kiedyś strażacy zdjęli Scampera z tej jodły przy Pennisula Road – zauważył Earl.

– Scamper to kot – przypominała Peanut, splatając ramiona na piersi.

– Wiem o tym, Penelope. Ale wygląda na to, że nie mamy procedur postępowania z dziećmi, które utknęły na drzewie. Razem z wilkami – dodał Earl dla lepszego efektu.

Ellie poklepała go po ramieniu.

– Dobry pomysł, Earl, ale mała jest przerażona. Gdyby zobaczyła, że przystawiamy do drzewa tę wielką czerwoną drabinę, mogłaby spaść.

Peanut postukała o zęby długimi purpurowymi tipsami – widomy znak, że intensywnie myśli. W końcu powiedziała:

– Założę się, że jest głodna.

– Według ciebie wszyscy są głodni – rzekł Cal.

– Wcale nie.

– Tak, tak. A może ja bym z tą małą pogadał, El? – zapytał Cal. – Moja Sarah jest mniej więcej w jej wieku.

– Nie. Ja z nią porozmawiam – zaproponowała Peanut. – W końcu jestem matką.

– A ja ojcem.

– Przymknijcie się, oboje! – warknęła Ellie. – Earl, idź do restauracji i zamów jakiś dobry ciepły posiłek. I trochę mleka. I może jeszcze kawałek szarlotki Barbary.

– Jesteś genialna, Ellie. Pani Grimm sądziła przecież, że dziewczynka chce ukraść coś do jedzenia – potwierdził Earl, uśmiechając się od ucha do ucha. – Widziałem podobną historię na jakimś filmie policyjnym. To chyba było…

– To ja wymyśliłam – przypomniała Peanut, nadymając się.

– Bo ty zawsze myślisz o żarciu – zauważył Cal. – Już nawet nikt nie zwraca na to uwagi.

– I zabierz stąd gapiów – ucięła Ellie utarczki. – Nie chcę widzieć nikogo w promieniu dwóch kwartałów.

Earlowi zrzedła mina.

– Nie zechcą się rozejść.

– Earl, jesteśmy przedstawicielami prawa. Każ im wracać do domów.

Spojrzał na nią spod oka. Oboje wiedzieli, że nie ma dużej wprawy w egzekwowaniu prawa. Chociaż patrolował ulice miasteczka od kilkudziesięciu lat, większość czasu spędzał, popijając kawę i wypisując mandaty za nieprawidłowe parkowanie.

– Może powinienem zadzwonić po Myrę? Jej wszyscy słuchają.

– Nie potrzebujesz żony, żeby zabrać ludzi z ulicy, Earl. Jeśli nie potrafisz inaczej, zacznij wypisywać mandaty. To przecież robisz na co dzień.

Earl skulił się w sobie i ruszył w stronę salonu fryzjerskiego. Kiedy doszedł do drogerii, natychmiast otoczył go wianuszek ludzi. Po chwili

z tłumu dały się słyszeć głośne protesty.

Peanut skrzyżowała ręce na piersi i cmoknęła.

– To największe wydarzenie w mieście od czasu, gdy Raymond Weller zrobił garaż z wozu kempingowego Thelmy. Nie wygrasz konkursu popularności za to, że pozbawiasz ich możliwości uczestniczenia w tej atrakcji.

Ellie spojrzała na swoją najlepszą przyjaciółkę.

– Ich? – zapytała.

Peanut zrobiła wielkie oczy.

– Chyba nie myślisz i o mnie?!

– Mamy do czynienia z przerażonym dzieckiem, Pea, i wygląda na to, że w ogóle jest z nim coś nie tak. Dostarczanie rozrywki mieszkańcom Rain Valley – w tym i tobie – nie należy do moich obowiązków. Więc teraz wrócicie z Calem na posterunek i znajdziecie mi jakąś siatkę. Nie wydaje mi się, żeby łatwo było złapać to biedactwo. Zadzwoń do Nicka do Mystic. I do rezerwatu, do Teda. Dowiedz się, czy jakieś dziecko zgubiło się dziś w parku. Cal, ty zadzwoń do Mela. Pewnie pojechał w teren i wlepia turystom mandaty. Powiedz mu, żeby popytał w mieście. Mała chyba nie jest stąd, ale może przyjechała do kogoś.

– Ja tam słucham rozkazów – rzucił Cal, kierując się do cruisera.

Peanut nie ruszyła się z miejsca.

– No, idź – ponagliła ją Ellie.

Peanut westchnęła dramatycznie.

– Już idę.

Półtorej godziny później ulice w centrum Rain Valley były już puste. Sklepy zostały pozamykane, a parkingi opróżnione. Nie na miejscu wydawały się tylko dwie policyjne barykady. Niewątpliwie Peanut i Cal mieli swoje pięć minut jako przedstawiciele komendant policji Ellen Barton.

– Pewnie nie możesz się nadziwić, że szefem policji jest kobieta – mówiła Ellie, siedząc tak spokojnie, jak tylko potrafiła, pod klonem, na niewygodnej drewnianej ławce z żelaznymi okuciami.

Tkwiła tu od godziny i stawało się jasne, że nie uda jej się nakłonić dziecka, by zeszło na dół. Nie było to zresztą wcale takie dziwne. Ellie umiała prowadzić samochód z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów

na godzinę, ustrzelić ptaka z odległości stu pięćdziesięciu metrów i skłonić dorosłego faceta, żeby przyznał się do włamania, ale o dzieciach wiedziała tyle co nic.

Jednak Peanut i Cal – którzy mieli dzieci – uważali, że przede wszystkim należy spróbować perswazji. To był plan A. Wszyscy zgadzali się, że najlepiej by było, gdyby dziewczynka sama zlazła z drzewa. Ellie przekonywała ją więc do tego.

Spojrzała na półmisek, który stał u podnóża drzewa. Dwa idealnie upieczone kurczaki obłożone były cząstkami jabłek i pomarańczy. Na oddzielnym talerzu leżała szarlotka prosto z pieca. Obok, starannie ułożone, spoczywały papierowe talerzyki i plastikowe widelce. Mleko już dawno wystygło.

Trzeba było zorganizować coś, co lubią dzieci – cheeseburgery, frytki, pizzę… Dlaczego wcześniej na to nie wpadła?

Ale jedzenie pachniało bosko. Ellie zaburczało w brzuchu, co przypomniało jej, że minęła pora obiadu, a nie była przyzwyczajona do opuszczania posiłków. Gdyby nie codzienny aerobik w miejscowej szkole tańca, na pewno mocno przytyłaby od czasów szkolnych. A Bóg wie, że kobieta tak drobnej budowy jak ona nie mogła sobie pozwolić na tycie, zwłaszcza kobieta niezamężna, która wciąż czeka na wielką miłość.

Lekko odwróciła głowę w lewo i zerknęła w górę. Dziewczynka patrzyła na nią z niepokojącym skupieniem. Spod jej ciemnych rzęs spoglądały oczy koloru przybrzeżnych wód Morza Karaibskiego. Przez ułamek sekundy Ellie przypomniała sobie swój miesiąc miodowy, gdy po raz pierwszy zobaczyła ocean tropikalny i gromady małych ciemnoskórych dzieci, które bawiły się w wodzie. Chociaż chude, były radosne i roześmiane.

Przeniosła spojrzenie na rododendron, stojący po drugiej stronie ulicy, przed sklepem z artykułami żelaznymi. Wiedziała, że za nim czai się człowiek z ochrony przyrody, który mierzy z broni w kierunku dziewczynki. Strzelba załadowana była pociskiem ze środkiem uspokajającym dla wilczka. Obok czekał w pogotowiu pracownik miejscowego ośrodka łowieckiego z kagańcem i klatką.

Mów do niej.

Ellie westchnęła.

– Wcale nie miałam zamiaru zostać policjantką. Dostałam się do tego zawodu przypadkiem; tak mi się zresztą układa życie. Moja siostra, Julia, wszystko planuje. Już gdy miała dziesięć lat, wiedziała, że chce zostać leka-

rzem. A ja marzyłam tylko o tym, żeby zdobyć jej Barbie. – Uśmiechnęła się z żalem. – Miałam dwadzieścia jeden lat, gdy po raz drugi wyszłam za mąż. Kiedy to małżeństwo się rozpadło, wprowadziłam się z powrotem do taty. To nie był szczyt kariery dla dziewczyny, która może już legalnie pić alkohol… a ja, do diabła, piłam wtedy sporo. Uwielbiałam margaritę i karaoke. Chciałam nawet śpiewać w zespole, ale nic z tego nie wyszło. Takie jest moje życie. No więc mój wuj Joe, który był szefem policji, zawarł ze mną umowę: jeśli wstąpię do akademii policyjnej, zapomni o moich mandatach za parkowanie. – Wzruszyła ramionami. – Nie miałam nic lepszego do roboty, więc się zgodziłam. Gdy wróciłam do domu, wuj dał mi pracę. Zdaje się, że urodziłam się do tej roboty. – Obrzuciła dziewczynkę spojrzeniem.

Żadnej reakcji.

Ellie znowu głośno zaburczało w brzuchu.

– A niech to!

Wzięła kurczaka i oderwała nóżkę. Wbijając w nią zęby, bezwiednie przymknęła oczy na sekundę. Powoli przeżuła kęs mięsa i połknęła go.

Wtedy zaszeleściły liście. Skrzypnęła gałąź.

Ellie znieruchomiała. Poczuła powiew wiatru, to on poruszył suchymi liśćmi.

Dziewczynka wychyliła się do przodu. Pomiędzy jej zębami ukazał się różowy czubek języka. Ellie zauważyła, że mała nie ma z przodu zęba.

– No, chodź – szepnęła. Ponieważ dziewczynka się nie poruszyła, Ellie spróbowała przemówić do niej inaczej, licząc, że w ten sposób nawiąże z nią kontakt. Opowieści i całe zdania nie skutkowały. Może trzeba spróbować czegoś prostszego. – Na dół. Tutaj. Kurczak. Ciasto. Obiad. Jedzenie.

Dziewczynka jakby w odpowiedzi zeskoczyła z drzewa i wylądowała na ziemi jak kot spadający na cztery łapy. Wciąż trzymała w ramionach wilczka.

To niemożliwe! Kości dziecka powinny pęknąć jak patyczki przy takim skoku.

Ellie poczuła, że coś ją ściska w dołku. Nie była ani przesądna, ani skłonna do fantazji, ale w tej chwili, gdy tak siedziała na ławce, patrząc na to brudne, wychudzone dziecko ze szczenięciem wilka w objęciach, ogarnął ją jakiś lęk.

Dziewczynka wpatrywała się w nią z napięciem. Można było odnieść wrażenie, że te piękne, dziwne niebieskozielone oczy widzą wszystko.

Ellie nie poruszyła się, starała się nawet nie oddychać.

Mała uniosła podbródek i zaczęła węszyć, po czym wolno wypuściła z objęć szczenię. Wilczek pozostał jednak przy niej. Następnie zrobiła krok w kierunku kurczaka.

Potem drugi.

I trzeci.

Ellie wypuściła powietrze z płuc najciszej, jak się dało. Dziewczynka poruszała się jak dzikie zwierzątko, czujna i napięta. Wilczek podążał za każdym jej krokiem.

W końcu opuściła wzrok i rzuciła się na jedzenie.

Ellie nigdy wcześniej nie widziała czegoś takiego. Ta dwójka wyglądała jak para młodych z tego samego miotu, które dopadły zdobycz. Dziewczynka rozrywała kurczaka i zachłannie wpychała całe kawałki do ust.

Ellie sięgnęła ręką za siebie i ujęła sieć.

Boże, dopomóż. Żeby tylko się udało. Nie miała planu B.

Wykonując perfekcyjny obrót cheerleaderki, pociągnęła sieć i zarzuciła ją, celując w dziewczynkę. Sieć opadła na małą i wilczka. Kiedy oboje zorientowali się, że zostali schwytani, rozpętało się piekło.

Dziewczynka jakby oszalała. Rzuciła się na ziemię i potoczyła po niej, szarpiąc szponiastymi palcami nylonową siatkę. Ale im bardziej próbowała się wyswobodzić, tym bardziej się w nią zaplątywała.

Wilczek zaczął warczeć. Kiedy w bok wbiła mu się czerwona strzałka, zaskowyczał przerażony, zachwiał się i padł na ziemię.

Dziewczynka zawyła. Był to straszny, pełen udręki dźwięk.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – powiedziała Ellie, zbliżając się do obojga. – Nie bój się. Nic mu nie jest. Zabierzemy go w miłe, bezpieczne miejsce.

Dziewczynka przygarnęła do siebie uśpione szczenię i zaczęła nim potrząsać, żeby się obudziło. Gdy to nie odniosło skutku, zawyła znowu. Był to kolejny rozpaczliwy, przejmujący skowyt, który przeciął ciszę i spłoszył stado kruków, tak że wzleciały w ciemniejące niebo.

Ellie powoli zaszła dziecko od tyłu. Zbliżając się, poczuła dziwny zapach: zbutwiałych liści i żyznej ziemi z domieszką moczu zalatującego amoniakiem.

Przełknęła ślinę i wysunęła z rękawa ukrytą tam strzykawkę. Ostrożnie wbiła igłę w pupę dziewczynki i zrobiła zastrzyk.

Mała wrzasnęła z bólu i obróciła się, żeby spojrzeć na napastniczkę.

– Przepraszam – powiedziała Ellie. – To był środek bezpieczeństwa. Zaraz zaśniesz. Nie pozwolę, żeby ktoś cię skrzywdził.

Dziewczynka skuliła się, umykając przed dotknięciem Ellie, i straciła równowagę. Z jej gardła dobył się jeszcze jeden skowyt, a potem upadła. Gdy tak leżała na ziemi, obejmując uśpionego wilczka, wyglądała niezwykle krucho i dziecinnie; bardziej bezradnej istoty Ellie jeszcze dotąd nie widziała.

Na ostatnim odcinku drogi w dół jasne niebo nad Pacyfikiem zaczęło powoli zmieniać barwę z ciemnozłotej w bladołososiową.

Ciężko dysząc, zatrzymał się na chwilę podczas schodzenia i zawieszony w uprzęży na linie, wykonał obrót, żeby podziwiać widoki.

Ze swojego miejsca na granitowej ścianie, ze sto dwadzieścia metrów nad krystalicznymi niebieskimi wodami bezimiennego górskiego jeziora Max Cerrasin widział cały świat. Wokół niego wznosiły się postrzępione, imponujące szczyty Olympic Mountains. Zapierający dech w piersiach krajobraz, który jednocześnie budził respekt, wydawał się tak odległy od cywilizacji jak żadne inne miejsce na Ziemi. Z tego, co Max wiedział, był pierwszym człowiekiem, który wspiął się na ten niebezpieczny występ skalny.

Właśnie dlatego uwielbiał ten sport. Kiedy człowiek znajdował się na takiej wysokości, tkwił na skale tylko dzięki kawałkowi metalu i własnej odwadze, świat zewnętrzny przestawał istnieć. Znikały smutki, stresy, wspomnienia tego, co się utraciło.

Było tylko nieskończone piękno, samotność i ryzyko. Najbardziej lubił właśnie to: ryzyko.

Nie ma nic lepszego niż bezpośrednie zagrożenie, żeby człowiek poczuł, że żyje.

Wciąż ciężko dysząc, spocony, schodził powoli. Centymetr po centymetrze wybierał drogę, pieszcząc granit, obmacując go, aby wykryć słabe, niestabilne miejsca.

W pewnym momencie noga mu się obsunęła i runął w dół. Pod jego ręką odłamał się kawałek skały i odpryskując od podłoża, uderzył go w twarz.

Gdy na ułamek sekundy Max zawisł w powietrzu, poczuł, że żołądek mu się ściska, a serce dostaje kopa. Wyrzucił rękę do góry i uchwycił się skały.

I znalazł oparcie.

Zaśmiał się z ulgą i oparł czoło o zimny kamień, podczas gdy jego serce wracało do normalnego rytmu.

Otarł pot z czoła i wznowił wędrówkę. Im schodził niżej, tym szybciej i pewniej się poruszał. Był już prawie na dole – od całkowicie bezpiecznego miejsca dzieliło go tylko dziesięć metrów – gdy zadzwonił telefon komórkowy.

Max zeskoczył na ziemię, wydobył aparat z plecaka i podniósł klapkę. Zanim jeszcze zobaczył numer na wyświetlaczu, wiedział, że sprawa jest pilna.

Wiadomość o pojawieniu się dziewczynki obiegła Rain Valley lotem błyskawicy. O dziewiątej wieczorem pod szpitalem okręgowym zebrał się tłum. Cal odbierał jeden telefon za drugim. Zaskoczył Ellie, proponując, że zostanie po godzinach. Zwykle pędził do domu, żeby przygotować kolację dla żony i dzieci. Ale po miasteczku rozeszły się już niestworzone opowieści o latającej dziewczynce z wilkiem, która potrafi w sposób magiczny wpływać na pogodę, i wszyscy chcieli wiedzieć o tym jak najwięcej. Nazajutrz pod ośrodkiem łowieckim miały ustawić się kolejki ludzi pragnących zobaczyć schwytanego wilczka.

Dziewczynka leżała w szpitalu na wąskim łóżku. Do głowy miała podłączonych kilka elektrod, a dwie inne monitorowały pracę jej serca. Skórzany pas, otaczający jej lewy nadgarstek, przypięty był do łóżka, chociaż w stanie uśpienia, w jakim wciąż się znajdowała, nie stanowiła zagrożenia dla siebie ani innych. Pasów użyto po raz pierwszy od dziesięciu lat; pielęgniarki szukały ich w magazynie całe wieki.

Ellie ze splecionymi na piersi rękoma cofnęła się od łóżka. Obok niej stała Peanut. Chociaż raz przyjaciółka była cicho. Obie miały wyrzuty sumienia, że zostawiły Earla pod szpitalem, a Cala na posterunku, ale obowiązek to obowiązek. Ellie musiała porozmawiać z lekarzem, a Peanut… Cóż, Peanut nie zamierzała opuścić ani jednego aktu tej opery mydlanej. Od chwili pojawienia się dziewczynki nie było jej na posterunku zaledwie przez trzydzieści minut, kiedy to wpadła do domu na obiad. Jej córka Tara opiekowała się dziećmi Cala.

Doktor Max Cerrasin właśnie badał dziewczynkę. Co jakiś czas mruczał coś do siebie; poza tym nikt się nie odzywał.

Ellie nigdy nie widziała, żeby Max był tak poważny. Przez ten czas, gdy mieszkał w Rain Valley, zdobył sobie szacunek, i to nie tylko ze względu na swoje lekarskie umiejętności. Przed sześciu laty przejął praktykę po doktorze Fischerze i osiedlił się w domu nad jeziorem, na skraju miasteczka. Podobał się wszystkim tutejszym kobietom; żadna pomiędzy dwudziestym a sześćdziesiątym rokiem życia nie była wobec niego obojętna, także Ellie. Rozświergotane, napływały pod jego gabinet nieprzerwanym strumieniem, zawsze przynosząc mu jakieś przysmaki, które ugotowały.

A potem czekały niecierpliwie, którą z nich wybierze.

Czekały tak i czekały.

W ciągu tych kilku lat Max spotykał się i przyjaźnił prawie ze wszystkimi wolnymi kobietami w miasteczku, ale żadna z nich tak naprawdę nie mogła rościć sobie do niego praw. Chociaż uwielbiał flirtować, sprawiedliwie obdzielał je swoimi względami.

Nawet Ellie nie udało się rozkochać go w sobie. Ich romans podobny był do innych – gorący i szybki jak mgnienie oka. Ostatnio Max coraz rzadziej chodził na randki, stając się rzadkim okazem w małym miasteczku: samotnikiem. Ellie nie mogła tego pojąć. Taki przystojny facet i nie miał nikogo!

– Hmm – mruknął w końcu Max, przeczesując dłonią szpakowate włosy.

Ellie ruszyła się spod ściany i podeszła do niego. Kiedy spojrzała w niebieskie oczy Maxa, zobaczyła, jak bardzo jest zmęczony. Nic dziwnego. Słyszała, że ściągnięto go z daleka, z jakiejś skalnej ściany, zaledwie parę godzin temu. Przyjechał prosto do szpitala, nie zdążył się nawet przebrać w robocze ciuchy ani w biały fartuch. Miał na sobie stare, sprane levisy i czarną bawełnianą koszulkę, a jego siwawe włosy były trochę zmierzwione. Za to oczy – jak zwykle – przykuwały uwagę. Były wręcz magnetyzujące i każda osoba, na którą spoglądał, miała wrażenie, że poza nim nie ma w pobliżu nikogo. Nawet teraz, taki zmęczony i zdezorientowany, Max był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego Ellie kiedykolwiek widziała.

– Co możesz o niej powiedzieć? – spytała.

– Jest bardzo niedożywiona i odwodniona. Na odwodnienie możemy szybko coś zaradzić, ale jeśli chodzi o niedożywienie, to już trudniejsza sprawa. – Uniósł prawy nadgarstek dziecka; bez trudu objął go palcami. Przy jego opalonej skórze umorusane ciało dziewczynki wydawało się wręcz szare.

Ellie otworzyła notes.

– Indianka?

– Nie sądzę. Jestem prawie pewny, że pod tym całym brudem kryje się dziecko białej rasy. – Puścił rękę dziewczynki i delikatnie ujął pod kolanem jej prawą nóżkę. – Widzisz te blizny na kostce?

Ellie schyliła się. Dostrzegła je pod warstwą brudu: wyraźne pasma odbarwionej skóry.

– Ślady po więzach?

– Tak to wygląda.

Peanut wciągnęła powietrze w płuca.

– To biedactwo było skrępowane?

– I to przez długi czas, jak sądzę. Te blizny to nie jest nowa tkanka, choć szramy wokół niej są dość świeże. Na zdjęciu rentgenowskim widać złamanie lewego przedramienia, które brzydko się zrosło.

– Więc nie mamy do czynienia ze zwykłym dzieckiem, które odłączyło się od rodziców w parku i zgubiło.

– Nie wydaje mi się.

– Jakieś oznaki molestowania seksualnego?

– Nie. Żadnych.

– Dzięki Bogu – szepnęła Ellie.

Max pokręcił głową, wzdychając cicho.

– Widziałem dużo okropieństw, El, ale z czymś takim jeszcze się nie spotkałem.

– Ale co jej właściwie jest? – zapytała.

Peanut podeszła bliżej i dotknęła jej ręki; Ellie nie była pewna, czy chce tym gestem dodać odwagi sobie, czy jej.

– Głęboki uraz – powiedział w końcu lekarz.

Ellie spojrzała na niego.

– Co możesz dla niej zrobić?

– To nie moja działka.

– Och, Max, daj spokój…

Popatrzył na dziewczynkę. Ellie dostrzegła coś w jego oczach – smutek, może strach. Trudno było odgadnąć, co.

– Mogę zlecić badanie fal mózgowych, krwi i inne. Gdyby była przytomna, wziąłbym ją na obserwację, ale…

– Dawna świetlica jest pusta – podsunęła Peanut. – Można by obserwować małą przez szybę…

– Słusznie. Umieść ją tam, Max. Może próbować uciec, więc zamknij drzwi na klucz. Myślę, że rano będziemy wiedzieć o niej więcej. Mel i Earl zbierają informacje w mieście. Dowiedzą się, kim ona jest. Albo, gdy się obudzi, sama nam powie.

– Jeśli umie mówić. – Max odwrócił się do niej. – To poważna sprawa, Ellie, i dobrze o tym wiesz. Może powinnaś przekazać ją komuś wyżej?

Ellie spojrzała na niego.

– To mój teren, Max. Dam sobie radę z jedną zabłąkaną dziewczynką.

3

Julia stała przed dużym lustrem w sypialni, patrząc na siebie krytycznym wzrokiem. Miała na sobie grafitowy garnitur i bladoróżową jedwabną bluzkę. Jej blond włosy upięte były we francuski kok; zawsze tak się czesała na sesje z pacjentami. Niewielu jej ich pozostało. Po tragedii w Silverwood straciła co najmniej siedemdziesiąt procent z nich. Na szczęście, trwało przy niej jeszcze kilku, którzy mieli do niej zaufanie, i nie chciała ich zawieść.

Wzięła teczkę i zeszła do garażu, gdzie stała jej stalowoniebieska toyota Prius Hybrid. Drzwi garażu otworzyły się, ukazując pustą ulicę.

Tego ciepłego październikowego ranka nie było już reporterów, którzy by na nią czekali, stojąc w grupie, a jednak osobno, paląc papierosy i rozmawiając.

Przestała być częścią tej historii.

W końcu, po latach sennych koszmarów, odzyskała swoje życie. Po ponad godzinie dotarła do niedużego, ładnego biurowca w Beverly Hills, w którym od przeszło siedmiu lat wynajmowała gabinet.

Zaparkowała wóz na stałym miejscu i weszła do budynku, cicho zamykając za sobą drzwi. Na drugim piętrze przystanęła przed swoim gabinetem, patrząc na srebrną tabliczkę z wygrawerowanym nazwiskiem: *Dr Julia Cates*.

Nacisnęła guzik interkomu.

– Gabinet doktor Cates – odezwał się w głośniku trzeszczący głos. – W czym mogę pomóc?

– Cześć, Gwen, to ja.

– Och!

Rozległ się brzęczyk, a następnie kliknięcie zwalniające blokadę drzwi.

Julia wzięła głęboki oddech i weszła do gabinetu. Pachniało w nim świeżymi kwiatami, które dostarczano co poniedziałek rano. Chociaż pacjentów miała teraz niewielu, nie oszczędzała na kwiatach. To byłby już widomy znak porażki.

– Dzień dobry, pani doktor – przywitała ją Gwen Connelly, jej recepcjonistka. – Gratuluję wczorajszego orzeczenia.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się. – Jest już Melissa?

– Nie masz żadnych umówionych wizyt w tym tygodniu – poinformowała ją Gwen. Współczucie, jakie malowało się w jej piwnych oczach, było irytujące. – Wszyscy je odwołali.

– Wszyscy? Nawet Marcus?

– Czytałaś dzisiejszy „Los Angeles Times”?

– Nie. Dlaczego pytasz?

Gwen wyjęła gazetę z kosza na śmieci i rzuciła ją na biurko. Nagłówek na pierwszej stronie głosił: *Śmiertelna pomyłka*. Poniżej widniało zdjęcie Julii.

– Państwo Zuniga po rozprawie udzielili wywiadu. Obarczyli cię winą za całą sprawę.

Julia oparła się o ścianę, żeby nie upaść.

– Chcą po prostu uniknąć procesu – dodała Gwen. – Powiedzieli, że… powinnaś była zalecić izolację ich córki.

– Ach tak! – wyrwało jej się.

Gwen wstała i obeszła biurko. Była to drobna, kształtna kobieta, która prowadziła gabinet Julii tak, jak prowadziła jej dom – w sposób zdyscyplinowany i z oddaniem. Podchodząc, rozłożyła ramiona.

– Pomogłaś tylu ludziom. Nikt nie może temu zaprzeczyć.

Julia zrobiła unik. Gdyby teraz pozwoliła się przytulić, rozkleiłaby się zupełnie. Potem mogłaby się już nie pozbierać.

Gwen zatrzymała się w pół kroku.

– To nie była twoja wina.

– Dziękuję ci. Chyba… chyba zrobię sobie urlop. – Próbowała przybrać pogodną minę. Czuła jednak, że uśmiech, który przywołała na twarz, jest drewniany. – Od lat nigdzie nie wyjeżdżałam.

– Dobrze ci to zrobi.

– Na pewno.

– Odwołam dostawy kwiatów i pójdę porozmawiać z zarządcą budynku – powiedziała Gwen. – Powiem mu, że zamierzasz wyjechać… na jakiś czas.

„Odwołam dostawy kwiatów”.

Zabawne, że to właśnie przepełniło kielich goryczy. Julia trzymała się resztką sił, odprowadzając Gwen do drzwi i żegnając się z nią.

Potem, kiedy już została sama w gabinecie, opadła na kolana i skuliła się na swoim drogim dywanie.

Nie wiedziała, jak długo tak klęczy, wsłuchując się we własny oddech i bicie serca.

W końcu wstała i rozejrzała się dokoła, niepewna, co dalej zrobić. Praktyka lekarska była dla niej całym światem. Dążąc do zawodowej perfekcji, odsuwała wszystkich na bok – przyjaciół, rodzinę – rezygnowała z innych zainteresowań i hobby. Od prawie roku nie była na randce. To znaczy od czasów Philipa. Podeszła do telefonu i stanęła, przeglądając listę numerów w pamięci aparatu.

Numer doktora Philipa Westovera nadal figurował pod siódemką. Julia poczuła bolesną potrzebę, przenikające na wskroś pragnienie, by usłyszeć jego głos, usłyszeć, jak mówi: „wszystko będzie dobrze” z tym swoim śpiewnym irlandzkim akcentem. Przez pięć lat był jej najlepszym przyjacielem i kochankiem. A potem ożenił się z inną.

Z miłością tak zawsze, nie można na niej polegać.

Z westchnieniem nacisnęła klawisz z numerem dwa.

Jej terapeuta, doktor Harold Collins, podniósł słuchawkę po drugim sygnale. Spotykała się z nim raz w miesiącu od czasu stażu w klinice, kiedy to wszyscy studenci musieli odbyć terapię. Collins był bardziej jej przyjacielem niż lekarzem.

– Cześć, Harry – powiedziała, opierając się o ścianę. – Czytałeś dzisiejszą gazetę?

Westchnął ciężko.

– Julio, martwiłem się o ciebie.

– Sama się o siebie martwię.

– Powinnaś udzielać wywiadów, opowiedzieć swoją wersję tej historii. Nie możesz brać na siebie całej odpowiedzialności. Wszyscy uważamy, że…

– W jakim celu? Oni i tak wierzą w to, co chcą. Przecież wiesz o tym.

– Czasami celem jest sama walka, Julio.

– Nigdy nie byłam w tym dobra, Harry. – Patrzyła przez okno na życie toczące się na zewnątrz w ten pogodny dzień i zaczęła się zastanawiać, czym ma się teraz zająć. Rozmawiali jeszcze przez chwilę, ale prawdę mówiąc, Julia już nie słuchała, co mówi Harry. Praktyka lekarska była dla niej wszystkim; tylko w tym była dobra. Powinna była stworzyć sobie jakieś życie, a nie tylko zajmować się karierą. Gdyby tak zrobiła, nie zosta-

łaby teraz sama. Rozmowa o pustce, którą czuła, wcale jej nie pomagała. Myliła się, sądząc, że tak będzie. – Muszę już kończyć, Harry. Dzięki za wszystko.

– Julio…

Odłożyła słuchawkę i okrążyła gabinet. Gdy poczuła, że znowu do oczu napływają jej łzy, zdjęła kostium i przebrała się w strój gimnastyczny, a potem przeszła do sąsiedniego pokoju, gdzie miała ruchomą bieżnię.

Zdawała sobie sprawę, że ostatnio ćwiczy na niej zbyt dużo, straciła już tyle na wadze, że nie miała z czego chudnąć, ale nie potrafiła przestać.

Spoglądając w mrok swojego ukochanego gabinetu, weszła na czarną bieżnię i ustawiła jej kąt nachylenia symulujący wzniesienie. Kiedy biegła, zapominała o bólu. Minęło dużo czasu, zanim wyłączyła maszynę i pojechała do swojego zbyt cichego domu, myśląc o tym, jaki jest sens w tym, żeby biec i biec przed siebie zupełnie bez celu.

W późnych godzinach wieczornych na korytarzach szpitala panowała cisza. Max najmniej lubił tę porę dnia; wolał bieganinę związaną z codzienną praktyką lekarską. W mrocznej ciszy czaiło się zbyt wiele myśli.

Zrobił ostatnie na ten dzień zapisy na karcie dziewczynki, a potem spojrzał na małą.

Leżała bez ruchu, oddychając równo i głęboko, jak ludzie pod wpływem środków usypiających. Skórzany pas na jej lewym nadgarstku wydawał się zbyt ciężki i robił paskudne wrażenie.

Max pochylił się i ujął drugą rękę dziewczynki. Jej palce, czyste już, ale wciąż noszące ślady krwi i poznaczone bliznami, wydawały się bardzo chude i drobne w jego dłoni.

– Kim jesteś, malutka?

Drzwi za nim otwarły się i zamknęły. Nie oglądając się, wiedział, że weszła Trudi Hightower, pielęgniarka z nocnej zmiany. Czuł zapach jej perfum z nutą gardenii.

– Jak ona się ma? – zapytała, podchodząc blisko. Była wysoką, przystojną kobietą o łagodnych oczach i donośnym głosie. Utrzymywała, że

mówi tak głośno, bo musi przekrzyczeć synów, których wychowywała sama.

– Nie za dobrze.

Cmoknęła z troską.

– Biedactwo.

– Możemy ją już przenieść?

– Dawna świetlica jest gotowa. – Wyciągnęła rękę i odpięła skórzany pas. Kiedy go unosiła, Max chwycił ją za nadgarstek.

– Zostaw to tutaj.

– Ale…

– Myślę, że dość już w życiu była wiązana.

Pochylił się i wziął śpiące dziecko na ręce.

W milczeniu szli jasno oświetlonymi korytarzami do dawnej świetlicy dla dzieci pracowników.

Gdy znaleźli się na miejscu, Max położył dziewczynkę do szpitalnego łóżka, które tam wstawiono. W ostatniej chwili powstrzymał się, żeby nie szepnąć: Śpij jak suseł, szkrabie.

– Zostanę z nią jeszcze chwilę – powiedział zamiast tego.

Trudi delikatnie położyła mu rękę na ramieniu.

– Kiedy skończę zmianę, chcesz, żebyśmy pojechali do ciebie? – spytała.

Skinął głową. Rzeczywiście, może dobrze by było się odprężyć. Gdyby tego wieczoru wrócił do domu sam, czekałyby tam na niego wspomnienia, gotowe dotrzymać mu towarzystwa.

Ellie wpatrywała się w ekran komputera, dopóki litery nie zatarły się w małe czarne punkty na białym pulsującym polu. Z tyłu czaszki czuła rozprzestrzeniający się ból, który spłynął w dół kręgosłupa. Pomyślała, że jeśli przeczyta jeszcze jeden raport o zaginionym czy uprowadzonym dziecku, zacznie krzyczeć.

Były ich tysiące.

Tysiące zaginionych dziewczynek, które nie mogły wezwać pomocy, zdane tylko na siebie. Te nieliczne, które szczęśliwie pozostały jeszcze przy życiu, liczyły, że zawodowcy je znajdą i uratują.

Ellie przymknęła oczy. Na pewno może zrobić coś więcej, tylko co? Wykorzystała już wszystkie możliwości, jakie tylko przychodziły jej do głowy. Ona i dwójka jej podwładnych przeprowadzili wywiad w miasteczku. Zawiadomili biuro szeryfa o znalezieniu niezidentyfikowanego dziecka. Skontaktowali się z pogotowiem rodzinnym i opiekuńczym oraz ze służbami terenowymi, z organizacjami stanowymi i krajowymi. Nikt nie wiedział, kim może być znaleziona dziewczynka, i powoli stawało się jasne, że to sprawa lokalna. Jej sprawa. Ellie mogła liczyć na pomoc władz i organizacji społecznych, ale dziecko zostało znalezione w Rain Valley i to ona miała za zadanie ustalić jego tożsamość. Szeryf hrabstwa wycofał się z tej sprawy tak szybko, że aż się za nim kurzyło. Jego stwierdzenie, że dziewczynka znajduje się na terenie miasteczka, wyjaśniło Ellie wszystko. Nikt nie zajmie się małą, dopóki nie zostanie zidentyfikowana.

Odsunęła się z krzesłem od biurka i wstała. Prostując plecy, rozmasowała bolący kark.

Zrobiła krok nad śpiącymi psami i wyszła na werandę, spoglądając w dal, poza podwórko. Zaraz świt. Tu, na skraju deszczowych lasów, świat był jednocześnie spokojny i pełen życia. Jak zwykle, wokół panowała wilgoć, znad oceanu napływało wilgotne powietrze, pozostawiając na liściach miliony kropelek rosy. O świcie kropelki te spłyną bezszelestnie na ziemię. Niewidzialny deszcz – tak nazywał go jej ojciec, i Ellie, może przez pamięć na niego, zawsze natężała słuch, by jednak pochwycić jakiś szmer, który by świadczył, że rzeczywiście pada.

– Szkoda, że cię tu nie ma, tato – powiedziała, wsuwając stopy w podszyte wełną kapcie, które stały przy tylnych drzwiach. – Ty i wuj Joe zawsze wiedzieliście, jak sobie radzić w najtrudniejszych sytuacjach.

Przebyła ganek i zeszła po schodach, a potem w ten różowiejący poranek skierowała się ku rzece. Jej stopy spowijała mgła, która unosiła się nad ciemną trawą.

Stanęła na granicy swojej ziemi, nad Fall River, w miejscu, w którym jej ojciec najbardziej lubił łowić ryby, i wtedy uświadomiła sobie, dlaczego się tu znalazła.

Jego dom stał po drugiej stronie rzeki, za podmokłą łąką. Z tej odległości wydawał się nie większy niż szopa na narzędzia, ale ona wiedziała, jak wygląda naprawdę.

W dzieciństwie codziennie przechodziła przez tę łąkę i bawiła się na podwórku przed tym domem.

Przez chwilę miała zamiar ruszyć w tamtą stronę. Pomyślała, że jak dawniej rzuci garść kamyków w jego okno i wywoła go na dwór. On wysłucha tego, co ją niepokoi, i zrozumie. Zawsze tak było.

Ale od tego czasu minęło już ponad dwadzieścia lat. Lisa na pewno by nie chciała, żeby szarym świtem obudził ją stuk kamyków o szybę sypialni, a Cal, mimo że wyszedłby na zewnątrz i usiadł z nią na ganku – była teraz także jego szefową, nie tylko przyjaciółką – tak naprawdę wcale by jej nie słuchał. Miał własne życie, żonę i dzieci, a choć, jak wszyscy wiedzieli, Lisa nie traktowała go najlepiej, kochał swoją rodzinę.

Ellie wiedziała, że może liczyć tylko na siebie. Odwróciła się i poszła z powrotem do domu. Wzdychając ze zmęczenia, ponownie zasiadła przy biurku i przysunęła do siebie raporty o zaginionych dzieciach. Tu musi być odpowiedź. Musi.

To była jej ostatnia myśl przed zaśnięciem.

Obudził ją klakson samochodu. Wzdrygnęła się na ten dźwięk, uświadamiając sobie, że zasnęła przed komputerem.

– Cholera!

Zerwała się i podeszła do drzwi frontowych.

Na podwórku stała Peanut, machając na pożegnanie mężowi, który właśnie odjeżdżał.

Ellie spojrzała na zegarek. Była siódma pięćdziesiąt pięć.

– Co ty tu, u diabła, robisz? – zapytała tak ochrypłym głosem, jakby paliła paczkę papierosów dziennie.

– Słyszałam, jak umawiałaś się z Maxem na spotkanie o ósmej przed szpitalem. Chyba się spóźnisz.

– Ciebie na to spotkanie nie zapraszałam.

– Chyba przez przeoczenie. A teraz zbieraj dupę w troki.

Ellie wydobyła z kieszeni kluczyki do samochodu i rzuciła je Peanut, a potem pospiesznie wróciła do domu. Nie miała czasu, żeby wziąć prysznic, a nie musiała się przebierać, bo była w mundurze. Wyszorowała więc tylko zęby, zmyła makijaż z poprzedniego dnia i umalowała się na nowo. Wpadłszy do kuchni, wyjęła z zamrażalnika kotlety – oczywiście pakowane były po dwa; nic dziwnego, że musiała tyle ćwiczyć. Wszystko na tym świecie było podwójne, przewidziane na dwie osoby. Samotnej kobiecie nie ułatwiało to życia. Położyła tackę z kotletami na kawałku papierowego ręcznika i włożyła do lodówki, żeby się rozmroziły.

Była punkt ósma, gdy wsiadła do swojego cruisera.

Peanut zdążyła włączyć zestaw stereo i nastawiła płytę Aerosmith.

Ellie wyłączyła muzykę.

– Za wcześnie na to.

– Nie kładłaś się spać?

– Skąd wiesz?

– Bo masz na policzku odciśniętą klawiaturę.

Ellie przytknęła rękę do twarzy.

– Cholera! To widać?

– Kochanie, nawet z kosmosu. – Peanut roześmiała się, a potem spoważniała. – Trafiłaś na coś, co mogłoby pomóc?

– Przez całą noc tkwiłam w internecie i sprawdzałam wszystkie okręgi w pięciu hrabstwach. Nikt w okolicy nie zgłosił zaginięcia dziewczynki. W każdym razie nie w ostatnich dniach. Gdybyśmy chcieli rozszerzyć poszukiwania, musielibyśmy przejrzeć raporty dotyczące wszystkich dziewczynek, które zaginęły w kraju w ciągu ostatnich kilku lat.

Na samą myśl o tym obie zamilkły. Ellie zastanawiała się właśnie, jak by tu zmienić temat, gdy skręciwszy na parking przed szpitalem, zobaczyła zgromadzony tłum.

– Niech to szlag! Robią z tego cyrk. – Zaparkowała na miejscu dla gości, chwyciła notes i wysiadła z wozu. Peanut, dziwnie jak na nią milcząca, podążyła jej śladem.

Ludzie niczym stado gęsi rzucili się ku Ellie. Szarży tej przewodziły jak zwykle siostry Grimm – Daisy, Marigold i Violet.

Owe trzy damy, identyczne jak zęby widelca, biegły w równej linii.

Pierwsza odezwała się Daisy, najstarsza. Jak zwykle, dzierżyła w rękach starą czarną urnę, w której znajdowały się prochy jej męża.

– Przyszłyśmy dowiedzieć się czegoś o dziecku.

– Kim jest to biedactwo? – zapytała Violet, mrużąc oczy za porysowanymi szkłami okularów.

– Naprawdę potrafi latać jak ptak? – chciała wiedzieć Marigold.

– Czy skakać jak kot? – To pytanie dobiegło gdzieś z tyłu.

Ellie musiała sobie przypomnieć, że ma przed sobą swoich wyborców. Co więcej, to byli także jej przyjaciele i sąsiedzi.

– Wciąż nie mamy żadnych informacji – oświadczyła. – Powiadomię was, gdy tylko się czegoś dowiemy. Na razie chciałabym was prosić o pomoc.

– Oczywiście – odpowiedziała Marigold, wyjmując z purpurowej plastikowej torebki notes w kwiatki.

Violet podała siostrze pióro w tulipany.

– Dziecku będą potrzebne ubrania i tak dalej. I może jakiś miś albo inny pluszak do towarzystwa – powiedziała Ellie.

Zanim skończyła mówić, siostry Grimm przeszły do czynu. Trzy eksnauczycielki niczym psy pasterskie zagoniły tłum z trzech stron i zaczęły rozdzielać zadania.

Ellie i Peanut opuściły zgromadzonych. Ruszyły betonowym chodnikiem ku wejściu. Szklane drzwi rozsunęły się przed nimi z sykiem.

– Cześć, Ellie – odezwała się recepcjonistka, gdy do niej podeszły. – Doktor Cerrasin czeka już na ciebie w dawnej świetlicy.

– Dzięki – odparła Ellie.

Obie z Peanut w milczeniu powędrowały korytarzem i weszły do windy. Wysiadły na drugim piętrze, minęły gabinet rentgenowski i skręciły w lewo.

W ostatnim pokoju po prawej stronie mieściła się dawna świetlica dla dzieci pracowników. Została urządzona przed wielu laty, kiedy kasa miasteczka była pełna. Jednak od czasu, gdy spadła populacja puszczyka plamistego i łososia, a lasy znalazły się pod ochroną, zasoby finansowe zbyt się skurczyły, żeby można było pozwolić sobie na takie luksusy. Świetlica stała więc pusta od ponad dwóch lat.

Max z założonymi na piersi rękami czekał w korytarzu. Jarzeniowe światło stapiało się z jego włosami i sprawiało, że wieczna opalenizna lekarza wydawała się bledsza. Ellie nie widziała, żeby tak źle wyglądał od czasu, gdy stoczył się z jakiegoś urwiska, z wysokości dwunastu metrów. Miał wtedy podbite oczy i rozciętą wargę.

Gdy zbliżyły się do niego, Max uniósł głowę i pomachał ręką, ale nie silił się nawet na uśmiech. Przesunął się nieco, żeby zrobić im miejsce przy szybie.

Znajdujące się za nią pomieszczenie było nieduże, na planie prostokąta, o ścianach pomalowanych w czerwono-żółtą szachownicę, z wnękami na zabawki, sprzęt do różnych gier i zabaw oraz książki. W jednym kącie znajdowała się umywalka i stół, przed laty używane podczas zajęć plastycznych i codziennych porządków. Środek pomieszczenia zajmowały nieduże stoliki i jeszcze mniejsze krzesełka. Pod ścianą z lewej strony stało pojedyncze łóżko szpitalne i kilka łóżeczek dla dzieci. Pokój miał dwa okna – jedno

naprzeciwko szyby, przez którą policjantki zaglądały, i drugie, mniejsze, z prawej strony, wychodzące na parking na tyłach szpitala. Jedyne wejście stanowiły zamykane na klucz, obite stalą drzwi, umieszczone po lewej stronie szyby.

Ellie przesunęła się nieznacznie, tak że jej ramię zetknęło się z ramieniem Maxa.

– Mów.

– Po badaniach wieczornych założyliśmy jej pieluchę i położyliśmy małą do łóżka. Rano, gdy się obudziła, wpadła w szał. Trudno to inaczej nazwać; to naprawdę był szał. Wrzeszczała, wyła, rzuciła się na podłogę. Potłukła wszystkie lampy i rozbiła lustro nad umywalką. Kiedy próbowaliśmy zrobić jej kolejny zastrzyk uspokajający, podrapała Carol Rense do krwi, a potem schowała się pod łóżkiem. Siedzi tam już prawie godzinę. Ustaliłaś jej tożsamość?

Ellie pokręciła głową i zwróciła się do Peanut:

– Może poszłabyś do bufetu? Przynieś coś do jedzenia dla małej.

– Jasne, niech gruba idzie po żarcie. – Peanut westchnęła dramatycznie, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu zadowolenia. Uwielbiała znajdować się w centrum wydarzeń.

Gdy odeszła, Max stwierdził:

– Nie wiem, co ci powiedzieć, Ellie. Nigdy dotąd nie spotkałem się z takim przypadkiem.

– Mów, co wiesz.

– Hmm… Dziewczynka ma około sześciu lat.

– No to jest strasznie drobna.

– Niedożywiona. Poza tym nie była pod opieką medyczną ani stomatologiczną, a na ciele ma dużo blizn.

– Blizn?

– Przeważnie niewielkich, choć jedna wygląda poważniej. Na lewym ramieniu. Może to blizna po ranie kłutej.

– O Jezu!

– Pobrałem jej krew i wymaz z ust do analizy DNA. Gdyby to zależało ode mnie, uśpiłbym ją i nawodnił, ale zależało ci na diagnozie…

– Mówiła coś?

– Nie, ale jej struny głosowe są nieuszkodzone. Powiedziałbym – ale to tylko przypuszczenie – że fizycznie jest zdolna do mówienia, tylko nie wiem, czy ją ktoś tego nauczył.

– Nie umie mówić? To sugerujesz?

– Wiem jedynie, że jej krzyki są niezrozumiałe. Nagrałem je. Nie da się wyodrębnić żadnych słów. Jej fale mózgowe nie wykazują anomalii. Może być głucha, upośledzona umysłowo, poważnie opóźniona w rozwoju albo autystyczna. Nie jestem w stanie tego stwierdzić. Nie wiem nawet, jak zbadać jej stan umysłowy i psychiczny.

– Co wobec tego mamy zrobić?

– Ustalić, kim ona jest.

– Wielkie dzięki. Chodzi mi o to, co możemy zrobić teraz.

Max ruchem głowy wskazał Peanut, która właśnie nadchodziła z jedzeniem.

– Całkiem dobry początek.

Ellie zerknęła na to, co przyniosła Peanut: naleśniki, dwa jajka sadzone, gofr z truskawkami i bitą śmietaną, szklanka mleka. Na ten widok poczuła się głodna.

– Wezwę sanitariusza, żeby wszedł pod łóżko i wyciągnął ją stamtąd… – zaproponował Max.

– Po prostu postaw to na stole – podsunęła Peanut. – Może jest dziwna, ale w końcu to dziecko. One robią wszystko po swojemu i wtedy, kiedy im się podoba. Do diabła, nie zmusisz dwulatka do jedzenia, jeśli nie chce, a przecież to taki właśnie maluch.

Ellie uśmiechnęła się do przyjaciółki.

– Masz jeszcze jakieś rady?

– Żadnych nowych twarzy. Ciebie już zna, więc ty powinnaś zanieść jej jedzenie. Mów do niej łagodnie, ale nie zostawaj dłużej. Może lubi jeść w samotności.

– Dzięki. – Ellie wzięła tacę i weszła do pomalowanego kolorowo pokoju. Metalowe drzwi zamknęły się za nią z lekkim trzaśnięciem. – Cześć, malutka. To znowu ja. Mam nadzieję, że nie żywisz do mnie urazy za tamtą historię z siecią. – Ruszyła ostrożnie przed siebie i postawiła tacę na jednym ze stolików. Gdy się schyliła, zadźwięczały klucze przy jej pasku, więc przytrzymała je ręką. – Pomyślałam, że może zgłodniałaś.

Dziewczynka zawarczała spod łóżka. Na ten dźwięk Ellie zjeżyły się włoski na karku. Usiłowała wymyślić, co by tu powiedzieć, ale nic nie przychodziło jej do głowy, więc wycofała się z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Zamek zatrzasnął się głośno.

Znalazłszy się na korytarzu, stanęła obok Maxa przy szybie.

– Zje to?

Max rozłożył kartę pacjentki i wyjął długopis.

– Zaraz zobaczymy.

Stali w milczeniu, obserwując pokój, który wydawał się pusty.

Po kilku minutach spod łóżka wyłoniła się rączka.

Peanut wciągnęła powietrze w płuca.

– Patrzcie tylko!

Minął znowu jakiś czas.

Potem ukazała się głowa. Dziewczynka powoli wyczołgała się na czworakach z kryjówki. Kiedy spojrzała w kierunku szyby i zobaczyła stojących ludzi, jej nozdrza zadrgały.

W następnej chwili rzuciła się do stolika, gdzie znowu zamarła w bezruchu, i pochyliła się nad jedzeniem, obwąchując je nieufnie. Strąciła bitą śmietanę na podłogę, a następnie łapczywie pochłonęła naleśniki i jajka sadzone. Wyglądało na to, że nie bardzo wie, co zrobić z gofrem i syropem. Zostawiwszy je, wzięła garść truskawek i zabrała je do swojej kryjówki pod łóżkiem. Cała ta akcja trwała niespełna minutę.

– A ja myślałam, że moje dzieci nie potrafią zachować się przy stole – powiedziała Peanut. – Ta mała je jak dzikie zwierzę.

– Potrzebny nam specjalista – orzekł Max.

– Kontaktowałam się z rozmaitymi instytucjami – odparła Ellie. – Z władzami stanowymi, z FBI, Ośrodkiem Pomocy dla Zaginionych i Molestowanych Dzieci. Wszyscy oni muszą mieć dane dziecka albo doniesienie o dokonaniu przestępstwa, żeby zająć się sprawą. Nie mam pojęcia, jak ustalić tożsamość naszej małej, skoro nie możemy się z nią porozumieć.

– Miałem na myśli innego specjalistę. Jej potrzebny jest psychiatra.

Peanut gwałtownie zaczerpnęła tchu.

– Nie do wiary, że wcześniej o tym nie pomyśleliśmy! Ona byłaby idealna!

Max zmarszczył czoło.

– Kto taki?

Ellie spojrzała na Peanut.

– Nie zgodzi się. Poza tym bierze dwieście dolców za godzinę.

– Może brała kiedyś. Na pewno nie zostało jej wielu pacjentów.

– Bóg świadkiem, że ona ma świetne kwalifikacje, jeśli chodzi o ten przypadek – zauważyła Ellie.

– O kim wy, do diabła, mówicie?! – zapytał Max.

Ellie wreszcie spojrzała na niego. W gruncie rzeczy nie było nad czym się zastanawiać.

– Julia Cates to moja siostra.

– Ta lekarka, która…

– Uhm. Właśnie ona. – Zwróciła się do Peanut: – Chodźmy. Zadzwonię do niej z posterunku.

W ciągu ostatnich dwunastu godzin Julia zabierała się do najrozmaitszych prac. Zaczęła robić porządki w szafie, przestawiać meble, rozmrażać lodówkę i szorować obie łazienki. Pojechała też do sklepu ogrodniczego, żeby kupić jesienne rośliny, i do supermarketu budowlanego po bejcę i rozpuszczalnik. Nadeszła dobra pora, żeby wreszcie zrobić to wszystko, co odkładała na później od… dziesięciu lat.

Problemem jednak okazały się ręce.

Wszystko było w porządku, gdy brała się do roboty, nawet lepiej niż w porządku. Przepełniał ją optymizm. Niestety, był on kruchy jak skorupka jajka. Wystarczyła jedna myśl – że na przykład jest to pora wizyty Joego albo, co gorsza, Amber – by zaczynały jej drżeć ręce; czuła, że ogarnia ją chłód. Nie mogła znaleźć sobie takiego miejsca, gdzie byłoby jej ciepło. Ostatniej nocy, w godzinie najgłębszej ciemności, kiedy ruch na ulicy stał się tak cichy jak brzęczenie komara, a potężne fale Pacyfiku pod domem spokojnie lizały złoty piasek, zabrała się nawet do pisania książki.

Dlaczego by nie?

Każda pseudosławna osoba przez to przechodziła. A ona tylko chciała opowiedzieć swoją wersję wydarzeń; może nawet odczuwała taką potrzebę. Wyślizgnęła się ze swojego komfortowego, wręcz królewskiego łoża, włożyła wełniany sweter oraz futrzane botki i wyszła na balkon. Z szóstego piętra rozciągał się wspaniały widok na wiecznie niespokojny granatowy ocean. Przecinało go na pół światło księżyca, które zlewało się ze spienionymi falami.

Siedziała na balkonie przez kilka godzin, z nogami opartymi o poręcz, z żółtym notatnikiem na kolanach i piórem w ręce. Do północy wokół niej wyrosła sterta zgniecionych w kule kartek. Każda z nich wyrażała tę samą myśl: „Przykro mi”.

Około czwartej nad ranem zapadła w przerywany, pełen koszmarów sen.

Wyrwał ją z niego dzwonek telefonu.

Usłyszała go jakby z oddali. Zamrugała piekącymi z niewyspania powiekami i usiadła prosto, uświadamiając sobie, że zasnęła na dworze. Przecierając ręką twarz, wstała z krzesła i przekroczyła stertę zgniecionych kartek.

Przy aparacie zatrzymała się.

Włączyła się automatyczna sekretarka i Julia usłyszała własny głos, mówiący pogodnie: „Tu mieszkanie Julii Cates. Jeśli to coś pilnego, proszę odłożyć słuchawkę i zadzwonić pod numer 911. Jeśli nie, proszę zostawić wiadomość, a ja oddzwonię najszybciej, jak będę mogła. Dziękuję, do widzenia”.

Potem rozległ się przeciągły sygnał.

Julia stężała. W ostatnich miesiącach dzwonili do niej głównie reporterzy, rodziny ofiar i jacyś wariaci.

– Cześć, Jules, to ja, twoja starsza siostra. Mam ważną sprawę.

Julia podniosła słuchawkę.

– Cześć, El.

Nastąpiła niezręczna cisza, ale kiedy w ich wzajemnych stosunkach było inaczej? Chociaż różnica wieku między nimi wynosiła tylko cztery lata, to jeśli chodzi o charakter, były do sobie podobne jak dzień do nocy. Ellie wszystko miała nieprzeciętne: głos, osobowość, zainteresowania. Julia zawsze czuła się bezbarwna przy swojej energicznej siostrze, ulubienicy całego miasteczka.

– Wszystko u ciebie w porządku? – zapytała w końcu Ellie.

– Tak, dzięki.

– Zostałaś uniewinniona. To dobra wiadomość.

– Uhm.

Kolejna niezręczna chwila milczenia i Julia powiedziała:

– Dzięki, że dzwonisz, ale…

– Słuchaj, chcę cię prosić o przysługę.

– Przysługę?

– Mamy tu… pewien problem. Mogłabyś nam pomóc.

– Nie musisz się wysilać, Ellie. Nic mi nie jest.

– Wysilać się…?

– Starasz się mnie z tego wyciągnąć. Zawsze tak robiłaś, gdy byłam mała. Ale już jestem dużą dziewczynką.

– Nigdy cię z niczego nie wyciągałam.

– Jasne. A kiedy namówiłaś młodszego brata Toda Eldreda, żeby zaprosił mnie na bal? Albo gdy sprowadziłaś wszystkich swoich przyjaciół na moje przyjęcie urodzinowe, gdy kończyłam szesnaście lat?

– A, wtedy… To były pomysły mamy.

– Myślisz, że nie wiem o tym wszystkim? Nikt z twoich przyjaciół nawet nie rozmawiał ze mną na tej prywatce. Ale nie zrozum mnie źle, byłam ci wdzięczna. Byłam i jestem. Ale nie musisz już tego robić. Nic mi nie będzie.

– Chyba mówiłaś, że nic ci nie jest.

Julia była zaskoczona spostrzegawczością siostry.

– Nie martw się o mnie, El. Naprawdę.

– Jak na psychiatrę, jesteś kiepskim słuchaczem. Powiedziałam, że mogłabyś mi pomóc, tu, w Rain Valley. Potrzebuję psychiatry dziecięcego.

– Jesteś trochę starsza niż moi pacjenci.

– Bardzo śmieszne. Przylecisz? Zależałoby mi na czasie. – Nastąpiła pauza, w słuchawce dał się słyszeć szelest papieru. – Mogłabyś polecieć Alaską za dwie godziny. Albo za trzy. Załatwiłabym ci bilet.

Julia zmarszczyła brwi. To nie brzmiało jak zapowiedź jednej z tych akcji ratunkowych, które Ellie organizowała w latach szkolnych, żeby przyjść z pomocą swojej biednej siostrze.

– Powiedz, o co chodzi.

– Nie ma na to czasu. Chciałabym, żebyś zdążyła na lot o dziesiątej pięć-dziesiąt. Pomożesz mi?

Julia spojrzała przez wielkie okno, rozciągające się od podłogi do sufitu, i usiłowała skupić wzrok na niebieskich wodach Pacyfiku, ale widziała tylko zgniecione w kule kartki, które leżały na balkonie.

– Jules? Proszę cię.

– Czemu nie? – odparła w końcu Julia.

Nie miała przecież nic lepszego do roboty.

4

Julia nie była w Rain Valley od lat, a teraz wracała na fali porażki.

Może jednak powinna była zostać w Los Angeles. Tam mogłaby zniknąć. Tu zawsze będzie tą drugą z sióstr Cates, „tą dziwną”. Jeśli dziewczyna dorasta w cieniu miejscowej królowej piękności, ma do wyboru: pozostać w cieniu albo zdobyć własną pozycję. Niestety, wysokie, chude brzydactwo zatopione w książkach nie ma żadnej z tych możliwości, jeśli dorasta w towarzyskiej, kochającej się, nieprzeciętnej rodzinie. Od wczesnych lat Julia była odmieńcem, dzieckiem, które pełniło rolę mediatora w każdej kłótni podwórkowej, ale nigdy nie bawiło się z resztą grupy, członkiem drużyny wybieranym zawsze na końcu, nastolatką siedzącą w domu, nad książką, gdy koleżanki bawiły się na balu szkolnym. Była – a może wciąż jest – rzadkim ptakiem w miejscowej społeczności ludzi prostych, samotnicą.

Tylko matka wierzyła, że Julia ma przed sobą świetlaną przyszłość. Nawet zachęcała ją, żeby snuła marzenia na wielką skalę i realizowała swoje ambicje. Niestety, nie dożyła chwili, gdy córka skończyła akademię medyczną. Utrata matki zawsze była dla Julii jak cierń tkwiący w ciele, źródło bólu, który co jakiś czas dawał o sobie znać. W miarę jak zbliżała się do Rain Valley, ów ból powracał.

Julia spoglądała przez okienko samolotu. Wszystko na zewnątrz było szare, jakby artysta niebieski zamalował tym kolorem nawet schnące na sznurze pranie, które stanowiło element krajobrazu. Przez tę szarość poczuła się samotna; gdyby tylko ona mogła tak rozpłynąć się we mgle nad stanem Waszyngton! Cztery wulkany o białych wierzchołkach, rozrzucone pomiędzy północnym Oregonem a Bellingham, przypominały kręgosłup jakiegoś śpiącego mitycznego potwora. Słyszała, jak pasażerka za nią z wrażenia głośno zaczerpnęła powietrza i mruknęła: „Popatrz na to, Fred… czy to Rainier?”.

Julia pomyślała o państwu Zuniga i o zastrzelonych dzieciach. „Śmiertelna pomyłka”. Nie była zdziwiona, że jej się to przypomina. W ciągu

minionego roku wszystko – każda myśl i każda czynność – budziło w niej wyrzuty sumienia i żal.

„Nie myśl o tym” – nakazała sobie.

Zamknęła oczy i skupiła się na oddychaniu, dopóki emocje nie opadły. Gdy samolot wylądował, czuła się już dobrze.

Zabrała bagaż podręczny ze schowka nad głową i stanęła w kolejce do wyjścia.

Była już prawie przy drzwiach, gdy to się stało.

Rozpoznała ją jedna ze stewardes. Julia znała już tę reakcję: rozszerzone oczy, otwarte ze zdumienia usta. Przechodząc obok, usłyszała: „To ona. Ta lekarka. No ta, która…”.

Nie zatrzymała się. Przy końcu korytarza prawie już biegła. Zauważyła Ellie, która stała w tłumie oczekujących, ubrana w niebieski mundur i jak zwykle zwracająca uwagę swoją urodą.

Julia wiedziała, że powinna przystanąć, przywitać się i udawać, że wszystko jest w porządku. Tak byłoby rozsądnie. Uprzejmie i miło.

Ale pędziła przed siebie.

Przebiegła przez zatłoczoną halę w kierunku toalety. Przepychając się, wpadła do jednej z kabin i zatrzasnęła za sobą drzwi, a potem usiadła na zamkniętym sedesie.

„Uspokój się, Jules. Oddychaj regularnie”.

– Jesteś tam, Julio? – zapytała zirytowana Ellie, lekko dysząc.

Julia, drżąc cała, powoli wypuściła powietrze z płuc. To niedobrze, że uległa panice, ale najgorsze, że stało się to przy siostrze. Wstała niespiesznie, otworzyła drzwi i powiedziała:

– Jestem.

Ellie oparła ręce na biodrach i przyjrzała jej się uważnie. Patrzyła bacznym wzrokiem policjantki.

– Taki sprint przez lotnisko widziałam tylko na reklamówkach z udziałem O. J.

– Musiałam pójść do łazienki.

– Może powinnaś zgłosić się do urologa.

– Nie o to chodzi. Ja… – Julia czuła się jak idiotka. – Stewardesa mnie rozpoznała. Spojrzała takim wzrokiem, jakbym to ja zabiła te dzieci.

Na jej policzkach pojawiły się rumieńce. Wiedziała, że powinna powiedzieć więcej, coś wyjaśnić. Ale Ellie nie zrozumiałaby nic z tego. Jej siostra

była jak jedna z tych żon pionierów, które potrafiły urodzić dziecko w polu i zaraz potem wrócić do pracy. Nie tolerowała słabości.

Spojrzenie Ellie złagodniało.

– Chrzań ich wszystkich. Nie daj się.

Julia chciałaby tak postąpić, ale zawsze odczuwała silną potrzebę akceptacji. Jako psychiatra, zdawała sobie sprawę, skąd to się bierze. Miała świadomość, że dorastając w ogólnie lubianej, znanej rodzinie, czuła się odsunięta na margines i nieważna, że ojciec nie potrafił okazywać uczuć i dlatego miała wrażenie, że jest niekochana, ale ta wiedza niewiele jej pomagała. Nie potrafiłaby nawet powiedzieć, dlaczego w jej wypadku to wszystko odegrało tak dużą rolę. Wiedziała tylko, że jej praca, to, że potrafiła pomóc innym, kiedyś sprawiała jej radość i neutralizowała poczucie niepewności, a teraz znowu zaczęła się bać.

– To nie takie łatwe. Nie zrozumiesz tego.

Ellie oparła się o ścianę wyłożoną jasnozielonymi kafelkami.

– Dlatego, że twoim zdaniem nie jestem o wiele inteligentniejsza od pierwotniaka? Czy dlatego, że nie mam w życiu nic szczególnie cennego do stracenia?

Julia pożałowała nagle, że nie ma lepszej pamięci. Oczywiście, był taki czas, że ona i Ellie bawiły się razem, zwierzały się sobie nawzajem, a nie dogryzały, że rozmawiając, śmiały się, a nie milkły skrępowane. Ale Julia już prawie o tym zapomniała. Pamiętała tylko, że była tą „zdolniejszą” siostrą, tą „dziwną”, która przerosła resztę rodziny, i miała aspiracje, jakich nikt nie rozumiał. Grzyb w rodzinie orchidei. Zawsze potrafiła rozmawiać z nieznajomymi, ale z siostrą – nigdy. Westchnęła.

– Ellie, nie zaczynajmy znowu.

– Masz rację. Chodźmy.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Ellie wyszła z łazienki. Julii pozostało więc tylko ruszyć za nią.

Gdy znalazły się przy samochodzie – brzydkim szarym suburbanie z drewnianymi panelami na drzwiach – Ellie rzuciła torebkę na tylne siedzenie, obeszła wóz i usiadła za kierownicą.

Julia sama musiała poradzić sobie z walizką. Udało jej się włożyć ją do wozu dopiero za drugim razem. Zatrzasnęła tylne drzwi, po czym zajęła miejsce obok siostry.

Ellie wycofała wóz z miejsca parkingowego i ruszyła w kierunku wyjazdu. Gdy zapaliła silnik, automatycznie włączył się zestaw stereo.

Jakiś facet śpiewał nosowym głosem piosenkę o kieszeni klauna.

Żadna z nich nic nie mówiła. Gdy krajobraz zaczął się zmieniać, przechodząc z miejskiej szarości w wiejską zieleń, Julii zrobiło się głupio na myśl o starciu z siostrą. Jak to się stało, że po tych wszystkich latach spędzonych z dala od siebie od razu weszły w swe dawne role z dzieciństwa? Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby znowu zaczęły zachowywać się jak nastolatki.

Choć łączyły je dziwne relacje, były przecież rodziną i powinny się jakoś rozumieć. Poza tym Julia była psychiatrą, specjalistą od relacji międzyludzkich, a zachowywała się jak młodsza siostra, której nie pozwalano bawić się ze starszymi dziećmi.

– Może powiedz mi, dlaczego tu jestem – zaproponowała w końcu.

– Powiem ci, jak już będziemy w domu. Muszę ci pokazać różne zdjęcia. Boję się, że inaczej mi nie uwierzysz.

Julia zerknęła na nią.

– Więc to jednak akcja ratunkowa. Nie ma żadnego konkretnego powodu, dla którego mnie ściągnęłaś.

– Och, jest powód! Mamy tu dziewczynkę, która potrzebuje pomocy. Ale to… skomplikowana sprawa.

Julia nie wiedziała, czy w to wierzyć, czy nie, ale pamiętała, że Ellie robi wszystko po swojemu i w czasie, który uzna za stosowny. Nie było sensu zadawać dalszych pytań. W takiej sytuacji należało zmienić temat na neutralny. Zagaić rozmowę towarzyską.

– Jak się ma twoja przyjaciółka Penelope?

– Dobrze. Ale wykańczają ją dzieci, które wkroczyły w wiek nastoletni. – Ellie skrzywiła się, jakby uświadamiając sobie, że nie powinna w jednym zdaniu mówić o nastolatkach i wykańczaniu. – O, przepraszam.

– Nie przejmuj się, El. Nastolatki są trudne. Ile lat mają dzieci Penelope?

– Chłopiec czternaście, a dziewczynka szesnaście.

– Niełatwy wiek.

Ellie uśmiechnęła się.

– Dziewczynka, Tara, chce sobie zrobić piercing i tatuaż. Mąż Pen dostaje szału, gdy o tym słyszy.

– A Penelope? Jak sobie z tym radzi?

– Świetnie… tylko że znowu tyje. W zeszłym roku próbowała wszelkich diet znanych ludzkości. Przed kilkoma dniami zaczęła palić. Mówi, że tak chudną gwiazdy filmowe.

– Paląc albo wymiotując – stwierdziła Julia.

Ellie pokiwała głową.

– A co u Philipa? – spytała.

Julię zaskoczył ból, jaki poczuła na dźwięk tego imienia. Gdyby potrafiła tak po prostu powiedzieć: „On już mnie nie kocha”, Ellie pewnie pomogłaby jej spojrzeć na to humorystycznie. Jako psychiatra, wiedziała, że byłby to dobry sposób na jej złamane serce, taka szczerość. Może nawet stworzyłoby to między nią a siostrą pomost, który został zerwany dawno temu. Zamiast tego powiedziała jednak:

– Zerwaliśmy ze sobą w zeszłym roku. Mam zbyt dużo pracy, to znaczy miałam, żeby sobie pozwolić na miłość.

Ellie roześmiała się.

– Za mało czasu na miłość? Czyś ty zwariowała?!

Przez następne dwie godziny albo rozmawiały o niczym, albo zapadały w milczenie, które ciążyło im obu. Julia usiłowała wymyślić pytania, które by je zbliżyły, i unikać odpowiedzi, które mogłyby je od siebie oddalić. Nie wspominały o ojcu i starały się nie mówić o matce.

Wreszcie znalazły się przy zjeździe do Rain Valley i opuściły autostradę. Na długiej leśnej drodze, która prowadziła do miejsca jej dzieciństwa, Julia zauważyła, że staje się spięta. Tu, wśród tych ogromnych drzew, znowu zaczęła się czuć mała. I nieważna.

– Myślę o tym, żeby sprzedać dom i przenieść się bliżej miasta, ale za każdym razem, gdy chcę go wystawić na sprzedaż, zauważam, że trzeba by poczynić jakieś naprawy – powiedziała Ellie. – I nie potrzebuję psychiatry, który by mi powiedział, że boję się przeprowadzki.

– To tylko dom, El.

– Pod tym względem się różnimy, Jules. Dla ciebie to tylko trzy sypialnie, dwie łazienki i salon z jadalnią i kuchnią. Dla mnie natomiast – miejsce, gdzie spędziłam cudowne dzieciństwo. Gdzie łapałam do słoika ważki i gdzie młodsza siostra wplatała mi kwiaty we włosy – głos jej się załamał. Spojrzała na Julię znacząco, a potem skręciła w podjazd. – Miejsce, gdzie moi rodzice żyli i kochali się przez prawie trzydzieści lat.

Julia nie chciała tego negować, choć obie wiedziały, że to nieprawda. Że to tylko mit.

– Więc przestań powtarzać, że sprzedasz dom. Przyznaj przed sobą, że chcesz tu zostać. Przekaż te wspomnienia swoim dzieciom.

– Jak może zauważyłaś, nie mam dzieci. Ale dzięki, że zwróciłaś mi na to uwagę. – Ellie wjechała na podwórko i zahamowała ostro. – Jesteśmy.

Julia uświadomiła sobie, że znowu powiedziała coś niewłaściwego.

– Niepotrzebny ci mąż, wiesz dobrze. Zwłaszcza nie taki, jakich zwykle wybierasz – dodała. – Możesz samodzielnie wychowywać dziecko.

Ellie zwróciła głowę ku niej.

– Coś takiego uchodzi w wielkim mieście, ale nie tutaj. To zresztą nie dla mnie. Ja chciałabym mieć rodzinę: męża, dzieci, psa. – Uśmiechnęła się. – Psy właściwie mam. I byłabym wdzięczna, gdybyś już nie wspominała o moich byłych.

Julia skinęła głową. Przyszła pora znowu zmienić temat.

– A jak tam Jake i Elwood? Wciąż od razu pakują dziewczynom nosy pod spódnice?

– To w końcu samce, no nie? – Ellie uśmiechnęła się i Julię uderzyło spostrzeżenie, że siostra wciąż jest piękna. Chociaż Ellie dobiegała czterdziestki, nie miała zmarszczek pod oczami ani wokół ust. Jej niezwykłe niebieskie oczy odznaczały się wyraźnie na tle mlecznej, gładkiej cery. Miała wydatne kości policzkowe i pełne, zmysłowe usta. Nawet kiepska małomiasteczkowa fryzura nie mogła ująć jej urody. Ellie była drobna i zadziwiająco kształtna, a uśmiech miała jak reflektor halogenowy. Nic dziwnego, że wszyscy za nią przepadali.

– Chodź. – Ellie wysiadła z samochodu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Julia już miała wysiąść, ale zatrzymała się na chwilę, patrząc przez brudną szybę na dom, w którym urodziła się i dorastała. W promieniach popołudniowego słońca wszystko oprócz ciemnej obwódki drzew wydawało się złote i nieprawdopodobnie miękkie.

Przyjechała dopiero drugi raz od pogrzebu matki; wtedy też nie została dłużej, niż to było absolutnie konieczne. Studia na akademii stanowiły świetną wymówkę. Powiedziała: „Muszę wracać na testy” i nikt o nic więcej nie pytał. Może była to dobra okazja, by odbudować więź z siostrą, znaleźć płaszczyznę porozumienia? Jednak stało się coś wręcz odwrotnego. Szły całkiem oddzielnie w tłumie żałobników. Nikt w Rain Valley nie wiedział, jak rozmawiać z Julią w dobrych czasach; w złych wszyscy byli jeszcze bardziej skrępowani wobec niej. Powtarzali tylko, jak bardzo matka była dumna z jej studiów. Przy trzeciej wzmiance na ten temat Julia nie mogła już powstrzymać łez. Nie czuła się też lepiej, gdy widziała, jak przyjaciele wspierają siostrę, podczas gdy ona siedziała wieczorem sama, licząc,

że ojciec wreszcie zwróci na nią uwagę. Oczywiście, nie doczekała się. To on był gwiazdą wieczoru, pogrążonym w bólu wdowcem. To jego wszyscy ściskali, całowali w policzki, zapewniali, że Brenda jest teraz w świecie lepszym niż ziemski padół. Chyba tylko Julia dostrzegała w tym oszustwo, grę. Kiedy w końcu ojciec się załamał i rozpłakał, wszyscy prócz niej pospieszyli go pocieszać. Już jako dziecko dostrzegała to, czego nikt inny nie widział, a już na pewno nie Ellie: że egoizm ojca złamał ducha matki, tak jak i jej. Tylko Ellie widziała ojca w innym świetle.

Julia położyła rękę na klamce drzwiczek i pociągnęła ją mocno, a potem wysiadła z samochodu. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak powinno wygladać w październiku. Klony gubiły liście przy wtórze jesiennej symfonii, tak dobrze jej znanej jak i gorączkowy szept pobliskiej rzeki. Słyszała głos matki w tych dźwiękach, w szeleście liści, trzeszczeniu gałęzi, szumie wiatru. Cicho szepnęła: „Cześć, mamo”. Gdzieś w głębi duszy czekała na odpowiedź. Ale słyszała tylko rozgadaną rzekę i wiatr wśród liści.

Ruszyła za Ellie przez podmokły trawnik.

W pięknym świetle stary dom sprawiał wrażenie, jakby był zbudowany z wyklepanych arkuszy srebra. Poszarzałe deski lśniły setką sekretnych barw. Okna obramowane były białymi listwami, które łuszczyły się gdzieniegdzie, odsłaniając połacie drewna. Na podwórku rosły rododendrony wielkości przyczepy kempingowej.

Ellie otworzyła drzwi i pierwsza weszła do środka.

Wszystko wyglądało tu jak dawniej. W salonie znajdowały się te same fotele – obite jasnobeżową tkaniną w róże stulistne i bladozielone listki. Wszędzie stały stare sosnowe meble – szafa pewnie wciąż kryjąca koronkowe serwetki i obrusy babci Whittaker, duży stół porysowany przez trzy pokolenia Catesów i Whittakerów, kredens ozdobiony zakurzonymi kwiatami jedwabnymi w ceramicznych wazonach. Po obu stronach obłożonego kamieniami rzecznymi kominka znajdowały się francuskie okna; za srebrnymi szybami lśniła w słońcu wstęga rzeki. Ellie nie wprowadziła tu żadnej zmiany. Nic zresztą dziwnego. W Rain Valley każdy przedmiot i każdy człowiek albo miał swoje stałe miejsce, albo go nie miał. Jeśli miał, był kochany, hołubiony i zachowywany na zawsze.

Ellie zamknęła drzwi. W chwili gdy powiedziała: „A teraz uwaga!”, po schodach z rumorem zbiegły dwa dorosłe psy rasy golden retriever. Znalazłszy się na dole, wpadły w poślizg na śliskich drewnianych klepkach, ale

zaraz odzyskały równowagę. Rzuciły się pędem przez pokój i omal nie przewróciły Julii.

– Jake! Elwood! Leżeć! – zawołała Ellie stanowczym głosem policjantki.

Ale psy były jak głuche.

Julia odepchnęła je i cofnęła się. Psy ochoczo zwróciły się ku Ellie, która zaczęła się z nimi serdecznie witać.

Julia patrzyła, jak cała trójka kotłuje się na podłodze.

– Powiedz, proszę, że one śpią na dworze.

Ellie usiadła, śmiejąc się, i odgarnęła włosy z oczu. Psy lizały ją po policzkach.

– Dobra, śpią na dworze.

Gdy Julia westchnęła z ulgą, jej siostra powiedziała:

– Nie śpią! Ale będę je trzymać z dala od twojego pokoju.

– Chyba na więcej nie mam co liczyć.

– Rzeczywiście.

Ellie nakazała psom, żeby usiadły. Przy dziesiątej komendzie usłuchały, ale gdy tylko Ellie odwróciła od nich wzrok, zaczęły czołgać się do drzwi.

– Chodź – powiedziała Ellie, ruszając na piętro.

Julia powlokła się z walizką po wąskich, trzeszczących schodach. Na górze skręciła w prawo i korytarzem poszła za siostrą do sypialni, którą dzieliły w dzieciństwie.

Dwa łóżka, okryte różowymi kapami z szyfonu, dwa staroświeckie uczniowskie biurka pomalowane na biało, ze złotymi listwami, żółtozielony fotel-poducha wypełniony ziarnami grochu. Pluszowe zabawki i lalki Barbie stojące rzędem na białych półkach; seria powieści Nancy Drews w niebiesko-zielonych okładkach, przypominających Julii noce spędzone na czytaniu przy świetle latarki. Na ścianie spłowiały, zakurzony plakat z Harrisonem Fordem jako Indianą Jonesem.

Na jej łóżku spała para kotów, splecionych ze sobą jak francuski warkocz.

– Poznaj Rocky’ego i Adrienne – powiedziała Ellie. Przeszła przez pokój i zgarnęła z łóżka oba zwierzaki, najwyraźniej pozbawione kości. Koty ziewnęły, zwisając jej z rąk. Ellie wypchnęła je na korytarz, mówiąc: – Idźcie do pokoju pani – a potem zwróciła się do Julii: – Pościel jest czysta. Ręczniki masz w łazience. Zagrzanie wody wciąż trwa całe lata. I nie spuszczaj wody w klozecie, dopóki nie weźmiesz prysznica. – Podeszła do

siostry. – Dzięki, Jules. Naprawdę jestem ci wdzięczna, że przyjechałaś. Wiem, że ostatnio… nie było ci łatwo i… po prostu dziękuję.

Julia spojrzała na nią. Gdyby była innym typem kobiety albo gdyby obydwie inaczej odnosiły się do siebie, mogłaby wyznać: „Tak naprawdę nie miałam gdzie się podziać”. Jednak powiedziała tylko: „Nie ma sprawy” i wtaszczyła walizkę do pokoju.

– A teraz powiedz mi, dlaczego tu jestem.

– Chodźmy na dół. Nie opowiem tej historii bez piwa. – Ellie skierowała się ku schodom, ale odwróciła się jeszcze i dodała: – Tobie piwo też się przyda.

Julia usiadła w ulubionym fotelu matki i słuchała opowieści siostry z rosnącym niedowierzaniem.

– Dziewczynka skacząca z gałęzi na gałąź jak kot. Daj spokój, El. Ulegasz jakimś wiejskim mitom. Wszystko wskazuje na to, że znalazłaś autystyczne dziecko, które po prostu wyszło z domu i zgubiło się.

– Max powiedział to samo – przyznała Ellie, popijając piwo.

Siedziały już w salonie od dobrej godziny. Na stoliku do kawy rozłożone były różne dokumenty. Zdjęcia, karty z odciskami palców i zgłoszenia o zaginięciu dzieci.

– Kto to jest Max?

– Lekarz, który przejął praktykę po doktorze Fischerze.

– Ma już pewnie dość tej małej. Powinnaś zadzwonić na uniwersytet waszyngtoński. Mają tam dziesiątki specjalistów od autyzmu.

– Uhm, bo w Rain Valley nie mieszka, Boże uchowaj, nikt, kto by się na czymkolwiek znał – powiedziała Ellie ostrym głosem. – Nawet mnie nie słuchasz!

Julia odnotowała w myśli, żeby bardziej uważać na to, co mówi.

– Przepraszam. Więc w tej historii jest coś więcej niż tylko skołtunione włosy i niezwykłe umiejętności wdrapywania się na drzewo. No to wal.

– Ona nie mówi. Sądzimy, w każdym razie Max tak uważa, że być może w ogóle nie umie mówić.

– To nic nadzwyczajnego w przypadku autyzmu. Autystyczne dzieci żyją we własnym świecie. Często nawet…

– Nie widziałaś jej, Jules. Gdy na mnie patrzy, dostaję ciarek. Nigdy dotąd nie widziałam… tak przerażonego dziecka.

– Patrzyła na ciebie?!

– „Wpatrywała się” to lepsze określenie. Myślę, że próbowała mi coś przekazać.

– Nawiązała z tobą bezpośredni, zamierzony kontakt wzrokowy?

– To właśnie powiedziałam.

Pewnie to nic nie znaczy albo Ellie coś źle zrozumiała. Dzieci autystyczne rzadko nawiązują świadomy kontakt wzrokowy.

– A co z jej fizycznymi manieryzmami? Gesty, sposób poruszania się, takie rzeczy?

– Siedziała na drzewie przez trzy godziny, nie poruszając się zupełnie, nawet powieka jej nie drgnęła. Zamarła w bezruchu, jak zamierają gady. Gdy w końcu zeskoczyła, poruszała się wręcz błyskawicznie. I obwąchuje wszystko, jak pies.

Mimo woli Julia poczuła się zaintrygowana.

– I nie wydaje żadnych dźwięków? Może jest niema. I głucha. To by również wyjaśniało, dlaczego się zagubiła. Może nie słyszy, gdy ktoś ją woła.

– Nie jest niema. Krzyczała i warczała, a kiedy pomyślała, że zabiliśmy jej wilczka, zaczęła wyć.

– Wilczka?

– Nie wspomniałam o tym? Miała ze sobą szczenię wilka. Oddaliśmy go do ośrodka łowieckiego. Lloyd mówi, że szczeniak siedzi pod bramą i wyje całymi godzinami.

Julia opadła na oparcie i założyła ręce na piersi. Wystarczy tego dobrego. To wszystko musi być podstęp, jeszcze jedna próba siostry, żeby ratować biedną, małą Julię.

– Zmyślasz.

– Chciałabym, żeby tak było. Niestety, to wszystko prawda.

– Naprawdę ta mała miała wilczka ze sobą?

– Tak. A mam ci powiedzieć najgorsze?

– Jest coś jeszcze?

– Dziewczynka ma bardzo dużo blizn.

– Jakiego rodzaju?

– Po ranach kłutych. Może niektóre… od bicia. A na kostkach blizny po otarciach przez więzy.

Julia rozplotła ramiona i pochyliła się do przodu.

– Lepiej się nie wygłupiaj. To nie żarty.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

Julia przebiegła myślą znane jej ewentualności. Autyzm. Upośledzenie umysłowe. Początki schizofrenii. To były łatwe do zdiagnozowania choroby. Ale w tym wszystkim mogło kryć się coś gorszego, coś znacznie rzadziej spotykanego i niebezpieczniejszego. Może to dziecko uciekło jakiemuś zwyrodniałemu porywaczowi? Mutyzm wybiórczy byłby typową reakcją na tak traumatyczne przeżycia. W każdym razie dziecko potrzebowało pomocy. I nie każdy psychiatra mógł podjąć się postawienia diagnozy i leczenia takiego przypadku. Tylko niewielu lekarzy na Zachodnim Wybrzeżu specjalizowało się w czymś takim. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności ona była jednym z nich.

– Naprawdę mnie wzruszyła, Jules. Boję się, że ją stracę, jeśli zaangażujemy w to władze. Wsadzą ją do jakiegoś zakładu, dopóki nie znajdziemy jej rodziców. Nie wiem, czy mogłabym z tym żyć. W tym dziecku jest coś… tragicznego i przejmującego. Nie wiem, czy kiedykolwiek komuś na nim zależało. Dzięki tobie moglibyśmy zacząć leczenie jeszcze w trakcie poszukiwań. Nikt nie mógłby zakwestionować twoich kompetencji.

Julia zapytała łagodnie:

– Oglądałaś ostatnio wiadomości, El? Nie jestem już żadnym autorytetem. Twoi zwierzchnicy z władz stanowych raczej nie będą zachwyceni, gdy się dowiedzą o mojej obecności.

Ellie popatrzyła na nią. Jak zwykle, w jej spojrzeniu widniała wprawiająca w zakłopotanie bezpośredniość. Siostra była jedną z tych nielicznych osób, które szybko podejmują decyzje, obstają przy nich i do końca walczą w obronie swoich przekonań. Właściwie była to jedna z niewielu cech, które je łączyły.

– Od kiedy przejmuję się tym, co pomyślą inni? Chcemy, żebyś to ty zajęła się tym dzieckiem, nikt inny.

Julia poczuła, że jej opór słabnie.

– Dzięki, El.

Powiedziała to bardziej miękko, niż zamierzała, mniej pewnie niż zazwyczaj. Szkoda, że nie potrafiła wyznać Ellie, jak wiele to dla niej znaczyło.

Ellie skinęła głową.

– Mam nadzieję, że jesteś tak dobra, za jaką się uważasz.

– Jestem.

– To świetnie. A teraz idź pod prysznic i wypakuj swoje rzeczy. Powiedziałam Maxowi, że przed czwartą spotkamy się w szpitalu.

Julia w pół godziny wzięła prysznic, umalowała się i przebrała w wytartą parę dżinsów z rozszerzanymi nogawkami oraz w jasnozielony kaszmirowy sweter. Starała się opanować podniecenie ogarniające ją na myśl, że niebawem zobaczy latającą dziewczynkę z wilkiem, jak ją tu nazywano, ale nie całkiem jej się to udawało. Tak długo czuła się wyrzucona poza nawias, że teraz nawet ta nikła perspektywa powrotu do dawnego życia wystarczyła, by podładować jej akumulatory.

Wyjęła z lodówki dietetyczną colę i usiadła w salonie. Patrząc na zakurzone pianino, które stało w kącie, pogrążyła się we wspomnieniach. Zobaczyła mamę, siedzącą na czarnym taborecie, palącą papierosy mentolowe i bębniącą na pianinie mało finezyjną wersję *That Old Time Rock'n'Roll*. Wokół niej stał tłum przyjaciół, którzy śpiewali do jej akompaniamentu.

„Chodźcie, dziewczynki! – krzyknęła, przywołując je ruchem ręki. – Zaśpiewajcie z nami".

Julia wstała i odwróciła się od pianina. Nie chciała myśleć o mamie, jeszcze nie teraz, ale w tym domu czas jakby się cofał. Gdyby została w nim na dłużej, znowu zamieniłaby się w mola książkowego, niedorajdę z niełądną fryzurą i w okularach ze szkłami jak denka od butelek.

Ellie zeszła po schodach, ubrana w swój czarno-niebieski mundur. Na jego kołnierzu połyskiwały trzy złote gwiazdki. Nawet w tym nieforemnym stroju wyglądała zgrabnie i pięknie.

– Jesteś gotowa?

Julia kiwnęła głowę i wzięła torebkę oraz aktówkę. Te kilka mil, które miały do pokonania, przejechały, gawędząc zadziwiająco przyjaźnie. Julia komentowała zmiany, jakie zaszły w okolicy – zainstalowanie świateł na skrzyżowaniu, nowy most, zamknięcie Hamburger Haven; Ellie wskazywała to, co pozostało niezmienione.

W końcu skręciły z głównej drogi i ukazał się przed nimi szpital. Był to skromny dwupiętrowy budynek z betonu, ze żwirowym parkingiem średnich rozmiarów. Po lewej stronie wejścia do pogotowia parkował ambulans.

Za szpitalem znajdowała się ściana lasu, który zdecydowanie nad nim dominował. Była to pora, o której włączano oświetlenie; co chwilę nad parkingiem rozbłyskiwały kolejne latarnie, rozświetlając kropelki mgły, które trudno by nazwać deszczem.

Julia wysiadła, gdy tylko samochód stanął. Im bliżej była wejścia, tym pewniej się czuła.

Obie wkroczyły do szpitala przez podwójne drzwi i przeszły obok recepcjonistki, która pomachała do nich. Mijane pielęgniarki i salowe ubrane były w stroje łososiowego koloru, który sprawiał wrażenie spranej barwy pomarańczowej. Podeszwy ich butów skrzypiały lekko na wyłożonym linoleum korytarzu.

Ellie zatrzymała się przy jednych z zamkniętych drzwi. Wygładziła mundur, założyła kosmyki włosów za uszy, a potem szybko sprawdziła w lusterku stan makijażu.

Julia zmarszczyła brwi.

– A to po co? Do zdjęcia?

– Sama zobaczysz. – Ellie zapukała.

Głos ze środka odpowiedział:

– Proszę wejść.

Ellie otworzyła drzwi. Weszły do ciasnego gabinetu z wielkim oknem sięgającym podłogi, które wychodziło na olbrzymi rododendron.

Lekarz stał w rogu pokoju, nieporuszony jak drzewo w bezwietrzny dzień, ubrany w wytarte dżinsy i czarny, dziergany na drutach sweter. Miał szpakowate włosy – nie barwy soli i pieprzu, ale raczej w stylu Richarda Gere’a, po prostu srebrne. Ze swoją opalenizną i pewną nonszalancją w postawie sprawiał wrażenie człowieka, który spędza dużo czasu na świeżym powietrzu i w słońcu. Jednak to jego oczy najbardziej przyciągnęły uwagę Julii. Były intensywnie niebieskie.

Przystojniejszego mężczyzny jeszcze nigdy nie widziała.

– Pani musi być doktor Cates – powiedział, podchodząc do niej.

– Proszę mówić do mnie Julia.

Uśmiech, jakim ją obdarzył, był wręcz oszałamiający.

– Tylko pod warunkiem, że pani będzie nazywała mnie Maxem.

Natychmiast zorientowała się, z jakim typem faceta ma do czynienia. Z graczem, jak Philip, który obnosi swoją seksualność jak sportowy płaszcz. W Los Angeles mnóstwo było takich jak on. Parę razy wpadła

w ich sidła. Kiedy była młodsza, oczywiście. Nie zdziwiła się, widząc, że jedno ucho mężczyzna ma przekłute. Posłała mu zawodowy uśmiech.

– Może opowiesz mi o naszej pacjentce? Z tego, co zrozumiałam, dziewczynka jest… autystyczna, tak?

Na jego przystojnej twarzy pojawiło się zdziwienie. Wziął do ręki teczkę, która leżała na biurku.

– Postawienie diagnozy pozostawiam tobie. Stan umysłowy dzieci to nie moja specjalność.

– A jaka jest twoja specjalność?

– Wypisywanie recept, jeśli już musiałbym wybierać. Chodziłem do katolickiej szkoły. – Znowu przywołał na twarz uśmiech. – Mam ładny charakter pisma.

Zerknęła na oprawione w ramki dyplomy, wiszące na ścianach, spodziewając się, że zobaczy nazwy mało znanych, prowincjonalnych uczelni. On jednak absolutorium uzyskał na uniwersytecie Stanford, a dyplom obronił na UCLA. Zmarszczyła czoło.

Co, do licha, ten facet robi tutaj?!

Ucieka. Tak, na pewno. Ludzie przybywający do Rain Valley dzielili się przeważnie na dwie grupy uciekających: albo od czegoś konkretnie, albo od całego świata. Ciekawa była, do której kategorii on należy.

Uniosła głowę i stwierdziła, że mężczyzna przygląda się jej uważnie.

– Proszę za mną – powiedział, biorąc ją pod rękę.

Ruszyła z nim szerokim, pomalowanym na biało korytarzem. Ellie szła po drugiej stronie Maxa. Skręciwszy kilka razy, doszli do dużej szyby, za którą znajdowało się coś w rodzaju świetlicy dla dzieci. Gdy się zatrzymali, Max stanął tak blisko Julii, że prawie się dotykali. Odsunęła się nieco.

Pomieszczenie za szybą wyglądało jak typowy pokój zabaw, były tam krzesełka i stoliki, wnęki na zabawki, na gry planszowe i książki, umywalka i stół, łóżeczka dla dzieci i łóżko szpitalne.

– Gdzie ona jest?

Max pokiwał głową.

– Zaraz zobaczysz.

Czekali w milczeniu. Chwilę później przeszła obok nich pielęgniarka, która wkroczyła do pokoju zabaw. Postawiła na stoliku tacę z jedzeniem i wyszła.

Julia już miała ponowić pytanie, kiedy zauważyła, że pod łóżkiem coś się poruszyło.

Pochyliła się. Jej oddech zaparował szybę. Wytarła ją niecierpliwie i cofnęła głowę.

Spod łóżka wyłoniły się palce, a potem ręka. Po paru sekundach wypełzła dziewczynka. Ubrana była w spraną koszulę nocną, o wiele dla niej za dużą.

Miała długie, potargane ciemne włosy i mocno opaloną skórę. Nawet z tej odległości widać było srebrzystą siatkę blizn na jej ramionach i nogach. Była skulona, jakby lepiej się czuła na czworakach niż w postawie wyprostowanej. Po każdym kroku przystawała; zamarłszy w prawie całkowitym bezruchu, w sposób ledwie widoczny przekrzywiała głowę. Wciągała powietrze w nozdrza, najwyraźniej podążając za zapachem potraw. Gdy znalazła się przy stole, rzuciła się na jedzenie jak dzikie zwierzę; jadła nerwowo, czujnie obserwując otoczenie i węsząc.

Julia poczuła, że po plecach przebiega jej dreszcz. Schyliła się i po cichu otworzyła teczkę, wyjmując blok z kartkami i długopis. Przyglądając się dziewczynce, zaczęła robić notatki.

– Co o niej wiemy? – zapytała.

– Nic – odparła Ellie. – Po prostu któregoś dnia pojawiła się w miasteczku. Daisy Grimm uważa, że przyszła tu w poszukiwaniu jedzenia.

– Skąd?

Tym razem odpowiedział Max:

– Z lasu.

Z lasu. Julii stanął przed oczami park narodowy Olympic. Setki tysięcy akrów ciemnych, wilgotnych ostępów, w większości wciąż niezbadanych, królestwo mitów i legend, gdzie działy się cuda i dziwne zdarzenia. Kraina Wielkiej Stopy.

– Naszym zdaniem musiała przebywać tam co najmniej przez kilka dni – stwierdziła Ellie.

Julia nie odpowiedziała. Dziewczynka musiała przebywać w parku narodowym znacznie dłużej.

– Mówiła coś?

Max pokręcił głową.

– Nie. Wydaje nam się, że w ogóle nie rozumie, co do niej mówimy. Cały czas siedzi pod łóżkiem. Wykąpaliśmy ją i założyliśmy jej pieluchę, kiedy była nieprzytomna, ale nie możemy się zbliżyć, żeby jej tę pieluchę zmienić. Nie próbowała skorzystać z toalety.

– Hmm – mruknęła Julia, czując nowy przypływ energii. – Zobaczmy, z czym mamy do czynienia, dobrze? – Zwróciła się do siostry: – Idź do bufetu. Przynieś jakieś czekoladki i ciągutki. Do tego pokrojone jabłko i kawałek ciasta czekoladowego.

– Coś jeszcze?

– Lalki. Jak najwięcej. Najlepiej w takich sukienkach, które da się zdjąć, ale nie żadne Barbie. Raczej w rodzaju przytulanek. I jakieś pluszaki. Mówiłaś, że mała miała przy sobie szczenię wilka, prawda? Postaraj się więc znaleźć zabawkowego wilczka.

– Dobra. Zaraz wracam. – Ellie odwróciła się i pospiesznie odeszła.

Maxa natomiast Julia poprosiła:

– Powiedz mi coś więcej o tych bliznach, które mała ma na kostkach.

– Według mnie… – Przerwał mu szpitalny interkom, przez który wezwano go na ostry dyżur.

Podał Julii kartę pacjenta.

– Tu masz wszystkie informacje, Julio. Nieładnie to wygląda. Jeśli będziesz chciała się ze mną spotkać, żeby omówić…

– Na razie wystarczy mi karta. Dziękuję.

Rozłożyła ją i zaczęła czytać. Niemal nie zauważyła, kiedy Max odszedł.

Pierwsza strona zawierała spis wszystkich blizn na ciele dziecka, wśród których była świeżo zagojona rana na lewym ramieniu, najprawdopodobniej od noża.

Max miał rację. Cokolwiek spotkało tę małą, nie było to nic przyjemnego.

5

Ellie nie była zaskoczona, kiedy po wyjściu ze szpitala zobaczyła zbiegowisko. Ludzie stali w szyku bojowym jak niegdysiejszy oddział desantowy, z siostrami Grimm na przedzie i luźno sformowaną szpicą. Jak zwykle, rolę dowódcy pełniła Daisy. Tego dnia miała na sobie podomkę w kwiaty, a na niej gruby sweter. Zielone kalosze kończyły się tuż pod jej kolanami, pod ażurowym rąbkiem podomki. Siwe włosy ściągnęła w kok tak mocno, że jej oczy stały się skośne. Wszechobecny naszyjnik z margerytek i takież kolczyki wprost przytłaczały bladą, pooraną zmarszczkami twarz.

– Pani komendant – powiedziała Daisy, ruszając dostojnie do przodu, jeśli tylko można poruszać się dostojnie w kaloszach, niosąc w rękach urnę z prochami męża. Sweter, który miała na sobie, w wielki szaro-biały indiański wzór, był dla niej co najmniej dwa numery za duży. – Dowiedzieliśmy się, że pani tu jedzie.

– Ned widział, jak skręcała pani z autostrady. Zadzwonił do Sandiego, który z kolei zauważył, jak pani wjeżdża w Bay Road – dodała Violet, kiwając głową przy każdym słowie, jakby wymagały podkreślenia.

– Co się dzieje, pani komendant?! – zawołał ktoś z tłumu.

Ellie dałaby głowę, że był to Mort Elzik, miejscowy reporter, który opisał w porannej gazecie historię znalezienia dziewczynki.

– Cicho, Mort – zgromiła go Daisy głosem dyrektorki szkoły, którą niegdyś była. – Zmobilizowaliśmy całe miasteczko, tak jak pani komendant kazała. Wszyscy chętnie pomogli. Mamy zabawki, książki, gry i ubrania. Nawet hulajnogę, na pewno najbardziej spodoba się dziecku. Mam to zanieść? Gdzie jest nasze biedactwo?

Marigold wystąpiła do przodu i zapytała, ściszając głos:

– Oddział zamknięty? – Zerknęła na zebranych wokół ludzi, którzy sekundowali jej, kiwając głowami. – Na ostrym dyżurze zawsze przeprowadza się konsultacje psychiatryczne.

– Co stało się z wilkiem? – zapytał znowu Mort, próbując przepchnąć się przez tłum.

Nagle wszyscy zaczęli mówić jedni przez drugich. Daisy nie mogła ich uciszyć, a Ellie nawet nie próbowała. Wkrótce ujdzie z nich para. Zbliżała się przecież pora cen promocyjnych w miejscowym barze. Zaraz wszyscy po kolei zaczną spoglądać na zegarki i rozchodzić się do samochodów, mrucząc coś pod nosem. Daisy Grimm zabierze się pierwsza. Nikt nie pamiętał dnia, żeby nie zawitała do Big-foot Bar z nieodłączną urną, którą stawiała na sąsiednim stołku. Jej ulubionym drinkiem była whisky z piwem za pół ceny. Z dumą twierdziła, że nigdy nie wypiła więcej niż dwie szklaneczki. Ani mniej.

– Kim ona jest? – dociekał Mort głośno, z wyraźnym zniecierpliwieniem.

Zebrani uciszyli się.

– Dobre pytanie, Mort. Peanut wróciła na posterunek i robi wszystko, żeby się tego dowiedzieć.

– Czytałaś mój dzisiejszy artykuł? Na pierwszej stronie?

– Jeszcze nie miałam czasu, Mort. Przykro mi. Jaki ma tytuł?

– *Mowgli żyje* [2] – powiedział z dumą. – Uwielbiam nawiązania do literatury. No, w każdym razie od razu zadzwonili do mnie z „National Enquirer”.

Ellie skrzywiła się z niesmakiem. Do tej pory nie brała pod uwagę sensacji, jaką wzbudzi ta sprawa. „Latająca dziewczynka z wilkiem ląduje w miasteczku Rain Valley”. To była wiadomość wykraczająca poza zasięg lokalny.

A teraz jeszcze zaangażowała się w to Julia.

Cholera!

– A poprosiłeś, żeby ludzie kontaktowali się z nami, gdyby mieli jakieś informacje na jej temat?

Mort wyglądał na urażonego.

– Oczywiście. Przecież jestem zawodowcem. W ogóle chciałbym przeprowadzić wywiad z tą małą.

– Myślisz, że my byśmy nie chcieli z nią porozmawiać? Właśnie jest u niej psychiatra. Dam wam znać, jeśli będziemy wiedzieli coś więcej. A co do tych rzeczy, które zebraliście…

– Ależ to musi być Julia! – wykrzyknęła Violet, klaskając w ręce.

– Oczywiście! – zawtórowała jej Marigold. – A Ned zachodził w głowę, kim jest ta blondynka!

– Że też wcześniej na to nie wpadłam! To takie oczywiste. Pojechałaś na lotnisko, żeby ją odebrać – dorzuciła Daisy.

– Odebrać można coś, a nie kogoś! – prychnęła Marigold. Kiedyś uczyła angielskiego w szkole średniej i pozostały jej belferskie zapędy.

Mort zaczął podskakiwać jak dziecko stojące w kolejce po bilety na *Piratów z Karaibów*.

– Chciałbym przeprowadzić wywiad z twoją siostrą.

– Nie powiedziałam, że Julia Cates ma jakiś związek z tą sprawą, ani że tu jest. – Ellie spojrzała Mortowi w oczy. – Czy to jasne? Nie chcę widzieć jej nazwiska w gazecie.

– Może gdybyś obiecała mi wyłączność…

– Koniec gadania.

– Ale…

Daisy zdzieliła go po głowie.

– Morcie Elzik, nawet nie próbuj sprzeciwiać się Ellie. Twoja matka na samą myśl o tym przewróciłaby się w grobie. I Bóg mi świadkiem, że zadzwonię do twojego taty.

– Nie pisz o tej sprawie, Mort – włączyła się Ellie, dodając: – Proszę cię.

Oboje wiedzieli, że mógł zrobić, co zechce. Jednak znali się nie od dzisiaj. W takiej chwili jak ta byli bardziej kolegami ze szkoły, dawnym redaktorem gazetki szkolnej i królową piękności, niż reporterem i szefową policji. W takich miasteczkach relacje międzyludzkie były jak beton, zastygały szybko i na trwale.

– No dobra – powiedział, przeciągając słowa tak, że zabrzmiały jękliwie.

Ellie uśmiechnęła się.

– Fajnie.

– To co robimy z zebranymi rzeczami, pani komendant?

– Dzięki, Daisy. Może byście zanieśli je do mojego garażu? Tylko spiszcie nazwiska ofiarodawców. Chciałabym im podziękować.

Marigold poklepała swój notes w winylowej oprawie.

– Już wszystkie mamy.

Ellie kiwnęła głową.

– Świetnie. Wiedziałam, że mogę liczyć na was wszystkich. A teraz pora wracać do pracy. Musimy określić tożsamość dziecka. Dziękuję wam za pomoc. Ta mała miała szczęście, że trafiła do naszego miasteczka.

– Zajmiemy się nią – dorzucił ktoś.

Ellie ruszyła przez parking. Usłyszała za sobą szmer głosów, który nasilał się z każdym jej krokiem. Wieczorem i w Big-foot, i w The Pour House domysły będą krążyły liczniej niż kufle piwa. I to w równym stopniu na temat Julii, jak i dziewczynki z wilkiem. Powinna była to przewidzieć.

Julia zawsze była „inna", różniła się od reszty, i to w miasteczku, w którym piętnowano odmienność. Cicha, niezdarna dziewczynka, która urodziła się w nieodpowiedniej dla niej rodzinie i wyrosła – o dziwo – niemal na geniusza. Współmieszkańcy nie wiedzieli, co o niej myśleć, i Bóg wie, że nie mieli też pojęcia, jak z nią rozmawiać.

Ellie wsiadła do starego suburbana swojej matki i pojechała na posterunek. Przez całą drogę zastanawiała się, co jeszcze ma do zrobienia tego dnia. Przede wszystkim zamierzała ustalić tożsamość dziecka. I to koniecznie. Może ktoś przeczyta artykuł w gazecie i zgłosi się z odpowiednią informacją – tak byłoby najlepiej – albo sama znajdzie odpowiedź w stosie bezdusznych dokumentów i zostanie bohaterką.

Zaparkowała na swoim stałym miejscu i wkroczyła na posterunek.

W gabinecie czekał na nią Viggo Mortensen. Oczywiście, nie we własnej osobie. Jako kartonowa postać naturalnej wielkości, w stroju z *Władcy Pierścieni*. Nad głową miał doklejoną chmurkę z tekstem: „Arwen się nie liczy. Pragnę tylko ciebie".

Ellie wybuchnęła śmiechem.

W progu stanęła Peanut z dwiema filiżankami kawy.

– Skąd wiedziałaś, że to mi dobrze zrobi? – spytała Ellie.

Peanut podała jej filiżankę.

– Tak sobie pomyślałam.

– A Aragorn? Gdzie się do tej pory ukrywał?

– W kabinie projekcyjnej Rose Theater. Ned mi go wypożyczył.

– Więc jest do zwrotu?

Peanut uśmiechnęła się szeroko.

– Dopiero jutro. No, pojutrze. Powiedziałam Nedowi, że to może trochę potrwać, biorąc pod uwagę, jak bardzo potrzebujesz faceta w sypialni. Orzekł, że lepszy facet z kartonu niż żaden.

Ellie nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Dzięki, Peanut. – Potem przypomniała sobie o liście zadań na dalszą część dnia i uśmiech zniknął z jej twarzy. – Cóż, chyba musimy brać się do roboty.

Peanut pochyliła się nad biurkiem zawalonym papierami i wyciągnęła z tego bałaganu pojedynczą kartkę.

– Tyle mamy na razie. – Włożyła ozdobione brylancikami okulary do czytania. – Ośrodek Pomocy dla Zaginionych Dzieci przeszukuje swoją bazę danych. Początkowo wytypowali dziesięć tysięcy dziewczynek potencjalnie pasujących. Teraz próbują zawęzić tę listę. Bardzo by pomogło, gdybyśmy znali dokładny wiek tej małej.

Ellie powoli usiadła. Jej marzenie, żeby wykazać się bohaterstwem, rozwiało się jak mgła.

– Dziesięć tysięcy zaginionych dziewczynek! Boże, dopomóż. Samo przedarcie się przez te wszystkie dane zajmie nam wieki, Peanut.

– Spójrz, El. W tym kraju ginie rocznie osiemset tysięcy dzieci. To prawie dwa tysiące dziennie. Statystycznie pięć procent z tego to białe dziewczynki, porwane przez kogoś, kogo znają. Czy ona na pewno jest biała?

– Tak. – Ellie nagle poczuła się przytłoczona sytuacją. – Czy mamy jakąś odpowiedź od FBI?

– Czekają na dowód, że dziecko zostało porwane, albo na potwierdzoną identyfikację. A mała, być może, po prostu zaginęła w Mystic albo w Forks. Oficjalnie nie mamy dowodu przestępstwa. Sugerują, żebyśmy przeprowadzili dochodzenie w miasteczku… ponownie. A Departament Zdrowia i Opieki Społecznej naciska, żebyśmy znaleźli dla niej rodzinę zastępczą. Musimy się tym zająć. Dziewczynka nie może zostać w szpitalu na zawsze.

– Dzwoniłaś do Laura Recovery Center?

– I do America’s Most Wanted. I do biura prokuratora generalnego. Jutro gazety będą pisać o tej małej na pierwszych stronach. – Twarz Peanut ściągnęła się ze zmartwienia. – Niełatwo będzie ukryć obecność Julii.

Ta historia musiała zyskać rozgłos, co do tego nie było wątpliwości. I znowu doktor Julia Cates znajdzie się w samym środku zawieruchy.

– Właśnie – potwierdziła Ellie, marszcząc czoło.

Dziewczynka kuli się i zwija jak młoda paproć w zbyt jasnym miejscu. Grunt jest tu zimny i twardy; leżąc na nim, czasami dygoce i marzy o swojej jaskini. Gdy spała, Oni ją przemienili. Pachnie teraz kwiatami i deszczem. Tęskni za swoim własnym zapachem.

Chce zamknąć oczy i zasnąć, ale zapachy tu są zupełnie nie takie, jakie powinny być. Przeważnie swędzi ją w nosie, a w gardle ma tak sucho, że aż boli, gdy przełyka. Brak jej rzeki i ryku wody, która spływa z wysokiego urwiska niedaleko jaskini. Słyszy oddech Jasnowłosej i jej głos. Ten głos jest jak grzmot, niebezpieczny i budzący strach. Na jego dźwięk chowa się w najdalszym kącie swojej kryjówki. Gdyby była wilkiem, mogłaby wykopać jamę i zniknąć. Robi jej się smutno. Myśli o Niej… nawet o Nim. I o Wilku.

Bez nich czuje się zagubiona. Nie może żyć w miejscu, gdzie nie ma żywej zieleni i gdzie powietrze cuchnie.

Nie powinna była uciekać. On zawsze jej mówił, że poza lasem jest zimno i źle, że musi zostać w ukryciu, bo Tam są ludzie, którzy zadają małym dziewczynkom większy ból niż On. Oni.

Powinna go była posłuchać, ale od tak długiego czasu żyła w strachu.

Teraz zrobią jej coś gorszego niż wtedy w sieci.

Tylko czekają, żeby ją skrzywdzić, gdy wyjdzie, ale ona stanie się tak mała, że nawet jej nie dojrzą. Zniknie jak zielony robaczek na liściu.

Siedząc na niewygodnym plastikowym krześle w pokoju zabaw, Julia spojrzała w swój notes, który trzymała na kolanach. Przez ostatnią godzinę przemawiała do dziewczynki schowanej pod łóżkiem, ale bez żadnych efektów. W jej notesie widniało mnóstwo pytań, na które nie znała odpowiedzi.

Zęby – ślady po zabiegach stomatologicznych?

Głuchota?

Stolec – czym dziecko się żywi?

Toaleta – czy umie z niej korzystać?

Blizny – ich wiek

Tożsamość etniczna.

Już w pierwszym okresie stażu wszyscy zauważyli, że Julia świetnie sobie radzi z dziećmi po urazach czy chorymi na depresję. Nawet najlepsi wykładowcy i koledzy zwracali się do niej o radę. Wydawało się, że z samej swej natury rozumie presję, jakiej podlegają współczesne dzieci. Zbyt często kończyły one w ciemnych uliczkach śródmieścia, sprzedając

swoje chude ciała za pieniądze na jedzenie i narkotyki. Wiedziała, jaki wpływ na dziecko może mieć molestowanie seksualne, przemoc fizyczna i alkohol, jak rodziny tracą więź i rozpadają się, a ich członkowie schodzą na manowce i nie mogą odnaleźć się w życiu. A co najważniejsze, pamiętała, jak to jest być autsajderem, i nawet po wejściu w dorosłość zachowała bolesne wspomnienia z dzieciństwa. Dzieci otwierały się przed nią, rozmawiały z nią, wierzyły, że im pomoże.

Chociaż jej specjalnością nie był autyzm, rehabilitacja po uszkodzeniach mózgu ani dewiacje, oczywiście miała do czynienia z takimi przypadkami. Wiedziała, jak funkcjonują i jak reagują pacjenci autystyczni.

Wiedziała też, jak zachowują się głuche dzieci, zanim nauczą się języka migowego. O dziwo, były jeszcze w kraju takie miejsca – puszcze i inne dzikie obszary – gdzie dorastali głuchoniemi, którzy nie potrafili komunikować się z otoczeniem.

Jednak nic z tego wszystkiego nie znajdowało zastosowania w tym najnowszym przypadku. Tomografia mózgu nie wykazała żadnych zmian ani anomalii. Dziewczynka pod łóżkiem mogła być zupełnie normalnym dzieckiem, które zagubiło się podczas wycieczki rowerowej i było zbyt przerażone, by się odezwać.

Zupełnie normalna dziewczynka, która wędrowała z wilkiem, wyła do księżyca i najwyraźniej nie wiedziała, do czego służy toaleta.

Julia odłożyła pióro. Za długo już milczała. Jedyną nadzieją na pomoc temu dziecku było nawiązanie z nim kontaktu.

– Chyba nie porozumiem się z tobą pisemnie, prawda? – zapytała spokojnym, kojącym głosem. – To niedobrze, bo lubię pisać. Ty pewnie wolisz rysować. Jak większość dziewczynek w twoim wieku. Chociaż właściwie nie wiem, ile masz lat. Doktor Cerrasin przypuszcza, że około sześciu. Moim zdaniem jesteś trochę młodsza, ale przecież nawet nie przyjrzałam ci się dobrze, no nie? Ja mam trzydzieści pięć lat. Mówiłam ci już? Na pewno myślisz, że jestem stara. Szczerze mówiąc, ja sama zaczęłam się czuć staro ostatniego roku.

Przez następne dwie godziny Julia mówiła. Wyjaśniała dziewczynce, gdzie się znajduje i z jakiego powodu, że wszyscy chcą jej pomóc. Ważne było nie tyle to, co mówiła, ile jak mówiła. Każde słowo miało ten sam podtekst: „Wyjdź, kochanie. Nic ci z mojej strony nie grozi”. Mimo to nie było reakcji. Spod łóżka nie wychynął nawet palec. Julia już miała zacząć

mówić o tym, jak samotnie można czasami czuć się na tym świecie, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Spod łóżka dobiegł szmer.

Czyżby dziewczynka usłyszała pukanie?

– Zaraz wracam – powiedziała Julia zwyczajnym głosem, jak gdyby nigdy nic. Podeszła do drzwi i otworzyła je.

Doktor Cerrasin wskazał ruchem głowy na prawo, gdzie stali dwaj ubrani na biało sanitariusze. Jeden z nich trzymał dwa pudła, drugi – tacę z jedzeniem.

– Mamy to, o co prosiłaś.

– Dzięki.

– Jest jakaś reakcja?

– Nie, i to uniemożliwia postawienie diagnozy. Muszę poobserwować ją dłużej. Jej zachowanie, reakcje, ruchy. Ale ona nie wychodzi spod łóżka.

– Co mamy zrobić z tym wszystkim? – zapytał jeden z sanitariuszy.

– Wezmę pluszowe zwierzaki. Resztę zabawek możecie na razie zabrać. Nie jest jeszcze gotowa do żadnych zabaw. Jedzenie postawcie na stoliku. Ale cicho. Nie chcę jej jeszcze bardziej wystraszyć. – Zwróciła się do Maxa: – Czy w miasteczku działa nadal ta mała biblioteka, rozmiarów mojego samochodu?

– Rzeczywiście jest niewielka – przyznał. – Ale poprzez internet mamy dostęp do wszystkiego. Biblioteka została podłączona w zeszłym roku do sieci. – Uśmiechnął się czarująco. – Była z tej okazji parada.

Przez moment nawiązała się między nimi więź porozumienia. Oboje byli przybyszami z zewnątrz, którzy podśmiewali się z małomiasteczkowych obyczajów. Gdy Julia uświadomiła sobie, że Max sprowokował ją do uśmiechu, cofnęła się o krok.

– Tu uwielbiają parady. – Chciała coś dodać, nawet nie bardzo wiedziała co, kiedy nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

Przesunąć łóżko. Dlaczego nie wpadła na coś tak oczywistego wcześniej?

Okręciła się na pięcie i zamknęła za sobą drzwi, uświadamiając sobie moment za późno, że zatrzasnęła je Maxowi przed nosem. Cholera! Ale trudno. Podeszła do sanitariusza, który stawiał na stoliku tacę z jedzeniem, i powiedziała:

– Proszę zabrać stąd łóżko, ale zostawić materac.

– Słucham?

– Nie jesteśmy tu od wynoszenia mebli, proszę pani – odparł drugi.

– Pani doktor – poprawiła go. – Chcecie powiedzieć, że nie macie tyle siły, żeby mi pomóc?

– Oczywiście, że mamy – oburzył się wyższy, stawiając na podłodze pudło z pluszakami.

– Świetnie. To w czym problem?

– W porządku, Fredo. Zabierzmy to łóżko, zanim pani doktor zażyczy sobie, żebyśmy przynieśli lodówkę.

– Dziękuję panom. Pod łóżkiem jest dziewczynka. Postarajcie się jej nie wystraszyć.

Jeden z nich odwrócił się do niej.

– Dlaczego nie każe jej pani wyjść? – zapytał.

– Proszę tylko zabrać łóżko. Ostrożnie. A materac położyć w kącie.

Umieścili materac we wskazanym przez nią miejscu i zabrali z pokoju łóżko. Drzwi za nimi zatrzasnęły się, ale Julia nie zwróciła już na to uwagi. Patrzyła na swoją pacjentkę.

Skulona na podłodze dziewczynka otworzyła usta jak do krzyku.

No, dalej – pomyślała Julia. – Chciałabym cię usłyszeć.

Ale mała nie wydała żadnego dźwięku, tylko przytuliła się do ściany i zamarła w bezruchu.

Julii przyszedł na myśl kameleon, wtapiający się w otoczenie. Biedne dziecko nie mogło zmienić koloru, nie mogło zniknąć. Było wyraźnie widoczne na tle cętkowanego szarego linoleum i jaskrawych ścian. Mimo to przypominało figurkę z jasnego drewna, a jedyną oznaką, że to żywa istota, było drganie nozdrzy, jakby dziewczynka chciała pochwycić wszelkie wonie.

Po raz pierwszy Julia dostrzegła jej urodę. Chociaż dziewczynka strasznie wychudła, widać było, że jest bardzo ładna. Patrzyła w kierunku Julii, ale nie bezpośrednio na nią, jakby obserwowała jakieś niebezpieczne zwierzę po jej lewej stronie. Miała bezbarwny, a jednocześnie jakby skupiony wyraz twarzy; niczego nie zdradzał, ale zmysły rejestrowały wszystko. Usta były nieruchome; nie wyrażały ani niezadowolenia, ani ciekawości, a oczy – te zadziwiające, niebieskozielone oczy – patrzyły z powagą i czujnie.

Julię zdziwiło, że nie widać w nich strachu. Może zresztą tylko go nie dostrzegała. Co się dzieje z dzieckiem, dla którego strach staje się chlebem powszednim…? Czy przeradza się w czujność?

– Prawie już patrzysz na mnie – powiedziała najbardziej zdawkowym tonem, na jaki tylko mogła się zdobyć. Kontakt wzrokowy był ważny. Dzieci autystyczne zazwyczaj nie nawiązują takiego kontaktu, dopóki nie przejdą kompleksowej terapii. Julia zanotowała kolejną swą wątpliwość: *Niemowa?* Siostra mówiła wprawdzie, że dziewczynka wydawała jakieś dźwięki, ale Julia tego nie słyszała. Poza tym Ellie wspominała o jej niezwykłej umiejętności skakania i wspinania się na drzewa. – Wyobrażam sobie, że jesteś wystraszona. Wszystko, co ci się zdarzyło do wczoraj, było przerażające. Kto inny już by się popłakał.

Nie było odzewu.

Przez następnych dwanaście godzin Julia siedziała cierpliwie w fotelu. Obserwowała dziewczynkę, jej mimikę, ruchy, każde drgnienie, ale prawdę mówiąc, niewiele zebrała materiału. Za dnia mała pozostała w niemal kompletnym bezruchu. Około północy zasnęła, wciąż przyciśnięta do ściany. Kiedy wreszcie osunęła się na podłogę, Julia ostrożnie zbliżyła się do niej, wzięła ją na ręce i przeniosła na materac.

Przez całą noc patrzyła na śpiące dziecko, odnotowując, jak często nawiedzają je koszmary. W pewnej chwili również zapadła w sen, ale o siódmej rano obudziła się, gotowa działać dalej. Zadzwoniła do Ellie, aby jej powiedzieć, że prawdopodobnie spędzi cały dzień w szpitalu, a potem wróciła do pracy.

Kiedy pacjentka wreszcie się obudziła, Julia już czuwała. Uśmiechnięta, znowu zaczęła mówić. Starała się, żeby dziewczynka słyszała w jej głosie troskę i akceptację, by, nawet nie rozumiejąc słów, poczuła się bezpiecznie. Przemawiała tak do niej przez całą porę śniadania i lunchu, których żadna z nich nie zjadła. Późnym popołudniem dwie rzeczy nie budziły wątpliwości: że Julia jest wyczerpana, a dziewczynka głodna.

Julia bardzo powoli podeszła do pudełka przyniesionego poprzedniego dnia. Starała się nie wykonywać gwałtownych ruchów. Spokojnym głosem wypowiadała ciągi słów, jak gdyby milczenie dziecka było czymś najbardziej naturalnym na świecie.

– A może teraz zajrzymy tutaj i zobaczymy, czy coś z tego ci się spodoba. – Otworzyła pudełko. Na stosie pluszaków i poskładanych ubrań leżał szary zabawkowy wilczek. Wzięła go, a potem przeszła do drugiego pudełka. Wciąż się uśmiechając, zaczęła je wypakowywać. – Mieszkańcy Rain Valley przysłali ci to wszystko, bo martwią się o ciebie. Tak samo jak

twoi rodzice. Pewnie się zgubiłaś. To nie była twoja wina i na pewno nikt by się na ciebie nie gniewał.

Zerknęła na dziewczynkę, która nieruchomo siedziała na materacu, ze wzrokiem utkwionym w punkcie gdzieś za Julią.

Okno! – uświadomiła sobie Julia. Dziewczynka nie spuszczała wzroku z okna. Było nieduże i nie dało się z niego zobaczyć wiele zewnętrznego świata, ale obejmowało kawałek błękitnego nieba i czubek gałęzi jodły.

– Zastanawiasz się, jak się stąd wydostać, prawda? Chętnie pomogę ci wrócić do domu. Chciałabyś?

Znowu żadnej reakcji, nawet na hasło „dom”.

Julia wzięła z półki dużą, grubą książkę i upuściła ją na podłogę. Tomiszcze upadło z hukiem.

Dziewczynka wzdrygnęła się; oczy zrobiły jej się wielkie ze strachu. Spojrzała na Julię i pomknęła znowu do kąta.

– Więc słyszysz. Dobrze wiedzieć. Teraz muszę się zorientować, czy mnie rozumiesz. Odbierasz słowa czy dźwięki, maleńka?

Ostrożne zbliżyła się do dziecka. Cały czas obserwowała, czy w oczach dziewczynki pojawi się jakiś błysk, reakcja na to, że ktoś się zbliża. Nic takiego nie dostrzegła, ale kiedy znalazła się w odległości około dwóch i pół metra od niej, nozdrza dziewczynki zadrgały. Palce splotła tak mocno, że ich ciemna skóra zbielała.

Julia przystanęła.

– Taka odległość wystarczy, co? Boisz się mnie. To dobrze. Reagujesz normalnie na obcych. – Pochyliła się bardzo powoli i rzuciła dziewczynce wypchaną zabawkę, która wylądowała tuż przy niej. – Czasami taka przytulanka pomaga poczuć się pewniej. Kiedy byłam mała, miałam różowego misia imieniem Tink. Wszędzie go ze sobą zabierałam. – Wróciła do stolika, postawiła pudełko na podłodze i usiadła.

Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi. Na ten dźwięk dziewczynka jeszcze bardziej wcisnęła się w kąt, skulona do możliwie najmniejszych rozmiarów.

– To tylko twój obiad. Wiem, że jest jeszcze wcześnie, ale musisz być głodna. Nie zostawię cię samej na czas posiłku. Chyba rozumiesz. – Otworzyła drzwi, podziękowała pielęgniarce za przyniesienie jedzenia i wróciła do stolika.

Drzwi zatrzasnęły się, tak że znowu została sama z dzieckiem.

Odpakowując jedzenie, nadal mówiła. Nic szczególnie osobistego ani znaczącego, po prostu wypowiadała słowa; każde z nich było jak zaproszenie, które jednak pozostawało bez odpowiedzi. Po chwili na stoliku znalazł się zestaw dań dla dzieci. Makaron rurki z serem – z pudełka, taki, jak dzieci lubią – lukrowane pączki, ciastka czekoladowe z orzechami, skrzydełka kurczaka z keczupem, mleko, galaretka z cząstkami owoców, pizza, hot dogi i frytki. Małe pomieszczenie wypełniło się aromatem jedzenia.

– Nie wiedziałam, co lubisz, więc zamówiłam wszystko, co było. – Julia wyciągnęła rękę i z czerwonego plastikowego opakowania wyjęła pączka. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam pączki. Może dla ciebie są nie najlepsze, ale, ojej, ja je uwielbiam! – Ugryzła kawałek. Poczuła w ustach pyszny smak. Delektując się nim, spojrzała na dziewczynkę. – Przepraszam. Jesteś głodna? Może chcesz gryza?

Na słowo „głodna” dziewczynka drgnęła. Jej wzrok prześlizgnął się po pokoju i spoczął na stoliku z jedzeniem.

– Rozumiesz to? – spytała Julia, lekko pochylając się do przodu. – Wiesz, co znaczy „głodna”?

Dziewczynka patrzyła na nią przez chwilę. Trwało to tylko przez mgnienie oka, ale Julia poczuła mrowienie w całym ciele, aż po czubki palców u stóp.

Dziecko zrozumiało. Julia gotowa była się założyć.

Bardzo powoli sięgnęła po drugiego pączka. Położyła go na czerwonej tacce i wstała. Podeszła do dziewczynki bliżej niż poprzednio; tym razem dzieliło je już tylko niespełna dwa metry. Mała znowu prychnęła i zapiszczała, próbując się cofnąć, ale nie miała gdzie, bo za nią była już tylko ściana.

Julia postawiła tackę na podłodze i lekko ją pchnęła. Tacka przesunęła się po linoleum i znalazła na tyle blisko dziecka, że mogło ono poczuć zapach wanilii, ale w takiej odległości, że musiało podejść, jeśli chciało wziąć pączka.

Julia wróciła na swoje miejsce.

– No dalej – powiedziała. – Jesteś głodna. A to jedzenie.

Dziewczynka znowu popatrzyła na nią. Julia dostrzegła desperację w intensywnym spojrzeniu tych niebieskozielonych oczu. Zanotowała: *Jedzenie*.

– Nikt cię nie skrzywdzi – zapewniła.

Dziewczynka zamrugała powiekami. Czy była to reakcja na słowo „skrzywdzi”? Julia postawiła kolejny znak zapytania w notatkach.

Mijały minuty. One zaś patrzyły wciąż na siebie. W końcu Julia zerknęła na szybę przy drzwiach. Stał tam boski pan doktor i przyglądał się im.

W chwili, gdy Julia odwróciła wzrok, dziewczynka podbiegła do jedzenia, chwyciła je i zabrała w kąt, jak dzikie zwierzę powracające do swojej kryjówki, żeby się pożywić.

Ależ ona jadła…

Wsadziła do ust prawie całego pączka i zaczęła głośno go przeżuwać.

Julia widziała wyraźnie, kiedy mała poczuła smak. Jej oczy rozszerzyły się.

– Nic nie może się równać z pączkiem. Szkoda, że nie jadłaś ciastek czekoladowych mojej mamy. Były przepyszne… – Julia zacięła się lekko, wypowiadając te słowa w czasie przeszłym. Co najdziwniejsze, przysięgłaby, że dziecko to zauważyło, choć nie potrafiła powiedzieć, dlaczego odniosła takie wrażenie. – Ale dobrze by było, gdybyś jeszcze zjadła trochę białka. Za dużo cukru szkodzi. – Wzięła hot doga, posmarowała go keczupem i musztardą, a potem wraz z talerzem postawiła na podłodze z pół metra bliżej stolika niż poprzednio.

Dziewczynka spojrzała na pustą tackę, na której wcześniej leżał pączek. Jasne było, że zauważyła różnicę odległości. Można było odnieść wrażenie, że ocenia dodatkowy dystans, kalkulując ryzyko.

– Możesz mi zaufać – zapewniła Julia łagodnie.

Brak reakcji.

– Nie skrzywdzę cię.

Dziewczynka powoli uniosła głowę, nie spuszczając wzroku z Julii.

– Rozumiesz, co mówię, prawda? Może nie wszystko, ale wystarczająco dużo. Czy angielski to twój ojczysty język? Jesteś z tych okolic?

Dziewczynka zerknęła na hot doga.

– Neah Bay. Joyce. Sequim. Forks. Sappho. Pysht. La Push. Mystic. – Wymieniając nazwy miasteczek, Julia czekała na reakcję. Żadnej jednak nie zauważyła. – Wiele rodzin wybiera się do lasu na przejażdżki rowerowe, zwłaszcza wzdłuż Fall River.

Czyżby dziewczynka mrugnęła? Julia powtórzyła:

– Fall River.

Nic.

– Las. Drzewa. Puszcza.

Dziewczynka nagle spojrzała na nią.

Julia wstała i bardzo wolno ruszyła w jej stronę. Gdy była już na tyle blisko, by nawiązać kontakt wzrokowy, przykucnęła, chcąc znaleźć się na poziomie oczu dziecka. Sięgnęła ręką za siebie i wymacała talerz z hot dogiem. Chwyciła go i wysunęła przed siebie.

– Zgubiłaś się w lesie, kochanie? To może być naprawdę przerażające. Ciemności, wszystkie te odgłosy. Oddaliłaś się od mamy i taty? Jeśli tak, mogę ci pomóc. Pomogę ci wrócić do rodziców.

Nozdrza dziewczynki poruszyły się, ale Julia nie potrafiła orzec, czy w reakcji na słowa, które wypowiedziała, czy na woń hot doga. Przez moment – może na słowo „wrócić” czy „pomóc” – w oczach małej błysnął strach.

– Boisz się mi zaufać. Może mama albo tata powiedzieli ci, żebyś nie rozmawiała z nieznajomymi. W normalnej sytuacji to dobra rada, ale ty masz kłopoty, kochanie. Będę mogła ci pomóc, jeśli zaczniesz ze mną rozmawiać. Bo jak inaczej odnajdę twój dom? Możesz mi zaufać. Nic złego ci nie zrobię – powtórzyła znowu. – Nie bój się.

Dziewczynka zaczęła powoli się zbliżać. Ani na moment nie spuściła wzroku z Julii, nie mrugnęła nawet powieką. Patrząc na lekarkę, skradała się ku niej, dziwnie zgarbiona.

– Nie bój się – powiedziała Julia jeszcze raz, gdy dziewczynka znalazła się bliżej.

Mała oddychała szybko; jej nozdrza rozdymały się szeroko, czoło błyszczało od potu. Zalatywało od niej moczem, za sprawą niezmienianej już od jakiegoś czasu pieluchy. Szpitalna koszula wisiała na jej drobnym ciele. Paznokcie u rąk i nóg miała długie i wciąż trochę brudne. Wyciągnęła ręce po hot doga i chwyciła go.

Uniosła jedzenie i obwąchała je, marszcząc nos.

– To hot dog – kontynuowała Julia. – Rodzice pewnie kupowali ci takie podczas wycieczek. Dokąd jeździłaś na wycieczki, pamiętasz? Znasz nazwę swojego miasteczka? Mystic? Forks? Joyce? Pysht? Co tatuś mówił? Czy mówił, dokąd jedziecie? Może mogłabym go odnaleźć?

Wtedy dziewczynka zaatakowała. Stało się to tak szybko, że Julia nie zdążyła zareagować. W jednej sekundzie jeszcze siedziała na krześle, przemawiając do dziecka łagodnie, a w następnej już leciała do tyłu. Uderzyła głową o podłogę. Mała skoczyła jej na pierś i zaczęła drapać ją po twarzy, wykrzykując coś niezrozumiale.

Max błyskawicznie znalazł się w środku i odciągnął ją od Julii.

Julia, zamroczona, próbowała usiąść. Wzrok jej się mącił. Kiedy wreszcie doszła do siebie, zobaczyła, że Max robi dziecku zastrzyk.

– Nie! – zawołała, usiłując się podnieść. Nadal jednak widziała niewyraźnie. Potknęła się.

Max wrócił do niej, żeby ją podtrzymać.

– Oprzyj się o mnie – powiedział.

Julia wyrwała mu się i upadła na kolana.

– Jak mogłeś ją uśpić? Cholera! Już nigdy mi nie zaufa.

– Mogła ci zrobić krzywdę – stwierdził irytująco rzeczowym głosem.

– Przy tych swoich… ilu? Dwudziestu kilogramach wagi?

Piekły ją podrapane policzki. Bolał tył głowy. Była zdumiona szybkością ataku. Roztrzęsiona, wypuściła powietrze z płuc i rozejrzała się po pokoju. Dziewczynka leżała na materacu i spała. Nawet we śnie była skulona, w obawie, że cały świat może zrobić jej coś złego. Jasna cholera!

– Jak długo będzie uśpiona?

– Tylko parę godzin. Myślę, że szukała broni w chwili, gdy wszedłem. Gdyby znalazła jakieś narzędzie, mogłaby naprawdę wyrządzić ci krzywdę.

Julia przewróciła oczami. Najwyraźniej Max należał do ludzi, którzy nigdy w życiu nie zetknęli się z przemocą.

Spojrzał na nią i przez ułamek sekundy odniosła wrażenie, że patrzy na człowieka, który jednak wie, co to ból.

– Nie pierwszy raz zaatakował mnie pacjent. I pewnie nie ostatni. To element mojej pracy. Następnym razem nie usypiaj jej bez porozumienia ze mną, dobrze?

– Jasne.

Zmarszczyła czoło. To spowodowało ból.

– Pytanie tylko, co ja takiego powiedziałam – zaczęła się zastanawiać.

– O co chodzi?

– Widziałeś ją. Wszystko było w porządku. Wydawało mi się, że nawet zrozumiała kilka słów. I nagle coś takiego… Musiałam powiedzieć coś, co ją przestraszyło. Przesłucham wieczorem taśmy. Może wpadnę na jakiś trop. – Spojrzała znowu na dziewczynkę. – Biedna mała.

– Powinnaś przemyć twarz. Te zadrapania na policzkach są dość głębokie, a Bóg wie, jakie bakterie to dziecko ma pod paznokciami.

Julia musiała przyznać mu rację.

Gdy szli korytarzem, uświadomiła sobie, że bardzo boli ją głowa. Miała mdłości i chwiała się na nogach. Musiała się skupić, żeby iść w miarę równym krokiem.

– Nigdy nie widziałam, żeby ktoś poruszał się tak szybko – zauważyła.

– Daisy Grimm klnie się, że mała wskoczyła na klon w Sealth Park.

– Czy Daisy wciąż nosi ze sobą prochy Freda?

– Owszem.

– Fred umarł, gdy byłam w siódmej klasie. Chyba nie muszę nic dodawać?

Max zaprowadził ją do pustego gabinetu.

– Siadaj!

– Niech zgadnę… Masz psy.

Uśmiechnął się.

– Usiądź, dobrze? Muszę obejrzeć te zadrapania.

Była zbyt słaba, żeby się sprzeciwiać, usiadła więc na skraju stołu; pod nią zaszeleściły jakieś papiery. Poza oddechem ich dwojga był to jedyny dźwięk w pokoju.

Max dotykał jej twarzy zadziwiająco delikatnie. Spodziewała się, że okaże się bardziej niezręczny, trochę niepewny. W końcu opatrywanie ran należało do pielęgniarek.

Skrzywiła się, kiedy dezynfekował skaleczenia.

– Przepraszam.

– Przecież nie robisz tego specjalnie. – Był zbyt blisko. Przymknęła powieki.

Wtedy poczuła na policzku jego oddech o delikatnym zapachu gumy red hot.

Otworzyła oczy. Stał, patrząc na nią i owiewając jej zadrapania chłodnym oddechem. Serce zabiło jej mocniej.

– Dzięki – powiedziała, cofając głowę i próbując się uśmiechnąć.

Och, rany boskie, Julio! – przywołała się do porządku. Zawsze czuła się skrępowana w obecności przystojnych mężczyzn. Jako psychiatra, winiła za to ojca. Tacy faceci jak Max specjalizowali się w wywoływaniu u kobiet przyspieszonego bicia serca.

– Przepraszam. – Wcale nie sprawiał wrażenia, że jest mu przykro. – Chciałem pomóc.

– Wielkie dzięki. Nic mi nie jest.

Zapakował środki pierwszej pomocy i schował je z powrotem do szafki wiszącej na ścianie. Kiedy odwrócił się znowu do Julii, starał się już zachowywać dystans.

– Powinnaś zrobić sobie wolne na resztę dnia. I niech Ellie ma na ciebie oko. Wstrząśnienie mózgu…

– Znam objawy i zagrożenia, Max. Na pewno nie mam wstrząśnienia mózgu, ale będę na siebie uważać.

– Dobrze by było, gdybyś poszła do łóżka na jakiś czas.

Zauważyła, że się lekko uśmiechnął, wypowiadając słowa „poszła do łóżka”, i to jej nie zdziwiło. Niewątpliwie należał do mężczyzn, którzy każdej rozmowie potrafili nadać podtekst seksualny.

– Ta dziewczynka liczy na mnie, Max. Muszę pójść na posterunek, a potem do biblioteki, ale nie będę się przemęczać.

– Ty chyba nie jesteś z tych, co się nie przemęczają, mam rację?

Zmarszczyła brwi. To ją zaskoczyło. Dotąd nie sprawiał wrażenia faceta, który rozumie kobiety. Kocha je – owszem. Wykorzystuje – o, na pewno. Ale żeby je rozumieć… Tego się po nim nie spodziewała. Philip na przykład nie miał dobrej intuicji.

– Czyżby tak łatwo było mnie przejrzeć?

– Jak szkło. Jak zamierzasz dostać się na posterunek?

– Chyba zadzwonię po Ellie. Ona…

– Mógłbym cię podwieźć.

Zsunęła się ze stołu. Stanąwszy na nogach, poczuła się trochę pewniej. Już miała odpowiedzieć: „Nie ma takiej potrzeby”, gdy spojrzała w lustro.

– O rany! – Podeszła bliżej. Na lewym policzku miała cztery głębokie zadrapania, jakby zadane łapą dużego zwierza. Ta część twarzy zaczęła już puchnąć i wyglądało na to, że rano pojawi się siniec pod okiem. – Nieźle mnie urządziła.

Max podał jej tubkę z maścią antybiotykową.

– Smaruj…

– Wiem. Dzięki. – Wzięła tubkę i wsunęła do kieszeni.

– Zawiozę cię na posterunek.

Zamierzała zaprotestować, lecz ruszyła z nim do wyjścia.

Ale starała się nie iść blisko niego.

6

– Jesteś pewna, że wiesz, jak to powinno być? – zapytała Peanut po raz chyba dziesiąty w ciągu ostatniego kwadransa.

– Czy ja wyglądam na Diane Sawyer [3]? – ostro odpowiedziała pytaniem Ellie.

Gdy się denerwowała, stawała się opryskliwa, a to była jej pierwsza w życiu konferencja prasowa. Chciała, żeby wszystko wypadło jak trzeba, bo inaczej wyszłaby na idiotkę. A jeśli Ellie czegoś nie cierpiała, to wyglądać głupio i tak się czuć. Dlatego właśnie w końcu zrezygnowała z college'u. Lepiej było porzucić szkołę, niż z niej wylecieć.

– Ellie? Nie puszczają ci nerwy?

– Nic mi nie jest.

Posterunek został zamieniony w prowizoryczną salę konferencyjną. Biurka przesunięto pod ściany, a w ich miejsce ustawiono krzesła, po pięć w dwóch rzędach. Przed nimi umieszczono podium, przywleczone z magazynu miejscowego Rotary Club.

Cal siedział przy swoim biurku i odbierał telefony. Peanut stała w korytarzu, nadzorując przygotowania. Z jakiegoś dziwnego powodu była pewna, że wie, jak sobie z tym poradzić.

W każdym razie sprawiała takie wrażenie.

Ellie przynajmniej miała jakieś doświadczenia związane z mediami. Kiedy zaczynała pracę w policji, wuj Joe zorganizował konferencję prasową. Jej były, Alvin, twierdził, że widział Wielką Stopę. Zjawiło się kilku przedstawicieli lokalnych gazet i jednego brukowca. I oczywiście sam Alvin, pijany jak świnia.

Jeszcze raz zerknęła na krzesła. Na każdym z nich leżała kartka, przyciśnięta kamykiem. Gdy Ellie ponownie czytała przygotowane oświadczenie, na posterunek wkroczył Earl. Był w pełnym umundurowaniu, a resztki włosów miał przyklejone starannie na łysinie. Wydawał się jakiś wyższy niż zwykle.

Miał podwyższone obcasy.

To spostrzeżenie ją ubawiło. Ale nie zamierzała mu z tego powodu dokuczać. Sama także zadbała o makijaż, nie żałując kosmetyków. Miała wystąpić w telewizji po raz pierwszy w życiu i chciała dobrze wyglądać.

– Cześć, Earl. Jesteś gotowy do akcji?

Kiwnął głową. Jabłko Adama uniosło się na jego chudej szyi i opadło.

– Myra wyprasowała mi mundur. Powiedziała, że ktoś, kto występuje w telewizji, powinien mieć kant u spodni jak żyletka.

– Dobra kobieta ta twoja żona, Earl.

– O tak.

Ellie wróciła do lektury oświadczenia. Starała się skupić na każdym słowie i nauczyć się go na pamięć. Nie podnosiła głowy, gdy zaczęli schodzić się dziennikarze. O szóstej już wszystkie miejsca były zajęte. Za podwójnym rzędem krzeseł stali fotoreporterzy i kamerzyści.

– Już czas – powiedziała Peanut, podchodząc do niej. – Masz ślady szminki na zębach.

Świetnie. Ellie oblizała zęby i pochyliła się, pstrykając palcem w mikrofon. W głośnikach zadudniło i rozległ się ostry pisk. Dźwięki te odbiły się echem po sali. Kilku ludzi pospiesznie zakryło rękami uszy.

– Przepraszam. – Ellie odchyliła się trochę do tyłu. – Dziękuję, że państwo przyszli. Jak większość z was wie, potrzebujemy pomocy. W Rain Valley pojawiła się dziewczynka. Nie mamy pojęcia, kim jest, ani skąd pochodzi. Według naszej oceny może mieć od pięciu do siedmiu lat. Na krzesłach położyliśmy jej szkic portretowy. Ma ona ciemne włosy i zielononiebieskie oczy. Nie dysponujemy na razie analizą dentystyczną, ale wszystko wskazuje na to, że dziewczynka nie ma w zębach wypełnień ani innych śladów po zabiegach. Straciła w sposób naturalny zęby mleczne, a to potwierdza nasze przypuszczenia co do jej wieku. Porozumieliśmy się ze wszystkimi władzami i instytucjami społecznymi, również z Ośrodkiem Pomocy dla Zaginionych Dzieci, ale jak dotąd nie udało nam się ustalić jej tożsamości. Mamy nadzieję, że zamieszczą państwo te informacje na pierwszych stronach gazet, aby wiadomość o znalezionym dziecku rozeszła się jak najszerzej. Ktoś musi wiedzieć, kim ono jest.

– Szkic? Co to ma być, do diabła?! – zapytał któryś z dziennikarzy.

– Pracujemy nad tym, żeby ją sfotografować. Na razie mamy tylko taki portret – odparła Ellie.

Wstał Mort z „Rain Valley Gazette”.

– Dlaczego dziewczynka sama nie powie, jak się nazywa?

– Do tej pory jeszcze się nie odezwała.

– A potrafi mówić?

– Tego nie wiemy. Wstępne badania wskazują jednak, że nie ma fizycznych wad, które nie pozwalałyby jej mówić.

Podniósł się z kolei człowiek w czapce firmowej „Seattle Times”.

– Więc nie odzywa się z jakiego powodu? – zapytał.

– Tego też jeszcze nie wiemy.

– Jest ranna, a może chora?

– A może nienormalna?

Ellie już miała odnieść się do tych pytań, gdy Earl podszedł do mikrofonu i zaczął:

– Sprowadziliśmy sławnego psy…

Ellie kopnęła go z całej siły.

– Dziewczynka jest pod opieką najlepszych lekarzy – oświadczyła. – To wszystko, co możemy w tej chwili zrobić. Liczymy, że zgłosi się ktoś, kto zdoła odpowiedzieć na niektóre z tych trudnych pytań.

– Podobno ona miała ze sobą wilka – odezwała się kobieta z końca sali.

– I zeskoczyła z drzewa, z wysokości dwunastu metrów – dodał ktoś inny.

Ellie westchnęła.

– Proszę nie wierzyć we wszystkie plotki krążące po miasteczku. Najważniejszą sprawą jest teraz identyfikacja dziecka.

– Niewiele nam pani zdradziła.

Ellie powiedziała wszystko, co miała do powiedzenia; teraz przyszedł czas na pytania. Najbardziej spodobało jej się pytanie Morta: „Jesteś pewna, że to istota ludzka?”.

Potem było już samo dno.

– Masz szczęście, że rano, kiedy wyjeżdżałem z domu, padał deszcz. W przeciwnym razie przyjechałbym na motocyklu – oznajmił Max, otwierając drzwi swojej półciężarówki po stronie pasażera.

– Będę strzelać – powiedziała, gdy zapalał silnik. – To harley-davidson.

– Skąd wiesz?

– Przekłute ucho. Jestem psychiatrą, zapomniałeś? A my, psychiatrzy, staramy się zwracać uwagę na rozmaite drobiazgi.

Wyjechali z parkingu.

– Aha – odparł. – Lubisz rowery?

– Takie, które wyciągają sto dwadzieścia kilometrów na godzinę? Nie.

– Za duża szybkość, za dużo swobody, co?

Patrzyła przez okno na mijane drzewa, myśląc o tym, że mógłby jechać wolniej.

– Za wielu dawców organów.

Kilka kwartałów przejechali w milczeniu. W końcu Max zapytał:

– Doszłaś już do jakichś wniosków na temat tej dziewczynki?

Lekarze innych specjalności zawsze zadawali takie pytania – nie mieli pojęcia, ile czasu trwa postawienie właściwej diagnozy. Jednak Julia była wdzięczna Maxowi, że wrócił do spraw zawodowych.

– Mogę ci powiedzieć, co w jej wypadku wykluczam, a eliminacja to dobra metoda na początek. Nie sądzę, by dziewczynka była głucha, w każdym razie nie całkowicie. Nie wydaje mi się też, żeby była upośledzona umysłowo, ale mówi mi to raczej intuicja. Jeśli chodzi o autyzm, to z pewnością, jak na razie, najbardziej prawdopodobna diagnoza, ale jeśli mała rzeczywiście jest autystyczna, to całkiem nieźle funkcjonuje.

– Mówisz tak, jakbyś i w tę diagnozę nie bardzo wierzyła.

– Potrzebuję więcej czasu na obserwację. Kiedy na mnie spojrzała… – Zamilkła. Nie chciała wdawać się w spekulacje, nie mając dostatecznych danych. To była jeszcze jedna z konsekwencji jej ostatnich przejść. Po raz pierwszy w życiu bała się, że może popełnić błąd.

– Co takiego?

– Ona spojrzała na mnie. I o to chodzi. Nie obok, nie na wskroś, tylko prosto na mnie. I czasami sprawia wrażenie, jakby rozumiała niektóre słowa. Na przykład: „skrzywdzić”, „jedzenie”, „głód”. Przysięgłabym, że rozumie.

– Myślisz, że jakieś twoje słowo sprowokowało ją do ataku?

– Nie mam pojęcia. Naprawdę nie pamiętam, co takiego wtedy powiedziałam.

– A czy umie mówić?

– Jak dotąd wydawała tylko nieartykułowane dźwięki. I to pod wpływem emocji. Mogę ci powiedzieć jedno: mutyzm wybiórczy to typowa reakcja na traumatyczne przeżycia.

– A ona przeżyła coś traumatycznego.

– Tak.

Po tych słowach atmosfera nagle stała się poważna.

– Może została porwana – zasugerował Max cicho.

Ta myśl towarzyszyła Julii przez cały dzień, kryła się za każdym pytaniem, które sobie zadawała.

– Tego się właśnie obawiam. Blizny na jej ciele mogą być niczym w porównaniu z urazami psychicznymi.

– Wobec tego ma szczęście, że tu jesteś.

– Właściwie to ja mam szczęście. – Julia od razu pożałowała tych słów. Nie mogła pojąć, dlaczego wyrwało jej się tak osobiste wyznanie, i to w obecności mężczyzny, którego ledwie znała. Na szczęście, on nie zareagował.

Skręcił w lewo, w Azalea Street, i zobaczył, że przejazd jest zamknięty.

– Dziwne. Pewnie znowu pękła jakaś rura wodociągowa. – Wycofał wóz, skręcił w następną przecznicę i zaparkował. – Odprowadzę cię.

– To zupełnie zbędne.

– Chętnie się przejdę.

Julia nie chciała robić z tego wielkiej sprawy, więc kiwnęła głową.

Szli w stronę posterunku cichą ulicą, wysadzaną trzema rzędami drzew.

– Pięknie tu – zauważyła. – Już zapomniałam, jak bardzo. Zwłaszcza jesienią.

Już miała powiedzieć coś na temat koloru liści, ale gdy skręcili za róg, zobaczyła, z jakiego powodu zamknięto uliczkę, w którą wcześniej wjechali.

Na ulicy stały wozy agencji informacyjnych. Całe mnóstwo.

– Stój! – nakazała szybko Maxowi, uświadamiając sobie zaraz, że prawie krzyknęła.

Okręciła się na pięcie tak szybko, że omal na niego nie wpadła. Max otoczył ją ramionami i próbował uspokoić. Gdyby media zobaczyły ją teraz, z tą pokiereszowaną twarzą, miałyby używanie. Zwłaszcza gdyby wyszło na jaw, że podrapała ją ta pacjentka.

– Posterunek jest już tutaj. Wejście… – zaczął.

– Wiem, gdzie jest to cholerne wejście. Muszę się stąd wydostać. I to zaraz!

Max zauważył wozy agencyjne i skojarzył fakty. Kiedy spojrzał na Julię, zobaczył w niej tamtą lekarkę.

– Puść mnie – rzuciła, wyrywając się.

Wskazał na drugą stronę ulicy.

– To kościół luterański. Wejdź tam. Ja wywołam Ellie.

– Dzięki.

Zrobiła krok czy dwa, gdy Max zawołał ją po imieniu.

Odwróciła się.

– O co chodzi?

Podszedł do niej, ale się nie odezwał.

Przewróciła oczami.

– No powiedz, co ci chodzi po głowie, Max. Wszyscy coś sobie myślą na mój temat. Już się do tego przyzwyczaiłam.

– Chcesz, żebym z tobą został?

Julia gwałtownie zaczerpnęła tchu i spojrzała na niego. Nagle uświadomiła sobie, jak długo była sama.

– Nie… ale dzięki.

Nie patrząc na niego, odeszła.

Max wszedł na posterunek. Gdy znalazł się w środku, dziennikarze i fotoreporterzy zwrócili się w jego stronę jak stado barakud. Ale gdy się zorientowali, że nie jest nikim ważnym dla sprawy, natychmiast przestali się nim interesować.

W chwili, gdy Julia zobaczyła wozy agencyjne, dostrzegł w jej zielonych oczach różne emocje naraz – strach, nadzieję, rozpacz. Była bezbronna może przez ułamek sekundy, ale on to zauważył. I zrozumiał. Przypomniał sobie, jak to jest. Kiedy media wezmą kogoś pod ostrzał aparatów fotograficznych i kamer, ofiara nie ma gdzie się schronić.

Przepchnął się przez rzedniejący tłum.

Ellie stała na podium między Earlem i Peanut.

Odciągnął ją na bok, mówiąc ostro:

– Siostra czeka na ciebie w kościele luterańskim.

Ellie skrzywiła się.

– Była tutaj?

– Była.

– Cholera!

Max sam był zaskoczony swoją gniewną reakcją.

– Dam ci radę. Następnym razem, gdy zbierzesz gdzieś media, uprzedź ją o tym.

– Nie sądziłam…

– Wiem.

– A ty co, masz jakiś problem?

Nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

– Następnym razem po prostu bardziej uważaj.

Zanim zdążyła zareagować, on już odszedł.

Po wyjściu na zewnątrz zatrzymał się na schodach. Dziennikarze stojący wokół niego rozmawiali ze sobą i pakowali sprzęt. Na maszcie łopotała flaga amerykańska.

Po drugiej stronie ulicy, w cieniu olbrzymiej jodły, przycupnął biały kamienny kościółek. Kiedy Max mu się przyjrzał, dostrzegł postać kobiety w oknie.

Julia.

Kiedyś był typem mężczyzny, który by poszedł do niej i zaproponował pomoc.

Wrócił jednak do wozu, wsiadł i udał się do domu.

Gdy jechał Lakeshore Drive, słońce zaczęło zniżać się ku jezioru. Przejeżdżając obok skrzynki na listy, wyjął pocztę złożoną z reklamówek i rachunków, a potem skręcił w podjazd, czyli wyboistą drogę, która biegła przez gęsty las. Ponad sto lat temu tę ziemię nabył jego prapradziadek, z myślą o wybudowaniu tu wygodnego, nowoczesnego domku myśliwskiego, ale już po roku pobytu w owym wilgotnym, ponurym zakątku zmienił zdanie. Wykarczował dwa akry z tej setki, która stanowiła jego własność, i na tym poprzestał. Przeniósł się do Montany i tam zbudował swój domek myśliwski, a z czasem zapomniał o tym dzikim skrawku ziemi w głębi lasów nad Spirit Lake. Na mocy testamentu teren ten przechodził w posiadanie z ojca na syna i w końcu przypadł Maxowi. Cała rodzina spodziewała się, że zrobi on z nim to, co jego poprzednicy, czyli… nic. W każdym pokoleniu Cerassinowie sprawdzali bowiem wartość tych akrów i zawsze byli niemile zaskoczeni ich niską ceną. Płacili więc podatki, nie zaprzątając sobie ziemią głowy.

Gdyby jego życie potoczyło się tak, jak przewidywał, Max bez wątpienia postąpiłby tak samo.

Zaparkował wóz w garażu, obok harleya-davidsona model Fat Boy, swojej ulubionej zabawki, i wszedł do domu.

Przekroczywszy próg, włączył światło.

Powitała go pustka.

W dużym pokoju było niewiele mebli. Miejsce po lewej stronie zajmował duży sosnowy stół z tylko jednym krzesłem u szczytu. Na wschodniej ścianie znajdował się wspaniały kamienny kominek z pustym gzymsem. Przed nim stała skórzana kanapa, wysłużony stolik do kawy i piękna szafka z różowego drewna.

Max rzucił płaszcz na kanapę, a potem wśród jej poduszek zaczął szukać pilota.

Chwilę później z wykonanej na zamówienie szafki wysunął się telewizor. Max go włączył. Nie obchodziło go, co jest na ekranie. Chciał tylko, żeby coś grało. Nienawidził, gdy w domu było cicho.

Wszedł na górę, żeby wziąć szybki prysznic i przebrać się w świeże ubranie.

Gdy golił się przed zaparowanym lustrem, znowu o niej pomyślał.

„Przekłute ucho”.

Powoli odłożył brzytwę, patrząc na małą dziurkę w poduszeczce ucha. Była już ledwie widoczna; nie nosił kolczyka od ponad siedmiu lat.

Ale ona ją zauważyła i dzięki temu dostrzegła człowieka, którym kiedyś był.

Co jeszcze widziały te chłodne zielone oczy?

– Uznałaś za stosowne zorganizować konferencję prasową, nie uprzedzając mnie o tym? – Julia nie mogła się opanować, by nie krzyczeć na siostrę. – Może od razu zawiąż mi na szyi żółtą tasiemkę i rzuć na pożarcie wilkom?

– Skąd miałam wiedzieć, że zechcesz wpaść na posterunek? Nie wróciłaś do domu na noc, a oczekujesz, że będę znała twoje plany? Myślisz, że kim jestem? Duchem Świętym?

Julia opadła na fotel w samochodzie i splotła ręce na piersi. W ciszy, która zapadła, deszcz głośno bębnił o dach policyjnego cruisera.

– Może media powinny wiedzieć, że się tu znalazłaś? Powiem im, że jesteśmy przekonani…

– Uważasz, że należy pokazać moją twarz przed kamerami? Teraz? Moja pacjentka – dziecko! weź pod uwagę – rzuciła się na mnie. To nie najlepiej świadczy o moich kwalifikacjach.

– To nie była twoja wina.

– Wiem o tym – burknęła Julia. – Ale oni w to nie uwierzą, zapewniam cię.

To samo powtarzała sobie wielokrotnie od trzydziestu minut. Przez chwilę, gdy zobaczyła tych wszystkich dziennikarzy, zaczęła się zastanawiać, czyby nie ujawnić swojego uczestnictwa w tej sprawie. Jednak było na to za wcześnie. Nikt jej nie ufał. Powinna najpierw czymś się wykazać, bo inaczej rozszarpaliby ją na strzępy. Znowu.

Musiała skłonić dziewczynkę do mówienia. I to jak najszybciej.

W najbliższym czasie ta historia będzie najgorętszym tematem w mediach, znajdzie się na pierwszych stronach gazet. Ludzie zaczną spekulować na temat tożsamości „dziewczynki z wilkiem”, snuć domysły, że mała nie mówi, bo albo nie może – na skutek uszkodzeń mózgu – albo nie chce ze strachu czy w efekcie przeżytego urazu. Nic tak nie przykuwa uwagi opinii publicznej jak tajemnica; dziennikarze będą węszyć wszędzie. Prędzej czy później Julia stanie się elementem tej historii. Dobrze o tym wiedziała.

Ellie zatrzymała się przed biblioteką. Budynek, w którym się ona mieściła, dawny sklep z wypchanymi zwierzętami, przytulony był do strzelistej jodły. Szybko zapadał zmrok, więc żwirowa ścieżka prowadząca do drzwi była ledwie widoczna.

– Zwolniłam wszystkich pracowników do domu – powiedziała Ellie, wsuwając rękę do kieszeni na piersi w poszukiwaniu klucza. – Tak, jak prosiłaś. I Jules… przepraszam cię.

– Dzięki. – Julia usłyszała drżenie w swoim głosie, które zdradzało więcej, niżby chciała. I Ellie również to zauważyła.

Gdyby inaczej się między nimi układało, Julia przytuliłaby się do siostry i wyznała: „Boję się stawić czoło mediom”. Odchrząknęła jednak tylko i powiedziała:

– Muszę popracować z tym dzieckiem gdzieś w ustronnym miejscu.

– Będziemy mogli ją przenieść, gdy tylko znajdziemy rodzinę zastępczą. Szukamy właśnie…

– Ja ją wezmę pod opiekę. Zadzwoń do Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej. Nie powinno być żadnych problemów z zatwierdzeniem mojej kandydatury. Wieczorem wypełnię wszystkie potrzebne dokumenty.

– Jesteś pewna?

– Tak. Nie mogę jej pomóc, spędzając z nią godzinę tygodniowo czy nawet godzinę dziennie. To zajęcie na pełny wymiar godzin. Zacznij załatwiać formalności.

– Dobra.

Za nimi rozbłysły reflektory, oświetlając kabinę wozu. Chwilę później rozległo się pukanie w szybę, które zabrzmiało jak wystrzał.

Julia otworzyła drzwi.

Przy samochodzie stała w deszczu Peanut i radośnie machała ręką. Za nią widać było stary pikap. Gdy Julia wysiadła z samochodu, usłyszała, jak Peanut wyjaśnia:

– …powiedział, że może ci na jakiś czas pożyczyć starą Berthę. Kiedy mieszkali nad Moses Lake, jego ojciec zwoził nią siano. Kluczyki są w środku.

– Dziękuję ci, Penelope.

– Mów do mnie Peanut. Rany, jesteśmy prawie rodziną, przecież Ellie to moja najlepsza przyjaciółka i w ogóle.

Julia nagle przypomniała sobie Penelope z pogrzebu matki. Zajmowała się wszystkim i wszystkimi jak drużynowa w grupie skautów. Gdy Ellie się rozpłakała, Penelope wyprowadziła ją z pokoju. Julia widziała, że później siedziała przy niej na łóżku rodziców, tuląc ją jak dziecko.

Julii w ciągu zeszłego roku przydałaby się taka przyjaciółka.

– Dzięki, Peanut.

Ellie wysiadła z cruisera i podeszła do nich. Jej policyjne buty chrzęściły na żwirze. Gdy tak stały we trzy przy samochodzie, chmury się rozwiały, ukazując blady księżyc.

– Wsiądź do wozu, Peanut. Ja odprowadzą Julię do wejścia.

Peanut na pożegnanie zamachała palcami jak pensjonarka i wsiadła do cruisera, zatrzaskując drzwi.

Siostry ruszyły ścieżką do biblioteki. Gdy zbliżyły się do wejścia, księżyc oświetlił plakat z hasłem: *Czytanie to zabawa*, który wisiał na drzwiach.

Ellie włożyła klucz do zamka i otworzyła drzwi. Zapaliła światło. Potem spojrzała na Julię.

– Potrafisz pomóc tej małej?

Gniew Julii już się ulotnił, podobnie jak strach. Obie znowu weszły w swoje role i zaczęły rozmawiać o zasadniczych sprawach.

– Tak. Czy są jakieś postępy w jej identyfikacji?

– Nie. Wprowadzamy do systemu jej dane: wzrost, wagę, kolor oczu i włosów, żeby zawęzić obszar poszukiwań. Sfotografowaliśmy blizny na jej nogach i ramieniu, i dołączamy te zdjęcia. Mała ma bardzo charakterystyczne znamię z tyłu lewego ramienia. To coś, z czym się urodziła i co może pomóc w ustaleniu tożsamości. FBI radzi zachować to w tajemnicy, żeby w razie czego eliminować wariatów i jakichś zboczeńców. Max wysłał jej sukienkę do laboratorium, żeby zbadali włókno, ale jestem pewna, że została uszyta w domu, więc producenta raczej nie ustalimy. Może badanie DNA coś da, ale to mało prawdopodobne. Odciski palców nie odpowiadają żadnym w kartotece dzieci zaginionych. Oczywiście, to nic niezwykłego. Rodzice zwykle nie zdejmują dzieciom odcisków palców. Ustaliliśmy grupę krwi, więc jeśli ktoś się zgłosi, możemy mu zrobić test DNA. – Ellie westchnęła. – Innymi słowy, mamy nadzieję, że jej matka przeczyta jutrzejsze gazety i zgłosi się do nas. A może tobie uda się nakłonić małą, żeby powiedziała, jak się nazywa.

– A jeśli to matka ją związała i zostawiła w lesie, żeby tam umarła?

Ellie przyjęła to ze spokojem. Oczywiście, myślała o tym. Obie wiedziały, że za większością porwań stoją właśnie członkowie rodzin. Takie przypadki jak sprawa Elizabeth Smart [4] należały do rzadkości.

– Więc lepiej wydobądź z niej prawdę – powiedziała spokojnie. – Tylko w ten sposób będziemy mogli jej pomóc.

– Nie ma to jak lekka presja.

– Ja też ją odczuwam, możesz mi wierzyć. Jeszcze w zeszłym tygodniu najcięższym z moich obowiązków było odbieranie kluczyków od wozu pijanym klientom The Pour House w piątkowy wieczór.

– Weźmy się do tego krok po kroku. Przede wszystkim potrzebuję miejsca, w którym mogłabym pracować z dziewczynką.

– Zajmę się tym.

– To dobrze. – Julia się uśmiechnęła. – Nie czekaj dziś na mnie. Wrócę późno. – Przekroczyła próg biblioteki i stanęła na brązowej wykładzinie.

Ellie dotknęła jej ramienia.

– Jules…?

Julia odwróciła się. Twarz siostry była częściowo pogrążona w mroku.

– Tak?

– Wierzę, że sobie poradzisz…

Julia była zdziwiona tym, że tak wiele to dla niej znaczyło. Bała się, że jej głos nie zabrzmi normalnie, więc nawet nie podziękowała siostrze. Kiwnęła tylko głową, odwróciła się i weszła do jasno oświetlonego pomieszczenia. Usłyszała, jak Ellie wzdycha ciężko i mówi:

– I w ogóle wierzę w ciebie, siostro. Wiem, że odnajdziesz rodzinę tej małej.

Potem drzwi się zamknęły.

Julia się skrzywiła. Nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby odwzajemnić siostrze serdeczność. Zawsze uważała, że Ellie nie potrzebuje aprobaty ani żadnych pochwał. Oczekiwała, że świat będzie ją kochał, i tak się działo. Dziwnie było dostrzec nagle drugą jej twarz. Ellie jednak miała w sobie wrażliwość, pewną kruchość, sprzeczną z wizerunkiem twardej dziewczyny, królowej piękności, który pokazywała światu. W końcu więc pod pewnym względem były do siebie podobne.

Julia obeszła stoły i ruszyła w stronę komputerów. Było ich pięć, o cztery więcej, niż się spodziewała. Stały na stolikach pod korkową tablicą, do której przypięte były obwoluty książek i informacje na temat miejscowych wydarzeń kulturalnych.

Wyjęła z teczki żółty blok z kartkami i czarne pióro, a potem z wewnętrznej kieszeni dyktafon. Wymieniła baterie, uruchomiła urządzenie i zaczęła nagrywać:

Taśma pierwsza, nazwisko pacjenta nieznane.

Wcisnęła klawisz „stop”, usiadła na twardym drewnianym krześle i przysunęła się bliżej ekranu. Komputer, bucząc, zaczął działać. Ekran się rozjaśnił. Po chwili Julia już surfowała po internecie i robiła notatki. Pisząc, mówiła do dyktafonu:

Przypadek numer jeden, pacjent: dziecko płci żeńskiej, wiek nieznany. Może mieć od pięciu do siedmiu lat. Imię i nazwisko nieznane.

Dziecko wykazuje ograniczoną zdolność mówienia albo nie mówi w ogóle. Stwierdzono u niego poważne odwodnienie i niedożywienie. Liczne blizny po więzach, występujące na ciele, sugerują głęboki uraz z przeszłości. Daje się zauważyć opóźnienie w procesie socjalizacji, a także reakcje nieadekwatne do wieku. Dziewczynka pozostaje w całkowitym bezruchu przez wiele godzin, co jakiś czas wykazując duże podniecenie i irytację. Boi się błyszczących metalowych przedmiotów oraz wykonanych z kolorowych tworzyw.

Wstępna diagnoza: autyzm.

Wyłączyła magnetofon, marszcząc brwi. Coś jej tu nie pasowało. Wpisała w wyszukiwarkę „autyzm, symptomy” i przeczytała listę zachowań wiązanych z autyzmem. Nie znalazła wśród nich żadnych nowych informacji:

– opóźnienie rozwoju mowy

– czasami niezdolność do nauki języka

– brak uczucia przyjemności przy dotyku

– unikanie kontaktu wzrokowego / niezdolność nawiązania takiego kontaktu

– izolowanie się od otoczenia

– wrażenie głuchoty, spowodowane ignorowaniem dźwięków / świata zewnętrznego

– gwałtowne napady złego humoru

– niezrozumiałe mamrotanie

– możliwe niezwykłe uzdolnienia, często w zakresie matematyki, muzyki czy rysunku

– niezdolność nawiązania odpowiednich do wieku relacji z ludźmi.

Lista ciągnęła się dalej. Według kryteriów DSM-IV u pacjenta, który wykazuje zespół tych objawów, można zdiagnozować autyzm. Niestety, Julia obserwowała dziewczynkę za krótko, żeby odpowiedzieć na wiele pytań dotyczących jej zachowania. Na przykład: czy lubi być dotykana, czy potrafi odwzajemniać uczucia. Tego nie wiedziała.

Miała jednak intuicję.

Czuła, że dziewczynka potrafił mówić, przynajmniej w jakimś stopniu, że słyszy i rozumie pewne słowa. O dziwo, była nawet przekonana, że jej reakcje są normalne; to raczej świat wokół był nienormalny.

Nie było sensu analizować zbliżonych do autyzmu zaburzeń – zespołu Aspergera, zespołu Retta, rozpadu osobowości czy innych. Po prostu miała za mało informacji. Na kartce zanotowała: *Jutro zbadać interakcje z otoczeniem, schematy zachowań (jeśli są), zdolności motoryczne*.

Założyła skuwkę na pióro i postukała nim o stół.

Miała wrażenie, że czegoś tu brakuje. Wróciła do komputera i zaczęła szukać, choć nie wiedziała, czego.

Przez następne dwie godziny notowała wszystko, co udało jej się znaleźć w związku z zaburzeniami behawioralnymi czy emocjonalnymi u dzieci, ale nic nie przyniosło przełomu w jej poszukiwaniach. Wreszcie około jede-

nastej wpisała do wyszukiwarki hasło „zaginione dzieci”. Ukazały się linki witryn filmowych i stron poświęconych porwanym dzieciom. Tym zajmowała się jej siostra. Dopisała słowo „las”, żeby sprawdzić, ile jest wypadków dzieci zagubionych albo porzuconych w lasach czy parkach narodowych.

Ukazało się hasło „dzikie dzieci”. Nie spotkała się z tym terminem od czasów szkolnych. Poniżej widniał fragment zdania: …*zagubione albo porzucone dzieci, wychowywane przez wilki czy niedźwiedzie w głębokich lasach, mogą sprawiać wrażenie…*

Przesunęła kursor i kliknęła. Na ekranie pojawił się tekst:

Dzikie dzieci to zagubione, porzucone albo zapomniane dzieci, które zdołały przeżyć w warunkach całkowitej izolacji od świata ludzi. Wychowywane przez wilki czy niedźwiedzie występują przeważnie w podaniach i legendach, chociaż istnieje także kilka naukowo potwierdzonych przypadków. Do znanych należą:

– trzej młodzi Węgrzy, wychowani przez niedźwiedzicę (XVII wiek)

– dziewczynka z Oranienburga (1717)

– Peter, dziki chłopiec (1726)

– Victor z Aveyron (1797)

– Kaspar Hauser (1828)

– Kamala i Amala z Indii (1920)

– Genie (1970).

Ostatni z wymienionych przypadków pochodził z lat dziewięćdziesiątych. Dziewczynka z Ukrainy, Oksana Malajer, podobno wychowywała się z psami do wieku ośmiu lat. Nigdy nie nauczyła się mówić. Obecnie, mając lat dwadzieścia jeden, mieszkała w ośrodku dla upośledzonych umysłowo.

Julia nacisnęła klawisz „drukuj”.

To nieprawdopodobne, żeby znaleziona w Rain Valley dziewczynka była dzikim dzieckiem…

Ale wilczek…

I sposób, w jaki jadła…

Gdyby rzeczywiście tak było…

To dziecko mogło się nabawić takich urazów, z jakimi Julia jeszcze nie zetknęła się podczas swojej praktyki zawodowej, i istniała groźba, że bez wszechstronnej pomocy zginie we współczesnym świecie jak kiedyś w lesie.

Julia pochyliła się i wzięła plik kartek z drukarki. Na wierzchu leżała czarno-biała fotografia małej dziewczynki, która zdawała się na nią patrzeć. Dziecko wyglądało na przestraszone i jakby nieobecne. Podpis pod zdjęciem informował: *Genie. Po dwunastu latach maltretowania i izolacji stała się sensacją dla mediów. Była współczesnym odpowiednikiem dzikich dzieci, wychowanym na przedmieściu jednego z kalifornijskich miast. Ocalona z koszmaru, przez krótki czas znalazła się w świetle reflektorów, a potem, jak wszystkie dzikie dzieci wcześniej, została zapomniana przez lekarzy i naukowców i pozostawiona własnemu losowi; skończyła w zakładzie dla umysłowo chorych*.

Julia nie mogła sobie wyobrazić lekarza, który wykorzystałby dziecko po takich przejściach dla kariery naukowej, ale wiedziała, że prędzej czy później tego pokroju ludzie przyjdą po dziewczynkę z Rain Valley. Jeśli rzeczywiście jej historia była tak tragiczna, jak przypuszczała Julia, na pewno znalazłaby się na pierwszych stronach gazet.

– Nie pozwolę, żeby znów ktoś cię skrzywdził – przysięgła małej dziewczynce, śpiącej w szpitalu. – Obiecuję.

7

O ósmej wieczorem wreszcie skończyły się telefony. Były ich dziesiątki, dotyczyły głównie faktów przedstawionych na konferencji prasowej, choć dzwonili także dziennikarze, którzy wprawdzie nie zadali sobie trudu, by na nią przyjechać, ale jakimś cudem zwietrzyli sensację. Poza tym, oczywiście, nieprzerwanym strumieniem napływali miejscowi, chcąc zdobyć jakiekolwiek informacje o niezwykłym gościu Rain Valley.

– Cisza przed burzą – stwierdziła Peanut.

Ellie podniosła głowę znad dokumentów leżących na biurku i zobaczyła, że przyjaciółka zapala papierosa.

– Pytałam. Mruknięciem wyraziłaś zgodę – powiedziała Peanut, zanim szefowa zdążyła zaprotestować.

Ellie jednak nie chciało się kłócić.

– Co z tą burzą?

– Teraz zapanowała cisza. Ale jutro rozpęta się piekło. Oglądam Court TV, no wiesz. Dziś byli tu dziennikarze z kilku lokalnych stacji i gazet. Wystarczy jeden sensacyjny artykuł o latającej dziewczynce z wilkiem i machina ruszy. Każdy reporter w tym kraju będzie chciał zrobić z tego materiał. – Pokręciła głową, wydmuchując dym i kaszląc. – Biedna mała. Jak my ją ochronimy?

– Właśnie nad tym pracuję.

– Jak będziemy mogli zaufać tym, którzy się po nią zgłoszą?

To było pytanie, które prześladowało Ellie i stanowiło główną przyczynę jej niepokoju.

– Gnębi mnie to od samego początku, Peanut. Nie chcę oddać jej ludziom, którzy ją skrzywdzili, ale mam cholernie mało dowodów. Intuicja to niewystarczająca podstawa w obecnym systemie prawnym. Mam nadzieję, że jest jakieś zgłoszenie porwania. Czy to nie smutne? Z chęcią zwróciłabym rodzinie małą dziewczynkę, która została uprowadzona z domu. Byłyby jakieś próbki krwi i podejrzany. Ale to może nie być takie proste… – Wzruszyła ramionami. – Potrzebuję pomocy chłopców z góry.

– Bez dowodów przestępstwa będą próbowali wyłgać się od tej sprawy jak złodzieje od konfrontacji. Zechcą, żebyś to ty odwaliła najcięższą robotę. Władze stanowe mogłyby się włączyć, ale tylko po to, żeby przetrzymać małą. To już nam powiedzieli.

Ellie przez całą noc zastanawiała się nad różnymi ewentualnościami i możliwymi konsekwencjami. Nie była jednak bliżej rozstrzygnięcia niż na początku tych rozmyślań.

– Chyba wszystko zależy od Julii. Jeśli wydobędzie coś z dziewczynki, to zyskamy jakiś punkt wyjścia.

– Jeśli mała w ogóle umie mówić, chcesz powiedzieć.

– To już Julii problem, ale jeśli ktoś potrafi pomóc tej dziewczynce, to właśnie moja siostra. Naszym zadaniem jest teraz znalezienie jej miejsca do pracy. – Ellie postukała długopisem o biurko.

Peanut znowu zaniosła się kaszlem.

– Daj sobie z tym spokój, Peanut. Jesteś najgorszym palaczem, jakiego w życiu widziałam.

– W tym tygodniu przytyłam jeszcze pół kilograma. Wracam do zupy z kapusty. Albo marchewek. – Peanut zgasiła papierosa. – Hej, a co myślisz o starym tartaku? Nikt by jej tam nie szukał.

– Za zimno. I nie ma żadnych zabezpieczeń. Jakiś wścibski fotoreporter mógłby znaleźć sposób, żeby się tam dostać. Do tartaku prowadzą cztery drogi i trzeba by obstawić co najmniej sześć wejść. Poza tym to własność publiczna.

– Szpital okręgowy?

– Za dużo pracowników. Prędzej czy później ktoś się wygada. – Ellie zmarszczyła czoło. – Potrzebujemy cichego, odosobnionego miejsca.

– W Rain Valley? Chyba żartujesz. To miasteczko żyje plotkami. Wszyscy będą chcieli rozmawiać z prasą.

No jasne. Odpowiedź była tak oczywista, że nie mogła pojąć, dlaczego wcześniej na to nie wpadła. To było jak kiedyś w szkole średniej, gdy ukradli listę obecności w dzień wagarowicza. Całą akcję zaplanowała właśnie Ellie.

– Zadzwoń do Daisy Grimm – poleciła.

Peanut spojrzała na zegar.

– W telewizji leci właśnie *The Bachelor*.

– Nieważne. Zadzwoń do niej. Chcę, żeby wszyscy, którzy coś znaczą w tym miasteczku, zebrali się o szóstej rano w kościele kongregacjonistów.

– Zebranie mieszkańców? W jakiej sprawie?

– To ściśle tajne.

– Tajne zebranie mieszkańców, w dodatku o świcie. Ależ to dramatyczne. – Peanut wyciągnęła długopis z niedbale upiętych w kok kasztanowatych włosów. – Co będzie tematem?

– Oczywiście, latająca dziewczynka z wilkiem. Jeśli miasteczko chce plotkować, damy im pożywkę.

– O rany! To dopiero będzie ubaw!

Przez następną godzinę Ellie pracowała nad planem, podczas gdy Peanut obdzwaniała przyjaciół i sąsiadów. O dziesiątej wszystko było przygotowane.

Ellie popatrzyła na wzór oświadczenia, które opracowała. Brzmiało nieźle.

Ja, ……, zobowiązuję się zachować w całkowitej tajemnicy wszelkie informacje o dziewczynce z wilkiem. Przysięgam, że nikomu nie powiem o tym, czego dowiedziałem/łam się na spotkaniu mieszkańców 19 października. Rain Valley może na mnie liczyć.

…… *(podpis)*

– W sądzie to nie będzie miało mocy prawnej – powiedziała Peanut, podchodząc do Ellie.

– Czyżbyś była Perrym Masonem [5]?

– Oglądam regularnie *Boston Legal* i *Law and Order*.

Ellie przewróciła oczami.

– Nie musi mieć mocy prawnej, tylko ma tak wyglądać. Co mieszkańcy naszego miasteczka lubią najbardziej?

– Parady?

Ellie musiała jej przyznać rację.

– No dobra, a w drugiej kolejności?

– Wyprzedaż na zasadzie „dwa w cenie jednego”?

– Plotki – podpowiedziała, wiedząc, że Peanut może tak zgadywać do rana. – I tajemnice. – Wstała i zdjęła płaszcz z wieszaka. – Jedynym problemem będzie Julia.

– Dlaczego?

– Nie spodoba jej się pomysł tego spotkania mieszkańców.

– Dlaczego?

– Pamiętasz, jak czuła się w miasteczku. Nikt nie wiedział, co o niej sądzić. Siedziała wciąż z nosem w książkach. Nie rozmawiała z nikim oprócz mamy.

– To było dawno temu. Już się nie przejmuje tym, co ludzie o niej myślą. Jest lekarzem, na miłość boską!

– Przejmuje się – stwierdziła Ellie z westchnieniem. – Tak jak dawniej.

Max jest głęboko w ciemnym, zielonym lesie. W górze, w powiewach niewidzialnego wiatru, szeleszczą liście. Chmury maskują srebrzysty księżyc, na ziemię spływa tylko jego poświata. A może to pamięć.

Dziewczynka siedzi przykucnięta na gałęzi, obserwując go. Jest tak nieruchoma, że aż się dziwi, że ją dostrzegł.

– Hej – szepcze do niej, wyciągając rękę.

Ona zeskakuje bezdźwięcznie na wyłożoną dywanem podłogę. Potem ucieka na czworakach.

Odnajduje ją w jaskini, związaną i krwawiącą. Przestraszoną. Wydaje mu się, że słyszy, jak dziewczynka mówi: „Pomocy!”, a potem znika. Na jej miejscu jest teraz mały chłopiec z jasnymi włosami. Wyciąga rączki, płacze…

Max obudził się przestraszony. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. Wokół siebie zobaczył jasnoróżowe ściany i falbanki… kolekcję szklanych figurek na półce… elfy i czarowników… wazon z jedwabnymi różami na stoliku przy łóżku i dwa puste kieliszki po winie.

Trudi.

Leżała przy nim, pogrążona we śnie. W świetle księżyca jej nagie plecy wydawały się białe. Nie mógł się powstrzymać i pogładził je. Pod wpływem jego dotyku obróciła się i uśmiechnęła do niego.

– Idziesz już? – zapytała szeptem, a jej głos zabrzmiał nisko i gardłowo.

Skinął głową.

Uniosła się na łokciach, ukazując nagie piersi.

– Co cię gryzie, Max? Całą noc byłeś… jakby nieobecny.

– Myślę o tej dziewczynce – odpowiedział po prostu.

Wyciągnęła rękę i przesunęła palcem z długim paznokciem po jego kości policzkowej.

– Tak przypuszczałam. Wiem, jak boli cię krzywda dzieci.

– Dobrą wybrałem sobie pracę, co?

– Od czasu do czasu każdy się czymś przejmuje.

Odniósł wrażenie w tym mętnym świetle, że Trudi posmutniała, ale nie był tego pewien.

– Możesz ze mną porozmawiać, jeśli chcesz – dodała.

– Rozmowa to nie nasza specjalność. Dlatego dobrze nam ze sobą.

– Dobrze nam ze sobą, bo nie chcę się zakochać.

Zaśmiał się.

– A ja?

Uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Do zobaczenia, Max.

Pocałował ją w ramię i zaczął zbierać części swojej garderoby. Już ubrany, pochylił się nad nią i szepnął:

– Pa! – A potem wyszedł.

Parę minut później pędził już na motocyklu pustą, czarną wstęgą drogi. Odruchowo o mało co nie skręcił na dawną szosę; przypomniał sobie jednak, dlaczego wyjechał od Trudi. Ten sen…

Pacjentka.

Pomyślał o małej, biednej dziewczynce, samej w pokoju.

Dzieci boją się ciemności.

Skręcił w przeciwną stronę i dodał gazu. Przed szpitalem zaparkował obok zdezelowanego czerwonego pikapu Penelope Nutter i wszedł do budynku.

Korytarze były niemal puste i ciche, kręciło się po nich tylko kilka dyżurnych pielęgniarek. Zwykłe hałasy ucichły, tak że Max słyszał miarowy odgłos swoich kroków. Zatrzymał się przy stanowisku pielęgniarek, żeby wziąć kartę dziewczynki i zapytać, jak dziecko się ma.

– Dzień dobry, panie doktorze – powiedziała dyżurna pielęgniarka. Wydawała się tak zmęczona jak on.

– Janet, ile razy cię prosiłem, żebyś mówiła do mnie Max?

Dziewczyna zachichotała i oblała się rumieńcem.

– Zbyt wiele.

Max poklepał ją po pulchnej ręce. Przed laty, kiedy poznał Janet, widział tylko jej sztuczne rzęsy w stylu Tammy Faye [6] i fryzurę Marge Simpson [7].

Teraz, gdy się uśmiechała, dostrzegał dobroć, w którą większość ludzi nie wierzy.

– Nie tracę nadziei – odparł.

Słuchając jej dziewczęcego śmiechu, skierował się do dawnej świetlicy. Znalazłszy się tam, spojrzał przez szybę do środka; spodziewał się, że zobaczy dziewczynkę zwiniętą w kłębek na materacu, śpiącą w ciemności. Tymczasem światło było włączone, a na krzesełku przy malutkim stoliku siedziała Julia. Na kolanach trzymała otwarty notatnik, a na blacie, przy jej łokciu, leżał dyktafon. Chociaż Max widział tylko jej profil, wydała mu się spokojna, wręcz pogodna.

Dziewczynka zaś przeciwnie – była bardzo pobudzona. Rzucała się po pokoju, wykonując dziwne, powtarzające się gesty. Potem nagle zamarła i odwróciła się ku Julii.

Julia coś powiedziała. Max przez szybę nie dosłyszał co.

Dziewczynka smarknęła na podłogę i pokręciła głową. Kiedy zaczęła orać sobie paznokciami policzki aż do krwi, Julia podbiegła i wzięła ją w objęcia.

Mała walczyła jak kotka, ale Julia jej nie puszczała. Potknęły się i razem przewróciły na materac.

Julia trzymała ją mocno w ramionach, nie zważając na smarki wiszące dziewczynce u nosa i jej gwałtowne ruchy głową. Potem zaczęła śpiewać – Max zorientował się po kadencji jej głosu, po tym, jak dźwięki przechodziły płynnie jedne w drugie.

Podszedł do drzwi i otworzył je najciszej, jak mógł. Towarzyszyło temu jednak lekkie skrzypnięcie.

Dziewczynka natychmiast spojrzała na niego i znieruchomiała, prychając ze strachu.

Julia śpiewała:

– *…melodia stara jak świat… słowa stare jak wiersz… piękna i bestia*.

Stał jak zauroczony dźwiękiem jej głosu.

Obejmowała dziewczynkę, głaskała ją po włosach i śpiewała nadal. Nawet nie spojrzała w stronę drzwi.

Powoli upływały minuty. Po *Pięknej i bestii* nastąpiły kolejne piosenki, najpierw *Mała petunia na polu cebuli*, potem *Gdzieś ponad tęczą* i wreszcie *Wyczaruj w powietrzu magicznego smoka*.

Oczy dziewczynki zamykały się i otwierały na powrót.

Biedactwo ze wszystkich sił starało się nie usnąć.

A Julia wciąż śpiewała.

W końcu dziewczynka włożyła kciuk do buzi, zaczęła go ssać i zasnęła.

Bardzo delikatnie Julia ułożyła ją na materacu i przykryła kocami, po czym wróciła do stolika, żeby zebrać notatki.

Max wiedział, że powinien się wycofać, zanim go zauważy, ale nie ruszył się z miejsca. Głos Julii go jakby urzekł, podobnie odblask księżyca na jej włosach i skórze.

– Zdaje się, że lubisz patrzeć – powiedziała, nie unosząc głowy.

Mógłby przysiąc, że ani razu nie spojrzała w kierunku drzwi, a jednak wiedziała, że on tu jest.

Podszedł do niej.

– Ty nic nie przeoczysz, prawda?

Włożyła ostatnią kartkę do teczki i popatrzyła na niego.

– Zdarza mi się przeoczyć wiele.

Jej cera sprawiała wrażenie popielatej w tym przyćmionym świetle; zadrapania na policzkach były ciemne i wyglądały niepokojąco. Na czole miała żółtego siniaka. Ale najbardziej uderzyły go jej oczy. Mówiła tak cicho, że dopiero po chwili dotarło do niego, co powiedziała.

„Zdarza mi się przeoczyć wiele”.

Miała na myśli swoją pacjentkę, która zastrzeliła tamte dzieci w Silverwood, a potem popełniła samobójstwo. Rozumiał ją, wiedział, co to poczucie winy.

– Chyba dobrze by ci zrobiła filiżanka kawy.

– Kawy? O pierwszej w nocy? Nie sądzę, ale dziękuję ci.

Minęła go i wyszła z pokoju. Gdy i on znalazł się na zewnątrz, zamknęła drzwi.

– A może coś zjesz? – zapytał, gdy ruszyła korytarzem. – Szarlotka jest dobra o każdej porze.

Zatrzymała się i odwróciła.

– Szarlotka?

Podszedł do niej, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

– Wiedziałem, że cię skuszę.

Roześmiała się i chociaż był to śmiech osoby zmęczonej, trochę wymuszony, sprawił Maxowi przyjemność.

– Skusiło mnie ciasto – zastrzegła.

Zaprowadził ją do bufetu i włączył światło. W nocy nikogo tam nie było; przeszklona lada świeciła pustką.

– Usiądź sobie.

Max wszedł swobodnie za kontuar i udał się do kuchni, gdzie znalazł dwa kawałki szarlotki, na które nałożył lodów waniliowych. Zaparzył dwie filiżanki ziół, zaniósł to wszystko na tacy do jadalni i postawił przed Julią.

– Napar z rumianku. Żebyś łatwiej zasnęła – wyjaśnił, siadając naprzeciw niej. – I ciasto. Miejscowa specjalność.

Podał jej widelczyk.

Patrzyła na niego, lekko marszcząc brwi.

– Dzięki – powiedziała po chwili.

– Nie ma za co.

– Doktorze Cerrasin – odezwała się po dłuższej przerwie – zawsze o tej porze zwabia pan współpracowników do bufetu na placek?

Uśmiechnął się.

– Jeśli mówiąc „współpracownicy”, masz na myśli lekarzy, to nie ma nas tu wielu. Szczerze mówiąc, od wieków nie zaprosiłem starego doktora Fischera na ciasto.

– A co z pielęgniarkami?

Usłyszał dziwną nutę w jej głosie i uniósł głowę. Przyglądała mu się znad beżowej porcelanowej filiżanki. Krytycznie.

– To brzmi, jakbyś pytała o moje życie miłosne. – Znowu się uśmiechnął. – Mam rację, Julio?

– Życie miłosne? – Położyła nacisk na słowo „miłosne”. – A masz je? Byłabym zdziwiona.

Spoważniał.

– Wydaje ci się, że wszystko o mnie wiesz.

Wzięła do ust kawałek ciasta.

– Powiedzmy, że znam facetów w twoim typie.

– To nieprawda. Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz. Nic o mnie nie wiesz, Julio.

– W porządku, niech będzie. To może opowiesz mi o sobie? Jesteś żonaty?

– Pierwsze interesujące pytanie. Nie. A ty?

– Też nie.

– A byłaś zamężna?

– Nie.

– A zaręczona chociaż?

Na chwilę spuściła wzrok. Nie musiał już pytać. Ktoś złamał jej serce. Założyłby się, że nawet niedawno.

– Tak. A ty? Byłeś żonaty?

– Dawno temu.

To ją zdziwiło.

– Masz dzieci?

– Nie.

Spojrzała na niego uważnie, jakby coś dosłyszała w jego głosie. Ich spojrzenia się spotkały. W końcu się uśmiechnęła.

– Więc chyba możesz jadać szarlotkę, z kim tylko ci się podoba.

– Owszem.

– Pewnie jadłeś ją już ze wszystkimi kobietami z miasteczka.

– Przeceniasz mnie. Mężatki pieką ciasta w domu.

– A moja siostra?

Jego uśmiech stężał. Ten flirt nagle przestał być nieszkodliwy.

– Co z twoją siostrą?

– Czy z nią… jadłeś szarlotkę?

– Dżentelmen nie odpowiada na takie pytania, prawda?

– Więc jesteś dżentelmenem.

– Oczywiście, że tak. – Poczuł się skrępowany przebiegiem tej rozmowy. – Jak twoja twarz? Zadrapania nie wyglądają najlepiej.

– Nam, psychiatrom, czasami zdarza się oberwać. Ryzyko zawodowe.

– Nigdy nie wiesz, do czego pacjent może się posunąć, co?

Spojrzała mu w oczy.

– Powinnam wiedzieć, na tym polega moja praca. Ale, jak już wszystkim wiadomo, jednak coś uszło mojej uwagi.

Nie potrafił na to zareagować, nie przychodziło mu do głowy żadne pocieszenie, więc milczał.

– Nie powie pan żadnego banału, doktorze Cerrasin? Żadnych tekstów w stylu: „Bóg nie zsyła na ciebie więcej, niż możesz znieść”?

– Mów mi Max. Proszę. – Spojrzał na nią. – Czasami Bóg przetrąca ci cholerny kręgosłup.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim Julia odezwała się znowu:

– Jak przetrącił go tobie, Max?

Podniósł się i stanął obok niej.

– Miło się z tobą gawędzi, ale o siódmej muszę być w pracy…

Julia odstawiła naczynia na tacę i również wstała.

Max zaniósł tacę do kuchni i wstawił naczynia do zmywarki. Potem ruszyli razem pustymi, cichymi korytarzami i wyszli na parking.

– Jeżdżę tym czerwonym pikapem – poinformowała, szukając kluczyków w torebce.

Max otworzył jej drzwi.

Spojrzała na niego.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo.

Zatrzymała się na chwilę, po czym powiedziała:

– Jeśli o mnie chodzi, z szarlotkami koniec. Tak na przyszłość. Dobrze?

Zmarszczył czoło.

– Ale…

– Jeszcze raz dzięki.

Wsiadła do wozu, zatrzasnęła drzwi i odjechała.

8

Julia nie pozwoliła sobie myśleć o Maksie. Miała już wystarczająco dużo problemów, żeby zawracać sobie głowę jeszcze małomiasteczkowym uwodzicielem. Co z tego, że ją zaintrygował? Max był niewątpliwie typem gracza, a ją nie interesowały ani podobne gierki, ani mężczyźni, którzy się w nie bawią. Tego nauczył ją związek z Philipem.

Skręciła w Olympic Drive. Była to najstarsza część miasteczka, zbudowana jeszcze w latach trzydziestych dla rodzin pracowników tartaku.

Przejazd przez te okolice był jak podróż w czasie. Zatrzymała wóz przy rozjeździe i wtedy zobaczyła go w świetle reflektorów.

Skład drewna. W ciemności nie mogła odczytać tekstu na pomarańczowym afiszu, który wisiał w oknie. Ale wiedziała, co jest na nim napisane: *Ta społeczność żyje z drewna*. Takie same afisze wisiały w całym miasteczku od czasu, gdy puszczyk plamisty został wzięty pod ochronę.

Ten skład znajdował się w sercu West Endu. Latem otwierano go już o trzeciej nad ranem. O tej porze zjawiali się tu tacy ludzie jak jej ojciec, którzy nie mogli doczekać się początku dnia.

Zdjęła stopę z gazu i wolno przejechała przez mgłę. Tak często siedziała pod tym składem w półciężarówce ojca, czekając na niego.

Ojciec był operatorem piły. Operator piły tak się miał do zwykłego drwala, jak chirurg do internisty. Ojciec jechał do lasu już wczesnym rankiem, wcześniej niż koledzy, sam. Zawsze był sam. Jego przyjaciele – inni operatorzy – tracili życie tak często, że przestało to robić na kimkolwiek wrażenie. On jednak uwielbiał swój zawód: przypinał raki, brał linę i wspinał się na drzewo wysokości sześćdziesięciu metrów. Oczywiście, była to praca dla ludzi lubiących niebezpieczeństwo, niosła groźbę śmierci niemal każdego dnia, choć i pieniądze dla zrekompensowania ryzyka.

Wszyscy wiedzieli, że to tylko kwestia czasu, kiedy i on zginie.

Za mocno przycisnęła pedał gazu. Stary pikap wyrwał do przodu i silnik zgasł. Julia ponownie go uruchomiła, wrzuciła pierwszy bieg i skierowała się na starą szosę.

Nic dziwnego, że została w szpitalu tak długo. Mówiła sobie, że to z powodu dziewczynki, wspaniałego zadania, jakie przed nią stało, ale była to tylko część prawdy. Po prostu odkładała powrót do domu, z którym wiązało się tak wiele wspomnień.

Zaparkowała samochód i weszła do środka. Dom był pełen cieni i zarysów znajomych przedmiotów. Ellie z myślą o niej zostawiła na schodach zapalone światło; tak samo zawsze robiła mama, i Julia na widok złotego blasku, padającego na wytarte drewniane stopnie, poczuła w sercu tęsknotę. Matka zawsze na nią czekała. Nigdy nie poszła spać, nie ucałowawszy jej na dobranoc. Niezależnie od tego, jak bardzo rodzice się pokłócili, Julia zawsze dostawała od matki całusa. Miała trzynaście lat, kiedy otworzyły jej się oczy; tak przynajmniej teraz o tym myślała. W ciągu jednego dnia przestała wierzyć, że jej rodzina jest szczęśliwa, i poznała całą prawdę. Matka przyszła do niej wieczorem z podbitym okiem i śladami łez na policzkach. Julia zadała tylko kilka pytań i matka zaczęła mówić.

„To twój ociec – powiedziała szeptem. – Nie powinnam o tym z tobą rozmawiać, ale…”.

Następne słowa były jedną wielką skargą. Sprawiły, że rodzina Julii i jej świat nagle się rozpadły. Najgorsze, że mama nigdy nie opowiedziała tego Ellie.

Julia weszła po schodach. W maleńkiej łazience na pierwszym piętrze, która przylegała do dawnej sypialni dziewcząt, wyszorowała zęby, umyła twarz i wślizgnęła się w jedwabną piżamę, którą przywiozła ze sobą z Beverly Hills, a potem wróciła do pokoju.

Na poduszce leżał liścik. Informacja, napisana zamaszystym pismem Ellie, brzmiała: *Spotkanie w kościele kongregacjonalistów o szóstej rano w sprawie nowego lokum dla dziewczynki. Bądź gotowa do wyjścia o 5.45*.

Dobrze. Siostra zaczęła działać.

Julia nie kładła się jeszcze przez godzinę; przygotowała dokumenty wymagane od kandydatów na rodziców zastępczych, a potem położyła się do łóżka i zgasiła światło. Zasnęła niemal natychmiast.

O czwartej obudziła się nagle.

Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Zobaczyła jednak na biurku pozytywkę i figurkę baletnicy i wszystko sobie przypomniała. Powrócił też do niej sen, który miała. Znowu była w nim dziewczynką, tamtą dziewczynką. Chudą niezgrabą, „dziwną” córką wspaniałego Toma Catesa.

Odrzuciła kołdrę i wstała z łóżka. W ciągu paru minut przebrała się w strój do joggingu i wybiegła z domu ku starej szosie, kierując się w stronę parku narodowego.

O piątej piętnaście była już z powrotem pod domem, ciężko dysząc i znowu we własnej skórze.

Blade światło przedświtu, rozmyte jak wszystko w tym wilgotnym klimacie, sączyło się zza szpaleru świerków, które rosły nad rzeką.

Nie miała takiego zamiaru, nawet nie chciała, ale zanim się zorientowała, nogi same poniosły ją przez podwórko w stronę rzeki.

„Zabieraj się, mała. Zejdź mi z widoku. Nie mogę się skoncentrować na łowieniu ryb, gdy tak się przy mnie kręcisz”.

Nic dziwnego, że wyjechała z Rain Valley i nie chciała tu wracać.

Wspomnienia były wszędzie; zdawało się, że jak drzewa czerpią soki z ziemi i z deszczu.

Zawróciła i weszła do domu.

Julia i Ellie przyjechały na miejsce jako pierwsze. Zaparkowały przy wejściu do kościoła i wysiadły z wozu.

Ellie zaczęła coś mówić, ale jej słowa zagłuszył chrzęst kół na żwirowym podjeździe. Na parking wtaczały się kolejne samochody, które parkowały jeden przy drugim. Drzwi się otwierały, pasażerowie wysiadali. Wszyscy mówili naraz, głośno, skrzekliwie, przekrzykując się nawzajem. Każdy z przybyłych chciał wyrazić swoją opinię. Pierwsi wysiedli z wozu Earl i Myra. Earl ubrał się w mundur galowy, ale jego żona była w mechatym różowym sweterku. We włosach miała wałki, a na nich kolorową chustkę.

Ellie wzięła Julię pod ramię i pospiesznie weszła z nią do kościoła. Drzwi zamknęły się za nimi z trzaskiem.

Julia nie mogła opanować zdenerwowania. Irytowała ją ta własna słabość. Nie powinna już przejmować się byle czym. I nie przejmowałaby się, gdyby wróciła do domu w chwale, a nie pełna wstydu.

– Nie obchodzi mnie już, co o mnie myślą. Naprawdę. Więc dlaczego…

– Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak się wszystkim przejmujesz. Co z tego, że cię nie lubią?

– Takie kobiety jak ty tego nie rozumieją – powiedziała Julia.

I była to prawda. Ellie zawsze była lubiana. Nie miała pojęcia, że niektóre urazy odzywają się jak złamanie. Przy złej pogodzie mogą boleć jak diabli.

Drzwi znów otworzyły się z hukiem. Ludzie zaczęli napływać do kościoła, zajmując miejsca w rzędach dębowych ławek. Szum ich nakładających się głosów potężniał, przypominając odgłos blendera kruszącego lód. Max przyjechał jako jeden z ostatnich i usiadł z tyłu.

Ellie podeszła do pulpitu. Zaczekała do szóstej, potem dała znak Peanut, żeby zamknęła drzwi na klucz. W ciągu tych paru minut zebrani się uciszyli.

– Dziękuję wam wszystkim za przyjście – zaczęła. – Wiem, że jest bardzo wczesna pora, i doceniam waszą chęć pomocy.

– O co tu chodzi, Ellie? – zapytał ktoś z tyłu. – Za czterdzieści minut zaczyna się nasza zmiana.

– Zamknij się, Doug! – zawołał ktoś. – Daj jej powiedzieć.

– To ty się zamknij, Al. Chodzi o tę latającą dziewczynkę z wilkiem, co, Ellie?

Ellie uniosła ręce, dając znak, żeby się uciszyli. Wszyscy zamilkli.

– Rzeczywiście chodzi o tę dziewczynkę, która pojawiła się u nas.

Wśród zgromadzonych znowu zapanowało zamieszanie i posypały się kolejne pytania:

– Czy ona potrafi latać?!

– Gdzie teraz jest?!

– Gdzie jest wilk?!

Julię zdumiała cierpliwość siostry. Ellie nie przewracała oczami, nie złościła się, nie waliła pięścią w pulpit. Powiedziała tylko:

– Wilk jest u Floyda, w ośrodku łowieckim. Ma tam dobrą opiekę.

– Słyszałem, że ta mała je nogami! – krzyknął ktoś inny.

– I tylko surowe mięso!

Ellie wciągnęła powietrze w płuca. Był to znak, że zaczyna tracić cierpliwość.

– Posłuchajcie. Nie mamy wiele czasu. Zebraliśmy się tu, żeby ustalić jedną rzecz: czy chcemy zaopiekować się tym dzieckiem.

Z tłumu dało się słyszeć zwielokrotnione „tak”.

– To dobrze. – Ellie zwróciła się do Peanut: – Rozdaj oświadczenia. – Do zebranych zaś powiedziała: – Odczytam wasze nazwiska, a wy się zgłaszajcie, żebym wiedziała, kto jest obecny.

Odczytała nazwiska w porządku alfabetycznym, zaczynając od Herba Adamsa. Wywoływani potwierdzali swoją obecność, aż Ellie doszła do Morta Elzika, który się nie zgłosił.

– Nie ma go! – zawołał Earl.

– W porządku – stwierdziła Ellie. – Nic nie powiemy o tym spotkaniu i o dziewczynce ani Mortowi, ani nikomu, kto dziś tu nie przyszedł. Umowa stoi?

– Stoi – unisono odpowiedzieli zebrani.

– Ale czego mamy nie mówić, Ellie?

– No właśnie. Szybciej. Mam czarter za pół godziny.

– I tartak rusza.

Ellie znowu uniosła ręce, prosząc o ciszę.

– Dobrze. Jak już wiecie, przyjechała do nas, spiesząc z pomocą, moja siostra Julia. Potrzebuje ciszy i spokoju, a poza tym miejsca, w którym mogłaby pracować z dala od mediów.

Wstała Daisy Grimm. Miała na sobie dżinsowe ogrodniczki z aplikacjami w kształcie margerytek. Jej jaskrawy makijaż tak się odznaczał na tle mocno upudrowanej twarzy, że pewnie byłby widoczny nawet w ciemności.

– Czy twoja siostra naprawdę jest w stanie pomóc tej biednej małej? To znaczy… tak się zastanawiam po tym, co stało się w Kalifornii…

Zebrani zamilkli, czekając na odpowiedź.

– Usiądź, Daisy – powiedziała Ellie ostro. – Taki mamy plan. To rodzaj gry w kotka i myszkę. Będziecie… będziemy… rozmawiać z mediami jak gdyby nigdy nic. Gdy ktoś nas zapyta o miejsce pobytu dziewczynki, odpowiemy mu, niby to zdradzając poufną informację. Możecie podawać wszelkie miejsca, jakie tylko przyjdą wam do głowy, poza moim domem. Bo ona tam właśnie będzie. Nikt z dziennikarzy nie wkroczy na posesję szefa policji, a jeśli się odważy, już Jake i Elwood dadzą nam o tym znać.

– Mamy kłamać prasie? – zapytała Violet z lękiem.

– Tak. Może uda nam się ich zwodzić, dopóki nie poznamy tożsamości dziewczynki. I jeszcze jedno: ani słowa o Julii. Ani słowa.

– Takie małe krętactwo – powiedziała Marigold, podrygując jak podniecony szczeniak i klaskając w ręce. – Ale będzie zabawnie!

– Tylko pamiętajcie! – dodała Ellie. – Dopóki tego nie odwołam, Morta nie wtajemniczamy. Nikt poza osobami zgromadzonymi w tym budynku nie może znać prawdy.

Violet wybuchnęła śmiechem.

– Możesz na nas liczyć, Ellie! Ci reporterzy będą szukać małej aż po Yukon. I nie wiem, jak reszta z was, ale ja nigdy nie słyszałam o doktor Julii Cates. Dziewczynką zajmuje się przecież doktor Cerrasin.

9

Gdy Ellie parkowała samochód, Julia pobiegła do szpitala. Była już prawie przy dawnej świetlicy, gdy skręciwszy za róg, wpadła na jakiegoś mężczyznę.

Nieznajomy cofnął się, ofukując ją:

– Niech pani patrzy przed siebie…

Julia schyliła się po czarną brezentową torbę, którą mężczyzna upuścił.

– Przepraszam. Trochę się spieszę. Nic się panu nie stało? – Spojrzała na niego.

Wyrwał jej torbę i uniósł głowę.

Julia zmarszczyła brwi. Wydał jej się znajomy, z tymi krótko ostrzyżonymi rudymi włosami i okularami o opływowym kształcie jak butelka coca-coli.

– Czy ja pana znam?

– Nie. Przykro mi – wymamrotał, patrząc pod nogi. Potem bez słowa popędził przed siebie.

Julia westchnęła. Ludzie tak się wobec niej ostatnio zachowywali. Od czasu tragedii w Silverwood i tej gorączki w mediach nie wiedzieli, jak ją traktować.

Wzięła swoją teczkę i ruszyła dalej, do dawnej świetlicy.

Zaraz po niej zjawili się Peanut, Max i Ellie.

Wszyscy razem stanęli przed szybą. Pokój znajdujący się za nią był pełen cieni. Nad lampkami nocnymi, rozmieszczonymi w różnych miejscach, wyrastały jakby aureole światła, a z jedynego żyrandola na suficie, jaki pozostawili, spływała jasnozłota poświata.

Dziewczynka leżała na podłodze, skulona, obejmując ramionami podwinięte nogi. Obok znajdował się przykryty kocami materac. Z pewnej odległości i w nie najlepszym świetle można było odnieść wrażenie, że dziecko śpi.

– Ona wie, że na nią patrzymy – rzekła Peanut.

– Mnie się wydaje, że śpi – zauważyła Ellie.

– Jest na to zbyt nieruchoma – powiedziała Julia. – Peanut ma rację.

Peanut cmoknęła.

– Biedulka. Jak ją przenieść, żeby znowu się nie wystraszyła?

– Wsypiemy jej środek usypiający do soku jabłkowego – zaproponował Max. Zwrócił się do Julii: – Możesz ją nakłonić do picia?

– Chyba tak.

– To dobrze – odparł. – Spróbujmy więc, a jeśli się nie uda, zastosujemy plan B.

– A co przewiduje plan B? – zapytała Peanut, szeroko otwierając oczy.

– Zastrzyk.

Po półgodzinie Julia weszła do świetlicy i zapaliła światła. Chociaż jej pomocnicy odsunęli się od szyby, wiedziała, że stoją w mroku i obserwują ją.

Dziewczynka ani drgnęła. Leżała zwinięta jak ślimak, przyciskając do piersi podkulone nogi.

– Wiem, że nie śpisz – powiedziała Julia jak gdyby nigdy nic. Postawiła na stole tacę, którą przyniosła. Był na niej talerz z jajecznicą i tostem. W zielonym plastikowym kubku znajdował się sok jabłkowy.

Julia usiadła na krzesełku i ugryzła grzankę.

– Uuumm. Dobre, ale chce mi się po tym pić.

Udawała, że pociąga łyk z kubka.

Nic. Żadnej reakcji.

Siedziała tak prawie trzydzieści minut; udawała, że je i pije, mówiąc zbyt głośno do dziecka, które nie dawało znaku życia. A tu każda chwila miała znaczenie. Musieli przenieść dziewczynkę jak najszybciej, zanim zjawią się dziennikarze.

W końcu Julia wstała. Nogi krzesełka skrzypnęły przenikliwie na wyłożonej linoleum podłodze.

Zanim się zorientowała, co się dzieje, w pokoju zapanowało szaleństwo. Dziewczynka zaczęła krzyczeć, zerwała się na nogi, drapała się po twarzy i prychała.

– Nic się nie stało – zapewniła Julia spokojnie. – Jesteś zdenerwowana. Przestraszona. Znasz to słowo? Po prostu się przestraszyłaś. To był głośny, nieprzyjemny odgłos i obleciał cię strach. To wszystko. Nic ci się nie stało. Słyszysz, jak cicho?

Julia podeszła do dziewczynki, która stała w kącie, waląc głową o ścianę.

Łup, łup, łup.

Julia krzywiła się przy każdym uderzeniu.

– Jesteś zdenerwowana. Przestraszona. Nic się nie dzieje. Ja też się wzdrygnęłam na ten dźwięk. – Powoli wyciągnęła dłoń i położyła ją na chudym ramieniu dziecka. – Ciii – powiedziała.

Dziewczynka zamarła. Julia poczuła, jak mała napina ramię aż po bark, jak cała tężeje.

– Już wszystko dobrze. Wszystko w porządku. Nie bój się. Nie bój się.

Ujęła ją za drugie ramię i delikatnie odwróciła ku sobie.

Dziewczynka patrzyła na nią nieufnie zielononiebieskimi oczami. Na jej czole pojawił się purpurowy siniak, a zadrapania na twarzy krwawiły. Woń moczu, jaka od niej biła, wydawała się przytłaczająca.

– Nie bój się – powtórzyła Julia, przygotowana na to, że dziewczynka zaraz wyrwie się i ucieknie w kąt.

Ale ona stała w miejscu, oddychając szybko, jak łania schwytana w światła reflektorów, i cała drżała. Oceniała sytuację, zastanawiając się, co może zrobić.

– Chcesz przejrzeć moje zamiary – zauważyła Julia zaskoczona. – Tak jak ja próbuję przejrzeć twoje. Jestem Julia. – Poklepała się po piersi. – Julia.

Dziewczynka obojętnie umknęła spojrzeniem w bok. Przestała jednak drżeć i zaczęła oddychać normalnie.

– Nie bój się – powiedziała jeszcze raz Julia. – Jedzenie. Głodna?

Dziewczynka zerknęła na stół i Julia pomyślała: Proszę bardzo, rozumiesz, co powiedziałam. A w każdym razie, co chciałam ci przekazać.

– Jedz – zachęciła, puszczając wreszcie małą i odsuwając się na bok.

Dziewczynka przemknęła obok niej, poruszając się ostrożnie i nie spuszczając wzroku z jej twarzy. Kiedy odeszła na bezpieczną odległość, rzuciła się na jedzenie. Pochłonęła wszystko, popijając sokiem jabłkowym.

Potem Julia już tylko czekała.

Ich poranna podróż z miasteczka na skraj lasu przypominała sen.

W drodze ze szpitala ku starej szosie nikt się nie odzywał. Zdaniem Maxa w tej sekretnej akcji ratunkowej było coś takiego, co nie pozwalało

na luksus rozmowy. Uznał, że współkonspiratorki odbierają to podobnie, bo chociaż powiedzieli sobie, że akcja ma na celu dobro dziecka – i naprawdę w to wierzyli – to jednak czuli niepokój, mieli świadomość, że ryzykują. W szpitalu dziewczynka była przynajmniej bezpieczna: drzwi zamykane na klucz, okno zbyt solidne, by je rozbić. Tu, w zakątku doliny tuż przed obszarem lasów, świat przyrody był zbyt blisko i żadne z nich nie wątpiło, że te lasy będą małą wzywać.

Siedział z tyłu policyjnego cruisera, po lewej stronie, obok Julii. Dziewczynka leżała między nimi, z głową na podołku Julii i gołymi nogami na jego kolanach. Ellie i Peanut zajmowały miejsca z przodu. Poza oddechami ich pięciorga i chrzęstem opon na żwirowej drodze słychać było tylko dźwięki dochodzące z radia. Zostało tak ściszone, że Max ledwie je słyszał, ale co pewien czas wychwytywał jakiś refren i rozpoznawał piosenkę. Teraz nadawano *Supermana* w wykonaniu Crash Test Dummies.

Spojrzał na dziewczynkę. Była tak bardzo chuda i delikatna. Na jej policzkach rysowały się świeże skaleczenia i nawet w tym półświetle widział jasne blizny po wcześniejszych zadrapaniach. Był to dowód, że często albo sama się okaleczała, albo padała ofiarą agresji. Siniak na jej czole zrobił się już ciemnopurpurowy, wyglądał nieładnie. Ale ścisnęło go w żołądku na widok szram na jej lewej kostce. Były to ślady po więzach.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała Ellie, parkując wóz przed starą przybudówką. Jej pokryty mchem spadzisty dach wyglądał jak połać zielonego futra.

Max wziął na ręce śpiące dziecko. Mała objęła go za szyję i przytuliła podrapany policzek do jego piersi. Jej ciemne włosy rozsypały się na ramionach lekarza, sięgając aż po jego uda.

Wiedział, jak ją trzymać. Czy to możliwe, że po tylu latach przychodziło mu to równie naturalnie jak oddychanie?

Ellie wyprzedziła pozostałych i zapaliła w domu światła.

Max szedł za nią, niosąc dziewczynkę. Julia podążała tuż za nim.

– Nic ci nie grozi – mówiła do dziecka. – Nie jesteśmy już w szpitalu. Przyjechaliśmy do domu moich rodziców. Będziesz tu bezpieczna. Obiecuję.

Gdzieś w głębi lasu zawył wilk.

Max zatrzymał się, Julia również.

Peanut się przeżegnała.

– Jakoś mi się to nie podoba.

– Nigdy nie słyszeliśmy tu wilków – powiedziała Ellie. – To nie może być jej szczenię. Oddaliśmy je do Sequim.

Dziewczynka jęknęła.

Wilk zawył znowu, był to przeciągły, smutny odgłos.

Julia dotknęła ramienia Maxa.

– Chodźmy. Wejdźmy do środka.

Nikt nic nie mówił, gdy wchodzili do domu, a potem szli po schodach do sypialni. Max położył dziecko na łóżku i przykrył kołdrą.

Peanut spojrzała nerwowo w stronę okna, jakby to pod nim krążył wilk, usiłujący dostać się do środka.

– Ona może próbować ucieczki. To przecież jej las.

Wszyscy myśleli o tym samym. Dziwnym sposobem, choć wydawało się to nieprawdopodobne, dziewczynka przynależała bardziej tam niż tu.

– Oto czego nam potrzeba, i to szybko! – powiedziała Julia. – Krat w oknie, porządnych krat, żeby mała mogła wyglądać na dwór, ale nie miała możliwości ucieczki. I konieczny jest zamek w drzwiach. Musimy pozaklejać taśmą wszystkie błyszczące metalowe powierzchnie: kran, spłuczkę przy rezerwuarze, uchwyty przy szufladach, wszystko oprócz gałki u drzwi.

– Po co? – spytała Peanut.

– Myślę, że ona boi się błyszczących metalowych przedmiotów – wyjaśniła z roztargnieniem Julia. – I trzeba by w jakimś niewidocznym miejscu zainstalować kamerę wideo. Muszę nagrywać jej reakcje i zachowania.

– Chyba mówiłaś, żeby nie robić jej zdjęć – zauważyła Ellie, marszcząc brwi.

– Chodziło mi o zdjęcia dla brukowców. To nagranie będzie służyło tylko do moich celów. Muszę ją obserwować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Poza tym będzie nam potrzebne jedzenie. I jak najwięcej roślin doniczkowych. Chcę zrobić z tego pokoju las.

– „Na skraju puszczy” – powiedziała Peanut.

Julia kiwnęła głową, potem podeszła do łóżka i usiadła przy dziewczynce. Max, uklęknąwszy przy łóżku, zbadał puls i oddech małej.

– W normie – orzekł, przysiadając na piętach.

– Gdyby jej umysł i duszę było tak łatwo zbadać jak inne funkcje życiowe! – odezwała się Julia.

– Wtedy nie miałabyś co robić.

Julia roześmiała się, co go zaskoczyło.

Spojrzeli na siebie. Max podniósł się powoli.

Lampa przy łóżku rozjaśniła się nagle i zgasła, iskrząc przez moment. Dziewczynka jęknęła rozpaczliwie.

– Dzieje się tu coś dziwnego – szepnęła Peanut, robiąc krok do tyłu.

– Przestań – powiedziała Julia cicho. – To tylko dziecko, które przeżyło koszmar.

Peanut zamilkła.

– Powinniśmy jechać do miasteczka. Załatwić sprawunki w składzie drewna – rzekła Ellie.

Max skinął głową.

– Muszę mieć czas, żeby zamontować kraty, zanim zacznie się mój dyżur.

– Dobrze. Dzięki – powiedziała Julia. Kiedy wszyscy troje wyszli, zwróciła się do dziecka: – Jesteś tu bezpieczna, maleńka. Masz moje słowo.

Powtarzała to raz po raz, starając się mówić jak najłagodniejszym tonem, ale jedno wiedziała na pewno: ta dziewczynka nie miała pojęcia, co znaczy bezpieczeństwo.

Zniknął brzydki zapach i biel, i brzęczące światło, które razi w oczy. Dziewczynka powoli otwiera powieki, bojąc się tego, co zobaczy. Dużo się zmieniło. To tak, jakby wpadła do ciemnej wody za swoją kryjówką, do tego jeziorka w głębi lasu, poza którym, jak mówi On, zaczyna się Tam.

Ta jaskinia jest inna. Wszystko ma tu kolor bieli i owoców, które zwykle zbiera się na początku lata. Na zewnątrz jest ranek; światło wpadające do środka ma barwę słońca. Chce wstać, ale nie może się poruszyć. Coś ją przytrzymuje. Wpada w panikę; kopie, ale nie może się uwolnić.

Nie jest jednak związana.

Wygrzebuje się łóżka, próbując zidentyfikować zapachy tego dziwnego miejsca. Woda. Kwiaty. Są jeszcze inne, oczywiście, ale ona ich nie zna.

Gdzieś kapie woda; ten dźwięk przypomina deszcz spływający w lecie z liścia na ubitą ziemię. Słychać też jakieś postukiwania, trzaski. Wejście do jaskini jest takie jak tamto poprzednie: gruba brązowa bariera. Błyszcząca kulka, która na niej tkwi, ma w sobie coś magicznego; dziewczynka boi się jej dotknąć. Oni zaraz się dowiedzą, że otworzyła oczy. Przyjdą do niej

znowu ze swoimi strasznymi sieciami i ostrymi przedmiotami. Nie grozi jej to tylko w porze ciemności, kiedy słońce śpi.

Powiew wiatru muska jej twarz, targa włosy. Niesie ze sobą woń jej kryjówki. Dziewczynka rozgląda się dookoła.

Jest. Pudełko, które zatrzymuje wiatr. Wydaje się inne od tamtego oszukańczego, które nie wpuszczało jej świata do środka, przez które nie mogła niczego dotknąć.

Rusza przed siebie, czując ściskanie w brzuchu.

Przez pudełko dochodzi słodkie powietrze. Dziewczynka ostrożnie wysuwa rękę przez otwór. Porusza się powoli, gotowa cofnąć się przy pierwszym bólu.

Ale nic jej nie zatrzymuje. W końcu całe ramię jest już na zewnątrz, w jej świecie, gdzie powietrze składa się z kropli deszczu.

Przymyka oczy. Po raz pierwszy od czasu, gdy ją schwytali, może oddychać. Wydaje długi, pełen rozpaczy skowyt.

„Przyjdź po mnie” – mówi ten odgłos. Ale dziewczynka urywa go w połowie. Nie ma nikogo, kto by ją usłyszał.

Dlatego On zawsze jej mówił, żeby nigdzie się nie ruszała. Dobrze znał świat poza zasięgiem jej łańcucha.

Tam są Oni, którzy cię skrzywdzą – powtarzał.

A teraz została całkiem sama.

Przed laty Ellie była w kinie samochodowym ze swoim ówczesnym chłopakiem, Scottem Lauckiem, i widziała film pod tytułem *Mrówki*. A może *Imperium mrówek*? Nie była pewna. Pamiętała tylko scenę, w której Joan Collins została zaatakowana przez gigantyczne mrówki. Ellie, oczywiście, bardziej była wtedy zajęta obściskiwaniem się ze Scottem niż śledzeniem tego, co działo się na ekranie. Jednak to właśnie obrazy z tego filmu przyszły jej na myśl, gdy stała w korytarzu przed pokojem śniadaniowym, popijając kawę i patrząc na tłum kłębiący się na posterunku.

Był to prawdziwy szturm. Z końca korytarza nie widziała ani skrawka wolnej podłogi, ani choćby fragmentu przeciwległej ściany. Taki sam tłok panował przed budynkiem i wzdłuż ulicy.

Tego rana historia odnalezienia dziecka została podana przez media do wiadomości publicznej, pod różnymi nagłówkami: *Dziewczynka znikąd*, *Kim jestem?*, *Pamiętasz mnie?*, *Zagubiona dziewczynka wychodzi z lasu*. Ellie najbardziej przypadł do gustu tytuł artykułu Morta w „Gazette”: *Latająca niemowa ląduje w Rain Valley*. W pierwszym akapicie Mort opisywał niezwykłe fizyczne wyczyny dziewczynki i oczywiście wspominał o towarzyszącym jej wilku. Prawdzie odpowiadał tylko opis małej, ale została przedstawiona jako godna pożałowania dzikuska.

O ósmej rozdzwoniły się telefony. Cal, który je odbierał, nie miał ani chwili wytchnienia. O pierwszej zajechał do miasteczka pierwszy wóz transmisyjny. W ciągu następnych dwóch godzin pobliskie ulice zapełniły się furgonetkami agencji informacyjnych, a reporterzy domagali się kolejnej konferencji prasowej. Dosłownie wszyscy – począwszy od dziennikarzy aż po rodziców, wariatów i różnych dziwaków – koniecznie chcieli zdobyć wiadomości z pierwszej ręki.

– Jak dotąd, nic dla nas z tego nie wynikło – powiedziała Peanut, wychodząc z pokoju śniadaniowego. – Nikt nie wie, kim ona jest.

Ellie piła kawę i lustrowała wzrokiem zebrany tłum.

Cal uniósł głowę znad biurka i zauważył koleżanki. Mówił do mikrofonu w zestawie słuchawkowym, jednocześnie odpowiadając na pytania reporterów, którzy stali przed nim.

Ellie uśmiechnęła się do niego.

Ruchem warg powiedział: „Pomocy!”.

– Cal przestaje już nad tym panować – zauważyła Peanut.

– Trudno się dziwić. Nie po to brał pracę policjanta, żeby wykonywać tę robotę.

– A kto by ją po to brał? – odparła Peanut ze śmiechem.

– Chyba ja. – Ellie spojrzała na przyjaciółkę i poprosiła: – Życz mi powodzenia. – I zanurzyła się w morzu hałaśliwych, przekrzykujących się reporterów.

Znalazłszy się pomiędzy nimi, uniosła ręce. Chwilę trwało, zanim się uciszyli. W końcu mogła zabrać głos.

– Nie będzie dziś żadnych komentarzy ze strony policji, ani oficjalnych, ani nieoficjalnych. O czwartej odbędzie się konferencja prasowa. Wtedy odpowiemy na wszystkie pytania.

Natychmiast podniósł się zgiełk.

– Ale nam potrzebne są zdjęcia!

– Te artystyczne szkice to gówno…

– Nikt dla rysunku nie kupi gazety…

Ellie, zniecierpliwiona, pokręciła głową.

– Nie wiem, jak moja siostra… – mruknęła do przyjaciółki.

– To wszystko! – Peanut wkroczyła do akcji, przemawiając nieznoszącym sprzeciwu głosem, który ćwiczyła od czasu, gdy jej córka Tara skończyła trzynaście lat. – Słyszeliście, co powiedziała pani komendant. Wszystkich z legitymacją prasową prosimy o opuszczenie posterunku. Natychmiast.

Wyprowadziła zgromadzonych, a potem stanowczo zamknęła za nimi drzwi.

Ellie zobaczyła Morta Elzicka, dopiero gdy odwróciła się do swojego biurka.

Stał w kącie, wcisnąwszy się między dwie szafki na kartoteki, z zielonej stali. Był blady i wyglądał nieświeżo w brązowych obszernych spodniach sztruksowych i granatowym golfie. Jego krótko ostrzyżone rude włosy odrosły tak, że wyglądał, jakby miał na czole postrzępiony czub. Oczy za grubymi szkłami wydawały się duże i wyblakłe. Kiedy zobaczył, że Ellie na niego patrzy, podszedł bliżej. Jego wytarte biało-szare buty do tenisa skrzypiały przy każdym kroku.

– Powinnaś dać mi wyłączność na tę historię, Ellie. To dla mnie wielka szansa. Mógłbym dostać posadę w „Olympian” czy „Everett Herald”.

– Po materiale pod tytułem *Mowgli żyje*? Wątpię.

Zarumienił się.

– Czy ktoś, kto rzucił szkołę, może mieć w ogóle jakieś pojęcie o pisaniu? Wiem, że Julia pomaga ci w tej sprawie – oznajmił.

– Tylko ci się wydaje, że wiesz. Napisz o tym, a wykończę cię.

Nachmurzył się, a jego twarz poczerwieniała jeszcze bardziej.

– Daj mi wyłączność, Ellie. Jesteś mi to winna. Bo inaczej…

– Bo inaczej…? – Podeszła bliżej.

– Zobaczysz.

– Wspomnij tylko o mojej siostrze, a załatwię, że wylecisz z roboty.

Cofnął się o krok.

– Myślisz, że jesteś kimś wyjątkowym. Ale nie zawsze wszystko będzie przebiegało po twojej myśli. Dałem ci szansę. Pamiętaj o tym.

Mówiąc to, ominął ją i szybko opuścił posterunek.

– Chwalmy Pana i chlapnijmy sobie coś – zaproponował Cal. Poszedł do pokoju śniadaniowego i przyniósł trzy piwa.

– Tu nie można pić, Cal – znużonym głosem zwróciła mu uwagę Ellie.

– Ugryź mnie… – odparł. – I wcale nie mam na myśli nic obraźliwego. Gdybym chciał zajmować się tym, czym się dzisiaj zajmowałem, nie odpowiedziałbym na twoje ogłoszenie. Od tygodnia nie mogłem w spokoju poczytać komiksu. – Podał jej coronę.

– Nie, dziękuję – powiedziała Peanut, gdy i jej zaproponował piwo. Poszła do bufetu i za chwilę wróciła z kubkiem w ręce.

Ellie spojrzała na nią pytająco.

– Zupa z kapusty – wyjaśniła Peanut, wzruszając ramionami.

Cal usiadł na biurku, machając nogami, i otworzył piwo. Gdy pił, jego jabłko Adama poruszało się w górę i w dół, jakby połykał ość. W świetle jego czarne włosy wydawały się granatowe.

– Słuszna decyzja, Peanut. Już się bałem, że w ramach kolejnej diety spróbujesz heroiny.

Peanut się zaśmiała.

– Szczerze mówiąc, to palenie było diabła warte. A Benji nawet nie chciał mnie pocałować na dobranoc.

– Że też wy dwoje wciąż musicie się migdalić – powiedział Cal.

Ellie usłyszała dziwny ton w jego głosie, szorstkość, która wprawiła ją w zakłopotanie. Spojrzała na niego. Przez moment zobaczyła go takim, jakim był kiedyś – niezdarnym chłopakiem o zbyt ostrych rysach jak na kogoś tak młodego. Wtedy jego oczy zawsze były posępne, pełne rezerwy.

Cal odstawił piwo i westchnął. Po raz pierwszy zauważyła, że wygląda na bardzo zmęczonego. Jego usta, o kącikach zwykle uniesionych w irytująco pogodnym uśmiechu, stanowiły teraz cienką, bladą kreskę.

Nie mogła oprzeć się współczuciu dla niego. Wiedziała dobrze, na czym polega jego problem. Pracował u niej na pełnym etacie od dwóch i pół roku; przedtem zajmował się domem. Jego żona, Lisa, była przedstawicielką handlową pewnej nowojorskiej firmy i więcej przebywała poza domem niż w domu. Kiedy już wszystkie dzieci zaczęły naukę w szkole, Cal podjął pracę dyspozytora, żeby mieć zajęcie pod ich nieobecność. Przeważnie czytywał w pracy komiksy i rysował postacie ich bohaterów w swoim notatniku. Był dobrym dyżurnym w czasach, gdy najtrudniejszą akcją było zdjęcie kota z drzewa. Tych kilka ostatnich dni najwyraźniej go wykończyło. Zdała sobie sprawę, że bardzo tęskni za jego uśmiechem.

– Coś ci powiem, Cal. Zajmę się tą konferencją prasową. Ty idź do domu.

Ucieszył się w sposób wręcz wzruszający. Mimo to powiedział:

– Ktoś musi odpowiadać na wezwania.

– Przełącz telefony do technicznego. Jeśli stanie się coś ważnego, powiadomią mnie przez radio. To będzie tylko około tysiąca telefonów.

– Jesteś pewna? Mógłbym wrócić po meczu Emily.

– Byłoby świetnie.

– Dzięki, Ellie. – Wreszcie się uśmiechnął; znowu wyglądał jak szesnastolatek. – Przepraszam, że odszczeknąłem ci się dziś rano.

– W porządku, Cal. Czasami facet musi wyrazić swoje zdanie. – Tak mówił jej ojciec, waląc pięścią w stół.

Cal zdjął z wieszaka płaszcz przeciwdeszczowy i wyszedł.

Ellie wróciła do swojego biurka i usiadła. Po lewej stronie miała stos faksów wysokości kilku centymetrów. Każda z kartek oznaczała zaginione dziecko, pogrążoną w rozpaczy rodzinę. Ellie przejrzała je uważnie, zaznaczając podobieństwa i różnice. Po zakończeniu konferencji prasowej zamierzała zadzwonić do rozmaitych instytucji i władz. Na pewno spędzi przy telefonie cały wieczór.

– Znowu masz to nieobecne spojrzenie – zauważyła Peanut, popijając swoją zupę.

– Po prostu zastanawiam się nad tym wszystkim.

Peanut odstawiła kubek.

– Dasz radę. Jesteś świetną policjantką – rzekła.

Ellie z całego serca chciałaby wierzyć, że tak jest. I innego dnia zgodziłaby się z opinią Peanut. Teraz jednak nie mogła się powstrzymać i znowu spojrzała na niewielki plik dokumentów, które dotyczyły dziewczynki. Były tam cztery fotografie – en face, lewy i prawy profil i dwa ujęcia całej sylwetki. Na każdej mała wyglądała jak martwa, bo zrobiono je, gdy była uśpiona. Media miałyby pożywkę! Pod zdjęciami znajdował się opis blizn, charakterystycznych pieprzyków i znamienia na ramieniu. Na fotografii znamię to przypominało ważkę. Dokumentacja zawierała także prześwietlenia dziewczynki; Max uważał, że jej prawie ramię zostało złamane we wczesnym dzieciństwie. Jego zdaniem zrosło się bez profesjonalnej opieki medycznej. Na schemacie ciała zaznaczono każdy uraz, bliznę czy znamię. Mieli też wyniki badania jej krwi – która należała do grupy AB – odciski palców i zdjęcia rentgenowskie szczęk. Próbkę krwi wysłali do analizy

DNA, ale nie dostali jeszcze wyników. Sukienka małej również była badana w laboratorium.

Na razie nie można było zrobić nic więcej, należało po prostu czekać. I modlić się, żeby zgłosił się ktoś, kto zidentyfikowałby dziewczynkę.

– Sama już nie wiem, Pea. To trudna sprawa.

– W sam raz dla ciebie.

Ellie uśmiechnęła się do przyjaciółki.

– Wiesz, która ze wszystkich moich decyzji zawodowych była najlepsza?

– Akcja „Odwieź pijanego do domu”?

– Blisko, zatrudnienie ciebie, Penelope Nutter.

Peanut się skrzywiła.

– Każda gwiazda potrzebuje pomagiera.

Śmiejąc się, Ellie powróciła do pracy i zaczęła przedzierać się przez stos dokumentów leżących na biurku.

Kilka minut później rozległo się pukanie do drzwi. Peanut uniosła głowę.

– Kto puka na posterunek policji?

Ellie wzruszyła ramionami.

– Na pewno nie reporter. Proszę wejść – powiedziała głośno.

Drzwi otworzyły się powoli. Na progu stało dwoje ludzi, którzy zaglądali do środka.

– Czy pani komendant Barton? – zapytał mężczyzna.

Nie mogli to być reporterzy. Mężczyzna był wysoki, siwowłosy, tak szczupły, że wydawał się wręcz wychudzony. Miał na sobie jasnozielony kaszmirowy sweter i czarne spodnie zaprasowane w kant. I potężne miejskie buty. Kobieta – jego żona? – była ubrana na czarno, od stóp do głów. Czarny płaszcz, czarne rajstopy, czarne pantofle. Jasne włosy z kosztownym trójkolorowym balejażem, okalające bladą twarz, miała upięte we francuski kok.

Ellie wstała.

– Proszę.

Mężczyzna ujął kobietę za łokieć i podszedł z nią do biurka.

– Pani komendant, jestem doktor Isaak Stern. A to moja żona Barbara.

Ellie uścisnęła im ręce, które, jak zauważyła, oboje mieli zimne.

– Miło mi państwa poznać.

Pod wpływem przeciągu otwarte drzwi uderzyły z hukiem o ścianę.

– Przepraszam. – Ellie poszła je zamknąć. – W czym mogę pomóc?

Doktor Stern spojrzał na nią.

– Przyszliśmy tu w sprawie mojej córki, Ruthie. Naszej córki – poprawił się, patrząc na żonę. – Zniknęła w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku. Jest nas tu więcej, to znaczy rodziców.

Stając na progu, Ellie wyjrzała na zewnątrz. Reporterzy tkwili wciąż na ulicy; rozmawiali ze sobą, czekając na konferencję prasową. Jednak jej uwagę zwrócili przede wszystkim ludzie ustawieni w kolejce.

Rodzice.

Były ich chyba setki.

– Proszę pani – odezwał się mężczyzna stojący na schodach. – Wyrzuciła nas pani razem z dziennikarzami, ale my musimy z panią porozmawiać. Wielu z nas przybyło z daleka.

– Oczywiście, że z państwem porozmawiam – odparła Ellie. – Ale po kolei. Proszę przekazać to innym rodzicom. Zostaniemy tu całą noc, jeśli będzie trzeba.

Wiadomość rozeszła się wśród zebranych i Ellie usłyszała, że kilka kobiet się rozszlochało.

Zamknęła drzwi tak delikatnie, jak tylko się dało. Zbierając siły, wróciła do biurka i zajęła miejsce za nim.

– Proszę spocząć – powiedziała, wskazując państwu Sternom dwa krzesła po drugiej stronie biurka. – Penelope – zwróciła się do przyjaciółki. – Ty też przyjmuj tych, którzy się zgłosili. Zapisuj nazwiska, numery telefonów kontaktowych i wszelkie informacje, jakich udzielą.

– Jasne, szefowo. – Peanut natychmiast skierowała się do drzwi.

– A teraz – powiedziała Ellie, pochylając się do przodu – niech państwo opowiedzą mi o swojej córce.

Uderzył ją ból malujący się na ich twarzach, tak wyraźny jak krew na śniegu.

Pierwszy odezwał się doktor Stern.

– Nasza Ruthie wyszła pewnego dnia do szkoły i nigdy do niej nie dotarła. A to dwie przecznice od domu, w którym mieszkamy. Zadzwoniłem do zaprzyjaźnionego policjanta, ale powiedział mi, że dziewczynka, którą znaleźliście, nie może być moją – naszą – Ruthie. Wiem jednak, że cuda się zdarzają, i dlatego przyjechaliśmy do pani. – Sięgnął do kieszeni i wyjął małą zniszczoną fotografię. Widniała na niej śliczna dziewczynka z jasnobrązowymi lokami, trzymająca jaskraworóżowe pudełko z zestawem śnia-

daniowym Power Rangers. W prawym dolnym rogu znajdowała się data: 7 IX 1996.

Teraz Ruthie miałaby co najmniej trzynaście lat, może czternaście.

Ellie zaczerpnęła tchu. Nagle stanęli jej przed oczami ci wszyscy, czekający na zewnątrz, pełni nadziei rodzice, liczący na cud. To będzie najdłuższy dzień w jej życiu. Już zbierało jej się na płacz.

Wzięła do ręki zdjęcie, pogładziła je. Kiedy znowu uniosła głowę, zobaczyła, że pani Stern płacze.

– Znają państwo grupę krwi Ruthie?

– Zero – odparła matka, ocierając łzy i czekając na reakcję.

– Przykro mi – odpowiedziała Ellie. – Bardzo mi przykro.

Peanut wpuściła następnych rodziców, z których jedno przyciskało do piersi kolorowe zdjęcie dziecka.

„Proszę cię, Boże – modliła się Ellie, przymykając oczy na chwilę, na jeden krótki moment – daj mi siłę przez to przejść".

Wtedy pani Stern zaczęła mówić.

– Konie – powiedziała ochrypłym głosem. – Nasza Ruthie kochała konie. Uważaliśmy, że jest jeszcze za mała na lekcje jazdy. W przyszłym roku, mówiliśmy jej. W przyszłym roku…

Doktor Stern położył rękę na jej ramieniu.

– A potem… to się stało.

Wziął od Ellie zdjęcie córki i spojrzał na nie. Łzy napłynęły mu do oczu. Po chwili spojrzał na Ellie.

– Ma pani dzieci, pani komendant?

– Nie.

Ellie myślała, że mężczyzna coś na to powie, ale on milczał. Pomógł żonie wstać.

– Dziękuję, że poświęciła nam pani czas.

– Przykro mi – powtórzyła.

– Wiem – powiedział i Ellie nagle zauważyła, jaki był słaby, jak bardzo starał się zachować równowagę.

Wziął żonę pod ramię i poprowadził ją w kierunku drzwi. Wyszli.

Chwilę później na posterunek wszedł mężczyzna w wysłużonym, połatanym kombinezonie i flanelowej koszuli. Na oczy miał nasuniętą pomarańczową czapkę bejsbolówkę z reklamą piły łańcuchowej Stihl; dolną połowę twarzy zakrywała mu siwa broda. Przy piersi trzymał zdjęcie.

Przedstawiało blondynkę w stroju cheerleaderki, Ellie zauważyła to z daleka.

– Pani komendant Barton? – zapytał głosem przepełnionym nadzieją.

– To ja – odpowiedziała. – Proszę usiąść…

10

Poprzedniego wieczoru Julia przekształciła dziewczęcą sypialnię w strefę bezpieczeństwa dla siebie i swojej pacjentki. Pod lewą ścianą wciąż stały dwa łóżka, ale przestrzeń pod nimi została wypełniona, żeby nie mogła stanowić kryjówki. W kącie pod oknem Julia ustawiła z tuzin bujnych roślin doniczkowych, tworzących minilas. Miejsce pośrodku pokoju zajął długi stół, który miał służyć jako biurko i miejsce pracy. Stanęły przy nim dwa krzesła. Ustawiwszy to wszystko, Julia uświadomiła sobie, czego tu brakuje – wygodnego fotela.

Od sześciu godzin dziewczynka stała w otwartym oknie, wysunąwszy ramię przez kratę. Czy padał deszcz, czy świeciło słońce, trzymała rękę na zewnątrz. Około południa na parapecie usiadł rudzik i pozostał tam jakiś czas. W jasnoszarym blasku słońca, które zaświeciło po godzinie opadów, na wyciągniętej dłoni wylądował kolorowy motyl, przez chwilę pomachał skrzydełkami i odleciał.

Gdyby Julia nie zanotowała tych dwóch zdarzeń, uznałaby, że jej się przywidziały. Przecież była jesień, pora roku, w której nie pojawiają się motyle; nawet w pełni lata zresztą rzadko przysiadają na rączkach dzieci.

Ale zapisała to w swoich notatkach, utrwaliła i teraz miała dowód. Jeszcze jeden fakt, który należało wziąć pod uwagę, kolejna dziwna rzecz wśród wielu innych.

Może to ten bezruch dziewczynki? Nie poruszyła się od kilku godzin.

Ani razu nie przestąpiła z nogi na nogę, nie przesunęła ręki, nie zwróciła głowy. Nie tylko nie wykonywała żadnych powtarzających się czynności czy gestów, nie wykazywała natręctw, ale wręcz zamieniła się w kameleona. Pracownica opieki socjalnej, która przyszła przed południem, żeby ocenić, czy Julia nadaje się na tymczasowego opiekuna dziewczynki, była zaszokowana, choć starała się to ukryć. Gdy zamykała notes, rzuciła ostatnie, zaniepokojone spojrzenie na dziewczynkę i szepnęła do Julii:

– Jest pani pewna?

– Tak – odparła Julia.

I rzeczywiście była. Pomoc temu dziecku stała się dla niej czymś w rodzaju wyzwania.

Poprzedniego wieczoru, po przemeblowaniu pokoju, siedziała do późna przy kuchennym stole, robiąc notatki i czytając wszystko, co tylko mogła znaleźć na temat autentycznych przypadków dzikich dzieci. Były to jednocześnie fascynujące i okropnie smutne historie.

Życie tych dzieci ułożyło się podobnie, czy to zostały znalezione trzysta lat temu w gęstych lasach Bawarii, czy w tym stuleciu w dzikich rejonach Afryki. Wszystkie mieszkały w głuszy i przeważnie trafiali na nie myśliwi. Ponad jedna trzecia z nich chodziła na czworakach. Tylko nieliczne potrafiły mówić. Niektóre – między innymi Peter, dziki chłopiec znaleziony w 1726 roku, Memmie, tak zwana dzika dziewczynka z Francji, i najsławniejszy z nich, Victor, dziki chłopiec z Avedon w 1797 – stały się sensacją wśród współczesnych. Naukowcy, lekarze i językoznawcy obserwowali je, licząc, że dzikie dzieci pomogą im odpowiedzieć na najważniejsze pytania dotyczące natury ludzkiej. Królowe i księżniczki sprowadzały je na swoje dwory jako dziwolągi. Ostatnio odkryte dzikie dziecko – dziewczynka imieniem Genie, która, choć niewychowana w lesie, była ofiarą przerażających sadystycznych praktyk, nigdy nie nauczyła się mówić, poruszać normalnie czy bawić – stało się kolejną ciekawostką dla mediów.

Większość udokumentowanych przypadków łączyły dwa fakty. Po pierwsze, dzieci miały fizyczne warunki, by mówić, ale nigdy nie przyswoiły sobie mowy, i to w żadnym stopniu. Po drugie, niemal wszystkie skończyły w zakładach dla upośledzonych, zapomniane i osamotnione. Tylko dwoje, Memmie i chłopiec z Ugandy, odnaleziony wśród małp w 1991 roku, nauczyli się mówić i funkcjonować w społeczeństwie, choć Memmie umarła w biedzie, porzucona i zapomniana. Nie potrafiła też wyjaśnić, co takiego stało się w jej dzieciństwie, że znalazła się w lesie.

Naukowców i lekarzy pociągało wyzwanie, jakie stanowiły dzikie dzieci. Tak zwani zawodowcy chcieli poznać i zrozumieć – no i oczywiście „ocalić” – istotę ludzką zupełnie niepodobną do innych, taką, która uchodziła za „czystą”, bardziej nieskażoną niż cała reszta człowieczego rodu urodzona w ostatnich tysiącleciach. Istotę, która nie podlegała procesowi socjalizacji, niezepsutą przez proces nauczania. Jeden po drugim ponosili porażki w swoich badaniach. Dlaczego? Bo za mało liczyli się ze swoimi pacjentami.

Ona nie popełni tego błędu.

Nie chciała być jak ci lekarze przed nią, którzy dla kariery odebrali duszę małym pacjentom, a potem poszli swoją drogą, pozostawiając ich za kratami, niemych i załamanych, jeszcze bardziej zagubionych i samotnych niż niegdyś w lesie.

– Tu chodzi o ciebie, prawda, malutka? – powiedziała, unosząc głowę.

Gdy patrzyła na dziewczynkę, kolejny ptak usiadł na jej wyciągniętej rączce. Zadarł łebek i zaczął wyśpiewywać swoją piosenkę.

Dziewczynka wiernie powtórzyła jego trel.

Ptak jakby słuchał, a potem zaśpiewał znowu.

Dziewczynka odpowiedziała.

Julia zerknęła na kamerę wideo umieszczoną w kącie. Świeciła się czerwona dioda. Ta dziwna „rozmowa" była nagrywana.

– Porozumiewasz się z nim? – zapytała Julia, robiąc kolejną notatkę.

Wiedziała, że to brzmi śmiesznie, ale przecież była tego świadkiem. Dziecko i ptak sprawiali wrażenie, jakby się rozumieli. A nawet jeśli nie, dziewczynka była świetną imitatorką.

Ale przecież, jeśli dorastała w lesie, sama albo wśród stada zwierząt, mogła nie widzieć różnicy między człowiekiem a zwierzętami, tak powszechnie dostrzeganej w cywilizowanym świecie.

– Ciekawa jestem, czy odróżniasz człowieka od zwierzęcia. – Postukała piórem o blok z kartkami.

Mimo że dźwięk był delikatny, ptak odleciał.

Julia sięgnęła po książki leżące na stole, które służyły jej jako podkładki do pisania. Było ich cztery: *Tajemniczy ogród*, *Baśnie* Andersena, *Alicja w krainie czarów* i *Aksamitny królik*. Znalazły się wśród wielu innych, które wspaniałomyślnie podarowali dziewczynce mieszkańcy Rain Valley. Wcześnie rano, gdy mała jeszcze spała, Julia zmieniła jej pieluchę i przejrzała zawartość pudeł w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby jej pomóc porozumieć się z pacjentką. Wybrała ołówki i papier, parę starych lalek Barbie w strojach disco, no i te książki.

Otworzyła *Tajemniczy ogród*, i zaczęła głośno czytać.

W chwili gdy Mary Lennox została wysłana do Misselthwaite Manor, ażeby zamieszkać tam przy wuju, twierdzono ogólnie, że jest to najniesympatyczniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek widziano… [8]

Przez następną godzinę Julia czytała tę tak lubianą przez dzieci opowieść, starając się nadać swojemu głosowi przyjemną, śpiewną kadencję.

Nie miała wątpliwości, że pacjentka nie rozumie większości słów i dlatego nie może śledzić akcji, ale przyjemność sprawia jej samo słuchanie głosu.

Pod koniec rozdziału Julia delikatnie zamknęła książkę.

– A teraz krótka przerwa. Zaraz wracam. Wracam – powtórzyła na wypadek, gdyby to słowo było dziewczynce znane.

Wstała powoli, przeciągając się. Godziny siedzenia na krześle, przy prowizorycznym biurku w jej dawnym pokoju, wywołały ból karku. Wzięła pióro – to w końcu też mogła być broń – i skierowała się do maleńkiej łazienki, urządzonej dla niej i Ellie, gdy wkroczyły w wiek nastoletni. Drzwi do niej znajdowały się obok szafy.

Weszła do łazienki i tylko przymknęła drzwi, nie chciała bowiem tracić kontaktu głosowego z dzieckiem. Ściągnąwszy spodnie, usiadła na sedesie i powiedziała:

– Wyszłam tylko do toalety, kochanie. Zaraz wracam. Ja też chciałabym wiedzieć, co się przydarzyło Mary. Myślisz, że naprawdę słyszy czyjś płacz? A ty płaczesz czasami? Czy wiesz, że…

Dziewczynka podbiegła do drzwi i otworzyła je na oścież, krzywiąc się, gdy uderzyły o ścianę. Zaczęła bić się po policzkach i potrząsać głową. Gdy prychnęła, z nosa pociekły smarki.

– Jesteś zdenerwowana – powiedziała Julia kojącym głosem. – Zdenerwowana. Zaczynasz się złościsz. Myślałaś, że cię zostawiłam?

Na dźwięk głosu Julii dziewczynka się uspokoiła. Spojrzała z lękiem na drzwi i odeszła od nich.

– Będziemy już trzymać drzwi otwarte, ale teraz muszę zrobić siusiu. Znasz to słowo? Siusiu?

Dziewczynka jakby drgnęła. Przez ułamek sekundy wydawało się, że rozumie. A może nie…

Stała naprzeciwko Julii, patrząc na nią. Julię to deprymowało.

– Muszę mieć trochę prywatności. Może byś… a co tam! – Konwenanse nie miały sensu w tej sytuacji. Skończyła więc, co miała zrobić.

Dziewczynka zmarszczyła brwi i podeszła bliżej. Przekrzywiła głowę niczym sójka, jakby chciała coś obejrzeć pod odpowiednim kątem.

– Robię siusiu – poinformowała Julia rzeczowo, sięgając po papier toaletowy.

Mała obserwowała ją z uwagą, w wielkim skupieniu. Ponownie znieruchomiała.

Julia wstała, podciągnęła spodnie i spuściła wodę w toalecie.

Na ten dźwięk dziewczynka wrzasnęła i pomknęła w tył tak szybko, że potknęła się i upadła. Leżąc na podłodze, zawyła.

– Już dobrze – uspokajała Julia. – Nie bój się. Nic ci się nie stanie. Obiecuję. – Ponownie spuściła wodę, a potem jeszcze raz i jeszcze, dopóki dziewczynka w końcu nie usiadła. Wtedy Julia umyła ręce i podeszła wolno do swojej pacjentki. – Chciałabyś, żebym wróciła do czytania?

Przyklękła. Ich oczy znalazły się na tym samym poziomie, i to blisko. Widziała turkusowe tęczówki dziewczynki; usiane były bursztynowymi plamkami. Gęste, ciemne rzęsy opadły, a potem się uniosły.

– Książka – powiedziała znowu Julia, wskazując powieść.

Dziewczynka zbliżyła się do stołu i usiadła na podłodze.

Julia gwałtownie zaczerpnęła tchu, ale poza tym nie zareagowała. Podeszła do najbliższego krzesła i zajęła miejsce.

– Myślę, że Ellie i ja powinnyśmy tu przynieść ulubiony fotel mamy. Co ty na to?

Dziewczynka przysunęła się bliżej. Siedząc po turecku, patrzyła na Julię.

Teraz, nawet z buzią umazaną jedzeniem i z potarganymi włosami, dziewczynka wyglądała jak typowy przedszkolak słuchający pani, która czyta całej grupie.

– Chyba czekasz, aż zacznę.

Jak zwykle, odpowiedzią była cisza. Dziewczynka tylko patrzyła na nią swymi dziwnymi niebieskozielonymi oczami. Tym razem było w nich jakby oczekiwanie, nawet niecierpliwość. Normalne dziecko powiedziałoby nakazująco: „Czytaj!”. Ta mała po prostu czeka.

Julia wróciła do opowieści. Czytała o Mary, Dickenie i Colinie, i o tajemniczym ogrodzie, należącym do nieżyjącej matki Mary. Czytała rozdział po rozdziale, aż zmierzch zaczął napierać na okno pasmami różu i purpury. Zbliżała się do końca książki, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Psy zaczęły szczekać.

Na ten dźwięk dziewczynka pobiegła do swojej kryjówki w doniczkowej gęstwinie i ukryła się wśród liści.

Drzwi otworzyły się powoli. Stojące za nimi golden retrivery tylko czekały, żeby wparować do środka.

– Leżeć, Jake, Elwood. Co z wami? – Ellie ominęła psy i biodrem zamknęła drzwi. Pozostawione w holu zwierzęta zawyły żałośnie i zaczęły drapać do drzwi.

– Powinnaś przeszkolić te psy – zauważyła Julia, zamykając książkę.

Ellie postawiła na stole tacę z jedzeniem.

– Myślałam, że jeśli utnie się im jaja, to będą bardziej posłuszne. Niestety. One mają to w fiutach. – Usiadła na brzegu swojego dawnego łóżka. – Jak tam dziewczynka? Chyba wciąż bierze mnie za siostrę Ratchett [9].

– Myślę, że już z nią lepiej. Chyba lubi, jak się jej czyta.

– Próbowała uciekać?

– Nie. Nawet nie podchodzi do drzwi. Wydaje mi się, że ze względu na gałkę. Naprawdę boi się lśniącego metalu.

Ellie pochyliła się i opuściła ramiona. Przeciągłe westchnienie, które jej się wyrwało, przypominało odgłos powietrza schodzącego z opony.

– Ja też chciałabym dojść do wniosku, że robię postępy, jeśli chodzi o moją działkę.

– Ależ robisz! Ta historia dostała się do wiadomości publicznej. Ktoś wreszcie się zgłosi.

– Zgłasza się mnóstwo ludzi. Odbyłam dziś rozmowy z siedemdziesięcioma sześcioma osobami. Wszyscy w ostatnich latach stracili córki. Ich opowieści… te zdjęcia… To było okropne.

– Strasznie przykro patrzeć na nieszczęście.

– Jak ty to robisz, że potrafisz przez cały dzień słuchać takich smutnych historii?

Julia nigdy nie patrzyła na swoją pracę od tej strony.

– Te historie są smutne, jeśli źle się kończą. Chyba po prostu wierzę w szczęśliwe zakończenia.

– Skryta romantyczka. Kto by pomyślał?

Julia się roześmiała.

– No właśnie. A jak poszła konferencja prasowa?

– Była długa. Nudna. I padały same głupie pytania. Reporterzy z sieci ogólnokrajowych są równie beznadziejni jak cała reszta. I jednego już się nauczyłam, jeśli się nie odpowiada na jakieś pytanie, bo jest zbyt głupie, oni je ponawiają. Najbardziej podobało mi się takie jedno, zadane przez dziennikarza „National Enquirer”. Miał nadzieję, że dziewczynka ma skrzydła zamiast ramion. O, a facet ze „Stara” chciał wiedzieć, czy wychowywała się z wilkami.

Na szczęście „Star” to brukowiec. Nikt nie potraktuje poważnie jego rewelacji.

– A co z ustaleniem tożsamości?

– Na razie nic. Ale eliminujemy możliwości, biorąc pod uwagę zdjęcia rentgenowskie, znamiona, blizny, granice wiekowe. Aha, w Departamencie Zdrowia zatwierdzono twoją kandydaturę. Jesteś już oficjalnie tymczasowym opiekunem małej.

Dziewczynka wyczołgała się ze swojej kryjówki. Przystanęła i poruszając nozdrzami, zaczęła węszyć w powietrzu, potem przemknęła przez pokój jak najbliżej ziemi. Julia nigdy dotąd nie widziała, żeby dziecko poruszało się tak szybko. Mała zniknęła w łazience.

Ellie gwizdnęła.

– Więc to Daisy miała na myśli, mówiąc, że ona biegła jak wiatr.

Julia powoli poszła do łazienki.

Dziewczynka siedziała na sedesie, z pieluchomajtkami wokół kostek.

– Rany kota! – szepnęła Ellie. – Ty ją tego nauczyłaś?

Julia nie wierzyła własnym oczom.

– Przydybała mnie, gdy poszłam do łazienki. Na dźwięk spuszczanej wody przestraszyła się śmiertelnie. Przysięgłabym, że nigdy wcześniej nie widziała klozetu.

– Myślisz, że sama się tego nauczyła? Zobaczywszy tylko raz?

Julia nie odpowiedziała. Każdy hałas mógł spłoszyć dziecko. Powoli weszła do łazienki i odwinęła trochę papieru toaletowego. Pokazała dziewczynce, co z nim zrobić, i podała go jej. Ta przez chwilę przyglądała mu się ze zmarszczonym czołem. W końcu wzięła papier i użyła. Kiedy skończyła, wrzuciła go do muszli, podciągnęła pieluchomajtki i nacisnęła spłuczkę owiniętą taśmą klejącą. Na odgłos spuszczanej wody krzyknęła i uciekła, dając nura między nogami Julii i Ellie.

– O rany! – westchnęła Ellie.

Obie patrzyły, jak dziewczynka chowa się wśród roślin doniczkowych. W ciszy, która zapadła w pokoju, słychać było jej przyspieszony, głośny oddech.

– To wszystko staje się coraz dziwniejsze – zauważyła Ellie.

Julia zgadzała się z nią.

– Cóż – powiedziała w końcu Ellie. – Muszę wracać na posterunek. Nie wiem, na jak długo. – Wyjęła z tylnej kieszeni kartkę i podała ją Julii. – To numery domowe Peanut i Cala. Gdybyś musiała znowu iść do biblioteki, popilnują dziewczynki.

– Dzięki.

Julia odprowadziła Ellie do drzwi, a potem zamknęła je za nią. Nie przekręciła klucza. Jak na razie, dziewczynkę najwyraźniej przerażała mosiężna gałka.

Podeszła do stołu, zrobiła kilka notatek i odłożyła pióro.

– Pora na obiad – oświadczyła.

Dziewczynka pozostała w ukryciu, obserwując ją stamtąd.

– Jedzenie. – Julia poklepała tacę, którą przyniosła Ellie.

Tym razem mała zareagowała. Wyczołgała się spod osłony liści i podeszła do stołu, gdzie w swój zwykły sposób rzuciła się na jedzenie.

Julia chwyciła ją za rękę.

– Nie.

Ich spojrzenia się spotkały.

– Jesteś na to za bystra, nie sądzisz? – Julia wstała, wciąż trzymając małą za chudziutki nadgarstek, obeszła stół i stanęła obok niej. – Usiądź.

Przez następne pół godziny stały tak, tocząc ze sobą walkę do wtóru jednego słowa „usiądź”.

Początkowo dziewczynka wyła, prychała i potrząsając głową, próbowała się wyrwać.

Julia nie puszczała jej; kręciła głową, mówiąc:

– Usiądź.

Kiedy okazało się, że te popisy nic nie dają, mała się uspokoiła. Stała zupełnie nieruchomo i tylko patrzyła na Julię gniewnymi, przymrużonymi oczami.

– Usiądź – powtórzyła Julia, poklepując krzesło.

Dziewczynka westchnęła dramatycznie i usiadła.

Julia natychmiast ją puściła.

– Dobre dziecko – pochwaliła ją. Obeszła stół i zajęła swoje miejsce z drugiej strony.

Dziewczynka rzuciła się na jedzenie jak na świeży łup.

– Siedzisz przy stole – powiedziała na to Julia. – To pierwsza rzecz. Jutro popracujemy nad manierami. Po kąpieli. – Sięgnęła po notatnik, położyła go na kolanach i zaczęła przerzucać kartki, podczas gdy dziecko jadło. Może tu tkwiło wyjaśnienie, choć nie bardzo w to wierzyła. Ten przypadek w ogóle wymagał mnóstwa wyjaśnień.

Wpadł jej w oko fragment napisany tego popołudnia:

Niezwykłe zdolności naśladowcze. Dziecko potrafi powtórzyć śpiew ptaka nuta po nucie. Można odnieść wrażenie, że się z nim porozumiewa,

chociaż to niemożliwe.

– Czy to jest wyjaśnienie, malutka? Widziałaś, jak korzystam z toalety, i po prostu mnie naśladowałaś? Czy ta umiejętność była ci potrzebna w lesie?

Zapisała: *Jak się uczymy z dala od ludzi czy poza społeczeństwem? Metodą prób i błędów? Naśladując inne gatunki? Być może dziewczynka musiała uczyć się szybko, na podstawie obserwacji*.

Uniosła pióro znad kartki.

Ale to mogła być tylko połowiczna odpowiedź. Dziecko, które wychowało się w dziczy, wśród stada wilków albo innych zwierząt, nauczyłoby się oznaczać swoje terytorium moczem. Nie widziałoby sensu w korzystaniu z toalety.

Chyba że już kiedyś było świadkiem, jak ktoś jej używał. Albo dostrzegło w Julii nowego przywódcę stada, do którego chce się przyłączyć.

– Kim ty jesteś, malutka? Skąd się wzięłaś?

Jak zwykle, nie było odpowiedzi.

Kiedy dziewczynka jadła, Julia wyślizgnęła się z pokoju i zeszła na dół.

W domu panowała cisza.

W garażu znalazła dwa kartonowe pudła z darami mieszkańców miasteczka. W jednym z nich były ubrania, w drugim – książki i zabawki.

Przejrzała wszystko jeszcze raz, wybrała rzeczy najbardziej przydatne i przełożyła do jednego z pudeł, po czym zaniosła je do pokoju na górze i postawiła z hałasem na podłodze.

Dziewczynka spojrzała z lękiem.

Julia niemal się roześmiała na jej widok. Na buzi i szpitalnej koszuli mała miała prawie tyle samo jedzenia, co na talerzu. Sałatką owocową z bitą śmietaną umazała sobie nos, policzki i brodę.

– Wyglądasz jak miniaturowy święty Mikołaj.

Schyliła się i otworzyła pudełko. Na wierzchu leżały trzy rzeczy: śliczna koronkowa sukienka, biała z różowymi kokardkami, lalka niemowlę z pieluchą i zestaw kolorowych plastikowych klocków.

Cofnęła się o krok.

– Zabawki. Znasz to słowo?

Żadnej reakcji.

– Gra. Zabawa. Przebierać się.

Dziewczynka patrzyła na nią, nie mrugnąwszy nawet okiem.

Julia wzięła do ręki sukienkę. Znoszona bawełna była miękka w dotyku.

Oczy dziewczynki się rozszerzyły. Wydała dziwny odgłos, niski warkot, który dobył się z głębi gardła. Niewiarygodnie szybko i cicho zerwała się z krzesła, obiegła stół i wyrwała sukienkę z ręki Julii. Przyciskając ją do piersi, wróciła do swojego schronienia wśród roślin i przykucnęła.

– Ho, ho – zdziwiła się Julia. – Ktoś tu lubi ładne rzeczy.

Dziewczynka zaczęła mruczeć. Jej palce odnalazły jedną z malutkich satynowych kokardek i zaczęły ją gładzić.

– Będziesz musiała się umyć, jeśli chcesz nosić ładne stroje.

Poszła do łazienki i odkręciła kran nad wanną, a potem przysiadła na jej brzegu.

– Kiedy byłam w twoim wieku, uwielbiałam się kąpać. Mama dodawała do kąpieli olejku lawendowego. Pachniał tak ładnie. O, zobacz, w szafce jest jeszcze buteleczka z tym olejkiem. Wleję ci go do wody.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że dziewczynka stoi w drzwiach, zaglądając do środka.

Julia wyciągnęła do niej rękę.

– Nie bój się – powiedziała łagodnie. – Nie bój się. – I dodała: – Chodź.

Bez żadnego skutku.

– Przyjemnie być czystym. – Zanurzyła rękę w wodzie. – O, jak fajnie. No, chodź.

Dziewczynka zaczęła posuwać się kroczkami tak małymi, że prawie niezauważalnymi, a jednak się zbliżała. Nerwowo przy tym przenosiła wzrok z ręki Julii na zaklejoną taśmą rączkę od spłuczki.

– Widziałaś już kiedyś bieżącą wodę? – Julia nabrała wody w dłoń i zaczęła ją przelewać między palcami. – Woda. Woda.

Dziewczynka znalazła się przy brzegu wanny. Patrzyła na wodę ze strachem, a jednocześnie z fascynacją.

Bardzo powoli Julia pochyliła się, żeby rozebrać dziewczynkę, która w ogóle się temu nie sprzeciwiała. Julię zdziwił ten brak oporu. Co to mogło znaczyć, jeśli w ogóle coś znaczyło? Zdjęła szpitalną koszulę i rzuciła ją na wieszak z ręcznikami, a potem ujęła dziewczynkę za wąski nadgarstek i delikatnie pociągnęła ku wannie.

– Dotknij wody. Po prostu spróbuj. – Pokazała jej, licząc, że mała będzie ją naśladować.

Trwało to długo, ale dziewczynka w końcu zanurzyła rękę.

Otworzyła szeroko oczy. Wydała dźwięk będący na wpół westchnieniem, a na wpół pomrukiem.

Julia rozebrała się do stanika i majtek, a potem weszła do wanny.

– Widzisz? – powiedziała z uśmiechem. – Chciałabym, żebyś zrobiła to samo. – Gdy dziewczynka się zbliżyła, Julia wyszła z wody i przysiadła na chłodnym porcelanowym brzegu wanny. – Teraz kolej na ciebie. No, dalej.

Dziewczynka nieufnie przeszła przez krawędź wanny i zanurzyła się w wodzie. Gdy się już w niej znalazła, wydała odgłos przypominający mruczenie kota i spojrzała na Julię. Plasnęła ręką o wodę, a potem zaczęła rozchlapywać ją nogami. Kontynuując badania, polizała kafelki, dotknęła fugi i obwąchała kurki. Nabrała wody w dłonie i wypiła ją – tego, oczywiście, należało ją oduczyć, ale później.

W końcu Julia wzięła z mydelniczki lawendowe mydło i podała dziewczynce, która je obwąchała i chciała ugryźć.

Julia nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

– Nie. Fuj. – Skrzywiła się. – Fuj.

Dziecko zmarszczyło brwi, próbując chwycić mydło.

Julia potarła je w rękach, żeby zrobić pianę.

– Dobrze. Teraz cię wykąpię. Mycie. Mydło. – Bardzo powoli wzięła małą za rękę i zaczęła ją myć.

Dziewczynka przyglądała się jej uważnie jak uczeń magika usiłujący nauczyć się nowej sztuczki. Gdy Julia myła jej ręce, zaczęła się powoli odprężać. Nie protestowała, kiedy opiekunka odwróciła ją w wannie i zaczęła myć jej włosy. Podczas masażu głowy zaczęła mruczeć.

Julia dopiero po chwili zorientowała się, że te dźwięki układają się w pewną melodię.

Mrugaj, mrugaj, mała gwiazdko.

Wyprostowała się. Ze wszystkich zdumiewających faktów, jakie zaobserwowała tego dnia, ten był najważniejszy.

– Ktoś ci to śpiewał, malutka. Kto to był?

Dziewczynka nadal pomrukiwała z zamkniętymi oczami.

Spłukując długie, ciemne włosy, Julia dopiero teraz uświadamiała sobie, jakie są grube i kręcone. Kosmyki owijały jej się wokół palców jak pędy

dzikiego wina. Zauważyła też sieć blizn na drobnych plecach; jedna, przy ramieniu, była szczególnie brzydka.

Gdzieś ty była?

Piosenka odsłaniała fragment historii tego dziecka; pierwszy, jaki udało się dostrzec. Było jednak mało prawdopodobne, że następne pytania przyniosą odpowiedzi. Julia wiedziała, że potrzebuje czegoś przełomowego.

Postanowiła zaśpiewać do akompaniamentu tej mruczanki. *Ależ mnie ciekawi, kim ty jesteś*.

Dziewczynka rozchlapywała wodę, dopóki Julia nie spojrzała jej w twarz. Niebieskozielone oczy były tak szeroko otwarte, że sprawiały wrażenie za dużych jak na tę małą, pociągłą buzię.

Julia dokończyła piosenkę, a potem przyłożyła dłoń do piersi i powiedziała:

– Julia. Julia. To ja. – Ujęła rączkę dziewczynki. – A ty kim jesteś?

Odpowiedzią było tylko intensywne spojrzenie.

Julia wstała z westchnieniem i sięgnęła po ręcznik.

– Chodź.

Ku jej zdziwieniu mała podniosła się i wyszła z wanny.

– Zrozumiałaś, co mówię? Czy wstałaś, bo ja tak zrobiłam? – Julia usłyszała zdumienie w swoim głosie. Zawodowe podejście, nie ma co! To dziecko było jedną wielką zagadką. – Umiesz mówić? Mówić? Słowa? – Ponownie położyła rękę na piersi. – Julia. Julia. – Potem dotknęła piersi dziewczynki. – A ty? Jak masz na imię? Przecież muszę cię jakoś nazywać.

Nic poza spojrzeniem.

Julia wytarła dziewczynkę i ubrała ją w sukienkę.

– Zakładam ci znowu pieluchę. Tak na wszelki wypadek. Odwróć się. Zaplotę ci włosy. Moja mama zawsze plotła mi warkocz. Ale ja będę robić to delikatniej, obiecuję. Mama tak mnie ciągnęła za włosy, że chciało mi się płakać. Siostra mówiła, że dlatego mam trochę skośne oczy. Dobrze. Już koniec. – Niechcący wpadła na drzwi łazienki, które zamknęły się z głośnym trzaśnięciem. Wiszące na nich prostokątne lustro odbiło postać dziewczynki.

Mała zaczerpnęła powietrza tak gwałtownie, jak rozbitek wyrzucony przez fale na brzeg. Wyciągnęła rękę do lustra, żeby dotknąć tej drugiej dziewczynki.

– Widziałaś już kiedyś swoje odbicie? – zapytała Julia, ale nawet zadając to pytanie, znała odpowiedź.

To wszystko razem nie miało sensu. Fragmenty układanki nie pasowały do siebie. Wilk. Sposób jedzenia. Piosenka. Korzystanie z toalety. To były maleńkie elementy, które tworzyły brzegi puzzli, ale centralna część, ta zasadnicza, była wciąż niedostrzegalna. Dziewczynka z pewnością widywała swoje odbicie, choćby w wodzie.

– To ty, kochanie. Ty. Widzisz te śliczne niebieskozielone oczy, długie, ciemne włosy? Ładnie ci w tej sukience.

Dziewczynka zamierzyła się na swoje odbicie. Kiedy jej knykcie uderzyły w twardą taflę, krzyknęła głośno z bólu.

Julia podeszła do niej i przyklękła. Teraz obie odbijały się w lustrze, twarz przy twarzy. Dziewczynka była piękna. Przypominała Elizabeth Taylor z czasów dzieciństwa.

– Widzisz? To ja. Julia. I ty.

Dostrzegła moment, w którym na dziewczynkę spłynęło zrozumienie.

Powolutku mała dotknęła swojej piersi i wydała jakiś odgłos. Jej odbicie zrobiło to samo.

– Powiedziałaś coś? Swoje imię?

Dziewczynka wysunęła język. Przez następne czterdzieści minut bawiła się przed lustrem. W pewnej chwili Julia poszła po notatnik i aparat cyfrowy. Kiedy wróciła do łazienki, dziewczynka klaskała w rączki i podskakiwała, obserwując swoje odbicie.

Julia zrobiła kilka zbliżeń jej twarzy i odłożyła aparat. W notatniku zapisała: *Odkrycie siebie* i zaczęła opisywać zachowanie dziecka.

Mijały godziny. Dziewczynka patrzyła na siebie w lustrze jeszcze długo po tym, jak niebo pociemniało i wysypały się na nie gwiazdy.

W końcu Julia nie była już w stanie pisać. Zdrętwiała jej ręka.

– Koniec tego dobrego. Idziemy. Pora spać.

Wyszła z łazienki. Ponieważ dziewczynka najwyraźniej nie chciała pójść za nią, Julia wzięła książkę. Skończyła czytać *Tajemniczy ogród*, więc teraz wybrała *Alicję w krainie czarów*.

– Coś w sam raz dla nas, nie uważasz? – powiedziała.

Jakby sama dla siebie zaczęła czytać:

Alicja siedziała na brzegu obok siostry i była już bardzo znużona tym, że zupełnie nie ma co robić; raz czy dwa zajrzała do książki czytanej przez siostrę, ale nie było tam ani ilustracji, ani konwersacji. „A jaki może być pożytek z książki – pomyślała Alicja – w której nie ma ani ilustracji, ani konwersacji?” [10].

Podskoki w łazience ustały.

Julia uśmiechnęła się i czytała dalej. Właśnie w książce pojawił się biały królik, gdy dziewczynka wyszła z łazienki. W białej sukience z różowymi kokardkami i z zaplecionymi w warkocz włosami wyglądała jak wszystkie małe dziewczynki. Dzikość można było dostrzec jedynie w spojrzeniu. Oczy, zbyt duże w drobnej buzi i zbyt poważne jak na ten wiek, patrzyły w skupieniu na Julię, która spokojnie czytała dalej.

Dziewczynka podeszła do niej, prześlizgując się obok łóżka.

Julia spojrzała na nią.

– Hej, malutka. Lubisz, kiedy czytam?

Dziewczynka uderzyła rączką w książkę.

Julia była zbyt zaskoczona tą reakcją, by coś powiedzieć. Po raz pierwszy mała próbowała się z nią porozumieć i robiła to dość zdecydowanie.

Pacnęła w książkę jeszcze raz i spojrzała na Julię. Potem dotknęła swojej piersi.

Z takim samym gestem Julia wypowiedziała swoje imię.

– Alice? – szepnęła teraz, czując dziwny lęk. – Masz na imię Alice?

Dziewczynka znowu uderzyła rączką w książkę. Ponieważ Julia nie odpowiedziała, zrobiła to jeszcze raz.

Julia zamknęła książkę. Okładka tego zniszczonego wydania przedstawiała ładną jasnowłosą Alicję z kolorowo ubraną Królową Kier. Julia wskazała postać głównej bohaterki.

– Alice – powiedziała, a potem wskazała palcem stojącą obok dziewczynkę. – Czy to ty? Alice?

Mała mruknęła i otworzyła książkę, uderzając w rozłożone kartki.

W tym miejscu skończyła czytanie. Dokładnie w tym.

Zdumiewające.

Julia nie miała pojęcia, czy tę reakcję wywołało imię bohaterki, czy sama lektura, ale nie miało to znaczenia. Z jakiegoś powodu dziewczynka w końcu wkroczyła w ten świat. Julia omal nie roześmiała się głośno, tak ją to ucieszyło.

Dziewczynka znowu uderzyła w książkę.

– Dobrze, będę czytać dalej, ale odtąd jesteś Alice. Więc, Alice, do łóżka. Poczytam ci, gdy się położysz.

Dokładnie godzinę później dziewczynka już spała i Julia zamknęła książkę.

Pochyliła się i pocałowała pachnący różowy policzek.

– Dobranoc, maleńka Alice. Śpij dobrze w krainie czarów.

11

Siedząc sama na posterunku policji, Ellie przeglądała swoje popołudniowe notatki.

Wszyscy ci pogrążeni w bólu rodzice i ich dzieci liczyli na nią. Przerażała ją myśl, że może ich zawieść.

Właśnie ten lęk mobilizował ją do działania, kazał jej tkwić w fotelu i wytężać zmęczony wzrok przy przeglądaniu raportów, które piętrzyły się na biurku.

Jednak robiła to już zbyt długo. Nie potrafiła zachować obiektywizmu, nie była w stanie porównywać dłużej grup krwi, uzębienia czy dat zniknięcia dzieci. Zamknąwszy oczy, widziała jedynie tych załamanych ludzi, ludzi, którzy w Boże Narodzenie wciąż wywieszali skarpety na prezenty dla swoich zaginionych dzieci. Na samą myśl o tym ściskało jej się serce.

– Usłyszałem na dworze, że płaczesz.

Ellie gwałtownie uniosła głowę, pociągając nosem.

– Nie płakałam. Zatarłam sobie oko. A ty co tu robisz?

Cal stał w progu, uśmiechając się lekko, z rękami głęboko w kieszeniach. W czarnej koszulce z napisem *Dark Knight* i spranych dżinsach wyglądał raczej na ucznia niż dorosłego, żonatego mężczyznę, ojca trójki dzieci. Jak to możliwe, że zawsze pojawiał się jak na zawołanie, gdy Ellie czuła się najbardziej samotna?

Przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Otarła oczy. Uśmiech, który przywołała na twarz, był czystą fikcją; oboje o tym wiedzieli.

– Nie nadaję się do tego, Cal.

Pokręcił głową. Czarne włosy opadły mu na oczy.

Ellie odruchowo je odgarnęła.

– Co mam zrobić? – zapytała.

Instynktownie odchylił się do tyłu, a potem zaśmiał się dziwnie.

– Zrobisz to, co zawsze, El.

– To znaczy…?

– Co będzie trzeba. Znajdziesz rodzinę tej małej.

– Najwyraźniej trzymam cię tu nie bez powodu.

Tym razem uśmiechnęła się naprawdę.

Cal wstał.

– Chodź. Postawię ci piwo.

– A co z Lisą i dziewczynkami?

– Została z nimi Tara. – Wziął płaszcz przeciwdeszczowy i włożył na siebie.

– Nie mam ochoty na piwo, Cal. Naprawdę. Poza tym powinnam pójść już do domu. Nie musisz…

– Nie masz nikogo, kto by się tobą zajął, El.

– Wiem, ale…

– Odeskortuję cię do domu.

Prostota, z jaką to powiedział, ujęła ją za serce. Miał rację. Od dawna nikt się o nią nie zatroszczył.

– No to chodź.

Wzięła swoją czarną skórzaną kurtkę i ruszyła za nim.

Ulice znowu były puste i ciche.

Na niebie pojawił się księżyc, oświetlając jezdnie, jeszcze mokre od wieczornego deszczu. Jego blask spływał na drzewa i srebrzył drogę.

Prowadząc wóz, Ellie usiłowała nie myśleć o sprawie dziewczynki. Skupiła wzrok na pogrążonej w mroku drodze i światłach reflektorów jadącego za nią samochodu, które działały na nią pokrzepiająco. Naprawdę przyjemna była świadomość, że ktoś towarzyszy jej w drodze do domu.

Zajechała na podwórko i zaparkowała. Zanim wyłączyła silnik, usłyszała w radio piosenkę *Leaving on a Jet Plane*.

Ogarnęły ją wspomnienia. Mama i tata grali ten utwór na pianinie i skrzypcach, zachęcając córki, żeby przyłączyły się do nich i śpiewały. „Moja El – mówił ojciec – ma anielski głos”.

Zobaczyła siebie jako małą dziewczynkę, która przemyka obok ojca i staje na prowizorycznej scenie. Później, kiedy Sammy Barton zagrał dla niej tę piosenkę, zakochała się w nim. Ta miłość była jak skok w głęboką wodę; ledwie wyszła z niej cało.

– Kiedyś uwielbiałaś tę piosenkę – przypomniał Cal, stając przy drzwiach wozu i patrząc na nią przez otwarte okno.

– Kiedyś tak – odparła Ellie, odsuwając od siebie wspomnienia. – Teraz przypomina mi tylko mojego drugiego męża, który pewnego dnia wsiadł do autobusu Greyhounda i odjechał. Musisz mieć już kogoś naprawdę dosyć, żeby uciec od niego autobusem.

– Był głupcem.

– Chyba masz na myśli wszystkich tych mężczyzn, których kochałam. A były ich tabuny.

– Kochałaś po prostu niewłaściwych – powiedział cicho, patrząc na nią.

– Dzięki za wnikliwą analizę, Sherlocku. Widocznie tego nie zauważyłam.

– Oj, ktoś się dziś nad sobą użala.

Ellie uśmiechnęła się.

– Już nie będę. Dzięki za wsparcie.

Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Chodź, szefowo. Zaproś mnie na piwo.

Przeszli przez rozmiękły trawnik i weszli po stopniach ganku. Znalazłszy się w domu, Ellie ze zdziwieniem zobaczyła, że siostra jeszcze pracuje.

Julia siedziała przy kuchennym stole, nad rozłożonymi papierami.

– Hej – powiedziała, podnosząc głowę.

– Julia? – zapytał Cal. Jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

Julia wstała powoli, patrząc na niego.

– Cal? Cal Wallace? To naprawdę ty?

Rozłożył ramiona.

– Ja.

Julia podbiegła i wpadła w jego objęcia. Oboje uśmiechali się serdecznie. Kiedy Cal wreszcie wypuścił ją z uścisku, przyjrzał jej się uważnie.

– Mówiłem ci, że wyrośniesz na piękność.

– A ty nadal potrafisz uścisnąć kobietę jak żaden inny mężczyzna – odpowiedziała Julia z uśmiechem.

Ellie zmarszczyła brwi. Czyżby flirtowali? Od razu przypomniały jej się dawne prywatki. Podczas gdy ona stała pośrodku sceny i śpiewała, dając z siebie wszystko, jej siostra siedziała na schodach obok Cala.

Julia cofnęła się i objęła go spojrzeniem.

– Wyglądasz jak gwiazdor rocka.

– Szyk heroinisty. Tak nazywają chudych facetów w moim typie. – Odgarnął włosy z oczu. – Miło cię znowu zobaczyć, Jules. Tylko szkoda, że

w takich gównianych okolicznościach. A jeśli już o tym mowa, twoja siostra jest na pograniczu załamania.

– Dopadło mnie – przyznała Ellie, otwierając puszkę z piwem. Odpięła pas z bronią oraz radio, po czym położyła jedno i drugie na kredensie. – Macie ochotę na piwo?

– Nie, dzięki. – Julia podeszła do stołu i przerzuciła leżące na nim papiery. Wreszcie odnalazła to, czego szukała, i wręczyła Ellie. – To dla ciebie, El.

Ellie odstawiła piwo.

– O rany! To ona?

– Tak. – Julia uśmiechnęła się jak dumna matka. – Przy okazji, nazywam ją Alice. Od *Alicji w krainie czarów*. Zareagowała na tę książkę.

Ellie patrzyła na zdjęcie, które trzymała w ręku. Przedstawiało śliczną ciemnowłosą dziewczynkę w białej sukience.

– Jak ci się udało je zrobić?

– Najtrudniej było ją skłonić, żeby stała spokojnie. – Julia uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Miałyśmy dobry dzień. Opowiem ci jutro. Teraz muszę już lecieć. Przypilnujesz jej?

– Mam być opiekunką do dziecka?! Ja?

Cal przewrócił oczami.

– To tylko opieka nad dzieckiem, Ellie, nie trepanacja czaszki.

– Wolałabym otworzyć komuś czaszkę i zaszyć ją z powrotem, niż pilnować dziewczynki od wilka. Wcale nie żartuję. – Ellie spojrzała na siostrę. – Dokąd się wybierasz?

– Do biblioteki. Muszę dowiedzieć się czegoś na temat jej diety.

– Porozmawiaj z Maxem – podsunął Cal. – Ten facet ma szczegółowe notatki. Na pewno potrafi odpowiedzieć na twoje pytania.

Julia się roześmiała.

– Doktor Casanova w piątkowy wieczór? Może lepiej nie.

– Nie obawiaj się, Jules – rzuciła Ellie. – Nie jesteś w jego typie.

Uśmiech Julii znikł.

– Nie całkiem to miałam na myśli, ale jestem ci wdzięczna za informację. – Wzięła torebkę i ruszyła do drzwi. – I dzięki za opiekę nad dzieckiem, El. Miło było cię zobaczyć, Cal.

– Czyś ty zgłupiała? – zwrócił się Cal do Ellie, gdy tylko Julia wyszła.

– Chyba jest jakiś paragraf zabraniający zwracać się tak do szefa policji.

– Nie ma. Jest natomiast paragraf, który zabrania szefowi policji pleść głupoty. Nie widziałaś, jak twoja siostra zmieniła się na twarzy, gdy powiedziałaś, że nie jest w typie Maxa? Zraniłaś jej uczucia.

– Daj spokój, Cal! Widziałam zdjęcie jej ostatniego faceta. Pan sławny naukowiec jest w zupełnie innym typie.

Cal westchnął i wstał.

– Ty nigdy tego zrozumiesz.

– Czego nie zrozumiem?

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, na tyle długo, by zaczęła się zastanawiać, o co mu chodzi. W końcu pokręcił głową.

– Idę. Do zobaczenia jutro w robocie.

– Nie gniewaj się.

Przystanął w drzwiach i odwrócił się.

– Gniewać się? – Zniżył głos. – Ja się nigdy nie gniewam, Ellie. Ale skąd masz to wiedzieć? Liczą się przecież tylko twoje uczucia.

I już go nie było.

Ellie dopiła piwo i otworzyła następne. Gdy kończyła tę drugą puszkę, zapomniała już o dziwnej uwadze Cala. Mieli za sobą wiele rozmaitych starć i dyskusji. Najważniejsze, że następnego dnia wszystko wracało do normy. Cal uśmiechał się do niej, jak gdyby nic się nie stało. Zawsze tak było.

W końcu poszła na górę. Przystanęła przed swoim dawnym pokojem i przekręciwszy gałkę, weszła do środka.

Dziewczynka spała spokojnie i chociaż wyglądała jak wszystkie inne dzieci, wciąż leżała skulona, jakby w obronie przed tym okrutnym światem.

– Kim ty jesteś, dziecko? – szepnęła Ellie, znowu czując ciężar odpowiedzialności. – Odnajdę twoją rodzinę. Obiecuję.

Przed czterdziestu laty, gdy budowano kino, znajdowało się ono na skraju miasteczka. Starsi mieszkańcy wciąż nazywali tę okolicę Back East; została tak ochrzczona w czasach, gdy o Azalea Street jeszcze nikomu się nie śniło. Teraz leżało już w granicach Rain Valley. Wokół stały nieduże, dwupiętrowe domy, wzniesione w tłustych latach dla pracowników tartaku. Po drugiej stronie ulicy była biblioteka, a przecznicę czy dwie dalej znajdo-

wał się nowy sklep z artykułami żelaznymi. Sealth Park, gdzie zjawiła się dziewczynka, rozciągał się za rogiem.

Max chodził w piątkowe wieczory do kina – sam. Początkowo komentowano w miasteczku ten jego dziwny zwyczaj, niektóre panie zaś „przypadkiem" wpadały w foyer na przystojnego pana doktora i przysiadały się do niego, ale po jakimś czasie te jego wyprawy stały się rutyną, a mieszkańcy Rain Valley niczego bardziej nie cenili niż rutyny.

Max pomachał właścicielowi kina, który stał za ladą maleńkiego sklepiku, przestawiając pudełka ze słodyczami. Nie zatrzymał się, by pogawędzić, bo wiedział, że rozmowa w sposób nieuchronny zejdzie na zapalenie kaletki maziowej, na które mężczyzna się uskarżał.

– Cześć, doktorze, jak się panu podobał film?

Max odwrócił się w lewo i zobaczył Earla z żoną, Myrą. Oni także chodzili do kina w piątkowe wieczory i przytulali się do siebie w ciemnościach jak nastolatki.

– Dobry wieczór, Earl. Witaj, Myro. Miło was widzieć.

– Wspaniały film – stwierdził Earl.

– Tobie podoba się każdy film – zauważyła Myra. – Zwłaszcza miłosny.

Zrównali krok z Maxem.

– Jak tam poszukiwania? – zapytał Max Earla.

– To nie sielanka, nie ma wątpliwości. Telefon się urywa, jest tyle tropów, że nie można się w tym rozeznać. Tak wiele zaginęło tu dziewczynek. Serce się człowiekowi kraje. Ale dowiemy się, kim ona jest. Szefowa postawiła to sobie za punkt honoru.

– Ellen Barton to świetna kobieta – powiedziała Myra znacząco.

Max nie mógł powstrzymać uśmiechu. Myra nigdy nie pominęła okazji, żeby wspomnieć o Ellie. Chyba całe miasteczko spodziewało się, że będzie z nich para. Gdy przez krótki czas spotykali się ze sobą, huczało od plotek. Niektórzy nieuleczalni romantycy jak Myra wierzyli, że jeszcze coś z tego będzie.

– Masz rację, Myro.

Wyszli na zewnątrz i stali na betonowej ścieżce między wejściem do kina a chodnikiem. Tego nadspodziewanie pogodnego wieczoru widzowie niespiesznie rozchodzili się do samochodów, pogrążeni w rozmowach.

Dźwięk ich głosów niósł się w czystym, spokojnym powietrzu. Earl i Myra oddalili się pierwsi.

Samochody odjeżdżały jeden po drugim, aż na ulicy pozostał tylko stary biały suburban i pikap Maksa.

Max był już w połowie drogi do swojego wozu, gdy jego uwagę przykuł ruch po drugiej stronie jezdni. Jakaś kobieta wychodziła z biblioteki, niosąc naręcze książek. Gdy weszła w krąg światła latarni, wydała mu się jakoś dziwnie jasna – anioł na tle ciemnego nieba.

Julia.

Dawno jej nie widział.

Otworzyła drzwi suburbana po stronie pasażera i wrzuciła książki do środka. Już miała usiąść za kierownicą po drugiej stronie wozu, gdy ją zawołał.

Zatrzymała się i uniosła głowę.

– Cześć, Julio – powiedział, podchodząc do niej. – Pracujesz do późna.

Zaśmiała się. Zabrzmiało to trochę nerwowo.

– Ludzie często używają w odniesieniu do mnie słowa „obsesja”.

– Jak się ma twoja pacjentka?

– Chciałabym porozmawiać z tobą na jej temat, ale później. W szpitalu.

– Dlaczego nie teraz? Moglibyśmy pojechać do mnie.

Julia wyglądała na zmieszaną.

– Och, chyba nie…

Max spojrzał na nią.

– To tak samo dobra pora jak każda inna – rzekł.

– Dziecko zostało z opiekunką…

– No to świetnie. Jedź za mną.

Zanim zdążyła się sprzeciwić, podszedł do swojego pikapa i zajął miejsce za kierownicą. Uruchamiając silnik, patrzył na nią w lusterku wstecznym.

Julia spojrzała na jego wóz, zagryzając wargę, i wsiadła do suburbana.

Droga biegła przez gęsty las; wierzchołki drzew wciskały się w rozgwieżdżone nocne niebo. Za sprawą blasku księżyca zwykła asfaltowa jezdnia zamieniła się w srebrzystą wstęgę, biegnącą między podwójną kurtyną lasu. Stara żółto-brązowa tablica informacyjna przed zakrętem wskazywała drogę nad Spirit Lake.

Julia nie była tu od lat. Nawet teraz, po dwudziestu latach, które minęły od czasów jej szkoły średniej, gdy na półwyspie dokonano rozbudowy, to miejsce wciąż stanowiło odludzie. Miejscowi nazywali je Krańcem, nie tyle ze względu na położenie, ile izolację.

Był to piękny, majestatyczny zakątek, ale jakoś nie pasował do doktora Casanovy. Max zdecydowanie sprawiał wrażenie mieszczucha. Co tu robił, w środku tego zielonego pustkowia?

Gdy skręciła w żwirową drogę, sceneria się zmieniła. Drzewa zasłoniły perłowy księżyc. Atramentowej nocy nie rozjaśniało teraz żadne światło. Wszechobecna mgła, unosząca się wokół jeziora, przydawała lasowi ciężkiej, nieziemskiej atmosfery.

Przyszło jej nagle do głowy, że jedzie za prawie nieznanym sobie mężczyzną w głąb lasu. I nikt nie wie, gdzie jest.

„Idiotka z ciebie.

On jest lekarzem.

A Ted Bundy [11] był studentem prawa”.

Wsunęła rękę do torebki i wyjęła telefon komórkowy. O dziwo, był zasięg. Wybrała numer Ellie i nagrała wiadomość: „Hej, El. Jestem u doktora Cerrasina w domu, mam zamiar porozmawiać z nim o dziewczynce. – Spojrzała na zegarek. – Będę w domu przed północą”.

Rozłączyła się.

„Przynajmniej będą wiedzieli, gdzie szukać moich zwłok”.

To wcale nie było śmieszne.

Tak naprawdę nie bardzo wiedziała, dlaczego właściwie za nim jedzie. Nie była jeszcze przygotowana do konsultacji, a teoria, którą miała do przedstawienia, mogła ją tylko ośmieszyć.

Niestety, poprzedniego roku straciła coś więcej niż tylko reputację. Gdzieś podziała się również jej pewność siebie. Musiała więc się przekonać, czy podąża właściwym tropem.

No właśnie. Dlatego się tu znalazła. Max był w Rain Valley jedynym kolegą po fachu, z którym mogła porozmawiać, poza tym badał Alice.

Drażniła ją własna słabość, ale przecież nie mogła wypierać się rzeczy oczywistych.

Max skręcił z głównej drogi. Julia wjechała za nim na świeżo wysypany żwirem podjazd. Wąska droga skręciła w lewo i niespodziewanie zakończyła się na polanie.

Max wjechał do garażu.

Julia zaparkowała przed garażem. Zaczerpnąwszy powietrza, wzięła teczkę i wysiadła z wozu.

Zdumiało ją piękno tego miejsca. Stała pośrodku rozległej, porośniętej trawą polany, którą z trzech stron otaczały potężne choiny. Z czwartej strony leżało Spirit Lake. Nad nim, jak nad wielkim kotłem, unosiła się mgła, nadając otoczeniu surrealistyczny, bajkowy wygląd. Gdzieś w pobliżu rozległo się hukanie sowy.

Julia wzdrygnęła się na ten dźwięk.

– Niesławny puszczyk plamisty – powiedział Max, podchodząc.

Odsunęła się.

– Wróg drwali.

– I pupilek obrońców przyrody. Chodź.

Poprowadził ją w kierunku domu. Zbliżywszy się nieco, Julia mogła docenić jego urodę. Cedrowe ściany, kunsztowny okap, duży ganek okalający budynek. Nawet krzesła na ganku były ręcznej roboty, z prawdziwej sosny. Takich domów nie widywało się w Rain Valley – drogich, wykonanych na zamówienie, a jednak prostych. Pasował bardziej do Aspen czy Jackson Hole.

Max otworzył drzwi frontowe i wpuścił Julię do środka. Pierwsze, co ją uderzyło, to zapach jagód wawrzynu; gdzieś musiała się palić świeca zapachowa. Z głośników płynęła nastrojowa muzyka. Niewątpliwie Max dbał o to, żeby wszystko było gotowe na wizytę kobiety.

Julia zacisnęła dłoń na uchwycie teczki i poszła dalej.

Na lewej ścianie dominował wspaniały kamienny kominek. Wzdłuż całej długości domu znajdowały się okna, które wychodziły na ganek i dalej na jezioro. Na zewnątrz prowadziły przeszklone drzwi. Część kuchenna była mała, ale funkcjonalnie urządzona; każda szafka była podświetlona. Część jadalna zajmowała z kolei dużo miejsca i miała na dwóch ścianach okna z widokiem na jezioro. Pośrodku stał duży stół na kozłach i, o dziwo, tylko jedno krzesło. W salonie znajdowała się skórzana sofa – foteli nie było – i wielki plazmowy telewizor. Przed kominkiem, na drewnianej podłodze, leżał gruby dywan z alpaki.

Przy tylnych drzwiach spoczywały zwoje lin i kołowrotków. Leżały splątane obok czekana i plecaka.

– Sprzęt do wspinaczki – stwierdziła. To było naprawdę zbyt banalne. – Ktoś tu lubi niebezpieczeństwo, jak widzę. I poszukuje ekstremalnych sytuacji, aby poczuć, że żyje?

– Nie próbuj ze mną tych swoich sztuczek, Julio. Napijesz się czegoś? – Odwrócił się i poszedł do kuchni. Otwierając lodówkę, zapytał: – Na co masz ochotę?

– Może białe wino?

Wrócił po chwili, niosąc kieliszek i niską szklankę. Białe wino dla niej, szkocka z lodem dla niego.

Julia wzięła kieliszek i usiadła na końcu kanapy, przy poręczy.

– Dziękuję – powiedziała.

Uśmiechnął się.

– Nie miej takiej przerażonej miny, Julio. Nie rzucę się na ciebie.

Niski, łagodny ton jego głosu i spojrzenie niebieskich oczu na moment wytrąciły ją z równowagi. To był zaledwie błysk, prawie nic, ale poczuła się zirytowana. Musiała odzyskać grunt pod nogami.

– Znowu spróbuję zgadnąć, doktorze Cerrasin. Gdybym zajrzała do garażu, zobaczyłabym porsche albo corvette.

– Przykro mi, ale muszę cię rozczarować.

– Na górze natomiast wielkie łóżko z drogą jedwabną pościelą i może futrzaną kapą, w szufladzie nocnego stolika pełno prążkowanych prezerwatyw – „dla jej przyjemności”.

Na jego czole pojawiła się zmarszczka.

– Jej przyjemność zawsze jest dla mnie ważna – powiedział.

– Jestem pewna. Dopóki jej przyjemność nie wymaga prawdziwego uczucia z twojej strony albo, Boże broń, zobowiązań. Wierz mi, Max, znałam takich mężczyzn jak ty. Choć syndrom Piotrusia Pana pociąga wiele kobiet, dla mnie już stracił czar.

– Kim on był?

– Kto?

– Ten facet, który tak cię zranił.

Julia była zaskoczona celnością tego pytania. A jeszcze bardziej zdziwiła ją własna reakcja. Poczuła się, jakby Max ją dobrze znał.

A jednak nie znał. Po prostu polował, zarzucił przynętę, jaką tylko tacy właśnie mężczyźni jak on potrafią zarzucić. Miał tę przewagę nad innymi, że sprawiał wrażenie szczerego faceta. Jednak z jakiegoś dziwnego powodu, gdy teraz patrzyła na niego, widziała w jego spojrzeniu samotność i czuła zrozumienie, które sprawiło, że chętnie odpowiedziałaby na zadane znienacka pytanie.

Ale wtedy by już wpadła.

– Możemy wrócić do tematu, który jest powodem tej wizyty?

– Ach tak. Sprawy zawodowe. Opowiedz mi o dziewczynce. – Usiadł na kanapie, ale nie za blisko.

– Nazwałam ją Alice. Od *Alicji w krainie czarów*. Ta książka wywołała u niej reakcję.

– To chyba dobre imię dla niej.

Czekał na dalszy ciąg.

Nagle Julia pożałowała, że się tu znalazła. Może był graczem i flirciarzem, ale jednocześnie uważała go za kolegę po fachu i mógł zniszczyć ją jednym słowem.

– Julio…?

Zaczęła więc:

– Kiedy badałeś ją po raz pierwszy, spostrzegłeś coś, co by wskazywało, czym się żywiła?

– Masz na myśli coś poza odwodnieniem i niedożywieniem?

– Tak.

– Dowodów nie mam; jedynie przypuszczenia. Odnoszę wrażenie, że żywiła się rybami, mięsem i owocami. I powiedziałbym, że raczej nie jadła nabiału ani produktów zbożowych.

Julia spojrzała na niego.

– Innymi słowy, to rodzaj pożywienia, które mogłoby świadczyć o tym, że żyła z dala od terenów uprawnych?

– Może. Jak długo twoim zdaniem tam przebywała?

No właśnie. Od odpowiedzi na to pytanie zależało, czy wyrosną jej skrzydła, czy się załamie.

– Pomyślisz, że zwariowałam – powiedziała po dłuższej chwili milczenia.

– Sądziłem, że wy, psychiatrzy, nie używacie tego słowa.

– Boję się mówić dalej.

– Ze mną jesteś bezpieczna.

Zaśmiała się.

– Nie sądzę.

– Mów, Julio – ponaglił ją, popijając drinka. W jego szklance zachrzęścił lód.

– Dobrze. – Zaczęła od informacji mniejszej wagi. – Na pewno nie jest głucha i nie wydaje mi się, żeby była autystyczna. Sądzę, że może to być całkowicie normalne dziecko, żywo reagujące na obce i nieprzyjazne oto-

czenie. Mam wrażenie, że rozumie niektóre słowa, choć nie wiem, czy potrafi mówić, ale nie chce tego robić, czy też nikt jej tego nie nauczył. Niezależnie od tego, jak jest naprawdę, nie osiągnęła jeszcze wieku dojrzewania, więc – przynajmniej teoretycznie – może nauczyć się mowy.

– No i…? – Pociągnął następny łyk.

Ona zrobiła to samo, tylko że wypiła od razu cały haust. Czuła się tak niepewnie, że zarumieniły jej się policzki. Nie miała jednak wyboru, musiała zaryzykować – albo wyjść.

– Czytałeś kiedyś o dzikich dzieciach?

– Takich jak ten chłopiec z Francji? Ten z filmu Truffaut?

– Właśnie.

– Daj spokój…

– Wysłuchaj mnie, Max. Proszę.

Oparł się o poduszki, splótł ramiona przed sobą i popatrzył na nią uważnie.

– No to mów.

Julia wyjęła z teczki wydruki, książki, notatki. Rozłożyła je wszystkie na kanapie. Gdy Max brał je kolejno do ręki i czytał, przedstawiała swoją teorię. Wymieniła oznaki świadczące wyraźnie, że dziewczynka może być dzikim dzieckiem – brak świadomości ego, mechanizm poszukiwania kryjówki, sposób jedzenia, dźwięki, jakie wydawała. Potem wskazała osobliwości: mruczanka, niezwykła zdolność mimikry, szybkie nauczenie się korzystania z toalety. Kiedy o tym wszystkim opowiedziała, usiadła prosto, czekając na jego reakcję.

– Więc uważasz, że większość swojego życia spędziła w lesie?

– Tak.

– I że wilk, którego przy niej znaleziono… był jej bratem?

Sięgnęła po swoje notatki.

– Zapomnij o tym. Powinnam była się spodziewać…

Śmiejąc się, wziął ją za rękę.

– Spokojnie. Nie wyśmiewam się z ciebie, ale musisz przyznać, że to teoria nie z tej ziemi.

– Ale zastanów się! Porównaj nasze obserwacje ze stwierdzonymi prawidłowościami.

– To historia z podań ludowych, Julio. Dzieci wychowywane przez wilki i niedźwiedzie…

– Może była jakiś czas przetrzymywana w lesie, a potem wypuszczona i zostawiona na pastwę losu. Niewątpliwie do pewnego czasu przebywała z ludźmi.

– Dlaczego nie mówi?

– Myślę, że to mutyzm wybiórczy. Przynajmniej do jakiegoś stopnia. Innymi słowy, potrafi mówić. Tylko nie chce.

– Jeśli to prawda, nawet tylko po części, trzeba by naprawdę świetnego lekarza, żeby przywrócić ją temu światu.

Julia usłyszała powątpiewanie w jego głosie. Nie była zdziwiona. Wszyscy uważali ją teraz za niekompetentną; dlaczego w jego wypadku miałoby być inaczej? Była tylko zaskoczona, że tak ją to zabolało.

– Jestem dobrym lekarzem. Przynajmniej byłam.

Zaczęła zbierać swoją dokumentację i wkładać do teczki.

Pochylił się i dotknął jej dłoni.

– Posłuchaj, ja w ciebie wierzę. Jeśli to ma jakieś znaczenie…

Spojrzała na niego, choć od razu zrozumiała, że to błąd. Był tak blisko, że widziała bliznę o poszarpanych brzegach na jego czole, biegnącą wzdłuż linii włosów, i drugą u nasady szyi. Światło świec złagodziło jego rysy; w niebieskich oczach dostrzegła odbicie płomyków.

– Dziękuje. To ma dla mnie znaczenie.

Później, gdy znalazła się już w samochodzie i jechała do domu, wróciła myślą do tej chwili, zastanawiając się, dlaczego tak wiele mu powiedziała.

Odpowiedź kryła się w jej braku pewności siebie.

„Wierzę w ciebie”.

Było ironią losu, że w pokoju wypełnionym dźwiękami nastrojowej muzyki, ze schodami niewątpliwie prowadzącymi do wielkiego łóżka, uwiodły ją po prostu jego słowa.

12

Ellie popijała ciepłe już piwo i ślęczała nad raportami policyjnymi, gdy usłyszała, że Julia wróciła.

Uniosła głowę.

– Hej – powiedziała.

Julia zamknęła drzwi za sobą.

– Hej.

Rzuciwszy teczkę na stół kuchenny, podeszła do lodówki i wyjęła piwo dla siebie.

– Gdzie Jake i Elwood?

– Widzisz? Brakuje ci tego ich wtykania nosa pod spódnicę. Obozują pod twoim pokojem. Już się prawie stamtąd nie ruszają. Myślę, że to ze względu na tę małą. Szaleją za nią. – Uśmiechnęła się. – Więc jednak pojechałaś do Maxa.

Julia usiadła na kanapie.

– Nie dziwi mnie, że słyszę jego imię zaraz po tekście o wtykaniu nosa pod spódnicę. Więc co jest z nim nie tak?

Ellie klapnęła na kanapę obok niej.

– To pytanie zadają sobie wszystkie kobiety w miasteczku.

– Założę się, że spał z każdą z nich.

– Nic podobnego.

Na twarzy Julii odbiło się zdziwienie.

– A zachowuje się jak…

– Wiem. To flirciarz, ale na tym zwykle się kończy. Nie zrozum mnie źle, spał z wieloma kobietami z miasteczka, ale tak naprawdę nie był z żadną z nich. W każdym razie niedługo.

– A z tobą?

Ellie się roześmiała.

– Kiedy tu zamieszkał, postanowiłam go zdobyć. To w moim stylu, jak wiesz. Żadnych subtelności… i żadnych wyrafinowanych podchodów. Jeśli w miasteczku zjawia się przystojny facet, ruszam do ataku i już. – Dopiła

piwo i odstawiła puszkę na stół. – Była impreza. Tequila, potańcówka w The Pour House, obmacywanka w toalecie… Gdy go sprowadziłam do domu, byliśmy już nieźle zalani. W łóżku było nam… Jeśli mam być szczera, nawet nie wiem jak, bo nic nie pamiętam. Wiem tylko, że mówiłam coś o tym, jak łatwo się w nim zakochać.

– Na pierwszej randce?

– Znasz mnie. Zawsze się zakochuję i mężczyznom na ogół się to podoba. Ale nie Maxowi. O mało nóg nie połamał, tak stąd wyrywał. Później unikał mnie jak zarazy. – Ellie zerknęła na siostrę, spodziewając się, że zobaczy potępienie w jej zielonych oczach. Julia na pewno nie miała pojęcia, jak to jest rzucać się na nieodpowiednich facetów, tak desperacko pragnąć miłości, żeby decydować się na każdego, kto tylko się do ciebie uśmiechnie. Ale to, co ujrzała w jej oczach, zaskoczyło ją. Julia wydała się nagle… tak bezbronna, jakby mowa o miłości sprawiała jej ból. – Wszystko w porządku? – upewniła się.

– Tak.

Jednak Ellie widziała, że siostra kłamie, i wreszcie zrozumiała. Julia także wie, co to złamane serce. Może nie cierpiała z tego powodu tak często jak ona ani tak jawnie, ale swoje przeszła.

– Co się z nim stało… To znaczy z Philipem. Byliście ze sobą tak długo. Myślałam, że się pobierzecie.

– Ja też tak myślałam. Byłam w nim tak zakochana, że ignorowałam ewidentne znaki. Dowiedziałam się, że w ostatnim roku sypiał, z kim tylko mógł. Teraz jest żonaty z asystentką stomatologiczną i mieszka w Pasadenie. Niedawno słyszałam, że ją także zdradza. Ale ze mnie psychiatra, co? Nie zauważyłam problemów we własnym związku.

– Zdaje się, że to był po prostu dupek.

– To, niestety, tylko część prawdy!

– Przykro mi. – Po raz pierwszy Ellie poczuła, że rozumie siostrę. Może była ona błyskotliwa, ale jeśli chodzi o miłość, nie ma mocnych. Każdemu można złamać serce. – Lepiej trzymaj się z dala od Maxa – ostrzegła.

Julia westchnęła.

– Wiem, że masz rację, możesz mi wierzyć. Taki facet jak on…

– Właśnie. Mógłby zranić taką kobietę jak ty.

– Jak my – sprostowała Julia miękko.

Ona też poczuła porozumienie łączące ją z siostrą.

– Jak my – przytaknęła Ellie.

Następnego ranka Ellie siedziała w samochodzie przed okienkiem kawiarni Ancient Grounds, gdy odezwało się jej radio. W wysłużonych czarnych głośnikach rozległy się trzaski, a po nich głos Cala:

– Pani komendant? Jest pani tam? Odbiór.

„Pani komendant”? Kiedy ostatnio tak się do niej zwracał? Odpowiedziała:

– Słucham.

– Musi pani przyjechać. Odbiór.

– Sally właśnie robi mi mokkę. Będę…

– Jak najszybciej, Ellie. Odbiór.

Ellie spojrzała na kobietę w okienku.

– Przepraszam, Sally. Pilne wezwanie.

Wyjechała na ulicę i dodała gazu. Pokonawszy dwie przecznice, skręciła w Cates Avenue i omal nie stuknęła furgonetki agencji informacyjnej.

Stały ich tam dziesiątki, wzdłuż ulicy i na środku. Na tle nieba rysowały się białe dyski anten satelitarnych. Reporterzy stali w grupach na chodniku. Zrobiła zaledwie trzy kroki, gdy ją dopadli.

– …skomentować raport…

– …nikt nam nie chce powiedzieć, gdzie…

– …dokładne miejsce pobytu…

Utorowała sobie drogę do budynku i szarpnięciem otworzyła drzwi na posterunek. Znalazłszy się w środku, zatrzasnęła je i oparła się o nie.

– Cholera!

– To jeszcze nic – powiedział Cal. – Koczowali tu już o ósmej, kiedy przyjechałem do roboty. Teraz czekają na oświadczenie.

– Jakie oświadczenie?

– To, które masz wygłosić o dziewiątej. Nie mogłem odbierać telefonów, bo robili tu straszny harmider. Musiałem coś wymyślić, żeby ich spławić.

Pojawiła się Peanut, niosąca plastikowy kubek wielkości dużej puszki farby. Wróciła do diety grejpfrutowej. Pod pachą trzymała zwiniętą gazetę.

– Lepiej usiądź – ostrzegła przyjaciółkę.

Ellie spojrzała pytająco na Cala.

Skinął głową, mówiąc cicho:

– Ja bym usiadł.

Ellie podeszła do swojego biurka i usiadła, a potem popatrzyła na przyjaciół. Cokolwiek mieli jej do powiedzenia, nie mogło to być nic dobrego.

Peanut położyła gazetę na biurku. Połowę pierwszej strony zajmowało zdjęcie dziewczynki, patrzącej dzikim wzrokiem; włosy miała skołtunione i pełne liści. Wyglądała na obłąkaną i zaniedbaną. Jak jedno z dzieci z *Mad Maxa*, a konkretnie z *Pod kopułą gromu*. W podpisie pod zdjęciem widniało nazwisko: Mort Elzick.

Ellie poczuła się tak, jakby dostała cios w brzuch. Więc to miał na myśli, gdy groził, domagając się wywiadu.

– Jasna cholera!

– Dobra wiadomość jest taka, że nie wspomniał o Julii – zauważył Cal. – Nie ośmieliłby się bez oficjalnego potwierdzenia.

Ellie przeczytała artykuł.

Szalona dziewczynka wychodzi z lasu i wkracza we współczesny świat, za jedynego towarzysza mając wilka. Skacze z gałęzi na gałąź i wyje do księżyca.

– Zaczynają sądzić, że to mistyfikacja – dodał cicho Cal.

Gniew Ellie zamienił się w lęk. Jeśli media uznają to za lipę, wyjadą z miasteczka. A bez ich pomocy nie uda się odnaleźć rodziny dziewczynki. Sięgnęła do płóciennej torby i wyjęła zdjęcie, które zrobiła Julia.

– Puśćcie to w obieg.

Peanut spojrzała i wykrzyknęła:

– O rany! Twoja siostra zdziałała cuda.

– Nazwałyśmy ją Alice – poinformowała Ellie. – To również podajcie do wiadomości. Może dzięki imieniu mała stanie się bardziej rzeczywista.

Dziewczynka budzi się powoli. Wokół panuje cisza, jest spokojnie, chociaż nie słychać mowy rzeki ani szeptu liści. Nie widać też słońca. Ale mimo to jest jasno i pogodnie.

Nie czuje lęku.

Przez moment nie może w to uwierzyć. Bada swoje wrażenia, przecze-suje je.

To prawda. Przestała się bać. Nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek tak się czuła. Zwykle jej pierwszą myślą było: ukryć się. Przez długi czas starała się kulić do jak najmniejszych rozmiarów, żeby nie było jej widać.

Jest również w stanie oddychać; w tym dziwnym, kanciastym świecie, gdzie światło pojawia się za magicznym dotknięciem i gdzie ziemia jest twarda i płaska, może oddychać. I nie czuje przykrej woni Jego.

Podoba jej się tu. Gdyby miała przy sobie wilka, zostałaby w tej kanciastości na zawsze, oznaczając swoje terytorium w wirującej wodzie i śpiąc, gdzie jej każą, na miękkim, pachnącym kwiatami legowisku.

– Widzężesięobudziłaśmalutka.

To odezwała się Jasnowłosa. Siedzi w miejscu do jedzenia, znowu ma w ręce cienki patyczek, który zostawia niebieskie ślady.

Dziewczynka wstaje i idzie do miejsca czystości, gdzie magiczne źródło jest teraz puste. Ściąga majtki i siada na zimnym kręgu. Kiedy kończy siusiać, przyciska to białe coś.

W drugim pokoju Jasnowłosa wstaje. Uderza w ręce, wydając dźwięk jak strzał myśliwego, i uśmiecha się.

Dziewczynka lubi ten uśmiech. Dzięki niemu czuje się bezpiecznie.

W zalewie zakazanych dźwięków słyszy:

– Chodź.

Rusza powoli, skulona, osłaniając rękami brzuch. Wie, jak niebezpieczny może być taki moment, kiedy traci się czujność. Powinna stale mieć się na baczności, ale uśmiech Jasnowłosej, powietrze i miękkość legowiska sprawiają, że zapomina o swojej jaskini. I o Nim.

Siada tam, gdzie każe jej Jasnowłosa. „Będę dobra” – myśli, unosząc głowę i usiłując wyglądać na zadowoloną.

Jasnowłosa przynosi jedzenie.

Dziewczynka pamięta zasady i zna cenę posłuszeństwa. On uczył ją tego wielokrotnie. Czeka, aż Jasnowłosa się uśmiechnie, kiwnie głową, powie coś. Wtedy dziewczynka może rzucić się na słodkie, kleiste jedzenie. Kiedy kończy jeść, Jasnowłosa zabiera to, co pozostało. Dziewczynka czeka.

W końcu Jasnowłosa siada naprzeciwko niej. Dotyka swojej piersi i mówi wciąż to samo:

– Julia.

Potem wskazuję ją.

– A-lis. A-lis – powtarza.

Dziewczynka chce być dobra, chce tu pozostać, z tą, która się uśmiecha; wie, że czegoś się od niej oczekuje, tylko nie ma pojęcia czego. Jasnowłosa chyba chce, żeby wydała zakazany dźwięk, ale przecież to niemożliwe. Serce dziewczynki bije tak mocno, że robi jej się niedobrze, czuje zawroty głowy.

Wreszcie Jasnowłosa cofa rękę. Sięga do kwadratowej dziury i zaczyna wykładać różne rzeczy na stół.

Dziewczynka patrzy jak zaczarowana. Nigdy nie widziała żadnego z tych przedmiotów. Chciałaby ich dotknąć, posmakować, obwąchać.

Jasnowłosa bierze jeden z ostrych patyczków i wodzi nim po książce z liniami. Wszystko za nim jest czerwone.

– Kredkaiksiążeczkadokolorowania.

Dziewczynka wydaje odgłos zdziwienia.

Jasnowłosa podnosi głowę. Mówi do dziewczynki. W mieszaninie dźwięków coś się powtarza:

– Alissiębawi.

Bawi.

Dziewczynka marszczy brwi, próbując zrozumieć. Chyba zna te dźwięki.

Ale Jasnowłosa mówi i mówi, wciąż wyciąga różne rzeczy z sekretnego miejsca, aż dziewczynka zapomina, co chciała sobie przypomnieć. Ciekawi ją każdy z tych nowych przedmiotów, ma ochotę dotknąć wszystkich.

I wtedy, gdy jest prawie gotowa, żeby dotknąć czerwonego patyczka, Jasnowłosa wyciąga To.

Dziewczynka wydaje krzyk i rzuca się do tyłu, ale na przeszkodzie staje jej klatka, na której siedzi. Upada, uderza się w głowę i znowu krzyczy, a potem zaczyna czołgać się do kryjówki w zaroślach.

Wiedziała, że nie powinna była tracić czujności. Co z tego, że może tu oddychać? To nie ma znaczenia, to tylko podstęp.

Jasnowłosa patrzy na nią ze zmarszczonym czołem, mówi coś w obłoku białego hałasu. Dziewczynka nic nie rozumie. Serce wali jej tak mocno jak bębny tego ludu, który łowi ryby nad rzeką.

Są już bardzo blisko siebie.

Jasnowłosa wyciąga To przed siebie.

Dziewczynka krzyczy i zaczyna szarpać włosy, uderza się po twarzy. On tu jest! Wie, że polubiła Jasnowłosą, i teraz ona zrobi jej krzywdę. Nie

potrafi myśleć o niczym innym, tylko o dźwięku, który zna najlepiej ze wszystkich.

„Nieeeee”.

Przerażona Alice zerwała się z krzesła i zaczęła prychać, potrząsając głową. Z jej gardła dobył się głuchy warkot.

Julia była świadkiem silnych emocji. Dziewczynka odsłoniła przed nią kawałek swojego serca; było to ciemne miejsce, przepełnione lękiem.

Otworzyła drzwi i wyrzuciła na korytarz indiański amulet przeciwko złym snom.

– Już po wszystkim – powiedziała uspokajająco, zbliżając się powoli. – Przepraszam, kochanie. Naprawdę cię przepraszam.

Przyklękła przed Alice, patrząc jej w oczy.

Dziewczynka zamarła w bezruchu, w oczach wciąż miała strach.

– Jesteś przerażona – mówiła dalej Julia. – Myślisz, że coś ci grozi, prawda? – Bardzo wolno wyciągnęła rękę i dotknęła jej nadgarstka. Był to delikatny gest, ulotny jak szept. – Już dobrze, Alice. Nie musisz się bać.

Pod wpływem tego gestu Alice wydała stłumiony, pełen rozpaczy odgłos i cofnęła się. Ukryła się wśród roślin i zaczęła przejmująco wyć.

To dziecko nie miało pojęcia, co to znaczy szukać u kogoś pocieszenia. Kolejna przerażająca prawda o jego dotychczasowym życiu.

– Hmm – mruknęła Julia, udając, że rozgląda się po pokoju. – To co teraz? – Po chwili wzięła sfatygowany tom *Alicji w krainie czarów*. – W którym miejscu zostawiłyśmy naszą małą bohaterkę?

Podeszła do łóżka i usiadła na nim. Kładąc otwartą książkę na kolanach, uniosła głowę.

Spomiędzy zielonych liści wyjrzała drobna, poważna buzia.

– Chodź – powiedziała Julia łagodnie. – Nie bój się.

Alice wydała żałosny jęk, jakby skowyt.

Julii ścisnęło się serce na ten dźwięk, na który Alice wydawała się zbyt duża, a jednocześnie zbyt mała. Był czystą tęsknotą za bezpiecznym azylem.

– Chodź – powtórzyła, poklepując łóżko. – Nie bój się.

Alice tkwiła jednak w swoim schronieniu.

Julia zaczęła czytać:

Powinnaś się wstydzić – powiedziała Alicja – taka wielka dziewczynka jak ty – (śmiało mogła tak powiedzieć) – żeby płakać w ten sposób! Przestań w tej chwili, mówię ci! – Ale mimo to płakała dalej, wylewając galony łez, aż wreszcie utworzyła się wokół niej wielka kałuża…

W pokoju dał się słyszeć tupot bosych stóp.

Julia uśmiechnęła się lekko i czytała dalej.

To jakaś sztuczka.

Dziewczynka o tym wie. Dobrze wie.

A mimo to…

Te dźwięki są takie kojące.

Siedzi w zaroślach tak długo, że zaczynają ją boleć nogi. Chociaż najbezpieczniejszy jest bezruch, lubi się poruszać w tym jasnym miejscu, choćby tylko dlatego, że może.

Nie rób tego – myśli, przenosząc ciężar z jednej stopy na drugą.

To podstęp.

Jeśli się zbliży, Jasnowłosa ją zbije.

– Chodźtualis.

Z potoku dźwięków, jakie wydaje Jasnowłosa, dziewczynka wyławia te specjalne, złe. Skądś pamięta, że są to słowa.

Podstęp.

Ale oczywiście musi być posłuszna. Prędzej czy później – raczej prędzej – Jasnowłosa znudzi się czekaniem, ta gra przestanie jej się podobać i dziewczynka znajdzie się w kłopotach.

Bardzo powoli wychodzi z kryjówki. Serce jej łomoce. Dziewczynka boi się, że zaraz wypadnie jej z piersi i potoczy po ziemi.

Spogląda w dół, na swoje stopy. W tym dziwnie jasnym miejscu grunt stanowią twarde pasy koloru ziemi. Nie ma liści ani igieł sosnowych, po których chodzi się miękko. Każdy krok sprawia ból, ale to jeszcze nic wobec tego, co nadejdzie.

Była niedobra.

Krzyk jest bardzo zły. Dziewczynka wie o tym.

Tam są Oni. Przyciągają ich głośne dźwięki.

„Cichobądźdocholery”. Ona wie. Zbliżając się do łóżka, opuszcza głowę, potem opada na ręce i nogi, żeby sprawiać wrażenie jak najsłabszej. Nauczyła się tego od wilków.

– Alis…?

Dziewczynka wzdryga się, zamyka oczy. „Tylko nie kijem” – prosi, słysząc już w wyobraźni ten świst.

Dotknięcie jest tak delikatne, że początkowo go nie czuje.

Skowyt zamiera jej w gardle. Dziewczynka podnosi głowę.

Jasnowłosa jest bliżej, uśmiecha się. Mówi, ciągle mówi tym swoim słonecznym głosem; brzmi on jak szum rzeki w ostatnie dni lata, miękko i uspokajająco. Oczy ma szeroko otwarte, zielone jak listki. Na jej twarzy nie widać gniewu.

I głaszcze dziewczynkę po włosach, dotykając jej delikatnie.

– Jużdobrzeniebójsię.

Dziewczynka pochyla się, ale tylko trochę. Chce, żeby Jasnowłosa dalej jej dotykała. To takie przyjemne.

– Chodźtualis.

Jasnowłosa wskazuje miejsce obok siebie.

Jednym susem dziewczynka wskakuje na łóżko i zwija się przy niej w kłębek. Tak bezpiecznie nie czuła się dawno.

Kiedy Jasnowłosa znowu zaczyna mówić, dziewczynka zamyka oczy i słucha.

Julia siedziała spokojnie, choć jej umysł pracował na przyspieszonych obrotach.

Co to było z tym amuletem?

Czyżby Alice zrozumiała słowa: „Chodź tu”?

A może zareagowała po prostu na gest, gdy Julia wskazała jej miejsce na łóżku?

Niezależnie od prawdziwego stanu rzeczy jej zachowanie było formą komunikacji… Chyba że wskoczyła na łóżko, bo taką akurat poczuła ochotę.

Julię aż swędziały palce, żeby zrobić notatki, ale nie była na to pora. Wróciła do książki i zaczęła czytać od miejsca, w którym wcześniej skoń-

czyła.

Gdy dotarła do końca rozdziału, poczuła ruch na łóżku. Przerwała czytanie i spojrzała na Alice, która zmieniła pozycję. Teraz leżała zwinięta przy niej jak kot, prawie dotykając czołem jej uda.

– Nie masz pojęcia, co to znaczy czuć się bezpiecznie na tym świecie, co? – zapytała Julia, na moment okładając książkę. Poczuła ściskanie w gardle; po chwili opanowała żal na tyle, by powiedzieć: – Pomogę ci, jeśli mi na to pozwolisz. To dobre miejsce na początek, przy moim boku. Tylko musisz mi zaufać.

Wypowiadając te słowa, Julia przypomniała sobie, kiedy ostatni raz je mówiła. Było to chłodnego, szarego przedpołudnia w porze roku, która uchodziła w południowej Kalifornii za zimę. Julia siedziała u siebie w gabinecie, w skórzanym fotelu za dwa tysiące dolarów, robiąc notatki i słuchając innej pacjentki. Na kanapie naprzeciwko niej siedziała ubrana na czarno Amber Zuniga, która starała się nie płakać.

„Tylko musisz mi zaufać – powiedziała wtedy Julia. – Powiedz mi, co czujesz”.

Przymknęła oczy. To wspomnienie sprawiło jej fizyczny ból. Spotkała się z Amber dwa dni przed tamtą tragedią… Dlaczego nie…

Stop.

Nie pozwoli sobie na te myśli. Prowadzą w mrok, beznadzieję. Z takich rejonów czasami nie ma powrotu, a przecież jest potrzebna Alice. Może bardziej niż komukolwiek dotąd.

– Jak mówiłam…

Alice dotknęła jej. Był to gest tak nieuchwytny jak muśnięcie motylego skrzydła. Julia dostrzegła go, ale prawie nie poczuła.

– Świetnie, kochanie – szepnęła. – Wejdź do tego świata. W tym swoim czujesz się samotna, prawda? Przestraszona.

Alice poruszyła ręką. Bardzo powoli wyciągnęła ją i pogładziła udo Julii dziwnym, niemal kurczowym ruchem.

– Czasami człowiek boi się wykonać jakiś gest wobec innej osoby – ciągnęła lekarka, zastanawiając się, czy dziewczynka coś z tego rozumie. – Zwłaszcza jeśli kiedyś został zraniony. Wtedy każdy z nas obawia się wyciągnąć rękę.

Ruchy dziewczynki zamieniły się w delikatną pieszczotę. Wydała niski gardłowy dźwięk, jakby pomruk. Powoli uniosła głowę i spojrzała na Julię. Jej niezwykłe oczy wyrażały lęk.

– Nie bój się – powiedziała Julia, słysząc przejęcie w swoim głosie. Zbyt zaangażowała się emocjonalnie w tę sprawę, a to było niebezpieczne. Dobry psychiatra powinien być jak człowiek po czterdziestce, który czyta książkę, trzymając ją w pewnej odległości od oczu, bo inaczej tekst staje się zamazany. Julia zaczęła głaskać Alice po ciemnych włosach. – Nie bój się – powtórzyła.

Trwało to dość długo, ale w końcu mała przestała drżeć. Przez resztę przedpołudnia Julia na zmianę czytała dziewczynce albo mówiła do niej. Zrobiła przerwę na lunch, przeniosły się wtedy do stołu, ale zaraz potem Alice wróciła na łóżko i otwartą dłonią uderzyła w książkę.

Julia pozbierała naczynia, zajęła poprzednie miejsce na łóżku i kontynuowała czytanie. Około drugiej Alice zwinęła się przy niej w kłębek i zasnęła.

Julia wstała i przez chwilę patrzyła na tę dziwną, pogrążoną we śnie dziewczynkę, którą nazwała Alice.

W ostatnich dniach dokonały wielkich postępów, ale być może żadne ze zdarzeń, których stała się świadkiem, nie było przełomowe oprócz historii z indiańskim amuletem.

Alice zareagowała na niego wyjątkowo gwałtownie; najwyraźniej coś dla niej znaczył.

Julia wiedziała, że musi teraz zażegnać strach dziecka przed amuletem, a jednocześnie strach ten zbadać. Oczywiście tak, by przerażona dziewczynka nie zrobiła sobie krzywdy. To była teraz najskuteczniejsza broń, jaką Julia dysponowała, jedyny przedmiot, który budził tak silne emocje. Nie miała wyboru, musiała go użyć.

– Czy umiesz płakać, Alice? A śmiać się? Nie możesz wyjść poza własne ograniczenia, prawda? Dlaczego? – Julia odeszła od łóżka. Wróciła do swoich notatek i spisała wszystko, co działo się od śniadania. Potem przeczytała to, co zanotowała:

Gwałtowna reakcja na indiański amulet przeciwko złym snom. Wyjątkowy przejaw gniewu i/albo strachu. Jak zwykle, emocje pacjentki są skierowane do wewnątrz. Jakby nie potrafiła inaczej wyrażać uczuć i przekazywać ich innym. Być może, ma to związek z mutyzmem wybiórczym. Czyżby ktoś nauczył ją tłumić dźwięki/reakcje? Czy była karana, gdy reagowała głośno albo w ogóle się odzywała? Może nauczyła się wyrażać emocje przez drapanie twarzy i szarpanie włosów? Czy zwierzęta stadne reagują na podobnej zasadzie? Czy to efekt zdziczenia, izolacji, czy znęcania się?

Julię coś nagle zaniepokoiło, pewna myśl zaświtała jej w głowie, ale zgasła zbyt szybko, by można ją sobie w pełni uświadomić.

Odłożyła pióro i znowu wstała. Szybkie spojrzenie na kamerę wideo upewniło ją, że wszystko się rejestruje. Pomyślała, że wieczorem prześledzi uważnie incydent z amuletem. Może czegoś nie zauważyła?

Zerknęła kolejny raz na Alice, aby upewnić się, że mała śpi, a potem wyszła z pokoju. Pod drzwiami leżały obok siebie psy, które też zasnęły. Julia przeszła nad nimi i podniosła z podłogi indiański amulet.

Była to tandeta, jedna z tych rzeczy, które można kupić w miejscowych sklepach z pamiątkami. Nie większy niż spodek od filiżanki i cienki jak gałązki, które tworzyły jego obwód, nie wyglądał groźnie. Kilka tanich niebieskich koralików błyszczało wśród sznurków. Julia przypuszczała, że zwykle do amuletu dołączano informację o jego roli w kulturze miejscowych plemion Quinalt i Hoh.

Jaki miał on związek z Alice? Czyżby była Indianką? Czy to kolejny element układanki? Czy przeraził ją w ogóle amulet, czy jakiś jego element – paciorki, gałązki, a może sznurki?

Sznurki… Sznur.

Blizny po więzach.

Może tu kryła się tajemnica? Sznurki mogły przypomnieć Alice, że była wiązana.

Nie było jednak sposobu, żeby dowiedzieć się tego bez udziału dziewczynki.

W trakcie zwykłej terapii, podczas której obowiązują określone zasady, dotyczące czasu i wynagrodzenia, konfrontacja dziecka z przedmiotami budzącymi jego lęk mogła potrwać miesiące. Może nawet lata.

Jednak ten przypadek był daleki od zwykłego. Im dłużej Alice przebywała w swoim własnym, odizolowanym świecie, tym mniej prawdopodobne było, że się z niego wydostanie. Dlatego Julia nie miała luksusu w postaci dowolnego czasu. Musiała dokonać konfrontacji między dwoma wcieleniami Alice – zagubionym w lesie dzieckiem i dziewczynką przywróconą do życia w cywilizowanym świecie. Z tych dwóch połówek należy stworzyć jedną osobowość, bo inaczej przyszłość Alice będzie zagrożona.

Trudne czasy wymagają trudnych rozwiązań.

Można było zrobić tylko jedno, a nie było to nic przyjemnego.

Julia zeszła na dół, żeby poprosić siostrę na górę. Piętnaście minut później do pokoju przyszła Ellie z Peanut.

– Cześć – powiedziała Peanut, uśmiechając się szeroko i machając swoimi jaskraworóżowymi paznokciami z gwiazdkami.

Julia włożyła dłoń do kieszeni i wyjęła amulet.

– Czy któraś z was to rozpoznaje?

– Jasne. To amulet przeciwko złym snom – powiedziała Peanut, wyciągając z torebki woreczek pełen obranych marchewek. – Podobny wisiał nad łóżkiem mojego syna. Chyba kupił go na wycieczce do Neah Bay. W tradycji indiańskiej taki amulet ma chronić śpiące dziecko przed koszmarami sennymi. Złe sny wplątują się w sznurki, a dobre przenikają przez dziurkę pośrodku. – Uśmiechnęła się. – Kanał Discovery. Tydzień historii Indian amerykańskich.

– Dlaczego o to pytasz? – zdziwiła się Ellie.

– U Alice ten przedmiot wywołał gwałtowną reakcję. Zaczęła prychać, drapać się, wrzeszczeć. Chyba bardzo się wystraszyła.

Ellie wzięła amulet i przyjrzała mu się.

– Chodzi o jakieś złe sny?

– Nie. Myślę, że ma to związek z bardziej drastycznymi zdarzeniami. Może przeżyła jakąś traumę w pokoju, w którym wisiało coś takiego, albo została skrzywdzona przez osobę, która takie rzeczy wyrabiała. A może sznurek skojarzył się jej z liną, którą była wiązana. Jeszcze nie wiem. Coś jednak w związku z nim stało się przyczyną histerii.

– Sprawdzę to – obiecała Ellie. – Tak niewiele mamy tropów. Wyślę Earla do rezerwatu. Może tam na coś trafimy.

– Przydałoby się – przyznała Julia, biorąc torebkę z kanapy. – Gdzie mogłabym kupić parę takich amuletów?

– W sklepie Swaina – odparła Peanut. – Mają tam dział z pamiątkami.

– Świetnie. Wrócę jak najszybciej.

– Lepiej włóż jakąś maskę – mruknęła Peanut. Obie z Ellie wymieniły zaniepokojone spojrzenia.

Julia nie bardzo zrozumiała.

– Co się dzieje?

– Pamiętasz Morta Elzika? – zapytała Ellie.

A więc chodziło o plotki krążące w miasteczku. Powinna była się tego spodziewać.

– Nie. – Zerknęła na zegarek. Chciała wrócić z amuletami, zanim Alice obudzi się z drzemki. – Słuchajcie, na razie nie mam na to czasu. Nie wiem, jak długo Alice będzie spała.

Skierowała się do drzwi.

– Mort opublikował zdjęcie Alice w „Rain Valley Gazette”.

– W tytule nazwał ją dziewczynką z wilkiem – dodała Peanut, gryząc marchewkę.

Julia zatrzymała się. Od razu przypomniała sobie Morta ze szkoły średniej… i ze szpitala tamtego rana. Wpadła na niego w korytarzu. Oczywiście! Torba, którą upuścił, zawierała sprzęt fotograficzny. To dlatego Mort nie był na spotkaniu w kościele; w tym czasie zakradł się do szpitala.

Odwróciła się powoli.

– Wspomniał o mnie? – zapytała.

Obie pokręciły głową.

– Wszyscy w miasteczku cię chronią – dodała Ellie. – Mort wie, że tu jesteś, ale od nikogo nie uzyska potwierdzenia, że pomagasz Alice.

– Wiedziałam, że nastąpi przeciek. Zawsze tak się kończy. Będziemy mieli szczęście, jeśli…

Peanut i Ellie znowu spojrzały na siebie z obawą.

– Co jeszcze? – zapytała Julia.

– Niektórzy dziennikarze wyjeżdżają z miasteczka. Uważają, że cała ta historia to wymysł.

Julia zaklęła pod nosem. Akurat na to nie można było pozwolić. Gdyby media się wycofały, ustalenie tożsamości Alice stałoby się jeszcze trudniejsze.

– Może pomogłyby nowe zdjęcia, tym razem moje. I jakieś świeże informacje, o charakterze naukowym. Niech ktoś w mundurze opowie o dochodzeniu, powoła się na statystyki dotyczące zaginionych dzieci. Tak żeby każde słowo brzmiało oficjalnie. To pozwoli nam zyskać na czasie.

– Musisz skłonić ją do mówienia, Jules.

– Nie żartuj.

Kiedyś sama mogłaby zabrać głos, żeby przekonać media. Teraz nikt nie chciałby jej słuchać.

– Chcesz, żebym załatwiła ci te amulety? – zapytała delikatnie Peanut.

Julia nie cierpiała uginać się pod presją, ale nie miała innego wyjścia. Nie mogła dopuścić, żeby Mort ją sfotografował. Rzuciła torebkę na kanapę.

– Dzięki, Pea. Doceniam twój gest.

13

Godzinę później Ellie i Peanut jechały cruiserem do miasteczka.

– Mała musi zacząć mówić – stwierdziła cicho Ellie. Bez względu na to, ile dowodów udałoby się zdobyć, prawdę można poznać tylko w ten sposób.

– Julia robi, co się da, ale…

– To może jej zająć jeszcze jakiś czas. A jeśli zdjęcie Morta zaprzepaści nasze wysiłki? Jeżeli poważne stacje uznają, że coś kombinujemy, aby rozsławić miasteczko, to koniec.

– Nie wynajduj sobie kłopotów, El. Benji mówi…

Zaskrzeczało radio.

– Ellie? Jesteś tam? – rozległ się głos Cala.

– Nie odzywam się – oświadczyła Ellie. – To nie mogą być żadne dobre wieści, te czasy już się skończyły.

– A jeśli trzeba podjąć jakąś decyzję? Może chodzi o karambol na międzystanowej. Albo ktoś wziął zakładnika.

Rozległy się kolejne trzaski w eterze.

– Szefowo?! Julia mówi, że jesteś w samochodzie. Jeśli się nie odezwiesz, rozpowiem wszystkim, że w ósmej klasie napisałaś list do Ricka Sprinfielda. Odbiór.

Ellie wcisnęła guzik z napisem „tryb rozmowy”.

– Nie zmuszaj mnie, żebym wyciągnęła zdjęcie, na którym masz trwałą, Cal.

– No, jesteś. Dzięki Bogu, El! Musisz przyjechać. Odbiór.

– Co się dzieje?

– Najazd wariatów. Przysięgam.

Ellie zaklęła po cichu. Włączyła syrenę i wcisnęła gaz. Po paru minutach wjechała na parking przed posterunkiem i wysiadła z wozu.

Wszędzie kręcili się reporterzy, choć już nie tak wielu jak poprzedniego dnia. Ulica zastawiona była wozami agencyjnymi, a pod drzwiami, wzdłuż chodnika, stała długa kolejka ludzi. Nie przypominali tych, którzy zgłaszali

się dotychczas. Nie byli to policjanci z innych rejonów, prywatni detektywi, dziennikarze ani rodzice. Ta grupa wyglądała jak widownia *Rocky Horror*.

Minęła zebranych szybkim krokiem, ignorując pytania, które rzucano z tłumu pod jej adresem, i weszła na posterunek. Cal siedział za biurkiem, oszołomiony i zdezorientowany.

Earl zajmował miejsce przy drugim stanowisku dyżurnego. Na widok Ellie uśmiechnął się ze zmęczeniem i powiedział:

– Właśnie przyjąłem zgłoszenie od faceta z planety Rebar.

Ellie zdumiała się.

– Co takiego…?

– Przyjechał w poszukiwaniu dziewczynki. Mieszkaniec, nie – ambasador Rebaru. Miał kapelusz z cynfolii i czarne usta.

Ellie z westchnieniem usiadła przy biurku.

– Zacznij ich wpuszczać, Earl. Po jednym.

– Zamierzasz z nimi rozmawiać? – zapytał Cal.

– To, że są wariatami, jeszcze nie znaczy, że nie wiedzą czegoś, co może nam się przydać.

Earl podszedł do drzwi i otworzył je. Kobieta, którą wpuścił, ubrana była w purpurową zwiewną sukienkę i kowbojskie buty, na głowie miała niebieską zamszową opaskę. W rękach trzymała kryształową kulę wielkości piłki bejsbolowej.

Następna wariatka.

Ellie uśmiechnęła się i wzięła długopis.

Przez następne dwie godziny rozmawiali z kolejnymi czubkami, którzy twierdzili, że wiedzą, kim jest Alice. Ellie najbardziej podobała się wersja, że to odrodzona Anastazja.

Kiedy ostatnia z zebranych osób opowiedziała swoją teorię na temat tożsamości dziewczynki i opuściła posterunek, Ellie odchyliła się na oparcie krzesła i odetchnęła głęboko.

– Skąd się oni wszyscy wzięli?

Cal odrzekł:

– To z powodu zdjęcia, które Mort zamieścił w gazecie. Przez nie cała historia wydaje się niewiarygodna. I jeszcze te jego określenia: latająca dziewczynka, dziewczynka z wilkiem. Z artykułu wynika, że mała żywi się robakami i porozumiewa za pomocą nóg. Słyszałem, że CNN już wyjechało.

– To niedobrze – rzekła Peanut, biorąc szklankę z sokiem grejpfrutowym.

Cal zerwał się zza biurka. Jego buty tenisowe plasnęły o podłogę.

– Posłuż się nią – powiedział cicho. – To nasza jedyna szansa.

Ellie nie musiała pytać, co on chce przez to powiedzieć. Sama już o tym myślała.

– Julią? – spytała Peanut ostrym głosem. – Ich będzie interesowało tylko to, co stało się w Silverwood!

– Ukrzyżują ją – dodała Ellie, patrząc na Cala. – Dziewczynka z wilkiem pod opieką skompromitowanej lekarki.

– A mamy inne wyjście?

– Nie wiem… – odparła Ellie. – Gdy powiedziałyśmy jej o zdjęciu Morta, wydała mi się taka bezbronna jak dawniej.

– Zrobi to dla Alice – wyraził przekonanie Cal.

Julia wciąż usiłowała opracować plan działania w związku z amuletem, gdy Ellie wkroczyła do pokoju. Klucze i kajdanki, które miała przypięte do paska, podzwaniały przy każdym jej kroku. Psy zawyły i zaczęły drapać do drzwi, gdyż zamknęła im je przed nosem.

Alice pomknęła między rośliny i ukryła się.

Ellie położyła dłoń na kluczach i kajdankach, żeby przestały uderzać o siebie.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedziała do siostry.

Julia starała się powściągnąć niezadowolenie. Ellie przerwała jej w nieodpowiednim momencie.

– Słucham – odparła jednak.

Ellie jeszcze przez chwilę stała w milczeniu, a potem powiedziała:

– Zaczekam na ciebie w kuchni.

I wyszła.

Julia schowała pióro, notes i kartki.

– Zaraz wracam, Alice.

Dziewczynka pozostała w ukryciu, ale zawyła żałośnie, kiedy Julia położyła dłoń na gałce u drzwi.

– Boisz się – powiedziała miękko Julia. – Boisz się, że nie wrócę, ale zaraz przyjdę z powrotem.

Co innego miała powiedzieć? Zaufanie Alice mogła zdobyć po prostu wracając. Jedna z podstawowych zasad psychiatrii głosi, że lekarz czasami musi zostawić pacjenta, który go potrzebuje.

Wyszła z pokoju i zamknęła drzwi za sobą.

Dobiegł ją cichy, rozpaczliwy skowyt. Psy siedzące w korytarzu zawyły, wtórując małej.

Julia zeszła po schodach i znalazła Ellie na ganku. Nie zdziwiło jej to. Odkąd pamiętała, ważne sprawy w rodzinie załatwiało się właśnie tam. Czy to w deszczową, czy to słoneczną pogodę.

Ellie siedziała w ulubionym fotelu taty. Oczywiście. Zawsze czerpała siłę od ojca, tak jak Julia pokrzepienie od matki. To, że Ellie usadowiła się właśnie w tym fotelu, oznaczało, że ma do powiedzenia coś naprawdę ważnego.

Julia usiadła na bujaku. Wiał lekki wietrzyk, który toczył po trawie schnące liście. W powietrzu niósł się śpiewny gulgot Fall River.

Spojrzała na siostrę.

– Niedługo będę musiała wrócić do małej. O co chodzi?

Ellie była blada, wyraźnie zdenerwowana.

Julię zaniepokoił widok silnej i niewzruszonej siostry w takim stanie.

Pochyliła się ku niej.

– Co jest, Ellie?

– Reporterzy wyjeżdżają. Uważają, że cała ta sprawa z dzikim dzieckiem to kit. Jutro tą historią będzie zainteresowana już tylko „Gazette”, i może „Olympian”.

Julia nagle domyśliła się, do czego Ellie zmierza, dlaczego jest tak zdenerwowana.

– Dobrze by było, gdybyś porozmawiała z prasą – odezwała się Ellie delikatnie, jakby ton głosu mógł złagodzić efekt słów.

– Zdajesz sobie sprawę, o co mnie prosisz?

– A jaki mamy wybór? Jeśli zainteresowanie tą historią wygaśnie, może nigdy się nie dowiemy, kim jest Alice. A wiesz, jaki los czeka porzucone dzieci. Władze stanowe umieszczą ją w jakimś zakładzie, gdzie popadnie w zapomnienie.

– Mogę nad nią popracować, żeby zaczęła mówić.

– Wiem. Ale co będzie, jeśli nie zna swojego imienia? Musimy odnaleźć jej rodzinę.

Julia nie mogła temu zaprzeczyć. Decyzja była trudna, ale też szło o dużą stawkę. Jej interes kontra interes Alice.

– Chciałam najpierw dojść do czegoś, o czym mogłabym im powiedzieć. Odnieść sukces, który zrównoważyłby moje porażki. Oni…

– Co?

„Nie uwierzą mi”.

– Nic.

Julia odwróciła wzrok. Jej spojrzenie przykuła srebrzysta rzeka, stanowiąca jakby pasmo światła słonecznego na tle zielonej trawy. Ten blask przypomniał jej flesze aparatów fotograficznych i lawiny przykrych pytań, jakimi ją zasypywano. Kiedy media upatrzą sobie ofiarę, nic jej nie uratuje, a już na pewno nie prawda. Dziennikarze zresztą jej nie wierzyli, nie była dla nich żadnym autorytetem, nawet nie chcieliby jej słuchać. Ale napisaliby o niej na pierwszym stronach, na pewno.

– Już mi chyba nic nie zaszkodzi – powiedziała w końcu, wzdrygając się lekko. Miała nadzieję, że siostra tego nie zauważyła.

Jednak Ellie widziała wszystko; zawsze tak było. Fakt, że została policjantką, jeszcze wyostrzył jej zmysł obserwacji.

– Będę przy tobie przez cały czas. Tuż obok.

– Dzięki. – Może to coś pomoże, przynajmniej nie będzie sama, gdy zacznie się ten cyrk, gdy ruszą kamery i tak dalej. – Wyznacz konferencję prasową na wieczór. Powiedzmy na… siódmą.

– Co im powiesz?

– Zreferuję wszystko, co wiem o Alice. Pokażę zdjęcia i przedstawię moje obserwacje, a potem będę odpowiadać na pytania.

– Przepraszam cię – powiedziała Ellie.

Julia usiłowała się uśmiechnąć.

– Już kiedyś przez to przeszłam. Teraz też to zrobię. Dla Alice.

Julia słyszała harmider dobiegający z posterunku policji. Były już tam dziesiątki dziennikarzy, fotoreporterów i operatorów, którzy rozstawiali sprzęt, przeprowadzali próby obrazu i dźwięku.

Ona, Ellie, Cal i Peanut siedzieli w pokoju śniadaniowym stłoczeni jak hot dogi w plastikowej torebce.

– Poradzisz sobie – zapewniła Ellie nie wiadomo który raz.

Cal przytaknął, jak i poprzednio.

– Martwię się o Alice – powiedziała Julia.

– Myra siedzi pod drzwiami jej pokoju. Zadzwoni, jeśli coś zacznie się dziać w środku – przypomniała Ellie. – Wszystko będzie dobrze.

– Zakwestionują moje kwalifikacje.

Peanut dorzuciła:

– Nazwą cię konowałem.

Ellie gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca.

– Peanut!

Peanut uśmiechnęła się do Julii.

– Stosuję tę technikę wobec moich dzieci. To taka przewrotna psychologia. Po prostu przygotowuję cię na najgorsze. Potem każde pytanie wyda ci się łagodne.

– Nic dziwnego, że twoje dzieci robią sobie piercing, gdzie mogą – zauważył Cal.

– Przynajmniej nie jeżdżą na jakieś zloty w idiotycznych kostiumach – odcięła się.

– Od dwudziestu lat nie miałem na sobie żadnego kostiumu – bronił się Cal.

W drzwiach pojawił się Earl. Był odstawiony jak na jakąś galę, począwszy od nieco wypłowiałej pożyczki na głowie aż po lakierowane buty. Mundur miał idealnie wyprasowany.

– Czekają na ciebie, Julio. – Zarumienił się i chrząknąwszy, poprawił: – Eee, to znaczy doktor Cates.

Wszyscy wyszli z pokoju i stanęli na korytarzu.

– Pójdę pierwsza i zapowiem cię – oznajmiła Ellie.

Julia kiwnęła głową. „Dla Alice” – pomyślała.

Siostra ruszyła korytarzem i skręciła w bok.

„Dla Alice” – powtórzyła sobie Julia.

Earl znalazł się przy niej i wziął ją pod ramię.

Dała mu się poprowadzić za Ellie, ku błyskom fleszy, które przywołały jej dawne życie.

Na jej widok tłum oszalał, pytania posypały się jak granaty.

– Cisza! – wykrzyknęła Ellie, unosząc ręce. – Pozwólmy mówić doktor Cates.

Zebrani stopniowo się uciszyli.

Julia poczuła na sobie ich wzrok. Wszyscy obecni patrzyli na nią badawczo, widząc w niej nieudolnego, niedouczonego lekarza. Zaczerpnęła powietrza i zatrzymała je w płucach. Przesunęła spojrzeniem po zgromadzonych, szukając życzliwej twarzy.

Z tyłu, za dziennikarzami i fotoreporterami, stali znajomi – mieszkańcy miasteczka. Siostry Grimm, i biedny Frank w urnie. Barbara Kurek, Lori Forman i jej zawsze roześmiane dzieci, kilkoro dawnych nauczycieli ze szkoły średniej.

I Max. Skinął jej głową i podniósł rękę, pokazując uniesiony kciuk. Ku jej zdumieniu, to wyraźne wsparcie z jego strony pomogło jej zapanować nad nerwami. W Los Angeles zawsze czuła się osamotniona w obliczu mediów.

– Jak wszyscy wiecie, jestem Julia Cates. Zostałam wezwana do Rain Valley, żeby zająć się szczególną pacjentką, którą nazywamy Alice. Wiem, że wielu z was wolałoby się skupić na mojej wcześniejszej działalności, ale proszę, żebyście dostrzegli powagę obecnej sprawy. Chodzi o bezimienne dziecko, które znalazło się samo na świecie. Potrzebujemy waszej pomocy w odnalezieniu jego rodziny. – Uniosła zdjęcie. – To Alice. Jak widzicie, ma ciemne włosy i niebieskozielone oczy.

– Doktor Cates, co pani powie rodzicom tych wszystkich dzieci, które zginęły w Silverwood?

– Jak żyje się pani z poczuciem winy?

– Czy słyszała pani tekst piosenki Death Knell?

– Sprawdziła pani wcześniej, czy Amber Zuniga nie ma uczulenia na prozac?

Julia mówiła i mówiła, dopóki nie straciła głosu. Gdy konferencja dobiegła końca i dziennikarze pospiesznie zaczęli wychodzić, żeby oddać materiał do redakcji, była wykończona. Siedząc samotnie na podium, patrzyła, jak sala pustoszeje.

Podeszła do niej Ellie.

– Jezu, Jules, to było okropne – powiedziała równie poruszona jak Julia. – Przepraszam cię. Nie wiedziałam…

– Skąd mogłaś wiedzieć?

– Może ci w czymś pomóc?

Julia pokręciła przecząco głową.

– Popilnuj tylko Alice. Muszę pobyć sama przez jakiś czas.

Ellie obiecała, że spełni tę prośbę.

Julia starała się unikać wzroku Peanut i Cala, którzy stali obok siebie i trzymali się za ręce. Oboje byli bladzi. Na policzkach Peanut widniały ślady łez.

Na zewnątrz panował chłodny lawendowy wieczór. Julia zeszła po schodach. Znalazłszy się na chodniku, odruchowo skręciła w lewo.

– Julio!

Odwróciła się.

Stał w mroku, niemal niewidoczny w cieniu rozłożystej jodły.

– Kiedy pracowałem na ostrych dyżurach w szpitalu Wattsa, kupiłem motocykl. Czasami człowiek musi przewietrzyć głowę. Sto dwadzieścia kilometrów na godzinę na czymś takim i od razu czujesz się lepiej.

Powinna była odejść, może nawet się roześmiać, ale nie potrafiła. Ze wszystkich ludzi w Rain Valley Max prawdopodobnie jako jedyny naprawdę rozumiał, jak się czuła. Choć jego propozycja wydawała się pozbawiona sensu, to jednak trafiła do niej.

– Myślę, że w moim wypadku siedemdziesiąt kilometrów na godzinę wystarczy. Mam mniejszą głowę, łatwiej ją przewietrzyć.

Uśmiechając się, podał jej kask.

Włożyła go, wsiadła na siodełko z tyłu i objęła Maxa ramionami.

Ruszyli szarymi ulicami miasteczka, mijając sznur vanów i parking zastawiony autobusami szkolnymi. Wiatr trzepotał jej rękawami i rozwiewał włosy, gdy wjechali na starą szosę. Jechali i jechali poprzez noc wąską, wyboistą drogą. Julia mocno trzymała się Maxa.

Kiedy skręcił z drogi, a potem skierował się w stronę swojego domu, nie protestowała. W głębi duszy, gdy wsiadała na ten motocykl, wiedziała, gdzie zakończy się przejażdżka. Nazajutrz pewnie będzie miała wątpliwości co do swojej poczytalności, czy jej braku, ale teraz czuła się dobrze przy nim. Nie była sama.

Wprowadził motocykl do garażu.

Bez słowa weszli do domu. Usiadła na kanapie, a Max przyniósł jej kieliszek białego wina. Potem rozpalił ogień w ogromnym kominku i włączył muzykę.

Rozległa się kameralna piosenka jazzowa.

– Nie musisz zadawać sobie tyle trudu, Max. Na miłość boską, tylko nie zapalaj świec!

Usiadł przy niej.

– A to dlaczego?

– Bo i tak nie pójdę z tobą na górę.

– Nie przypominam sobie, żebym ci to proponował.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Oparłszy się na miękkich poduszkach, spojrzała na niego znad kieliszka wina. W świetle świec był tak przystojny, że zapierało dech. W głowie zaświtała jej myśl, która wręcz ją uwiodła: „A dlaczego by nie?”. Przecież mogła pójść na górę, paść na to wielkie łóżko i kochać się z Maxem. Na jedną wspaniałą chwilę mogła się zapomnieć. Przecież czasami kobietom to się zdarza.

– Nad czym się tak zastanawiasz?

Była pewna, że Max czyta w jej myślach. Tacy mężczyźni jak on potrafią dostrzec najmniejsze oznaki pożądania w twarzy kobiety. Poczuła gorąco na policzkach.

– Myślałam o tym, czyby nie dać ci się pocałować.

Nachylił się ku niej. Jego oddech pachniał trochę szkocką.

– No i…?

– Siostra zwróciła mi uwagę, że nie jestem w twoim typie.

Cofnął się.

– Wierz mi, Julio, twoja siostra nie ma pojęcia, jakie kobiety są w moim typie, a jakie nie.

Dosłyszała złość w jego głosie, a w oczach zobaczyła coś, co ją zaskoczyło.

– Myliłam się co do ciebie – powiedziała bardziej do siebie niż do niego.

– Wyciągnęłaś pochopne wnioski.

Uśmiechnęła się na to.

– Ryzyko zawodowe. Wydaje mi się, że znam ludzi.

– Więc jesteś ekspertem od związków, co?

Roześmiała się smutno.

– Nie bardzo.

– Teraz ja będę zgadywał: jesteś monogamistką. I romantyczką.

– No i kto tu wyciąga pochopne wnioski?

– Mylę się?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, czy jestem romantyczką. Po prostu znam tylko jeden rodzaj miłości.

– Jaki?

– Na całość.

Spoważniał.

– To niebezpieczne.

– I to mówi amator wspinaczki górskiej! Przecież kiedy się wspinasz, ryzykujesz, że stracisz życie. Kiedy ja kocham, ryzykuję, że ktoś złamie mi serce. Wszystko albo nic. Ale dla ciebie to pewnie głupota.

– Wcale nie – wyznał tak miękko, że aż przeszły ją ciarki. – Tak samo angażujesz się w swoją pracę, prawda?

– Owszem – odparła zdziwiona jego spostrzegawczością. – Dlatego dziś było mi tak ciężko.

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie. Max jakby szukał czegoś w jej oczach albo dostrzegł w nich coś, czego nie rozumiał. W końcu powiedział:

– Gdy pracowałem w szpitalu, prawie co noc przywożono nam ofiary porachunków gangsterskich. Jednego wykrwawiającego się chłopaka za drugim. Początkowo zostawałem po dyżurze i rozmawiałem z ich rodzeństwem, próbując wytłumaczyć, co się z nimi stanie, jeśli czegoś nie zmienią w swoim życiu. Po pierwszym roku przestałem prawić im kazania i skończyłem z siedzeniem po godzinach. Zrozumiałem, że wszystkich nie ocalę.

Ich spojrzenia się spotkały. Julia miała wrażenie, że zatonie w bezmiarze błękitu jego oczu.

– W dobrych chwilach mam tę świadomość. Ale to nie był dobry dzień. Ani dobry rok.

– Jutro będzie lepiej. – Wyciągnął rękę, odgarniając z jej czoła pasmo włosów.

W tym momencie mogła podać mu usta do pocałunku, wystarczyło tylko nachylić głowę.

– Dobry w tym jesteś – powiedziała niepewnie, cofając się.

– W czym?

– W uwodzeniu kobiet.

– Nie uwodzę cię.

„A jednak”. Odstawiła kieliszek i wstała. Była za blisko niego, potrzebowała przestrzeni.

– Dziękuję ci za to wszystko, Max. Bardzo mi pomogłeś. Ale muszę wracać do Alice. Nie mogę znikać na długo.

Podniósł się niespiesznie. Bez słowa poszli do garażu, wsiedli na motocykl i Max odwiózł ją do domu.

14

Ryk silnika motocyklowego niósł się w spokojną noc, wprawiając w drżenie drzewa po obu stronach drogi. W Los Angeles tak głośny dźwięk uruchomiłby mnóstwo alarmów samochodowych; tu współzawodniczył tylko z bezkresną ciszą. Max dotarł do końca drogi dojazdowej i zwolnił, a potem zatrzymał się.

Niewielki dom wśród lasu wydawał się w nocy jeszcze mniejszy. W ciemności widać było jedynie kilka oświetlonych okien.

„Znam tylko jeden rodzaj miłości. Wszystko albo nic”.

Jak to możliwe, że kilka słów, wypowiedzianych tak zwyczajnie, zrobiło na nim takie wrażenie?

Zdjął kask.

Powietrze. Swoboda. Tego mu było potrzeba. Czegoś, co ostudziłoby głowę i wymazało z pamięci tamten moment.

Wcisnął gaz, zawrócił, rozpędził się i jak rakieta pomknął ciemną drogą.

Wszystko wokół stało się smugą cieni. Wiedział, że jedzie za szybko – w lesie były jelenie i łosie, gdyby któreś z tych zwierząt weszło mu pod koła, zginąłby na miejscu, poza tym na wybojach mogła przedziurawić się opona i poszybowałby w powietrze, ale nie przejmował się tym. Pędząc tak przed siebie, nie musiał o niej myśleć.

Jednak w chwili, gdy znowu skręcił w podjazd i zwolnił, wszystkie myśli powróciły.

Zaparkował motocykl w garażu i wszedł do cichego domu, natychmiast włączając pozostałe lampy i wieżę.

„Głośna muzyka i zapalone światło to żadne życie, Max”.

Tak mówiła Susi. Choć nie było jej tutaj – nigdy nie przyjechała – czasami patrzył na świat jej oczami. Trudno wyzbyć się dawnych nawyków.

„Jadalnia bez krzeseł przy stole, Max? Żadnych zdjęć na ścianach? Chyba nie nazywasz tego domem?”.

Celowo tak się urządził. Meble nie były mu potrzebne, podobnie jak dekoracje czy szczególne wygody. Chciał mieszkać w miejscu, w którym

zapomniałby o tym wszystkim, co sprawia, że dom jest prawdziwym domem. Tu mógł pić drinki, oglądać sport na ekranie telewizora i pracować w swoim warsztacie stolarskim.

„Wszystko albo nic”.

Nie powinien był spotykać się z nią tego wieczoru, i dobrze o tym wiedział. Po konferencji prasowej opuścił posterunek najszybciej, jak się dało, zamierzając wsiąść na motocykl i wrócić do domu. A jednak czekał na nią przed budynkiem, krążył w ciemnościach jak zakochany smarkacz.

Kłopot w tym, że wiedział, jak gorąco może być w świetle reflektorów. Gdy patrzył na nią, siedzącą za tymi wszystkimi mikrofonami i mobilizującą wszystkie swe siły, doszedł do niebezpiecznego punktu zwrotnego. Dostrzegł drżenie jej warg i bladość, łzy w kącikach oczu, i pomyślał, że pragnąłby te łzy scałować.

Po raz pierwszy od siedmiu lat się bał, i to nie tego, że ześlizgnie mu się stopa z krawędzi skalnej, czy że spadnie, zanim zdąży pociągnąć linkę wyzwalającą. Wszystkie te krótkie fascynacje, które przeżył w ostatnich latach, były tylko cieniem prawdziwego zaangażowania. Sądził – naprawdę w to wierzył – że nie potrafi już odczuwać żadnych emocji poza tymi chwilami, gdy ryzykował życie. To dlatego wspinał się na półki skalne i wysokie szczyty; chciał znowu coś poczuć, nawet gdyby to miało trwać tylko moment.

Teraz czuł znowu. Wystarczyło, że spojrzał w smutne oczy Julii.

Julia weszła do domu.

Ellie siedziała na kanapie w salonie, głaszcząc psy, które rozłożyły się przy niej.

– No nareszcie – odezwała się z pewnym zniecierpliwieniem.

– Przecież wróciłam dość szybko.

– Niepokoiłam się o ciebie. Ta konferencja prasowa była brutalna.

Julia usiadła w fotelu i położyła nogi na stoliku do kawy. Czuła, że Ellie patrzy na nią badawczo, ale nie odwróciła głowy.

– Uhm.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Julia wiedziała, że siostra zastanawia się, co teraz powiedzieć.

– Nie martw się – uspokoiła ją. – Jakoś przez to przejdę, jeszcze raz. Ale teraz przynajmniej mam Alice.

– I mnie.

Julia dosłyszała cień urazy w głosie siostry.

– I ciebie.

Powiedziawszy to, poczuła, że zrobiło się jej lżej na sercu.

– Gdzie byłaś? – zapytała Ellie.

Julia oblała się rumieńcem. Spojrzała na psy.

– U Maxa.

Ellie usiadła prosto.

– Naprawdę? Max nigdy nie zaprasza kobiet do siebie.

– Myślę, że zrobiło mu się mnie żal.

Siostra patrzyła na nią z poważną miną.

– Czy ty…?

– Nie – szybko odparła Julia. Nawet nie chciała słyszeć tych słów, wypowiedzianych na głos. – Oczywiście, że nie.

– Uważaj na niego – powiedziała Ellie w końcu. – Nie żartuję, Jules. I nie jestem zazdrosna. Po prostu uważaj.

Julia była poruszona tą troską.

– Obiecuję. – Wstała. – Jestem wykończona. Padam z nóg. Dzięki, że na mnie czekałaś.

– To ja dziękuję, że rzuciłaś się dla nas w ogień.

Julia ruszyła ku schodom. Kładła już rękę na poręczy, gdy Ellie zawołała ją. Julia zatrzymała się.

– Tak…? – spytała, odwracając się.

– Wszystko będzie dobrze. Prędzej czy później to, co się zdarzyło, umrze śmiercią naturalną i wszyscy będą pamiętali tylko, jakim jesteś świetnym specjalistą.

Julia wypuściła powietrze z płuc.

– Tak samo zawsze mówiła mi mama.

Ellie się uśmiechnęła.

Julia usiłowała uwierzyć w usłyszane słowa, opancerzyć się w nie. Tak, jak postępowała w dzieciństwie. Gdy ktoś w szkole sprawił jej przykrość – albo zranił ją ojciec – biegła z płaczem do matki. „Wszystko będzie dobrze” – mówiła mama, ocierając jej łzy i biorąc ją w objęcia, pachnące szamponem Suave i dymem papierosowym.

Weszła po schodach do swojego pokoju i od razu skierowała się do łóżka Alice.

Podciągnęła kołdrę i okryła nią dziecko, a potem pochyliła się i pocałowała miły, miękki policzek.

Już miała odejść, ale nagle uklękła przy łóżku. Niewiele myśląc, skłoniła głowę i zamknęła oczy.

„Daj mi siłę”.

Jeszcze raz pocałowała Alice, położyła się do swojego wąskiego łóżka i zasnęła.

Coś jest nie tak.

Dziewczynka czuje to w momencie, gdy otwiera oczy. Nieruchomieje i wciąga powietrze w nozdrza. Nieraz przekonała się, że zachowując spokój, można wyczuć różne rzeczy. Zapach jabłek i puchnięcie najmniejszego palca zapowiadają na przykład nadejście śniegu; polujący niedźwiedź wydaje odgłos przypominający chrapanie; niebezpieczeństwo da się wyczuć na różne sposoby, jeśli tylko zastygnie się w bezruchu i wyostrzy zmysły. Ale Ona nigdy się tego nie nauczyła. We śnie, gdy dziewczynce przypominają się dawne bezczynne dni, staje jej przed oczami Ona: zawsze mówiła za głośno i sprowadzała na nie obie kłopoty.

Teraz, w swojej kryjówce, ukryta wśród tych małych drzew, patrzy poprzez liście na Jasnowłosą, która jest dziś milcząca.

Czyżby dziewczynka zrobiła coś złego?

Jasnowłosa po drugiej stronie jaskini unosi głowę. Jest smutna, pewnie z oczu znowu pocieknie jej woda. I zmęczona. Tak przed śmiercią wyglądała Ona.

– Chodźtualis. – Jasnowłosa wskazuje miejsce na łóżku.

Dziewczynka wie, co oznacza ten gest. Jasnowłosa otworzy magiczne obrazki, a potem będzie mówić i mówić.

Dziewczynka to uwielbia. Dźwięk głosu Jasnowłosej, to, że pozwala się zbliżyć i położyć obok siebie.

– Chodźtualis.

Dziewczynka wychodzi z lasu i sunie do przodu, starając się jak najbardziej skulić, na wypadek, gdyby jednak zrobiła coś złego. Chciałaby, żeby

Jasnowłosa znowu miała pogodną twarz; wtedy dziewczynka czuje się bezpiecznie. Zbliża się z opuszczoną głową, unikając wzroku Jasnowłosej. Znalazłszy się przy niej, pada na kolana.

Dotknięcie, które czuje na czole, jest delikatne i przyjemne. Dziewczynka spogląda w górę.

– Tobędzietrudnealis. – Jasnowłosa wzdycha. – Zaufajmidobrze?

Dziewczynka nie wie, co ma zrobić, jak okazać posłuszeństwo. Znowu wyrywa się jej cichy pomruk.

– Przepraszam cię. – Jasnowłosa wkłada rękę do pudełka na ziemi i wyjmuje To.

Na ułamek sekundy dziewczynka zamiera, zbyt przerażona, żeby uciekać. Rozpaczliwie rozgląda się wokoło, spodziewając się, że On zaraz wpadnie do tej dziwnie słonecznej jaskini.

Potem z krzykiem rzuca się do ucieczki. Nie może przestać krzyczeć. Wie, że źle postępuje. To głupota robić taki hałas. Teraz przyjdą Oni i ją skrzywdzą. Ale nie jest w stanie przestrzegać zasad ani myśleć. Wpada na jedno z drzewek i przewraca je, a ono upada z rumorem.

Dziewczynka nie przestaje krzyczeć, z trudem łapiąc powietrze; chce się stąd wydostać, ale zatrzymuje ją ściana. Uderza o nią i czuje ból w głowie.

Jasnowłosa przemawia do niej, wiążąc ze sobą dźwięki ładne jak muszelki, ale ona jej nie słucha. Serce bije jej mocno, bo Jasnowłosa wciąż trzyma To w ręce.

Gdy zbliża się, dziewczynka zaczyna rozdrapywać sobie twarz do krwi.

Jasnowłosa jest już przy niej, przyciska ją do siebie tak mocno, że dziewczynka nie może się dalej ranić.

– Jużdobrzejużdobrzejużdobrze. Wiemżesieboisz. Jużwszystkodobrze. – W końcu dociera do niej głos Jasnowłosej.

Wrzaski cichną. Dziewczynka oddycha szybko i głęboko, stara się być dzielna, ale jest przerażona.

Jasnowłosa wypuszcza ją z objęć. Powoli, jakby to ona się bała, podnosi To do góry.

Oczy dziewczynki się rozszerzają. Niedobrze jej, nie wie, co ma robić. W pokoju robi się ciemno; pachnie dymem i krwią.

Nagle To błyska w świetle. Dziewczynka zamyka oczy, przypomina sobie Jego ciemne, włochate palce, splatające sznurki… zginające gałązki… nawlekające koraliki. Wydaje z siebie skowyt.

– Alisalis.

Dotknięcie, które czuje na policzku, jest tak lekkie, jakby nie było prawdziwe, jakby je sobie wyobraziła… jakby Ona wróciła.

– Alisotwórzoczy.

To takie przyjemne. Dziewczynka znowu może oddychać. Serce zaczyna jej bić wolniej.

– Jużwszystkodobrzealis.

Zaczyna słyszeć coś znajomego w tym potoku dźwięków, coś, co odżywa w jej pamięci, co przypomina tak dawne czasy, że gdy o nich myśli, to jakby wchodziła w mgłę. Powoli otwiera oczy.

Jasnowłosa cofa się trochę.

– Toamuletprzeciwkozłymsnom – mówi bez uśmiechu. – Znaszgoprzecież.

Amulet przeciwko złym snom.

Znowu zaczyna ściskać ją w brzuchu.

Jednym ruchem Jasnowłosa rozrywa To na pół, a potem szarpie sznurki. Koraliki lecą w powietrze, rozsypują się po podłodze.

Dziewczynka wciąga powietrze w płuca. Niedobrze. Teraz On już na pewno wróci, zrobi im krzywdę.

Jasnowłosa wkłada rękę do pudełka i wyciąga nowe To. Rozrywa na kawałki i rzuca na podłogę.

Dziewczynka patrzy z lękiem. Jasnowłosa rwie następne To i następne. Bierze coś ze stołu i rozbija, rzucając na podłogę. W końcu z uśmiechem podaje amulet dziewczynce.

– Zniszczgoniebójsięniebójsię.

Dziewczynka rozumie. Jasnowłosa chce od niej, żeby zniszczyła Jego zabawkę.

Tylko że On ją potem ukarze.

Jednak nie ma Go tutaj. Poszedł sobie. Czy to Jasnowłosa próbuje jej przekazać?

– Nodalejalisżadnejkrzywdy.

Patrzy na Jasnowłosą. Pod wpływem jej jasnozielonych oczu zaczyna w środku dygotać.

Powoli, drżącą ręką dotyka Tego.

„…spłoniesz od niego”.

Ale to wcale nie parzy. Jest całkiem zwyczajne w dotyku, ot, kawałek sznurka i gałązka. Nie ma na nim krwi ani żadnych śladów Jego wielkich, złych rąk.

Rozrywa To na pół i przy tym ruchu czuje, że coś w niej narasta, jakiś ryk dobywa się gdzieś z wnętrzności i chwyta za gardło. Czuje, że z oczu zaczyna jej płynąć woda, i zastanawia się, czy to znaczy, że będzie musiała odejść. Ale na razie się tym nie przejmuje. Tak dobrze rozerwać Jego zabawkę, wziąć ją z pudła, a potem następną i niszczyć je po kolei.

Rozrywa je wszystkie, potem depcze pudło. Gdy tak rozprawia się z Nimi, myśli o Nim i tym, jak ją krzywdził, a woda z oczu spływa jej po twarzy, kapie na podłogę.

Gdy jest już po wszystkim, unosi głowę. Świat jest zamazany, a jej policzki mokre; łyka powietrze, jakby nie potrafiła oddychać.

Jasnowłosa bierze ją w ramiona i przytula mocno.

Dziewczynka nie wie, co się dzieje. Całe jej ciało drży.

– Jużdobrzejużdobrzeżadnejkrzywdy.

Czuje, że się rozluźnia. Jakieś ciepło rodzi się gdzieś w głębi jej piersi i rozchodzi dalej, po ramionach, aż do palców.

– Jesteśjużbezpieczna.

Dziewczynka słyszy to i czuje.

Bezpieczna.

Julia przerwała notowanie, by przeczytać to, co napisała.

Przez większą część dnia stoi wśród roślin doniczkowych, patrząc albo na mnie, albo za okno. Jej uwagę przyciąga światło słoneczne, jak również jaskrawe przedmioty z plastiku, między innymi naczynia. Wydaje się, że wiele rzeczy budzi w niej strach: głośne dźwięki, grzmoty, szary kolor, błyszczące metalowe obiekty, amulety przeciwko złym snom i noże. Przyciąga ją szczekanie psów na korytarzu. Słysząc je, przechodzi na drugą stronę pokoju, pod drzwi.

Teraz siedzi u moich stóp i patrzy na mnie. To ostatnio jej ulubione miejsce. Od czasu rozprawy z amuletami przeciwko złym snom przełamuje dystans, jaki do tej pory zachowywała wobec mnie. Praktycznie nie oddala się ode mnie, a jeśli musi, to tylko na kilka kroków. Często kładzie się przy moich nogach. Kiedy jest zmęczona, zwija się przy mnie w kłębek, opierając policzek o moją stopę.

Julia spojrzała na dziewczynkę.

– O czym myślisz, Alice?

Jak zwykle, nie było odpowiedzi. Alice patrzyła badawczo, jakby próbowała zrozumieć jej słowa.

Drzwi się uchyliły i do pokoju weszła Ellie. Psy, które zostawiła za sobą, jakby dostały szału; zaczęły szczekać i wyć.

– Musisz nauczyć te zwierzęta jakichś manier – powiedziała Julia, nie podnosząc głowy. Notowała na karcie Alice:

Reaguje na psy, wyjąc cicho. Dziś znowu podeszła do drzwi.

– Jules?

Usłyszała coś w głosie siostry i spojrzała na nią.

– Co takiego?

– Pewni… ludzie chcą się z tobą zobaczyć. Lekarz z opieki społecznej, naukowcy z uniwersytetu i pracownica Departamentu Zdrowia.

Mogła się tego spodziewać. Media sugerowały, że Alice jest dzikim dzieckiem. Już sama wzmianka o tym wystarczyła, żeby przyciągnąć innych lekarzy i naukowców. Kiedyś nikt taki nie odważyłby się nawet zbliżyć do jej pacjentki. Ale te czasy minęły. Teraz Julia wydawała się słaba i zaczęły nad nią krążyć sępy.

Wstała powoli, odłożyła pióro i zaczęła metodycznie składać notatki.

Alice przez cały czas patrzyła na nią z niepokojem.

– Zaraz wracam – zwróciła się do dziewczynki ukrytej wśród listowia, a potem zeszła z siostrą na dół.

W pierwszej chwili odniosła wrażenie, że w salonie zebrało się sporo ludzi. Przyjrzawszy się uważniej, dostrzegła, że jest tam tylko trzech mężczyzn i kobieta. Te cztery osoby jakimś sposobem zdawały się zajmować dużo miejsca.

– Doktor Cates – odezwał się najbliżej stojący mężczyzna i podszedł do niej. Był wysoki i chudy, a nos miał tak wydatny, że można by na nim zawiesić parasol. – Jestem Simon Kletch ze stanowego ośrodka opieki społecznej, a to moi koledzy: Byron Barrett i Stanley Goldberg z laboratorium studiów behawioralnych University of Washington. Panią Wharton z Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej już pani poznała.

– Dzień dobry – powiedziała Julia do wszystkich.

Weszła Ellie.

Zapadła cisza. Goście patrzyli na siebie niepewnie, dopóki Ellie nie poprosiła ich, żeby usiedli.

Nadal jednak panowało milczenie.

W końcu, odchrząknąwszy, odezwał się Silmon Kletch:

– Krążą plotki, że dziewczynka pozostająca pod pani opieką to dzikie dziecko czy coś w tym rodzaju. Chcielibyśmy ją zobaczyć. – Zerknął w kierunku schodów; oczy błyszczały mu z podniecenia.

– Nie zgadzam się.

Wydawał się zaskoczony.

– Wie pani, dlaczego tu jesteśmy.

Julia słyszała w jego głosie przejęcie.

– Proszę mnie oświecić.

– Pod pani opieką dziecko nie robi postępów.

– Nieprawda. Robi, i to wielkie. Umie już jeść normalnie, ubiera się samo i korzysta z toalety. Zaczyna się ze mną komunikować po swojemu. Sądzę, że…

– Pani ją cywilizuje – powiedział ostro mężczyzna zajmujący się studiami behawioralnymi, patrząc na nią przez okrągłe okularki. Nad jego górną wargą lśniły kropelki potu. – A tymczasem trzeba ją wziąć pod obserwację, doktor Cates. W takim stanie, w jakim jest. My, ludzie nauki, od dziesięcioleci czekaliśmy na takie dziecko. Gdyby nauczyć ją mówić, byłaby kopalnią wiedzy. Proszę tylko pomyśleć. Moglibyśmy znaleźć wreszcie odpowiedzi na mnóstwo pytań. Kim jesteśmy bez innych ludzkich istot? Jaka jest tak naprawdę natura człowieka? Czy zdolność mówienia jest dla nas czymś wrodzonym? I jaki istnieje związek między mową a człowieczeństwem? Czy to słowa pozwalają nam marzyć – i myśleć – czy odwrotnie? Ona może nam dostarczyć tej wiedzy. Nawet pani musi zdawać sobie z tego sprawę.

– Nawet ja? Co to ma znaczyć? – zapytała, chociaż znała odpowiedź.

– Silverwood – rzucił krótko doktor Kletch.

– Nigdy nie stracił pan pacjenta? – zapytała ostro.

– Oczywiście, że tak. Wszystkim nam się to zdarzyło. Ale pani poniosła klęskę publicznie. Wywiera się na mnie naciski, żebym przejął sprawę tej dziewczynki.

– Ja jestem jej opiekunem i terapeutą – oświadczyła Julia. Tylko siłą woli powstrzymywała się, żeby nie nazwać doktora Kletcha hieną. Oczywiście, że chciał „pomóc” Alice; dzięki niej popchnąłby naprzód swoją karierę.

– Doktor Kletch jest zdania, że osoba nieletnia pozostaje w gestii opieki społecznej – zabrała głos pracownica Departamentu Zdrowia. – Jeśli nie

może nam pani zagwarantować, że skłoni ją pani do mówienia i pozna jej nazwisko, to…

– Skłonię ją do mówienia – odparła Julia.

– Ale my i tak musimy poddać ją badaniom – odezwał się facet w okularkach.

– I dowiedzieć się za jej pośrednictwem różnych rzeczy – dodał doktor Kletch.

Julia wstała.

– Jesteście jak wszyscy ci lekarze, którzy w przeszłości mieli do czynienia z takimi dziećmi. Chcecie ją wykorzystać, posłużyć się nią jak królikiem doświadczalnym, żeby napisać prace naukowe i zdobyć sławę. Kiedy już wyssiecie z niej wszystko, co się da, pójdziecie sobie i zapomnicie o niej. A ona będzie dorastać w jakimś zakładzie, za kratami, nafaszerowana lekami psychotropowymi. Nie pozwolę na to. Jestem jej opiekunem i terapeutą. Państwo powierzyło mi pieczę nad nią i zamierzam wywiązać się z przyjętego obowiązku. – Zmusiła się do cierpkiego uśmiechu. – Ale dziękuję wam za troskę.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Julia zwróciła się do pracownicy opieki społecznej:

– Niech się pani nie da im zwieść, pani Wharton. To ja mam na względzie jej prawdziwe dobro.

Pani Wharton nerwowo przygryzła wargę; popatrzyła na mężczyzn, a potem na Julię.

– Proszę się postarać, żeby dziecko zaczęło mówić, doktor Cates. Ta sprawa budzi duże… zainteresowanie. Wywiera się na nas presję, żebyśmy przenieśli dziewczynkę do ośrodka terapeutycznego. Pani… historia i ta gorączka medialna nie bardzo podobają się mojemu szefowi. Nie chcielibyśmy, żeby znowu zdarzył się jakiś… incydent.

Ellie wystąpiła naprzód.

– No to koniec spotkania. Dziękuję, że państwo nas odwiedzili. – Przeszła przez pokój, żeby odprowadzić gości do wyjścia.

Mężczyźni zaczęli protestować, głośno wyrażali oburzenie, gwałtownie gestykulując.

– Ona się do tego nie nadaje – ocenił jeden z nich. – Akurat doktor Cates nie jest najlepszym terapeutą dla tego dziecka.

Ellie z uśmiechem wyprowadziła ich za drzwi.

Gdy zapanował spokój, psy na piętrze zaczęły wyć. Julia słyszała, jak kręcą się pod drzwiami sypialni.

– Alice jest zdenerwowana. Psy zawsze to wyczuwają. Muszę iść na górę.

Ellie zbliżyła się do niej pospiesznie i chwyciła ją za rękę.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. Mogłam się tego spodziewać. Zdjęcie Morta i ta konferencja prasowa… moja przeszłość. Ci wszyscy lekarze wykorzystaliby Alice dla własnej kariery. – Głos jej się załamał.

– Nie daj im się – powiedziała Ellie. – Pomagasz tej małej.

Julia spojrzała na siostrę.

– Wtedy z Amber… nie zauważyłam pewnych rzeczy. Ważnych rzeczy. Może i teraz…

– Daj spokój – odparła Ellie. – Oni chcą, żebyś zwątpiła w siebie, żebyś się poddała. Nie pozwól im wygrać.

Julia westchnęła. Czuła, że coś w niej pęka.

– To nie żadna gra. To jej życie. Chyba naprawdę nie jestem dla niej najlepszym lekarzem…

– Idź na górę, Jules. Zajmij się tym, co robisz najlepiej. – Ellie się uśmiechnęła. – Słyszysz ten skowyt? To ona, mówi ci, że jesteś jej potrzebna. Właśnie ty i nikt inny.

– Boję się…

– Wszyscy się boimy.

Julia nie wiedziała, co na to odrzec. Znowu westchnęła ciężko, opuściła salon i poszła na górę. Psy w korytarzu szalały: wyły i skomlały, biegając w kółko. Zza drzwi dochodził niski, przejmujący skowyt Alice.

Julia przystanęła, próbując zmobilizować resztki pewności siebie. Choć zdołała przywołać na twarz wymuszony uśmiech, to ręce nadal jej się trzęsły. Przepchnąwszy się między psami, weszła do pokoju.

Alice natychmiast przestała skowyczeć.

– Muszę wiedzieć, czy potrafisz mówić. Nie mamy wiele czasu. – Z przerażeniem usłyszała, że głos jej drży. Wszystkie te emocje, które tłumiła i spychała w głąb świadomości, nagle powróciły. Nie potrafiła myśleć o niczym innym, tylko o swojej porażce z Amber.

Otarła oczy, choć właściwie nie płakała.

– Przepraszam cię, Alice. To był po prostu kiepski dzień.

Podeszła do stołu i usiadła przy nim, wracając do spraw zawodowych, w których zawsze znajdowała ucieczkę. Przejrzała notatki, próbując się skoncentrować.

Pierwsze dotknięcie było tak delikatne, że prawie go nie poczuła.

Spojrzała w dół.

Alice patrzyła na nią, gładząc ją po ręce. Też ocierała oczy, mimo że nie było w nich łez.

Współczucie. Alice próbowała okazać jej współczucie. Dziecko wyczuło, że jest smutna, i chciało jakoś jej pomóc. Usiłowało nawiązać kontakt.

Nagle wszystko inne straciło znaczenie.

Julię ogarnęła fala wdzięczności dla tej biednej, dziwnej małej dziewczynki, która wyciągnęła do niej rękę, przypomniała, co jest ważne. Nie obrzydliwe nagłówki w gazetach, nie ambitni lekarze i naukowcy czy bezduszny system opieki społecznej, który chciał jej odebrać Alice. Julia pogłaskała pokryty bliznami policzek dziewczynki.

– Dziękuję ci.

Dziewczynka wzdrygnęła się na tę pieszczotę. Zaczęła się cofać, pragnąc znowu schronić się wśród roślin.

– Zostań – powiedziała Julia i ujęła jej delikatny nadgarstek. – Proszę.

Głos znowu jej się załamał przy tym ostatnim, przepojonym desperacją, słowie.

Alice, drżąc, zaczerpnęła tchu i patrzyła na Julię.

– Znasz to słowo, prawda? „Zostań”. Ja też cię potrzebuję, Alice. Musisz mi pomóc.

Siedziały tak przez jakiś czas, spoglądając na siebie.

– Nie jesteś autystyczna, prawda? – stwierdziła w końcu Julia. – Przejmujesz się tym, co czuję. Chciałabym odwzajemnić ci się tym samym. Zdradź mi swój sekret, a ja ci pomogę.

15

Przez następne dwa tygodnie historia skompromitowanej lekarki i bezimiennej, niemówiącej dziewczynki należała do głównych tematów podejmowanych przez media. Na posterunek policji w Rain Valley dzwonili różni lekarze psychiatrzy, naukowcy, prawnicy i ludzie niezrównoważeni. Można by odnieść wrażenie, że wszyscy oni chcieli ocalić Alice przed niekompetencją Julii. Doktorzy Kletch i Goldberg telefonowali codziennie. Departament Zdrowia i Opieki Społecznej żądał raportów z przebiegu terapii dwa razy w tygodniu.

Julia pracowała po osiemnaście godzin dziennie. Przebywała z Alice od świtu do zmierzchu. Gdy dziecko zasypiało, jechała do biblioteki i następne godziny spędzała przed ekranem komputera, pisząc coś albo prowadząc poszukiwania w internecie.

Wszystko to robiła dla Alice. W środy i piątki, punktualnie jak w zegarku, jechała na posterunek, gdzie brała udział w konferencji prasowej. Zajmowała miejsce na podwyższeniu, przed mikrofonami, które wzmacniały jej słowa. Relacjonowała wszystkie szczegóły terapii Alice, zwracając uwagę na wszelkie tropy umożliwiające jej identyfikację. Nic z tego jednak nie interesowało mediów.

Dziennikarze pytali ją wyłącznie o minione wydarzenia, o jej stosunek do nich, o popełnione błędy i byłych pacjentów. Wielkie postępy, jakich z jej pomocą dokonywała Alice, zupełnie ich nie obchodziły. Mimo to Julia nie traciła cierpliwości. „Dziś wyciągnęła do mnie rękę… Zapięła guziki przy bluzce… Wskazała ptaka… Użyła widelca”.

Dla reporterów ważne było tylko to, że dziewczynka dotąd się nie odezwała. Uważali to za dowód, że Julia nie jest w stanie pomóc dziecku.

Z czasem jednak nawet przeszłość Julii przestała ich ciekawić. Doniesienia na jej temat zeszły z pierwszych stron gazet i w postaci znacznie krótszych notatek zaczęły pojawiać się w działach lokalnych albo dotyczących życia codziennego; obecnie wszystkich interesowały wstrząsy sejsmiczne w okolicach Mount St. Helens.

Siedząc na podium, Julia patrzyła na nielicznych dziennikarzy, którzy tego dnia zebrali się na posterunku. CNN, „USA Today”, „New York Times” i ogólnokrajowe stacje telewizyjne już nie przyjeżdżały. Dopisywali jeszcze przedstawiciele lokalnych gazet; większość z nich pochodziła z tak małych społeczności na półwyspie jak Rain Valley. Ich pytania wciąż były tendencyjne i bolesne, ale zadawali je znudzonym głosem.

– To wszystko w tym tygodniu – podsumowała Julia, uświadamiając sobie, że zapadła cisza. – Najważniejszą informacją dla państwa jest to, że dziewczynka umie już sama się ubrać. I że podobają się jej różne rzeczy z plastiku. Telewizja jej raczej nie interesuje; myślę, że obrazy zmieniają się dla niej zbyt szybko, ale jest w stanie od rana do wieczora oglądać programy kulinarne. Może to nasunie komuś jakieś skojarzenia…

– Niech pani da sobie spokój, doktor Cates – powiedział mężczyzna z tyłu sali. Był niezwykle chudy, miał rozwichrzone włosy i cerę palacza. – Przecież nikt tego dziecka nie szuka.

Zebrani, którzy rozmawiali między sobą, potwierdzili to zgodnym pomrukiem. Do Julii doszedł ich śmieszek, przypominający szelest papieru.

– To nieprawda. Dziecko nie może tak po prostu zniknąć z tego świata i z powrotem się na nim pojawić. Ktoś za nim tęskni i szuka go.

Podniósł się reporter KIRO TV. Współczucie malujące się w jego ciemnych oczach było jeszcze trudniejsze do zniesienia niż ewidentny brak zainteresowania ze strony całej reszty.

– Nie wiem, co w pani przeszłości jest prawdą, a co zmyśliły media, doktor Cates, ale przecież bystra z pani kobieta. Z tą małą jest coś nie tak. I to bardzo. Myślę, że dlatego jej rodzina wywiozła ją do lasu i zostawiła tam.

Julia wstała zza stołu na podium i zbliżyła się do tego człowieka.

– Nie ma nic, co by potwierdzało takie przypuszczenie. Równie prawdopodobna jest wersja, że dziewczynka została porwana dawno temu i jej rodzice już postawili na niej krzyżyk. Przestali jej szukać.

Patrzył na nią nieporuszenie.

– Jak to przestali szukać? Swojego dziecka?

– Jeśli…

– Życzę pani powodzenia, naprawdę, ale KIRO wynosi się już stąd. Teraz w centrum uwagi są wstrząsy na Mount St. Helens. – Sięgnął do kieszeni swojej białej wygniecionej koszuli i wyjął swoją wizytówkę. – Moja

żona jest psychoterapeutą. Chcę być wobec pani uczciwy. Proszę do mnie zadzwonić, gdy odkryje pani coś znaczącego.

Julia spojrzała na wizytówkę. John Smith, Wiadomości Telewizyjne. KIRO, jak wiedziała, miało świetny zespół researcherów, a także dostęp do ludzi i miejsc, do jakich ona nigdy by nie dotarła.

– Czy wasi ludzie starali się dowiedzieć, kim ona jest?

– Czworo researcherów pracowało nad tym non stop przez dwa tygodnie.

Julia pokiwała głową. Tego się właśnie obawiała.

– Powodzenia! – usłyszała.

Patrzyła, jak mężczyzna wychodzi, i pomyślała: „No to wyjeżdża ostatni z prawdziwych dziennikarzy". W następną środę spotka się już tylko z przedstawicielami lokalnych gazet, które nie docierały nawet do większości szkół średnich, i – jeśli będzie miała szczęście – z jakimiś nędznie opłacanymi współpracownikami brukowców.

Peanut przeszła przez pokój, klucząc pomiędzy rzędami metalowych, składanych krzeseł i zbierając porzucone kartki z informacjami dla prasy, które rozdali. Jej czarne chodaki na gumowych podeszwach dudniły o podłogę. Cal podążał za nią, składając ze szczękiem krzesła.

Po chwili jedynym śladem po konferencji prasowej było podium. Julia zdawała sobie sprawę, że niebawem te organizowane przez nią spotkania przestaną kogokolwiek interesować, i świadomość ta przytłoczyła ją.

Postępy, o których opowiadała tego dnia dziennikarzom, były naprawdę znaczące. W zwykłej terapii to wszystko, czego dokonała Alice w ciągu trzech tygodni, należałoby uznać za sukces. Dziecko umiało już jeść przy użyciu sztućców i korzystać z toalety. Zaczęło nawet okazywać uczucia drugiej osobie. Niestety, żadne z tych osiągnięć nie przyniosło odpowiedzi na zasadnicze pytania, dotyczące tożsamości dziewczynki. Żadne z nich nie przybliżyło jej powrotu do rodziny i normalnego życia. Żadne nie stanowiło gwarancji, że Julia będzie mogła dalej z nią pracować. Z każdym dniem przedłużającego się milczenia dziecka Julia coraz bardziej traciła wiarę w siebie. W nocy, gdy leżała w łóżku, słuchając przyspieszonego oddechu podopiecznej, której śniły się jakieś koszmary, myślała: „Czy jestem naprawdę dobrym lekarzem?". Albo co gorsza: „Czy i tym razem czegoś nie przeoczyłam?".

– Świetnie się dzisiaj spisałaś – stwierdziła Peanut z wymuszonym uśmiechem. Mówiła to samo po każdej konferencji prasowej.

– Dzięki – odpowiedziała jak zwykle Julia. – No to wracam do pracy. – Schyliła się, żeby wziąć teczkę.

Peanut skinęła głową, a potem zawołała do Cala:

– Odwiozę ją do domu!

Obydwie wyszły w stalowoszarą poświatę zmierzchu. Podczas jazdy patrzyły przed siebie. Z głośników płynął głos Gartha Brooksa, który skarżył się na przyjaciół.

– Chyba nie idzie to najlepiej, prawda? – spytała Peanut, przebierając paznokciami w czarno-białą szachownicę po kierownicy, gdy zatrzymała wóz przed skrzyżowaniem.

– Robi ogromne postępy, ale…

– Wciąż nie mówi. Jesteś pewna, że w ogóle potrafi?

Taki sam dialog prowadziła Julia w myślach sama ze sobą. W dzień i w nocy zastanawiała się: „Czy Alice umie mówić? Czy się odezwie? Kiedy to nastąpi?”.

– Wierzę w to całym sercem – odparła wolno. Potem uśmiechnęła się ze smutkiem. – Ale mój umysł zaczyna mieć wątpliwości.

– Kiedy byłam młodą matką, najbardziej nie lubiłam zmieniać dzieciom pieluch, więc w dniu, w którym Tara skończyła dwa latka, zaczęłam uczyć ją korzystania z nocnika. Robiłam to według zaleceń podręcznika. I wiesz, co się stało? Tara przestała w ogóle robić kupkę. Po prostu przestała. Po pięciu dniach zabrałam ją do doktora Fischera. Byłam przerażona. Doktor zbadał małą, a potem spojrzał na mnie znad okularów. „Penelope Nutter – powiedział. – To dziecko próbuje ci coś przekazać. Nie chce jeszcze używać nocnika”. – Peanut zaśmiała się, włączyła kierunkowskaz i skręciła na starą szosę. – Na tym świecie nie ma nic silniejszego niż wola dziecka. Myślę, że twoja Alice zacznie mówić, kiedy będzie na to gotowa.

Gdy zajechały przed dom, Peanut dwukrotnie nacisnęła klakson.

Ellie wyszła z domu prawie natychmiast, tak szybko – pomyślała Julia – jakby czekała pod drzwiami.

– Dzięki, że mnie podrzuciłaś, Peanut.

– Do zobaczenia w środę.

Julia wysiadła z samochodu i zatrzasnęła drzwi. Podeszła do Ellie, która była już na środku podwórka.

– Ona znowu wyje – poinformowała siostra z niepokojem.

– Kiedy się obudziła?

– Pięć minut temu. Krótko spała. A tobie jak poszło?

– Kiepsko – powiedziała, starając się, żeby zabrzmiało to dzielnie, ale bez skutku.

– Wkrótce będziemy mieć wyniki badań DNA. Może to popchnie sprawę naprzód – przypomniała Ellie. – Jeśli Alice została porwana, znajdziemy jej dane wśród dowodów z miejsc przestępstwa.

Wciąż rozważały tę ewentualność, traktując ją jak koło ratunkowe, choć niosła ze sobą niewielkie szanse.

– Wiem. Miejmy nadzieję, że są w systemie – zawsze odpowiadała Julia.

– Miejmy nadzieję.

Spojrzały na siebie. W tych słowach nie było już wiary.

Julia weszła do domu i ruszyła po schodach. Z każdym jej krokiem wycie stawało się coraz głośniejsze. Wiedziała, co zobaczy po wejściu do pokoju: Alice klęczącą wśród zieleni, z opuszczoną głową i twarzą w dłoniach, kiwającą się i wyjącą. Tylko tak potrafiła wyrażać smutek i strach. Była teraz przestraszona, bo obudziła się wcześniej niż zwykle i zobaczyła, że jest sama. Dla zwykłego dziecka byłoby to frustrujące, a co dopiero dla niej!

Julia zaczęła przemawiać już od drzwi.

– Po co ta rozpacz, Alice? Przecież nic się nie stało. Po prostu się przestraszyłaś. To normalna sprawa.

Alice przebiegła przez pokój, tak że tylko śmignęły jej ciemne włosy, żółta sukienka oraz patykowate ręce i nogi. Przywarła do Julii mocno, niemal całym ciałem.

Potem włożyła rękę do jej kieszeni.

Ostatnio taki miała zwyczaj. Potrzebowała stałego fizycznego kontaktu z opiekunką.

Ssąc kciuk, spojrzała na nią ze wzruszającą i jednocześnie przerażającą bezbronnością.

– Chodź, Alice – powiedziała Julia, jakby taki rzep przyczepiony do biodra był czymś całkowicie naturalnym. Wyjęła swój zestaw denwerski – komplet zabawek, pomocny przy ocenie rozwoju umysłowego dziecka.

Postawiła na stole dzwonek, klocek i lalkę.

– Usiądź, Alice – poprosiła, wiedząc, że dziewczynka usiądzie, jeśli i ona to zrobi. Ich krzesła stały blisko, żeby Alice mogła trzymać się jej.

Usiadły obok siebie, tak że mała nawet nie wyjęła rączki z jej kieszeni. Mając przed sobą zabawki z zestawu, Julia czekała na reakcję Alice.

– No dalej – powiedziała, krzywiąc się, bo usłyszała w swoim głosie rozpacz. – Zrób coś. Odezwij się do mnie. Musisz zacząć mówić, malutka. Przecież potrafisz.

Z ust dziewczynki dobywał się tylko lekki oddech.

Pod wpływem rozpaczy Julia całkiem straciła wiarę w siebie, nawet te resztki, które zachowała po konferencji.

– Proszę. – Mówiła szeptem i nie był to głos terapeuty. Pomyślała o upływającym czasie, coraz mniejszym zainteresowaniu mediów i coraz rzadszych telefonach na posterunek policji. – Proszę…

Kiedy Ellie i Peanut przyjechały na posterunek, panował tam spokój. Cal siedział za biurkiem, ze słuchawkami na uszach i szkicował jakąś skrzydlatą postać. Na ich widok odwrócił kartkę rysunkiem do dołu.

Jakby Ellie interesowały te jego dziwaczne szkice! Robił je od szóstej klasy. Jedyna różnica między nim a innymi facetami, których znała, polegała na tym, że Cal, jak dotąd, z tego nie wyrósł. Na różowych kartkach, na których notował pozostawiane dla niej informacje, zawsze widniały jakieś bazgroły.

– Earl się odmeldował – poinformował, odgarniając z oczu pasmo włosów. – Mel ma jeszcze podjechać nad jezioro, żeby sprawdzić, jak sprawuje się młodzież, a potem też zabiera się do domu.

Innymi słowy, życie w Rain Valley wracało do normalności. Telefony przestały dzwonić, a obaj oficerowie patrolowi skończyli już służbę, chyba że zostaliby dokądś wezwani.

– I nadeszły wyniki badań DNA. Położyłem je na twoim biurku.

Ellie zatrzymała się. Wszyscy troje spojrzeli na siebie. Po dłuższej chwili podeszła do biurka i usiadła przy nim. Krzesło zatrzeszczało protestacyjnie.

Wzięła do ręki oficjalnie wyglądającą kopertę i otworzyła. Kartki, które znajdowały się wewnątrz, pełne były naukowego bełkotu, ale to nie miało żadnego znaczenia. Na końcu pierwszej z nich znajdowało się zdanie: „Nie znaleziono odpowiednika”.

Druga kartka zawierała wyniki analizy włókien z sukienki Alice. Jak można się było spodziewać, sukienka została uszyta z niedrogiej surówki

bawełnianej i mogła pochodzić z dziesiątków szwalni. Nie było na niej śladów krwi ani spermy, czyli żadnych dowodów w postaci DNA.

W ostatnim akapicie raportu wyjaśniano procedury postępowania, w razie gdyby DNA Alice trzeba było porównać z którąś ze znalezionych próbek.

Ellie ogarnęła fala zwątpienia. I co dalej? Zrobiła już wszystko, co tylko mogła; rzuciła nawet swoją siostrę wilkom na pożarcie, do cholery, i co z tego? Przez trzy tygodnie nie zbliżyli się do ustalenia tożsamości dziecka nawet o krok, a czuła już na plecach oddech ludzi z Departamentu Zdrowia.

Cal i Peanut przysunęli swoje krzesła przed biurko Ellie i usiedli.

– Nadal nie znamy jej tożsamości? – zapytała Peanut.

Ellie skinęła głową, bo nie była w stanie potwierdzić tego głośno.

– Zrobiłaś wszystko, co można było – powiedział łagodnie Cal.

– Nikt nie spisałby się lepiej – zgodziła się z nim Peanut.

Potem zapadło milczenie – rzadkie zjawisko na posterunku.

W końcu Ellie pchnęła w stronę współpracowników otrzymane papiery.

– Wyślijcie te wyniki wszystkim, którzy na nie czekają. Ile przyszło próśb?

– Trzydzieści trzy. Może gdzieś znajdzie się odpowiednik – wyraziła nadzieję Peanut.

Ellie otworzyła szufladę biurka i wyjęła stos dokumentów, które dostała z Państwowego Ośrodka Pomocy dla Zaginionych Dzieci. Czytała je już chyba ze sto razy, bo były w gruncie rzeczy jedynym tropem, jakim dysponowała. Ostatni akapit raportu wrył się jej w pamięć. Nie musiała go czytać, żeby wiedzieć, co zawiera.

Jeżeli żaden z tych dokumentów nie pozwoli na identyfikację dziecka, należy zwrócić się do służb socjalnych. Dziecko zostanie oddane pod opiekę rodzinie zastępczej, umieszczone w ośrodku terapeutycznym bądź skierowane do adopcji.

– Co robimy? – zapytała Peanut.

Ellie westchnęła.

– Módlmy się, żeby to DNA jednak umożliwiło identyfikację.

Wszyscy troje wiedzieli, że to mało prawdopodobne. Żadna z trzydziestu trzech próśb nie wydawała się obiecująca. Większość pochodziła od ludzi – rodziców, prawników i policjantów z innych okręgów – którzy sądzili, że poszukiwane przez nich dziecko nie żyje. W żadnym ze zgłoszeń wśród

znaków szczególnych nie wymieniono takiego znamienia, jakie miała Alice.

Ellie potarła oczy.

– Koniec na dzisiaj. Zbieramy się. Możesz rozesłać te wyniki badań jutro, Pea. Ja mam kolejne spotkanie z pracownicą Departamentu Zdrowia. Już się na to cieszę.

Peanut wstała.

– Umówiłam się z Benjim w Big Bowl. Czy ktoś ma ochotę się do nas przyłączyć?

– O niczym nie marzę bardziej niż o grze w kręgle z tłuściochami w identycznych stylonowych koszulach – odparł Cal. – Wchodzę w to.

Peanut spojrzała na niego ciężkim wzrokiem.

– Mam powiedzieć Benjiemu, że nazwałeś go tłuściochem?

Cal się roześmiał.

– Na pewno się nie zdziwi, Pea.

– Nie zaczynajcie znowu, wy dwoje – powiedziała zmęczonym głosem Ellie. Ostatnią rzeczą, w jakiej miała ochotę uczestniczyć, była sprzeczka o nic. – Jadę do domu. Ty też powinieneś, Cal. Jest piątkowy wieczór. Dziewczynki na pewno tęsknią już za tobą.

– Dziewczynki pojechały z Lisą do jej rodziny, do Aberdeen. Jestem w ten weekend słomianym wdowcem. Więc jednak wybiorę się do Big Bowl. – Spojrzał na Ellie. – Kiedyś uwielbiałaś kręgle.

Ellie przypomniała sobie to lato, kiedy pracowała razem z Calem w Big Bowl przy wydawaniu posiłków w porze lunchu. Był to ostatni magiczny rok jej dzieciństwa, zanim zaczęły się kanciaste lata młodości. Tamtego lata oboje czuli się autsajderami i przyjaźnili ze sobą tak, jak tylko mogą się przyjaźnić nieprzystosowane nastolatki.

– To było dawno temu, Cal. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze pamiętasz.

– Pamiętam. – W jego głosie zabrzmiał jakiś dziwnie szorstki ton.

Podszedł do wieszaka przy drzwiach i zdjął z niego płaszcz.

– Dziś wieczorem jest karaoke – powiedziała Peanut z uśmiechem.

Ellie czuła się zagubiona i Peanut dobrze o tym wiedziała.

– Myślę, że dobrze by ci zrobiła margarita – dodała.

Ellie uznała, że to lepsze niż powrót do domu. Świadomość, że musi powiedzieć Julii o wynikach analizy DNA, była ponad jej siły.

Ogromne jodły, które rosły po obu stronach drogi, przypominały swoimi ostrymi czubkami i poszarpanymi gałęziami brzeszczot monstrualnej piły. Niebo nad nimi wydawało się ponadgryzane przez wierzchołki drzew i szczyty gór. Na horyzoncie świeciły gwiazdy, niektóre z tych najjaśniejszych wydawały się tak bliskie, jakby ich blask mógł przebić się w głąb wilgotnej ziemi, ale kiedy Ellie spojrzała pod nogi, zobaczyła tylko ciemny żwir.

Zachichotała. Przez moment miała wrażenie, że patrząc w dół, zobaczy czarne opary.

– Spokojnie – powiedział Cal, obchodząc samochód. Wziął Ellie pod ramię, żeby ją podtrzymać.

Ona najwyraźniej nie mogła przestać gapić się w niebo. Głowa jej ciążyła, powieki opadały.

– Widzisz Wielki Wóz? – Gwiazdozbiór ten znajdował się po lewej stronie nieba, dokładnie nad jej domem. – Tata mówił, że Bóg z niego czyni czary przez komin. – Głos jej się załamał, gdy to mówiła. Wspomnienie powróciło do niej tak niespodziewanie, że nie zdążyła się przeciw niemu uzbroić. – Dlatego z zasady nie piję.

Cal otoczył ją ramieniem.

– Myślałem, że nie pijesz z powodu swojej funkcji. Pamiętasz, jak się pochorowałaś na Principal Haley?

– Potrzebni mi są nowi przyjaciele – wymamrotała Ellie.

Pozwoliła się zaprowadzić do domu. Psy powitały ją tak serdecznie, że omal znowu się nie przewróciła.

– Jake! Elwood! – Pochyliła się i uściskała je. Pozwoliła im się lizać po policzku, który stał się mokry jak po kąpieli.

– Powinnaś przeszkolić te psy – powiedział Cal, umykając przed ich węszącymi nosami.

– Przeszkolenie czegokolwiek, co ma penisa, jest niemożliwe. – Uśmiechnęła się szeroko. – A ty mówisz, że małżeństwa niczego mnie nie nauczyły. – Wskazała schody. – Na górę, łobuzy! Natychmiast! – rozkazała psom. – Ja też tam zaraz przyjdę.

Musiała to powtórzyć jeszcze z piętnaście razy, zanim posłuchały. Gdy wreszcie zareagowały, Cal poradził:

– Lepiej idź do łóżka.

– Mam już dosyć sypiania samej. Udawaj, że tego nie słyszałeś. – Odsuwając się od Cala, spytała nagle: – Słyszysz? Ktoś gra na pianinie. *Delta Down*. – Zaczęła śpiewać. – *Delta Down, jaki kwiat na sobie masz?* – Wykonała kilka tanecznych kroków.

– Nikt nie gra – odparł Cal. Zerknął w kąt, gdzie stało stare, zakurzone pianino matki Ellie. – Tę piosenkę śpiewałaś dziś podczas karaoke. Między innymi.

Ellie zatrzymała się i niepewnie spojrzała na Cala.

– Jestem komendantem policji.

– Owszem.

– Upiłam się margaritą i śpiewałam… publicznie. Będąc w mundurze.

Cal usiłował powstrzymać uśmiech.

– Spójrz na jasną stronę tej sytuacji. Nie zrobiłaś striptizu i nie wsiadłaś do wozu po pijanemu.

Zasłoniła ręką oczy.

– To ma być ta jasna strona? Że się nie rozebrałam i nie dopuściłam się przestępstwa?

– No… były takie czasy, że….

– Zdecydowanie muszę sobie znaleźć nowych przyjaciół. Możesz wracać do domu. Nie będę się już z tobą zadawać. – Odwróciła się od niego szybko, straciła równowagę i padła na podłogę jak sosna podczas wyrębu lasu. Jedyna różnica polegała na tym, że nie towarzyszył temu okrzyk: „Uwaga na drzewo!”.

– O rany! Chyba się potłukłaś.

Obróciła się na podłodze, ale nie wstała.

– Masz zamiar tak stać, czy znajdziesz jakiś podnośnik i postawisz mnie na nogi?

Cal nie starał się już nawet opanować śmiechu.

– Będę tak stał. Przecież już się nie przyjaźnimy, i w ogóle.

– Och, do diabła! Odwołuję, co powiedziałam. – Wyciągnęła rękę. Cal pomógł jej wstać. – Potłukłam się – jęknęła, otrzepując spodnie.

– Wcale się nie dziwię.

Wciąż trzymał ją za rękę. Odwróciła się do niego.

– W porządku, starszy bracie. Już więcej się nie przewrócę.

– Jesteś pewna?

– Prawie. – Wyszarpnęła dłoń z jego ręki. – Dzięki, że odwiozłeś mnie do domu. Do zobaczenia w pracy punkt ósma. Znajdzie się odpowiednik jej DNA. Czuję to w kościach.

– Czujesz raczej tequilę.

– Ty niedowiarku! Dobranoc. – Ruszyła chwiejnie ku schodom, chwytając się poręczy w chwili, gdy była bliska upadku.

Cal w jednej chwili znalazł się przy niej.

– Hej! – Zmarszczyła brwi, czując, że ją podtrzymuje. – Myślałam, że wyszedłeś.

– Jestem tu.

Spojrzała na niego. Ponieważ stała na stopniu, a on u podnóża schodów, patrzyła mu prosto w oczy i była tak blisko, że widziała, gdzie rano zaciął się przy goleniu. Zauważyła też lekko poszarpaną bliznę na jego szczęce. Była to pamiątka z wakacji, gdy skończył dwanaście lat. Ojciec gonił go z rozbitą butelką po piwie, a ojciec Ellie zawiózł biedaka do szpitala.

– Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry, Cal? Okropnie się do ciebie odnosiłam w szkole średniej. – Nie kłamała. Gdy zaokrągliły się jej piersi, gdy zaczęła wyskubywać sobie brwi i wyrosła z trądziku młodzieńczego, wszystko się zmieniło. Chłopcy nagle zaczęli zwracać na nią uwagę, nawet przystojniacy z drużyny piłkarskiej. W okamgnieniu zapomniała o Calu, a on jakoś nigdy nie miał o to pretensji.

– Trudno się wyzbyć starych przyzwyczajeń.

Cofnęła się o jeden stopień, zwiększając odległość między nimi.

– Jak to się dzieje, że nigdy z nami nie pijesz?

– Piję.

– Wiem. Ale nie z nami.

– Ktoś musi cię odwieźć do domu.

– Ale dlaczego zawsze ty? Lisa nie ma nic przeciwko temu, że wychodzisz na cały wieczór?

Patrzył na nią uporczywie.

– Już ci mówiłem: Lisa wyjechała na weekend.

– Jakoś często wyjeżdża.

Nie odpowiedział.

Po minucie Ellie zapomniała, o czym rozmawiali. Nagle przypomniała sobie o dziewczynce i o swoim niepowodzeniu.

– Nie uda mi się odnaleźć jej rodziny, prawda?

– Tobie zawsze udaje się osiągnąć to, czego chcesz, El. To akurat nigdy nie sprawiało ci trudności.

– Tak? A co wobec tego sprawiało mi trudności?

– Zawsze chciałaś nie tego, czego trzeba.

– Jezu, wielkie dzięki.

Wydawał się rozczarowany jej reakcją. Jakby chciał, żeby powiedziała coś innego. Nie potrafiła sobie wyobrazić, czego się po niej spodziewał, ale najwyraźniej go zawiodła. Gdyby była trzeźwa, pewnie wiedziałaby, o co chodzi.

– Proszę bardzo. Chcesz, żebym wpadł po ciebie jutro rano?

– Nie ma potrzeby. Poproszę Jules albo Peanut, żeby mnie podwiozły.

– Dobra. To do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Patrzyła, jak wychodzi, i zamknęła za nim drzwi. W domu znowu zapanowała cisza.

Ellie z westchnieniem ruszyła po wąskich, stromych schodach i wdrapała się na piętro. Miała skręcić w lewo, do sypialni rodziców – a teraz jej – lecz automatycznie skierowała się na prawo, do swojego dawnego pokoju. Dopiero gdy zobaczyła dwie postacie w łóżkach, uświadomiła sobie, że zawędrowała nie tam, gdzie należało.

Alice patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Musiało ją obudzić otwieranie drzwi.

– Cześć, malutka – szepnęła, wzdrygając się, gdy Alice w odpowiedzi wydała niski warkot. – Przecież cię nie skrzywdzę – zapewniła, cofając się do drzwi. – Tylko chciałam pomóc. Gdybym mogła…

Gdyby mogła co? Nie wiedziała. Uzmysłowiła sobie, że z tym zawsze miała problem: nie wiedziała, co powinna zrobić, gdy jeszcze był czas.

Chciała obiecać Alice, że znajdzie jej rodzinę, ale sama w to nie wierzyła. Już nie.

Erozja pewności siebie była u Julii procesem ciągłym, postępującym, który przypominał obmywanie brzegu rzeki podczas wiosennych roztopów. Mimo że przebiegała w sposób niewidoczny – nie było żadnych odpadających kawałów ziemi – w rezultacie zmieniła bieg rzeczy, pchnęła je

w nowym kierunku. Julia coraz bardziej wycofywała się w bezpieczny świat swojej pracy i swoich notatek. Na tych białych poliniowanych kartkach analizowała wszystkie dane i poczynione obserwacje. Chociaż nadal była przekonana, że Alice rozumie, co się do niej mówi – przynajmniej tyle, ile rozumie dwulatek, czyli pojedyncze słowa – to jednak nie miała żadnego dowodu, że dziecko potrafi mówić. Przedstawiciele władz tylko czekali na jakieś jej potknięcie. Doktor Kletch codziennie nagrywał dla niej wiadomość na automatycznej sekretarce. Mówił zawsze to samo: „Nie jest pani w stanie pomóc temu dziecku, doktor Cates. Proszę powierzyć je nam”.

Tego popołudnia, kiedy położyła Alice do łóżka na drzemkę, uklękła przy niej i gładząc jej miękkie włosy, pomyślała ze smutkiem: „Jak mogę ci pomóc?”.

Poczuła w oczach piekące łzy; zanim się zorientowała, pociekły jej po policzkach.

Musiała pójść do łazienki i poprawić makijaż przed konferencją prasową. Gdy kończyła tuszowanie rzęs, pod dom zajechał samochód. Była w połowie drogi na dół, gdy natknęła się na Ellie, która z kolei szła na górę.

– Dobrze się czujesz? – zapytała ją siostra z niepokojem.

– Nic mi nie jest. Mała śpi.

– To dobrze. Peanut czeka na ciebie w samochodzie. Ja dziś zostanę w domu.

Julia skinęła głową. Wzięła teczkę i wsiadła do wozu.

Drogę do miasteczka, liczącą około dwóch i pół kilometra, przejechały w ulewnym deszczu. Jego krople tak bębniły o szyby i dach, że nie można było rozmawiać. Deszcz jakby wrzał na masce wozu.

Gdy Peanut parkowała samochód, Julia otworzyła parasolkę i pobiegła pod nią na posterunek. Powiesiła płaszcz i weszła na podium, gdy nagle coś do niej dotarło.

Wszystkie krzesła były puste.

Nie zjawił się nikt.

Cal siedział przy biurku dyżurnego i patrzył na nią ze współczuciem.

Spojrzała na zegar. Konferencja prasowa powinna się była zacząć przed pięcioma minutami.

– Może…

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Stanęła w nich Peanut w służbowym płaszczu przeciwdeszczowym, po twarzy spływały jej krople deszczu.

– Gdzie, do diabła, są wszyscy?!

– Nikt nie przyszedł – odparł Cal.

Twarz Peanut jakby się wydłużyła. Jej oczy zrobiły się okrągłe z niedowierzania, a potem z rezygnacji. Podeszła do Cala, który wziął ją za rękę.

– To niedobrze.

– Fatalnie – zgodziła się z nią Julia.

Przez następne pół godziny siedzieli w trudnym do zniesienia milczeniu, podskakując za każdym razem, gdy dzwonił telefon. Za piętnaście piąta wszyscy troje przestali udawać, że jeszcze na coś czekają.

Julia wstała.

– Muszę wracać, Peanut. Alice niebawem się obudzi. – Sięgnęła po teczkę i razem z policjantką poszła do samochodu.

Przestało padać. Niebo było szare i jakby posiniaczone. Julia czuła się podobnie – przygnębiona i pobita. Wiedziała, że powinna pogawędzić z Peanut, a przynajmniej odpowiadać na jej niezliczone pytania, ale nie miała na to ochoty.

Peanut skręciła w Main Street. Nagle, przypomniawszy sobie o czymś, zajechała na parking przed Rain Drop Diner.

– Obiecałam Calowi, że przywiozę mu coś na kolację. To zajmie tylko chwilę.

Wyskoczyła z samochodu, zanim jej pasażerka zdążyła zareagować.

Julia wysiadła z wozu. Zamierzała napić się kawy, skoro już tu była, ale jakoś nie mogła ruszyć się z miejsca. Po drugiej stronie ulicy znajdował się Sealth Park. To tam znaleziono Alice. Klon, pozbawiony już liści, wyciągał gołe gałęzie w stronę ciemniejącego nieba. Las leżący dalej był już w mroku niewidoczny.

„Jak długo tam byłaś?” – pomyślała.

Poczuła, że ktoś staje obok niej. Wróciła do chwili obecnej i okręciła się, oczekując, że zobaczy uśmiechniętą twarz Peanut.

Był to jednak Max. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, dżinsy i białą bawełnianą koszulkę. Nie widzieli się od kilku tygodni. Unikała go celowo. A oto stał przed nią, zajmując sobą zbyt dużo miejsca i wdychając zbyt dużo powietrza.

– Dawno się nie widzieliśmy.

– Byłam zajęta.

– Ja też.

Stali tak, patrząc na siebie.

– Jak tam Alice?

– Robi postępy.

– Wciąż nie mówi?

Skrzywiła się.

– Nie.

Ściągnął brwi. Trwało to krótki moment; sądziła, że tylko jej się zdawało, ale Max rzucił szybko:

– Nie przejmuj się. Pomagasz jej.

Była zaskoczona, że tak wiele znaczą dla niej te proste słowa.

– Skąd zawsze wiesz, co chcę usłyszeć?

Uśmiechnął się.

– To mój sekret.

Za jego plecami rozległ się dzwonek i Peanut wyszła z baru.

– Doktor Cerrasin, jak się pan ma? – zapytała, patrząc najpierw na niego, a potem na Julię. Miała wrażenie, że coś ją ominęło.

– Świetnie. Świetnie. A pani?

– Też dobrze – odparła.

Max spojrzał na Julię, która poczuła, że przebiega ją dreszcz, pewnie z zimna.

– Więc… – powiedziała, usiłując wymyślić jakiś sensowny dalszy ciąg. Nic jednak nie przychodziło jej do głowy i tylko patrzyła na Maxa.

– Muszę już iść – zakończył rozmowę.

Kiedy Peanut i Julia siedziały na powrót w samochodzie, Peanut rzekła:

– Naprawdę przystojny facet z tego doktora.

– Tak? – odparła Julia, patrząc przez okno. – Nie zauważyłam.

Peanut wybuchnęła śmiechem.

16

Gdy Julia wróciła do domu, Ellie siedziała w salonie, przeglądając, kolejny raz, raporty o zaginionych dzieciach.

Domyśliła się przebiegu wydarzeń, widząc rozczarowanie na obliczu siostry. W podobnych chwilach żałowała, że jest taka spostrzegawcza. Zauważała wszystkie nowe bruzdy na twarzy Julii, jej bladość i stracone kilogramy. Z tej kobiety zrobił się strach na wróble.

Ogarnęło ją poczucie winy. To przez nią Julia nikła w oczach. Gdyby wywiązała się ze swoich obowiązków, siostra nie musiałaby brać na swoje wątłe barki całej odpowiedzialności za ustalenie tożsamości dziewczynki. Ale, o dziwo, Julia nie miała do niej pretensji.

Oczywiście, ostatnio niewiele czasu spędzały razem. Od dnia, w którym zaczęły się konferencje prasowe, Julia pracowała jak automat. Prawie bez przerwy przebywała w pokoju na górze.

– Nikt się nie zjawił – oznajmiła, rzucając teczkę z dokumentacją na kanapę.

Głos jej drżał albo ze zmęczenia, albo z poczucia klęski. Usiadła na bujanym fotelu mamy, ale nie odprężyła się. Siedziała sztywno; skojarzyła się Ellie ze zbyt cienkim płatem jesionu, którego nie można zgiąć, nie łamiąc jednocześnie.

W ciszy słychać było tylko trzaskanie ognia na kominku.

Ellie spojrzała w kierunku schodów, myśląc o Alice.

– Co teraz zrobimy?

Julia opuściła wzrok na ręce, które splotła przed sobą. Przykro było patrzeć na jej bezradność.

– Są już duże postępy, ale…

Ellie czekała na dalsze słowa, lecz zdanie pozostało niedokończone, stopiło się z ciszą, która znów zapanowała w pokoju.

– Ale co? Dokończ, proszę.

Julia wreszcie spojrzała jej w twarz.

– Może… nie jestem dość dobrym lekarzem.

Ellie widziała, że siostra jest bliska załamania, i miała świadomość, że powinna powiedzieć coś stosownego, a to nigdy nie było jej mocną stroną.

– Tata zawsze mówił, że jesteś błyskotliwa, wciąż powtarzał, że któregoś dnia wybijesz się. Wszyscy to wiedzieliśmy. Oczywiście, że jesteś dobrym lekarzem.

Julia wydała dziwny dźwięk, jakby prychnięcie.

– Tata?! Chyba żartujesz. On nigdy nie myślał o innych, tylko o sobie.

Ellie była tak zdumiona tą uwagą, że odpowiedziała dopiero po chwili:

– Tata? Bardzo w nas obie wierzył. Jeśli chodzi o mnie, dał sobie spokój, gdy rozpadło się moje drugie małżeństwo, ale ty zawsze byłaś jego dumą i radością.

– Czy mówimy o tym samym Tomie Catesie, który wszystkich usuwał w cień i stłamsił swoją żonę?

Ellie roześmiała się, tak było to dla niej niedorzeczne.

– Co ty mówisz?! Uwielbiał mamę. Nie mógłby bez niej żyć.

– A ona nie mogła żyć z nim. Kiedyś od niego odeszła, na dwa dni. Wiedziałaś o tym? Miałam wtedy czternaście lat.

Ellie wytężyła pamięć.

– Wtedy, gdy pojechała do babci Dotty? Przecież zaraz wróciła. – Machnęła ręką ze zniecierpliwieniem. – Nieważne. W każdym razie oboje wierzyli w ciebie i pękłoby im serce, gdyby wiedzieli, że przeżywasz takie rozterki. Co byś zrobiła w normalnej sytuacji, gdyby ta dziewczynka na górze potrzebowała twojej pomocy?

Julia wzruszyła ramionami.

– Poszłabym do niej i pewnie zdecydowałabym się na coś radykalnego. Sprawdziłabym, czy jakiś mały wstrząs nie przyniesie efektu.

– Więc zrób tak.

– A jeśli to niewłaściwa droga?

– No to spróbuj czegoś innego. Przecież ona się nie zabije, jeśli się pomylisz. – Ellie o sekundę za późno zdała sobie sprawę, co powiedziała. Gdy spojrzała na siostrę, gdy zobaczyła jej bladość i łzy w oczach, nagle zrozumiała. – A więc tu jest pies pogrzebany? Chodzi o to, co zdarzyło się w Silverwood. Powinnam się była domyślić.

– Czasami po czymś… pozostają blizny.

Ellie nie wyobrażała sobie dotąd, jakie brzemię spoczywa na barkach siostry. Ale mogła powiedzieć tylko jedno:

– Musisz próbować dalej.

– A jeśli pomagam jej nieumiejętnie? Ci lekarze z ośrodka…

– To dupki. – Ellie pochyliła się ku Julii i spojrzała jej w oczy. – Pamiętasz, jak przyjechałaś na pogrzeb taty? Robiłaś wtedy specjalizację z chirurgii. Zapytałam cię, jak to znosisz… świadomość, że jeśli nawalisz, ktoś umrze.

– Uhm.

– A ty odpowiedziałaś: „To należy do zawodu lekarza”. Mówiłaś, że czasami idziesz dalej, bo musisz, nie masz innego wyjścia.

Julia zamknęła oczy i westchnęła.

– Pamiętam.

– Więc teraz właśnie musisz iść dalej. Musisz wierzyć w siebie dla dobra tej małej na górze.

Julia zerknęła w kierunku schodów. Po dłuższej chwili powiedziała:

– Jeśli mam zastosować środki radykalne, będę potrzebowała twojej pomocy.

– Co mam zrobić?

Przez moment na czole Julii pojawiła się zmarszczka, ale trwało to tak krótko, że Ellie nie była pewna, czy sobie tego nie wyobraziła. Potem Julia wstała.

– Znajdź jakieś miejsce na uboczu, zaszyj się tam i siedź cicho.

– I co dalej?

– Czekaj.

Julia poczuła się dziwnie lekko, gdy szła po schodach na piętro. Do czasu rozmowy z Ellie nie zdawała sobie sprawy, że powoli się poddaje. Nie, żeby traciła wiarę w Alice; traciła wiarę w siebie. Coraz częściej w nocy, leżąc w ciemnościach, kwestionowała swoje umiejętności, zastanawiając się, czy pomaga Alice, czy też jej szkodzi. Myślała o Amber i jej ofiarach. Im bardziej zagłębiała się w te rozważania, tym stawała się słabsza, a im słabsza się stawała, tym bardziej zagłębiała się w te rozważania. Wpadła w błędne koło.

Wyprostowała się i uniosła głowę, przybierając postawę zwycięzcy. To dodało jej siły. Wzmocniona dodatkowo nadzieją, że może jeszcze nie jest z nią całkiem źle, wkroczyła do swojej dawnej sypialni.

Alice leżała w łóżku, zwinięta jak precel. Jak zwykle, odkryta. Niezależnie od tego, jak by było zimno, nigdy nie przykrywała się kołdrą.

Julia spojrzała na zegar. Dochodziła szósta. Alice w każdej chwili mogła się obudzić. To dziecko było jak japoński pociąg, jeśli chodzi o rozkład dnia. Budziła się o wpół do szóstej rano, ucinała sobie drzemkę od szesnastej trzydzieści do osiemnastej i zasypiała kwadrans przed dwudziestą trzecią. Obserwując ją, Julia mogłaby nastawiać zegarek. Dzięki takiemu trybowi życia mogły z Ellie urządzać konferencje prasowe.

Zamknęła za sobą drzwi, które lekko przy tym trzasnęły. Wyjęła notatki z pudełka na najwyższej półce szafy, usiadła przy stole i zaczęła czytać poranne zapiski:

Dziś Alice wzięła Tajemniczy ogród. *Przekartkowała go z wielką zręcznością. Za każdym razem, gdy trafiała na ilustrację, wydawała pomruk i uderzała rączką w kartkę, a potem spoglądała na mnie. Mam wrażenie, że chce, abym przez cały czas na nią patrzyła.*

Wciąż chodzi za mną jak cień. Często wsuwa mi rączkę za pasek od spodni albo sukienki, przytula się do mnie i idzie tam, gdzie ja; świetnie wyczuwa, dokąd się kieruję.

Nadal nie wykazuje zainteresowania innymi ludźmi. Gdy ktoś wchodzi do pokoju, ucieka do swojej dżungli i chowa się. Chyba wydaje jej się, że jest wówczas niewidoczna.

Staje się coraz bardziej zaborcza wobec mnie. To moim zdaniem potwierdza, że potrafi odczuwać więź emocjonalną. Ponieważ nie umie – albo nie chce – w inny sposób wyrazić, że należę do niej, w obecności osób trzecich zachowuje się głośno: wali w ściany, prycha, szura nogami, wyje. Mam nadzieję, że jej frustracja i ograniczenia w zakresie komunikacji zmuszą ją w końcu do wyartykułowania tego, co czuje.

Wzięła pióro i dopisała:

W zeszłym tygodniu poczuła się już całkiem swobodnie w nowym środowisku. Nadal spędza dużo czasu przy oknie, ale tylko wtedy, gdy ja stoję obok. Zauważyłam, że coraz bardziej interesuje się otoczeniem. Obchodzi meble i zagląda pod nie, wysuwa szuflady, otwiera szafy. Nadal nie dotyka przedmiotów metalowych – i krzyczy ze strachu, jeśli zetknie się z nimi przypadkiem – ale już ostrożnie zbliża się do drzwi. Dziś dwukrotnie zaciągnęła mnie pod nie i zmusiła, żebym położyła się przy niej. Spędziła tak prawie godzinę, patrząc na pasmo światła dochodzące z korytarza. Po drugiej stronie znajdowały się psy, które wyły i drapały do drzwi, żeby je wpuścić. Alice

zaczyna interesować się tym, co jest poza pokojem. To dobry znak – strach powoli zamienia się u niej w ciekawość. Dlatego myślę, że pora poszerzyć jej świat. Trzeba jednak zachować ostrożność; sądzę, że las może zrobić na niej wielkie wrażenie. Gdzieś tam, w tej gęstwinie, był przecież jej dom.

Julia usłyszała, że Alice wstaje. Drewniana rama łóżka lekko zatrzeszczała. Jak zwykle, obudziwszy się, dziewczynka popędziła do łazienki. Przemknęła przez pokój niemal bezgłośnie. Chwilę później spuściła wodę. Potem podbiegła do Julii, przytuliła się do niej i wetknęła rączkę do kieszeni jej spodni.

Julia odłożyła pióro, zebrała swoje notatki i odłożyła je z powrotem na półkę w szafie. Alice bezszelestnie podążała za nią krok w krok.

Julia podeszła do komody i wyjęła stamtąd ogrodniczki oraz ładny różowy sweterek.

– Ubierz się w to – powiedziała, podając ubranie Alice, która chętnie je wzięła.

Miała kłopoty z włożeniem sweterka, wciąż myliły jej się rękawy z wycięciem na szyję. Kiedy zniecierpliwiona zaczęła ciężko dyszeć i prychać, Julia przyklękła przy niej.

– Denerwujesz się. Ale zaraz wszystko będzie w porządku. O tu. Tędy przechodzi głowa.

Alice od razu się uspokoiła i poddała poczynaniom Julii, ale na buty się nie zgodziła. Nie chciała ich włożyć. W końcu Julia musiała uznać się za pokonaną.

– Chodź ze mną, chociaż zmarzniesz w nogi – zauważyła.

Wyciągnęła do małej rękę.

Alice, zamiast chwycić podaną dłoń, przylgnęła do Julii i znowu włożyła rączkę do jej kieszeni.

Julia bardzo łagodnie ją odsunęła. Potem znowu wyciągnęła dłoń.

– Weź mnie za rękę. – Mówiła głosem delikatnym jak jedwab.

Alice zaczęła oddychać głośniej. Była wyraźnie zdezorientowana.

– Spokojnie.

Mijały minuty. Julia i Alice nie ruszały się z miejsca. Dziewczynka jeszcze dwa razy próbowała włożyć rączkę do kieszeni opiekunki, ale spotykała się z odmową.

Wreszcie, kiedy Julia zaczynała już wątpić, czy uda jej się przeprowadzić swój plan, Alice zrobiła krok w jej stronę.

– O to chodzi – pochwaliła Julia. – Weź mnie za rękę.

Alice powoli, niepewnie wyciągnęła rączkę. Był to chyba najtrudniejszy dla niej moment ze wszystkich, które Julia miała okazję obserwować. Dziewczynka była przerażona – oddychała ciężko i trzęsła się, w jej oczach widniał strach, ale jednak wykonała oczekiwany gest.

Julia ujęła małą, drżącą rączkę.

– Nie bój się – powiedziała, patrząc na Alice.

Dziewczynka odetchnęła z ulgą.

Trzymając ją za rękę, Julia ruszyła ku drzwiom.

Alice zatrzymała się, gdy do nich podeszły. Wyrwał jej się cichy jęk. Nigdy dotąd nie była tak blisko drzwi. Z przerażeniem patrzyła na lśniącą gałkę.

– Wszystko w porządku. Nie bój się. Nic ci nie grozi.

Julia uścisnęła rączkę Alice, żeby dodać dziewczynce otuchy. Jednak nie ruszała się z miejsca, żeby Alice oswoiła się z sytuacją; kiedy mała przestała drżeć, położyła dłoń na gałce.

Alice próbowała się cofnąć.

Julia przytrzymała ją, mówiąc uspokajająco:

– Wszystko w porządku. Boisz się, ale nic ci nie grozi.

Przekręciła gałkę i otworzyła drzwi. Ukazał się korytarz, długi i jasno oświetlony kinkietami. Nie było w nim żadnych cieni, zakamarków. Na podłodze, jak zwykle w ostatnim czasie, siedziały psy. Na widok Alice, szczekając, zerwały się z miejsc i popędziły ku niej.

Dziewczynka przywarła do Julii. Gdy psy podbiegły, wyciągnęła bladą rączkę i wydała warkot z głębi gardła.

Psy zatrzymały się i przysiadły na zadach, czekając.

Alice spojrzała na Julię.

Julia nie mogła pojąć, co się dzieje.

– Dobrze, Alice – powiedziała, nie bardzo wiedząc, na co się zgadza, ale dostrzegła w oczach dziecka pytanie.

Bardzo powoli Alice odłączyła się od swej opiekunki i podeszła do psów, które wciąż siedziały bez ruchu. Gdy wyciągnęła do nich rączkę, jak za przekręceniem jakieś przełącznika znowu ożyły. Zaczęły lizać jej dłoń i łasić się.

Alice przytuliła się do nich, chichocząc, kiedy któryś ją liznął po szyi.

Julia chłonęła oczami widok rozbawionej dziewczynki.

Scena ta trwała jakiś czas. W końcu Alice oderwała się od psów i wróciła do Julii. Wsunęła rączkę za jej pasek.

– Chodźmy, Alice – odezwała się Julia.

Dziewczynka pozwoliła wyprowadzić się na korytarz. Jednak gdy się tam znalazła, najwyraźniej poczuła niepokój. Spojrzała tęsknie na rośliny w sypialni. Kiedy zrobiła krok do tyłu, Julia powiedziała zdecydowanie:

– Tędy.

Podprowadziła dziewczynkę do schodów. Tam znowu przystanęły. Psy szły spokojnie za nimi.

Julia miała ochotę wziąć dziecko na ręce i znieść je na dół, ale trochę się tego obawiała. Gdyby dziewczynka zaczęła się wyrywać, nie utrzymałaby jej.

Trzymając ją więc za rączkę, zeszła stopień niżej.

Alice patrzyła na nią chwilę, widocznie oceniając sytuację. W końcu ruszyła jej śladem. I tak zeszły po jednym stopniu do salonu. Gdy dotarły do kanapy, zapadł już wieczór.

Julia otworzyła drzwi na ganek i zobaczyły przed sobą mrok. W powietrzu pachniało nadchodzącą zimą, schnącymi liśćmi i mokrą trawą, a także nielicznymi już różami, które rosły na krzakach z jednej strony domu. Psy wybiegły na podwórko i zaczęły hasać.

Alice wciągnęła głęboko powietrze i sama zrobiła krok do przodu, potem następny, aż obydwie znalazły się na ganku. Stare cedrowe deski podłogi zaskrzypiały, jakby na powitanie. Bujany fotel mamy kiwał się, poruszany wiatrem.

Dziewczynka chętnie dała się sprowadzić po schodach na porośnięte trawą podwórko. Rzeka szumiała głośno, liście szeptały i spadały na ziemię. Wirowało ich w powietrzu tysiące, choć powiew wiatru był delikatny jak oddech niemowlęcia.

Alice puściła rękę Julii i przytrzymując się z kolei jej nogi, padła na kolana. Usiadła na piętach i trwała tak nieporuszenie, z pochyloną głową.

Potem uniosła wzrok ku nocnemu niebu i zawyła przeciągle, tak że zadrgało powietrze. Był to tak smutny, tęskny odgłos, że miałoby się ochotę zapłakać albo zawyć razem z nią. Każdemu, kto by go słyszał, musiał przywieść na pamięć kochane niegdyś osoby, które odeszły, a także wszystkie niespełnione miłości.

– Dalej, Alice – zachęcała Julia, czując, że ściska ją w gardle. Takie wzruszenie było nieprofesjonalne, ale nic nie mogła na to poradzić. – Wyrzuć to z siebie. W ten sposób płaczesz, prawda?

Kiedy wycie przebrzmiało, Alice zastygła w bezruchu. Siedziała na piętach, z kolanami w trawie, jakby wtapiając się w krajobraz. Potem nagle się poruszyła. Schyliła się i wyrwała mały, żółty mlecz, który wyłaniał się z ciemności przed nią. Julia nawet go nie widziała. Jednym ruchem oderwała korzeń od łodyżki i zjadła go.

– To twój świat, prawda?

Julia próbowała wyswobodzić nogę z uścisku Alice, żeby dziewczynka mogła poruszać się swobodnie, ale ona nadal trzymała się jej kurczowo.

– Nie zostawię cię, ale ty tego nie wiesz, prawda? Ktoś już kiedyś porzucił cię w lesie, mam rację?

W ciszy, która zapadła po tych słowach, rozległo się krakanie wrony, a potem pohukiwanie sowy. W jednej chwili las otaczający dom ożył ptasią piosenką. Niewidoczne konary zaskrzypiały i wydały westchnienie; zaszumiały sosnowe igły.

Alice zaczęła imitować wszystkie te dźwięki, za każdym razem bezbłędnie. A ptaki jej odpowiadały.

Z powodu ciemności Julia dopiero po chwili zauważyła, co się dzieje.

Na podwórku pojawiło się mnóstwo ptaków, które otoczyły je szerokim kręgiem.

– Mój Boże… – dał się słyszeć gdzieś z mroku głos Ellie.

Ptaki, spłoszone, odleciały, łopot ich skrzydeł był jak przyspieszony oddech.

W oddali zawył wilk.

Alice mu zawtórowała.

Julię przeszedł dreszcz; poczuła lodowaty chłód.

– Nie ruszaj się – rzuciła do Ellie, gdy usłyszała szelest liści.

– Ale…

– I bądź cicho.

Alice pociągnęła ją za rękę. Po raz pierwszy to ona chciała ją dokądś zaprowadzić. Julia mimowolnie się uśmiechnęła.

– Dobrze, malutka. Pójdę z tobą.

Chmura odsłoniła księżyc na niebie i odpłynęła w dal. Jego blask zabarwił srebrem trawę, rozjaśnił rzekę. Wszystko zalała srebrzysta, magiczna poświata.

Alice wskazała krzewy różane. Były tyczkowate i łyse, domagały się przycięcia. Dziewczynka puściła dłoń Julii i podeszła do nich z taką pewnością, jakiej Julia jeszcze u niej nie widziała. Wyprostowała się i uniosła

głowę. Po raz pierwszy przestała się kulić i osłaniać brzuch. Światło księżyca lśniło na jej włosach, które wyglądały teraz jak skrzydło kruka, zabarwione granatem.

Noc wydawała się przesycona czarami, iskrzyła się nimi. Gwiazdy błyszczały na niebie. Julia mogłaby przysiąc, że słyszy szum oceanu. Wycofała się powoli, pozwalając Alice zbadać skraj jej własnego świata. Wyczuła, że zbliża się do niej siostra.

Ellie stanęła obok.

– Skąd wiesz, że nie ucieknie?

– Nie wiem. Ale liczę na jej przywiązanie do mnie. Ten las kojarzy jej się też ze złymi wspomnieniami.

– Łagodnie mówiąc.

Julia patrzyła, jak Alice podchodzi do różanego krzewu, ciekawa, co dziewczynka zrobi, gdy zrani ją kolec. Czy przybiegnie do niej, szukając pomocy bądź pocieszenia? Czy już się nauczyła, że nie jest sama, czy też poczuje się zdradzona przez to dziwne miejsce i wróci do świata, który zna?

– Uważaj, Alice – powiedziała. – Tam są kolce.

Dziewczynka chwyciła pojedynczy różowy pączek i urwała go. Pogładziła kwiat z delikatnością, która zdumiała Julię, a potem ruszyła w stronę rzeki. Kiedy doszła nad brzeg, przystanęła.

Julia i Ellie szły za nią, gotowe pospieszyć na ratunek, gdyby wpadła do wody.

Jednak Alice wędrowała brzegiem do miejsca, gdzie trawa była ubita i wyschnięta. Tam padła na kolana i schyliła głowę, wyjąc cicho.

– Przywołuje swojego wilka – szepnęła Julia. – Opowiada mu, co jej się zdarzyło, mówi też, że za nim tęskni.

Czekały na odpowiedź, wstrzymując oddech, ale słyszały tylko szum drzew w górze i gardłowy śmiech rzeki.

– Jej wilk jest w ośrodku łowieckim – odezwała się w końcu Ellie. – Za daleko, żeby mógł ją usłyszeć.

Julia pozostawiła siostrę i podeszła do Alice. Zaszła ją od tyłu i położyła dłoń na jej ramieniu.

Alice odwróciła się i spojrzała na nią oczami tak ciemnymi i niezgłębionymi, że przypominały bezkresne nocne niebo.

Julia przyklękła obok niej w wilgotnej trawie.

– Odezwij się do mnie, Alice. Co czujesz w tej chwili? Nie bój się. Jesteś bezpieczna.

Noc jest pełna dźwięków. Czasami stają się tak głośne, że dziewczynka nie może usłyszeć ciszy, która kryje się pod tym wszystkim. Zawsze sprawiało jej to trudność. Musiała bardzo się starać, żeby nie odbierać odgłosów, które wydają zwierzęta czy insekty, powodują wiatr czy liście. Musi zamknąć oczy i wsłuchiwać się w bicie swojego serca, dopóki wszystko inne nie przestanie istnieć. Nawet w bezksiężycową noc widzi zbyt dużo – pająka przebiegającego po ziemi u jej stóp, dwie wrony przyglądające się jej z purpurowego drzewa, ćmę lecącą wzdłuż rzeki. Słyszy nawet szelest wywołany przez polującego gdzieś w oddali kota.

Gdyby tylko One przestały mówić tak głośno; wtedy dziewczynka mogłaby znowu normalnie oddychać. Czuje ucisk w piersi, i jest tym przestraszona. Powinna czuć się bezpiecznie tu, na obrzeżach swojego świata. Mogłaby teraz do niego wrócić. Gdyby była ostrożna i poszła brzegiem rzeki, pewnie odnalazłaby swoją jaskinię.

Ilekroć stała przy oszukańczym pudełku, wystawiając rękę na pachnące zielenią powietrze, wyobrażała sobie tę chwilę. Moment, gdy Jasnowłosa odwróci głowę, a ona będzie mogła uciec.

A teraz nie chce odejść.

Spogląda pod nogi. Są wrośnięte w ziemię tak mocno jak korzenie drzewa. Pragnie tu zostać. Z Jasnowłosą.

– Odezwijsiędomniealis.

Jasnowłosa stoi przed nią, wyciąga rękę. W świetle księżyca o pełnej twarzy jest cała biała.

Dziewczynka czuje się zalękniona i zdezorientowana. A jeśli Jasnowłosa nie chce, żeby została? Może wypuściła ją, żeby sobie poszła?

A ona nie chce wracać do zimnej, ciemnej jaskini, w której panuje głód. Może zresztą On tam jest…?

Jasnowłosa pochyla się nad nią.

– Możeszcośdomniepowiedziećalis?

Ta druga, groźna, podzwaniająca Ciemnowłosa mówi coś w mroku. Nie ma wokół niej żadnego koloru, żadnego zapachu. Dziewczynka nie wyczuwa, co Ona czuje, czy myśli, ale wie, że nie może to być nic dobrego.

Coś jest nie tak.

– Zrezygnujztego. Jestzbytstrasznie – mówi Ciemnowłosa.

Wzdryga się, jakby było zimno, co jeszcze bardziej niepokoi dziewczynkę. Bo nie jest zimno.

– Odejdź. Jazostanę. – Jasnowłosa patrzy na dziewczynkę i uśmiecha się. – Musiszzacząćmówićalis. Rozumieszmnie?

Dziewczynka coś z tego wyławia. Chodzi to za nią jak polujący wilk. Marszczy czoło, próbując zrozumieć.

„Musisz”.

„Mówić”.

Czy Jasnowłosa chce, żeby zaczęła wydawać dźwięki, które znaczą?

Nie.

To niemożliwe. To przecież zakazane.

Jasnowłosa przestaje się uśmiechać. Kolor jej oczu zamienia się z zielonego w jasnoszary. To barwa zagubienia, wody przepełniającej oczy. W końcu Jasnowłosa wydaje smutny odgłos i prostuje się.

– Możemojeobawybyłysłuszneeliniejestemwstaniepomóctemudziecku.

Wydaje się, jakby Jasnowłosa była bardzo daleko i oddalała się coraz bardziej. Wkrótce dziewczynka nie będzie mogła jej odnaleźć.

– Musiszzacząćmówićmaleńka. – Jasnowłosa zaczerpuje powietrza. – Proszę.

„Proszę”.

Dziewczynka skądś pamięta ten dźwięk. On coś znaczy, jak pierwszy pączek na wiosnę.

Jasnowłosa chce, żeby zaczęła wydawać zakazane dźwięki.

Dziewczynka powoli wstaje. Czuje, że ze strachu ma pustą głowę.

Jasnowłosa odchodzi. Zostawia ją.

Dziewczynka jest przerażona. Biegnie za Jasnowłosą, chwyta ją za rękę i ściska aż do bólu.

Jasnowłosa odwraca się do niej, klęka.

– Jużdobrzealis. Jużdobrze. Niezostawięcię.

„Zostawię”. W gąszczu słów dziewczynka słyszy tylko ten jeden dźwięk. Jest wyraźny jak odgłos rzeki występującej z brzegów.

Dziewczynka patrzy na Jasnowłosą. Ściskając mocno jej rękę, chce odwrócić wzrok albo zamknąć oczy, żeby – w razie gdyby Jasnowłosa chciała ją uderzyć – nie widzieć tego, ale zmusza się, żeby trzymać je otwarte. Będzie musiała włożyć całe serce w to, żeby przypomnieć sobie zakazany dźwięk i wydać go.

– Cosięstało?Wszystkowporządku? – Głos Jasnowłosej jest tak łagodny, że dziewczynkę aż boli serce.

Spogląda w te ładne zielone oczy. Chce być dobra. Oblizuje wargi, a potem mówi cicho:

– Zostań.

Jasnowłosa wydaje taki odgłos jak kamień wpadający do wody.

– Powiedziałaś: „Zostań”?!

Dziewczynka podaje jej różę:

– Ploszę.

Jasnowłosa znowu zaczyna lać wodę z oczu, ale tym razem jej usta są uniesione tak, że dziewczynce robi się cieplej w środku. Jasnowłosa otacza ją ramionami i przygarnia do siebie.

Dziewczynka dotąd nie znała podobnego uczucia, takiego pełnego zespolenia. Zamyka oczy i wtula twarz w miękką szyję Jasnowłosej, która pachnie kwiatami rosnącymi w porze, gdy słońce przedziera się przez noc.

– Zostań – szepcze znowu, tym razem się uśmiechając.

17

Ellie usiadła na ganku w dawnym fotelu taty, okryta grubym wełnianym kocem. Nad stojącą obok filiżanką herbaty unosiły się smużki pary.

Choć minęły już trzy godziny od sceny „Alice w lesie”, wciąż miała w uszach pełne smutku zawodzące wycie dziewczynki – żałobną muzykę nocy.

Tak dużo wydarzyło się tego wieczoru, ale czy cokolwiek to zmieniło? Alice umiała mówić, tyle się dowiedziały, co otworzyło przed nimi nową drogę ustalenia tożsamości dziewczynki.

Jednak z jakiegoś powodu Ellie nie wierzyła, że jest to możliwe. Nie wydawało jej się, żeby Alice miała dom czy rodzinę. Dryfowała przez życie jak te stare Eskimoski, które kładą się na tafli lodu i unoszą na niej, przemarznięte i samotne, przez nikogo niechciane, aż umrą.

Ellie objęła dłońmi filiżankę herbaty. Para z aromatem pomarańczy ogrzewała jej twarz.

Za jej plecami skrzypnęły drzwi na ganek.

Julia zajęła miejsce na bujanym fotelu mamy.

– Zasnęła? – spytała Ellie.

– Jak niemowlę.

Ellie próbowała uporządkować myśli, ale były jak mustangi na wybiegu, stawały dęba, gdy ktoś starał się je okiełznać.

– Powiedziała coś jeszcze?

To był punkt wyjścia. Należało mieć nadzieję, że te dwa słowa, które udało się z Alice wydobyć, stanowiły tylko początek.

– Nie. I może minąć jeszcze jakiś czas, zanim znowu się odezwie. Dzisiaj dokonał się wielki przełom, nie ma co do tego wątpliwości, ale słyszałaś, jak zabrzmiało w jej ustach słowo „proszę”? „Ploszę”. Jak u dwulatka. I nie zbudowała z tych dwóch wyrazów zdania. Sądzę, że słowa są dla niej całkiem oddzielnymi jednostkami. – Julia uśmiechała się radośnie.

Ellie nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała ją taką.

– Co to wszystko znaczy? – chciała wiedzieć.

Julia odpowiedziała dopiero po chwili.

– To bardzo skomplikowane i wymaga specjalistycznej wiedzy, poza tym potrzebuję znacznie więcej informacji, żeby wyrobić sobie zdecydowaną opinię, ale mówiąc w skrócie, Alice albo popadła w mutyzm wybiórczy – to znaczy nie chce mówić z powodu doznanego urazu – albo nastąpiło u niej opóźnienie w rozwoju mowy. Typuję to drugie. Jest po temu kilka powodów. Po pierwsze, mam wrażenie, że ona rozumie poszczególne wyrazy, a nie całe zdania. Po drugie, dziś wieczorem użyła dwóch słów oddzielnie, a jeśli chodzi o umiejętność posługiwania się składnią, odpowiada to poziomowi przeciętnego dwulatka. Bo jak dzieci uczą się mówić? Najpierw za pomocą pojedynczych słów identyfikują ludzi. Mama. Tata. Pies. Potem, żeby wyrazić jakąś myśl, łączą dwa, następnie trzy słowa. Po jakimś czasie uczą się formułować przeczenia: „nie bawić się, nie spać”, i zaczynają używać zaimków. A gdy to sobie przyswoją, ze zdań twierdzących zaczynają budować pytania. Większość naukowców uważa, że dziecko może nauczyć się mówić zgodnie z tymi zasadami w każdym wieku, aż do osiągnięcia dojrzałości. Potem z jakichś powodów staje się to niemożliwe. Dlatego dzieci uczą się języków obcych znacznie łatwiej niż dorośli.

Ellie uniosła dłoń.

– Powoli, Einsteinie. Twierdzisz, że Alice potrafi mówić, ale ponieważ nie miała okazji do nauki, w rozwoju mowy jest na poziomie dziecka, które dopiero uczy się chodzić?

– Tak przypuszczam. Myślę, że przez kilkanaście miesięcy, do drugiego roku życia, była wychowywana w przyjaznym środowisku, które normalnie się z nią porozumiewało. Wtedy nauczyła się tych kilku słów i nawiązała z kimś więź emocjonalną. A potem… Potem zdarzyło się coś bardzo złego i przestała się rozwijać, jeśli chodzi o mowę.

„Coś bardzo złego”.

Po tym słowach atmosfera stała się ciężka.

– Dwuletnie dziecko nie wie, jak się nazywa. W każdym razie nie zna swojego nazwiska – dodała Julia.

– Wiem.

Ellie odchyliła się w fotelu i westchnęła głęboko.

– Zdaje się, że nikt nie szuka tej małej, Jules. Ośrodek Pomocy dla Zaginionych Dzieci nie ma w swoim rejestrze porwanych czy zaginionych żadnego przypadku, który by odpowiadał danym i rysopisowi Alice. Analiza

DNA nic nam nie dała, a media nie są już tą sprawą zainteresowane. W dodatku twierdzisz, że gdyby nawet Alice zaczęła mówić jak najęta, to i tak nie będzie wiedziała, jak się nazywa, ani kim są jej rodzice i gdzie mieszkała.

– Jezu, El! A tak się cieszyłam z tego, czego udało nam się dziś dokonać. Wyprowadziłyśmy ją na dwór i sprawiłyśmy, że przemówiła.

– Przepraszam. Wiele z nią zdziałałaś, Jules. Naprawdę. Ale ja mam swoje obowiązki. Ludzie z departamentu uważają, że powinniśmy wystąpić o przekazanie jej na stałe rodzinie zastępczej.

– Nie rób tego, El. Proszę. Mam szansę pomóc Alice. Chodzi już nie tylko o to, żeby odnaleźć jej rodzinę. Możemy ją ocalić, przywrócić do normalnego życia. Sama mi to uświadomiłaś, przypomniałaś, jak wiele mogę dla niej zrobić.

– Mówisz tak, jakbyś mogła tu zostać na dłużej.

– A dlaczego nie? Nic mnie nie trzyma w Los Angeles. Jeśli się nie ma męża, dzieci ani pracy, całkiem łatwo odejść. Zamykasz mieszkanie i już. – W końcu spojrzała Ellie w oczy. – Prawda jest taka, że potrzebuję Alice. Zrobię wszystko, co będzie trzeba, żeby jej pomóc. Czy to nie wystarczy? Czy nie mogę być nadal jej tymczasową opiekunką?

– Oczywiście, że możesz. – Ellie nie bardzo jeszcze wiedziała, jak zapatruje się na pomysł, żeby siostra została u niej na zimę. Zamierzała zastanowić się nad tym później, przed snem, leżąc w łóżku. Doceniała jednak, że ktoś bierze na siebie odpowiedzialność za los małej dziewczynki.

– A co… z tą jej odmiennością? No wiesz, te ptaki i cała reszta?

Julia patrzyła znad filiżanki na rzekę rozświetloną blaskiem księżyca.

– Nie wiem. Żyła w świecie całkowicie różnym od naszego, w którym obowiązują zupełnie inne zasady. Kiedy robiłam notatki na temat udokumentowanych przypadków dzikich dzieci, przekonałam się, że w minionych stuleciach dzieci te idealizowano, uważano za nieskalany wytwór natury. Niezepsute i nieucywilizowane, symbolizowały człowieka, który nie mógłby funkcjonować w społeczeństwie, gdzie obowiązują określone reguły zachowania.

– Co to wszystko znaczy?

– Że może Alice bardziej należy do świata przyrody niż do świata człowieka, że więcej łączy ją z nim, z jego krajobrazami, zapachami, roślinnością, zwierzętami niż z nami.

Ellie nie wiedziała, co o tym sądzić.

– Wygląda mi to bardziej na magię niż na naukowe podejście.

– To po prostu inna teoria.

– I co teraz? Jak skłonimy ją, żeby powiedziała coś więcej?

Julia popatrzyła na nią.

– Musi się upewnić, że jest bezpieczna. Chyba trzeba będzie jej pokazać, czym jest rodzina. Może to obudzi w niej jakieś skojarzenia, coś przypomni. I będziemy ją uczyć, jak uczy się dwulatka: po jednym słowie.

Później, gdy Ellie położyła się już spać, Julia leżała w łóżku, patrząc w sufit. Była zbyt poruszona, żeby zasnąć. Czuła, że jej krew pulsuje tuż pod skórą.

„Zostań”.

Wielokrotnie odtwarzała ten moment w pamięci. Za każdym razem drżała z lęku na myśl, jakie może on mieć konsekwencje.

Aż do tego wieczoru, do chwili, gdy Alice przemówiła, Julia nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była zagubiona, jak nisko upadła. Jej pewność siebie została mocno zachwiana. Ale teraz ją odzyskała. Znowu była sobą. Pomyślała, że już nigdy się nie podda. Z samego rana zadzwoni do lekarzy i naukowców, którzy chcieli wziąć Alice na obserwację, i powie im, że nie mają na co liczyć. Potem przekona ludzi z Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej, że nie muszą się martwić o dziewczynkę i szukać dla niej rodziny zastępczej.

Może tego właśnie miała ją nauczyć tragedia z Amber, to był ten znak, którego tak desperacko oczekiwała.

W jej zawodzie zdarzają się błędy. Bolesne straty. Ale żeby być dobrym psychiatrą, musi wierzyć, że jest w stanie pomóc pacjentowi.

Znowu jest silna. Nie złamią jej już telefony od naukowców ani tak zwanych kolegów po fachu czy dociekliwe pytania dziennikarzy. I nikt nie odbierze jej Alice.

Czuła potrzebę, żeby porozmawiać z kimś o tym; podzielić się radością ze zwycięstwa. I wiedziała, że jest tylko jedna osoba, która ją zrozumie.

„Chyba zwariowałaś, Julio”.

Odrzuciła kołdrę i wstała z łóżka. Włożyła wysłużone czarne spodnie i niebieską bawełnianą koszulkę, pocałowała Alice w policzek, po czym

wyszła z pokoju.

Przed drzwiami sypialni Ellie przystanęła. Spod drzwi nie widać było światła, nie dochodziły też żadne dźwięki.

Nie chciała budzić siostry. Poza tym Ellie nie rozumiała w pełni wagi tego, co dokonało się wieczorem.

Nie zastanawiając się wiele, wyszła z domu. Wsiadła do samochodu i ruszyła w kierunku starej szosy. O tej porze była pusta, wokół panowały ciemności i cisza. Niebo usiane gwiazdami przypominało obrazy Jacksona Pollocka.

Przed wjazdem do parku narodowego skręciła w wyjeżdżoną żwirową drogę. Na ostatnim zakręcie wyłączyła światła. Zajechała na podwórko pod osłoną ciemności.

Pomyślała, że nie wie, dlaczego się tu znalazła, dlaczego zjawiła się pod jego domem w sobotni wieczór, jak nastolatka.

Ale to nie była prawda. Po prostu nie chciała przyznać, co ją tu przyciągnęło.

Bez względu na to, ile razy mówiła sobie, że jest głupia, że sama wpada w sieć pająka, nie mogła się powstrzymać.

Wysiadła z samochodu i przeszła przez pogrążone w mroku podwórko, słysząc cichy plusk wody przy brzegu jeziora.

Max usłyszał, że przyjechał samochód, i miał nadzieję, że nie wzywają go do wypadku. To był jego jedyny wolny wieczór w tym tygodniu i zdążył już wypić drugiego scotcha.

Rozległy się kroki na ganku, a potem pukanie do drzwi.

– Tu jestem! – zawołał. – Na tarasie.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Już miał zawołać znowu, ale usłyszał, że ktoś idzie.

To była Julia. Na jego widok w wannie stanęła jak wryta.

Zatrzymała się akurat pod pomarańczowym lampionem, który oświetlał zadaszony taras. Max nie widział jej od czasu spotkania przy restauracji, ale często o niej myślał. Od razu zauważył, że wygląda blado i że zeszczuplała. Jej piękna sylwetka sprawiała teraz wrażenie kanciastej; broda była zarysowana ostrzej.

Jednak, jak zwykle, jego uwagę przykuły oczy Julii, nie mógł oderwać od nich wzroku, jak dziecko nie może oderwać się od ulubionej zabawki. Wydawały się zbyt duże jak na tę drobną twarz.

– Gorąca kąpiel, doktorze? Jakie to banalne.

– Wspinałem się dzisiaj. Kręgosłup mi pęka. Może się do mnie przyłączysz?

– Nie mam stroju kąpielowego.

– Wchodź. Zgaszę światło.

Nacisnął kontakt i wanna pogrążyła się w mroku.

– W lodówce jest wino. Kieliszki stoją nad zlewem – dodał.

Julia stała w miejscu przez dłuższą chwilę. Tak długo, jakby naprawdę zastanawiała się, czy nie wejść do wanny. W końcu odwróciła się i weszła do domu. Max słyszał dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi lodówki. Po chwili wróciła z kieliszkiem wina i ręcznikiem.

– Zamknij oczy – nakazała.

– I tak widzę zarys twojego stanika, Julio.

– Zamkniesz oczy czy nie?

– Co to, jesteśmy ośmioklasistami? Może jeszcze zamierzasz grać w butelkę? Wątpię, czy…

Odwróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia.

– No dobrze, już dobrze – powiedział, śmiejąc się. – Zamykam oczy.

Usłyszał, że Julia wraca, potem doszedł do niego cichy odgłos rzucanego na krzesło ręcznika i plusk wody, gdy zanurzyła się w wannie. Woda podpłynęła mu do piersi; przez ułamek sekundy pomyślał, że to dotknięcie Julii.

Otworzył oczy.

Julia siedziała w drugim końcu wanny, z ramionami opuszczonymi wzdłuż boków. Jej biały koronkowy stanik stał się przezroczysty; Max widział nad powierzchnią wody pełne kremowe piersi i ciemne krążki brodawek.

– A jednak patrzysz – powiedziała, popijając wino.

– Jesteś piękna. – Zaskoczył go ton własnego głosu i to, jak silnie jej nagle zapragnął.

– Bardzo jestem ciekawa, ile razy mówiłeś to kobietom, które były na tyle głupie, żeby wejść do tej wanny.

– Uważasz się za głupią?

Spojrzała na niego.

– Owszem. Ale nie za idiotkę. Byłabym idiotką, gdybym się rozebrała.

– Jesteś pierwszą kobietą, która weszła do tej wanny.

– Chcesz powiedzieć: pierwszą ubraną kobietą.

Zaśmiał się.

– Te przezroczyste szmatki trudno nazwać ubraniem. Ale nie. Naprawdę jesteś pierwszą kobietą, ubraną czy nagą, która się tu znalazła.

Zdziwiła się.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Obróciła się lekko i spojrzała na jezioro. Na jego grafitowej powierzchni leniwie pływały dwa białe łabędzie. Ich pióra lśniły w blasku księżyca.

Zapadła niezręczna cisza. Julia też musiała to odczuć, bo odwróciła się do Maxa i poprosiła:

– Powiedz mi coś o sobie, Max, ale na serio. Nic o tobie nie wiem.

– Co chciałabyś wiedzieć?

– Dlaczego znalazłeś się w Rain Valley?

Odpowiedział to samo, co mówił wszystkim:

– Z powodu strzelaniny w Los Angeles, jednej za dużo.

– Dlaczego mam wrażenie, że to tylko część prawdy?

– Wciąż zapominam, że jesteś psychiatrą.

– I to dobrym. – Uśmiechnęła się. – Ale i tak wyciągam pochopne wnioski. No więc mów.

Wzruszył ramionami.

– Miałem pewne… problemy osobiste, więc postanowiłem coś zmienić w życiu. Przeniosłem się tutaj. Kocham góry.

– Problemy osobiste?

Oczywiście, poruszyła sprawę zasadniczą.

– To dla mnie jeszcze zbyt żywe.

– Czasami trzeba uciec – powiedziała cicho.

Pokiwał głową.

– Łatwo mi było wyjechać z Los Angeles. Moja rodzina jest dość zwariowana, wszyscy traktują pracę jak zabawę. Rodzice – Ted i Georgia, żeby uprzedzić twoje pytanie – właśnie wzięli urlop, a są wykładowcami w Berkeley. Podróżują przez środkową Amerykę wozem kempingowym, który nazwali Dixie. Gdy ostatnio miałem od nich wieści, poszukiwali jakiegoś insekta, który wyginął wieki temu.

Julia uśmiechnęła się.

– Co wykładają?

– Mama biologię, a ojciec chemię organiczną. Moja siostra Ann jest w Tajlandii. Pomaga ofiarom tsunami. Brat Ken pracuje w zespole naukowców w Holandii. Nikt z nas nie widział go od prawie dziesięciu lat. Co roku na Boże Narodzenie dostaję od niego kartkę świąteczną z niezmiennym tekstem: „Najlepsze życzenia dla Ciebie i Twojej rodziny, dr Kenneth Cerrasin”.

Julię tak to rozbawiło, że parsknęła śmiechem. Potem zaczęła śmiać się jeszcze bardziej. Max jej zawtórował.

– A ja myślałam, że to moja rodzina jest dziwna – zauważyła Julia.

– Na pewno wysiada przy mojej.

– Mogłeś na nią liczyć, kiedy… wynikły twoje problemy?

Max poczuł, że uśmiech znika mu z twarzy.

– Wiesz, gdzie dotknąć, żeby bolało, co?

– Taki mam zawód. Ale pytam, bo… ja czułam się bardzo samotna podczas tej całej historii w Los Angeles.

– W mojej rodzinie występują inne relacje.

– Więc też byłeś sam.

Odstawił drinka.

– A dlaczego ty tu jesteś, Julio?

– W Rain Valley? Przecież wiesz.

– Tutaj, u mnie – powiedział miękkim głosem.

– Alice odezwała się wreszcie. Powiedziała: „Zostań”.

– Wiedziałem, że tego dokonasz.

Na twarzy Julii zagościł uśmiech, pojawił się tak nagle, jakby to, co usłyszała, było dla niej zaskoczeniem. Lampa na ganku delikatnie oświetlała jej skórę i włosy; rzęsy rzucały miękki cień na policzki. Julia lekko nachyliła się do Maxa. Po wpływem tego ruchu znowu woda obmyła mu pierś.

– Chodzi o to… że czekałam na to od tygodni.

– I…?

– I kiedy to się stało, pierwszą moją myślą było, żeby podzielić się z tobą tą wiadomością.

Choćby nawet próbował, nie mógłby się powstrzymać, a nie próbował. Nachylił się i pocałował ją. Był to ten rodzaj pocałunku, którego już niemal nie pamiętał. Wyszeptał jej imię, słysząc dziwny ton w swoim głosie. Prze-

sunął dłonią po gładkich plecach Julii, a potem ujął jej pierś. Ledwie poczuł jej krągłość, gdy Julia się odsunęła.

– Przepraszam – odezwała się. Była blada i tak poruszona jak on. – Muszę już iść.

Wyciągnął rękę i chwycił ją za ramię.

– Coś jest między nami. – Wypowiedział te słowa, zanim zorientował się, co mówi.

– Tak – odparła. – Dlatego muszę iść.

Patrzyli na siebie. Max miał wrażenie, że traci coś cennego.

W końcu Julia wynurzyła się z wody, weszła do domu i ubrała się. Odjechała bez pożegnania.

Max siedział w wannie jeszcze długi czas, patrząc w pustkę.

Śnił się Julii całą noc. Była tak zaplątana w sieć snów o nim, że gdy się obudziła, dopiero po chwili uświadomiła sobie, że ktoś puka do drzwi.

Brzmiało to złowieszczo, jak zapowiedź nadejścia wrogiej armii.

Usiadła w łóżku. Ale to nie były nieprzyjacielskie wojska.

Przy zamkniętych drzwiach stała mała, zdeterminowana dziewczynka.

Julia się uśmiechnęła. To było coś ważnego, a nie jakiś tam erotyczny epizod.

– Chyba ktoś chce znowu wyjść na dwór – powiedziała.

Spojrzała na zegar. Było dopiero po szóstej. Opuściła nogi na podłogę i wstała.

Poszła do łazienki, a kiedy wróciła, miała już na sobie świeżą parę dżinsów i szarą koszulkę.

Alice tupała nogą i uderzała piąstką w drzwi, wydając pod nosem gniewne pomruki.

Julia jak gdyby nigdy nic podeszła do stołu, na którym leżały książki, klocki i lalki. Usiadła przy nim i położyła nogi na blacie.

– Jeśli ktoś chce wyjść na zewnątrz, musi powiedzieć to słowami.

Alice zmarszczyła czoło i znowu uderzyła w drzwi.

– To nic nie da, Alice. Już wiem, że umiesz mówić. – Wstała i podeszła do okna, wskazując podwórko, które zaczynało różowieć w porannym

świetle. – Na dwór. Chcę wyjść na dwór. – Powtórzyła to kilka razy, a potem podeszła do Alice, wzięła ją za rączkę i zaprowadziła do łazienki.

Wskazała swoje odbicie w lustrze.

– Julia – powiedziała. – Umiesz powtórzyć? Julia.

– Ona – szepnęła Alice.

Julii serce podskoczyło w piersi na dźwięk tego słowa, wypowiedzianego szeptem i niepewnie.

– Julia – powtórzyła jeszcze raz, kładąc rękę na piersi. – Julia.

Zobaczyła, że Alice pojęła, o co chodzi. Dziewczynka sapnęła, uradowana, że zrozumiała, i ułożyła usta w dzióbek.

– Ju-li-ja.

Julia uśmiechnęła się szeroko. Tak musieli czuć się ludzie, którzy zdobyli Everest bez masek tlenowych. Zamroczeni i oszołomieni triumfem.

– Tak. Zgadza się. Julia. – Wskazała z kolei odbicie Alice w lustrze. – Trudno wymówić końcówkę „-lia”, prawda? A ty kim jesteś?

Dotknęła piersi Alice tak jak przedtem swojej.

Zmarszczka na czole małej pogłębiła się.

– Dziewczynka?

– Tak. Dobrze. Jesteś dziewczynką. – Znowu dotknęła piersi Alice. – A jak się nazywasz? Ja jestem Julia. A ty?

– Dziewczynka – powtórzyła Alice z nachmurzoną buzią.

– Nie wiesz, jak masz na imię, malutka?

Tym razem nie było odpowiedzi. Alice czekała dłuższą chwilę, wciąż marszcząc czoło, a potem ponownie uderzyła piąstką w drzwi.

Julię to rozśmieszyło.

– Może nie masz zbyt bogatego słownictwa, mała, ale dobrze wiesz, czego chcesz, i szybko się uczysz. W porządku. Wyjdźmy na dwór.

Rześki, pogodny poranek, od którego zaczął się dzień, powoli przechodził w niewróżące nic dobrego popołudnie. Na niebie zbierały się ciemne chmury i tworzyły zwały przypominające kłęby szarej wełny. Blade słońce, które tego chłodnego jesiennego dnia zwabiło Maxa w góry, prawie zniknęło. Od czasu do czasu jego promienie przebijały się przez chmury, ale w ciągu ostatniej godziny te przebłyski stawały się coraz rzadsze.

Zanosiło się na deszcz.

Wiedział, że powinien się pospieszyć, ale zejście po skale wymagało czasu. To właśnie tak lubił we wspinaczce: nie miało się nad nią kontroli.

Dotarł do ustępu skalnego. Od klifu znajdującego się poniżej odpadł kawał skały wielkości dziecięcych sanek. Ostrożnie, pocąc się obficie, Max rozbujał się na linie i sprawdził stopą skalną półkę. Była stabilna.

Kontynuował schodzenie, kierując się trochę bardziej w lewo. Z wielką starannością wybierał miejsca podparcia dla rąk i nóg. Zbliżał się koniec wspinaczki. Był to niebezpieczny moment, bo kończył się też dzień. Łatwo było podryfować myślami ku następnemu etapowi wyprawy, jakim było pakowanie sprzętu i powrót do…

„…Julii”.

Potrząsnął głową, żeby odzyskać jasność myślenia. Pot spływający po czole utrudniał mu widzenie. Przez moment Maxowi wydawało się, że granit, który miał przed sobą, to lita skała. Otarł oczy i zamrugał powiekami, dopóki znowu nie dostrzegł w nim rys, występów i mchu.

Na głowę spadła mu kropla deszczu, i to z taką siłą, że aż się wzdrygnął. Za chwilę nastąpiło oberwanie chmury. Po górach przetoczyły się grzmoty. Deszcz zaczął chłostać go strugami.

Max dotarł do półki skalnej i zatrzymał się, patrząc w dół. Do podnóża góry pozostało mu nie więcej niż dwanaście metrów. Nie musiał pokonywać tego ostatniego odcinka zjazdem. Wyjęcie sprzętu i przygotowanie go zajęłoby dużo czasu, a wciąż lał deszcz. Wiatr targał drzewami i smagał twarz.

Posuwał się więc powoli na dół i nagle zawisł na półce.

Natychmiast zrozumiał, że popełnił błąd. Skała nad nim pękła i zaczęła się obsuwać. Drobne kamienie i pył posypały się, uderzając go w głowę i oślepiając.

Wiedział, że zaraz spadnie.

Instynktownie odepchnął się od ściany, próbując usunąć z sąsiedniej półki gruz i kamyki, żeby się podciągnąć.

I wtedy stracił oparcie. Spadał szybko. W kość policzkową uderzył go kamień, inny zranił w udo. Skała, której wcześniej się trzymał, przeleciała obok. Upadli na ziemię w tej samej chwili. Max poczuł się tak, jakby ktoś łopatą walnął go w pierś.

Leżał przez chwilę, oszołomiony, czując na twarzy krople deszczu, które spływały mu strużkami po szyi.

W końcu podniósł się z wysiłkiem, stanął na rozmiękłym gruncie i ocenił swój stan. Żadnych złamanych kości ani ran szarpanych.

„Szczęściarz”.

Wcale jednak nie czuł się szczęściarzem. Gdy tak stał obok skały, która mogła go zabić, i patrzył na gładką powierzchnię klifu, uświadomił sobie coś innego.

Tym razem nie przeszyła go świadomość, że żyje, jakoś wcale nie cieszył się z tego.

Czuł się… głupio.

Pozbierał swój sprzęt, zapakował do plecaka i ruszył długą, krętą ścieżką do miejsca, gdzie zostawił samochód.

Przez całą drogę do domu starał się nie myśleć o niczym. Nie bardzo mu się to udawało, więc usiłował odtworzyć upadek i poczuć radość z tego, że znowu uszedł z życiem. Ale nie powiodło mu się to.

Mógł myśleć tylko o Julii, o tym, jak wyglądała w wannie, jak smakowały jej usta, jak brzmiał jej głos, gdy mówiła: „Wszystko albo nic”.

I jakie wrażenie zrobiły na nim te słowa.

Nic dziwnego, że podczas wspinaczki nie czuł dawnego przypływu adrenaliny.

Niebezpieczeństwo leżało gdzie indziej.

Wszystko albo nic.

18

W ciągu tych dwóch tygodni, które minęły od czasu, gdy pokazałam jej fragment świata zewnętrznego, Alice stała się zupełnie innym dzieckiem. Wszystko ją fascynuje. Stale bierze mnie za rękę i dokądś ciągnie, potem wskazuje rączką jakiś przedmiot i pyta: „To?”. Każde słowo, które jej podpowiadam, przyswaja sobie z przejęciem, zapamiętuje tak łatwo i chętnie, że aż mnie to zadziwia. Mogę przypuszczać, że potrzeba komunikacji jest u niej tak silna, bo kiedyś ją tłumiono. Można odnieść wrażenie, że Alice desperacko pragnie stać się częścią nowego świata, w którym się znalazła.

Powoli też zaczyna poznawać swoje uczucia. Poprzednio, gdy nie mówiła, złość kierowała głównie przeciwko sobie. Teraz potrafi dawać jej upust w normalny sposób. Wczoraj, gdy powiedziałam jej, że pora kłaść się do łóżka, uderzyła mnie. Norm współżycia społecznego nauczy się później. Na razie jestem zadowolona, gdy widzę, jak wyładowuje gniew.

Jednocześnie rozwija się u niej poczucie własności, które stanowi etap do wykształcenia się świadomości ego. Zbiera wszystkie czerwone przedmioty i ma specjalne miejsce na swoje książki.

Nadal nie wypowiedziała swojego imienia, ani też nie zaakceptowała tego, które jej nadałam. To wymaga jeszcze pracy. Imię ma zasadnicze znaczenie dla rozwoju świadomości ego.

Jak dotąd, nie udało mi się dowiedzieć czegokolwiek o jej dawnym życiu. Dopóki nie zacznie mówić więcej, trudno będzie odwołać się do jej wspomnień, ale nie tracę cierpliwości. Na razie pełnię rolę nauczycielki. To zadziwiająco wdzięczne zadanie.

Julia skreśliła ostatnie dwa zdania jako zbyt osobiste i odłożyła pióro.

Alice siedziała przy stole, „czytając” rysunkową wersję *Aksamitnego królika*. Nie poruszyła się od godziny. Można by pomyśleć, że ktoś ją zaczarował.

Julia odłożyła notatnik i podeszła do stołu. Usiadła obok małej, która natychmiast chwyciła jej dłoń i uścisnęła mocno. Drugą rączką wskazała książkę i mruknęła.

– Powiedz to słowami, Alice.

– Poczytać.

– Co poczytać?

– Siążkę.

– A kto chce, żebym mu poczytała?

Dziewczynka zrobiła wytężoną minę.

– Dziewczynka?

– Alice – poprawiła ją Julia łagodnie.

Od dwóch tygodni próbowała nakłonić Alice, żeby wypowiedziała swoje prawdziwe imię. Z każdym dniem jednak i przy każdym przejawie wrodzonej inteligencji dziewczynki coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że jakkolwiek brzmiało jej imię, nie pamiętała go, albo też nie znała. Na samą myśl o tym ogarniało ją przerażenie. Oznaczało to, że przez co najmniej osiemnaście miesięcy, a może nawet dwa lata nikt nie zwracał się do tego dziecka po imieniu.

– Alice – powtórzyła tym samym tonem. – Czy Alice chce, żeby Julia poczytała jej książkę?

Alice uderzyła rączką w książkę, kiwając głową i uśmiechając się.

– Poczytać. Dziewczynka.

– Coś ci powiem. Poczytam ci, jeśli przez chwilę pobawisz się ze mną klockami. Dobrze?

Alice wyglądała na zawiedzioną.

– Wiem. – Julia schyliła się z uśmiechem i podniosła pudełko z klockami. Wysypała klocki na stół i ustawiła je starannie. Były duże, plastikowe, na przeciwległych bokach miały cyfrę i literę. Julia używała ich często, żeby nauczyć Alice alfabetu, ale tego dnia zamierzała powtórzyć z nią liczenie. – Weź klocek z cyferką jeden. Jeden.

Alice natychmiast wybrała czerwony klocek i przysunęła go do siebie.

– Dobra dziewczynka. A teraz z cyferką cztery.

Bawiły się tak przez niemal godzinę. Postępy, jakie robiła Alice, już nawet przestały Julię dziwić. W ciągu dwóch tygodni dziewczynka nauczyła się liczyć do piętnastu. I rzadko się myliła.

Jednak o trzeciej Alice stała się marudna, była wyraźnie zmęczona. Zbliżała się pora drzemki. Ale dziewczynka znowu uderzyła rączką w książkę.

– Dobrze, już dobrze.

Julia pochyliła się i wzięła ją na kolana. Przytuliła ją mocno, odgarniając jedwabiste włosy z twarzy dziewczynki, która włożyła kciuk do buzi i cier-

pliwie czekała.

Julia zaczęła czytać. Dotarła zaledwie do drugiego akapitu, gdy Alice stężała i wydała cichy warkot.

Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi.

Alice znowu zaczęła warczeć, ale przestała, jakby przypomniawszy sobie, że znajduje się w świecie słów.

– Dziewczynka się boi – powiedziała szeptem.

– Wiem, kochanie.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich Ellie.

Alice wydała dziwny dźwięk, wyślizgnęła się z objęć Julii i pobiegła do swojej kryjówki wśród roślin.

Ellie westchnęła.

– Czy ona kiedyś przestanie się mnie bać?

Julia z uśmiechem odpowiedziała:

– Daj jej trochę czasu.

Ellie rozejrzała się po pokoju.

– Robi postępy?

– Jak wszystkie dwulatki w okresie rozwoju. Poznaje nowe słowa, uczy się czytać z wyrazu twarzy czy mowy ciała i składa to wszystko w całość.

– Jak mam jej powiedzieć, że ją przepraszam? Przekazać, że złapałam ją w sieć dla jej własnego dobra?

– Nie potrafi jeszcze zrozumieć takich skomplikowanych pojęć.

– Mam trzydzieści dziewięć lat, a nie potrafię zdobyć sympatii nawet małej dziewczynki. Nic dziwnego, że nie zostałam matką. Bóg zauważył, że nie mam zdolności macierzyńskich.

Julia dosłyszała ból w głosie siostry.

– Przecież jeszcze możesz mieć dzieci.

– Już za późno. Moje jajeczka wysychają szybciej niż ryba na ruszcie.

Julia podeszła do siostry i powiedziała miękko:

– Już chyba piąty raz mówisz mi, że chciałabyś mieć dzieci.

– Ta chęć ujawnia się w najdziwniejszych sytuacjach.

– Tak bywa z pragnieniami. Nie można ich stłumić. Coś ci powiem, Ellie. Może byś spróbowała porozumieć się z Alice? Pokażę ci, jak to zrobić.

Ellie westchnęła ze smutkiem.

– Dobrze, ale ja nie potrafię porozumieć się nawet z własnymi psami.

– Z Alice będziesz miała szansę. Po prostu musisz z nią spędzać więcej czasu.

– Ale ona nie wytrzyma ze mną w jednym pokoju.

– Postaraj się, żeby wytrzymała. Poczytaj jej dziś wieczorem po kolacji. Ja zejdę na dół, zostawię was same.

Ellie zastanawiała się nad tym.

– Pewnie nawet nie wyjdzie z tego swojego lasu.

– To spróbujesz znowu jutro. Prędzej czy później coś z tego będzie.

– Naprawdę tak uważasz?

– Wiem.

Ellie odpowiedziała po namyśle:

– Dobrze, spróbuję. – Spojrzała na Julię. – Dzięki.

Julia kiwnęła głową.

Ellie zaczęła zbierać się do wyjścia. Przy drzwiach zatrzymała się.

– Zapomniałam, po co tu przyszłam. W czwartek jest Święto Dziękczynienia. Umiesz gotować?

– Potrafię przyrządzać sałatki. A ty?

– Tylko zapiekanki z serem.

– Jesteśmy żałosne.

– Owszem.

Julia zaproponowała:

– A może byśmy wypróbowały któryś z przepisów mamy? Zamówię indyka i zrobię zakupy. Przecież to nie może być nic trudnego.

– Byłoby jak za dawnych czasów z mamą i tatą. Mogłybyśmy zaprosić parę osób.

– Cala z rodziną? – zapytała Julia.

– Jasne. A kogo innego?

– Może Maxa? Nie ma tu nikogo bliskiego.

Spojrzenie Ellie było jak promień lasera.

– No nie ma – odparła powoli.

– Więc… mogłabym do niego zadzwonić.

– Igrasz z ogniem, siostrzyczko, i możesz w nim spłonąć.

– To tylko zaproszenie na obiad.

Ellie nie dała się zwieść.

– Uhm, na pewno.

– Widziałaś, ile masła dodaje się do farszu według przepisu mamy? To niemożliwe, żeby aż tyle!

Ellie nie odpowiedziała. Nurtowały ją własne wątpliwości. Czy Julia zwariowała, żeby kupować indyka, który waży prawie dziesięć kilogramów?! Będą go jadły do Wielkiego Postu. Poza tym ten ptak miał w środku organy, których nie zamierzała jeść, i wolała raczej nie piec indyka razem z nimi.

– Myślisz, że te podroby rozpuszczą się podczas pieczenia? Jeśli zagłębię rękę dalej w kuper tego ptaka, zobaczę własne palce.

Julia, marszcząc czoło, borykała się ze swoim zadaniem.

– Mamy jakiś domowy defibrylator?

Ellie roześmiała się.

– Ach są! – powiedziała chwilę później, gdy wreszcie ujęła wnętrzności i wydobyła je. Potem, ku przerażeniu Julii, obficie podlała indyka tłuszczem i umieściła w brytfannie babci Dotty.

– Zamierzasz nadziać tego ptaka czy nie?

– Chciałabym.

Kiedy indyk został nafaszerowany i wstawiony do pieca, Ellie rozejrzała się po kuchni.

– Co dalej? – spytała.

Julia odgarnęła włosy z oczu i westchnęła. Była dopiero jedenasta przed południem, a ona czuła się już wykończona tak samo jak Ellie.

– Możemy zacząć od fasolki szparagowej według przepisu cioci Vivian.

– Nigdy mi nie smakowała. Fasolka i zupa grzybowa? Nie lepsza byłaby po prostu sałatka? Mamy jakąś w zamrażalniku.

– Jesteś genialna!

– Mówię ci to od lat.

– Wobec tego zajmę się ziemniakami.

Julia skierowała się na ganek. Gdy otworzyła drzwi, do kuchni wdarł się zimny powiew, napotykając gorące powietrze z kominka i tworząc idealną mieszankę ciepła i świeżości. Usiadła na górnym stopniu schodów. U jej stóp leżał worek kartofli i obieraczka do warzyw.

Ellie przygotowała dwie mimozy [12] i też wyszła na ganek.

– Chyba alkohol dobrze nam zrobi. Jakaś kobieta z Portlandu w zeszłym roku podała gościom zupę grzybową i wszystkich otruła.

– Nie martw się. Jestem lekarzem.

Śmiejąc się, Ellie podała jej szklankę i usiadła.

Obie popatrzyły na podwórko.

Alice, ubrana w ładną ażurową sukienkę i różowe rajstopy, siedziała na wełnianym kocu. Wokół niej zebrały się ptaki – głównie wrony i rudziki – które przepychały się, żeby zdobyć pożywienie z jej ręki. Obok dziewczynki stała torba z przeterminowanymi chipsami ziemniaczanymi, stanowiąca źródło okruszków.

– Może zaniesiesz jej szklankę soku pomarańczowego? – podsunęła Julia. – Jest taka spokojna w otoczeniu ptaków. To dobry moment, żebyś zaczęła ją oswajać ze sobą.

– Wygląda jak z filmu Hitchcocka. A jeśli te ptaki wydziobią mi oczy?

Julia roześmiała się.

– Raczej spłoszą się, gdy do nich podejdziesz.

– Ale…

Julia położyła rękę na dłoni siostry.

– To tylko mała dziewczynka, która przeszła przez piekło. Nie przypisuj jej nie wiadomo czego.

– Przestraszy się mnie i ucieknie.

– To spróbujesz znowu. – Julia wsunęła rękę do kieszeni fartucha i wyjęła plastikowy kubek-miarkę. – Daj jej to.

– Wciąż uwielbia czerwony kolor?

– Uhm.

– Jak myślisz, dlaczego?

– Nie wiem jeszcze. – Julia wstała. – Ja tymczasem nakryję do stołu. Poradzisz sobie.

– Dobra. – Ellie czuła na sobie wzrok siostry, gdy schodziła po stopniach na trawę.

Drzwi siatkowe za jej plecami skrzypnęły przy otwarciu i zamknęły się z lekkim trzaśnięciem. Ptaki, spłoszone tymi odgłosami, zakrakały i zerwały się do lotu. Było ich tak wiele, że przez chwilę, gdy odlatywały, przysłoniły szare niebo.

Ellie nadepnęła gałązkę, która trzasnęła.

Alice drgnęła i odwróciła głowę. Wciąż siedziała w kucki, ale wyglądała jak osaczona, choć miała za sobą całe podwórko. Oczy zrobiły jej się okrą-

głe ze strachu i Ellie poczuła się skrępowana.

Nie nawykła do tego, żeby zdobywać czyjeś względy. Przez całe życie była powszechnie lubiana.

– Hej – powiedziała, zatrzymując się. – Żadnych siatek. Ani strzykawek. – Na potwierdzenie swoich słów uniosła dłonie. W jednej z nich trzymała czerwony kubek.

Alice zobaczyła go i zmarszczyła brwi. Po minucie wskazała kubek i wydała pomruk.

Ellie poczuła przypływ nadziei, że jednak uda im się nawiązać kontakt. Po raz pierwszy Alice nie uciekła na jej widok.

– Powiedz to słowami. – Tak zawsze mówiła Julia.

Gdy milczenie zaczęło się przeciągać, spróbowała innej metody. Zaczęła nucić, początkowo cicho, gdy jednak Alice przestała się bać i zrobiła zaciekawioną minę – nieco głośniej. Ale tylko trochę. Śpiewała jedną dziecięcą piosenkę po drugiej, bo ta mała mogła godzinami stać bez ruchu. Kiedy doszła do *Mrugaj, mrugaj, mała gwiazdko*, postawa Alice się zmieniła. Dziewczynka wyglądała jak zahipnotyzowana. Na jej ustach pojawiło się nawet coś w rodzaju uśmiechu.

– Gwiazdka – szepnęła dokładnie wtedy, gdy to słowo padło w piosence.

Ellie również się uśmiechnęła. Kiedy skończyła śpiewać, pochyliła się i podała Alice kubek.

Dziewczynka wzięła go, przytuliła do policzka i spojrzała wyczekująco na Ellie.

„I co teraz?”.

– Gwiazdka – powtórzyła.

– Mam śpiewać dalej?

– Gwiazdka. Ploszę.

Ellie zrobiła, o co ją proszono. Śpiewała piosenkę już trzeci raz, gdy Alice ostrożnie podeszła bliżej.

Usiadła na trawie niedaleko niej.

Ellie poczuła się tak, jakby zbiła wszystkie kręgle pierwszą kulą. Miała ochotę podskoczyć i przybić z kimś piątkę. Ale śpiewała dalej.

Po pewnym czasie przyszła Julia i przyłączyła się do nich. We trzy siedziały na trawie pod szarym listopadowym niebem i śpiewały piosenki z dzieciństwa, podczas gdy w piekarniku piekł się na złoto świąteczny indyk.

Max wiedział, że powinien był wyjść z domu już przed półgodziną. Ale nalał sobie jeszcze piwa i włączył telewizor.

Bał się ponownego spotkania z Julią.

„Wszystko albo nic”.

„Jedź do niej”.

Słyszał w głowie głos Susan, w którym brzmiało lekkie napomnienie. Gdyby była tu, obok niego, posłałaby mu jeden ze swoich łobuzerskich uśmiechów w stylu „przecież cię znam”. Wiedziałaby, że choć wciąż próbował uciekać, czasami to wszystko go dopadało. Święta. Wziął telefon i wybrał kalifornijski numer.

Susan odezwała się już po pierwszym sygnale. Zastanawiał się, czy czekała na jego telefon.

– Cześć – zaczął.

– Cześć. Wszystkiego najlepszego z okazji Święta Dziękczynienia.

– Wzajemnie.

Czekał, żeby powiedziała coś jeszcze; trzaski na linii przypomniały, jak dobrze im się kiedyś rozmawiało.

– To ciężki dzień dla ciebie, co? – Powiedziała to łagodnie, ze smutkiem. W tle usłyszał jakieś rozmowy. Głos mężczyzny. I dziecka.

– Zostałem zaproszony na świąteczny obiad.

– To świetnie. Radzisz sobie jakoś? – Jej ton wyrażał powątpiewanie.

– Ależ tak.

– To dobrze.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę o drobnych sprawach, a potem nastąpiła naturalna pauza. W końcu Susan powiedziała:

– Muszę kończyć. Mamy gości.

– Jasne.

– Uważaj na siebie.

– Ty też – odparł. – Pozdrów wszystkich ode mnie.

– Oczywiście. – Zamilkła na chwilę. Po chwili odezwała się ściszonym głosem: – Zapomnij już o tym, Max. Minęło tyle czasu.

Powiedziała to lekko, ale oboje wiedzieli, co się za tym kryje.

– Nie wiem jak, Suze.

– Więc wciąż narażasz życie. A może byś naprawdę zaryzykował, Max? – Westchnęła i umilkła.

– Może to zrobię – odpowiedział miękko.

W końcu jak zwykle to on pierwszy się rozłączył.

Siedział przez chwilę, patrząc na zegarek. Mijały minuty.

Pora iść. Nie istniał powód, żeby się tu ukrywać i zadręczać, a poza tym prawda była taka, że chciał tam pojechać. Tak dawno nikt go nie zaprosił na święta.

Odległość między dwoma domami w linii prostej, jeśliby iść nad rzeką, wynosiła tylko półtora kilometra, jednak teren ten porastał gęsty las. Starą szosą, a potem drogą wzdłuż rzeki jechało się wolno. Po tygodniowych deszczach w jezdni pozostały spore dziury.

Zaparkował na tyłach domu, a potem wyłączył światła i silnik. Wziął butelkę wina z tylnego siedzenia, biodrem zamknął drzwi i zwrócił się w kierunku domu. Był to ładny wiejski domek z okalającym go gankiem, stojący na łące, która łagodnie opadała ku rzece. Do budynku przylegał stary różany ogród. Róże już przekwitły, na krzakach pozostały tylko ciemne kolce i poczerniałe liście. Zachodnią ścianę domu ocieniały wysokie drzewa, których wierzchołki rysowały się teraz na aksamitnym, rozświetlonym gwiazdami niebie.

Susan bardzo podobałby się ten dom. Przebiegłaby przez podwórko, wskazując miejsca, które w myślach widziała.

„Tu będzie sad… a tam huśtawki”.

Przez dwa lata szukali wymarzonego domu. Dlaczego nie wiedzieli, że każdy, który by wybrali, stałby się tym poszukiwanym?

Przeciął podwórko i powoli wszedł po schodach. Zbliżywszy się do drzwi, usłyszał dźwięki muzyki i głos Johna Denvera. *Rocky Mountain High*. *Wracam do domu, w którym nigdy nie byłem*.

Widział trzy postacie przez owalne witrażowe okno w drzwiach frontowych.

Julia i Ellie, roześmiane, tańczyły ze sobą, zderzając się biodrami i odskakując. Alice stała przy kominku, patrząc na nie szeroko otwartymi oczami i jedząc kwiatek. Co jakiś czas na jej buzi pojawiał się uśmiech.

Usłyszał, że pod dom zajeżdża samochód. Silnik zgasł, drzwi się otworzyły, a potem trzasnęły. Na żwirowym podjeździe zachrzęściły kroki. Towarzyszył im szczebiot wysokich dziecięcych głosów.

– Doktorze! – Był to głos Cala.

Zanim Max zdążył się odwrócić i odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i stanęła w nich Ellie. Spojrzała na niego wzrokiem policjantki – taksująco.

– Cieszę się, że przyszedłeś – powiedziała, cofając się o krok i wpuszczając go do środka. W szmaragdowych spodniach z aksamitu i błyszczącym czarnym swetrze wyglądała na sławną lokalną królową piękności.

Wręczył jej wino, które przyniósł.

– Dziękuję za zaproszenie.

Zobaczył, że na dźwięk jego głosu Julia uniosła głowę. Klęczała przy Alice.

Serce mu podskoczyło, gdy ją zobaczył.

Ellie wzięła go pod rękę i zaprowadziła do Julii.

– Zobacz, kto przyszedł, siostrzyczko. – Po tych słowach odeszła.

Max patrzył na Julię, ciekaw, czy jej też zaparło dech w piersiach.

Julia podniosła się.

– Wszystkiego dobrego z okazji Dziękczynienia. Cieszę się, że przyjechałeś. Od lat nie obchodziłam świąt w większym gronie.

– Ja również.

Zauważył, że poruszyło ją jego wyznanie; te słowa ich jakoś zbliżyły.

– Więc – rzekł pospiesznie – jak tam twoja mała dzikuska?

Podchwyciła ten temat i zaczęła opowiadać o terapii, którą prowadziła. Podczas tego monologu często się uśmiechała i spoglądała na Alice z takim uczuciem, że i u Maxa wywoływało to uśmiech. Udzielił mu się entuzjazm i przejęcie Julii. I wtedy sobie przypomniał: wszystko albo nic.

Właśnie mógł się przekonać, co dla niej znaczy owo „wszystko”.

– Max? – Popatrzyła na niego z niepokojem. – Chyba zanudziłam cię na śmierć, co? Przepraszam. Czasami mnie ponosi. Już nie będę…

Dotknął jej ramienia. Uświadomiwszy sobie, że to błąd, szybko cofnął rękę. Za późno. To było jak porażenie prądem.

Julia przyglądała mu się uważnie.

– Myślałem o tobie. – Wyrwały mu się te słowa, zanim zdążył je powstrzymać.

– Uhm – rzekła. – Wiem.

Max nie miał pojęcia, co dalej powiedzieć, więc milczał. W końcu, gdy cisza stała się niezręczna, rzucił jakąś wymówkę i odszedł do prowizorycznego baru urządzonego w kuchni.

Przez następną godzinę starał się nie patrzeć na Julię. Śmiał się razem z Ellie, Calem i dziewczynkami, pomagał w kuchni.

Kilka minut przed czwartą Ellie oznajmiła, że obiad – jaki jest, taki jest – zaraz będzie gotowy. Wszyscy zaczęli krzątać się jak mrówki, wychodzili pospiesznie do łazienki, a potem zaglądali do małej kuchni, oferując pomoc przy stole.

Julia tymczasem klęczała przy Alice, która stała za doniczkowym fikusem w salonie. Dziewczynka była najwyraźniej przestraszona i Julia dosłownie jakby za sprawą czarów dokonała w niej zmiany. Prawie wszyscy siedzieli już przy owalnym dębowym stole, kiedy w końcu przyprowadziła Alice i posadziła ją na wysokim krzesełku między sobą a Calem.

Max zajął jedyne wolne miejsce, obok Julii.

Ellie, która siedziała u szczytu stołu, spojrzała na nich zza gór jedzenia.

– Cieszę się, że jesteście tu wszyscy. Dawno przy tym stole nie było gości w Święto Dziękczynienia. Chciałabym kontynuować tradycję rodziny Catesów. Moglibyście wziąć się za ręce? – spytała.

Max odwrócił się w prawo i wziął za rękę Amandę. Potem, z lewej strony, ujął dłoń Julii, nie patrząc na nią.

Kiedy już utworzyli łańcuch, Ellie zwróciła się z uśmiechem do Cala:

– Może ty zaczniesz?

Cal zamyślił się na chwilę, a potem z uśmiechem rzekł:

– Dziękuję za moje piękne córeczki. I za to, że znowu zebraliśmy się w tym domu na Święto Dziękczynienia. Jestem pewien, że Lisa tęskni w tej chwili za nami. Nie ma nic gorszego niż wyjazd służbowy w święta.

Potem głos zabrały jego trzy córki.

– Dziękuję za tatusia…

– …szczeniaczka…

– …nowe śliczne buciki.

Przyszła kolej na Ellie.

– Dziękuję, że moja siostra wróciła do domu.

Julia odpowiedziała uśmiechem.

– A ja dziękuję za małą Alice, która tak wiele mnie nauczyła. – Pochyliła się i ucałowała policzek dziewczynki.

Max nie potrafił myśleć o niczym innym, tylko o tym, jakim ciepłem emanuje w jego ręce dłoń Julii, jak uspokaja go jej dotyk.

– Max? – ponagliła w końcu Ellie.

Wszyscy patrzyli na niego. Wyczekująco. Spojrzał na Julię.

– Dziękuję, że tu jestem.

19

Zima zagościła w Rain Valley jak horda zachłannych krewnych, zajmując całą przestrzeń i przysłaniając całe światło. Z deszczami w tej coraz mroczniejszej porze roku skończyły się żarty; to już nie była przyjemna mgiełka, tylko nieustająca mżawka.

W tę ponurą pogodę Alice wręcz kwitła; nie można tego było nazwać inaczej. Rozwijała się jak delikatna orchidea w miejscu, w którym zaczynała się czuć jak u siebie. Niestrudzenie i z samozaparciem uczyła się mówić. Umiała już łączyć po dwa, trzy słowa. Potrafiła przekazywać swoje myśli i potrzeby tym dwom kobietom, które stały się jej światem.

Jeszcze bardziej niezwykłe zmiany zachodziły w Julii. Uśmiechała się coraz częściej i chętniej, rzucała śmiałe dowcipy przy stole i tańczyła z Ellie i Alice przy byle okazji. Zrezygnowała z joggingu i przybrała na wadze kilka funtów, co jej dobrze zrobiło. Najważniejsze jednak, że odzyskała pewność siebie. Była bardzo dumna z postępów Alice. Spędzała z nią niemal cały czas. Rysowały razem, uczyła małą nowych liter i liczb, chodziły na długie spacery po lesie. Można by odnieść wrażenie, że porozumiewały się telepatycznie, tak były sobie bliskie. Alice wciąż podążała za swoją opiekunką jak cień; często wkładała jej przy tym rączkę do kieszeni albo za pasek. Ale też coraz częściej odrywała się od niej. Czasami podchodziła do „Lellie”, pokazując jej jakiś drobiazg, który zrobiła albo znalazła. Prawie co wieczór Ellie czytała jej na dobranoc, podczas gdy Julia uzupełniała notatki. Ostatnimi czasy Alice nawet zaczęła układać się przy Ellie w porze wieczornego czytania. Gdy była w dobrym nastroju, klepała ją po nodze i mówiła:

– Jeszcze, Lellie, jeszcze.

Wszystko to powinno sprawiać Ellie radość, dobrze o tym wiedziała. Właśnie taką przyszłość jej rodzice wyobrażali sobie dla swoich córek, marzyli, że w domu przy River Road znowu zapanuje ciepło i rodzinna atmosfera. I jeśli o to chodzi, nie mogło być lepiej.

Ellie była szczęśliwa.

I jednocześnie nieszczęśliwa.

Jej smutek był niepozorny i prawie niewidoczny, jak pajęczyna w ciemnym, gęstym lesie, którą można zauważyć, jeśli się jej specjalnie szuka albo jeśli zboczy się ze ścieżki. Nowa i czuła więź, jaka wytworzyła się między nimi trzema, czasami podkreślała jej samotność. Kobieta, która zakochiwała się tak często, nie spodziewała się, że wkroczy w czterdziesty rok życia bez mężczyzny przy boku. Chociaż cieszyła się, widząc rosnące przywiązanie siostry do Alice, czasami w głębi serca odczuwała ból. Czy Julia była tego świadoma, czy nie – albo czy chciała się do tego przyznać – stawała się dla Alice matką. Ellie wiedziała, że pewnego dnia obydwie wyjadą, znajdą własny dom, a ona zostanie sama, jak przedtem. Tylko że będzie już inaczej, bo znowu zaznała rodzinnego ciepła. Nie chciała wracać do swojego dawnego życia, którego trzon stanowiła praca, przyjaciele i marzenia o miłości. Nie była pewna, czy to by jej teraz wystarczyło. Czy po tym, jak żyje pod jednym dachem z dzieckiem, które się bawi, chodzi za nią i całuje na dobranoc, potrafi znów mieszkać sama?

– Kiepsko wyglądasz – powiedział Cal.

– Naprawdę? To podłe z twojej strony.

Cal się roześmiał. Zdjął słuchawki, odłożył ołówek i opuścił pokój. Za chwilę wrócił z dwiema filiżankami kawy.

– Może kofeina dobrze ci zrobi.

Podał jej filiżankę.

Spojrzała na niego, zastanawiając się, dlaczego nie podobają jej się tacy mężczyźni jak on – którzy dotrzymują obietnic, zajmują się dziećmi i wciąż są zakochani. Ona musiała tracić głowę dla facetów z problemami. Takich, którzy zapuszczają włosy, mają kłopoty z utrzymaniem pracy i bardzo szybko zapominają, co przyrzekli.

– Chyba muszę zacząć nowe życie – stwierdziła.

Przyciągnął sobie krzesło do jej biurka.

– Osiągamy wiek, w którym zaczynają chodzić po głowie takie myśli.

– Kiedyś, gdy powiedziałam coś takiego, mówiłeś, że zwariowałam.

Oparł się na krześle i położył nogi na biurku. Ellie nie mogła nie zauważyć, że białe podeszwy jego tenisówek pomazane są czerwonym tuszem. Miał na nich wypisane imię najmłodszej córki, które znajdowało się w wianuszku z serduszek i gwiazdek.

Na ten widok ścisnęło jej się serce.

– Chyba ktoś chciał ozdobić tatusiowi buty.

– Sarah uznała, że moje buty są smutne. Nie powinienem był dawać jej markerów.

– Szczęściarz z ciebie, że masz te dziewczynki, Cal. – Westchnęła. – Zawsze myślałam, że to ja będę miała trzy córki. Za każdym razem, gdy wychodziłam za mąż, odstawiałam pigułki i zaczynałam się modlić. – Usiłowała się uśmiechnąć. – Ale zamiast dzieci mam adwokatów od spraw rozwodowych.

– Masz trzydzieści dziewięć lat, nie czterdzieści dziewięć. Jeszcze nie wszystko stracone.

– Zawsze tak się wydaje, co?

Przewrócił oczami.

– Och, na miłość boską, Ellie. Czy nie znudzi ci się wreszcie ta stara gadka?

Wyprostowała się. Miała wrażenie, że jest na nią zły. Ale dlaczego? Przecież zawsze mogła na niego liczyć.

– O co ci chodzi?

– Zbliżamy się do czterdziestki, a ty wciąż zachowujesz się jak królowa piękności, która czeka, aż padnie przed nią na kolana jakiś kapitan drużyny piłkarskiej. A w życiu jest inaczej. Miłość to coś, co cię kompletnie rozbija, a potem na nowo składa z kawałków, jak połamaną zabawkę, z tymi wszystkimi pęknięciami i poszarpanymi brzegami. Zakochanie się to jeszcze nie wszystko. Chodzi o to, żeby odnaleźć się, gdzie trzeba, zostać tam, gdzie zobowiązałaś się być do końca życia, i pracować nad tym, żeby miłość nie osłabła. Ale ty nigdy tego nie rozumiałaś.

– Łatwo ci mówić, Cal. Masz żonę i dzieci, które cię kochają. Lisa…

– Lisa odeszła ode mnie.

– Jak to?

– Jeszcze w sierpniu – powiedział cicho. – Próbowaliśmy żyć w separacji pod jednym dachem… dla dobra dziewczynek. Ale one są na to za bystre. Zwłaszcza Amanda. Jest taka, jaka była kiedyś Julia. Widzi wszystko i nie boi się zadawać trudnych pytań. Przed walentynkami Lisa wyniosła się z naszej sypialni. Wyprowadziła się z domu na dobre przed rozpoczęciem roku szkolnego.

– A dziewczynki? – To pytanie ledwie przeszło Ellie przez gardło.

– Są ze mną. Lisa ma zbyt dużo pracy. Od czasu do czasu czuje się samotna, wtedy przypomina sobie, że jest mamą, i dzwoni albo wpada.

Teraz się zakochała. Nie odzywa się od tygodni. Przysłała tylko dokumenty rozwodowe. Chce, żebym sprzedał dom, i podzielił się z nią pieniędzmi.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? Pracujemy razem, spotykamy się codziennie. Codziennie!

Spojrzał na nią dziwnie.

– Kiedy ostatnio pytałaś o moje sprawy, El?

Poczuła się dotknięta.

– Zawsze pytam, co u ciebie.

– I dajesz mi pięć sekund na odpowiedź, bo potem zmieniasz temat na ciekawszy. Zwykle związany z twoim życiem. – Westchnął i przeczesał palcami włosy. – Nie krytykuję cię, Ellie. Po prostu mówię, jak jest.

W oczach Cala widać było żal i może rozczarowanie.

Wstał powoli.

– Zapomnij o tym. Nie powinienem był tyle mówić. Po prostu… trafiłaś na mój zły dzień. Jestem w dołku. Chciałem usłyszeć od kogoś życzliwego, że wszystko jakoś się ułoży. – Ruszył do drzwi i zdjął płaszcz z wieszaka. – Do jutra!

Ellie stała pośrodku pokoju, patrząc, jak zamykają się za nim drzwi, gdy wreszcie do niej dotarło.

„Lisa odeszła ode mnie”.

„Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?”.

Poczuła się okropnie. Cal zwierzył jej się ze swojego cierpienia – a było to prawdziwe cierpienie, dobrze o tym wiedziała – a ona nie zrobiła nic, żeby mu pomóc, nie powiedziała ani słowa na pocieszenie.

„Chyba chciałem usłyszeć od kogoś życzliwego, że wszystko jakoś się ułoży”.

I nie usłyszał tego od niej.

Od lat ludzie kierowali pod jej adresem drobne przytyki, utrzymując, że jest egoistką. Ellie zawsze zbywała te uwagi miłym uśmiechem. Uważała, że to nieprawda; ci, co tak mówili, zazdrościli jej albo po prostu nie byli jej życzliwi.

„Ty i ja, Ellie – powiedział jej kiedyś tata – jesteśmy aktorami pierwszoplanowymi. Jeśli znowu wyjdziesz za mąż, lepiej znajdź sobie kogoś, komu nie będzie przeszkadzało, że to ty zawsze jesteś w świetle reflektorów”.

Ellie wzięła to za komplement. Podobało się jej, że ojciec uważa ją za gwiazdę.

Teraz jednak dostrzegła głębsze znaczenie jego słów i gdy zadała sobie pytanie, czy miał rację, powróciły do niej wspomnienia i wątpliwości.

Dwa nieudane małżeństwa. Oba jej zdaniem zakończyły się klapą, bo mężowie nie dość mocno ją kochali.

Czy stało się tak dlatego, że chciała – potrzebowała – za wiele miłości? A czy w ogóle odwzajemniała uczucie, którym ją darzono? Odpowiedzieć brzmiała: nie. Kochała obu mężów, uwielbiała ich. Ale nie na tyle, by pojechać za Alvinem na Alaskę… czy żeby za pieniądze zarobione na policji sfinansować Sammy'emu kurs dla kierowców ciężarówek.

Nic dziwnego, że jej małżeństwa się rozpadły. Zawsze stawiała swoich mężczyzn – tych, których poślubiła, i tych, których kochała – przed wyborem „albo ja, albo wolność" i dziwiła się, gdy wybierali wolność.

Przez te wszystkie lata uważała ich za nieudaczników.

A może to z nią cały czas było coś nie tak?

Kiedy Mel przyszedł do pracy na nocną zmianę, Ellie przywitała się z nim, pamiętając, żeby zapytać o rodzinę, a potem popędziła do samochodu.

Zajechała przed dom Cala w niespełna pół godziny i zaparkowała pod wielkim, bezlistnym już klonem. Na najniższej gałęzi wisiał domek dla ptaków, który huśtał się lekko w powiewach wiatru. Jeden z ostatnich liści przyczepił się do chropawego cedrowego daszku.

Podeszła do drzwi frontowych i zapukała.

Otworzył Cal. Zazwyczaj młodzieńczy i uśmiechnięty, wydawał się teraz starszy, zmęczony. Ellie zaczęła się zastanawiać, od jak dawna Cal tak wygląda i ile razy miała okazję to zauważyć.

– Jestem świnia – powiedziała żałośnie. – Wybaczysz mi?

Uniósł kącik ust w nieznacznym uśmiechu.

– Królowa dramatu w scenie przeprosin.

– Nie jestem żadną królową.

– Nie. Jesteś świnią. – Uśmiech zagościł na jego twarzy. – To przez tę twoją urodę. Kobiety takie jak ty są przyzwyczajone do tego, że zawsze znajdują się w centrum uwagi.

Podeszła do niego.

– Jestem świnią, Cal, ale bardzo mi przykro.

Spojrzał na nią uważnie.

– Dzięki.

– Wszystko będzie dobrze, Cal – powiedziała, wierząc w dewizę, że lepiej późno niż wcale.

– Tak sądzisz?

Poczuła, że on tonie w smutku, który przepełniał jego ciemne oczy. Tak ją to wytrąciło z równowagi, że nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć.

– Lisa cię kocha – powiedziała w końcu. – Przypomni sobie o tym i wróci.

– Ja też tak myślałem przez dłuższy czas, El. Peanut mówiła to samo. Ale teraz już nawet nie wiem, czy chciałbym, aby tak się stało.

W pierwszej chwili Ellie pomyślała: „To Peanut wiedziała?", ale nie wpadła już w tę pułapkę. Tym razem nie chodziło o jej sponiewierane ego. Zaprowadziła Cala na kanapę i usiadła przy nim.

– A czego byś chciał?

– Chciałbym nie czuć się taki samotny. Nie zrozum mnie źle. Uwielbiam moje córeczki, są całym moim życiem, ale gdy leżę nocą w łóżku, chciałbym odwrócić się do kogoś i po prostu przytulić. Lisa i ja przestaliśmy sypiać ze sobą już dawno temu. Myślałem, że będę się czuł mniej samotny, gdy ona wyjedzie, albo że jej wyjazd niczego nie zmieni, ale jest inaczej. – Patrzył na nią i w jego oczach, które znała tak dobrze, zobaczyła jeszcze głębszy smutek. – Jak to jest, że lepiej mieć żonę, która z tobą nie sypia, niż nie mieć jej w ogóle?

Ellie odczuwała samotność już przez tyle zim, że nawet nie chciało jej się liczyć.

– Czy potem będzie mi łatwiej? – zapytał Cal.

Westchnęła. Wreszcie zaczęła się rozmowa.

– Ciesz się, że masz dzieci, Cal. Przynajmniej ktoś cię kocha.

Max skończył obchód o szóstej. O wpół do siódmej wypełnił karty pacjentów i mógł iść do domu.

Był już przy wyjściu, gdy usłyszał sygnał pagera.

„Doktor Cerrasin wzywany niezwłocznie na salę porodową".

– Cholera!

Pobiegł w stronę porodówki.

Zastał tam swoją pacjentkę, Crystal Brainard, leżącą w szpitalnej koszuli na stole. Krzyczała właśnie na męża, który stał w kącie jak pełen poczucia winy dzieciak, z wyrazem przerażenia na twarzy. Crystal obejmowała wielki brzuch dłońmi, z trudem łapiąc powietrze, dopóki skurcz nie minął.

Trudi stała przy niej i trzymała ją za rękę. Na widok Maxa uśmiechnęła się.

– Crystal, mówiłem ci, że w piątkowe wieczory nie pracuję – powiedział, wkładając rękawiczki chirurgiczne.

Kobieta próbowała się uśmiechnąć, ale wypadło to blado.

– Powiedz to tej w środku. – Pogładziła swój wielki brzuch.

– Mogłabyś się już nauczyć, że dzieci nie zawsze są posłuszne – odezwała się Trudi.

Przyszedł kolejny skurcz i Crystal krzyknęła z bólu.

– Nic jej nie będzie? – spytał jej mąż, zbliżając się o krok.

Max podszedł do łóżka.

– Zobaczmy, co się dzieje.

– Ma już pełne rozwarcie – poinformowała Trudi, stając obok niego i nakładając mu na palce lubrykant.

Badanie nie trwało długo. Max pomógł przyjść na świat tak wielu dzieciom, że wiedział, iż ten poród nastąpi szybko. Czuł już główkę niemowlęcia.

– Jesteś gotowa, żeby zostać mamą, Crystal?

Kolejny skurcz, kolejny krzyk.

– Tak – wykrztusiła.

– Główka już się wydostaje – powiedział Max do Trudi. – Dobra, Crystal, przyj.

Crystal jęknęła, wciągnęła powietrze w płuca i zaczęła krzyczeć. Mąż pospiesznie podszedł do niej.

– Jestem tutaj, Chrissie. – Wziął ją za rękę.

Pojawiła się główka.

– Przyj mocniej, Crystal, żeby wypchnąć resztę. Jeszcze ten jeden wysiłek i będzie po wszystkim – zachęcał Max.

Delikatnie pociągnął główkę dziecka, żeby wydobyć tułów, a potem odczekał chwilę; dziecko wyślizgnęło się i wylądowało w jego rękach.

– Masz śliczną córeczkę – oznajmił, unosząc głowę. Crystal i jej mąż rozpłakali się.

– Czy tata chce przeciąć pępowinę? – spytał. Bez względu na to, ile razy wypowiadał te słowa, zawsze był nimi poruszony.

Gdy już skończył wszystkie czynności związane z porodem, poczuł się bardzo zmęczony. Wziął gorący prysznic, przebrał się i ruszył do pokoju pielęgniarek.

Była tam tylko Trudi. Na jego widok wyszła zza biurka i uśmiechnęła się.

– Zamierzają dać małej na imię Maxine.

– Biedne dziecko – zażartował i zamilkł.

– Dawno u mnie nie byłeś.

Łatwo by było zmienić temat, ale Trudi zasługiwała na coś więcej.

– Chyba powinniśmy porozmawiać.

Trudi roześmiała się.

– Zawsze mówiłeś, że nie wychodzi nam to najlepiej. – Nachyliła się ku niemu. – Niech zgadnę: chodzi o pewnego lekarza, który w Święto Dziękczynienia był na obiedzie w domu komendant miejscowej policji. Ponieważ wiem, że nie interesuje cię Ellie, to musi być jej siostra. Czyli Julia.

Pokręcił głową.

– Nawet nie wiem, czy coś między nami jest. My tylko…

– Nie musisz nic mówić, Max.

– Wiesz, że za nic w świecie nie chciałbym cię zranić…

Uciszyła go dotknięciem ręki.

– Cieszę się ze względu na ciebie. Naprawdę. Za długo byłeś sam.

– Jesteś dobrą kobietą, Trudi Hightower.

– A ty dobrym facetem. Tylko nie bądź ofiarą losu i zaproś ją na randkę. Jeśli się nie mylę, jest piątek. Pewien lekarz nie powinien już chodzić do kina sam.

Pochylił się i pocałował ją.

– Do widzenia, Trudi.

– Pa, Max!

Wsiadł do swojego pikapa i ruszył w stronę kina. Nie miał zamiaru jechać do Julii, ale kiedy znalazł się na Magnolia Street, skręcił w lewo, zamiast w prawo, i dostał się na starą szosę.

Jadąc w kierunku domu Julii, pomyślał, że oszalał.

„Wszystko albo nic”.

Kiedyś już miał wszystko i omal go to nie zabiło.

Zaparkował na podwórku i siedział przez chwilę w wozie, patrząc przez okno na dom. W końcu wysiadł, podszedł do drzwi i zapukał.

Na progu stanęła Julia. Nawet w spranych levisach i białym, robionym na drutach swetrze, który był na nią o dwa numery za duży, wyglądała pięknie.

– Max – powiedziała z wyraźnym zdziwieniem. Zrobiła krok do przodu i zamknęła za sobą drzwi, zastawiając przejście.

– Nie poszłabyś do kina?

Idiota. Wyrwał się jak zdesperowany nastolatek.

Odpowiedziała uśmiechem, który powoli rozjaśnił jej twarz.

– Cal i Ellie grają w scrabble, więc… Mogłabym pójść do kina. Co grają?

– Nie mam pojęcia.

Zaśmiała się.

– No to bardzo chętnie.

Tego dnia, jak się okazało, w kinie wyświetlano *Mieć i nie mieć*. Julia siedziała obok Maxa w ciemnej sali, oglądając jedną z najsłynniejszych filmowych historii miłosnych wszech czasów. Kiedy film się skończył i oboje szli niedawno odnowionym foyer kina, Julia miała wrażenie, że wszyscy na nich patrzą.

– Już o nas mówią – zauważyła półgłosem.

– Witaj w Rain Valley.

Wziął ją pod rękę i zaprowadził do swojego samochodu, który stał po drugiej stronie ulicy.

– Zaprosiłbym cię na szarlotkę, ale wszystko jest pozamykane.

– Podobnie jak ty.

Uśmiechnął się szeroko.

– A wydawało mi się, że nic o mnie nie wiesz.

Zwróciła się w jego stronę i spojrzała na niego już bez uśmiechu.

– Bo właściwie to nie wiem.

Popatrzył na nią. Spodziewała się, że znowu rzuci jakąś ciętą odpowiedź. Zamiast tego pocałował ją. Kiedy cofnął głowę, rzekł cicho:

– No to już wiesz wszystko, co trzeba.

Gdy nie odpowiedziała, otworzył przed nią drzwi wozu, żeby mogła wsiąść.

Przez całą drogę powrotną rozmawiali o mało ważnych sprawach. O filmie. O porodzie, który Max odebrał tego dnia, o malejącej populacji łososia i niszczeniu starodrzewu.

Gdy odprowadził ją pod drzwi, pozwoliła się objąć. To zdumiewające, jak dobrze czuła się w jego ramionach. Tym razem, kiedy pochylił się, żeby ją pocałować, sama nadstawiła usta, i miała ochotę na więcej. Po raz pierwszy poczuła przy nim, że ogarnia ją lęk.

– Dzięki, Max.

Pocałował ją znowu, tak delikatnie, że nie zdążyła rozsmakować się w pocałunku.

– Dobranoc, Julio.

W drugiej połowie grudnia wszyscy myśleli już tylko o Bożym Narodzeniu. Rotarianie wywiesili przed swoją siedzibą dekoracje ozdobione lampkami, a członkowie Elks' Club ubrali drzewko świąteczne. Na rogach ulic stały choinki, skauci zaś wędrowali od drzwi do drzwi, sprzedając papier opakowaniowy na prezenty.

Dzień zaczął się pogodnie, na lodowoniebieskim niebie nie było widać nawet najmniejszej chmurki. Nad brzegami rzeki, gdzie ziemia była cieplejsza niż powietrze, unosiła się różowa mgiełka, sięgająca najniższych gałęzi drzew, a wszystko, co było za nią, wydawało się rozmyte i nierealne. W takiej aurze nietrudno było wyobrazić sobie zaczarowane istoty: wróżki, duszki i inne stworzenia, które nie występowały nigdzie indziej na Ziemi.

Jak zwykle, Julia cały dzień poświęciła Alice. Dużo czasu spędziły razem na podwórku.

Julia starała się przygotować dziewczynkę do następnego wielkiego kroku. Tym razem miała to być wyprawa do miasteczka.

Nie była to łatwa sprawa. Pierwszą trudność stanowił samochód.

– Miasteczko – powiedziała spokojnie Julia, patrząc na Alice. – Pamiętasz obrazki w książce? Chciałabym, żebyśmy wybrały się do miasteczka, tam, gdzie mieszkają ludzie.

Oczy Alice się rozszerzyły.

– Tam? – wyszeptała drżącymi ustami.

– Będę z tobą przez cały czas.

Alice pokręciła głową.

Julia delikatnie oswobodziła się z jej mocnego uścisku. Z wielką czułością ujęła obie rączki dziewczynki. Chciała poprosić Alice, żeby jej zaufała, ale było to pojęcie zbyt trudne dla dziecka na takim poziomie rozwoju psychicznego.

– Wiem, że się boisz, kochanie. To już wielki świat, a ty zetknęłaś się z tym, co w nim najgorsze. – Pogładziła ciepłą buzię Alice. – Ale nie możesz ukrywać się tu ze mną i z Ellie, to żadna przyszłość dla ciebie. Musisz wytknąć stąd nos.

– Zostać.

Julia już miała odpowiedzieć, ale zanim zdążyła się odezwać, usłyszały klakson.

Alice się rozpromieniła.

– Lellie!

Zostawiła Julię i podbiegła do okienka w drzwiach frontowych. Psy popędziły za nią, szczekając na powitanie i w pośpiechu wpadając na siebie. Elwood, pędząc, podciął Alice nogi. Z plątaniny ciał na podłodze dobył się chichot dziewczynki. Jake liznął ją po policzku.

Drzwi frontowe otworzyły się i stanęła w nich uśmiechnięta Ellie, która wtaszczyła do domu choinkę.

Przez następną godzinę siostry męczyły się z drzewkiem, usiłując umieścić je w stojaku i ustawić prosto. Gdy wreszcie im się to udało, obie były spocone.

– Nic dziwnego, że tata zawsze ostro popijał, zanim zabrał się do ustawiania choinki – powiedziała Ellie, cofając się o krok i oceniając efekt długotrwałej pracy.

– Nie stoi idealnie prosto – zauważyła Julia.

– A kim my jesteśmy? Inżynierami NASA? Stoi wystarczająco prosto.

Psy, które wyczuły, że Ellie uporała się ze swoim zajęciem, podbiegły do niej.

– Leżeć, łobuzy! – zdążyła jeszcze krzyknąć, zanim rzuciły się na nią i przewróciły na podłogę.

Alice zachichotała. Gdy wyrwał jej się ten dźwięk, zakryła rączką usta. Spojrzała na Julię i wskazała Ellie.

– Twoja Lellie powinna bardziej panować nad swoimi podopiecznymi – odparła Julia z krzywym uśmiechem.

Ellie wygramoliła się spod leżących psów. Śmiejąc się, odgarnęła włosy z oczu.

– Rzeczywiście, powinnam była nauczyć je dyscypliny, gdy były szczeniakami.

Gdy już wstała, odsunęła się od psów i weszła na schody.

– Dokąd idziesz? – zawołała za nią Julia.

– Zobaczysz.

Po chwili wróciła. Przyniosła kilka wielkich czerwonych pudeł malowanych w poinsecje i postawiła na podłodze obok choinki.

Julia poznała je od razu.

– Nasze ozdoby choinkowe?

– Co do jednej.

Julia podeszła bliżej. Podniósłszy pokrywkę pierwszego pudła, zobaczyła w środku łańcuchy i lampki choinkowe. Żaróweczki były białe, bo mama zawsze mówiła, że to kolor aniołów i nadziei. Obie z Ellie zainstalowały lampki na drzewku, mocując je na gałęziach, tak jak je kiedyś nauczono. Po raz pierwszy od czasów szkoły średniej razem ubierały choinkę.

Kiedy światełka były już na miejscu, Ellie włożyła wtyczkę do kontaktu.

Alice zaparło dech w piersiach.

– Chyba nigdy wcześniej nie widziała świątecznej choinki, jak sądzisz? – zapytała cicho Ellie, stając obok Julii.

Julia skinęła głową na potwierdzenie. Podeszła do pudła z bombkami i wyjęła z niego błyszczące czerwone jabłko. Zawiesiła je sobie na palcu na cienkiej złotej nitce. Klęknąwszy przed Alice, podała jej ozdobę.

– Powieś ją na gałązce, Alice. Żeby drzewko ładniej wyglądało.

Alice zmarszczyła czoło.

– Dżewko?

– Pamiętasz tę książkę, którą czytałyśmy? *Świąt nie będzie*?

– Śfiont. – Kiwnęła głową, ale wciąż miała skupioną minę.

– A pamiętasz opowieść *Czyja to choinka*? Powiedziałaś wtedy: „ładne drzewko”.

– Aha – odparła Alice, wypuszczając powietrze. Zrozumiała, o co chodzi.

Julia pokiwała głową.

Alice ostrożnie wzięła bombkę, jakby to była wata cukrowa, a nie ozdoba z plastiku. Przeszła powoli przez pokój, zrobiła duży krok nad psami i zatrzymała się, patrząc na choinkę. W końcu nanizała złotą pętelkę na czubek najwyższej gałęzi, jakiej mogła dosięgnąć. Potem odwróciła się z niepewną miną.

Ellie z entuzjazmem klasnęła w ręce.

– Doskonale!

Na twarzy Alice pojawił się uśmiech, dzięki któremu zamieniła się na jeden wspaniały moment w całkiem normalną dziewczynkę. Podbiegła do pudełka, wzięła z niego następną bombkę i zaniosła ostrożnie Ellie.

– Lellie. Ładnie.

Ellie schyliła się ku niej.

– Kto mi daje tę śliczną bombkę?

– Dziewczynka. Daje.

Ellie pogłaskała Alice po głowie, odsuwając jej za ucho pasmo włosów.

– Umiesz powiedzieć „Alice”?

Dziewczynka wskazała choinkę.

– Powieś.

– Wychowujesz małego dyktatora, Jules – rzekła Ellie, podchodząc do drzewka.

– Bezimiennego – odparła cicho Julia.

Wciąż męczył ją fakt, że Alice nie wyjawiła im swojego prawdziwego imienia i nie zaakceptowała nowego.

Alice znów podbiegła do pudełka i wybrała kolejną czerwoną ozdobę. Gdy Ellie zawiesiła swoją bombkę, dziewczynka zaczęła klaskać i podskakiwać z radości, a potem popędziła do Julii.

– Lulia. Ładnie.

Jaśniała radością. Julia nigdy nie widziała, żeby dziewczynka uśmiechała się tak wesoło. Podeszła do niej i wzięła ją w objęcia.

Alice zachichotała i przytuliła się do niej.

– Śfionteczne dżewko. Miło.

Julia zaczęła się z nią kręcić w kółko, aż obie straciły dech. Potem, uśmiechnięte, dokończyły ubieranie choinki.

– To najładniejsze drzewko, jakie kiedykolwiek mieliśmy – orzekła Ellie, siedząc na kanapie z kieliszkiem likieru Bailey’s. Nogi miała okryte sztucznym futrem udającym norki.

– To dlatego, że tata kupował największą choinkę na placu, a potem ucinał jej czubek, żeby zmieściła się w pokoju.

Ellie zaśmiała się na to wspomnienie. Już zapomniała, jak to było: piękne, dorodne drzewko z obciętym czubkiem, zajmujące cały kąt pokoju, rozczarowana mama, która karcąco uderzała ojca po ramieniu. „Ty nigdy nie słuchasz, Tom – mówiła. – Choinka nie może mieć odrąbanego czuba. Powinnam wysłać cię po nową”.

Ale była zła tylko przez króciutką chwilę, potem rozpogadzała się, a nawet śmiała. „Ależ, Bren – odpowiadał ojciec tym swoim poważnym głosem. – Dlaczego nasze drzewko ma być takie jak inne? Dzięki mnie jest oryginalniejsze. Zgadzacie się ze mną, dziewczynki?”.

Ellie zawsze odpowiadała pierwsza, głośno przyznawała ojcu rację i biegła do niego, żeby ją uścisnął.

Mając tę scenę przed oczami, po raz pierwszy spojrzała na nią pod innym kątem. Z punktu widzenia drugiej dziewczynki, która była w pokoju, która nigdy nie przyznawała ojcu racji, której o zdanie w ogóle nie pytano.

Popatrzyła na Julię zza kieliszka.

– Jak to możliwe, że ojciec robił to rok w rok? To znaczy, obcinał choince czubek?

Julia uśmiechnęła się.

– Znałaś tatę. Nie liczył się ze zdaniem innych. Choinka nie była dla niego ważna, więc się nią nie przejmował.

– Ale była ważna dla mamy.

– Przecież wiesz, jaki był tata – odparła Julia.

– Jestem taka jak on – zauważyła Ellie. Do tej pory szczyciła się tym faktem.

– Zawsze byłaś. Ludzie cię uwielbiają, tak jak uwielbiali jego.

Ellie wychyliła kieliszek.

– Cal zarzucił mi, że jestem egoistką – wyznała bardzo cicho.

– Tak?

– Powinnaś się zdziwić. Być zdumiona. Powiedzieć coś w tym stylu: jak mu to mogło w ogóle przyjść do głowy?

– Cóż… – odparła Julia, usiłując powstrzymać uśmiech.

– No powiedz, co myślisz – warknęła Ellie.

– Kiedy byłam mała, strasznie durzyłam się w Calu. Jako jedenastolatka marzyłam o nim. Ale on widział tylko ciebie. Chodził za tobą wszędzie. Byłam zazdrosna za każdym razem, gdy wymykałaś się na spotkanie z nim.

– Wiedziałaś, że wychodziłam?

– Miałyśmy wspólny pokój. Myślałaś, że jestem głucha? To, że nigdy cię nie wydałam, nie znaczy, że nie widziałam, co się dzieje. Nawet pamiętam, kiedy z nim zerwałaś. Przez resztę lata przychodził pod nasz dom, rzucał kamykami w okno, ale ty nie odpowiadałaś.

– Obojgu nam przeszło.

Julia spojrzała na nią znacząco.

– Daj spokój. Gdy tylko chłopcy z drużyny piłkarskiej zauważyli twoje cycki, byłaś stracona. Biedny Cal nie miał szans. A kiedy zostałaś cheerleaderką, to już w ogóle… – Wzruszyła ramionami. – Stałaś się gwiazdą w miasteczku, i uwielbiałaś to. Pod tym względem byłaś jak ojciec. Rzuciłaś Cala, ale jakoś udało ci się utrzymać go na swojej orbicie, jak księżyc. Oboje z ojcem mieliście ten magiczny dar. Ludzie za wami przepadali, nawet jeśli czasami byliście skupieni tylko na sobie.

– Więc jestem egoistką. Dlatego moje małżeństwa się rozpadły?

– A jak sądzisz?

– To zadawania takich pytań uczyli cię przez dziesięć lat studiów?

Julia roześmiała się.

– A żebyś wiedziała! I jeszcze jednego: jak się z tym czujesz?

Ellie nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Wysłuchała opinii innych na swój temat, ale sama nie potrafiła się jeszcze do tego odnieść. Na razie zobaczyła samą siebie w innym świetle. Mogła ten wizerunek zmodyfikować albo odrzucić, gdyby chciała. Zawsze uważała się za dobrego człowieka, któremu zależy na innych.

– Jest mi przykro – odparła cicho.

– Dlaczego?

– Bo rzuciłam cię na żer mediom. Chodziło mi o to, żeby… – Chciała powiedzieć: „pomóc Alice”, ale to małe kłamstwo nie przeszło jej przez gardło. Była to tylko część prawdy. – Nie chciałam zawieść. Nie myślałam o twoich uczuciach.

Julia zaskoczyła ją, uśmiechając się.

– Nie przejmuj się.

– Jeśli to ma jakieś znaczenie, nie wiedziałam, że ta przeprawa będzie dla ciebie taka bolesna. Gdybym mogła przewidzieć… – Pod wpływem

spojrzenia Julii zaśmiała się. – No dobra, nic by to nie zmieniło. Ale naprawdę bardzo mi przykro.

– Niepotrzebnie. Alice to moja druga szansa. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła.

Milczały przez chwilę.

– Chciałabym ją adoptować – wyznała Julia w końcu. – Alice powinna mieć poczucie, że gdzieś przynależy, że ma kogoś, nawet jeśli na razie tego wszystkiego nie rozumie. Poza tym potrzebuję jej.

– A co będzie, jeśli ktoś się po nią zgłosi?

Julia odpowiedziała miękko:

– Wtedy potrzebne mi będzie wsparcie siostry, prawda?

Ellie poczuła, że ściska ją w gardle. Zdała sobie sprawę, jak cierpiała, gdy każda z nich poszła swoją drogą, i ile znaczył dla niej fakt, że się znowu odnalazły.

– Możesz na mnie liczyć.

– Alice, nie uważasz. Bawimy się teraz klockami.

Dziewczynka pokręciła głową i uniosła podbródek w geście odmowy.

– Nie. Ładnie.

Zeskoczyła z krzesła i obiegła choinkę. Każda z bombek fascynowała ją, a zwłaszcza czerwone.

Julia mimo woli się uśmiechnęła. Tak było od chwili, gdy ubrały drzewko. Musiały z Ellie tak ustawić stół, żeby Alice widziała wszystkie ozdoby.

– Chodź, Alice. Jeszcze pięć minut z klockami. A potem niespodzianka.

Dziewczynka odwróciła się.

– Nagroda?

Julia kiwnęła głową.

– Ale dopiero jak skończymy zabawę klockami.

Alice westchnęła dramatycznie i wróciła do stołu. Usiadła ciężko na krześle i splotła ręce przed sobą.

Tym razem Julia musiała odwrócić głowę, żeby ukryć uśmiech. Alice szybko uczyła się wyrażać uczucia, co do tego nie było wątpliwości.

– Pokaż mi siedem klocków.

Dziewczynka przewróciła oczami, ale nic nie mówiąc, odliczyła siedem klocków ze sterty przy swoim łokciu.

– Siedem.

– A teraz pokaż cztery.

Alice zabrała trzy klocki z szeregu, który właśnie ustawiła przed sobą.

Julia zdumiała się.

– Poczekaj chwilę. Odjęłaś klocki?

Nie. To niemożliwe! Dziewczynka, jak na razie, potrafiła liczyć do dwudziestu. Dodawanie i odejmowanie było jeszcze dla niej zbyt skomplikowane.

Alice patrzyła na nią obojętnie.

Przedtem, podczas zabawy z klockami, zawsze zaczynała od nowa. Zbierała wszystkie klocki razem i odliczała tyle, ile jej kazano.

– Spieszysz się, żeby dostać niespodziankę, czy udało ci się przypadkiem?

– Nagroda?

– Pokaż mi jeden klocek.

Alice przestała się uśmiechać. Posłusznie odsunęła trzy klocki, pozostawiając tylko jeden.

– Ilu klocków jeszcze potrzebujesz, żeby było sześć?

Dziewczynka uniosła rączkę, pokazując pięć palców.

– Jeśli zabiorę dwa, to ile zostanie?

Alice zgięła dwa paluszki.

– Tsi.

– Potrafisz dodawać i odejmować. – Julia pokręciła głową. – O rany!

– Już?

Julia zaczęła się zastanawiać, jakie jeszcze asy w rękawie ma Alice. Może przyszła pora, żeby przeprowadzić test na inteligencję? Już miała zadać Alice kolejne pytanie, gdy zadzwonił telefon. Poszła do kuchni, żeby go odebrać.

– Halo?

– Wesołych świąt! – powiedziała Ellie.

– Wesołych świąt!

– Przyjeżdżacie?

– Mam nadzieję. Wychodzimy za parę minut.

– Zrobi scenę?

– Być może.

– No to czekamy.

– Dobra. – Julia pożegnała się z siostrą i odłożyła słuchawkę.

Podeszła do Alice i pochyliła się ku niej.

– Julia nigdy by nie zrobiła krzywdy Alice, wiesz o tym?

Na czole dziewczynki pojawiła się zmarszczka.

– Chcę cię zabrać w szczególne miejsce. Pojedziesz ze mną? – Julia wyciągnęła do niej dłoń.

Alice wzięła ją za rękę, ale nie rozchmurzyła czoła. Była zdezorientowana, a dezorientacja, jak zwykle, wywoływała u niej niepokój.

– Najpierw musisz włożyć buty i płaszczyk. Na dworze jest zimno.

– Nie.

Julia westchnęła. Wciąż ta walka o buty!

– Zimno na dworze. – Wzięła podbite sztucznym futrem kalosze i czarny wełniany płaszczyk, który powiesiła wcześniej przy drzwiach. – No już. Będzie niespodzianka, jeśli to włożysz.

– Nie.

– Nie chcesz niespodzianki? No to trudno.

– Czekaj! – zawołała Alice, gdy Julia odeszła. Marszcząc czoło, wsadziła bose stopy do butów, włożyła płaszczyk i poczłapała po drewnianej podłodze. – Śmierdzące buty.

Julia uśmiechnęła się do niej. Słowem „śmierdzący” Alice określała wszystko, co jej się nie podobało.

– Grzeczna dziewczynka. – Julia schyliła się i wzięła ją za rączkę. – Pójdziesz ze mną?

Alice powoli kiwnęła głową.

Julia wyprowadziła ją z domu i podeszła z nią do samochodu Peanut. Otworzywszy drzwi, usłyszała, że z gardła Alice dobywa się ciche warczenie.

– Powiedz to słowami, Alice.

– Zostać. – Dziewczynka wyglądała na przestraszoną.

Ta reakcja nie zaskoczyła Julii. Przewidywała ją. W którymś momencie swojego życia Alice została dokądś zabrana samochodem. Być może, właśnie ta podróż zapoczątkowała dla niej złe czasy.

– Nie skrzywdzę cię, Alice. I nie pozwolę, żeby skrzywdził cię ktoś inny.

Ciemne oczy dziewczynki wydawały się ogromne w pociągłej buzi. Bardzo starała się być dzielna.

– Nie zostawić dziewczynki?

– Nie. Nigdy. – Julia uścisnęła dłoń Alice. – Pojedziemy do Ellie.

– Lellie?

Julia skinęła głową, a potem pociągnęła małą za rączkę.

– Chodź, Alice. Proszę.

Alice przełknęła ślinę.

– Dobrze. – Powolutku wgramoliła się na tylne siedzenie wozu. Julia pomogła jej usadowić się w foteliku, który kupiła w poprzednim tygodniu specjalnie na tę okazję. Kiedy przypięła ją pasami, Alice zaczęła pochlipywać. Po zamknięciu drzwi żałosny płacz dziewczynki przeszedł w wycie.

Julia obiegła samochód i wskoczyła na miejsce kierowcy. Alice zaczęła histeryzować, próbując jednocześnie odpiąć pasy.

– Wszystko w porządku, Alice. Po prostu się boisz. Wszystko w porządku. – Julia powtarzała to raz po raz, dopóki Alice nie uspokoiła się na tyle, by usłyszeć, co się do niej mówi.

– Ja też zapinam pasy, widzisz? Też jestem unieruchomiona.

Alice wyła, szarpała pasy.

– Użyj słów, Alice.

– Puścić! Ploszę! Puścić dziewczynkę!

Julia nagle zrozumiała. „Idiotka!”. Powinna była się tego domyślić. Te blizny na kostkach Alice! Ślady po więzach.

– Och, Alice – powiedziała, czując, że łzy napływają jej do oczu. Może powinna zrezygnować ze swojego planu, spróbować innym razem?

Nie.

Alice będzie musiała odnaleźć się w tym świecie, a dzieci podróżują w nim w fotelikach. Można było jednak pójść na pewne ustępstwa. Julia przesunęła Alice z fotelikiem na środek siedzenia starej półciężarówki i wzięła dziewczynkę za rękę.

– Tak lepiej?

– Bać się. Dziewczynka się boi.

– Wiem, kochanie. Ale nie zostawię cię. Jesteś bezpieczna. W porządku?

Alice popatrzyła na nią spokojnie, z ufnością.

– Uhm.

Julia uruchomiła silnik.

Alice wrzasnęła i kurczowo uścisnęła dłoń Julii.

– Wszystko w porządku, kochanie – Julia powtarzała to, dopóki Alice się nie uspokoiła.

Pokonanie drogi dojazdowej zajęło im prawie dziesięć minut. Gdy dotarły do szosy, Julia prawie straciła czucie w prawej ręce. Nie zważając jednak na to, wciąż przemawiała do Alice.

Zerkając do tyłu, potrafiła określić dokładnie, kiedy zachowanie Alice się zmieniło. Było to na rogu Azalea Street i West End Avenue.

Ściśle rzecz biorąc, pod domem Earla i Myry. W typowy dla siebie sposób para ta udekorowała dom jak na odpust. Na każdej powierzchni błyskały białe światełka. Wielki święty Mikołaj na saniach zataczał łuk nad szczytem dachu w otoczeniu czerwonych i zielonych świateł. Na drzwiach frontowych wisiał błyszczący wieniec z ostrokrzewu, a wzdłuż ścieżki prowadzącej do domu stały małe choineczki z zielonymi lampkami.

Alice wydała okrzyk zachwytu. Po raz pierwszy puściła rękę Julii i wskazała dom.

– Patrz!

Było to równie dobre miejsce, żeby się zatrzymać, jak każde inne. Od posterunku policji dzieliła je tylko przecznica. Julia podjechała do krawężnika i zaparkowała wóz, potem obeszła go i otworzyła tylne drzwi. Gdy tylko odpięła Alice pasy, dziewczynka zsunęła się z fotelika i wysiadła z samochodu.

Na skraju chodnika przystanęła, obejmując spojrzeniem dom.

– Ładnie – sapnęła.

Julia stanęła obok niej.

Alice natychmiast wzięła ją za rękę.

Julia czekała cierpliwie, wiedząc, że Alice lubi się wszystkiemu dobrze przyjrzeć. Liczyła się z tym, że będą tak stały z godzinę.

W pewnej chwili czerwone drzwi domu się otworzyły. Stanęła w nich Myra, ubrana w długą aksamitną czarną spódnicę i czerwony sweter, robiony na drutach. Podeszła do nich powoli, niosąc tacę z ciastkami.

Julia poczuła, że Alice sztywnieje.

– Wszystko w porządku, kochanie. Myra jest bardzo miła.

Dziewczynka schowała się za Julią, ale nie puściła jej ręki.

– Lubisz ciastka? – spytała Myra, zbliżywszy się. – Moja Margery, gdy była w twoim wieku, najbardziej lubiła ciasteczka maślane.

Julia odwróciła się i spojrzała na Alice.

– Pani ma ciasteczka.

– Ciasteczka?

– Sama je upiekłam – podkreśliła Myra, puszczając oko do Julii.

Alice ostrożnie wyjrzała zza swej opiekunki. Błyskawicznym ruchem chwyciła ciastko i wepchnęła je w całości do buzi. Przy trzecim przestała się chować za Julią, tylko stanęła obok, przyciśnięta do jej boku.

– Przyniosłam ci też to – powiedziała Myra, pokazując dziewczynce jaskrawoczerwoną plastikową torebkę. – Margery kiedyś bardzo ją lubiła. Gdy ją teraz zobaczyłam, od razu pomyślałam o tobie.

Oczy Alice się rozszerzyły, a buzia otwarła z wrażenia.

– Czerwona – szepnęła dziewczynka, biorąc torebkę i przytulając ją do policzka.

– Skąd wiesz, że ona uwielbia wszystko, co czerwone? – zapytała Julia.

Myra wzruszyła ramionami.

– Nie wiedziałam.

– Hmm. Przekaż ode mnie Earlowi życzenia świąteczne.

– Jeszcze nie wrócił z próby chóru, ale przekażę. I wzajemnie, wesołych świąt.

Trzymając się za ręce, Julia i Alice poszły Main Street i skręciły w lewo. Na ulicach stało wiele samochodów, ale w ten wybitnie rodzinny wieczór, jakim jest Wigilia, nie widać było ludzi. Na parkingu za ratuszem parkowały tylko trzy wozy.

Julia weszła z Alice po schodach.

– Pójdziemy po Ellie, a potem wybierzemy się razem na spacer. Pokażemy ci piękne światła.

Alice była tak zajęta oglądaniem torebki, że ledwie skinęła głową.

Julia otworzyła drzwi.

Ellie, Cal z trzema córkami, Peanut, Benji oraz dwójka ich nastoletnich dzieci tańczyli na posterunku do akompaniamentu ogłuszających dźwięków *Jingle Bell Rock*. Mel i jego rodzina nakrywali do stołu.

Alice wrzasnęła i zaczęła wyć.

Ellie podbiegła do zestawu stereo i wyłączyła go. Zapadła cisza. Wszyscy spojrzeli po sobie. Cal oprzytomniał pierwszy. Wraz ze swoimi córkami ruszył ku Julii. Alice tymczasem przywarła do niej, starając się zniknąć; znowu zaczęła ssać kciuk.

Cal i dziewczynki zatrzymali się dość blisko. Cal przyklęknął.

– Cześć, Alice. Jestem Cal Wallace, a to moja rodzina, chyba nas pamiętasz. To Amanda, Emily i Sarah.

Alice drżała ze strachu. Mocniej ścisnęła dłoń Julii.

Potem podeszła Peanut z rodziną. Jej mąż, Benji, był wysokim, tęgim mężczyzną z błyskiem w oczach i szerokim uśmiechem. Ani razu podczas przyjęcia nie wypuścił z uścisku ręki żony. Ich syn i córka chcieli sprawiać wrażenie zblazowanych, ale co chwila uśmiechali się jak małe dzieci.

Prezentacja odbywała się spokojnie. Benji przykląkł przed Alice i życzył jej wesołych świąt, a potem poprowadził swoje dzieci ku choince.

Peanut ociągała się z odejściem.

– Nie mogę tam iść – powiedziała do Julii. – Eggnog. Niektórzy są w stanie wypić cały kubek. Ja wolałabym dostać go dożylnie. – Roześmiała się.

Na ten dźwięk Alice uniosła głowę i uśmiechnęła się.

– Naprawdę zdziałałaś z nią cuda – stwierdziła Peanut, pokazując Alice swoje długie czerwone paznokcie. Na każdym widniał połyskujący świąteczny wieniec.

– Dzięki – odparła Julia.

– Chyba dołączę do rodziny. Ale zanim pójdę… – Zbliżyła się do Julii i wyszeptała jej do ucha: – Słyszałam plotkę.

Julia roześmiała się.

– Chyba jej nie docenię.

– Och, właśnie ty docenisz. Wiem z dobrze poinformowanego źródła, równie wiarygodnego jak FBI, że pewien lekarz z miasteczka wybrał się do kina z kobietą. To tak jakby Paris Hilton zamieszkała w kawalerce. Pewne rzeczy nie mogą się zdarzyć. A jednak się zdarzają.

– Poszliśmy po prostu na film.

– Czyżby? – Peanut puściła do niej oko, poklepała ją po ramieniu i odeszła.

Wszyscy wrócili do zabawy, ale tym razem przy ściszonych dźwiękach muzyki. Śmiechy były ciche, rozmowy – jeszcze cichsze. Tło muzyczne stanowiły utwory ze świątecznej płyty tria Vince’a Garibaldiego. Była to muzyka z ulubionego filmu mamy, Julii i Ellie, *A Charlie Brown Christmas*. W pewnym momencie zjawili się Earl i Myra, dźwigający jedzenie.

Alice jak zahipnotyzowana przyglądała się otwieraniu prezentów. W końcu, żeby lepiej widzieć, wyszła zza pleców Julii. Nie odzywała się do nikogo poza Ellie, ale wydawało się, że radość sprawia jej samo oglądanie tego, co się dzieje. Odważyła się nawet podejść do Sarah, która była od niej o parę lat starsza, ale nie bawiła się z nią, tylko stała obok. Obserwowała każdy ruch tamtej i usiłowała ją naśladować. Gdy towarzystwo zaczęło się

rozchodzić, Alice potrafiła już bez niczyjej pomocy ubrać i rozebrać „dyskotekową” Barbie. Po przyjęciu Ellie, Julia i Alice poszły na rynek. Do drodze dziewczynka pokazywała coraz to nowe dekoracje świąteczne i lampki. Szarpała Julię za rękę i ciągnęła ją za sobą. Wszystko przebiegało lepiej, niż można się było spodziewać.

Julia szła obok siostry. Alice biegła przed nimi i co jakiś czas się zatrzymywała. Wskazywała każdą zauważoną ozdobę czy neon.

– Przypomina mi ciebie – powiedziała Julia do siostry. – Zawsze bardzo lubiłaś święta.

– Ty też.

– Ale ja byłam bardziej powściągliwa. We wszystkim.

– Więc jestem hałaśliwa?

Julia się uśmiechnęła.

– Tak. A ja bardziej konwencjonalna.

Szły dalej.

W końcu Julia odezwała się niedbałym tonem:

– Podobno całe miasteczko plotkuje już o Maksie i o mnie.

– Czekałam, kiedy poruszysz ten temat. Co się dzieje między wami?

– Nie wiem – szczerze wyznała Julia. – Coś nas… do siebie ciągnie.

Ellie odwróciła się do niej.

– Nie chciałabym, żebyś cierpiała.

– Wiem – odparła Julia cicho. – Ja też się tego boję.

Alice zatrzymała się przed kościołem Świętego Marka. Wskazała jasno oświetloną szopkę, która stała przed wejściem.

– Ładnie.

Wtedy zaczęły bić dzwony.

Ellie spojrzała na Julię.

– Msza powinna była skończyć się godzinę temu. Dzwoniłam do ojca Jamesa…

Zanim zdążyła dokończyć zdanie, dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się na oścież i wierni, weseli, rozgadani, wylegli na zewnątrz. Ta ludzka rzeka rozlała się we wszystkie strony, spływając po schodach.

Alice zaczęła krzyczeć i wyszarpnęła rączkę z uścisku Julii, żeby zasłonić uszy.

Julia usłyszała jej wrzask, a potem desperacki skowyt. Zwróciła się do dziewczynki:

– Wszystko w porządku, kochanie. Nie bój się…

Alice jednak zniknęła, przepadła w morzu twarzy i ciał.

20

Wokół dziewczynki są sami Oni – obcy, którzy się śmieją, rozmawiają, śpiewają.

Potyka się, niemal przewraca.

A przecież Lulia obiecała.

Jednak nie jest zdziwiona, chociaż czuje rozdzierający ból w piersi i ściskanie w gardle.

Coś jest z nią nie tak. Bardzo nie tak. I zawsze było. On cały czas to mówił. Dlaczego o tym zapomniała? Co gorsza, uwierzyła Lulii, i teraz znowu się boi. Kiedyś ludzi nie było w ogóle, teraz są wszędzie, ale w gruncie rzeczy to żadna różnica. Dziewczynka zna już kilka słów. Zagubiony znaczy zagubiony; człowiek czuje się tak, gdy chce, żeby ktoś go przytulił, a nie ma nikogo, kto by to zrobił. Zagubiony znaczy samotny, nawet jeśli ma wokół siebie mnóstwo ludzi.

Przepycha się przez tłum. Każdy z Nich może ją skrzywdzić. Serce bije jej tak mocno i szybko, że dziewczynka dostaje zawrotów głowy. Oni chcą ją złapać, zatrzymać.

Biegnie i biegnie, aż wreszcie głosy stają się niezrozumiałe i odległe, jak szum jej ukochanej rzeki, gdy śnieg zaczyna topnieć.

Dziewczynka sięga wzrokiem poza miejsce zwane miasteczkiem. Tam są jej drzewa, ciemne teraz, o spiczastych wierzchołkach na tle nieba. Przyjmą ją do siebie, dziewczynka to wie. Mogłaby pójść brzegiem rzeki do swojej jaskini, zamieszkać tam jak kiedyś.

Zimno.

Głód.

Samotność.

Nawet wilk ją zostawił.

Jak może wrócić tam, gdzie jest tylko wielkie nic, kiedy już poznała Lulię i Lellie? Będzie jej brakowało przytulania, ładnych historii o króliczku, który chciałby być prawdziwy. Dziewczynka wie coś o tym, jak to jest, gdy ktoś pragnie być prawdziwy.

Ból w piersi powraca. Przypomina puchnięcie; dziewczynka ma nadzieję, że nie rozsadzi jej żeber. Coś ściska ją w gardle. Czuje to jakby z oddali i zastanawia się, czy z oczu pocieknie jej woda. Chciałaby, żeby tak się stało. Przynajmniej ból w piersi stałby się mniejszy.

Wtedy dostrzega drzewo.

To na nie już kiedyś uciekła. Drzewa zawsze dawały jej schronienie. Biegnie więc i wdrapuje się po gałęziach, coraz wyżej i wyżej, aż wpada w objęcia starego, łysego konaru.

Stara się nie myśleć, jak zupełnie inaczej – lepiej – czuła się w ramionach Lulii.

„Nie opuścić dziewczynki”.

Żałuje teraz, że uwierzyła w tę obietnicę.

Julia obracała się, gorączkowo rozglądając się wokół i rozkładając ręce. Otaczający ją ludzie szli dalej, śmiejąc się, rozmawiając, śpiewając kolędy. Pragnęła krzyknąć, żeby ich uciszyć, poprosić o pomoc w odszukaniu małej dziewczynki. Ich głosy zaczęły huczeć jej w głowie.

– Co się stało? – zapytała Ellie, szarpiąc ją za ramię.

– Zniknęła. – Julia niemal zaczęła płakać. – Jeszcze przed chwilą tu była, trzymała mnie za rękę… A potem z kościoła wyszli ludzie. Musiało ją to przestraszyć. Uciekła.

– Dobra. Nie ruszaj się. Słyszysz mnie?

Julia właściwie nie słyszała. Serce waliło jej jak młotem. Myślała tylko o tym, jak bardzo Alice bała się wsiąść do samochodu, jak przeraziły ją pasy bezpieczeństwa. Ale pokonała strach. To dzielne, okaleczone dziecko pozwoliło się przypiąć, spojrzało na nią tymi smutnymi ciemnymi oczami i spytało: „Nie opuścić dziewczynki?”.

A ona obiecała, przyrzekła, że jej nie zostawi. Zaczęła przepychać się przez tłum, wołając Alice, przyglądając się każdemu, kogo mijała. Wiedziała, że zachowuje się jak wariatka, ale nie dbała o to.

Powiał wiatr, gnając liście po ulicy i po trawniku. Niósł ze sobą zapach niedalekiego oceanu; wiedziała, że jeśli wciągnie tę woń w płuca, poczuje smak łez. Zatrzymała się, próbując zapanować nad ogarniającą ją paniką.

Słyszała głos Ellie, która także wołała Alice, i widziała w parku snop światła latarki.

„Myśl! Co by mogło skłonić Alice do wyjścia z kryjówki?”.

Nagle przyszła jej do głowy muzyka. Alice całymi godzinami stała przy głośnikach, słuchając muzyki. Lubiła wiele piosenek, całe ścieżki dźwiękowe filmów disnejowskich. Ale wśród tych wszystkich, których słuchała, miała jedną szczególnie ulubioną.

Julia zaczerpnęła powietrza i zaczęła śpiewać *Mrugaj, mrugaj, mała gwiazdko*.

Szła przez pusty park, śpiewając.

…Gdzie jesteś…?

Niedaleko odezwał się ptak. Przez chwilę Julia nie zwróciła na to uwagi. A potem uderzyło ją, że ten ptak jej wtórował.

– Alice? – szepnęła.

– Lulia?

Pod Julią ugięły się kolana. Spojrzała w górę, na łyse gałęzie klonu. Siedziała tam Alice i patrzyła na nią z twarzą bladą ze strachu i zdenerwowania.

– Nie odejść?

– Och, kochanie… nie odejść.

Alice zeskoczyła z drzewa.

Julia chwyciła ją w objęcia i przytuliła mocno. Poczuła, że dziewczynka drży, i wiedziała, że musi być przerażona.

Odsunęła głowę.

– Przepraszam, Alice.

Na twarzy dziewczynki pojawił się niepewny uśmiech.

– Ty zostać?

– Tak, kochanie. Zostanę.

Alice dotknęła twarzy Julii, otarła jej łzy.

– Woda nie – podkreśliła z troską w głosie.

– To łzy, Alice. Łzy. Znaczą, że cię kocham.

Nadeszła Ellie, która przykucnęła obok nich.

– Jest nasza dziewczynka – powiedziała z westchnieniem ulgi.

Julia przez łzy spojrzała na siostrę.

– Jak się nazywa miejscowy notariusz?

– John MacDonald. Dlaczego pytasz?

– Zaraz po świętach chcę rozpocząć już starania o adopcję.

– Jesteś pewna?

Julia przycisnęła Alice do piersi.

– Niczego w życiu nie byłam bardziej pewna.

W Boże Narodzenie o dwunastej Max zajrzał do szpitala. Odwiedził swoich pacjentów i kilkoro dzieci na oddziale. Przejechał też na rowerze piętnaście mil, zostawił datek w kościele katolickim i zadzwonił z życzeniami do wszystkich członków rodziny.

Teraz stał w swoim cichym salonie, patrząc przez okno na poszarzałe jezioro. Padał tak ulewny deszcz, że całe podwórko wyglądało jak wyprane z koloru, nawet drzewa.

Powinien był jednak sprawić sobie choinkę. Może to by poprawiło mu nastrój, chociaż nie bardzo wiedział, dlaczego miałoby się tak stać. Przecież od siedmiu lat zdążył się już przyzwyczaić do tego, że nie kupuje drzewka.

Podszedł do kanapy i usiadł, ale natychmiast zrozumiał, że to błąd. Nawiedziły go duchy i wspomnienia. Zobaczył swoją matkę, siedzącą w ulubionym fotelu, oglądającą insekty przez szkło powiększające… i ojca, śpiącego na swoim fotelu z podnóżkiem, z ręką przyciśniętą do pomarszczonego policzka… i Susan, robiącą na drutach jasnoniebieski szal…

Wziął słuchawkę telefoniczną i zadzwonił do szpitala.

– Nic się nie dzieje, jest spokój – usłyszał. – Nie musi pan przyjeżdżać.

Rozłączył się i wstał. Nie mógł przecież tak siedzieć i wspominać minionych świąt. Musiał coś zrobić. Dokądś pojechać. Może wspiąć się na jakiś szczyt albo…

Zobaczyć się z Julią.

Więcej mu nie było trzeba, już sama myśl o niej wystarczyła, żeby odzyskał energię.

Ubrał się, wsiadł do samochodu i pojechał. Chociaż wiedział, że robi z siebie idiotę, nic nie mógł na to poradzić. Musiał się z nią spotkać.

Zapukał do drzwi.

Otworzyła mu właśnie Julia, roześmiana, która akurat coś mówiła. Kiedy go zobaczyła, uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Och, myślałam, że pojechałeś na święta do Los Angeles.

– Zostałem – powiedział miękko. – Jeśli jesteś zajęta…

– Oczywiście, że nie. Wejdź do środka. Napijesz się czegoś? Mamy grzany rum, całkiem niezły.

– Bardzo chętnie.

Zaprowadziła go do salonu, a potem poszła do kuchni. Oczywiście, towarzyszyła jej jak cień mała szczerbata dziewczynka. Wydawały się wręcz nierozłączne.

W rogu pokoju stała wspaniała, pięknie udekorowana choinka.

Ogarnęły go wspomnienia.

„Chodź, Dan, mały człowieku, powiesimy gwiazdkę dla mamy”.

Odwrócił się od drzewka i przysiadł przed kominkiem. Ogień trzaskał i grzał mu plecy. Max wiedział, że nie wysiedzi tu długo, ale przynajmniej nie miał przed oczami choinki. U jego stóp ułożyły się psy.

– No, no, no!

Uniósł głowę na dźwięk głosu Ellie. Stała za kanapą z rękami na biodrach.

– Miło cię znowu widzieć, Max.

– Ciebie również, El.

Obeszła kanapę i usiadła przy nim.

– Wiesz, co mówią w miasteczku?

– Że Trevor McAulley znowu pije?

– Stare wieści. – Spojrzała na niego. Na jej twarzy nie było śladu uśmiechu. Miała oficjalną minę policjantki. – Słyszałam, że zaprosiłeś moją siostrę do kina.

– To sprawa policji?

– Nic nie mówiłam w Święto Dziękczynienia, był uroczysty nastrój i w ogóle, ale… – Ellie nachyliła się ku niemu. Była tak blisko, że czuł jej oddech na szyi. – Jeśli ją skrzywdzisz, oberwę ci jaja. – Odchyliła się do tyłu, znowu uśmiechnięta. – A przecież je lubisz.

– To prawda.

– Więc się rozumiemy. To dobrze. Cieszę się, że mogliśmy pogadać sobie od serca.

– A jeżeli…

Ellie zmarszczyła brwi.

– Jeżeli co?

– Nic.

Wróciła Julia z Alice.

Ellie wstała.

– Idę do Cala. Sprawujcie się grzecznie, wy dwoje.

Wzięła pudełko z pakunkami i wyszła z domu.

Julia podała Maxowi kubek z rumem.

Usiedli obok siebie na kanapie. Żadne z nich się nie odzywało. Alice uklękła u stóp Julii. Mruknęła coś i pacnęła rączką w książkę, którą trzymała na kolanach.

– Powiedz to, Alice – poprosiła Julia spokojnie.

– Poczytać. Dziewczynka.

– Nie teraz. Rozmawiam z panem doktorem.

– Teraz. – Alice ponownie uderzyła w książkę.

– Nie. Później.

– Ploszę!

Julia uśmiechnęła się łagodnie i pogładziła dziewczynkę po rączce.

– Za chwilę, dobrze?

Alice była bardzo rozczarowana. Wetknęła kciuk do buzi i zaczęła przewracać kartki książki.

Julia odwróciła się do Maxa.

– Jesteś niesamowita – stwierdził cicho.

– Dzięki.

Powiedziała to zdławionym głosem i zrozumiał, jak wiele znaczy dla niej ten komplement.

Była na tyle blisko niego, że mogła go pocałować, a on bardzo tego pragnął.

Odsunął się trochę, jakby większy dystans dawał mu poczucie bezpieczeństwa.

Ona jednak zauważyła ten ruch. Oczywiście.

– Co się stało, Max?

Powinien być zaskoczony tym pytaniem, ale nie był.

– Nieważne.

– Myślę, że ważne.

Wciąż siedział na tyle blisko, żeby zauważyć pieprzyk na szyi Julii. Jej pachnący cynamonem oddech owiał mu policzek.

– Miłość – odparł po prostu.

– Uhm – mruknęła. – No to dostaniesz za swoje, nie ma wątpliwości. Dlaczego nie wyjechałeś na święta?

– Przez ciebie.

Spojrzała mu w oczy, jakby szukała w nich odpowiedzi na swoje pytania. Posłała mu smutny, porozumiewawczy uśmiech. Max ciekaw był, co ona myśli.

– Może zagramy w karty? – zapytała.

– W karty? – Nie mógł opanować rozbawienia.

Uśmiechnęła się.

– To jedna z tych rzeczy, które kobieta i mężczyzna mogą robić poza łóżkiem.

– Nic dziwnego, że czuję się zbity z tropu.

Roześmiała się.

– Przynieś karty, Alice.

Dziewczynka uniosła głowę.

– Lulia wygrać?

– Tak, kochanie. Julia spuści łomot panu doktorowi.

Po raz pierwszy od wielu lat w Boże Narodzenie panowała w tym domu świąteczna atmosfera. Nie ma to jak obecność dziecka, żeby gwiazdka nabrała klimatu. Choć oczywiście Alice niewiele z tego rozumiała.

Ellie i Julia obudziły się już o świcie i gdy tylko Alice otworzyła oczy, powiedziały jej, żeby zeszła do salonu.

Prezenty zostały rozpakowane po jednym – zgodnie z rodzinną tradycją – a potem znowu starannie ułożone pod choinką. Z wyjątkiem prezentów dla Alice. Dziewczynka była tak zachwycona paczkami, które dostała, że nosiła je ze sobą przez cały dzień i przyciskała do drobnej piersi. Wszelkie próby odpakowania ich kończyły się histerią.

Zabawki pozostały więc w pudełkach. Już same paczki były dla Alice prezentami.

Prawdę mówiąc, Ellie nie miała ochoty wychodzić z domu, ale wizyta u Cala w Boże Narodzenie należała do nielicznych świątecznych tradycji. Nie zaniedbała tego ani razu. Taki był zwyczaj w Rain Valley – sąsiedzi odwiedzali się w święta, wpadali na kieliszek wina czy kubek gorącej czekolady. Przez całe dzieciństwo Cal w Boże Narodzenie przychodził do Catesów, znajdował u nich na kominku skarpetę ze swoim imieniem i stos prezentów pod choinką. Nikt nigdy nie bawił się w wyjaśnienia, dlaczego

tak się to ustaliło, ale wszyscy znali powód. Cal, który mieszkał z ojcem degeneratem, mógł mieć święta tylko poza domem.

Tradycja ta obowiązywała, dopóki żyli Brenda i Big Tom Cates. Co roku Cal ładował do samochodu żonę i córki i jechał z nimi na drugi brzeg rzeki, na świąteczny obiad u sąsiadów. Nawet po śmierci matki Ellie, gdy zwyczaj nie był już przestrzegany, Boże Narodzenie kojarzyło się Calowi z rodziną Catesów.

Kiedy umarł Tom, nastąpiła zmiana. Przez kilka lat Cal i Lisa zapraszali Ellie do siebie. Próbowali uczynić z tego nową tradycję, ale jakoś się nie udało. Lisa przygotowywała nie te dania, co trzeba, i nastawiała nie tę muzykę. Dla Ellie nie były to święta; czuła się obco.

Tego roku Cal jej nie zaprosił. Pewnie uznał, że skoro Ellie ma nową rodzinę, zechce zostać w domu z Julią i Alice. Ale ona wiedziała, że święta bez Lisy będą dla niego trudne.

Ruszyła podjazdem, po którego obu stronach rosły strzeliste drzewa: wspaniałe jodły i cedry. Ich zielone czubki niemal dotykały niskiego, szarego nieba. Chociaż deszcz ustał, krople wciąż spadały z drzew, tak że krokom Ellie towarzyszyło miarowe kapanie. Z lasu dochodziły też inne dźwięki. Szum wody, świergot ptaków. Wiewiórki przeskakiwały z gałęzi na gałąź, myszy przebiegały z jednej kryjówki do drugiej. Co jakiś czas rozlegało się krakanie wrony czy pohukiwanie sowy.

Te odgłosy były jej tak znane jak trzaskanie ognia na kominku. Bez cienia lęku Ellie skręciła w boczną ścieżkę i zagłębiła się w las.

Nawet nie potrafiłaby zliczyć, ile razy przechodziła przez mostek nad rzeką, idąc z jednego domu do drugiego. Pokonywała tę trasę na tyle często, że na ścieżce nic nie zdążyło wyrosnąć. Nawet w ostatnich latach, gdy korzystało się raczej z samochodu, niż szło na piechotę, ścieżka pozostała niezarośnięta.

Ellie szła po wydeptanej trawie wokół sadu, potem przecięła ogród warzywny i minęła stary staw, w którym jako dziecko łowiła ryby. Gdy przedzierała się przez trzciny i słyszała, jak jej buty plaskają w błocie, powróciło do niej dawno zapomniane echo dziecięcych śmiechów.

„W wodzie jest wąż – wychodź stamtąd, Cal!”.

„To tylko stara gałązka. Przydałyby ci się okulary”.

„To tobie przydałyby się okulary”.

Słyszała w uszach ten śmiech… Przypomniała sobie, jak godzinami siedzieli na brzegu i gadali o niczym.

Szła dalej ścieżką, aż zza zakrętu wyłonił się dom. Przez chwilę spodziewała się, że ujrzy starą, chylącą się ku ziemi chałupę, krytą fałszywym gontem, z wypaczonymi okiennicami i łuszczącymi się oknami oraz gromadą rozjuszonych pitbuli, które szarpią się na łańcuchach.

Zamrugała oczami i wspomnienia znikły. Patrzyła na dom, który Cal zbudował sam po ukończeniu szkoły średniej, jeszcze przed ślubem z Lisą. Pracował wtedy na budowie. Po czterdziestopięciogodzinnym tygodniu pracy wznosił własny dom, i to dosłownie wokół pijanego, bezużytecznego ojca.

Był to niewielki budynek, który rozrastał się stopniowo, zyskując w miarę upływu czasu ostre kąty i dziwne krzywizny. Gdy pojawiały się pieniądze, dobudowywano kolejne pomieszczenia, ale bez ładu i składu. Cal włożył mnóstwo energii, aby stworzyć swojej rodzinie dom, którego sam nie miał w dzieciństwie. W rezultacie powstała osobliwa, kryta gontem chata, stojąca na połaci aksamitnej trawy, w otoczeniu dwustuletnich drzew.

Jak zwykle, świąteczne ozdoby i oświetlenie były pierwszorzędne; ogrodzenie ozdobiono gałęziami choiny. Na drzwiach frontowych wisiał duży wieniec z ostrokrzewu.

Ellie spodziewała się, że usłyszy muzykę dobiegającą ze środka, ale panowała dziwna cisza. Przez chwilę pomyślała, że nikogo nie ma w domu. Zerknęła za siebie i zobaczyła zabawkę Cala – GTO z 1969 roku, które Cal doprowadził do stanu idealnego.

Zapukała do drzwi. Nikt nie odpowiedział, więc zapukała ponownie.

W końcu usłyszała tupot nóg.

Drzwi otworzyły się i stanęły w nich córki Cala, zbite w gromadkę i uśmiechnięte. Jedenastoletnia Amanda wyglądała bardzo dorośle w dżinsach biodrówkach, ze srebrnym, opuszczonym na biodra pasie i w różowej koszulce. Jej długie ciemne włosy zaplecione były w przekrzywiony warkocz, który mógł być dziełem tylko niezręcznych palców ojca. Emily, dziewięciolatka, miała na sobie zieloną aksamitną sukienkę, przynajmniej o numer za dużą, a ośmioletnia Sarah – która jako jedyna odziedziczyła po matce słomiane włosy i jasną, piegowatą cerę – nie zadała sobie trudu, żeby się przebrać, i była w piżamie z wizerunkiem księżniczki Fiony.

Na widok Ellie uśmiechy na ich buziach zgasły.

– To tylko ciocia Ellie – odezwała się Amanda.

Wszystkie trzy wymamrotały:

– Wesołych świąt.

Potem Emily zawołała tatę.

– Dzięki – powiedziała Ellie, patrząc, jak dziewczynki odchodzą.

Cal zszedł po schodach. Poruszał się wolno, jakby dopiero wstał z łóżka. Jego ciemne włosy były potargane. Na lewym policzku miał drobne, zaróżowione odgniecenia. Ubrany był w stare levisy z dziurami na kolanach i postrzępionymi nogawkami. Koszulka z *Metallicą* też pamiętała lepsze czasy.

– Ellie – przywitał ją, próbując się uśmiechnąć. Przechodząc obok córek, objął każdą z nich.

– Wyglądasz okropnie – zauważyła, gdy dziewczynki odeszły.

– A ja miałem ci właśnie powiedzieć, że ty wyglądasz pięknie.

Ellie zamknęła drzwi za sobą i poszła za Calem do salonu, gdzie w kącie stała wysoka, rozłożysta i pięknie przystrojona choinka.

Cal opadł na sofę i położył nogi na miedzianym stoliku do kawy. Westchnął tak głęboko, że lekkie ozdoby choinkowe zaczęły się obracać, podzwaniając cichutko.

Ellie usiadła obok. Była wytrącona z równowagi jego stanem. Potrafił się przecież śmiać w wielu trudnych chwilach, a teraz miałby się załamać? Jeśli on stracił hart ducha, to nie było już nikogo, w kim można by znaleźć oparcie.

– Co się stało? – spytała.

Zerknął za siebie, żeby sprawdzić, czy któraś z córek nie słucha.

– Lisa nie przyjechała na święta… ani na śniadanie, ani na obiad. Nie przysłała prezentów. Powiedziałem dziewczynkom, że dzwoniła, ale zaczynam się niepokoić.

Ellie zmarszczyła czoło.

– Wszystko u niej dobrze?

– Tak. Telefonowałem do jej rodziców. Wyjechała z tym swoim nowym facetem.

– To niepodobne do niej.

Cal spojrzał z namysłem.

– Owszem, podobne – rzekł.

Ellie usłyszała ból, który towarzyszył tym słowom. Wiedziała, że to wszystko, co Cal kiedykolwiek powie o swoim nieudanym małżeństwie.

– Przykro mi.

– Znasz to zresztą, prawda? Rozwód jest jak rana. A rany się goją. Tak zawsze mówiłaś.

Prawda wyglądała tak, że Ellie przy każdym rozwodzie była w zupełnie innej sytuacji. Żadne z jej małżeństw nie trwało dłużej niż dwa lata i nie została porzucona dla innej kobiety. Poza tym nie musiała martwić się o dzieci i ich uczucia.

– Nie sądzę, żeby któreś z moich małżeństw można było porównać z twoim, Cal. Ty pewnie będziesz cierpiał dłuższy czas.

– Niekochanie jej nie może być boleśniejsze niż kochanie. – Zapatrzył się w ogień.

Ellie nie narzucała się ze współczuciem ani słowami pocieszenia. W pewnym sensie było tak jak za dawnych czasów. Potrafili wtedy cały dzień siedzieć na mostku, nie mówiąc nic poza: „Masz jeszcze tę spluwę, no wiesz?”.

– A jak wyglądają wasze święta? – zapytał w końcu.

– Świetnie. Ugotowałyśmy gulasz według przepisu taty i upiekłyśmy chleb kukurydziany babci Dotty. Alice nie bardzo rozumie, o co chodzi z tym całym świętym Mikołajem, który dostaje się do domu przez komin. Nie chciała też odpakować prezentów. Nosi je ze sobą w pudełkach.

– Za rok będzie już wszystko wiedziała. Dzieci szybko się uczą. Pamiętam, jak po raz pierwszy zabrałem Amandę na wędrówkę po domach w Halloween.

– Byliście wtedy i u mnie.

Już prawie się uśmiechnął, Ellie to widziała.

– Uhm. Nie mogła zrozumieć, dlaczego jest przebrana za dynię, ale gdy dostała cukierka, przestała się zastanawiać.

– Miała wtedy na sobie zielony filcowy kapelusz mojej mamy. Dobrze pamiętam?

Cal popatrzył na nią. W jego oczach zobaczyła taką tęsknotę, że miała ochotę go objąć, zapewnić, że wszystko się ułoży.

– Myślałem, że zapomniałaś.

– Jak mogłabym zapomnieć? Przecież jesteś moim przyjacielem od tylu lat.

Westchnął i spojrzał na choinkę. Znowu odniosła wrażenie, że go zawiodła. Zdarzało się to coraz częściej i nie miała pojęcia, z jakiego powodu. Ale przecież na złamanych sercach znała się niewiele lepiej niż na dzieciach. Najmądrzej po prostu będzie zmienić temat, żeby Cal przestał w ten świąteczny dzień myśleć o swojej rozbitej rodzinie.

– Julia chce adoptować Alice. Uważa, że dziecku potrzebne jest poczucie stabilizacji.

– Dobry pomysł. Jak to przeprowadzicie?

– Zaczniemy od wniosku o pozbawienie biologicznych rodziców praw rodzicielskich. Jeśli nikt się nie zgłosi w wyznaczonym okresie, Julia będzie miała wolną rękę.

Minęła chwila, zanim Cal wyraził wątpliwość:

– A jeśli w końcu rodzice czy opiekunowie się zgłoszą? Jeśli do tej pory nie wiedzieli, że mała została odnaleziona?

Ellie i Julia jak zarazę omijały w rozmowach tę kwestię, która mogła obrócić wniwecz ich plany.

– Byłoby fatalnie.

– Sąd w naszym stanie zawsze staje po stronie biologicznych rodziców. Nawet jeśli to męty.

– Wiem – odparła Ellie.

– Więc teraz, zamiast liczyć na to, że się znajdą, macie nadzieję, że tak się nie stanie.

– Na to wychodzi – Ellie urwała, patrząc na niego. Znowu zamilkli. – Gwiazdka bez ciebie to już nie te święta co kiedyś.

– Uhm – mruknął z nikłym uśmiechem. – Wszystko się zmienia.

Ellie nie chciała podążać tym tropem myślenia. Bała się, że jeśli to zrobi, znowu zacznie się zastanawiać nad swoją samotnością. Często jej się to zdarzało, gdy przebywała z Calem. Uświadamiała sobie wtedy, jak wiele ją w życiu ominęło. Wstała więc i poszła do kuchni. Nalała tequili do dwóch szklanek, które umieściła na tacy wraz z solą. Zaniosła tacę do salonu i postawiła ją na stoliku, strącając z niego nogi Cala.

– Co to, tequila? W Boże Narodzenie?

– Czasami nastrój bierze się nie wiadomo skąd, a czasami trzeba go wspomóc. – Ellie wzruszyła ramionami. Usadowiła się obok Cala. – Uszy do góry!

– A po co sól?

– Do dekoracji. – Stuknęła się z nim szklanką i pociągnęła łyk. – Oby przyszły rok był lepszy od tego!

– Amen. – Cal wypił drinka i odstawił szklankę. Odwróciwszy się znowu do Ellie, zaczął się jej przyglądać, jakby coś go zaintrygowało. – Często się zakochiwałaś.

Zaśmiała się.

– I często odkochiwałam.

– Jak to się dzieje, że… wciąż wierzysz w miłość? Jak mówisz komuś, że go kochasz?

Poczuła, że uśmiech tężeje jej na ustach.

– Mówi się łatwo, Cal, gorzej z okazywaniem uczuć. To dopiero trudna sprawa. Współczuję temu nieszczęsnemu facetowi, który się we mnie zakocha. – Chciała się uśmiechnąć, ale nie potrafiła. Cała ta rozmowa coraz bardziej ją przygnębiała. A wzrok Cala jeszcze pogarszał sprawę.

– Dość tego przysmucania. Przecież mamy święta! – zawołała.

Wyniosła do kuchni tacę i szklanki po tequili, a potem podeszła do sprzętu grającego. Nastawiła płytę i podkręciła głośność, żeby wywabić dziewczynki z pokoju, gdzie pewnie oglądały kolejny film z Hilary Duff.

– Co się dzieje? – zapytała Amanda, skubiąc rozplatający się warkocz.

Dziewczynki stanęły obok siebie. Wszystkie miały bardzo smutne oczy jak na ten najradośniejszy dzień w roku.

– Przede wszystkim otwórzcie prezenty.

Uśmiechnęły się, ale słabo.

– A potem zabieram was na kręgle.

Amanda przybrała minę dorosłej osoby.

– Nie gramy w kręgle. Mama mówi, że to rozrywka dla hołoty.

Ellie spojrzała na Cala.

– Czy chcesz powiedzieć, że one nie wiedzą nic o potajemnych kręglach?

Sarah postąpiła krok do przodu.

– Co to są potajemne kręgle?

Ellie pochyliła się ku niej.

– To gra po godzinach, we własnym gronie, przy głośnej muzyce i z całym niezdrowym fast foodem.

– Mama nigdy by nam na to nie pozwoliła – zapewniła Amanda.

– Musicie wiedzieć – wyjaśniała Ellie – że wasz tata i ja pracowaliśmy kiedyś w kręgielni. I dlatego jako jedyne dzieci w Rain Valley dowiedziałyście się o potajemnych kręglach. A teraz wskakujcie w ubrania.

Sarah pociągnęła Ellie za rękaw i zapytała teatralnym szeptem:

– Mogę pójść jako księżniczka Fiona?

– Oczywiście – odparła Ellie. – Podczas potajemnych kręgli możesz mieć na sobie, co tylko chcesz.

Amanda spojrzała na nią.

– A ja mogę się umalować?

Zanim Cal zdążył zareagować, Ellie odpowiedziała:

– Jasne.

Roześmiane dziewczynki wbiegły na schody.

Cal spojrzał na Ellie.

– Nie zakradaliśmy się do Big Bowl od dwudziestu pięciu lat.

– Zadzwonię do Wayne’a i uprzedzę go. Wciąż zostawia klucze w kapeluszu krasnala. Potem możemy włożyć do kasy pięćdziesiątaka.

– Dzięki, El.

Uśmiechnęła się.

– Zapamiętaj to sobie na wypadek, gdybym znowu się kiedyś rozwiodła. Tequila i wieczór w kręgielni.

– Czy to magiczny przepis?

Jej uśmiech zbladł, gdy na niego spojrzała.

– Nie. Ale czasami nic innego nie pozostaje.

21

Zbliżał się koniec stycznia, miesiąca, kiedy niebo ma stalową barwę, ludzie często tracą panowanie nad sobą, a jeszcze częściej gubią kluczyki od samochodów. W całym miasteczku dzieci tkwiły przy oknach, patrząc smętnie na zalane deszczem podwórka; matki musiały poświęcać dodatkowy czas na ścieranie z szyb śladów ich palców.

W domu Catesów jedynym źródłem światła były żarówki, a kapanie deszczu z okapów przypominało przyspieszone bicie serca, które nie chce się uspokoić.

Wszystko to wywoływało u Ellie niepokój.

Nie, właściwie to nie pogoda ją tak rozstrajała. Raczej obecność osoby, która je odwiedziła.

Pracownica Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej siedziała na kanapie sztywno wyprostowana, jakby przerażała ją myśl, że do jej szarych wełnianych spodni przyczepi się wszechobecna psia sierść.

Miejsce obok niej zajmowała Julia, która wyglądała na opanowaną i swobodną w zimowej bieli.

– Ma pani do mnie jeszcze jakieś pytania, pani Wharton?

Uśmiech kobiety był równie nerwowy jak całe jej zachowanie; pojawił się i zniknął. Ellie zdążyła tylko zobaczyć przez chwilę jej krzywy ząb.

– Proszę mówić do mnie Helen. Rzeczywiście, chciałabym jeszcze zadać pani kilka pytań.

Julia uśmiechnęła się jak do zdjęcia.

– Słucham.

Helen odłożyła długopis i spojrzała w drugą stronę pokoju, gdzie bawiła się Alice. Dziewczynka ani razu nie nawiązała z nią kontaktu wzrokowego. Na dodatek, gdy przedstawiono ją nieznajomej, zaczęła wyć i uciekła. Ukryła się za fikusem i dopiero po godzinie wyszła ze swojej kryjówki, a wtedy z kolei zaczęła jeść kwiaty z wazonu.

– Oczywiście, warunki mieszkalne absolutnie nie budzą zastrzeżeń. Pani kwalifikacje zostały uznane za wystarczające do opieki nad… osobą nielet-

nią i nie widzę, by zaszła jakaś zmiana, która zmusiłaby nas do wycofania rekomendacji. Jak wielokrotnie zwracała nam pani uwagę, dziecko rozkwita pod pani kuratelą. Właściwie niepokoję się tylko o panią, doktor Cates. Mogę być szczera?

– Bardzo chętnie wysłucham pani opinii – odparła Julia.

– To dziecko po traumatycznych przejściach. Być może, ma pani rację i nie jest ono autystyczne ani w inny sposób upośledzone umysłowo, ale niewątpliwie będą z nim problemy. Wątpię, czy kiedykolwiek wróci do normy. Zbyt często mamy do czynienia z przypadkami, kiedy ludzie pełni dobrych chęci i wielkich nadziei decydują się adoptować dzieci specjalnej troski, a potem dochodzą do wniosku, że wzięli na siebie zbyt wiele. Państwo dysponuje wspaniałymi ośrodkami dla dzieci… takich jak ta dziewczynka.

– Ona jest inna – powiedziała Julia. – Ma za sobą ciężkie przejścia i wydaje mi się, że nie można przewidzieć, jak ułoży się jej przyszłość. Jak pani wie, Helen, mam szczególne kwalifikacje, by zająć się nią jako pacjentką, a jednocześnie gotowa jestem obdarzać ją miłością rodzicielską. To chyba dla niej idealny układ?

Helen z opóźnieniem przywołała na twarz uśmiech i był on cienki jak odtłuszczone mleko.

– Ta dziewczynka miała szczęście, że na panią trafiła. – Zerknęła na Alice, która stała teraz przy oknie i „rozmawiała” z wiewiórką. Kobieta podniosła się i podała Julii rękę. – Nie widzę powodu, żeby ktoś jeszcze musiał wydać opinię na ten temat. Jako kurator, udzielę pani rekomendacji.

– Dziękuję.

Gdy pracownica opieki społecznej wyszła, uśmiech Julii znikł.

Alice podbiegła do niej i przytuliła się.

– Przestraszona – szepnęła.

– Wiem, kochanie. – Julia uścisnęła ją mocno i pogłaskała po włosach. – Nie lubisz ludzi w okularach. A ta pani miała na sobie w dodatku strasznie dużo błyszczących ozdób, prawda? Ale powinnaś się była do niej uśmiechnąć.

– Śmierdząca pani.

Ellie się roześmiała.

– Muszę przyznać rację temu dziecku. – Podeszła do wieszaka przy drzwiach frontowych i zdjęła z niego kurtkę. – Zadzwonię do Johna i powiem mu, że załatwiłyśmy sprawę z kuratorem. Teraz będzie mógł

wystąpić o wyznaczenie terminu rozprawy i rozpocząć starania o odebranie praw rodzicielskich rodzicom biologicznym.

Wciąż obejmując Alice, Julia podeszła do siostry.

– Ogłoszenia we wszystkich lokalnych gazetach raz na tydzień przez trzy tygodnie, co? W ten sposób ogłosimy to światu.

– Mają sześćdziesiąt dni od pierwszej publikacji, żeby się zgłosić. Potem nie będzie już żadnych przeszkód.

„Oni”.

Biologiczni rodzice Alice.

Choć o tym nie rozmawiały, Julia i Ellie zdawały sobie sprawę, że Alice nie była jak inne zaginione czy porzucone dzieci. Być może, ktoś gdzieś za nią tęsknił, wspominał, nawet jeśli jej nie szukał. Któreś z rodziców mogło objawić się w każdej chwili, nawet po latach, i niewątpliwie miałoby większe prawa do dziecka niż Julia.

Ellie wiedziała, że siostra myśli o tym i cierpi, jednak zdecydowała się podjąć starania o adopcję. Uznała, że lepiej stworzyć Alice dom i martwić się o przyszłość, niż pozwolić jej spędzić życie w stanie zawieszenia, w oczekiwaniu na biologicznych rodziców, którzy mogą się nigdy nie zjawić.

– Cóż, muszę iść do roboty – przypomniała Ellie. – Pa, Alice!

Dziewczynka ją uścisnęła.

– Pa, Lellie!

Ellie odwzajemniła uścisk.

– Cal powiedział, że dziewczynki wcześniej dziś kończą lekcje. Po lunchu wpadnie tu z Sarah.

– Podziękuj mu – odparła Julia. – Może tym razem Alice odezwie się do niej. – Pogładziła dziewczynkę po szyi. – Tak, maleńka?

Alice zachichotała radośnie.

Ellie wyszła z domu i wsiadła do swojego cruisera. Nacisnąwszy klakson – Alice uwielbiała ten dźwięk – odjechała.

Po Bożym Narodzeniu i Nowym Roku Rain Valley powróciło do zwykłego zimowego trybu życia. Na ulicach w centrum miasteczka często nie widać było ani samochodów, ani przechodniów. Knajpki wcześniej zapełniały się klientami i dłużej panował w nich ruch. Ellie, Earl i Mel na zmianę ustawiali się na poboczu autostrady, żeby łapać kierowców, którzy uważali, że mogą po paru piwach zasiąść za kierownicą wozu. Kinowa widownia

podczas popołudniówek po brzegi wypełniała się dziećmi, a przed kręgielnią nie sposób było znaleźć miejsca parkingowego.

Doniesienia na temat latającej dziewczynki z wilkiem zniknęły z gazet. Nawet Mort znalazł ciekawsze tematy, jak wstrząsy sejsmiczne na Mount St. Helens czy usankcjonowane prawnie polowania na wieloryby, urządzane przez plemię Makah.

Dni na posterunku znowu upływały leniwie. W Rain Valley zapanował spokój i ludzie odpowiedzialni za utrzymanie porządku byli z tego zadowoleni. Cal miał więcej czasu na czytanie komiksów i szkicowanie, bo telefon dzwonił rzadko. Peanut ustalała plan dyżurów, uwzględniając rodzinne potrzeby pracowników, i w odpowiednim czasie wypłacała im pobory.

Krótko mówiąc, życie toczyło się całkiem przyjemnie.

Ellie zajechała pod okienko kawiarni Ancient Grounds, dostała swoją dużą mokkę z mlekiem i ruszyła na posterunek. Zaparkowała wóz na stałym miejscu za budynkiem i weszła do środka tylnymi drzwiami. Zajrzała do pokoju śniadaniowego, żeby sprawdzić, co jest w lodówce, gdy przybiegła Peanut i zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Ellen! – powiedziała scenicznym szeptem, zarezerwowanym dla Wielkiej Nowiny.

Ellie upiła łyk kawy i spojrzała na zegar. Było wpół do dwunastej, wczesna pora jak na sensacje.

– Niech zgadnę: z *Survivora* odpadł nie ten uczestnik.

Peanut cmoknęła ze zniecierpliwieniem:

– *Survivor* się skończył.

Ellie zamknęła lodówkę.

– Dobra, to co tam masz w zanadrzu, dziewczyno?

– Tylko nie strać głowy. Cal i ja niepokoimy się o ciebie.

– Uważacie mnie za idiotkę? Miło wiedzieć.

– Przecież wiesz, że odbiera ci rozum w obecności pewnych mężczyzn.

– Nie przyznam ci racji. A w ogóle jedyny przystojny facet w tym miasteczku napalił się na moją siostrę.

– Już nie.

– Max już nie interesuje się Julią?

Peanut trzepnęła ją po ramieniu.

– Skup się – powiedziała.

Ellie zmarszczyła czoło.

– O czym ty mówisz?

– Czeka na ciebie jakiś facet.

– No i co z tego? O co tyle szumu?

– Jest rewelacyjny. I nie chce rozmawiać z nikim innym, tylko z tobą.

– Żartujesz?!

– Powinnaś zobaczyć jego uśmiech. Właśnie czegoś takiego się obawiałam.

Ellie wychyliła się z pokoju i zerknęła w głąb korytarza. Zobaczyła, że przed jej biurkiem, odwrócony plecami, siedzi mężczyzna ubrany na czarno.

– Kto to jest?

– Nie chciał się przedstawić. Ani zdjąć okularów przeciwsłonecznych. – Prychnęła. – Musi być z Kalifornii.

Ellie cofnęła się do pokoju i wzięła torebkę. Pięć minut w łazience wystarczyło jej, żeby umyć zęby i poprawić makijaż. Po powrocie zapytała Peanut:

– Jak wyglądam?

– Oj, niedobrze. Chyba zamierzasz iść na całość.

– Ugryź mnie, wiesz gdzie. Nie byłam na randce od miesięcy. – Ellie wygładziła mundur, strzepnęła niewidzialne drobinki kurzu z trzech złotych gwiazdek na kołnierzu i weszła do głównego pomieszczenia. Peanut pospiesznie podążyła za nią.

Usłyszawszy kroki, Cal uniósł głowę. Od razu zauważył makijaż Ellie. Spojrzał na mężczyznę po przeciwnej stronie biurka i pokręcił głową.

– Co za niespodzianka – mruknął.

Ellie szła w kierunku nieznajomego.

– Dzień dobry. Jestem komendant Barton – przedstawiła się, obchodząc biurko. – Jak rozumiem…

Mężczyzna odwrócił się.

Ellie zapomniała, co chciała powiedzieć. Zobaczyła wydatne kości policzkowe, pełne usta i masę niesfornych ciemnych włosów. Mężczyzna zdjął okulary, odsłaniając elektryzujące niebieskie oczy.

„Matko moja”.

Usiadła, zapominając o podaniu mu ręki.

– Przyjechałem z daleka, żeby się z panią zobaczyć – powiedział zmęczonym, poważnym głosem.

„Dziwny akcent. Ledwie słyszalny, ale zawsze”. Nie potrafiła go jednak określić. Może australijski. Albo cajuński. Uwielbiała facetów z takim

akcentem.

– Nazywam się George Azelle. – Włożył rękę do kieszeni i wyjął złożony kartonik, który położył na biurku.

Wtedy go rozpoznała.

– Widzę, że kojarzy mnie pani. – Pochylił się, podsuwając kartonik. – Proszę się nie krępować. Wszyscy tak na mnie patrzą, już się do tego przyzwyczaiłem. Jestem tu z jej powodu.

– Jej…?

Rozłożył kartonik, który położył na blacie. Było to zdjęcie Alice.

– Jestem jej ojcem.

– Alice, ile razy będziemy prowadziły tę samą dyskusję? – Julię rozśmieszyło to, co powiedziała. Obie z Alice robiły ostatnio razem wiele rzeczy, jednak żadnej z nich nie można by nazwać dyskusją. – Włóż buty.

– Nie.

Julia podeszła do okna i wskazała na zewnątrz.

– Pada deszcz.

Alice usiadła na podłodze.

– Nie.

– Idziemy do restauracji. Pamiętasz, co to jest restauracja? Byłyśmy tam w zeszłym tygodniu. Jadłaś pyszny placek. Wkładaj buty.

– Nie. Śmierdzące buty.

Julia w odpowiedzi tylko machnęła rękami z dramatyczną rezygnacją.

– No to dobrze. Zostaniesz tu z Jakiem i Elwoodem. Może przywiozę ci kawałek placka.

Poszła do kuchni. Powolnym, nieco teatralnym ruchem wzięła klucze i torebkę, a potem włożyła płaszcz. Była w połowie drogi do drzwi, gdy usłyszała, że Alice wstaje.

– Dziewczynka idzie?

Odwróciwszy się, Julia powściągnęła uśmiech. Alice stała ze skrzywioną miną, która wyrażała niepokój i złość. Ogrodniczki miała poplamione farbą po zajęciach plastycznych. Julia zamierzała okazać stanowczość, powiedzieć: „Przykro mi, ale nie pójdziesz bez butów, nie do restauracji” i udać,

że wychodzi, podczas gdy Alice pospiesznie włożyłaby buty. Tak postąpiłaby ze zwykłym dzieckiem, które się upiera.

Jednak podeszła do dziewczynki i uklękła przy niej, żeby spojrzeć jej prosto w oczy.

– Pamiętasz, co mówiłam o zasadach postępowania?

– Dobra dziewczynka. Zła dziewczynka.

Julia skrzywiła się na to podsumowanie, ale zdawała sobie sprawę, że normy społeczne są trudnym pojęciem dla dziecka. Ich zrozumienie i przyswojenie wymaga lat; to zresztą oznaka socjalizacji. Żadne społeczeństwo nie mogłoby funkcjonować bez zasad regulujących ludzkie zachowania.

– W niektórych miejscach małe dziewczynki muszą nosić buty.

– Dziewczynka nie lubi.

– Wiem, kochanie. A może zrobimy tak: do samochodu wsiądziesz bez butów. Włożysz je w miasteczku, a potem, gdy będziemy już wyjeżdżać, znowu je zdejmiesz. Dobrze?

Alice zmarszczyła brwi, rozważając propozycję.

– Ale skarpetki nie.

– Niech ci będzie.

Alice posłusznie przeszła przez pokój i wyjęła buty z szafki przy drzwiach. Nie zadając sobie trudu, żeby włożyć płaszczyk, wyszła na dwór.

Gdy stanęła na ganku, po niebie przepłynęła chmura, rzucając cień na podwórko. Mżawka zamieniła się w drobne płatki śniegu, które osiadały na ciemnej główce dziewczynki i jej zwróconej ku górze twarzy, natychmiast zamieniając się w kropelki marznącej wody.

– Patrz, Lulia! Ładnie!

Padał śnieg, a Alice boso. Świetnie!

Julia chwyciła płaszczyk dziewczynki i narzuciwszy go na jej ramiona, wzięła małą na ręce. Była w połowie drogi do samochodu, gdy usłyszała, że dzwoni telefon.

– To pewnie ciocia Ellie chce nam powiedzieć, że śnieg pada.

Przypięła Alice do fotelika na tylnym siedzeniu wozu.

– Paskudnie. Ciasno. Źle – powiedziała Alice, przypominając sobie różne słowa związane z nieprzyjemnymi odczuciami. – Śmierdzące.

– Pasy nie są śmierdzące i zapewniają bezpieczeństwo.

To sprawiło, że Alice zamilkła.

Julia włożyła płytę do odtwarzacza i ruszyła.

Alice przesłuchała muzykę z *Pete's Dragon* siedem razy bez przerwy. Najbardziej lubiła piosenkę *Candle in the Water*. Gdy utwór dobiegał końca, wołała: „Jeszcze raz", dopóki Julia nie nastawiła go ponownie.

W końcu zajechały przed Rain Drop, gdzie Julia zatrzymała samochód.

Piosenka się urwała.

– Jeszcze raz! – poprosiła dziewczynka.

– Nie, Alice. Nie teraz. – Julia schyliła się, usiłując włożyć buty na brudne stopy Alice. Przypominało to wkładanie rękawiczek chirurgicznych na mokre dłonie. – Następnym razem podszyję ci filcem skarpetki.

Wysiadła z wozu i podeszła do drzwi po stronie Alice. Uśmiechając się, otworzyła je.

– Jesteś gotowa?

W oczach Alice pojawił się lęk, ale kiwnęła głową.

– Dzielna dziewczynka. – Julia pomogła jej wysiąść z samochodu.

Mała powoli, z opuszczonym wzrokiem, ruszyła do restauracji.

– Nie bój się. Jestem z tobą. Nie zostawię cię.

Dziewczynka ścisnęła jej rękę tak mocno, że Julię to zabolało, ale nie powiedziała ani słowa.

Otworzyła drzwi. Nad nimi brzęknął dzwonek. Na ten dźwięk Alice wrzasnęła i przywarła do Julii.

Ta schyliła się, żeby przytulić ją do siebie.

Przy kasie, jedna przy drugiej, stały siostry Grimm. Najwyraźniej hałas przy drzwiach zwrócił ich uwagę, bo wszystkie trzy spojrzały na Alice. Za nimi stała Rosie Chicowski, która wetknęła ołówek w swoje różowe, upięte w kok włosy. Po lewej stronie siedział samotnie stary drwal.

Wszyscy patrzyli na przybyłe.

Powinny były zjawić się godzinę wcześniej, w porze między śniadaniem a lunchem, kiedy nie było klientów. Julia zrobiła tak w poprzednim tygodniu i miały całą salę dla siebie. Teraz zatrzymała się w pół kroku.

Natomiast siostry Grimm jak jeden mąż ruszyły przed siebie; Julii skojarzyły się nagle z jeźdźcami Apokalipsy. Śmierć w tym wypadku podróżowała w starej urnie, niesionej przez jedną z kobiet.

Siostry przyjrzały się Julii, a potem Alice.

Julia odwzajemniła się spojrzeniem.

Alice prychnęła nerwowo i pociągnęła Julię za rękę.

Violet włożyła tymczasem dłoń do torebki i wyjęła purpurową plastikową portmonetkę.

– To dla ciebie. Moja wnuczka uwielbia takie rzeczy.

Oczy Alice rozbłysły na widok prezentu. Dotknęła go bojaźliwie, a potem wzięła w rączkę i przytuliła do policzka. Po chwili podniosła wzrok na Violet i powiedziała:

– Kuję pani.

Trzy kobiety głośno wciągnęły powietrze z wrażenia i spojrzały na siebie, a następnie na Julię. Wszystkie się uśmiechnęły.

– Uratowałaś ją – stwierdziła Daisy szorstkim głosem, najwyraźniej poruszona.

– Mama byłaby z ciebie dumna – dodała Violet, oczekując od sióstr potwierdzenia.

Kiwnęły głowami.

Julia uśmiechnęła się również. Po raz pierwszy poczuła się doceniona w tym miasteczku. I akceptowana.

– Dziękuję. Nie udałoby mi się to bez pomocy was wszystkich. Przecież chroniło nas całe miasteczko.

– Jesteś jedną z nas – odparła zwyczajnie Daisy.

Cała trójka odwróciła się i wyszła z restauracji.

Mocniej chwyciwszy Alice za rękę, Julia zaprowadziła ją do przedziału w kącie sali. Zamówiły u Rosie grillowane kanapki z serem, frytki i koktajle mleczne. Nie podano im jeszcze jedzenia, gdy dzwonek nad drzwiami znowu zadźwięczał.

Alice spojrzała w tamtą stronę i stwierdziła rzeczowo:

– Max.

Max nie zauważył ich, dopóki nie zamówił lunchu i nie odwrócił się.

Kiedy spojrzał na nią, Julii drgnęło serce.

– Cześć – powiedział.

Uśmiechnęła się do niego.

– Nie umówił się pan z nikim na lunch, doktorze?

– Nie.

– To może się pan do nas przysiądzie?

Max spojrzał na Alice.

– Mogę usiąść obok ciebie?

Jej drobna buzia wyrażała namysł.

– Nie skrzywdzić Lulii?

Wydawał się zaskoczony tym pytaniem.

– Ależ skąd, nie przyszłoby mi to głowy! – Kiedy zobaczył, że Alice nie rozumie, rzekł miękko: – Nie skrzywdzić Lulii.

Dziewczynka przesunęła się, żeby zrobić mu miejsce.

Usiadł naprzeciwko Julii. Jeszcze nie zdążył się usadowić, gdy zjawiła się przy nim Rosie, uśmiechnięta od ucha do ucha.

– To tak jakby być świadkiem lądowania na Księżycu – stwierdziła. – Wiedziałam, że to prawda, co o was mówią. – Przetarła blat stołu przed Maxem.

– Alice jest moją pacjentką – odparł spokojnie.

Rosie zmrużyła mocno umalowane oko ze sztucznymi rzęsami.

– Jasne.

Kiedy odeszła, Max stwierdził:

– Zanim zjem kanapkę, całe miasteczko będzie wiedziało o naszym spotkaniu. Każdy pacjent, którego zobaczę w przyszłym tygodniu, nie omieszka zapytać mnie o ciebie.

Kilka minut później Rosie przyniosła lunch.

– Kuję pani – odezwała się Alice, posyłając kelnerce szczerbaty uśmiech.

Rosie wróciła do kuchni.

Julia miała właśnie powiedzieć Alice, żeby jadła po jednej frytce, kiedy uświadomiła sobie, że Max patrzy na nią.

Odpowiedziała na to spojrzenie i dostrzegła lęk w niebieskich oczach. Bał się jej, ich obu. Rozumiała ten strach; towarzyszył jej przez większość życia. Już namiętność to niebezpieczna rzecz, a co dopiero miłość! Najczęściej właśnie ona rujnowała życie pacjentom – albo jej nadmiar, albo brak. Jednak Alice zdążyła już nauczyć lekarkę czegoś o miłości… i odwadze.

Julię ogarnęło dziwne uczucie, jakby odsłonił się przed nią jakiś cud. Ona już się nie bała.

– Zbliż się – poprosiła cicho.

Marszcząc czoło, Max nachylił się ku niej.

Pocałowała go. Przez ułamek sekundy stawiał opór, a potem uległ.

Alice zachichotała.

– Całusy.

Kiedy Max cofnął głowę, był blady.

Julia zaśmiała się.

– Niech ludzie mają o czym plotkować.

I jak gdyby nigdy nic wrócili do jedzenia. Później, gdy już stali przy drzwiach, wkładając płaszcze, Julia ośmieliła się pogładzić go po ramieniu. Pocałowali się już publicznie w usta; co przy tym znaczy muśnięcie ręki?

– Zabieram Alice do ośrodka łowieckiego w Sequim. Chcesz nam towarzyszyć?

Max spojrzał na zegarek, a potem rzekł:

– Pojadę za wami.

Julia wyprowadziła Alice z restauracji i posadziła ją w samochodzie. Gdy podjeżdżały pod zachodnią bramę ośrodka, sypał gęsty śnieg. Z nieba spływały duże, puszyste płatki. Część ich już nie topniała; osiadały nierówną warstwą na ogrodzeniach i na ziemi.

Julia podjechała pod drewniany domek, w którym mieszkał właściciel ośrodka. Na ganku siedziała para niedźwiadków obgryzających grube kawałki drewna.

– Musisz włożyć buty, rękawiczki i płaszczyk, Alice – oznajmiła Julia.

– Nie.

– To zostaniesz w samochodzie. – Wzięła swoje rzeczy i wysiadła z wozu.

Podeszła do Maxa, który stał przy swoim samochodzie. Sypał śnieg, kłując igiełkami chłodu nos i policzki Julii.

– Na co czekamy? – spytał Max.

– Zobaczysz.

Drzwi samochodu Julii się otworzyły. Wysiadła Alice. Była już ubrana odpowiednio do pogody, tyle że zamieniła buty i włożyła je odwrotnie.

Z domu wyszedł Floyd, ubrany w wełnianą bluzę z kapturem. Minąwszy bawiące się niedźwiadki, zszedł po stopniach i przeciął zaśnieżone podwórko.

– Dzień dobry, doktor Cates, doktorze Cerrasin. – Podszedł do Alice i przykląkł. – A ty musisz być Alice. Znam twojego przyjaciela.

Alice schowała się za Julię.

– Wszystko dobrze, kochanie. To ta niespodzianka.

Alice uniosła głowę.

– Niespodzianka?

– Proszę za mną – powiedział Floyd.

Uszli zaledwie trzy kroki, kiedy rozległo się wycie.

Alice spojrzała na Julię, która skinęła głową.

Dziewczynka pobiegła w kierunku, z którego dobiegał dźwięk, smutny i tęskny. Zanim przebrzmiał, przez chwilę zdawał się unosić w zimnym powietrzu. Alice zawyła w odpowiedzi.

Spotkali się przy ogrodzeniu z siatki: mała dziewczynka w czarnym wełnianym płaszczyku i za dużych butach, włożonych odwrotnie, i wilk, który osiągnął już połowę rozmiarów dorosłego osobnika.

Floyd podszedł do bramy. Alice znalazła się przy nim, skacząc z radości.

– Otworzyć. Dziewczynka się bawi.

Mężczyzna manewrował przy zamku. Kiedy go otworzył, zwrócił się do Julii:

– Jest pani pewna, że to bezpieczne?

– Jestem pewna.

Floyd otworzył bramę.

Alice wślizgnęła się do zagrody. Chwilę później ona i wilk radośnie toczyli się po ziemi jak szczeniaki baraszkujące na śniegu. Za każdym razem, gdy wilczek lizał ją po policzku, Alice chichotała.

Floyd zamknął bramę. Stał przy niej, patrząc na dziewczynkę i swojego podopiecznego.

– Po raz pierwszy, odkąd tu jest, przestał wyć.

– Ona też za nim tęskniła – zauważyła Julia.

– Czy pani sądzi, że…

– Nie wiem, Floyd.

Zamilkli, obserwując Alice i wilczka bawiących się w zagrodzie.

– To zdumiewające, czego dokonałaś – powiedział Max.

Uśmiechnęła się.

– Dzieci łatwo się kształtuje.

– Nie zawsze. – Odpowiedział tak cicho, że Julia z trudem to usłyszała.

Chciała zapytać, co on ma na myśli, ale zanim sformułowała pytanie, dobiegło ją wycie syreny.

– Słyszysz?

Kiwnął głową.

Dźwięk, początkowo odległy, zaczął się szybko przybliżać.

Kiedy wśród padającego śniegu rozbłysły światła wozu, Floyd ruszył do akcji. Chwycił Alice za płaszczyk i wyciągnął ją z zagrody, a potem zatrzasnął bramę.

Alice upadła na kolana i zawyła żałośnie.

Policyjny cruiser zajechał na podwórko i zatrzymał się. Światła pozostały włączone i błyskały czerwienią. W tym surrealistycznym świetle do Julii i Maxa podeszła Ellie.

– Znalazł się – powiedziała bez wstępów.

– Kto? – zapytała Julia, ale kiedy Ellie spojrzała na Alice, domyśliła się.

– Ojciec Alice…

Max wniósł malutką do domu. Ważyła bardzo niewiele.

Starał się nie myśleć o tym, jak naturalnie się czuł, niosąc dziecko; niektóre czynności były zakodowane głęboko w pamięci i przychodziły równie instynktownie jak oddychanie.

Próbował położyć ją na kanapie, żeby móc rozpalić ogień.

Ona jednak nie chciała go puścić, nie chciała zdjąć rąk z jego szyi i przez cały ten czas, gdy niósł ją wokół domu i rozniecał ogień, wyła cicho, tak że pękało mu serce.

W końcu usiadł na kanapie i przytulił ją do siebie. Miała zamknięte oczy; jej policzki były jeszcze zaróżowione z zimna. Dźwięk, który wydawała – bardziej zawodzenie niż skowyt – był ucieleśnieniem poczucia straty. Zbyt wielkie cierpienie, zbyt mało słów, żeby je wyrazić.

„Nie patrz na nią – powiedział sobie. – Nastaw film albo włącz muzykę”.

Odchylił się i zamknął oczy. Od razu zrozumiał, że popełnia błąd. W wyobraźni usłyszał płacz dziecka. „Moja rybka przestała pływać, tatusiu. Pomóż jej”.

Mocniej objął Alice.

– Wszystko w porządku, maleńka. Popłacz sobie. Dobrze ci to zrobi.

Na dźwięk jego głosu gwałtownie zaczerpnęła powietrza i spojrzała. To uświadomiło mu, że odezwał się do niej po raz pierwszy, od kiedy opuścili ośrodek łowiecki.

– Julia musiała pojechać z Ellie na posterunek. Obie niedługo wrócą.

Alice zamrugała zdumiewająco suchymi oczami. Max zaczął się zastanawiać, czy ona w ogóle umie płakać. Sama myśl o tym, że nie potrafiłaby w ten sposób wyrazić bólu, wydała mu się okropna.

– Lulia nie zostawi dziewczynki?

– Nie. Julia wróci.

– Do domu, do dziewczynki?

– Tak. – Odgarnął jej wciąż wilgotny lok za ucho.

– Wilk? – Usta jej zadrżały. Była to trudna, złożona sprawa, a zapytała o nią przy użyciu jednego tylko słowa.

– Wilk ma się dobrze.

Pokręciła głową i nagle Maxowi wydała się zbyt dorosła, zbyt świadoma jak na tę swoją dziecięcą buzię.

– Nie. W niewoli. Źle.

– Powinien być wolny – odparł Max, rozumiejąc ją bez trudu.

– Jak ptaki.

– Ty coś wiesz o niewoli, prawda? – Wpatrywał się w jej drobną buzię w kształcie serca. Chociaż pragnął odwrócić wzrok, nie był w stanie tego zrobić. Alice przypomniała mu minione chwile. Zadziwiające jednak, że były to miłe wspomnienia, przynajmniej większość. Pochodziły z czasów, gdy potrafił odczuwać błogi spokój… kiedy trzymając dziecko w ramionach, śmiał się, a nie płakał.

– Poczytać dziewczynce? – Alice wskazała otwartą książkę, która leżała na stoliku do kawy.

Max wziął tom do ręki. Alice usadowiła się tuż przy nim. Objął ją ramieniem i rozłożył książkę.

Dziewczynka wskazała początek strony, pamiętając dokładnie, gdzie ostatnio Julia skończyła czytanie.

Max zaczął czytać:

– *My nie mamy być prawdziwi – powiedział pluszowy konik. – Ale możemy się tacy stać. Kiedy jakieś dziecko kocha cię przez długi, długi czas, nie tylko się tobą bawi, ale naprawdę cię kocha, wtedy stajesz się prawdziwy*. – Załamał mu się głos.

„Poczytaj mi, tatusiu”.

Poczuł na policzku rączkę Alice, która próbowała go pocieszyć. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że płacze.

– Uuu – powiedziała.

Spojrzał na nią, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio płakał.

– Lepiej już? – pytała.

Usiłował się uśmiechnąć.

– Lepiej.

Alice przytuliła się do niego. Zamknął książkę i zaczął opowiadać jej inną historię, o której tak długo starał się zapomnieć. Jednak dobrze było opowiedzieć to wszystko komuś, nawet jeśli ten ktoś zasnął, zanim Max doszedł do najsmutniejszej części, tej, przy której znowu w jego oczach pojawiły się łzy.

22

– DNA się zgadza? – zapytała Julia.

W ciszy, która panowała w samochodzie, jej pytanie zabrzmiało głośniej, niżby chciała. Z powodu śniegu i zapadającej nocy miała wrażenie, że znajdują się w jakimś kokonie w przestrzeni kosmicznej.

– Nie jestem ekspertem – przypomniała Ellie – ale raport z laboratorium nie pozostawia wątpliwości. DNA Alice odpowiada DNA jego i żony. I facet wiedział o znamieniu. Dzwoniłam do FBI. Jutro rano dowiemy się więcej. Ale…

– Jak brzmi jej prawdziwe imię?

– Brittany.

– Brittany. – Julia próbowała oswoić się z tym imieniem, sprawdzić, jakie wywołuje u niej skojarzenia. Pomyślała, że jeśli się skupi na drobnych sprawach, takich jak ta – małych zadaniach – nie będzie myślała o rzeczach zasadniczych. Alice – Brittany – nie jest jej córką. Cały czas liczyła się z takim rozwiązaniem, przecież od początku o to właśnie chodziło, żeby Alice wróciła do swojej prawdziwej rodziny. Nie miało znaczenia, że nieopatrznie pokochała to dziecko. Najważniejsze było ono. I tego Julia postanowiła się trzymać.

– Dlaczego tak późno się zgłosił?

Ellie skręciła na parking i wjechała na miejsce oznaczone tablicą z napisem: *Komendant policji*.

Julia patrzyła na ten napis, który jaśniał w świetle reflektorów, ale jednocześnie był mało widoczny z powodu zawiei. Odniosła wrażenie, że tego wieczoru wszystko stoi w sprzeczności ze sobą.

– Rozumiem, że masz robotę do wykonania, El. Ja zresztą też. Za bardzo zaangażowałyśmy się w tę sprawę. Wiem o tym. Ale jestem zawodowcem. Możesz mi wierzyć, że zawsze byłam świadoma ryzyka, które podejmuję, i potrafię ocenić obiektywnie, co jest dla Alice najlepsze.

– To drętwa mowa, ale wiem, co chcesz powiedzieć. – Ellie odwróciła się do niej. W dziwnej grze światła i cienia jej twarz wydała się nagle szara

i postarzała. – Jest jednak pewien problem.

– Jaki?

– Wiesz, kto to jest George Azelle?

Julia wytężyła pamięć. Po chwili przypomniała sobie.

– A tak. To facet, który zamordował żonę i malutką córeczkę. Oczywiście. On…

– To właśnie jest jej ojciec.

– Niemożliwe! – Julia pokręciła głową. To musi być jakaś pomyłka. Sprawa Azelle'a był równie głośna jak proces Scotta Pedersona. Morderca milioner, tak go nazywano, nawiązując do imperium internetowego, które stworzył. Media śledziły każdy etap tej mętnej historii. Jedyną rzeczą pewną podczas całej rozprawy była wina Azelle'a. – On został skazany. Poszedł do więzienia. Jak…

– Nie wiem. On wie.

Julia nie była w stanie zrobić ruchu, nie była w stanie nawet myśleć.

Ellie położyła jej rękę na ramieniu.

– Mogę wejść tam sama i powiedzieć, że cię nie znalazłam.

– Nie.

Wychodząc na zimne powietrze, Julia próbowała opanować panikę. Mogła się pogodzić z oddaniem Alice kochającej rodzinie, ale George Azelle to było zupełnie co innego! „Nie oddam jej mordercy" – mruknęła kilka razy do siebie w drodze do budynku. Jednocześnie usiłowała przypomnieć sobie wszystko, co wiedziała o tamtej sprawie. Pamiętała głównie to, że podczas procesu ława przysięgłych uznała Azelle'a za winnego.

Płatki śniegu, które przypominały bawełnę, spływały leniwie z ciemnego nieba, lśniąc w blasku latarni i w świetle padającym z okien.

Na posterunku było cicho.

Julia zamrugała powiekami, żeby oczy szybciej przyzwyczaiły się do światła. Główne pomieszczenie wydało jej się większe niż zwykle, ale to dlatego, że wcześniej widywała je tylko podczas konferencji prasowych. Cal siedział przy biurku, ze słuchawkami na uszach, a Peanut stała obok niego. Oboje spojrzeli na Julię z niepokojem.

Krzesła koło biurka Ellie były puste.

– Jest w moim gabinecie – wyjaśniła siostra.

– Aha.

Ellie spojrzała na Peanut, a potem na Cala.

– Zostańcie tu – poprosiła.

W oczach Peanut pojawiły się łzy.

– I tak nie chcemy słyszeć tej rozmowy.

Cal skinął głową i wziął Peanut za rękę.

Ellie poprowadziła Julię w głąb posterunku, obok bliźniaczych cel z otwartymi drzwiami i pustymi łóżkami, aż do drzwi, na których widniała tabliczka z napisem: *Komendant*.

Weszła do środka pierwsza. Natychmiast dały się słyszeć głosy: jej trochę nerwowy i jego – poważny, spokojny.

Julia zaczerpnęła tchu i również wkroczyła do gabinetu siostry.

Można tam było zwrócić uwagę na wiele rzeczy – półki, biurko, zdjęcia rodzinne – ale Julia widziała tylko George'a Azelle'a.

Mogłaby nie rozpoznać go na ulicy czy w tłumie ludzi, ale teraz go sobie przypomniała. Wysoki, ciemnowłosy i niebezpieczny. Tak opisywała go prasa i łatwo było zrozumieć, dlaczego. Miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie ramiona i wąskie biodra. Jego atrakcyjna twarz, o ostrych rysach i cieniach pod oczami, pod wpływem gniewu mogła przybrać groźny wyraz. Ciemne włosy z nitkami siwizny sięgały mu prawie do ramion. Takie twarze rozbudzały wyobraźnię kobiet, choć ten mężczyzna wydawał się zniszczony.

– To pani jest tym psychiatrą – odezwał się. Mówił z akcentem, przeciągając sylaby, co przywiodło jej na myśl Nowy Orlean, duszne, dekadenckie knajpy i rozmowy ciągnące się długo w noc. – Chciałbym pani podziękować za wszystko, co zrobiła pani dla mojej małej. Jak ona się ma?

Julia podeszła do niego szybkim krokiem, niemal podbiegła, i podała mu dłoń. Uścisnął ją silnie, może nawet zbyt silnie.

– A pan jest mordercą – powiedziała, cofając rękę. Poczuła nagłą potrzebę, żeby umyć ręce. – Popełnił pan morderstwo pierwszego stopnia, jeśli dobrze pamiętam.

Jego uśmiech zniknął. Mężczyzna sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wyjął kopertę i rzucił na biurko Ellie.

– Żeby nie rozwodzić się nad tą długą historią: sąd apelacyjny uchylił wyrok sądu pierwszej instancji na podstawie niedostatecznych dowodów. Sąd Najwyższy uznał to orzeczenie. Zostałem uniewinniony w zeszłym tygodniu.

– Ze względów formalnych.

– Jeśli uzna pani niewinność za wzgląd formalny… Wróciłem któregoś dnia do domu i nie zastałem rodziny – głos mu się załamał. – Nie wiedzia-

łem, co się stało. Policja uznała mnie za mordercę i tyle. Zlekceważyli wszelkie dowody przemawiające na moją korzyść.

Julia nie miała na to odpowiedzi. Desperacko próbowała zapanować nad sobą, ale ogarniała ją panika.

– Ona nie jest w stanie funkcjonować beze mnie.

– Proszę posłuchać, pani doktor. Siedziałem za kratkami parę lat. Mam duży dom w Washington Lake i dość pieniędzy, żeby znaleźć dla niej najlepszych lekarzy, więc skończmy z tym biciem piany. Muszę pokazać światu, że ona żyje, więc chcę ją odzyskać. Od razu.

Julia patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Jeśli pan sądzi, że tak po prostu oddam Alice mordercy, to chyba pan zwariował.

– Jaką znowu Alice, do cholery?!

– Tak ją nazwałam. Nie znaliśmy jej imienia ani nazwiska.

– Ale już znacie. To moja córka i przyjechałem ją zabrać.

– Pan żartuje, prawda? Wszystko to pan ukartował. Nie pan pierwszy poświęcił dziecko, żeby pozbyć się żony.

Zobaczyła dziwny błysk w jego oczach. Zbliżył się.

– Wiem, kim pani jest. Nie tylko ja mam ciemną przeszłość, co? Naprawdę chce pani zmierzyć się ze mną publicznie?

– Oczywiście – powiedziała, nie tracąc równowagi. – Nie zastraszy mnie pan.

Pochylił się nad nią i szepnął:

– Niech pani powie Brit, że przyjdę po nią.

– Nie pozwolę jej zabrać.

Poczuła na skroni jego ciepły oddech.

– Oboje wiemy, że nie może pani tego zrobić. Sędziowie w stanie Washington są rzecznikami łączenia rodzin. Do zobaczenia w sądzie.

Gdy wyszedł, Julia osunęła się na krzesło. Trzęsła się. George Azelle miał rację. Sądy stanu Washington zwykle przyznawały dzieci rodzicom biologicznym.

– Powiedz coś! – zawołała Ellie.

– Rozmowa nic nie pomoże.

„Ale myślenie – tak”.

Wciągnęła powietrze w płuca.

– Potrzebuję informacji o sprawie Azelle’a.

– Dał mi to. – Ellie pchnęła stos dokumentów w jej stronę.

Julia wzięła papiery i próbowała czytać. Ręce jednak tak jej drżały, że litery na białych kartach zlewały się ze sobą.

– Jules…

– Daj mi chwilę – powiedziała Julia, słysząc w swoim głosie determinację. Resztką sił panowała na sobą, żeby nie zacząć krzyczeć ani płakać. Gdyby spojrzała w smutne oczy siostry, czy usłyszała od niej słowa pocieszenia, mogłaby wpaść w rozpacz. – Proszę.

Skupiła się na dokumentach. Stanowiły one formalną historię sprawy George’a Azelle’a. Pierwszy wniosek o unieważnienie wyroku, wniesiony przez jego adwokata; odrzucenie wniosku; unieważnienie orzeczenia sądu pierwszej instancji przez sąd apelacyjny; potwierdzenie wyroku sądu apelacyjnego przez Sąd Najwyższy i oddalenie sprawy. Dla Julii największe znaczenie miała decyzja o ponownym rozpatrzeniu sprawy przeciwko George’owi Azelle’owi, w której wyszczególniono fakty ustalone podczas poprzedniej rozprawy.

13 kwietnia 2002 r., około godziny 9.30, George Azelle telefonicznie powiadomił wydział policji hrabstwa King, że jego żona, Zoë Azelle, i dwuletnia córka Brittany zaginęły i nie dają znaku życia od 24 godzin. Wydział policji w Seattle zareagował natychmiast, wysyłając funkcjonariuszy do rezydencji państwa Azelle przy 16402 Lakeside Drive na Mercer Island. Wszczęto poszukiwania na skalę lokalną, a potem ogólnokrajową. Z pomocą przyszły miejscowe grupy ochotnicze, które zorganizowały szeroko zakrojone akcje poszukiwawcze i nocne dyżury.

Śledztwo prowadzone w tym czasie ujawniło, że pani Azelle przed swoim zaginięciem miała romans i zażądała rozwodu. Pan Azelle również utrzymywał stosunki pozamałżeńskie ze swoją asystentką, Corinn Johns.

W następstwie dochodzenia policja ustaliła, co następuje:

W listopadzie 2001 r. policja odebrała skargę na państwa Azelle za zakłócanie spokoju. Przybyli na miejsce funkcjonariusze zauważyli na ciele pani Azelle siniaki i zatrzymali pana Azelle’a. Skargę jednak oddalono, gdy pani Azelle odmówiła zeznań przeciwko mężowi.

Wieczorem 11 kwietnia 2002 r. sąsiad Stanley Seaman był świadkiem ponownej awantury w domu państwa Azelle, lecz nie wezwał policji. W roz-

mowie z żoną powiedział, że państwo Azelle „znowu się tłuką”. Seaman odnotował, że była godzina 23.15.

12 kwietnia 2002 r., w sobotę, przed godziną 12 Stanley Seaman zauważył, że pan Azelle ładuje do swojego hydroplanu duży kufer i mniejszą płócienną torbę w „kształcie worka”.

Azelle twierdzi, że opuścił okolice jeziora Washington 12 kwietnia około godziny 13. Według zeznania świadka będącego członkiem rodziny przybył do domu siostry na Shaw Island prawie dwie godziny później. Eksperci orzekli, że lot na tej trasie powinien trwać niewiele ponad godzinę. Pan Azelle powrócił do Washington Lake o godzinie 19 tego samego dnia.

W niedzielę o 16.45 do domu państwa Azelle przyjechał dostawca kwiatów Mark Ulio, realizując zamówienie złożone telefonicznie przez pana Azelle’a o godzinie 13. Nikt jednak nie otwierał drzwi pod wskazanym adresem. Ulio zeznał, że widział białego mężczyznę w wieku około trzydziestu pięciu lat w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym i czapce bejsbolówce, który wsiadał do białego vana, zaparkowanego po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko rezydencji państwa Azelle.

W poniedziałek przed południem pan Azelle zadzwonił do kilkorga przyjaciół i członków rodziny, pytając, czy nie wiedzą, co się dzieje z jego żoną i córką. Powiedział kilku świadkom, że Zoë Azelle znowu „uciekła”. O godzinie 10.30, kiedy Brittany nie zjawiła się na zajęcia w świetlicy, a Zoë nie przyjechała na sesję u swego terapeuty, pan Azelle zadzwonił na policję i zgłosił ich zaginięcie.

Uznając pana Azelle’a za podejrzanego, policja przybyła do jego domu z nakazem rewizji. Na dywanie w salonie zauważono ślady krwi. Analiza DNA wykazała, że jest to krew Brittany. Znalezione w sypialni państwa Azelle włosy – które zidentyfikowano jako należące do Zoë – nie były pozbawione cebulek, co mogłoby świadczyć o walce. Lampa na komodzie miała stłuczoną podstawę.

Podczas poszukiwań funkcjonariusze wielokrotnie stwierdzali, że George Azelle znikał bez wyjaśnienia i nie przejawiał niepokoju o los rodziny. Takie zachowanie potwierdziło podejrzenia policji.

Na podstawie uzyskanych informacji sierżant Gerald Reeves aresztował pana Azelle’a pod zarzutem morderstwa żony i córki, odczytując mu jego prawa. Sąd stanowy odmówił zwolnienia go za kaucją. Była to brutalna i starannie zaplanowana zbrodnia. Zarówno znaczny majątek pana

Azelle'a, jak fakt, że posiada on licencję pilota, stwarzały mu zbyt dużą możliwość ucieczki.

Świadomy kary za krzywoprzysięstwo, zgodnie z prawem stanu Washington, oświadczam, że wszystko, co powyżej, jest zgodne z prawdą.

Poniżej widniał podpis detektywa i data.

Przeczytawszy ten dokument, Julia westchnęła i odłożyła papiery na biurko.

W korytarzu rozległy się pospieszne kroki.

Peanut i Cal ścigali się w drodze do drzwi. Peanut pierwsza wpadła do gabinetu.

– To drań – powiedziała Julia. – Zdradzał żonę i bez wątpienia ją bił. Ale według prawa nie jest mordercą. I nie może już być ponownie sądzony za to przestępstwo. – Spojrzała na zmartwione twarze wokół niej. – Ale jest też ojcem Alice. Test DNA to potwierdził. A prawo stanowe wspiera rodziców biologicznych…

– Do diabła z prawem stanowym! – odpaliła Peanut, patrząc na Julię. – Co zrobimy, żeby ją uratować?

– Potrzebny nam mądry plan – rzekł Cal.

– Rzuciłabym się dla niej pod autobus – wyznała Julia i gdy wypowiedziała te słowa, nagle ogarnął ją spokój.

Przestały jej drżeć ręce.

„Rzuciłabym się dla niej pod autobus".

Wiedziała, że nie zawahałaby się tego zrobić.

– Czas przystąpić do działania – oświadczyła i choć nie mogła zmusić się do uśmiechu – nawet nie potrafiła wyobrazić sobie, że kiedykolwiek jeszcze się uśmiechnie – poczuła się lepiej. Nie zamierzała się zastanawiać, „co by było, gdyby"; to by ją zniszczyło. Teraz musiała myśleć tylko o Alice i o tym, jak ją uratować.

– Wynajmij detektywa – podsunęła Ellie. – Prześwietl przeszłość Azelle'a aż do pierwszej klasy podstawówki. Ten sukinsyn musiał kiedyś kogoś pobić, sprzedać komuś narkotyki albo zasiąść po pijanemu za kierownicą. Znajdź coś na niego. Nie musimy udowadniać mu morderstwa, wystarczy, jeśli dowiedziemy, że nie nadaje się na ojca.

Minęła dopiero piąta, gdy zajechały pod dom, ale miały wrażenie, jakby było już po północy. Niebo zasnuwały ciemne chmury. Wokół leżała warstwa śniegu – na trawniku, dachu, balustradzie ganku. Dom jaśniał w tej bieli.

Ellie zaparkowała wóz. Żadna z nich jednak nie ruszyła się z miejsca.

– Nie powiem jej tego – zdecydowała w końcu Julia, patrząc prosto przed siebie.

Ellie westchnęła.

– Jak jej to powiedzieć? Przecież ona z trudem wytrzymuje bez ciebie, kiedy wychodzisz przygotować śniadanie.

Julia nie wyobrażała sobie, że kiedyś do tego dojdzie.

„Lulia nie zostawi dziewczynki”.

Wysiadła z samochodu i stanęła w zawiei, prawie nie czując zimna.

Weszła po schodach, u dołu zaśnieżonych, a wyżej już tylko mokrych, i otworzyła drzwi frontowe. Przede wszystkim zauważyła, że w środku jest jasno i ciepło. Zaraz potem zobaczyła Alice, leżącą na kolanach Maxa. Na jej widok dziewczynka uniosła głowę i uśmiechnęła się szeroko.

– Lulia! – pisnęła, wysuwając się z objęć Maxa i biegnąc do niej.

Julia wzięła ją na ręce i przytuliła mocno.

– Cześć, maleńka. – Próbowała przywołać uśmiech na twarz. Na szczęście, nie wypadł tak blado, jak się obawiała.

Alice mimo to spojrzała na nią z niepokojem.

– Smutna?

– Uradowana z powrotu do domu – odparła.

W oczach Alice pojawiła się ulga. Jeszcze raz uścisnęła Julię i wtuliła buzię w jej szyję.

Ellie stanęła za siostrą i pogładziła Alice po włosach.

– Cześć, kotku.

– Cześć, Lellie – odpowiedziała dziewczynka radosnym głosem.

Max tymczasem wstał. Oświetlił go blask ognia; w świetle jego twarz wydała się szara.

– Julio…? – W jego głosie słychać było troskę.

To ją prawie rozłożyło. Uchyliła się przed jego dotknięciem, starając się, żeby wyglądało to na przypadek, ale zauważyła, że nie dał się zwieść. Oczywiście, że nie. Niewiele wiedziała o Maksie, ale co do jednego nie miała wątpliwości: potrafił wyczuć ból, znał jego smak, postać i strukturę.

I teraz wyczytał go z jej twarzy. Nie mogła ukryć, że cierpi, nie z Alice w ramionach i kopertą od Azelle'a w kieszeni.

Gdyby Max jej dotknął, rozpłakałaby się, a tego nie chciała. Bóg wie, że musiała zebrać wszystkie siły, by stawić czoło temu, co miało nadejść.

– On chce ją odzyskać – powiedziała.

Zrozumiał, co to znaczy, i smutek w jego oczach był już ponad jej siły. Max powoli zbliżył się do niej. Przez moment miała wrażenie, że ją pocałuje. Ale on rzekł tylko:

– Będę na ciebie czekał.

– Ale…

– Nieważne, kiedy się zjawisz. Przyjedź, kiedy będziesz mogła. Będę ci potrzebny.

Nie mogła temu zaprzeczyć; bardzo potrzebowała wsparcia i pocieszenia.

– Będę na ciebie czekał – powtórzył. Nie spodziewał się odpowiedzi. Pożegnał się i wyszedł.

Po jego wyjściu zapadła cisza.

– Pa, pa, Max – powiedziała Alice. – Lulia nie zostawi dziewczynki?

Julia przełknęła ślinę, czując, że łzy ciekną jej z oczu. Mocno przycisnęła Alice do siebie.

– Nie opuszczę cię – obiecała, modląc się, żeby tak się sprawy ułożyły.

Przez resztę dnia Julia poruszała się jak we mgle. Alice wyczuwała, że coś jest nie w porządku, i nie odstępowała swej opiekunki nawet na krok.

O dziewiątej wieczorem obie już padały z nóg. Julia wykąpała dziewczynkę, zaplotła jej włosy i ułożyła ją do snu. Przytuliwszy się do niej na wąskim łóżku, próbowała poczytać jej na dobranoc, ale tekst rozmazywał jej się przed oczami.

– Lulia smutna? – zapytała znowu Alice, a jej buzia wyrażała niepokój.

– Nic mi nie jest – odparła, zamykając książkę i całując dziewczynkę na dobranoc. – Kocham cię – szepnęła z ustami przy jej pachnącym policzku.

– Zostań – wymamrotała Alice, której oczy już się zamykały.

– Nie. Pora spać. Alice teraz zaśnie.

Dziewczynka kiwnęła głową i wsadziła kciuk do buzi.

Julia popatrzyła na nią.

„Moja dziewczynka”.

Poczuła ból w piersi. Odwróciła się od łóżka, opuściła pokój i zeszła na dół.

Ellie siedziała przy stole kuchennym, przeglądając dokumenty. Psy leżały na podłodze obok niej, niezwykle potulne.

– Sąd stwierdził…

Julia uniosła dłoń, jakby osłaniając się przed ciosem.

– Nie jestem w stanie teraz o tym rozmawiać. Potrzebuję… trochę czasu. Posiedzisz przy niej?

– Oczywiście.

Julia wzięła kluczyki od samochodu i torebkę. Miała wrażenie, że rozsypie się przy następnym kroku. Jakby jej kości trzymały się razem tylko dzięki zużytej już taśmie klejącej.

– Na razie. Niedługo wrócę.

Po wyjściu z domu wciągnęła świeże powietrze w płuca. Wieczór pachniał mokrym drewnem, świeżym śniegiem i zbliżającą się nocą. Dopiero przy samochodzie uświadomiła sobie, że zapomniała płaszcza.

Zziębnięta, pojechała do Maxa. Ogrzewanie zaczęło działać dopiero wtedy, gdy skręciła w podjazd prowadzący do jego domu.

Gdy przeszła przez oświetlone podwórko i znalazła się u stóp ganku, zobaczyła, że on już tam jest, na tarasie, i czeka na nią. Przez otwarte okno sączyło się blade światło, rzucając na niego złoty blask.

Na widok Maxa przebiegł ją dreszcz. Zrodził się gdzieś w głębi niej. Poczuła się zarazem tak, jakby wróciła do domu.

Ruszyła po schodach w górę. Max zaczął coś mówić, ale nie chciała tego słuchać, nie chciała słuchać ani jego głosu, ani pytań. Musiałyby być zbyt twarde, zbyt ciężkie. Nie dałaby rady ich udźwignąć.

Położyła mu palec na ustach.

– Weź mnie do łóżka, Max.

Patrzył na nią i przez chwilę zobaczyła w nim mężczyznę, który krył się zwykle za tym swoim uśmiechem, człowieka, który wie coś o utracie bliskiej osoby.

– Jesteś pewna?

Zbliżyła się i objęła go.

– Nie traćmy czasu. Alice… – głos jej się załamał. Zmusiła się jednak do uśmiechu. – Alice może mieć koszmary. Nie mogę być długo poza domem.

Wziął ją na ręce i zaniósł na górę. Przywarła do niego, wtulając twarz w zagłębienie jego szyi. Po chwili byli już w sypialni. Wysunęła się z jego ramion i cofnęła o krok. Chociaż dystans był ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnęła, czuła się dziwnie. Jakby zagubiona.

Rozpiął jej bluzkę, która opadła na podłogę. Ze stanikiem zrobił to samo.

Stali blisko siebie, a jednak dzieliły ich całe światy. Rozebrali się w końcu i oboje nadzy spojrzeli na siebie.

Kiedy ją objął, nic nie powiedziała, prawie nawet nie oddychała. Położył jej dłoń na szyi i przyciągnął do siebie. Tracąc równowagę, zachwiała się i oparła o jego pierś.

Całował ją niespiesznie, z zaskakującą delikatnością. Julia objęła go, gładząc jego skórę, pragnąc, by był bliżej, jak najbliżej.

Przebiegło jej nagle przez myśl, żeby go odepchnąć, zmienić decyzję, powiedzieć: „stop, pomyliłam się, złamiesz mi serce”, ale trwało to tylko chwilę. Namiętność zamieniła się w coś innego. Przenieśli się na łóżko. Ledwie świadoma, zauważyła, że Max odrzuca kołdrę, robiąc miejsce w białej pościeli, a zaraz potem leżała już obok niego, pod nim, z desperacją błądząc dłońmi po jego nagiej, ciepłej skórze. Oddychała tak szybko, że poczuła zawroty głowy; jego imię wyrwało się z jej ust. Żadne z nich jednak tego nie słyszało. Jego ręce pokonały opór Julii, wynosząc ją poza przyjemność, aż po granice bólu, a potem znowu prowadząc ku przyjemności. Jakby z oddali usłyszała, że rozrywa opakowanie prezerwatywy; pomogła mu ją nałożyć.

Jęknął i przykrył ją swoim ciałem, poruszając się tak, że przestała o czymkolwiek myśleć i tylko czuła.

Kiedy w nią wszedł głębokim pchnięciem, docierając aż do samej jej istoty, wydała krzyk, przestraszona, że zatraci się w swym pragnieniu.

Gdy było już po wszystkim, przytulił ją i znowu całował. Był to długi, leniwy, delikatny pocałunek, i poczuła, że chce jej się płakać.

– Dobry z ciebie człowiek, Maksie Cerrasin – powiedziała ochrypłym głosem.

– Byłem nim w przeszłości.

Odchyliła się, żeby na niego spojrzeć. W bladym świetle lampy dostrzegła to, do czego nie chciała się przyznać nawet sama przed sobą: że była stracona od chwili, gdy go zobaczyła, a już na pewno od pierwszego pocałunku. Nie tylko spotkała miłość; runęła w nią głową w dół jak Alicja z krainy czarów, wpadając do nory królika, tam gdzie nic nie ma sensu. Nie

dbała o to, czy on odwzajemnia tę miłość. Ważne było samo uczucie, wrażenie zjednoczenia. Widziała, że Max też jest przestraszony. Dotarli tam, gdzie żadne z nich nie spodziewało się znaleźć, i nie wiedzieli, jak to się skończy. Dawniej – jeszcze poprzedniego dnia – byłaby przerażona. Ale od rana przeszła długą drogę.

– Jeszcze wczoraj przejmowałam się różnymi rzeczami. Dziś wiem, co naprawdę jest dla mnie ważne.

– Alice.

– Tak – odparła miękko. – I ty.

Max leżał, przygarniając jej nagie ciało, i patrzył w sufit. Od dawna się tak nie czuł. Chciał spędzić z Julią całą noc, obudzić się obok niej, pocałować na dzień dobry i rozmawiać o czymkolwiek.

W normalnych warunkach byłoby to możliwe, ale obecna sytuacja nie należała do normalnych. Julia była bliska załamania; trzymała się tylko siłą woli.

Przetoczył się na swoją stronę łóżka i spojrzał na nią.

– Jesteś piękna – powiedział, przesuwając palcem po jej dolnej wardze.

– Ty też – odparła z uśmiechem.

Musnęła nosem jego brodę. Kiedy się uśmiechnęła, jej jasnozielone oczy przywiodły mu na myśl lasy deszczowe w mgliste poranki. Chłodne, przepastne i tchnące jakąś magią.

– Przez ciebie staję się romantykiem – zauważył.

– Pewnie byłeś nim zawsze.

Uśmiechnął się.

– Wy, psychiatrzy, zawsze macie na wszystko odpowiedź, prawda?

Patrzyła na niego dość długo, zanim odpowiedziała.

– Nie okłamuj mnie, Max. Tylko o to proszę, dobrze? Nie udawaj, że coś czujesz, jeśli tak nie jest.

– Nigdy niczego przed tobą nie udawałem, Julio.

– To powiedz mi coś szczerze.

– Co na przykład?

Zerknęła na biurko stojące pod ścianą, gdzie umieszczono kilka zdjęć w ramkach. Obrazy z jego wcześniejszego życia.

– Na przykład o swoim małżeństwie.

– Nazywała się Susan O’Connell. Poznaliśmy się w college’u. Zakochałem się w niej, gdy tylko ją zobaczyłem.

– I kochałeś ją aż do…?

Umknął spojrzeniem w bok, ale zdał sobie sprawę, że to nic nie da. Jej bystre oczy widziały wszystko; na pewno nie udałoby mu się ukryć bólu, odwracając wzrok.

– Wierz mi, to nie jest odpowiednia chwila na tę rozmowę.

– A przyjdzie kiedyś odpowiednia?

– Tak – obiecał cicho.

Pocałowała go czule, a potem cofnęła się.

– Pójdę już. Alice miewa złe sny. Przestraszy się, jeśli się obudzi i zobaczy, że mnie nie ma. – Gdy wypowiedziała imię dziewczynki, głos jej zadrżał.

– Sąd na pewno uzna, że jesteś dla niej najlepszą opiekunką.

– Sąd… – powiedziała z westchnieniem. – Sąd nie zawsze… – urwała.

– Nie wierzysz, że podejmie słuszną decyzję?

– Prawdę mówiąc, nie jestem w stanie o tym myśleć, bo się załamię. Na razie muszę się skupić na tym, aby udowodnić, że Azelle nie jest odpowiedzialnym ojcem. Potem zajmę się resztą.

– Będę ci potrzebny.

Posłała mu uśmiech, spokojny i ufny. Pod jego wpływem coś w piersi Maxa stopniało, sprawiając, że zaczął lżej oddychać.

– Na pewno.

Noc upłynęła Ellie na złych snach i przerażających wizjach. Kiedy się zbudziła o świcie, była zdenerwowana i rozdrażniona. Pierwsze, co zrobiła, to znów wyjęła dokumenty. Czytała je już tyle razy, że znała wszystkie prawie na pamięć. W ciągu minionych dwudziestu czterech godzin rozmawiała z każdym policjantem, który zajmował się sprawą Azelle’a, a ponadto prawie przez godzinę konferowała z najlepszym prywatnym detektywem w hrabstwie King.

Wszyscy jej rozmówcy wyrażali tę samą opinię. Potwierdzały to też raporty, które przeczytała.

Azelle był winny.

Tyle że sąd nie mógł mu tego udowodnić.

Ellie zaczęła krążyć po pokoju. Towarzyszyły jej psy, wpadające na nią za każdym razem, gdy się odwracała. Najwyraźniej udzieliła im się jej nerwowość. Ellie bowiem musiała udowodnić, że Azelle jest złym człowiekiem, nieodpowiedzialnym ojcem, a dysponowała jedynie podejrzeniami i mglistymi zarzutami.

Dopuścił się cudzołóstwa, to fakt. Ale tylko to udało jej się ustalić na pewno. Sąsiedzi byli zdania, że bił żonę. Przysięgli uznali, że ją zamordował, ale jedynie na podstawie poszlak. A media…

Dziennikarze, z którymi rozmawiała, byli pewni, że Azelle to zrobił. „Winny sukinsyn” – tak najczęściej o nim mówiono. Ale nikomu nie udało się nic na niego znaleźć. Żadnych oskarżeń związanych z narkotykami czy jazdą pod wpływem środków odurzających albo alkoholu, nawet zwykłego zakłócania porządku.

Przeklinając pod nosem, Ellie wzięła papiery i wyszła z domu.

Pojechała prosto do Rain Drop, jedynej knajpy otwartej o tak wczesnej porze. Jej klientelę stanowili drwale, rybacy i pracownicy tartaku, którzy jadali tu śniadania przed pójściem do pracy. W drodze do lady Ellie przystawała przy każdym przedziale i rozmawiała ze znajomymi.

Za ladą Rosie Chicowski paliła papierosa. Niebieski dym unosił się spiralnie do góry i łączył z szarą mgiełką, która zawsze wisiała tu w powietrzu.

– Cześć, Ellie, wcześnie dziś jesteś – powiedziała, wyjmując papierosa z ust i gasząc go w popielniczce. W Rain Drop paliło się od pięćdziesięciu lat i żadne prawo stanowe nie mogło tego zmienić.

– Potrzebuję kofeiny.

Rosie zaśmiała się.

– Proszę bardzo. A do tego babeczkę owocową wypieku Barb?

– Dzięki. Ale tylko jedną. Możesz do mnie strzelić, jeśli zamówię następną.

– Zranić tylko, czy załatwić na amen?

– Załatwić na amen. – Ellie odwróciła się ze śmiechem i ruszyła w kierunku pustego przedziału w części dla niepalących.

I wtedy go zobaczyła.

Siedział w swobodnej pozie na winylowym burgundowym siedzeniu. Przed nim stała filiżanka po kawie. Zobaczył Ellie i skinął głową.

Podeszła do niego.

– Pan Azelle – powiedziała.

– Dzień dobry, pani komendant.

Nie ucieszył się na jej widok. Przesunął wzrokiem po ciężkiej teczce z dokumentami, którą miała ze sobą.

– Mogę się przysiąść? Chciałabym zadać panu kilka pytań.

Westchnął.

– Mogłem się tego spodziewać.

Wsunęła się na siedzenie naprzeciwko niego. Spojrzała mu w twarz, próbując go przejrzeć, ale zobaczyła tylko zmęczone oczy i bruzdy wokół ust. Zanim zdążyła uporządkować myśli i sformułować pytanie, rzucił:

– Trzy lata.

– Co trzy lata? – zapytała.

Pochylił się i spojrzał jej głęboko w oczy.

– Tyle siedziałem w więzieniu za przestępstwo, którego nie popełniłem. Do diabła! Ja w ogóle o nim nie wiedziałem. Myślałem, że Zoë porzuciła mnie dla jednego ze swoich kochanków i zabrała małą. – Jego świdrujące spojrzenie działało jej na nerwy. – Proszę sobie wyobrazić, jak by się pani czuła, gdyby skazano panią za okropną, przerażającą zbrodnię i wsadzono za kratki. A w gruncie rzeczy tylko za to, że dokonała pani złych wyborów i kierowała się w życiu namiętnością. Tak, miewałem romanse. Okłamywałem żonę. Wysyłałem jej kwiaty po karczemnych awanturach. Ale to nie znaczy, że jestem mordercą.

– Przysięgli…

– Przysięgli! – prychnął z pogardą. – Skąd mogli znać historię mojego życia? Każda gazeta, każda stacja telewizyjna po pięciu minutach uznała mnie za winnego. Nikt nawet nie szukał Zoë i Brit. Dwoje naocznych świadków widziało podejrzanie wyglądającego vana pod moim domem w dniu, w którym zaginęły, i nikt się tym nie zainteresował. Policja nawet nie zadała sobie trudu, żeby odnaleźć białego faceta w żółtym sztormiaku i bejsbolówce, który jeździł tym samochodem. Kiedy zaoferowałem pieniądze za informację, zaczęto mnie porównywać z O.J. Przez ostatni miesiąc co dzień czekałem na wyniki analizy DNA, która pozwoliłaby mi odzyskać córkę. Musiałem zdobyć pozwolenie sądu, żeby można było porównać jej DNA z krwią znalezioną w miejscu przestępstwa. A kiedy już to wszystko pomyślnie załatwiłem, przyjechałem tu, szczęśliwy, po to tylko, aby się dowiedzieć, że pani siostra chce ze mną walczyć o opiekę nad dzieckiem.

Przy stole zjawiła się Rosie.

– Kawa i babeczka, Ellie. Doliczyłam do twojego rachunku. – Uśmiechnęła się. – Razem z sowitym napiwkiem.

Kiedy odeszła, Azelle znowu nachylił się ku Ellie.

– Wierzy mi pani?

Posłyszała w jego głosie drżenie, niepewność, która zbiła ją z tropu. Pragnęła wierzyć, że jest winny.

– Chce pan, żebym zobaczyła w panu niewinnego człowieka – powiedziała powoli, obserwując go.

– Jestem niewinny. Będzie nam wszystkim łatwiej, jeśli pani w to wreszcie uwierzy.

– Na pewno będzie łatwiej panu.

– Jak ona się ma? Czy przynajmniej to może mi pani powiedzieć? Czy wciąż ssie kciuk? Czy ona…

Ellie wstała szybko, czując potrzebę ucieczki od tego człowieka. Nie chciała słuchać, co wie o jej dziewczynce.

– Alice potrzebuje Julii. Może pan to zrozumieć?

– Nie ma żadnej Alice – odparł.

Ellie odeszła, nie oglądając się za siebie. Była już przy drzwiach, gdy usłyszała, że Azelle woła:

– Niech pani powie siostrze, pani komendant, że się u niej zjawię! Nie stracę córki po raz drugi!

Następne czterdzieści osiem godzin przypominało film odtwarzany w zwolnionym tempie. Śnieg przestał padać. Świat, który się teraz objawił, lśnił bielą. Julia pracowała cały czas. W ciągu dnia przebywała z Alice, uczyła ją nowych słów, zabierała na dwór i lepiła z nią bałwana. Dziewczynka kilka razy pytała o wilka i wskazywała samochód. Julia delikatnie odwracała jej uwagę, skupiając ją na tym, czym się akurat zajmowały. Jeśli Alice zastanawiała się, dlaczego opiekunka wciąż ją całuje albo trzyma za rękę, nie okazywała tego.

Najważniejsze jednak były godziny wieczorne. Julia z Ellie, Peanut, Calem i prywatnym detektywem pracowali do późna w noc, analizując raporty policji, doniesienia prasowe i archiwalne taśmy wideo. Po dyżurze w szpitalu zjawiał się także Max. Wszyscy czytali wszystko, co miało zwią-

zek z George’em Azelle’em. Do poniedziałku rano, kiedy te spotkania się zakończyły, znali już najdrobniejsze fakty z jego życia.

Nic im to jednak nie dało.

– Poczytać dziewczynce?

Julia obudziła się z zamyślenia i spojrzała na zegar. Była prawie druga po południu.

– Teraz nie będziemy czytać – odparła łagodnie. – Cal przyprowadzi Sarah, żebyście mogły się razem pobawić. Pamiętasz Sarah?

Alice zaniepokoiła się.

– Lulia zostanie?

Takie zwykłe pytanie.

– Muszę wyjść, kochanie. Ale wrócę.

Dziewczynka uśmiechnęła się.

– Lulia wróci.

Julia przyklękła przed nią. Zanim jednak zdążyła coś dodać, otworzyły się drzwi frontowe i weszli Ellie, Cal i Sarah.

Żadne z nich się nie odezwało.

Sarah pokazała Alice swoje dwie Barbie.

Alice nie mówiła nic, ale wprost nie mogła oderwać wzroku od lalek. Po chwili dziewczynki poszły do salonu i zaczęły się tam bawić, wprawdzie oddzielnie, ale jedna obok drugiej. Alice wciąż nie wiedziała, jak się zachowywać wobec innych dzieci, ale Sarah najwyraźniej to nie przeszkadzało.

Ellie dotknęła ramienia siostry.

– Jesteś gotowa?

Julia zmusiła się do uśmiechu i wzięła teczkę. Po drodze przystanęła, żeby porozmawiać chwilę z Calem. Chciała mu powiedzieć, że Alice odezwie się do Sarah, gdy się z nią oswoi, ale nie była w stanie dobyć głosu.

– Powodzenia – powiedział serdecznie, ściskając jej ramię.

Skinąwszy głową, Julia poszła za Ellie do samochodu.

W ciszy przerywanej tylko skrzypieniem wycieraczek na przedniej szybie zajechały do sądu okręgowego. Był to wysoki, szary budynek, stojący na wzgórzu nad zatoką. Za nim w oddali rozciągał się wzburzony niebieski Pacyfik, którego widok zwykle zapierał dech w piersiach, tego dnia jednak niebo było szare i wszystko wydawało się jakby rozmyte.

Sąd rodzinny znajdował się na parterze, na końcu korytarza. Ze wszystkich sądów, w jakich Julia bywała, ten lubiła najmniej. Codziennie łamano tu komuś serce.

Przystanęła, wygładziła granatowy kostium, a potem otworzyła drzwi i weszła do sali. Jej obcasy stukały na marmurowej posadzce. Ellie szła za nią, sprawiając wrażenie bardzo pewnej siebie w swoim mundurze z gwiazdkami na kołnierzu. Minęły Maxa i Peanut, którzy siedzieli w tylnym rzędzie krzeseł dla publiczności.

George Azelle był już na miejscu. Siedział z przodu, w towarzystwie adwokata.

Gdy zobaczył kobiety, wstał i ruszył ku nim. Miał na sobie grafitowy garnitur i świeżą białą koszulę. Włosy spiął w kucyk.

– Dzień dobry paniom.

– Dzień dobry, panie Azelle.

Drzwi za nimi otworzyły się. Szybkim krokiem wszedł adwokat Julii, John MacDonald, niosący sfatygowaną aktówkę ze sztucznej skóry. Wyglądał na zmęczonego, co nie było zaskakujące, biorąc pod uwagę, że wszyscy razem pracowali do czwartej nad ranem, szukając czegoś przeciwko Azelle'owi.

– Przepraszam za spóźnienie – rzucił.

George otaksował wzrokiem adwokata swojej przeciwniczki, bez wątpienia odnotowując jego brązowy sztruksowy garnitur i wygniecioną zieloną koszulę.

– Jestem George Azelle – przedstawił się, wyciągając rękę.

– Aha. Dzień dobry – odparł John, a potem zaprowadził Julię i Ellie na ich miejsca.

Na salę wkroczyła sędzia i zasiadła na podwyższeniu. Stamtąd ogarnęła spojrzeniem zebranych. Bez wstępów przeszła do rzeczy:

– Przeczytałam pana wniosek, panie Azelle. Jak pan wie, doktor Cates od czterech miesięcy jest tymczasową opiekunką pańskiej córki i ostatnio wystąpiła o jej adopcję.

– To było wówczas, Wysoki Sądzie, gdy jeszcze nie znano tożsamości dziecka – przypomniał adwokat Azelle'a.

– Jestem świadoma kolejności zdarzeń, znam tę sprawę. Zadaniem sądu jest rozstrzygnięcie, komu należy przyznać dziecko. Polityka społeczna zaleca łączenie rodzin biologicznych, gdy tylko jest to możliwe, ale mamy tu do czynienia ze specyficzną sytuacją rodzinną.

– Pan Azelle dopuszczał się przemocy w rodzinie, Wysoki Sądzie – włączył się John.

– Sprzeciw! – adwokat Azelle'a wstał.

– Proszę usiąść, panie mecenasie. Wiem, że pana klient nigdy nie był o to formalnie oskarżony. – Sędzia zdjęła okulary i odłożyła je na stół, a potem spojrzała na Julię. – To pani osoba, doktor Cates, stanowi ważny punkt. Trudno uznać panią za zwykłego opiekuna, który ubiega się o adopcję. Jest pani jednym z najlepszych psychiatrów w kraju.

– Nie jestem tu w charakterze lekarza, Wysoki Sądzie.

– Zdaję sobie z tego sprawę, pani doktor. Byłby to konflikt interesów. Jest pani tutaj, bo nie chce pani wycofać podania o adopcję.

John już miał się podnieść, Julia jednak powstrzymała go ruchem ręki. Nikt nie mógł być skuteczniejszy w walce o Alice niż ona. Popatrzyła na sędzię i powiedziała:

– W każdej innej sytuacji, Wysoki Sądzie, wycofałabym się na wiadomość, że zgłosił się członek rodziny, ale czytałam akta sprawy pana Azelle'a i bardzo się niepokoję o bezpieczeństwo tego dziecka. Ciało matki nie zostało odnalezione i jak dotąd nie ustalono, kto ponosi odpowiedzialność za jej zniknięcie. Pan Azelle mówi, że jest niewinny, ale z mojego doświadczenia wynika, że ludzie winni przeważnie tak właśnie twierdzą. Zależy mi tylko na dobru tej biednej dziewczynki, która już tyle wycierpiała. Jak Wysoki Sąd wie z mojego raportu, ma ona za sobą dramatyczne przeżycia. Do niedawna zupełnie nie mówiła. Udało mi się wyprowadzić ją z tego stanu, bo zdobyłam jej zaufanie. Zabranie jej spod mojej opieki może spowodować nieprzewidziane skutki.

– Ależ, Wysoki Sądzie – sprzeciwił się adwokat Azelle'a. – Doktor Cates jest psychiatrą. Mój klient może sobie pozwolić na zatrudnienie innego specjalisty, który by ją zastąpił. Prawda jest taka, że pan Azelle stracił już mnóstwo czasu, który mógłby spędzić z córką. Sprawiedliwość wymaga, by przyznać mu natychmiast opiekę nad nią.

Sędzia znowu włożyła okulary i popatrzyła na wszystkich.

– Wezmę to pod uwagę. Tymczasem wyznaczam kuratora procesowego, żeby mieć czas na ocenę szczególnych potrzeb dziecka i jego obecnego stanu, a gdy podejmę decyzję, powiadomię państwa. Do tego czasu dziewczynka pozostanie u doktor Cates. Pan Azelle uzyskuje prawo do odwiedzin córki.

Adwokat Azelle'a zerwał się na nogi.

– Ależ, Wysoki Sądzie…

– Takie jest moje orzeczenie, panie mecenasie. Musimy postępować bardzo rozważnie. Dziecko już dosyć wycierpiało, a jestem pewna, że pański

klient ma na względzie tylko jego dobro. – Sędzia uderzyła młotkiem. – Następna sprawa.

Do Julii dopiero po chwili dotarło, co się stało. Nadal sprawowała opiekę nad Alice, przynajmniej na razie!

Usłyszała, jak John rozmawia z Ellie o zasadach wizyt Azelle'a.

Znała je dobrze. Nawet nie potrafiłaby zliczyć, ile razy była wyznaczana na kuratora procesowego, żeby chronić interesy dziecka.

Wstała i ruszyła do wyjścia. Zobaczyła, że Max czeka na nią przy drzwiach.

Wtedy ktoś chwycił ją za ramię. Uścisk był bardzo mocny.

George Azelle odciągnął ją na bok. Jego hollywoodzki uśmiech zniknął. Mężczyzna miał w oczach smutek, którego się nie spodziewała.

– Chcę ją zobaczyć!

Musiała się zgodzić.

– Dobrze, jutro. Ale nie powiem jej, kim pan jest. Zresztą i tak by nie zrozumiała. Mieszkamy przy River Road 1617. Proszę przyjechać o pierwszej. – Wyszarpnęła rękę z jego uścisku i chciała odejść.

Jednak znowu ją przytrzymał.

Spojrzała na jego długie, opalone palce, które władczo ściskały jej ramię. Był człowiekiem przyzwyczajonym do tego, że osiąga wszystko, czego chce; nie obchodziło go, czy przekracza jakieś granice, czy nie.

– Proszę mnie puścić.

Natychmiast posłuchał.

Przypuszczała, że się cofnie. Tchórze, na których się huknie, zwykle tak się zachowują, a mężczyźni bijący żony przeważnie są tchórzami, ale nie zrobił tego. Stał w tym samym miejscu, górując nad nią, a jednocześnie jakby się skulił.

– Jak ona się ma? – zapytał w końcu.

Przysięgłaby, że dosłyszała w jego głosie ból, że wypowiedzenie tych słów kosztowało go wiele. Mordercy i socjopaci są często świetnymi aktorami – przypomniała sobie.

– Najwyższa pora, żeby pan o to zapytał.

– Wydaje się pani, że mnie zna. Wszystkim zresztą tak się wydaje. – Odsunął się z westchnieniem, przeczesując palcami włosy i rozpuszczając je. – Chryste, zmęczyła mnie już ta wojna, której wciąż nie mogę wygrać. Proszę mi w końcu powiedzieć, jak się ma moja córka. Co to, do diabła, znaczy „opóźniona w rozwoju"?

– Przeszła piekło, ale dochodzi do siebie. To silna, choć wrażliwa dziewczynka, której potrzebna jest stabilizacja i dalsza terapia.

– A pani uważa, że ja stabilizacji nie gwarantuję?

– Jak pan zauważył, nie znam pana. – Uniosła teczkę, wyjęła z niej kasetę wideo i podała mu ją. – Nagrałam ją dla pana. To fragmenty naszych sesji. Może przyniosą odpowiedź na niektóre z pańskich pytań.

Wziął ostrożnie kasetę, jakby się obawiał, że czarny plastik poparzy mu dłonie. Patrzył na nią przez chwilę.

– Gdzie była moja córka? – zapytał w końcu. Tym razem jego głos był miękki jak aksamit. Julia przypomniała sobie, że Azelle pochodził z Luizjany. Wiedziała z akt procesowych, że dorastał w biedzie na terenach zalewowych.

– Nie wiemy. Gdzieś w lesie, jak sądzimy. – Julia nie dała się zwieść jego zmartwieniu. Grał na jej emocjach, była tego pewna. Chciał, żeby i jego uznała za ofiarę w tej sprawie. – Ale przypuszczam, że pan się lepiej orientuje.

Nadeszła Ellie, która położyła rękę na ramieniu siostry.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Pan Azelle w końcu zapytał o Alice.

– Proszę mówić do mnie George. A ją nazywać Brittany.

Julia wzdrygnęła się.

– Ona jest dla nas Alice, od dłuższego już czasu.

– Jeśli o to chodzi…. – Spojrzał na nie. – Chciałbym podziękować paniom za troskliwą opiekę nad nią. Ocaliły jej panie życie.

– Owszem – odparła Julia. – Do zobaczenia jutro o pierwszej, panie Azelle. Proszę się nie spóźnić.

Skinęła głową i odeszła. Od Maxa dzieliło ją już tylko parę kroków, gdy uświadomiła sobie, że nie towarzyszy jej siostra.

Obejrzała się. Ellie rozmawiała z George’em.

Tymczasem zjawiła się Peanut, która wskazała tych dwoje ruchem głowy.

– Niedobrze – rzekła, splatając ręce. – W obecności przystojnych facetów z twojej siostry robi się galareta.

– Mam nadzieję, że nie tym razem – powiedziała Julia, która nagle poczuła się bardzo zmęczona. – Ale może powinnaś nadstawić ucha.

– Z przyjemnością – odparła Peanut i pospiesznie odeszła.

Wzdychając, Julia podeszła do Maxa, który czekał na nią przy wyjściu z sali.

23

Popołudniowe słońce, niepewne jak jutrzejszy dzień, wpadało przez małe okratowane okno i tworzyło plamę światła na drewnianej podłodze.

Dziewczynka, która leżała na łóżku, zaczęła protestować jak wszystkie inne dzieci w porze leżakowania.

– Dziewczynka nie śpi. Poczytać!

Max zza drzwi pokoju usłyszał, jak Julia mówi:

– Nie teraz, kochanie. Śpij.

I cichutko zaczęła śpiewać jakąś piosenkę.

Przypomniało mu to inne życie; różnica była tylko taka, że tamta kobieta siedząca przy łóżku miała ciemne włosy i śpiewała chłopcu imieniem Danny.

„Poczytaj mi jeszcze trochę” – mówił ten chłopiec, którego nazywali „Danem – małym człowiekiem” albo „Danym jeszcze trochę”.

Max zszedł na dół. Przeszukał szafki w kuchni, aż znalazł kawę. Gdy się parzyła, wrócił od salonu i rozpalił ogień w kominku.

Pił drugą filiżankę kawy, gdy wreszcie zjawiła się Julia. Wyglądała na zmęczoną; przysiągłby, że na policzkach miała ślady łez. Chciał do niej podejść, objąć ją tak, jak ona obejmowała Alice, i zapewnić, że wszystko będzie dobrze, ale wydawała się tak krucha, jakby się miała rozpaść przy dotknięciu.

– Przynieść ci kawy? – zapytał więc.

– Och, byłoby wspaniale. Tylko z dużą ilością mleka i cukru.

Poszedł do kuchni, nalał jeszcze jedną filiżankę kawy, posłodził ją i dodał mleka, po czym wrócił.

Julia siedziała przed kominkiem, odwrócona plecami do ognia. Jej blond włosy, poprzednio spięte w kok, były rozpuszczone i opadały kosmykami wokół twarzy, przysłaniając nieco cienie pod oczami i blade usta.

– Proszę. – Podał jej filiżankę.

Spojrzała na niego i posłała mu blady uśmiech.

– Dzięki.

Usiadł przy niej na podłodze.

– Chciałabym, żeby był winny – powiedziała.

– Naprawdę?

Twarz jej pociemniała. Westchnęła i pokręciła głową.

– Rzeczywiście, jak mogę tego chcieć? – szepnęła. – To by oznaczało, że ojciec Alice jest potworem. Żadne dziecko na to nie zasługuje. Jako jej terapeutka, pragnęłabym, żeby był kochającym ojcem, niesłusznie skazanym. A jako jej matka… – Westchnęła.

Nie przychodziły mu do głowy słowa pocieszenia. Oboje wiedzieli, że tak czy inaczej Alice, czy też Brittany, ucierpi. Albo straci opiekunkę, która stała się dla niej drugą matką, albo zostanie odebrana biologicznemu ojcu. Może na razie nie będzie z tego powodu cierpieć, bo jeszcze nie rozumie, co to znaczy, ale któregoś dnia odczuje to boleśnie. Może nawet mieć wówczas żal do Julii.

– Ona cię potrzebuje, tyle wiem na pewno. A ty potrzebujesz jej.

Napotkała wzrokiem jego spojrzenie. Uklękła przed nim.

– Chciałabym się obudzić i się przekonać, że to wszystko to tylko zły sen – powiedziała.

– Wiem.

Pocałowała go, a on poczuł się głęboko poruszony tym pocałunkiem, wręcz rozbity.

Teraz, gdy znowu zaczął coś czuć, nie miał już odwrotu. I nie żałował tego. Cofnął się trochę, żeby spojrzeć na Julię, a potem szepnął:

– Wszystko.

Gdy spojrzała pytająco, wyjaśnił:

– Kiedyś powiedziałaś, że możesz mi dać wszystko albo nic. Wybrałem wszystko.

Usiłowała się uśmiechnąć.

– Długo się namyślałeś.

Po przebudzeniu dziewczynka podchodzi do okna i staje przy nim, wyglądając na podwórko. Uwielbia te nowe słowa, zwłaszcza gdy stawia przed nimi słowo „moje”. To znaczy, że coś należy do niej.

Na „jej” podwórku jest mnóstwo ptaków, choć nie tak wiele, ile się ich pojawi, gdy śnieg zniknie i słońce znowu zacznie grzać. Wśród topniejącego śniegu leży róża.

Może powinna pójść po nią i przynieść do domu? Lulia uśmiechnęłaby się na jej widok, a uśmiech dobrze by Lulii zrobił.

Dziewczynka starała się o tym nie myśleć, ale jest już za późno. Przypomina sobie poprzedni wieczór, gdy Lulia przytuliła ją tak mocno, że musiała ją odepchnąć… i jak oczy Lulii napełniły się wtedy wodą.

Ostatnio jej oczy stale napełniają się wodą. Zły znak. Dziewczynka to wie. Chociaż ma wrażenie, że mieszkała w lesie bardzo dawno temu, czasami przypomina sobie Jego. I Ją.

Z Jej oczu też ciągle ciekła woda… aż pewnego dnia Ona umarła.

To wspomnienie jest przerażające. Dawniej dziewczynka zaczęłaby wyć, wzywając swoich przyjaciół z głębi lasu.

„Powiedz to słowami”.

Tak, musi to zrobić. Używanie słów jest dobre i sprawia Lulii przyjemność. Ale jakie to mają być słowa? I jak je połączyć? Jak powiedzieć Lulii, że teraz jest jej ciepło… że już się nie boi? Te słowa są za duże i wiele ich potrzeba. Może po prostu wieczorem mocniej uściśnie Lulię i cmoknie ją w policzek? Uwielbia, gdy Lulia tak robi, kładąc ją spać. To jak czary, które sprawiają, że potem dziewczynce śnią się miłe rzeczy, nie tak jak kiedyś, gdy spała w jaskini, zmarznięta i sama.

Słyszy, że drzwi się otwierają i zamykają. A potem słyszy kroki.

– Stoisz przy oknie już długi czas, Alice. Co tam widzisz?

Czy to źle? Trzeba tu przestrzegać tylu zasad. Czasami trudno je wszystkie spamiętać.

Odwraca się do Lulii, która wygląda jak księżniczka z jednej z tych czytanych przez nią książeczek. Dziewczynka widzi jednak ślady wody na jej policzkach i robi jej się smutno w środku, jak królikowi, który został zapomniany przez małego chłopca.

– Źle? – dziwi się. – Nie stać przy oknie?

Lulia uśmiecha się i dziewczynce od razu robi się weselej.

– Możesz stać nawet przez cały dzień, jeśli masz na to ochotę.

Podchodzi do łóżka, w którym śpi, i siada na nim, kładąc nogi na kołdrze.

– Poczytać? – cieszy się dziewczynka. Bierze książeczkę, którą czytały poprzedniego wieczoru, i biegnie z nią do Lulii. – Najpierw ząbki? – pyta

dumna, że zapamiętała. Trudno przecież pamiętać o takich rzeczach w porze czytania.

– I piżamka.

Dziewczynka kiwa głową. Umie sobie poradzić z tym wszystkim – siusiu, mycie zębów i włożenie różowej piżamki. A potem hop do łóżka, tuż obok Lulii.

Lulia przyciąga ją do siebie i bierze na kolana, tak że siedzą nos w nos. Dziewczynka chichocze, czekając na całusy.

Ale Lulia jej nie całuje. Nawet się nie uśmiecha. Bardzo cicho mówi natomiast:

– Brittany.

To słowo mocno uderza dziewczynkę. Tak do niej mówił On, gdy był pijany i zły. Dlaczego Lulia tak powiedziała? Dziewczynka czuje, że narasta w niej panika. Zaczyna drapać się po policzkach i potrząsać głową.

Lulia bierze ją za ręce i powtarza:

– Brittany.

Tym razem dziewczynka słyszy w tym słowie pytanie. Lulia o coś pyta.

– Jesteś Brittany?

Czy te inne słowa zawsze tam były, pogrzebane w sercu dziewczynki?

„Jesteś Brittany?”.

„Brittany”.

To pytanie jest jak ryba płynąca w dół strumienia. Dziewczynka chwyta je za ogon i unosi się za nim. Przed oczami staje jej mała dziewczynka – naprawdę malutka – z krótkimi kręconymi włosami i w wielkich białych majtkach. To dziecko mieszka w białym świecie, jasno oświetlonym, z miękką podłogą. Bawi się jaskrawoczerwoną plastikową piłką. Gdy ją upuści, zawsze ktoś ją poda.

„Gdzie jest piłeczka, Brittany? No gdzie jest?”.

Dziewczynka spogląda na Lulię, która znowu staje się taka smutna, że aż serce boli.

Jak dziewczynka ma jej powiedzieć, że dobrze jej tutaj, że to jej nowy świat i wszędzie indziej czułaby się źle?

– Jesteś Brittany?

W końcu rozumie. „Jesteś Brittany?”. Dziewczynka bardzo powoli pochyla się ku Lulii i cmoka ją. Odsuwając się, mówi:

– Ja Alice.

– Och, kochanie… – Z oczu Lulii znowu cieknie woda. Wygląda, jakby się skurczyła.

Bierze ją w ramiona i przytula tak mocno, że Alice nie może oddychać. Ale mimo to dziewczynka się śmieje.

– Kocham cię, Alice.

Alice nie przestaje się śmiać. Udało się jej. Wypowiedziała te słowa. Powtarza je raz po raz, bo już potrafi, a poza tym, gdy je mówi, czuje się tak, jakby latała. Nie jest już tylko dziewczynką.

– Ja Alice.

Siedząc przy biurku na posterunku, Ellie spojrzała na stosy papierów, które miała rozłożone przed sobą. Drobne czarne litery zaczęły już tańczyć jej przed oczami. Odsunęła dokumenty na bok i poczuła śmieszną satysfakcję, gdy spadły na podłogę.

Wstała zza biurka i wyszła z gabinetu. Znalazłszy się w głównej sali, wśród pustych biurek i milczących telefonów, zaczęła przechadzać się tam i z powrotem.

Tam i z powrotem.

„I co teraz?”.

Wszystkie podjęte przez nią tropy w sprawie Azelle’a prowadziły donikąd. Nie udało się zdobyć żadnych dowodów, aby przekonać sąd, że George Azelle nie nadaje się na ojca.

Julia i Alice skazane były na przegraną.

Ellie skierowała się do skrytki w pokoju na zapleczu i wyjęła butelkę whisky, która należała jeszcze do jej wuja.

– Dzięki, Joey – szepnęła, kiwając głową, gdy nalewała sobie drinka.

Ostatecznie jednak postanowiła zabrać butelkę ze sobą. Włączywszy światło, usiadła przy biurku w głównym pomieszczeniu i pociągnęła łyk.

„I co teraz?”.

Ta myśl powracała do niej jak szczątki statku wyrzucane kolejno na brzeg.

Nalewała sobie drugiego drinka, gdy nagle drzwi się otworzyły.

Stanął w nich George, ubrany w markowe sprane dżinsy i czarną zamszową koszulę, rozpiętą na tyle nisko, że widać było kępkę ciemnych

włosów na piersi.

– Dobry wieczór, pani komendant – powiedział, wchodząc do środka. – Zobaczyłem światło w oknach.

– To przecież posterunek policji.

– Aha. I pani zawsze siedzi tu do północy, tak? I pije?

– Sytuację trudno uznać za normalną.

Ruchem głowy wskazał butelkę.

– Ma pani drugą szklankę?

– Jasne.

Może nie było to profesjonalne postępowanie, ale skończyła już dyżur i miała to gdzieś. Poszła do kuchenki, wzięła szklankę oraz lód i wróciła. Pod jej nieobecność George przysunął sobie krzesło i ustawił je po przeciwnej stronie biurka. Ellie podała mu szklankę. Lód zachrzęścił o szkło.

Przyjrzała mu się uważnie, zauważając cienie po oczami – widome świadectwo nieprzespanych nocy – i cienkie szramy po wewnętrznej stronie nadgarstków. Kiedyś, dawno temu, próbował popełnić samobójstwo.

– Kocham ją, pani komendant. Niezależnie od tego, co pani myśli po przeczytaniu tych wszystkich raportów, które leżą na podłodze.

Jego słowa poruszyły ją głęboko, dotknęły czułego jej miejsca. Takie było chyba zamierzenie George’a, z pewnością o to mu chodziło. Ellie odsunęła się od niego, czując, że musi zwiększyć dystans pomiędzy nimi.

– Niech mi pan opowie o swoim małżeństwie.

Niedbale machnął ręką. Ten gest wydał jej się dziwnie uwodzicielski. Skojarzył jej się ponadto z bogatym, próżnującym arystokratą.

– To było straszne. Ona mnie zdradzała. Ja ją zdradzałem. Toczyliśmy ze sobą wojny jak wariaci. Chciała rozwodu. To byłby już trzeci rozwód w mojej karierze. – Uśmiechnął się rozbrajająco. – Jestem na swój sposób romantykiem.

Ellie wiedziała coś o takim rodzaju wiary. „Idealista – pomyślała. – Tak jak ja”. Odsunęła od siebie to porównanie.

– A gdzie jest teraz pańska żona?

– Nie wiem. Jeśli zastanawia się pani, dlaczego mówię o tym tak bez emocji, to niech pani pamięta, że pytają mnie o to od lat. I nikomu nie podoba się moja odpowiedź. Myślałem, że żona zabrała Brittany i uciekła z jakimś nowym kochankiem.

Ellie obserwowała go. Miał w sobie coś naprawdę uwodzicielskiego. Może ton głosu, łagodny i spokojny, a może akcent, który sprawiał, że

każde słowo wydawało się starannie dobrane.

– Zeznawał pan we własnej obronie?

– Niestety, nie. Adwokaci uważali, że znajdę się pod ostrzałem pytań strony przeciwnej i to, co powiem, może obrócić się przeciwko mnie. Ale chciałem zeznawać. I byłbym przekonujący. Wiele o tym myślałem w więzieniu. Człowiek ma tam czas na rozmyślania. Wydałem fortunę na prywatnych detektywów. Najbardziej obiecujący trop podsunął nam dostawca kwiatów. Twierdził, że widział mężczyznę w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym i czapce bejsbolówce, który siedział w vanie naprzeciwko mojego domu.

– I co?

– Nie udało nam się go znaleźć.

– Więc żałuje pan, że nie zdecydował się zeznawać?

– Nie wiedziałem, że tak to do mnie przylgnie… Ludzie uważają mnie za potwora.

– I dlatego pan tu jest? Żeby przy pomocy Alice, przepraszam, Brittany, udowodnić swoją niewinność?

Patrzył na nią; na jego ustach nie było śladu uśmiechu, w oczach także. Wyglądał tak uczciwie, jak uczciwie może wyglądać człowiek po przejściach.

– Jeśli ludzie zobaczą, że Brittany żyje, będą musieli zrewidować swoje poglądy.

– Ona już przeszła swoje.

– Tak jak ja – odparł cicho, ze smutkiem.

– Ale to dziecko.

– Moje dziecko – przypomniał i słysząc to, zrozumiała, że mimo całego żalu, całego smutku ten skrzywdzony mężczyzna zrobi wszystko, by uzyskać to, czego chce.

– Chyba nie zdaje pan sobie sprawy, co pańska córka przeżyła. Gdy ją znaleźliśmy, była praktycznie dzika. Nie potrafiła mówić ani…

– Czytałem doniesienia prasowe i obejrzałem taśmy. Jak pani myśli? Dlaczego z panią rozmawiam? Wiem, że pani siostra uratowała Brittany. Ale to moja córka. Moja córka. Chyba rozumie pani, co to znaczy. Załatwię jej najlepszą opiekę. Obiecuję.

– Najlepszą opiekę gwarantuje jej moja siostra, to właśnie usiłuję panu powiedzieć. Jeśli pan kocha Alice…

Wstał.

– Chyba już pójdę. Myślałem, że gdy się pani dowie, jak bardzo kocham córkę, to zachowa się pani profesjonalnie. Ale Julia jest przecież pani siostrą, prawda? To kolejne miejsce, w którym nie znajdę sprawiedliwości.

Ellie uświadomiła sobie, że posunęła się za daleko, kwestionując jego miłość do córki.

– Zrujnuje jej pan życie – powiedziała cicho.

– Przykro mi, że pani tak sądzi. Naprawdę. – Podszedł do drzwi, otworzył je. Zatrzymał się na chwilę i obejrzał za siebie.

– Do zobaczenia jutro.

Ellie westchnęła przeciągle. Jego słowa – „myślałem, że zachowa się pani profesjonalnie" – na długo utkwiły jej w głowie.

W natłoku faktów, pod wpływem emocji i lęków towarzyszących jej w ostatnich dniach, myślała tylko o Alice i Julii. Zapomniała, że ma obowiązki służbowe. Była szefem policji. Powinna przede wszystkim przestrzegać prawa.

Julia miała wrażenie, że ta noc nigdy się nie skończy. Wreszcie około trzeciej nad ranem dała sobie spokój ze spaniem i wzięła się do pracy. Długo siedziała przy stole kuchennym, czytając materiały na temat George'a Azelle'a.

Jego życie było pasmem niewyjaśnionych, podejrzanych faktów. Ale nigdy niczego mu nie udowodniono.

Z frustracją odsunąwszy od siebie papiery, Julia przebrała się w strój do joggingu i wyszła na dwór, mając nadzieję, że na zimnym powietrzu odzyska jasność myślenia. Wiedziała, że tego dnia będzie jej potrzebny trzeźwy umysł. Biegła przez wiele mil, najpierw jedną drogą, potem inną, aż poczuła ból w piersi i zabrakło jej tchu. W końcu, tuż przed świtem, znalazła się na podjeździe do domu.

Odszukała miejsce, gdzie ojciec najbardziej lubił łowić ryby, stanęła tam i ciężko dysząc, patrzyła, jak słońce wspina się nad wierzchołki drzew. Panował przenikliwy ziąb, a ona przypominała sobie, jak bezpiecznie się czuła, gdy bywali tu w lecie razem i jego wielka, stwardniała ręka ściskała jej małą dłoń.

Usłyszała za sobą kroki.

– Cześć – powiedziała Ellie, podchodząc. – Wcześnie wstałaś.

Podała jej kubek z kawą.

– Nie mogłam spać. – Wzięła kubek, obejmując palcami ciepłą porcelanę.

W milczeniu spoglądały przez chwilę na posrebrzoną łąkę i czarny las, który rozciągał się za nią. Okna domu Cala jaśniały w oddali, rozświetlając poranną mgłę.

– On ją dostanie, Jules.

– Wiem. – Julia spoglądała na różowiejącą powierzchnię rzeki.

– Musimy udowodnić, że jest winny – urwała. – Albo niewinny.

– Oglądasz za dużo kryminałów, Ellie. Państwo wydało miliony, lecz niczego mu nie udowodniono.

– Ale my mamy Alice.

Julia poczuła dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Jak to możliwe, że w tej desperacji nie pomyślała o tym? Powoli zwróciła twarz ku siostrze.

– Ona nic nie pamięta. Albo nie chce pamiętać.

– Może potrafiłaby nas zaprowadzić tam, gdzie ją trzymano.

„Zaprowadzić nas tam, gdzie ją trzymano”.

– Masz na myśli… Mój Boże, Ellie! Wyobrażasz sobie, co by to dla niej oznaczało?

– Moglibyśmy zyskać dowody.

– Ale, El… jeśli ona… przeżyje wstrząs? I znowu zamknie się w sobie? Jak bym potem z tym żyła?

– A nie przeżyje szoku, jeśli George ją zabierze? Czy kiedykolwiek zrozumie, że jej nie porzuciłaś?

Julia zamknęła oczy. Właśnie ta wizja ją prześladowała. Jeśli Alice znowu poczuje się odrzucona, może przestać mówić na zawsze, i nie będzie już dla niej ratunku.

– Przemyślałam każdy aspekt tej sprawy. Nie spałam całą noc. To moja praca, Jules. Dla mnie liczą się fakty. Jeśli chcemy poznać prawdę, to jedyna droga.

Julia skrzyżowała ramiona, jakby to mogło ją osłonić przed zimnem. Zostawiła siostrę i odeszła. Ellie nie rozumiała, co jej pomysł oznacza, nie wiedziała, jak krucha jest konstrukcja psychiczna dziecka, jak szybko sprawy mogą przybrać tragiczny obrót.

Ona jednak była tego świadoma. Wiedziała, co stało się w Silverwood.

Ellie dogoniła ją.

– Jules…?

– Nie wiem, czy przeżyłabym, gdyby Alice… coś się stało.

– Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu – przypomniała cicho Ellie.

Julia odwróciła się do niej.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Bez względu na to, co zrobimy i jak, Alice ucierpi. Dziecko nie powinno dorastać bez ojca, ale utrata ciebie byłaby dla niej jeszcze gorsza. Zaufaj mojej intuicji. Musimy poznać prawdę.

Julia nie wiedziała, jak zareagować. Ellie objęła ją ramieniem i przyciągnęła do siebie.

– Chodź – powiedziała. – Zrobimy naszej dziewczynce śniadanie.

Max wychodził spod prysznica, gdy usłyszał dzwonek do drzwi. Szybko wytarł się, wciągnął stare levisy i zszedł na dół.

– Już idę!

Otworzył drzwi.

Na progu stała Julia; widział, że bardzo się stara uśmiechnąć.

– Ellie chce zabrać Alice do lasu. Żeby sprawdzić, czy… – głos jej się załamał. – Czy potrafi znaleźć…

Wziął ją w ramiona i tulił, dopóki nie przestała drżeć, a potem zaprowadził do salonu. Gdy usiedli na kanapie, znowu ją objął.

– Co robić? – zapytała.

Delikatnie pogładził ją po twarzy.

– Znasz odpowiedź na to pytanie. Dlatego płaczesz. – Otarł łzy z jej policzków.

– Ona może cofnąć się w rozwoju. Albo stanie się coś jeszcze gorszego.

– A co będzie, jeśli sąd przyzna ją Azelle’owi?

Julia zaczęła coś mówić, ale urwała, wciągając głęboko powietrze.

W ciszy, która zapadła, Max powiedział:

– Pora, żebyś stała się jej matką, a nie terapeutą.

Spojrzała na niego.

– Jak to jest, że zawsze wiesz, co powiedzieć?

Próbował uciec spojrzeniem w bok, ale nie mógł. Bardzo powoli wstał i poszedł na piętro. Na biurku znalazł to, po co przyszedł: oprawioną

w ramkę fotografię małego chłopca w stroju do bejsbola, uśmiechającego się do zdjęcia. Brakowało mu dwóch przednich zębów. Max zaniósł zdjęcie na dół i usiadł na sofie.

Julia przestraszona wyprostowała się.

– Max? Co się stało? Wyglądasz…

Podał jej fotografię.

– To Danny.

Marszcząc czoło, Julia przyjrzała się drobnej, radosnej twarzy, a potem spojrzała pytająco na Maxa.

– To był mój syn.

Zaczerpnęła tchu.

– Był?

– To jego ostatnie zdjęcie. Tydzień później, gdy wracaliśmy z meczu, wjechał w nas pijany kierowca.

Do oczu Julii napłynęły łzy. Widząc to, mógł stracić panowanie nad sobą, roztkliwić się, ale poczuł się silniejszy. Po raz pierwszy od wielu lat wypowiedział na głos imię Danny'ego i przyniosło mu to ulgę.

– Zrobiłbym wszystko… – Spojrzał na nią, nie dbając o to, że głos go zawodzi, ani że w oczach ma łzy. – Dosłownie wszystko, żeby spędzić z nim jeszcze jeden dzień.

Julia długo patrzyła na zdjęcie, a potem pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Kocham cię, Max.

Otoczył ją ramionami i uścisnął.

– I ja cię kocham. – Wyznał to tak cicho, że nie był pewien, czy usłyszała; sam nie wiedział, czy sobie tych słów nie wyobraził. Ale spojrzał jej w oczy i nie miał wątpliwości: usłyszała.

– Któregoś dnia opowiesz mi o nim… o Dannym – powiedziała.

Pochylił się, żeby ją pocałować.

– Któregoś dnia…

24

– Alice, kochanie, słuchasz mnie?

– Poczytać Alice.

– Teraz nie będzie czytania. Pamiętasz, o czym rozmawiałyśmy dziś rano i potem, podczas lunchu? – Julia starała się mówić opanowanym głosem. – Pewien pan przyjdzie zobaczyć się z Alice.

– Nie. Bawić się z Lulią.

Julia wstała.

– Dobrze. Wobec tego idę na dół. Zostaniesz sama, jeśli tak wolisz.

Alice zaczęła pojękiwać.

– Nie idź.

Zerwała się z krzesła i podbiegła do Julii, wsuwając rączkę do kieszeni jej spódnicy.

Julii ścisnęło się serce.

– Chodź – poprosiła cicho.

Zeszły razem na dół. Alice ani na moment nie wyjęła ręki z kieszeni Julii.

Ellie stała przy kominku, najwyraźniej zajęta czytaniem gazety. Tylko że trzymała ją do góry nogami.

– Cześć – powiedziała, unosząc głowę, gdy weszły.

Chociaż miała staranny makijaż i zakręcone włosy, wyglądała na zmęczoną i zdenerwowaną.

– Cześć, Lellie – przywitała się Alice, ciągnąc Julię przez pokój. – Poczytać Alice?

Ellie się uśmiechnęła.

– To dziecko jest jak pies gończy, który złapał trop. – Zmierzwiła dziewczynce włosy. – Później – obiecała.

Julia przyklękła i spojrzała na Alice, która uśmiechała się radośnie.

– Poczytać? – spytała znowu dziewczynka.

– Nie musisz się bać tego pana, który przyjdzie. Jestem przy tobie, Ellie też. Nic ci nie grozi.

Alice zmarszczyła czoło.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

Na ten dźwięk Julia podskoczyła.

Psy na piętrze, zamknięte w pokoju Ellie, jakby oszalały; zaczęły skakać i szczekać.

Julia powoli się podniosła.

Ellie podeszła do drzwi. Zanim je otworzyła, przystanęła na moment i wyprostowała się.

Za drzwiami stał George z wielkim pluszowym misiem w rękach.

– Dzień dobry, pani komendant – powiedział, próbując zajrzeć do środka ponad jej ramieniem.

Ellie usunęła się na bok.

Julia obserwowała to jakby z oddali. Czuła się jak duch, duch niedawno zmarłej osoby, która przygląda się rodzinie zebranej po pogrzebie. Było cicho i spokojnie. Nikt nie wiedział, co mówić.

George wszedł do salonu. Kręcone włosy miał spięte w kucyk. Ubrany był w zwykłe levisy i drogą białą koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami.

Patrząc na nich dwoje – mężczyznę z ciemnymi kręconymi włosami, o wyrazistych rysach, i małą dziewczynkę, będącą niemal jego kopią – nie można było mieć wątpliwości, że łączy ich pokrewieństwo.

George zrobił krok do przodu, tak że miś, którego trzymał za łapę, zsunął mu się po biodrze.

– Brittany. – Wypowiedział to imię miękko. W jego głosie jednak słychać było zdziwienie.

Dziecko schowało się za Julię.

– Wszystko w porządku, Alice – zapewniła Julia, próbując odsunąć się od niej, ale dziewczynka nie chciała jej puścić.

– Ona jest uparta – powiedziała Julia do George’a. – I nie lubi się ode mnie oddalać.

– Odziedziczyła ten upór po mnie – zauważył.

W ciągu następnej godziny wszyscy czworo stanowili jakby żywy obraz z francuskiego filmu. Początkowo George próbował nawiązać kontakt z córką, mówił do niej, starając się nie wykonywać gwałtownych gestów, ale wszystko to okazało się daremne. Nie zdołał zwabić Alice do siebie, nawet gdy zaczął czytać na głos. W pewnym momencie dziewczynka ucie-

kła między rośliny doniczkowe i przykucnęła tam, obserwując przybysza zza zielonych, woskowych liści.

– Ona nie ma pojęcia, kim jestem – stwierdził w końcu, zamykając książkę i odkładając ją na bok.

– Minęło dużo czasu.

Wstał i zaczął nerwowo przemierzać pokój. Potem zatrzymał się i spojrzał na Julię.

– Czy ona w ogóle mówi?

– Uczy się.

– Jak opowie, co się z nią działo?

– To jest dla pana najważniejsze?

– Niech się pani wreszcie odczepi – powiedział, ale w jego słowach nie było złości. Brzmiała w nich rezygnacja. Obszedł kanapę i zbliżył się do roślin. Poruszał się ostrożnie, jakby podchodził do dzikiego zwierzęcia.

Spośród liści dał się słyszeć cichy warkot.

– To znaczy, że ona się boi – wyjaśniła Ellie z kuchni.

Psy na górze zaczęły wyć.

George zatrzymał się w odległości około półtora metra od Alice. Przykucnął, żeby znaleźć się na poziomie jej wzroku. Oboje patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, on w milczeniu, jego córka, warcząc ze strachu.

W końcu George wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć.

Wtedy Alice szarpnęła się do tyłu tak gwałtownie, że niewiele brakowało, a zrobiłaby sobie krzywdę. Jedna z roślin przewróciła się na podłogę

Mężczyzna cofnął rękę.

– Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć.

Alice przycupnęła na czworakach, patrząc na niego spośród liści i oddychając ciężko.

George zaczerpnął powietrza, a potem wypuścił je powoli. Julia usłyszała w tym zniechęcenie. Było po wszystkim. Przynajmniej na ten dzień. „Dzięki Bogu”. Może się podda.

Ale on ją zaskoczył. Ni stąd, ni zowąd zaczął śpiewać: *Mrugaj, mrugaj, mała gwiazdko*.

Tym razem to Julia wzięła głęboki oddech. Mężczyzna miał piękny, czysty głos.

Alice zastygła. Słuchając refrenu piosenki, przysiadła na piętach, a potem wstała. Ostrożnie rozchyliła rośliny, wśród których się ukrywała, i zaczęła nucić razem z nim.

– Przecież mnie znasz, Brittany, prawda? – zapytał George.

Na dźwięk tego imienia Alice odwróciła się i pomknęła po schodach.

Za chwilę na górze trzasnęły drzwi sypialni.

George wstał. Wsunął ręce do kieszeni i spojrzał na Julię.

– Śpiewałem jej tę piosenkę, gdy była malutka – wyjaśnił.

Julia już miała coś powiedzieć, kiedy usłyszała, że przed dom zajeżdża samochód.

– Kto to może być, El? – zapytała.

Ellie podeszła do drzwi i otworzyła je.

– Cholera jasna! – Zatrzasnęła drzwi i odwróciła się. – To KIRO TV, CNN i… „Gazette”.

Julia spojrzała na George’a.

– Powiadomił pan media?

Wzruszył ramionami.

– Gdy pani spędzi trzy lata w więzieniu, pani doktor, będzie pani mogła mnie osądzać. Jestem w tej sprawie tak samo ofiarą jak Brittany.

– Niech pan to powie komuś, kto panu uwierzy, egoistyczny sukinsynu! – Próbowała zapanować nad gniewem. Urządzanie awantury w obecności dziennikarzy nie miało sensu. – Widział ją pan. Uwaga mediów, ten cały zgiełk i światła reflektorów mogą jej poważnie zaszkodzić. Oboje wiemy, jak to jest, gdy dziennikarze dobiorą się do kogoś. Nie ma wtedy ucieczki. Niech pan nie robi tego Alice.

– Brittany. – Jego spojrzenie złagodniało. Wydało jej się, że dostrzegła prawdziwą troskę w jego oczach. Albo się łudziła. Tylko to jej pozostało. – A poza tym nie zostawiła mi pani w zasadzie wyboru.

Rozległ się dzwonek.

– Naprawdę chce pan dowieść swojej niewinności? – zapytała Julia, słysząc determinację we własnym głosie. Jednocześnie pomyślała: „Boże, miej ją w opiece. Boże, miej ją w opiece”. Potem spojrzała na siostrę, która porozumiewawczo kiwnęła głową.

– Wydałem już na to fortunę.

Ellie oderwała się od kredensu w kuchni.

– Teraz dysponuje pan czymś, czego wcześniej pan nie miał – rzekła.

– Pomocą szefa policji z małego miasteczka? Jest pani piękna, Ellie, ale to za mało.

– Nie chodzi o mnie – powiedziała, podchodząc.

Znowu odezwał się dzwonek.

– Chodzi o Brittany – wyjaśniła Julia. Wypowiadając to imię, poczuła gorycz w ustach, a może było to coś innego; może tak smakował prawdziwy strach, którego dotąd nie znała. – Przypuszczamy, że przebywała dość długo w lesie. Może nawet całe lata. Jeśli tak, to niewykluczone, że i pańska żona była tam przetrzymywana. Ktokolwiek je tam zabrał, może zostawił jakieś ślady.

George przez chwilę milczał.

– Myśli pani, że Brittany mogłaby nas tam zaprowadzić?

– Tak przypuszczamy – odparła Ellie.

Julia zdołała tylko skinąć głową.

– Czy to… bezpieczne? To znaczy, dla Brittany?

Julia nie była w stanie odpowiedzieć. Łzy dławiły ją w gardle. „To niewłaściwy krok, nawet jeśli powód jest słuszny”.

– Julia nie dopuści, żeby mała zobaczyła to miejsce, oczywiście, jeśli je znajdziemy. – Ellie patrzyła na niego spokojnie. – Oczekiwał pan, że zajmę się swoją robotą. Czy był to tylko kolejny blef?

Julia gwałtownie zaczerpnęła tchu. Powietrze było aż gęste od niewypowiedzianych słów i skrywanych obaw. Winny nie zgodziłby się na propozycję, którą właśnie przedstawiły.

– Dobrze – powiedział w końcu George. – Ale zrobimy to już jutro. Nie ma co przeciągać sprawy.

Julia nie wiedziała, co o tym sądzić.

– Dobrze. – Jej słowa nie były głośniejsze od szeptu.

– I bez udziału mediów – zastrzegła Ellie.

George spojrzał najpierw na jedną z nich, potem na drugą, jakby chciał ocenić szczerość ich intencji.

– Zgoda.

Znowu dał się słyszeć dzwonek u drzwi. Jednocześnie ktoś zaczął w nie walić.

– Niech się pan schowa – powiedziała Ellie ostro do George’a.

Poszedł do kuchni i przykucnął za kredensem.

– Chodź ze mną – poleciła z kolei Julii.

Podeszły do drzwi.

Na schodach stało kilku reporterów, między innymi Mort z „Gazette”. Z ożywieniem rozmawiali ze sobą, gdy drzwi się otworzyły.

– Przyjechaliśmy, żeby przeprowadzić wywiad z George’em Azelle’em.

– Wiemy, że to jego samochód.

– Czy mogą panie potwierdzić, że dziewczynka z wilkiem to jego zaginiona córka?

– Doktor Cates, pani zajmowała się tym dzikim dzieckiem. Czy ono już mówi?

Julia patrzyła na twarze ludzi stojących przed nią i czuła się dziwnie odległa. Jeszcze kilka tygodni temu dałaby wiele, żeby postawiono jej to ostatnie pytanie i żeby mogła odpowiedzieć twierdząco. Jeszcze wtedy zależało jej na odzyskaniu reputacji, teraz jednak jej świat zmienił się diametralnie.

Poczuła na sobie spojrzenie Ellie. Bez wątpienia siostra myślała o tym samym.

Dziennikarze patrzyli na Julię wyczekująco, podsuwając jej mikrofony, gotowi teraz uwierzyć w jej słowa. Mogłaby odzyskać autorytet. Wiedziała, że to możliwe. Mogłaby, jak planował George, potraktować Alice jak żywy dowód. Wystarczyłoby zaprezentować taśmy z początków terapii i pokazać dziewczynkę w stanie, w jakim była obecnie. Postęp, jakiego razem dokonały, wydawał się cudem. Dziennikarze zaczęliby ustawiać się w kolejce po wywiad na temat terapii, którą zastosowała.

W końcu jednak, po tych wszystkich marzeniach o triumfalnym powrocie do zawodu, zadziwiająco łatwo przyszło jej uśmiechnąć się chłodno i oświadczyć:

– Bez komentarza.

Ellie, Cal, Earl, Julia i Alice spotkali się w parku. Musieli wyruszyć przed świtem. Nie chcieli żadnych świadków tej wyprawy; obecność mediów zniweczyłaby cały plan. George trzymał się z dala od reszty; stał ze splecionymi rękami, rozmawiając ze swoim prawnikiem.

– Czy Alice da sobie radę? – zapytał Cal, wyrażając obawę wszystkich.

Ellie nie potrafiła na to odpowiedzieć.

– Nie wiem, czego się możemy spodziewać. – Ujęła Cala za rękę. Ciepły, znajomy dotyk jego dłoni podziałał na nią uspokajająco, od razu łatwiej było jej oddychać.

Prawie nie spała tej nocy; do późna sprawdzała obowiązujące procedury policyjne i kontaktowała się za pośrednictwem e-maila z kolegami po fachu

w całym kraju. Zebrała sprzęt i preparaty do zabezpieczania dowodów, powierzając Calowi funkcję fotografa podczas akcji. Wszystko musiało być zgodne z prawem. Gdyby coś znaleźli, należało zabezpieczyć miejsce przestępstwa do czasu przybycia detektywów z wydziału śledczego policji hrabstwa albo biura federalnego.

W parku było ciemno i cicho. I zimno. Lodowaty dech styczniowy szczypał ich w policzki i powodował pierzchnięcie ust. Stali pod klonem już prawie godzinę. W tym czasie nikt nie odezwał się ani słowem oprócz Julii, która klęczała przed Alice. W ciemności wszyscy wyglądali jak zjawy, a zwłaszcza dziewczynka, ze swoimi ciemnymi włosami, w ciemnym płaszczu i czerwonych butach.

– Przestraszona. – Warknęła cicho.

– Wiem, kochanie. Ja też jestem przestraszona. Tak samo ciocia Ellie. Ale musimy zobaczyć, gdzie wcześniej mieszkałaś. Pamiętasz, jak rozmawiałyśmy o tym miejscu w lesie?

– Ciemno – szepnęła Alice.

Ellie słyszała powarkiwania dziewczynki, jej drżący głos i miała ochotę odwołać całą akcję. Jak mogły w ogóle ważyć się na coś takiego?!

– Nie zostawić Alice?

– Nie – odparła Julia. – Cały czas będę cię trzymała za rączkę.

Alice westchnęła. Był to przejmujący, rozdzierający serce dźwięk.

– Dobrze.

Usłyszeli warkot samochodu. Przyjechał ostatni uczestnik wyprawy.

Ellie skierowała się na chodnik, gdzie obok półciężarówki ośrodka łowieckiego stali Peanut i Floyd. Trzymali na smyczy wilka w kagańcu.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – zapytał Floyd.

– Tak. – Wzięła od niego smycz.

– Wilk! – zawołała Alice, podbiegając do nich.

Zwierzę radośnie skoczyło na dziewczynkę i przewróciło ją.

– Przywieziesz go z powrotem? – zapytał Floyd, patrząc na tę dwójkę, która turlała się po oszronionej ziemi, okazując radość, tak długo tłumioną.

– Raczej nie. Jego naturalne środowisko to las.

Floyd wskazał wzrokiem Alice.

– Chyba nie tylko jego.

Potem wsiadł do samochodu i odjechał.

Ellie zerknęła na zegarek i podeszła do siostry, która stała teraz sama, patrząc w kierunku lasu.

– Pora ruszać.

Julia na moment przymknęła oczy i wciągnęła w płuca powietrze. Wypuszczając je, podeszła do Alice i znowu przy niej przyklękła.

– Musimy iść, Alice.

Dziewczynka wskazała kaganiec i smycz.

– Źle. Niewola. To śmierdzące.

Ellie wymieniła z siostrą zaniepokojone spojrzenie. Wieczorem postanowiły wziąć ze sobą wilka, bo liczyły, że pomoże on Alice odnaleźć drogę do jej dawnego schronienia. Wtedy wydawało im się to mniej niebezpieczne.

– Jest jej potrzebny – rzekła Julia.

– Dobra, ale musi zostać w kagańcu. – Ellie schyliła się i odpięła smycz. Wilk natychmiast zaczął łasić się do Alice.

– Jaskinia, wilku – szepnęła dziewczynka i oboje ruszyli w stronę lasu.

– Proszę mi powiedzieć, że to nie jest wilk – odezwał się George, podchodząc do Ellie.

– Idziemy – rzuciła w odpowiedzi.

Do czasu, gdy słońce wzeszło nad wierzchołki drzew, byli już tak daleko od miasteczka, że słyszeli jedynie szelest własnych kroków na poszyciu i dźwięczne szemranie rzeki płynącej w pobliżu.

Od ponad godziny nikt się nie odezwał. Cała grupa, z Julią, Alice i wilkiem na czele, coraz bardziej zagłębiała się w las.

Drzewa rosły tu gęściej i były wyższe, a ich stykające się ze sobą korony blokowały dostęp światła do niższych partii lasu. Od czasu do czasu promienie słońca przebijały się przez ten gąszcz, ale z powodu unoszących się w nich drobin pyłu sprawiały wrażenie litych brył i wędrowcom wydawało się, że nie przejdą przez nie.

Ale szli i szli w głąb lasu, gdzie grunt stawał się coraz bardziej gąbczasty, a porosty zwieszały się z łysych gałęzi jak jakieś niesamowite rękawy. Szarawa mgła unosiła się nad ziemią, zasnuwając aż po kolana nogi idących.

Około południa zrobili postój na polanie, żeby coś zjeść.

Ellie nie wiedziała, jak czują się inni, ale sama była niespokojna. Ich grupa wydawała się taka mała; łatwo mogli zabłądzić. Jedyne dźwięki powodował wiatr, poruszający tysiącami igieł i liści w górze. Słyszeli ten szum, zanim jeszcze poczuli chłodny powiew na policzkach.

Usiedli w kręgu pod cedrem tak ogromnym, że gdyby nawet ujęli się za ręce, nie zdołaliby objąć pnia.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał George, prostując nogi.

Cal rozłożył mapę.

– Najprawdopodobniej w Komnacie Porostów na terenie parku. To chyba niedaleko Zaczarowanych Wodospadów. Ale kto to wie? To niezbadany obszar.

– Zgubiliśmy się? – zapytał George.

– Ona nie – odparła Ellie, wstając. – W drogę!

Szli przez następnych kilka godzin, ale posuwali się powoli. Marsz utrudniało gęste poszycie i kurtyny porostów. Wreszcie przy czwórce wielkich drzew zatrzymali się na nocleg i rozstawili wokół ogniska pomarańczowe namioty.

Przez cały czas, gdy rozbijali obóz i podgrzewali konserwy na kolację, mówili niewiele. Przytłoczyły ich nocne dźwięki lasu. Wokół słyszeli szmery, trzaski i pohukiwania. Tylko Alice i wilk wydawali się spokojni. Tu, w tym zielonym mroku, dziewczynka poruszała się swobodniej, szła z uniesioną głową. Pozwalało im to wyobrazić sobie, jaka stanie się któregoś dnia, gdy wreszcie wśród ludzi poczuje się u siebie.

Chociaż wszyscy już ułożyli się na spoczynek, Ellie czuwała. Siedząc na brzegu rzeki, patrzyła na otaczający ją ciemny las i zastanawiała się, jak Alice zdołała kiedyś sama przebyć tę drogę.

Usłyszała za sobą trzask gałązki i obejrzała się.

Nadchodziła Julia, zmęczona i zaniepokojona.

– Czy to punkt zborny osób cierpiących na bezsenność? – spytała.

Ellie przesunęła się, żeby zrobić dla niej miejsce na porośniętym mchem balu. Delikatne zielone liście paproci, które rosły wokół niego, zadrżały przy tym ruchu.

Siostry siedziały obok siebie; u ich stóp płynęła rzeka, prawie niewidoczna w ciemności. Noc pachniała soczystą zielenią. W górze pojawiła się Droga Mleczna, jej gwiazdy przeświecały pomiędzy czubkami drzew i przepływającymi chmurami.

– Jak tam Alice? – zapytała Ellie. Przyszło jej do głowy, że niebawem będą musiały nazywać ją Brittany. Była to kolejna z wielu rzeczy, z którą nie mogły się pogodzić.

– Śpi spokojnie. Czuje się tu zupełnie swobodnie.

– To jej dom, jak sądzę. Jej własne podwórko.

– Czy ona nas dokądś prowadzi? Czy po prostu idzie przed siebie?

– Nie wiem.

– Mam nadzieję, że postępujemy właściwie. – Głos Julii się załamał.

Umilkły. Każda z nich zastanawiała się, czy podjęły słuszną decyzję. Ellie chciała uniknąć rozmowy o George'u, ale w tym miejscu, gdzie poza nią i siostrą była tylko noc, wszystko zaczęło nabierać wyrazistości.

– Widziałaś, jak George na nią patrzy? – Ellie powiedziała to cicho, na wypadek, gdyby mężczyzna nie spał i słuchał. Na szczęście, szum rzeki zagłuszał rozmowę.

– Tak – odparła Julia. Po chwili dodała: – Wygląda jak ktoś, kto ma złamane serce. Krzywi się za każdym razem, gdy ona go ignoruje albo odwraca się od niego.

– Zaczynam się denerwować. Bo jeśli znajdziemy…

– Wiem. – Julia położyła jej głowę na ramieniu. – Cokolwiek się zdarzy, El, nie poradziłabym sobie z tym bez ciebie.

Ellie objęła ramieniem młodszą siostrę i przyciągnęła ją do siebie.

– A ja bez ciebie.

Znowu gdzieś z tyłu trzasnęła gałązka.

Ellie gwałtownie się odwróciła.

Za nimi stał George z rękami w kieszeniach.

– Nie mogę spać – powiedział, podchodząc bliżej.

Ellie przyjrzała mu się uważnie.

– Tu chyba tylko Alice potrafi usnąć.

George zapatrzył się w las. Nie odwracając wzroku, wyznał cicho:

– Boję się tego, co możemy znaleźć.

Jeśli grał, to jego aktorstwo zasługiwało na Oscara. Ellie zerknęła na Julię i zobaczyła w jej oczach lęk. Więc Julia też to zauważyła.

– Uhm – mruknęła w końcu Ellie, mocniej ściskając siostrę. – Wszyscy się tego boimy.

Ellie obudziła się o świcie i rozpaliła ogień. W ciążącym wszystkim milczeniu zjedli śniadanie i zwinęli obóz. Gdy zrobiło się jasno, byli już w drodze. Przedzierali się przez coraz gęstsze zarośla, zrywając pajęczyny mocne jak sieci rybackie. Po dwunastej Alice nagle się zatrzymała.

W mrocznym świecie wysokich, liczących całe wieki drzew i wszechobecnej mgły dziewczynka wydawała się niewiarygodnie mała i zalęk-

niona. Patrząc na Julię, wskazała w górę rzeki.

– Alice tam nie iść.

Julia wzięła ją na ręce i przytuliła.

– Jesteś bardzo dzielną dziewczynką. – Do Ellie zaś powiedziała: – Rób notatki i zdjęcia. Muszę wiedzieć wszystko. I uważaj.

Zaniosła małą pod olbrzymi cedr. Usiadły razem u jego stóp na miękkim dywanie z mchów. Wilk ruszył za nimi i położył się obok.

Ellie spojrzała przed siebie, w czarnozielony mrok, który rozciągał się wokół. Cal, Earl, George i jego prawnik podeszli do niej jeden po drugim. Nikt nie odezwał się ani słowem. Dalszy marsz, w głąb gąszczu, wymagał odwagi, ale Ellie mężnie stanęła na czele grupy.

Ruszyli wzdłuż łuku rzeki, pokonali wzgórze i znaleźli się na polanie będącej dziełem człowieka. Jej obszar wyznaczały pniaki wykarczowanych drzew, a granicę stanowiły zwalone bale. Na ziemi walały się puste puszki, o ściankach porosłych mchem i pleśnią. Były ich tysiące, musiały gromadzić się tu przez lata. Obok jaskini znajdowała się sterta czasopism, książek i śmieci. Niedaleko, wśród czerwonych cedrów, stała rozpadająca się szopa bez drzwi.

Po lewej stronie ziało ciemne wejście do pieczary, przysłonięte paprociami, które rosły wokół pod najdziwniejszymi kątami, a ich pierzaste liście chwiały się na wietrze. Przed jaskinią znajdował się wbity w ziemię pal; metalową klamrą przytwierdzona była do niego nylonowa lina.

Ellie przyklękła przy nim. Na drugim końcu poszarpanej liny zobaczyła skórzane pęta, które zostały przegryzione. Ich obwód był mały, jakby miały objąć kostki dziecka. Na skórze widniały czarne plamy. Krew. Przymknęła na moment oczy i natychmiast tego pożałowała. W wyobraźni zobaczyła małą Alice z tymi pętami na nogach. To jej drobne, gołe stopy wydeptały krąg w ziemi. Jak długo tu tkwiła, krążąc wokół pala?

Cal ukląkł obok. Czekała, żeby coś powiedział, ale tylko uścisnął jej ramię.

Ellie powoli podniosła się.

– Włóżcie wszyscy rękawiczki.

A potem zrobiła błąd, spojrzawszy na George’a.

– Jezu – powiedział. Miał bladą twarz i drżące usta. – Ktoś ją tu uwiązał jak psa? Jak…

– Przestań. – Ellie czuła, że łzy płyną jej po policzkach. To było bardzo nieprofesjonalne, ale nie mogła ich powstrzymać. – Chodźmy – rzuciła do

Cala.

W ciszy tak ciężkiej, że trudno było się w niej poruszać i oddychać, Ellie poprowadziła pierwsze w swoim życiu przeszukanie miejsca zbrodni. Znaleźli stos damskich ubrań, czerwony skórzany pantofel na wysokim obcasie, zakrwawiony nóż, pudełko z niewykończonymi amuletami przeciwko złym snom i podarty kocyk dziecięcy, tak brudny, że trudno byłoby określić jego kolor. Na jego brzegach wisiały aplikacje w kształcie stokrotek.

Kiedy George zobaczył kocyk, wydał stłumiony, przejmujący jęk.

– O mój Boże…

Ellie nie miała odwagi na niego spojrzeć. I tak trzymała się resztą sił. Jeśli wyraz twarzy George'a był tak przerażający jak dźwięk jego głosu, straciłaby panowanie nad sobą.

– Notuj wszystko, Earl – poleciła.

Za szopą znajdował się jeszcze jeden pal ze skórzanymi pasami na kostki. Te były jednak większe, ale także poplamione zaschniętą krwią. Trzymano tu drugą osobę. Dorosłą.

Zoë.

– Nawet nie mogła widzieć swojej córki – szepnęła Ellie.

Lina Zoë była dłuższa, sięgała do materaca leżącego w szopie.

Cal znowu dotknął Ellie.

– Do roboty.

Skinęła głową, słysząc jego zdławiony głos; czuła pieczenie w oczach. Ruszyła powoli dalej, oglądając wszystko dokładnie, począwszy od kupy śmieci przy obrośniętym mchem słupie aż po brudny materac, który leżał pomiędzy dwiema jodłami. Wszędzie widniały ślady zwierząt; obóz był niezamieszkany od dawna i panoszyły się tu padlinożercze stworzenia.

Między drzewami, niedaleko materaca, Ellie trafiła na stary kufer, z tak pordzewiałym zamkiem, że nie można go było otworzyć. Po kilku próbach wreszcie jej się to udało. W środku znalazła plik wycinków z gazet spokańskich, większość ich dotyczyła prostytutek, które zaginęły w tym mieście i nie zostały odnalezione. Ostatni nosił datę 7 listopada 1999 roku. Leżało tam także kilka pistoletów i zakrwawiony temblak.

Na samym dnie, pod bandażami, gazetami i brudnymi srebrnymi sztućcami, znajdował się żółty płaszcz przeciwdeszczowy i zniszczona czapka bejsbolowa.

Za jej plecami George wydał rozpaczliwy okrzyk:

– On go widział! Dostawca kwiatów widział w tym porywacza przed moim domem.

Ellie nie odwróciła się; nie była w stanie spojrzeć na George’a. Usłyszała jednak, że mężczyzna opadł na kolana.

– Gdyby słuchali uważniej, może by je znaleźli, zanim… im to zrobił. O mój Boże!

Kiedy zaczął płakać, Ellie zamknęła oczy. Zrobiła, co do niej należało, odkryła prawdę.

Ale nie o taką prawdę jej chodziło.

Serce bije mocno w piersi Alice. Dziewczynka wie, że powinna uciekać. Ale przecież nie może zostawić Lulii.

Jednak słyszy wszystkie te głosy. Liści, drzew, rzeki. Pamięta je i chociaż się boi, czuje coś, co każe jej się podnieść.

Wilk ociera się o nią z oddaniem. Niedaleko jego stado stoi w gotowości, czeka na jego powrót. Alice to wie. Słyszy miękkie stąpania, powarkiwania, ciche odgłosy, cichsze niż szelest liści i szum wody. Odgłosy życia, przenikające całą tę ciemność.

Pochyla się. Trwa to długo, ale w końcu uwalnia wilka z brzydkiej, śmierdzącej klatki na pysku i wokół szyi.

Zwierzę spogląda na nią; rozumieją się idealnie.

Alice robi się smutno na myśl, że go utraci, ale wilk musi przecież być wśród swoich.

– Pa, pa – szepcze do niego.

Wilk wyje i liże ją po buzi.

– Do widzenia – dodaje dziewczynka.

A potem on znika.

Alice patrzy przez ramię na Lulię i czuje, że coś rozsadza jej serce. Wie, co chciałaby jej powiedzieć, ale nie zna odpowiednich słów. Bierze ją za rękę i prowadzi dookoła tamtego miejsca; nie chce widzieć jaskini, o nie! Wchodzą na zwalone drzewo, które On ściął i przerzucił nad kępą parzących pokrzyw.

Jest.

Kopiec ziemi, przykryty kamieniami.

– Mamusia – mówi Alice, wskazując kamienie.

Wydawało się jej, że zapomniała już to słowo. Kiedyś, dawno temu, mamusia całowała Alice tak jak teraz Lulia… i układała ją w łóżeczku, które pachniało kwiatami.

A może tylko tak jej się śniło? Nie jest pewna. Pamięta taki moment, jak przebłysk: Ona nachyla się i całuje Alice, szepcząc: „Bądź dobra dla mamusi. Pamiętaj ją".

– Och, kochanie… – Lulia bierze Alice w ramiona i kołysząc, przytula ją mocno.

Alice chciałaby, żeby jej oczy napełniły się wodą, ale dzieje się z nią coś innego. Serce boli ją tak, że trudno to wytrzymać.

– Alice kocha Lulię – mówi.

Lulia całuje ją, tak jak kiedyś robiła to mamusia.

– Ja też cię kocham – mówi.

Alice się uśmiecha. Teraz jest już bezpieczna. Zamyka oczy i zasypia. We śnie jest dwiema dziewczynkami – dużą Alice, która umie liczyć na palcach i używa słów, żeby inni mogli ją zrozumieć. A po drugiej stronie rzeki znajduje się mała Brittany, która ma na sobie majtki zwane pieluchą i bawi się czerwoną piłką. Jest z nią mamusia, machająca ręką na pożegnanie.

Alice wie, że śpi. Wie też, że w tym świecie, w którym jest jedyną Alice, spoczywa w ramionach Lulii i jest bezpieczna.

Julia stała pod klonem w Sealth Park ze śpiącą Alice na rękach. Nikt jej nie powiedział, dokąd ma iść ani co dalej robić, gdy ekipa poszukiwawcza podrzuciła je do remizy strażackiej. Jednak ona i George jakimś sposobem wylądowali tutaj, jak muszle wyrzucone na brzeg, w miejscu, w którym rozpoczęli akcję. Ogłuszający huk helikopterów i wycie syren wreszcie zaczęły cichnąć.

– Co teraz? – zapytał George, oszołomiony i zdezorientowany, jakby tak naprawdę wcale nie oczekiwał odpowiedzi.

– Nie wiem. Ellie wróci tam z grupą biegłych.

– Widziałaś, co on zrobił mojemu dziecku? Przywiązał je jak psa…

– Przestań. – Julia odwróciła się do niego i zobaczyła w jego oczach ból, łzy. Nie wiedzieli jeszcze wszystkiego. Należało przeprowadzić testy i cze-

kać na ich wyniki – ale wszyscy znali już prawdę.

To nie George był winien.

– Przepraszam cię. – Chciała powiedzieć coś więcej, ale nie potrafiła. Miała wrażenie, jakby była zrobiona z kredy i kruszyła się po kawałku.

– Chyba porozmawiamy o tym później. Kiedy to wszystko… trochę zblednie.

– Nie sądzę, żeby dla nas zbladło to kiedykolwiek, George, ale rzeczywiście może porozmawiamy kiedy indziej. Teraz zabiorę moją małą do domu. – Mimo najlepszych chęci zacięła się przy tych słowach. Moja mała. – To znaczy naszą małą.

Wyciągnął ostrożnie rękę i pogładził Alice po plecach. Jego ciemna dłoń, spoczywająca między jej łopatkami, sprawiała wrażenie bardzo dużej.

– Nigdy nie przestałem jej kochać.

Julia przymknęła oczy.

Nie była w stanie teraz o tym myśleć, boby się chyba rozsypała. Mamrocząc przeprosiny, odwróciła się i ruszyła szybkim krokiem do swojego samochodu.

Była już na chodniku, gdy zobaczyła Maxa.

Stał w świetle latarni i jego włosy wydawały się srebrzystobiałe. Na jego twarz padał cień.

Powoli przeszedł przez ulicę, idąc ku niej. Obcasy jego butów stukały na wysłużonym, wyboistym asfalcie w rytm bicia jej serca.

Podszedł blisko, tak jak podchodzą kochankowie.

– Dobrze się czujesz?

Nawet jeśli próbowała, to nie mogła powstrzymać łez płynących jej z oczu.

– Nie.

Wziął od niej dziecko i ułożył na tylnym siedzeniu samochodu. Potem zrobił jedyną rzecz, jaką mógł zrobić – wziął Julię w ramiona i pozwolił jej się wypłakać.

Gdy Ellie skończyła pisanie raportu, a także rozsyłanie faksów i e-maili do odpowiednich agencji rządowych, czuła się wyczerpana.

Odsunęła się od biurka, wzdychając ciężko. Była dopiero dziesiąta wieczór, ale Ellie miała wrażenie, że jest znacznie później.

Tego wieczoru już nic więcej nie mogła zrobić, wstała więc zza biurka i przeszła przez posterunek, gasząc po drodze światła. Pod 991 na pewno dzwoniło mnóstwo ludzi z pytaniami, ale zajmie się tym jutro.

Noc była cicha i spokojna. Lekki powiew wiatru zburzył Ellie włosy i wprawił w taneczny ruch liście na chodniku.

Była już prawie przy swoim cruiserze, gdy zauważyła George'a. Stał oparty o latarnię. Nie miał na sobie płaszcza; na pewno przemarzł.

Podeszła do niego.

Nie uniósł głowy na dźwięk kroków.

Ellie zawsze miała trudności z doborem właściwych słów i teraz też nie wiedziała, co powiedzieć.

George spojrzał na nią.

– Ci ważni gliniarze z wielkiego miasta tyle czasu łazili za mną, a prawdę odkryłaś ty.

– Miałam do pomocy Alice. – Zreflektowała się moment za późno. – To znaczy Brittany.

Pochylił się i pocałował ją w usta. Nie był to romantyczny pocałunek, ale i tak zrobił na niej wrażenie.

W innym czasie, w innej sytuacji pewnie dałaby się ponieść emocjom i doszłoby do czegoś więcej. Teraz jednak wycofała się.

– Dziękuję – powiedział szeptem.

– To niczego nie zmienia – odparła, słysząc, że głos jej drży. – Alice potrzebuje mojej siostry. Bez niej…

– To moja córka. Potrafisz to zrozumieć?

Ellie zdobyła się na odpowiedź, ale była ona ledwie słyszalna. Oto dokąd zaprowadziła ich prawda.

– No cóż… Tak.

25

Następnego dnia około trzeciej wszystkie większe sieci i stacje telewizyjne przerwały nadawanie programów, żeby donieść o odkryciu ciała Zoë Azelle w lasach deszczowych stanu Washington. Analiza kryminalistyczna potwierdziła jej tożsamość, a także pozwoliła zidentyfikować mężczyznę, który ją porwał. Nazywał się Terrance Spec i od dawna miał zatargi z prawem. Dwukrotnie został skazany za gwałt. Przed kilku laty był również głównym podejrzanym w sprawach zaginionych prostytutek ze Spokane, choć nie było żadnych dowodów na potwierdzenie jego winy. Zginął w październiku – zderzenie na autostradzie 101 i ucieczka z miejsca wypadku.

Wszystkie gazety, stacje radiowe i telewizyjne poinformowały jednocześnie, że George Azelle jest niewinny.

Zawiódł system sprawiedliwości, mówiono. Człowiek, którego wszyscy, począwszy od kelnerek aż po senatorów, nazywali winnym sukinsynem, okazał się ofiarą. Telewizyjni eksperci od prawa – zwłaszcza Nance Grace, która nazwała go zwyrodniałym socjopatą z uśmiechem mordercy – gorączkowo usiłowali ratować teraz twarz.

George wraz ze swoim prawnikiem brał udział w konferencji prasowej na posterunku policji. Przez całe popołudnie odpowiadali na te same pytania. Wiadomość, że dziewczynka z wilkiem – której pojawienie się przed paroma miesiącami uznano za tanią sensację – jest jego córką, podsyciła zainteresowanie mediów. Nagłówek pod tytułem *Żywy dowód* miał się znaleźć na czołówkach milionów gazet.

Ellie stała z tyłu, pod ścianą, obok Cala i Peanut, oglądając to przedstawienie.

Poczuła na sobie spojrzenie Cala. Od rana wciąż się jej przyglądał. Dokądkolwiek szła, wyrastał przy niej, stawał obok, ale nic nie mówił.

– No co? – zapytała.

– Co co?

Peanut parsknęła śmiechem.

– Musicie skończyć z tymi filozoficznymi dyskusjami, bo za wami nie nadążam.

Ellie zignorowała komentarz przyjaciółki.

– O co chodzi, Cal? – spytała zirytowana. W jego oczach było coś, co ją rozstrajało. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ją osądza… i że czegoś w niej nie akceptuje.

– O nic.

– Jeśli masz mi coś do powiedzenia, wyrzuć to z siebie. Przyjaźnię się z tobą wystarczająco długo, aby wiedzieć, że coś ci leży na wątrobie. No i co takiego zrobiłam?

Spodziewała się, że Cal odpowie uśmiechem, rzuci jakąś przemądrzałą uwagę, ale on nadal tylko patrzył na nią. Po chwili zrobiło jej się z tego powodu nieprzyjemnie.

W końcu Cal rzeczywiście się uśmiechnął, ale uśmiech nie rozjaśnił jego oczu.

– To nieprawda, El. Sądzę, że wcale mnie nie znasz.

Powiedziawszy to, odszedł. Wrócił do swojego biurka i usiadł przy nim. Nałożył słuchawki, przysunął sobie szkicownik i zaczął rysować.

Ellie przewróciła oczami.

Peanut wcale to nie rozbawiło.

– Znowu coś go napadło – powiedziała Ellie.

Stały blisko siebie, prawie twarzą w twarz. Chociaż w pomieszczeniu wrzało, panował hałas i zamęt, wszystko to było nieważne. Oddech przyjaciółki stał się nagle jakby trochę za głośny.

– Po miasteczku krąży plotka – zaczęła Peanut. – Sama ją słyszałam dziś przed południem. Od Rosie z baru, która z kolei dowiedziała się od Eda z The Pour House.

– Domyślam się, że chodzi o mnie.

– Zdaje się, że zeszłego wieczoru pewna pani komendant policji całowała się z pewnym znanym panem spoza miasteczka. I to na parkingu, na oczach wszystkich. Ach, i chyba zapomniałam wspomnieć, że ten pan ma duże doświadczenie, jeśli chodzi o kobiety. – Cmoknęła. – Niedobrze.

Ellie skrzywiła się.

– Właściwie to on pocałował mnie.

– Rzeczywiście, wielka różnica! – Peanut westchnęła i pokręciła głową. Tak samo reagowała, gdy którejś z jej dzieci wyprowadzało ją z równowagi. – Ellie, jesteś idiotką. No, w końcu to powiedziałam. Czekam, aż się

obudzisz i zobaczysz, co masz pod nosem, oboje czekamy, ale najwyraźniej tak się nie stanie. Wystarczy, żeby w miasteczku zjawił się jakiś przystojniak, a ty z miejsca tracisz głowę. Już słyszę te weselne dzwony! Kto by się przejmował, że on odbierze Julii Alice i złamie nam wszystkim serca? Liczy się tylko to, że facet ma wspaniały uśmiech, wielkiego fiuta i sprawnie się nimi posługuje.

– Po pierwsze, to był tylko pocałunek, i nic więcej. Po drugie…

Peanut odeszła.

Ellie pobiegła za nią.

– Wracaj, do cholery! Przecież nie możesz powiedzieć mi czegoś takiego i odejść. – Chwyciła Peanut za ramię. Wokół nich stali reporterzy, ale Ellie nie zwracała na to uwagi. – Nie poszłam z nim do łóżka.

– Z tego, co mówią…

– Słuchasz mnie, do licha?! Nie poszłam z nim do łóżka. Nic między nami nie było. Nic. Zupełnie. Pocałował mnie. Mogło być z tego coś więcej, ale nie chciałam. On nam zabierze Alice, na miłość boską! Jak możesz myśleć, że się z nim przespałam?

Peanut zmarszczyła czoło.

– Naprawdę? Więc ty z nim nie…

– Trzymałam ręce z dala od rozporka, jak mówił mój tata.

– Dlaczego?

Ellie zrobiła zdziwioną minę.

– Alice jest dla mnie ważniejsza.

– Kiedyś nie było dla ciebie nic ważniejszego niż przystojny facet.

– Ludzie się zmieniają. – Ellie zastanowiła się nad tym przez chwilę; pod wpływem tych myśli uśmiechnęła się. I poczuła wolna.

– Najwyższy czas, do diabła! – Uśmiechnięta przyjaciółka objęła ją ramieniem. Razem podeszły do jej biurka.

– Hej, a co miałaś na myśli, mówiąc „my”? – zapytała Ellie. – Powiedziałaś, że oboje czekacie, aż przejrzę na oczy.

Peanut wzruszyła ramionami.

– Jesteś przecież bystra, rozwikłałaś sprawę George’a. Jeśli rozejrzysz się dookoła, na pewno zauważysz, co masz obok siebie. Pewnego dnia powinnaś pomyśleć o tych, którzy cię kochają, El. – Spojrzała na zegarek. – Ojej, czy nie powinnaś jechać do sądu?

Ellie zerknęła na zegar.

– Cholera! George już pojechał. – Pobiegła do drzwi.

Gdy dotarła pod gmach sądu, zaczął padać deszcz. Z ponurego, szarego nieba kapały lodowate krople. Zaparkowała samochód przed samym budynkiem i wbiegła do niego po schodach.

Znalazłszy się pod gabinetem sędzi, zapukała.

– Proszę! – usłyszała.

Weszła do dużego, surowo urządzonego pokoju. Wszystkie ściany zastawione były półkami pełnymi książek. Pośrodku stało wielkie biurko; za nim siedziała sędzia.

Julia wybrała miejsce w kącie, przy dużej roślinie doniczkowej. Obaj adwokaci siedzieli przed biurkiem. George stał samotnie po lewej stronie pokoju.

– Są już wszyscy – stwierdziła sędzia, wkładając okulary. – Okoliczności zmieniły się od czasu, gdy ostatnio byli państwo u mnie.

– Rzeczywiście, Wysoki Sądzie – potwierdził adwokat George’a.

Sędzia spojrzała na Julię.

– Wiem, jak bardzo zależy pani na Brittany, doktor Cates. Ale zna pani zasady działania systemu.

– Tak. – Julia jakby osłabła, skurczyła się. – Zdaję sobie sprawę, że pan Azelle jest ofiarą, podobnie jak Alice, i nie chciałabym, żeby jeszcze bardziej cierpiał, ale… – urwała, jakby zbierając siły, a potem spojrzała na sędzię. – Ale powinniśmy mieć na względzie przede wszystkim dobro dziecka.

Sędzia wyraziła zdziwienie.

– W jakim sensie?

– Ona mnie potrzebuje. Kocha mnie… ufa mi. Mogę… – Zacięła się, zrozpaczona. – Mogę jej pomóc.

Ellie podeszła do siostry i stanęła przy niej.

– Czy zawsze będzie dzieckiem specjalnej troski? – łagodnie zapytała sędzia.

– Nie wiem – odparła Julia. – Takich już dokonała postępów… Jest bardzo inteligentna. Wydaje mi się, że może przezwyciężyć urazy z przeszłości, ale będzie potrzebowała stałej opieki i długoletniej terapii.

– Muszą być specjalne szkoły dla takich dzieci – odezwał się George.

– Są – dodał jego prawnik. – Jak również inni lekarze, którzy mogą się dziewczynką zająć. Wysoki Sądzie, pan Azelle jest poszkodowany. Nie możemy unieszczęśliwić go jeszcze bardziej, odbierając mu znowu córkę.

– Nie – przyznała mu rację sędzia. – I jestem pewna, że doktor Cates to rozumie.

Julia zwróciła się do George’a:

– Ona nie ma pojęcia, kim jesteś, George. Współczuję ci, naprawdę. Przez całą noc myślałam o tym, co przeszedłeś, ale teraz najważniejsze jest dobro twojej córki. Alice nie zna jeszcze pojęcia „ojciec” i jeśli zostanie ode mnie zabrana – w swoim odczuciu znowu przez kogoś porzucona – cofnie się w rozwoju. Niewątpliwie znów zamknie się w sobie i przestanie mówić, zacznie wyć i okaleczać się. Jeszcze nie jest gotowa na zmianę opiekuna. Przykro mi. – Patrzyła na niego intensywnie, pragnąc go przekonać. – Może przeprowadziłbyś się tu na parę lat? Wtedy mogłabym z nią dalej pracować. Powoli byśmy…

– Parę lat? – George wydawał się zdziwiony, jakby nigdy nie brał pod uwagę takiego rozwiązania. – Chcesz, żeby został tu na parę lat, podczas gdy moja córka będzie mieszkała z tobą? I mówiła do ciebie „mamusiu”? A ja kim miałbym dla niej być? Sąsiadem? Wujkiem George’em?

Tym razem to Julia wyglądała na zaskoczoną.

– To może ja przeniosłabym się do Seattle…

– Pani nie rozumie, doktor Cates. – Mówił spokojnie, ale stanowczo. – Kocham moją córkę. Przez te lata, kiedy siedziałem za kratkami, marzyłem, że którego dnia ją odnajdę, a potem zabiorę do parku i zacznę uczyć gry na gitarze.

– Kochasz nie samą córkę, tylko wyobrażenie o niej. Przeczytałam o tobie wszystko, co się dało. Kiedy Alice była mała, prawie nie bywałeś w domu. Przez pięć dni w tygodniu oddawaliście ją do żłobka. Zoë utrzymywała, że nie wracałeś do domu na obiad, nie przyjeżdżałeś na weekendy. Nie znasz swojej córki. A ona nie zna ciebie.

– To nie moja wina – odparł łagodnie.

– Ale ja… ją kocham – powiedziała Julia z oczami pełnymi łez.

– Wiem o tym. I w tym cały problem. Właśnie dlatego nie może pozostać u ciebie i być twoją pacjentką ani tu, ani w Seattle.

– Nie rozumiem. Jeśli mogę pomóc…

– Ona nigdy mnie nie pokocha, jeśli będzie miała ciebie w pobliżu – rzekł.

Julia gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Zamknęła oczy, starając się zachować równowagę, a potem spojrzała na George’a. Wszyscy w pokoju wiedzieli, że nie może nic na to odpowiedzieć. George miał rację.

– Zrobię dla niej wszystko – obiecał. – Załatwię najlepszych lekarzy, także psychiatrów. Dopilnuję, by dobrze się nią zajęli. A później, kiedy już mnie pokocha i zrozumie, kim jestem, przyjadę tu z nią, żebyście się spotkały. Postaram się, żeby o tobie nie zapomniała, Julio.

W tak małym miasteczku jak Rain Valley większe znaczenie niż plotki miały tylko opinie. Każdy miał tu swoją opinię i koniecznie musiał się nią podzielić z innymi. Max spodziewał się, że zanim jeszcze spotkanie w sądzie dobiegnie końca, ludzie już zaczną o nim mówić.

Dzwonił do Julii co dziesięć minut, ale nikt nie odpowiadał. Prawie godzinę czekał, aż ona zadzwoni, jednak telefon milczał.

W końcu nie mógł już tego wytrzymać. Jeśli Julia sądzi, że samotność dobrze jej zrobi, to się myli. On sam zbyt długo trwał w tym niesłusznym przekonaniu, że ból trzeba przetrwać w samotności. Nie pozwoli, żeby i ona popełniła ten błąd.

Wsiadł do samochodu i pojechał do niej. Pokonując kolejne zakręty, wyobrażał ją sobie. Pewnie siedzi teraz na kanapie albo leży w łóżku, i stara się nie płakać, ale na wspomnienie Alice, śmiejącej się… jedzącej kwiaty… albo posyłającej motylom całusy… z jej oczu cieknią łzy.

Znał to.

Mogła próbować zapomnieć, uciec od tego, tak jak on niegdyś. Ale po latach i tak by sobie uświadomiła, że wspomnienia należy zachować. W końcu przecież poza nimi nic nie pozostaje.

Zajechał przed dom i zaparkował. Z zewnątrz wszystko wyglądało normalnie. Wielkie rododendrony, strzegące ganku, były soczyście zielone w tej deszczowej porze roku. Jasnozielony puszysty mech jak czapa przykrywał dach. Z okapów zwieszały się puste żardyniery. Wokół domu szeptały olbrzymie jodły. Max przeszedł przez podwórko, stanął u drzwi i delikatnie zapukał.

Otworzyła Ellie. Na tacy trzymała dwie filiżanki herbaty.

– Cześć, Max – powiedziała.

– Jak ona się ma? – zapytał.

– Kiepsko.

Odsunęła się, żeby go wpuścić, i podała mu tacę.

– Jest w moim pokoju na górze. Pierwsze drzwi po lewej. Alice śpi, więc staraj się być cicho.

Wziął od niej tacę.

– Dzięki.

– Jadę na posterunek. Za godzinę wrócę. Nie zostawiaj jej samej.

– Dobrze.

Już wychodziła, ale zatrzymała się i odwróciła do niego.

– Dziękuję, że jej pomogłeś.

– To ona pomogła mnie – odparł zwyczajnie.

Patrzył, jak Ellie wychodzi, a potem usłyszał odgłos zapalanego silnika. Zostawił filiżanki w kuchni – na to przyjdzie jeszcze czas; herbatę przynosili zazwyczaj krewni, którzy chcieli pomóc, tylko nie wiedzieli jak, i ruszył na górę. Przystanął przed zamkniętymi drzwiami, wciągnął w płuca powietrze i wszedł do pokoju.

Wewnątrz panował mrok. Światła były zgaszone.

Julia leżała na plecach w wielkim łóżku z baldachimem, oczy miała zamknięte, a ręce splecione na brzuchu.

Podszedł do łóżka.

– Cześć – powiedział ciepło.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego. Twarz miała zaczerwienioną i spuchniętą, podobnie jak oczy. Łzy jakby zmyły kolory z jej policzków.

– Wiesz już o Alice – stwierdziła cicho.

Położył się obok niej i wziął ją w ramiona. Przytulił ją i dał się jej wypłakać, słuchając jej wspomnień. Sam powinien był przed laty postąpić podobnie; przekształcić wszystkie swoje wspomnienia w coś trwałego, w coś, co mógłby zachować na zawsze.

W pewnym momencie przerwała opowieść i spojrzała na niego oczami błyszczącymi od łez.

– Nie powinnam tyle o niej gadać – oceniła.

Pocałował ją czule, w tym jednym pocałunku dając jej całego siebie.

– Mów dalej – rzekł, cofając głowę. – Nigdzie się nie spieszę.

Ulice w centrum były puste. Mijając kolejne sklepy, Ellie odpowiadała na smutne, zrezygnowane pozdrowienia ludzi widocznych przez okna

wystawowe. Gdy czekała w barze na swoją mokkę, uścisnęło ją czworo znajomych. Nikt nic nie mówił. Bo i co można było powiedzieć? Wszyscy wiedzieli, że następnego dnia o tej porze Alice już wśród nich nie będzie.

Było już późno, gdy wreszcie opuściła posterunek i wróciła do domu. Gdy stąpała po stopniach ganku do drzwi frontowych, po raz nie wiadomo który w życiu czuła się, jakby niosła na ramionach ciężkie brzemię. Jeszcze nigdy nie było jej tak źle na duszy, a to wiele mówiło w wypadku kobiety po dwóch rozwodach, która pochowała ponadto rodziców.

W środku wszystko wyglądało jak zwykle. Kanapa i wyścielane krzesła tworzyły przytulny kąt przed kominkiem, tu i ówdzie stały bibeloty, przeważnie ręcznie wykonane. Jedyną różnicę sprawiała grupa fikusów w rogu salonu.

Kryjówka Alice.

Jeszcze przed paroma tygodniami dziewczynka biegła tam, gdy tylko coś się działo, albo też pod wpływem jakichś emocji. Jednak ostatnio coraz rzadziej szukała schronienia w swoim zielonym azylu.

Myśl o tym była dla Ellie niemal nie do zniesienia, a skoro ona tak cierpiała, to co musiała czuć Julia? Każde tyknięcie zegara odbierała z pewnością jak cios.

Ellie podeszła do odtwarzacza CD i nastawiła *Return of the King*. Był odpowiedni dzień na smutne, melancholijne piosenki i wzruszające melodie.

Przechodząc obok stołu w jadalni, rzuciła na niego torebkę, w której coś zabrzęczało. Właśnie zaparzała sobie herbatę, gdy nagle zauważyła siostrę.

Julia siedziała na ganku, w przenikliwym chłodzie, owinięta w stary wełniany płaszcz myśliwski ojca.

Nalała herbaty również do drugiej filiżanki i zaniosła ją na ganek.

Julia wzięła filiżankę, podziękowała i zaproponowała siostrze, żeby usiadła.

Ellie wyjęła ze stojącej tam skrzyni stary koc i okryła się nim. Usadowiwszy się na bujaku, oparła nogi na skrzyni.

– Gdzie Max? – zapytała.

Julia pokręciła głową.

– Wezwali go do szpitala. Chciał zostać, ale… musiałam pobyć sama. Alice śpi.

Ellie zamierzała wstać.

– Czy mam…

– Nie. Proszę, zostań. – Julia uśmiechnęła się smutno. – Mówię jak Alice. To znaczy Brittany.

– Ona nigdy nie będzie dla nas Brittany.

– Uhm. – Julia upiła łyk herbaty.

– Co teraz zrobisz?

– Bez niej? – Julia zapatrzyła się na podwórko. W ciemności za rzeką, której nurt lśnił w blasku księżyca, widać było niewiele. – Dużo się nad tym zastanawiałam. Niestety, nie wiem. – Dodała ściszonym drżącym głosem: – To tak, jakby znowu przeżywać śmierć mamy.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale nagle zamilkła.

– Przepraszam. Czasami… – Wstała i odwróciła się. – Muszę pójść do niej – rzuciła łamiącym się głosem i wyszła.

Ellie poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Odrzuciła koc i wstała. Uznała, że nie ma co siedzieć samej na ganku i płakać.

Ruszyła po wilgotnej trawie nad rzekę. W dali, za pogrążoną w mroku łąką, zobaczyła żółte światła domu Cala. „Pewnego dnia powinnaś pomyśleć o tych, którzy cię kochają, El” – powiedziała Peanut. Cal zawsze należał do ich grona. Podczas trwania jej małżeństw, jej wszystkich nieszczęsnych romansów, w czasie, gdy umierali jej rodzice, Cal zawsze był przy niej.

Mimo że czasami wściekał się na nią, był jedynym facetem na świecie, który akceptował ją taką, jaka była, i kochał. Potrzebowała teraz takiego przyjaciela.

Już niebawem stała u jego drzwi. Zapukała.

Minęła chwila.

Nikt nie otwierał.

Ellie, zaniepokojona, obejrzała się. Auto Cala stało na swoim miejscu, osłonięte plandeką i przysypane warstwą liści.

Otworzyła więc drzwi, zajrzała do środka i zawołała:

– Hej!

Znowu nie było odpowiedzi, ale zauważyła światło na końcu korytarza. Poszła w tamtym kierunku i zorientowała się, że dochodzi ono spod zamkniętych drzwi pokoju Lisy.

Nagle przyszło jej do głowy, że Lisa wróciła. Na tę myśl zmarszczyła czoło. Poczuła skurcz żołądka i przypływ paniki, ale stwierdziła, że to niemożliwe. Zapukała.

– Halo…

– Ellie?

Otworzyła drzwi i zobaczyła Cala. Był sam, siedział za stołem przypominającym deskę kreślarską, na którym leżały rozłożone kartki.

Ellie poczuła ulgę.

– Gdzie dziewczynki? – zapytała.

– Peanut zabrała je na obiad i do kina, żebym mógł popracować.

– Popracować?

– Myślałem, że wybierasz się dokądś z George'em.

– Potrzebuję nowych przyjaciół. – Westchnęła. – Ale nic mnie z nim nie łączy. Co mam zrobić? Wywiesić billboard?

– Nic cię z nim nie łączy? – Cal oparł się o stół, patrząc na nią. – Zwykle przekonujesz się o tym dopiero po ślubie.

– Bardzo śmieszne. A w ogóle co ty robisz?

Przeszła przez pokój, zauważając plamy na policzkach i rękach Cala. Kiedy stanęła za nim i jej ramię zetknęło się z jego ramieniem, natychmiast poczuła się mniej samotna, mniej rozbita.

Przed Calem leżały rozłożone kartki. Na wierzchu widniał roboczy szkic przedstawiający dziewczynę i chłopca, którzy biegli, trzymając się za ręce. Nad nimi leciał pterodaktyl, przesłaniający skrzydłami słońce.

Cal odsunął szkic na bok; pod nim znajdował się kolorowy rysunek – prawie obraz – na którym te same dzieci stały wokół jasnej, błyszczącej kuli. Podpis głosił: *Jak możemy się ukryć, skoro oni śledzą każdy nasz ruch?*

Ellie była zdumiona wysokim poziomem artystycznym tych rysunków, ich żywą kolorystyką i śmiałą kreską. Postaci sprawiały wrażenie stylizowanych, a jednocześnie realistycznych. W ich oczach był wyraźny lęk.

– Masz talent – orzekła.

Pomyślała, że zabrzmiało to dość głupio, ale naprawdę była zaskoczona. Przez cały ten czas, kiedy siedziała przy biurku, zajmowała się papierkową robotą, czytała czasopisma albo rozmawiała z Peanut, Cal tworzył. Była święcie przekonana, że bazgrze ot tak sobie, jak kiedyś na lekcjach chemii u pana Chee. Teraz poczuła, że traci panowanie nad sobą. Jak to możliwe, że przebywając z nim całymi dniami, nie wiedziała o czymś takim?!

– Już rozumiem, dlaczego zarzuciłeś mi egocentryzm, Cal. Przepraszam.

Uśmiechnął się. Ten uśmiech odmienił jego twarz, przypomniał jej Cala z dawnych lat.

– To powieść rysunkowa o parze przyjaciół. Chłopak to porządny dzieciak ze złej okolicy, mieszkający z ojcem pijakiem. Dziewczyna ukrywa go w swojej szopie. Ich przyjaźń, jak się okazuje, to ostatnia ostoja niewinności i dlatego tylko oni mogą zniszczyć kulę czarownika, zanim świat pogrąży się w ciemności. Jeśli jednak się pocałują – czy posuną dalej – utracą swoją moc i będą zgubieni. Zacząłem to rozsyłać do wydawców.

– To o nas! – odkryła Ellie. Uświadomiwszy to sobie, nagle poczuła, jakby otworzyły się przed nią jakieś drzwi, ukazując fragment korytarza, którego nigdy dotąd nie widziała. – Dlaczego wcześniej mi tego nie pokazałeś?

Odsunął pasmo włosów za ucho i wstał, patrząc jej w oczy.

– Nie zauważasz mnie od dawna, El. Najpierw widziałaś we mnie chudego, niezdarnego chłopaka, a potem cichego, oddanego faceta. Ale tak naprawdę nie patrzyłaś na mnie od długiego czasu.

– Teraz patrzę i widzę, Cal.

– To dobrze. Bo od dawna czekam, żeby ci coś powiedzieć.

– Co takiego?

Otoczył ją ramionami i objął mocno.

A potem pocałował.

Nie było to przyjacielskie cmoknięcie ani muśnięcie ust na pocieszenie, tylko prawdziwy pocałunek, od którego zakręciło jej się w głowie. Taki z językiem i w ogóle.

W pierwszej chwili Ellie chciała się wyrwać – to było takie nieoczekiwane! – ale Cal na to nie zważał. Przyparł ją do ściany i całował, dopóki nie straciła tchu i serce nie zaczęło jej bić tak mocno, że była bliska omdlenia. Był to pocałunek, który nie pozostawiał niedomówień i obiecywał wszystko.

Kiedy wreszcie Cal wypuścił ją z objęć i poczuła z tego powodu żal, zobaczyła, że na jego twarzy nie ma uśmiechu.

– Teraz rozumiesz? – zapytał.

– O mój Boże!

– Wszyscy w miasteczku wiedzą, co do ciebie czuję. – Pocałował ją znowu i odsunął się. – Już zaczynałem myśleć, że jesteś głupia.

Ellie nie przypuszczałaby, że prawie czterdziestoletnia dwukrotna rozwódka może czuć się znowu jak nastolatka, ale tak właśnie się poczuła. Miała zawroty głowy i brakowało jej tchu. W jednej chwili całe jej życie wskoczyło na właściwy tor. Cal!

Drzwi za nimi się otworzyły. Ellie odwróciła się powoli, wciąż lekko oszołomiona.

Na progu stała Peanut, która trzymała dwa duże pudła z pizzą. Zza niej, jak główki kwiatów na jednej łodydze, wychylały się trzy buzie. Peanut poleciła:

– Panienki, wskakujcie w piżamy. Tatuś zaraz przyjdzie położyć was do łóżek.

Kiedy dziewczynki zniknęły i na schodach ucichł tupot ich nóg, Peanut postawiła pudła na krześle. Spojrzała na Cala, a potem przeniosła wzrok na Ellie i z powrotem na Cala.

W końcu kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu.

– Pocałowałeś ją?

Ellie pomyślała: „To Peanut wiedziała?” i ogarnęła ją irytacja. Cal jednak przytulił ją i zapomniała o wszystkim innym. W oczach, które znała od zawsze, zobaczyła miłość. Tym razem prawdziwą, tę, która narodziła się pewnego zimnego dnia między dwojgiem dzieci i trwała przez całe ich życie. Cal uścisnął jej dłoń.

– Tak.

Peanut roześmiała się.

– Najwyższy czas, do cholery!

Ellie zarzuciła Calowi ramiona na szyję i pocałowała go. Nie dbała o to, że Peanut patrzy. Nie przeszkadzałoby jej nawet, gdyby stała na środku Main Street, w mundurze, tamując ruch uliczny. Przez całe życie czekała na miłość, a miała ją tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki.

– O tak – szepnęła z ustami przy jego ustach. – Najwyższy czas.

Julia wiedziała, że zbyt mocno przyciska Alice, ale nie mogła się powstrzymać. Podobnie jak nie potrafiła myśleć o niej jako o Brittany. Przez ostatnią godzinę, niezależnie od tego, czym była akurat zajęta – albo sprawiała wrażenie zajętej – stale spoglądała na zegar, myśląc: „Jeszcze nie”. Jednak czas sączył się nieubłaganie. Każda sekunda zbliżała ją do chwili, gdy George zajedzie pod dom, zapuka do drzwi i zabierze swoją córkę.

– Poczytać Alice. – Dziecko uderzyło palcem w kartkę. Jak zwykle wiedziało, gdzie skończyły czytanie.

Julia zdawała sobie sprawę, że powinna cicho zamknąć książkę, powiedzieć, że pora o czymś porozmawiać – o rodzinach, które czasami coś rozdziela, o ojcach, którzy powracają – ale nie potrafiła tego zrobić. Wciąż przytulała do siebie małą i czytała jej, jakby to był zwykły deszczowy dzień.

Mijały tygodnie, króliczek był coraz starszy i coraz nędzniej wyglądał, lecz chłopczyk kochał go tak samo jak kiedyś. Kochał go tak mocno, że króliczkowi odpadły wąsy, różowe wnętrze jego uszu poszarzało, a brązowe cętki zbladły. Zaczął tracić kształt i dla wszystkich przestał już być króliczkiem – oprócz chłopca.

Nie mogła dalej czytać. Siedziała, patrząc na słowa, które zaczęły się zamazywać i tańczyć jej przed oczami.

– Alice też chce być prawdziwa.

Julia pogładziła jej buzię. Za każdym razem, gdy czytały tę opowieść, dziewczynka powtarzała to samo. Biedna, najwyraźniej bała się, że nie istnieje naprawdę. A teraz nie było już czasu, by ją przekonać, iż jest inaczej.

– Jesteś prawdziwa, Alice. I kocha cię wielu ludzi.

– Kocha – Alice powtórzyła szeptem, jak zwykle, z pewnego rodzaju respektem.

Julia zamknęła książkę i odłożyła ją na bok, a potem wzięła Alice na kolana, tak że patrzyły sobie w oczy.

Dziewczynka natychmiast zarzuciła jej rączki na szyję i wycisnęła na jej policzku gorącego całusa. A potem zachichotała.

„Trzymaj się!” – nakazała sobie Julia.

– Pamiętasz Mary, tajemniczy ogród i tego pana, który bardzo ją kochał? Który był jej tatą? Nie było go długi czas, pamiętasz? – Julii zabrakło sił. Miała przed sobą zaniepokojoną buzię Alice i poczuła, że tonie w jej turkusowych oczach. – Jest taki pan. George. To twój tatuś. On cię kocha.

– Alice kocha Lulię.

– Próbuję ci opowiedzieć o tacie, Alice. Brittany. Musisz się na to przygotować. On niedługo tu przyjedzie. Zrozum.

– Będziesz moją mamusią?

Julia już by się poddała, ale spojrzenie na zegar przypomniało jej, jak mało ma czasu.

Musiała wytłumaczyć dziecku, że go nie porzuca, tylko oddaje, bo nie ma innego wyjścia. Zerknęła na walizkę, którą spakowała starannie zeszłego wieczoru. Były w niej wszystkie ubrania i zabawki, które mieszkańcy miasteczka zebrali dla „swojej” dziewczynki. Włożyła do niej także ulubione książeczki Alice i swoje własne ukochane lektury z dzieciństwa, których jeszcze nie zdążyły przeczytać. No i prezenty od rodzin z sąsiedztwa. Każdy w miasteczku coś dziewczynce podarował.

Jak zdoła zapiąć płaszczyk Alice – Brittany – pocałować ją w policzek i pożegnać się z nią? „Wszystko będzie dobrze. Pójdziesz z tym panem, którego nie znasz i który nie zna ciebie. Zamieszkasz w dużym domu przy ulicy, przez którą nie będziesz mogła przejść sama, w mieście, którego nigdy naprawdę nie zrozumiesz”.

Jak sobie z tym poradzi?

A czy miała inne wyjście? Niezależnie od tego, jak by się miotała, nie mogła przecież wyprzeć ze świadomości faktu, że George też był w tym wszystkim ofiarą. Stracił córkę, a teraz ją odnalazł, mimo wszelkich przeciwności. To oczywiste, że pragnął zabrać ją do domu. I wynajął najlepszych specjalistów, żeby się nią zajęli. Julię przerażała myśl, że to za mało, ale nie była w stanie odwrócić nieuniknionego.

Zaczerpnęła tchu i przycisnęła Alice do siebie. Usłyszała warkot samochodu za oknami.

– Mamusiu? – powtórzyła Alice. Tym razem to w głosie dziewczynki zabrzmiały niepewność i lęk.

– Och, Alice – szepnęła Julia, muskając jej gładki, różowy policzek. – Chciałabym być twoją mamusią.

Alice ma złe przeczucie. Tak jak wtedy, gdy On odszedł po raz pierwszy, a ona była tak głodna, że zjadła czerwone owoce z krzaka nad rzeką, a potem je zwróciła.

Lulia mówi coś, czego Alice nie potrafi zrozumieć. Stara się bardzo, wie, że te słowa są ważne. Tata. Szansa. Córeczka. Lulia wypowiada je powoli, jakby były bardzo ciężkie. Alice wie, że mają duże znaczenie.

Nie może ich jednak zrozumieć i nawet nie chce się o to starać, bo to boli.

Oczy Lulii wciąż napełniają się wodą.

To znaczy, że Lulia jest smutna, Alice to wie. Ale dlaczego? Co takiego Alice zrobiła?

Starała się być dobra. Pokazała dorosłym okropne miejsce w lesie, zaprowadziła ich nawet do kamieni, pod którymi leżała Ona, choć to było dla Alice bardzo smutne. Przypomniała sobie rzeczy, które usiłowała zapomnieć. Nauczyła się jeść widelcem i łyżką, chodzić do toalety. Pozwoliła mówić do siebie Alice i pokochała to słowo, uśmiechając się w środku, gdy ktoś je wypowiadał i miał na myśli ją.

Co jeszcze miała zrobić?

Wie coś o odchodzeniu. Mamusie, które odchodzą, mają blade policzki, mokre oczy i drżący głos. Próbują ci powiedzieć coś, czego nie rozumiesz, ściskają cię tak mocno, że nie możesz oddychać.

I pewnego dnia już ich nie ma. Zostajesz sama i chciałabyś, żeby oczy napełniły ci się wodą, żeby ktoś cię objął, ale nie ma przy tobie nikogo, a ty nie wiesz, co zrobiłaś.

Alice czuje, że zaczyna ją mdlić, ze strachu ciężko jej się oddycha. Stara się zrozumieć, co zrobiła nie tak.

– Buty! – woła nagle. Może to o nie chodzi. Nigdy nie chciała ich włożyć. Cisną ją w stopy, ocierają palce, ale nawet położy się w nich do łóżka, żeby tylko Lulia dalej ją kochała. – Buty…

Lulia uśmiecha się ze smutkiem, przepraszająco. Z zewnątrz dochodzi jakiś dźwięk, jakby samochód zajechał na podwórko.

– Nie musisz wkładać butów, kochanie. Jesteśmy w domu.

Jak ma powiedzieć: „Będę dobra, Lulia”. Już zawsze. Zawsze. „Zrobię wszystko, co mi każesz”.

– Dobra dziewczynka – mówi szeptem, z całego serca gotowa wypełnić tę obietnicę.

Julia uśmiecha się znowu.

– Tak. Jesteś bardzo dobrą dziewczynką, kochanie. Dlatego to wszystko jest takie trudne.

Nie wystarczy, że będzie dobrą dziewczynką. Tyle rozumie, ale tylko tyle.

– Nie zostawiać Alice – prosi z rozpaczą.

Lulia patrzy przez szklane pudełko, które powstrzymuje powietrze z dworu.

Czeka na coś, Alice to wie. Na coś złego.

Alice znowu stanie się dziewczynką… i znowu będzie sama.

– Dobra Alice – powtarza jeszcze raz, słysząc, że głos jej się łamie. Nic innego nie potrafi powiedzieć. Przebiega przez pokój, bierze buty i próbuje je włożyć. – Buty. Alice obiecuje.

Ale Lulia nie mówi nic, tylko wygląda na dwór.

26

Ellie zobaczyła grupę vanów zaparkowanych po obu stronach starej szosy. Skręt w drogę dojazdową do domu blokowała ustawiona w poprzek biała zapora policyjna. Przed nią stała Peanut z założonymi na piersi rękami i gwizdkiem w ustach.

Ellie na moment włączyła światła i syrenę; droga przed nią od razu zrobiła się wolna. Reporterzy, rozdzieliwszy się na dwie grupy, zeszli na pobocze. Ellie podjechała do Peanut i odsunęła szybę.

– Oni stwarzają zagrożenie dla ruchu. Niech Earl i Mel każą im się zabierać. Mamy dość kłopotów i bez obecności mediów.

Z tyłu nadjechało czerwone ferrari, które zatrzymało się za cruiserem. Ellie zerknęła w lusterko wsteczne. George uśmiechał się do niej zza kierownicy, ale wyglądało to blado, trochę nierealnie. Miał w oczach smutek i lęk.

Dziennikarze natychmiast otoczyli jego samochód, rzucając mnóstwo pytań:

– Co pan teraz zamierza?

– Urządzi pan pogrzeb?

– Komu sprzedał pan prawa do tej historii?

– Zabierz ich stąd, Peanut – poleciła Ellie i wcisnęła gaz.

Ferrari ruszyło za nią żwirową drogą pełną dziur.

Ellie co chwila spoglądała w lusterko, mając nadzieję, że George skręci gdzieś w bok i zniknie.

Gdy zajechała przed ganek, jej żołądek skurczył się do rozmiarów małej piłeczki.

Zaparkowała wóz, zgasiła silnik i wysiadła.

George podszedł do niej.

– Jak wyglądam? – zapytał ze zdenerwowaniem. Zatknął za ucho jeden z kręconych kosmyków.

– Dobrze. – Odchrząknęła. – Wyglądasz dobrze.

Uśmiechnął się i z jego twarzy od razu zniknął niepokój, a niebieskie oczy się rozjaśniły. Jednak po chwili uśmiech zgasł. George przeniósł spojrzenie na dom i powiedział:

– Już czas.

Jego głos zabrzmiał łagodnie i uwodzicielsko. Ellie ciekawa była, ile kobiet zdołał przyciągnąć tym głosem w ciemności i ile z nich potem zostawił, zdziwionych, że mogły się tak zapomnieć.

– Powiedziałem twojej siostrze, że przyjadę po Brittany o trzeciej.

Brittany.

Z westchnieniem poprowadziła go przez podwórko. Byli już na schodach, gdy na podjeździe pojawił się szary mercedes.

– Kto to? – zapytała George'a.

– Doktor Correll. Będzie zajmował się Brit.

Z samochodu wysiadł wysoki, szczupły mężczyzna, wręcz wyrafinowanie smukły. Podszedł do nich. Jego pociągła twarz była wprawdzie mocno pobrużdżona, ale nie było w niej śladu osobowości.

– Witaj, George. – Skinął mu głową, a potem przywitał się z Ellie. – Jestem Tad Correll.

Ujął jej rękę z siłą przedszkolaka. Ellie poczuła przemożną chęć, żeby powalić go na ziemię.

– Miło mi pana poznać. – Już miała się odwrócić, gdy zauważyła strzykawkę, która wystawała z kieszeni jego marynarki.

– A to po co? Jest pan heroinistą?

Nie uśmiechnął się.

– To środek usypiający. Dziewczynka może być rozstrojona z powodu przeprowadzki.

– Tak pan sądzi? – Ellie spojrzała na George'a. Zdawała sobie sprawę, co wyraża jej wzrok – prośbę, a raczej błaganie: „Nie rób tego", ale nie odezwała się.

– To moja córka – zauważył cicho George.

Ellie nie znalazła słów odpowiedzi. Wiedziała, że gdyby była na jego miejscu, żadna siła na ziemi nie powstrzymałaby jej przed odzyskaniem dziecka.

Pokiwała głową.

We trójkę ruszyli do domu. Stanąwszy przed drzwiami frontowymi, Ellie zapukała.

Zrobiłaby wszystko, żeby odwlec to, co musiało nastąpić.

Otworzyła drzwi.

Julia siedziała na kanapie z Alice w ramionach. Dziewczynka trzymała na kolanach *Alicję w krainie czarów*. Przy kanapie stała czerwona walizka.

Julia spojrzała na przybyłych. Na jej pięknej twarzy widać było ślady łez; oczy miała podpuchnięte i zaczerwienione. Nie poruszyła się. Ellie była pewna, że po prostu nie może. Gdyby wstała, nogi ugięłyby się pod nią. Obok niej stał Max, który opierał dłonie na jej ramionach.

– Panie Azelle – odezwała się Julia drżącym głosem. – Widzę, że przyjechał pan z doktorem Correllem. – Skinieniem głowy przywitała się z kolegą po fachu i wstała. – Wyprzedza pana sława, doktorze.

– Panią również – zrewanżował się Correll. W jego słowach zabrzmiał jednak lekki sarkazm. – Oglądałem nagrane przez panią taśmy. Osiągnęła pani fenomenalne rezultaty z tym dzieckiem. Powinna pani opublikować wyniki swojej pracy.

Julia spojrzała na Alice, która sprawiała wrażenie wylęknionej.

– Lulia? – zapytała ją dziewczynka słabym ze strachu głosem.

– Przyszła pora, żeby się pożegnać – powiedziała Julia tak cicho, że wszyscy zbliżyli się, by lepiej słyszeć.

Alice pokręciła głową.

– Nie iść. Alice zostaje.

– Chciałabym, żebyś została, malutka, ale tatuś też cię kocha. – Pogłaskała dziewczynkę po buzi. – Pamiętasz swoją mamusię? Ona by sobie tego życzyła.

– Lulia mamusia. – Teraz już wyraźnie słychać było w jej głosie strach. Przywarła do Julii.

Julia starała się uwolnić z jej uścisku.

– Bardzo bym chciała być twoją mamusią… ale to niemożliwe. Nie jestem nią. Musisz pójść z tatą.

Alice wpadła w szał. Zaczęła kopać i wrzeszczeć, warczeć i wyć. Drapała po twarzy Julię i samą siebie.

– Och, kochanie, przestań! – poprosiła Julia, żeby ją uspokoić, ale dziewczynka krzyczała zbyt głośno, by cokolwiek usłyszeć.

Wtedy do akcji wkroczył doktor Correll, który zrobił Alice zastrzyk.

Dziewczynka zawyła. Był to rozpaczliwy lament, jakby pochodzący z tych wszystkich mrocznych miejsc, które widziała w życiu.

Ellie poczuła, że w oczach zbierają jej się łzy, które pieką i zamazują wzrok.

Alice w ramionach Julii powoli uspokajała się pod wpływem środka nasennego.

– Przykro mi – powiedziała do niej Julia.

Dziewczynce zaczęły opadać powieki. Otoczyła ramionami szyję swej opiekunki i spojrzała na nią.

– Alice kocha Lulię.

– A ja kocham Alice.

Wtedy Alice się rozpłakała. Nie szlochała, nie drżała ani nie histeryzowała po dziecięcemu. Po prostu po jej buzi zaczęły płynąć łzy. Dotknęła ich zdziwiona. Potem spojrzała na Julię i wymamrotała:

– Boli prawdziwą dziewczynkę.

Julia szepnęła do niej coś, czego nikt nie usłyszał. Sprawiała wrażenie wstrząśniętej tymi cicho wypowiedzianymi słowami i rozpaczą Alice.

Wszyscy stali przez chwilę w milczeniu, spoglądając na siebie. Doktor Correll odezwał się pierwszy:

– Czas na nas.

Julia sztywno skinęła głową i zaniosła Alice do ferrari. Spojrzała na tylne siedzenie wozu, a potem zwróciła się do George’a:

– A gdzie fotelik dla dzieci?

– Ona nie jest już niemowlęciem – odparł.

– Zaraz go przyniosę – rzuciła Ellie i poszła do samochodu Julii. Po tym wszystkim, czego była świadkiem, jakoś dziwnie dopiero to ją rozstroiło. Gdy odpinała fotelik – fotelik Alice – i wyjmowała go z wozu, była bliska płaczu. Mocując fotelik w ferrari, usiłowała nie patrzeć na George’a.

Julia bardzo powoli schyliła się i umieściła śpiące dziecko w foteliku. Szepnęła coś do uszka Alice. Potem ucałowała ją i cofnęła się, delikatnie zamykając drzwi.

Wyprostowawszy się, stanęła twarz w twarz z George’em. Podała mu grubą kopertę z papieru pakowego.

– Tu jest wszystko, co powinieneś wiedzieć. O jakich porach zasypia i się budzi, kiedy kładzie się na drzemkę, na co jest uczulona. Bardzo lubi żelki, ale tylko o smaku ananasowym, i pudding waniliowy. Uwielbia też bawić się spaghetti, więc jeśli nie chcesz, żeby zabrudziła wszystko dookoła, lepiej jej go nie dawaj. Śmieszą ją obrazki przedstawiające króliczki z wielkimi uszami i łaskotanie stóp. Z książek najbardziej lubi…

– Wystarczy. – Głos George’a był chropawy, gardłowy. Wziął kopertę w drżące ręce. – Dziękuję ci. Za wszystko. Naprawdę dziękuję.

– Gdybyś miał z nią jakieś problemy, dzwoń. Mogę przyjechać w każdej chwili…

– Dobrze.

– Mam ochotę rzucić się pod koła twojego auta.

– Wiem.

– Jeśli… – Nie mogła mówić dalej. Otarła oczy i dodała na zakończenie: – Dbaj o moją… naszą… dziewczynkę.

– Obiecuję ci to.

Powiew wiatru zaszeleścił liśćmi. W oddali zakrakała wrona, potem druga. Ellie nie zdziwiłaby się, gdyby dobiegło ich wycie wilka.

– No dobrze – powiedział George. – Musimy jechać.

Julia zrobiła krok do tyłu.

Ellie podeszła do siostry i objęła ją ramieniem. Julia poczuła się nagle słaba, jak ktoś, kto długo leżał w szpitalu i dopiero co wstał z łóżka. Max zbliżył się do niej i podtrzymał ją z drugiej strony. Ellie pomyślała, że gdyby nie oni dwoje, siostra osunęłaby się na ziemię.

George wsiadł do samochodu i odjechał. Za nim ruszył doktor Correll.

Jeszcze przez chwilę słychać było chrzęst kół na żwirze i warkot silników. Potem zapadła cisza.

Już tylko szumiał wiatr.

– Rozpłakała się – szepnęła Julia, drżąc cała. – Dałam jej tyle miłości… ale tak naprawdę nauczyłam ją tylko płakać.

Max wziął ją w ramiona i przytulił.

Alice odjechała.

Alice jest w samochodzie.

Ale to inny samochód niż te, które do tej pory znała. Ten jest niski – prawie dotyka ziemi – i mknie jak wąż. Muzyka gra w nim tak głośno, że aż rani uszy.

Powoli otwiera oczy. Czuje się dziwnie, jakby zmęczona i chora. Gdyby przestała się pilnować, mogłaby zwrócić to, co ma w brzuchu. Zwilżając wargi, szuka wzrokiem Lulii albo Lellie.

Nie ma ich w pobliżu.

Gdzieś głęboko w niej rodzi się panika i ogarnia ją całą. Od krzyku powstrzymuje ją tylko zmęczenie. I tak by nie narobiła hałasu. (Ten pan pewnie słyszy bicie jej serca. Zaraz ją skrzyczy, tak jest głośne. Alice przykrywa serce rączką, żeby je zagłuszyć).

– Lulia? – pyta tego pana.

– Została w Rain Valley. Daleko stąd. Teraz jesteś ze mną, Brittany. Wszystko będzie dobrze.

Alice nie rozumie wszystkich jego słów, ale zna słowo „została”. Na jego dźwięk do oczu napływa jej woda. To boli, ten płacz. Ociera łzy, zaskoczona, że są przezroczyste. Powinny być czerwone jak jej krew; sądziła, że takie będą. Jakby skaleczyła się ostrym nożem i krwawiła. Pamięta, jak wygląda krew. „Mamusia Lulia została. Alice niedobra dziewczynka”.

Pan spogląda na nią. Marszczy czoło. Alice wie, że zaraz ją uderzy, ale nie przejmuje się tym. Bez Lulii i tak nie może być dobrze.

Gdy o tym myśli, jej oczy znowu napełniają się wodą. Zaczyna wyć cichutko, choć wie, że Lulia jej nie usłyszy. Jest zbyt daleko. Jej wycie staje się coraz głośniejsze, coraz bardziej rozpaczliwe.

– Brittany?

Alice nie reaguje. Teraz tylko milczenie może ją uratować. Nie ma nikogo, kto by się o nią zatroszczył, więc musi stać się jak najmniejsza i zachowywać się jak najciszej.

Zamyka oczy, pozwala, żeby przyszedł do niej sen. We śnie może zobaczyć Lulię, udawać, że są razem. We śnie jest dobrą dziewczynką i ma przy sobie mamusię Lulię, która ją kocha.

Po paru godzinach – nie miała pojęcia, kiedy to było, bo straciła poczucie czasu – Julia wysłała Maxa na dół, a Ellie z powrotem do pracy. Oboje podtrzymywali ją na duchu przez całe popołudnie i próbowali pocieszać, ale było to daremne. Prawdę mówiąc, panowała nad sobą resztą sił, bo miała ochotę krzyczeć aż do ochrypnięcia. Nie mogła spokojnie patrzeć na ludzi, których kochała i którzy ją kochali. Wszystko kojarzyło jej się z Alice.

Wyjrzała przez okno sypialni na puste podwórko.

Ptaki.

Gdy przyjdzie wiosna, przylecą tu do Alice…

Psy za nią poszczekiwały cicho do siebie; szukały dziewczynki prawie przez godzinę. Teraz już się uspokoiły, leżały przy łóżku Alice i czekały na jej powrót. Od czasu do czasu rozlegało się ich wycie.

Julia spojrzała na zegarek i próbowała policzyć, od jak dawna Alice nie ma. Minęło zaledwie kilka godzin, a miała wrażenie, że upłynęły wieki całe.

Było wpół do szóstej po południu. Pewnie już dojeżdżali do miasta. Majestatyczna zieleń ukochanego lasu Alice ustąpi miejsca szarości betonu. Dziewczynka będzie się tam czuła jak przybysz z kosmosu. Bez Julii cofnie się w rozwoju, ze strachu powróci do świata milczenia. Nie poradzi sobie z lękiem.

– Proszę, Boże – szepnęła, modląc się po raz pierwszy od lat – opiekuj się moją dziewczynką. Nie pozwól, żeby coś sobie zrobiła.

Odwróciła się od okna i… zobaczyła rośliny doniczkowe. Przed pojawieniem się Alice stały oddzielnie, w różnych miejscach domu. Potem tworzyły jej kryjówkę.

Wiedziała, że powinna zostać tam, gdzie stała, zachować dystans, ale nie potrafiła. Podeszła do skupiska roślin i pogładziła ich błyszczące liście.

– Wy też będziecie za nią tęsknić – powiedziała chrapliwie, nie przejmując się, że przemawia do roślin.

Nie miało teraz znaczenia, czy postrada rozum. Nie była już doktor Cates, tylko zwykłą kobietą, która tęskni za niezwykłym dzieckiem.

Dochodziła szósta. Byli już pewnie na moście pontonowym na jeziorze Washington, w drodze na Mercer Island; Alice zobaczy w oddali ośnieżone szczyty gór i miejsce, skąd przybyła. Powietrze będzie tam pachniało inaczej – spalinami samochodów i zanieczyszczeniami, poskromionymi błękitnymi wodami.

Na dole było cicho, szczękały tylko naczynia w rękach Maxa, który przygotowywał kolację.

Podeszła do stołu, nakrytego na dwie osoby, udając, że nie widzi pustego miejsca, gdzie zwykle leżała podkładka pod talerz.

– Co gotujesz? – zapytała Maxa, który kroił warzywa.

Na dźwięk jej głosu podniósł głowę.

Spojrzeli sobie w oczy.

– Warzywa po chińsku. – Odłożył nóż i podszedł do niej.

– Telefon wciąż dzwonił…

– To Ellie – powiedział. – Pytała, czy dobrze się czujesz.

Objął ją ramieniem i zaprowadził do okna. Razem wyjrzeli na ciemniejące podwórko. Łypnęły na nich pierwsze nieliczne gwiazdy.

Julia wsparła się na Maksie i poczuła przyjemne ciepło jego ciała, co uświadomiło jej, jak bardzo zziębła. Nie pytał, jak się czuje, ani nie mówił, że wszystko będzie dobrze. Po prostu objął ją za szyję. Gdyby nie jego dotyk, mogłaby odpłynąć, dryfując po morzu pustki. Jednak tym jednym zwykłym gestem przypomniał jej, że nie straciła wszystkiego, że nie jest sama.

– Chciałabym wiedzieć, jak ona sobie radzi.

– Przestań – poprosił łagodnie. – Jedyne, co możesz zrobić, to czekać.

– Na co?

– Któregoś dnia, kiedy przypomnisz sobie, jak wyła, jadła kwiatki albo próbowała bawić się pająkami, zaczniesz się śmiać, a nie płakać.

Julia chciała wierzyć tym słowom. Jako psychiatra, wiedziała, że Max ma rację, jako matka, nie potrafiła mu uwierzyć.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

Prawdę mówiąc, Julia była wdzięczna, że coś zajmie je uwagę.

– Przekręciłeś klucz w zamku po wyjściu Ellie? – zapytała, ocierając łzy i próbując się uśmiechnąć. – Nie powinnam była wysyłać jej do pracy. Ale pomyślałam, że spotkanie z Calem dobrze jej zrobi.

– To pomaga? – spytał Max. – Obecność kogoś, kto cię kocha?

– Najbardziej ze wszystkiego.

Skinął głową.

Julia wyminęła go, podeszła do drzwi i otworzyła je.

Za nimi stała Alice sprawiająca wrażenie niezwykle przestraszonej i małej. Wykręcała splecione rączki, jak zwykle, gdy była zaniepokojona, i miała buty włożone na odwrót. Z jej gardła dochodziło stłumione wycie. Na policzkach widać było świeże, krwawiące zadrapania.

Za dziewczynką stał George. Jego przystojna twarz była blada, pojawiły się na niej bruzdy, których wcześniej Julia nie widziała.

– Ona myśli, że ją zostawiłaś, bo była niedobra.

Te słowa były dla Julii jak cios w serce. Upadła na kolana i spojrzała Alice w oczy.

– Och, kochanie! Jesteś dobrą dziewczynką. Najlepszą.

Alice zaczęła płakać po cichu, rozpaczliwie, jak to ona. Drżała na całym ciele, nie wydając jednak żadnego dźwięku.

– Powiedz to słowami, Alice.

Dziewczynka pokręciła głową i znowu zawyła żałośnie.

Julia pogłaskała ją.

– Powiedz to słowami, maleńka. Proszę.

Ogarnął ją straszliwy żal, rozdzierający serce. Nie zniosłaby, gdyby musiała jeszcze raz przez to przejść. To było ponad siły ich obu. Wiedziała, że Alice chciałaby przypaść do niej, przytulić się mocno, ale bała się poruszyć. Ta mała dziewczynka myślała tylko o tym, że była niedobra i że zostanie porzucona, tak jak kiedyś. I znowu była zbyt przerażona, żeby mówić.

George wszedł po skrzypiących stopniach ganku.

Alice rzuciła się przed sobie i przywarła do ściany. Biegnąc, potrąciła metalowe miski psów. Ich brzęk rozszedł się głośno, przebrzmiał i znowu zrobiło się cicho.

George spojrzał na Alice, a potem na Julię.

– Próbowałem zjeść z nią obiad w Olympii, ale… dostała jakiegoś ataku. Wyła. Warczała. Zaczęła drapać się po twarzy. Doktor Correll nie potrafił jej uspokoić.

– To nie twoja wina – powiedziała łagodnie Julia.

– Przez te wszystkie lata w więzieniu… marzyłem, że ona żyje…

Julia poczuła dla niego ogromne współczucie. Wstała powoli.

– Wiem.

– Wyobrażałem sobie, że ją odnajdę… Myślałem, że rzuci mi się w ramiona, pocałuje mnie i powie, że bardzo za mną tęskniła. Nie przypuszczałem… nie zdawałem sobie sprawy, że może mnie nie poznać.

– Potrzebuje czasu, żeby sobie przypomnieć…

– Nie. Nie jest już moją małą dziewczynką. Chyba miałaś rację, gdy powiedziałaś, że nigdy nią nie była. Prawie jej nie widywałem, gdy była malutka… A teraz to już nie jest Brittany, ale Alice.

Julia wstrzymała oddech. Zaświtała jej nadzieja. Malutki promyczek w ciemności. Max stanął przy niej i położył jej dłoń na ramieniu.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała.

George popatrzył na córkę. Nagle jakby się postarzał, na jego twarzy odbijały się bolesne przeżycia.

– To nie mnie potrzebuje – wyszeptał tak cicho, że Julia ledwie go usłyszała. – Ja sobie z nią nie poradzę. Kochać ją… i opiekować się nią to dwie różne rzeczy. Jej miejsce jest tutaj. Z tobą.

Julia wzięła Maxa za rękę, wsparła się na nim, ale cały czas patrzyła na George’a.

– Jesteś pewien?

– Powiedz jej… kiedyś… że kochałem ją tak, jak potrafiłem… i dlatego ją zostawiłem. I powiedz, że będę na nią czekał. Wystarczy, żeby zadzwoniła.

– Zawsze będziesz jej ojcem, George.

Cofnął się, zszedł stopień niżej, potem drugi.

– Będą mówili, że ją oddałem – powiedział cicho.

Julia spojrzała na niego, pragnąc zaprzeczyć, ale oboje wiedzieli, że ma rację. Media surowo go za tę decyzję osądzą.

– Twoja córka będzie znała prawdę, George. Przysięgam ci. Dowie się, że ją kochasz.

– Nie mogę nawet pocałować jej na pożegnanie.

– Kiedyś to zrobisz. Obiecuję.

– Bądź blisko niej – poprosił. – Nie zrób tego błędu co ja.

Julię dławiło w gardle, tak że była w stanie tylko skinąć głową. Gdyby to był film disnejowski, a nie prawdziwe życie, Alice uścisnęłaby teraz ojca i pożegnałaby się z nim serdecznie. Tymczasem kuliła się pod ścianą, jakby chciała zniknąć. Policzki miała poorane paznokciami, usmarowane krwią i łzami.

George odwrócił się i odszedł. Na podjeździe pomachał im ręką, a potem wsiadł do wozu i odjechał.

Julia przyklękła przed Alice, która stała z rękami przyciśniętymi do boków i dłońmi zaciśniętymi w piąstki. Usta jej drżały, a z oczu płynęły łzy.

Julii również zebrało się na płacz. Nie mogła go powstrzymać, choć jednocześnie się uśmiechała. Miotały nią sprzeczne uczucia.

Alice wyglądała na przerażoną. Popatrzyła, jak George odjeżdża, i odwróciła się do Julii.

– Alice w domu? – zapytała.

Julia potwierdziła ruchem głowy.

– Tak, Alice wróciła do domu.

Dziewczynka szepnęła:

– Mamusia Lulia! – I rzuciła się Julii w ramiona.

Przewróciły się na podłogę, wciąż objęte. Julia przyciskała dziewczynkę, całowała jej policzki, szyję, włosy.

Alice wtuliła buzię w łuk jej szyi. Julia poczuła jej oddech, gdy malutka powiedziała:

– Alice kocha mamusię Lulię. Alice zostaje.

– Tak – odparła Julia, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. – Alice zostaje.

Epilog

Jak zwykle, wrzesień był najładniejszym miesiącem roku. Po długich, słonecznych dniach następowały chłodne, rześkie noce. W całym miasteczku trawa była puszysta jak aksamit i intensywnie zielona. Wśród wysokich jodeł widać było gdzieniegdzie klony i olchy przybrane w jesienną czerwień i złoto. Łabędzie opuściły już Spirit Lake i odleciały na zimę, ale wszędzie widać było wrony, które siedziały na kablach telefonicznych rozciągniętych nad ulicami, krakcząc i skrzecząc na widok przechodniów.

Julia przystanęła na rogu Olympic i Rainview.

Alice natychmiast również stanęła, podeszła do Julii i włożyła rączkę do jej kieszeni. Zrobiła to po raz pierwszy od wielu tygodni.

– Ależ, Alice – powiedziała Julia, patrząc na nią. – Przecież już o tym rozmawiałyśmy. Nie masz się czego bać.

Alice zamrugała. Chociaż w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy przybrała na wadze i urosła prawie trzy centymetry, wciąż miała drobną buzię w kształcie serca, która czasami wydawała się za mała w porównaniu z wielkimi, wyrazistymi oczami. Tego dnia, ubrana w różową sztruksową spódniczkę, pasujące do niej różowe bawełniane rajstopy i biały sweterek, wyglądała jak wszystkie inne dziewczynki w dniu rozpoczęcia roku szkolnego. Tylko uważny obserwator zauważyłby, że brakuje jej zbyt wielu zębów jak na pięcioipółletnie dziecko i że często woła mamusię Julię.

– Alice się nie boi.

Julia zaprowadziła ją na najbliższą ławkę w parku, usiadły pod ochronnym parasolem wielkiego klonu. Liście nad ich głowami miały barwę dojrzałych cytryn; co jakiś czas jeden z nich sfruwał na ziemię. Julia wzięła Alice na kolana.

– Myślę, że jednak się boisz.

Alice wsadziła kciuk do buzi, ale zaraz powoli go wyjęła. Bardzo starała się być dużą dziewczynką. Jej różowy plecaczek – ostatni prezent od George’a – upadł na ziemię.

– Będą nazywali Alice dziewczynką z wilkiem – powiedziała cicho.

Julia pogłaskała ją po policzku. Chciała powiedzieć: „Nie, nie będą”, ale obie zaszły razem zbyt daleko, żeby mówić sobie takie uspokajające kłamstewka.

– Możliwe, ale to dlatego, że sami chcieliby znać wilka.

– Może Alice pójdzie do szkoły za rok?

– Przecież jesteś już na to przygotowana. – Julia postawiła ją na ziemi. Stały obok siebie, trzymając się za ręce. – To co, dobrze?

Obok nich zatrzymał się samochód. Wszystkie jego drzwi otworzyły się naraz i z wozu wyskoczyły trzy roześmiane dziewczynki. Dwie najstarsze od razu pobiegły przed sobie.

Ellie, w mundurze, najwyraźniej bardzo zmęczona, ale niezwykle piękna, wzięła Sarah za rękę i podeszła do Julii.

– Oczywiście, ty jesteś na czas – powiedziała. – Posyłasz do szkoły tylko jedno dziecko. A ja muszę przygotować całą trójkę, co przypomina próby zapanowania nad mrowiskiem. Na Cala nie mam co liczyć. Musi zdążyć na termin i jest głuchy na wszystko. – Mówiąc to, roześmiała się. – A może to przeze mnie, bo wciąż domagam się, żeby mnie słuchał.

Sarah, w dżinsach i różowej bawełnianej koszulce, z plecakiem Shark Tales, spojrzała na Alice.

– Jesteś przygotowana do szkoły?

– Przestraszona – odpowiedziała Alice. Spojrzawszy na Julię, poprawiła się: – Jestem przestraszona.

– Ja też się trochę bałam pierwszego dnia w przedszkolu. Ale było fajnie – uspokoiła ją Sarah. – Dostaliśmy ciasto.

– Naprawdę?

– Chcesz pójść ze mną? – zapytała Sarah.

Alice zerknęła na Julię, która zachęcająco skinęła głową.

– Idź.

Dziewczynka powiedziała bezgłośnie: „Bądź z pobliżu”, a Julia z uśmiechem kiwnęła głową.

Dziewczynki ruszyły do szkoły.

Ellie zrównała krok z Julią.

– Kto by pomyślał, co? Odprowadzamy razem córki do szkoły.

– Rodzi się nowa tradycja rodzinna. A jak tam z waszą łazienką?

– Cal zamówił wannę z jacuzzi. – Ellie się skrzywiła. – Mieszczą się w niej dwie osoby. Poza tym na wiosnę chce zacząć prace nad dobudówką. Trzy dziewczynki w naszej dawnej sypialni to koszmar. Stale się kłócą.

– Poznałaś już nowych sąsiadów?

– Uhm. To małżeństwo z Kalifornii. Mają dwóch synów, którzy łażą za dziewczynkami jak zakochane szczeniaki. Mnie to śmieszy, Cala – mniej. Ale chyba jest zadowolony, że Lisa nakłoniła go do sprzedaży domu. Za dużo wspomnień.

– I tak zawsze bardziej związany był z naszym domem.

– Jasne – odparła Ellie tonem zakochanej kobiety.

Po dwóch hucznych weselach ze wszystkimi szykanami, w końcu, szczęśliwa jak nigdy dotąd, wzięła cichy ślub w małej kaplicy pod Las Vegas.

Przecięły ulicę i weszły po schodach do szkoły. Wokół nich matki trzymały swoje dzieci za ręce. Julia zwróciła uwagę na stojącą obok niej piękną rudowłosą kobietę, której oczy błyszczały od łez. Uśmiechnęła się, kiedy Julia na nią spojrzała.

– To mój pierwszy raz – powiedziała. – To znaczy pierwszy raz odprowadzam Bobby'ego do szkoły. Mam nadzieję, że się nie rozpłaczę i nie narobię mu wstydu.

– Wiem, co pani czuje – odparła Julia. Jej też trudno było wypuścić Alice w świat, ale musiała to zrobić.

Gdy szły korytarzem, zabrzmiał dzwonek. Rodzice pożegnali się z dziećmi, które zniknęły w swoich klasach.

Alice nerwowo spojrzała na Julię.

– Mamusiu…?

– Będę cały dzień siedziała przed szkołą i czekała na ciebie. Jeśli się zdenerwujesz, spójrz tylko przez okno, dobrze?

– Dobrze. – Ale nie sprawiała wrażenia uspokojonej.

– Chcesz, żebym poszła z tobą?

Alice spojrzała na Sarah, która dawała jej znaki, żeby się pospieszyła, a potem znów przeniosła wzrok na Julię.

– Nie – odparła. I dodała samym tylko ruchem warg: „Jestem dużą dziewczynką".

– Chodź, Alice – ponagliła ją Sarah. – Zaprowadzę cię do klasy pani Schmidt.

Ruszyła więc za Sarah i przeszła przez ostatni odcinek korytarza do sali 114. Przestraszona, pomachała Julii na pożegnanie, otworzyła drzwi i weszła do środka.

Julia westchnęła. Chciało jej się i śmiać, i płakać.

– Twoja dziewczynka nie chce odejść, a moje wprost marzą, żeby się wyrwać z domu.

– Twoje dziewczynki nie przeszły tego, co Alice. Może rzeczywiście jest za wcześnie…

Ellie otoczyła ją ramieniem i przyciągnęła do siebie.

– Poradzi sobie.

Razem opuściły szkołę, zeszły po schodach i ruszyły ulicą do parku. Tam usiadły na drewnianej ławce i popatrzyły na miasteczko, które ukształtowało ich życie. Klon, który niegdyś pierwszy powitał Alice, pokryty był żółtymi liśćmi.

– Czym się teraz zajmiesz, gdy Alice zacznie chodzić do szkoły? – zapytała Ellie, odchylając się na oparcie ławki. – W przyszłym roku będzie tam od rana do wieczora.

Julia też ostatnio się nad tym zastanawiała. Zadawała sobie pytanie, kim teraz jest i czego chce. Odpowiedzi, których sobie udzieliła, zaskoczyły ją samą. Przez prawie połowę życia zajmowała się karierą. Praca była dla niej wszystkim, a jednak utraciła ją w jednej chwili. Może była w tym i jej wina – nie wiedziała i nie miała się dowiedzieć, czy była w stanie zmienić los Amber – ale teraz kwestia winy nie miała znaczenia. Ważne było to, czego się dzięki temu nauczyła. Zrozumiała, że życie jest niewiarygodnie kruche. Jeśli szczęśliwie miało się kochającą rodzinę, należało otaczać ją najwyższą troską. I wiedziała, że nigdy już nie będzie lękała się miłości.

– Max poprosił mnie, żebym za niego wyszła – poinformowała siostrę.

Ellie wykrzyknęła:

– Najwyższa pora! – Wzięła Julię w objęcia i uścisnęła serdecznie.

– Myślałam też o tym, żeby otworzyć tu gabinet i pracować w niepełnym wymiarze godzin. Są w Rain Valley dzieci, którym mogłabym pomóc.

Ellie odsunęła się, ocierając łzy.

– Mama i tata byliby z ciebie bardzo dumni, Jules.

Julia uśmiechnęła się.

– Uhm.

Przymknęła oczy na chwilę, na krótki moment, i przypomniała sobie wszystko – kobietę, którą była jeszcze niespełna rok wcześniej, niepewną siebie i bojącą się poważnie zaangażować… małą dziewczynkę imieniem Alice, która ujęła ją za serce… i mężczyznę, który odważył się wyjść z ciemności ku światłu, kryjącemu się w wiekowych gęstych lasach. Wiedziała, że w następnych latach mieszkańcy Rain Valley będą mówili o tym

niezwykłym czasie, kiedy dziecko niepodobne do innych wyszło z gęstwiny i wkroczyło w ich życie, odmieniając każdego z nich. I że zaczęło się to pod koniec października, kiedy drzewa okryte były brązowiejącymi liśćmi i uginały się tanecznie w chłodnych, przesyconych deszczem powiewach wiatru, a słońce świeciło złotym blaskiem, opromieniając wszystko dokoła.

Magiczna chwila.

Do końca życia Julia miała pamiętać, że był to czas, kiedy wreszcie wróciła do domu.

Podziękowania

Kilka osób w zasadniczy sposób przyczyniło się do powstania tej powieści. Są to:

Lindsey Brooks, kierownik wydziału śledczego Child Quest International

Luana S. Burnett, oficer policji miasta Newport w stanie Waszyngton

Kany Levine, obrońca w sprawach karnych i przyjaciel

oraz

Kim Fisk i Megan Chance, które pomogły mi bardziej, niż przypuszczają.

Wszystkim im dziękuję.

Przypisy

1. *Buffy the Vampire Slayer* – odcinkowy horror telewizyjny z 1997 roku (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [wróć]
2. Mowgli – bohater *Księgi dżungli* Rudyarda Kiplinga. [wróć]
3. Diane Sawyer (ur. 1945) – dziennikarka amerykańskiej sieci telewizyjnej ABC News, gospodyni programu *Goud Morning America*. [wróć]
4. Elizabeth Smart – nastolatka uprowadzona z domu przez parę nieznajomych i szczęśliwie odnaleziona. [wróć]
5. Perry Mason – bohater książek Erle'a Stanley a Gardnera, znakomity adwokat, rozwiązujący wszelkie skomplikowane zagadki kryminalne. [wróć]
6. Tammy Faye (ur. 1942) – piosenkarka wykonująca pieśni religijne, osobowość telewizyjna. [wróć]
7. Marge Simpson – postać z popularnej w USA kreskówki. [wróć]
8. Frances Hodgson Burnett, *Tajemniczy ogród*, przeł. Jadwiga Włodarkiewicz, Warszawa 1975. [wróć]
9. Siostra Ratchett – przejawiająca sadystyczne skłonności pielęgniarka z filmu *Lot nad kukułczym gniazdem*. [wróć]
10. Frances Hodgson Burnett, *Tajemniczy ogród*, przeł. Jadwiga Włodarkiewicz, Warszawa 1975. [wróć]
11. Ted Bundy – seryjny morderca. [wróć]
12. Mimoza – drink z szampana i soku pomarańczowego. [wróć]